



Rafał
Kosik
Różaniec



powergraph

Rafał
Kosik

Różaniec



powergraph

Warszawa 2017

Rafał Kosik
Różaniec

Wydawca:
Powergraph
ul. Ceglowska 16/2
01-803 Warszawa
tel. 22 834 18 25
e-mail: powergraph@powergraph.pl
www.powergraph.pl

Copyright © 2017 by Rafał Kosik
Copyright © 2017 by Powergraph
Copyright © 2017 for the cover illustration by Rafał Kosik
Copyright © 2017 for the cover photo by iStock
Copyright © 2017 for the cover by Rafał Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Rafał Kosik
Zdjęcie Warszawy: iStock
Projekt graficzny i opracowanie: Rafał Kosik

Wylączna dystrybucja:



„FK Olesiejuk” Sp. z o.o. Sp.j.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku JamaNiamy

Spis treści

CZEŚĆ I

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

CZEŚĆ II

I

II

III

IV

V

VI

VII

CZEŚĆ III

I

II

III

IV

V

VI

VII

CZĘŚĆ I

Przeczenie powinno mu podpowiedzieć, że jest już po tamtej stronie. Ale on nie miał przeczuć, jego przodkowie tłumili je od niepamiętnych czasów. Zorientował się, że coś jest nie tak, gdy dwóch osiłków w złotych lustrzanych maskach anonimizujących zagroziło mu trasę cowieczornego joggingu. Drzewa w parku przesłaniały światła latarni, prawie na nich wpadł. Pomyślał, że to napad, i chyba tylko dlatego zareagował. Rzucił się w bok i potknął o krawężnik. Usłyszał elektryczny trzask, a błękitne iskry przeleciały mu nad głową. Podparł się o trawę i pognął przed siebie. Nie krzyczał, nie oglądał się, by nie tracić energii. Po prostu biegł, najszybciej jak mógł. Błękitne iskry przecięły powietrze jeszcze dwukrotnie. Tamci nie mogli strzelać i biec jednocześnie. Odległość rosła. Miał nad nimi przewagę, biegał przecież codziennie. Przeskoczył niskie ogrodzenie klombu, zdeptał róże i skręcił w stronę bramy od Ujazdowskich. Zaryzykował i obejrzał się. Nie nadążali, byli dobre piętnaście metrów za nim. Jeśli dobiegnie do bramy... tam będą jacyś ludzie, kamery, dużo kamer. Wypadł na brukowaną alejkę i w kilka sekund pokonał dystans dzielący go od wybawienia.

Na wprost bramy zatrzymała się pomarańczowa Nysa. Z sykiem sprężonego powietrza drzwi z napisem „EL” w kółku przesunęły się, a z wnętrza wyskoczyło czterech mężczyzn w czarno-pomarańczowych kombinezonach i hełmach ze złotymi lustrzanymi przyłbicami. Z przerażeniem zawahał się, prawie się zatrzymał. Skręcił w lewo i wystartował sprintem, ale tej chwili zawahania już mu zabrakło. Błękitny błysk zbiegł się z ostrym bólem lewego ramienia. Reszta ładunku rozbiegła się z sykiem po kutym ogrodzeniu. Płatki róż posypały się jak pierze z rozdartej poduszki. Krzyknął i zachwiał się. Bezwładna ręka spowolniła go, ale biegł dalej.

Ktoś szedł z przeciwka, dwie osoby. Patrol policji! Otworzył usta, ale nie zdążył krzyknąć. Iskry zatańczyły po chodniku, wzdłuż szczelin w granitowych płytach. Światłne szpilki dosięgły jego stóp, łydki momentalnie zwiotczały. Zwalił się na ziemię, amortyzując upadek sprawną ręką. Policjanci zwolnili i z kilkunastu metrów,

zaciekawieni, obserwowali sytuację. Uniósł na nich zdziwiony wzrok i wtedy zrozumiał – to nie napad.

Tupot ciężkich butów załomotał obok jego ucha. Ktoś przygniótł go kolanem do ziemi, ktoś inny wykręcił mu ręce i zapiął na nadgarstkach kajdanki. Podciągnęli go w górę we trzech. Sam nie mógł ustać.

— Obywatel Marek Reweda? — zadudnił zza maski jeden z czarnych i nie czekając na odpowiedź, kontynuował — eliminator numer osiem jeden. W imieniu Prezydenta Warszawy zatrzymujemy pana prewencyjnie. Przysługujące panu prawa zostaną odczytane po potwierdzeniu legalności procedury pochwycenia.

Bezradnie wodził wzrokiem od jednej lustrzanej maski do drugiej. Już wiedział, ale potrzebował jeszcze chwili, by uwierzyć. Przecież za godzinę był umówiony na kolację, przecież jutro ma to spotkanie, przecież projekt rozgrzebany.

— Jak...? — zdołał wykrztusić. — Przecież ja nie... Ja nic...

Nie zdołał powiedzieć nic więcej, na jego głowie znalazł się płócienny worek. Poczuł, że go ciągną, a bezwładne nogi trą czubkami butów o chodnik. Ale jak to? Przecież chciał kupić kota, żeby coś żywego plątało się po domu. Już prawie się zdecydował na czarnego, żeby na dywanie nie było widać sierści. Samochód miał umyć, prezent dla Anki kupić. Tyle rzeczy do zrobienia... Więc jak to...?

Zasunęły się za nim drzwi, a Nysa z szelestem silników elektrycznych, bez pośpiechu ruszyła w kierunku placu Trzech Krzyży. Lakier płynnie zmienił kolor z pomarańczowego na niebieski, a na burcie pojawiła się reklama usług hydraulicznych.

* * *

Świszczący i warczący wściekle komunikator wydobyl go ze studni nerwowego snu prosto w objęcia kaca. Po omacku pacnął dłonią w nocny stolik. Trafił za trzecim razem i dźwięk ucichł. Rozkleił powieki i spojrzął w sufit. Pożółkła farba i kabel po żyrandolu, na którym dyndała goła żarówka. I tak nie używał górnego oświetlenia. Usiadł i wbił wzrok w oddaloną o dwa metry równie pożółkłą ścianę i zaśmiecony regał.

Zwłókł się z łóżka, oparł o ścianę i wyjrzał przez brudne okno wychodzące na betonową termitierę, identyczną z tą, w której mieszkał. W dole ludzie, mali jak mrówki. To nie był dobry widok na taki poranek. Zachwiał się i przytrzymał parapetu. Dalej ziemia unosiła się łukiem tak, że na Muranowie widział już prawie same dachy niknące

w perspektywie. Warszawa owijała mu się wokół głowy. Ściany pokoju też układały się w płaszczyzny niezupełnie prostopadłe, falowały. Ledwo utrzymał równowagę.

Mam pieniądze, pomyślał, mógłbym kupić apartament na Żoliborzu z tarasem dwa na dwa metry i palmą w donicy. Taras by się przydał na takie poranki. Obracał tę myśl w głowie i jak zawsze doszedł do tego samego wniosku: wtedy byłby spłukany, miałby za to na głowie Urząd Skarbowy. A nie powinien się przecież rzucać w oczy.

Przeniósł wzrok na krótki blat kuchenny wciśnięty między zlew a drzwi wejściowe. Jezu, kanapki z pasztetem. Więc to stąd ten smród. Na kuchennym stołku leżał mokry ręcznik. Kogo tu przyprowadził? Ją? Nie pamiętał ani wieczoru, ani nocy.

Przełknął ślinę, ale nie z apetytu. Z trudem utrzymywał w ryzach swój przewód pokarmowy.

Powlókł się do pachnącej lawendowym mydłem i parą łazienki, gdzie od razu zwymiotował do sedesu. Potem włożył głowę pod strumień zimnej wody, wreszcie cały wszedł pod prysznic. Dopiero po tym zdołał odtworzyć procedurę pionowania swojej osoby koktajlem witaminowo-acetylosalicylowym. Z trudem przełknął musujący płyn. Schował jeszcze do lodówki kanapki z pasztetem i spróbował skupić myśli.

Dziś popołudnie z Marysią. Widywał ją raz na dwa tygodnie i miał dla niej ledwie kilka godzin. Nie powinien wczoraj tyle pić. Ale przedtem – zerknął na ekran komunikatora – spotkanie z klientem, którego WT pięć minut temu przerwała błogi sen. Tylko dzięki tej kasie w ogóle widywał córkę.

Zjechał na parter i odruchowo skręcił do kiosku w hallu mieszkaniowca. Kiosk był zamknięty od tygodnia, a nie dostarczyli jeszcze automatu z papierosami. Trudno, kupi po drodze.

* * *

Przyjdzie, nie przyjdzie, przyjdzie... Obracał w dłoniach papierośnicę. Chrzanić, nie ten, to będzie inny. Dopijał drugą kawę i wyglądał przez okno na słoneczny, ruchliwy chodnik. Może gdzieś tam jest, trzeci raz mija kawiarnię i bije się z myślami. Przyjdzie, nie przyjdzie... Klient, odważny anonimowością sieci, umawia się, ale często pęka przed osobistym spotkaniem. To oczywiście naiwność, bo dyskrecja w internecie jest ułudą amatorów. Będą chcieli wysledzić – wysledzą każdego. Tajemnica tkwi w nijakości codziennej szarej egzystencji. Tak przynajmniej powinno to wyglądać z zewnątrz.

Powycierana i wymięta kurtka wojskowa, bezfasonowe spodnie i czapka z daszkiem. To ostatnie, by uniknąć wzroku kamer, umieszczanych zwykle pod sufitem. Wybrał miejsce, którego nie widziała żadna.

Na blacie leżał komunikator – płaski czarny prostokąt wielkości dłoni. Co kilka sekund wyświetlał godzinę. Dwunasta czterdzieści siedem, ponad kwadrans po czasie. To też się często zdarzało. W zawodzie nuzzlera cierpliwość czasem się przydawała, choć w przypadku Harpada była to umiejętność nabyta i nie rozciągała się na inne sfery życia. Inne sfery życia w ogóle źle u niego wyglądały. Dobijał czterdziestki i jedyne, czego mu nie brakowało, to pieniądze. Reszta była chaosem. Potrzebował kamuflażu, szarości, by Nadzór nie skupił na nim swojej uwagi. Niestety, każda próba podjęcia stałej pracy na pół etatu kończyła się po miesiącu–dwóch awanturą z szefem. Nikt nie chce pracownika, który zawsze wie lepiej. Brak oficjalnej pracy stanowił pewien problem, ale lepiej kamuflować już się nie da bez zatracenia własnego ja. Sprawy rodzinne wyglądały...

— Pan Harpad? — Nad stolikiem pochyłał się drobny mężczyzna o wyglądzie szczurka. Łysa czaszka, okrągłe okulary, odstające i lekko szpiczaste uszy jednoznacznie kojarzyły się Harpadowi z gryzoniem. Przybysz nawet skajową teczkę trzymał przed sobą w chudych, ugiętych ramionkach, jakby nie mógł się zdecydować, czy chce jej bronić, czy się za nią schować.

Harpad postawił na blacie otwarty dyskreter i do wyłożonego pluszem wnętrza wrzucił komunikator. Gestem wskazał krzesło po drugiej stronie stolika. Przybysz posłusznie usiadł, a raczej przycupnął na krawędzi siedziska, włożył komunikator do pudełka i wbił wzrok w blat.

— Mam złe przeczucia. Żona ostatnio źle się do mnie odnosi — zaczął cichym falsetem. — Coraz gorzej, szczerze mówiąc. W pracy też beznadziejnie. Myślę, że to, jak mnie traktuje szef, też ma duży wpływ... Wieczorami, leżąc w łóżku, zastanawiam się, jak go zabić. To tylko takie myśli oczywiście. Nie zrobię tego. Jak miałbym...? Wczoraj wydarzyła się taka przykra sytuacja z sąsiadem –

— Nie musi się pan tłumaczyć. — Harpad zamknął dyskreter. Teraz komunikatory były izolowane akustycznie i elektromagnetycznie. — Nie interesują mnie pana motyw. Pan płaci, ja podaję wartość PZ.

— Tak po prostu? — Szczurek zerknął na rozmówcę i uciekł wzrokiem. Zaczynał działać Harpadowi na nerwy.

— Chyba o to panu chodzi?

— Tak, tak... — gorliwie przytaknął przybysz i ponownie zapatrzył się w blat.

Harpad czekał na kolejne pytanie. Nie doczekał się, wyjaśnił więc:

— Płaci pan teraz. Odpowiedź dostarczę za piętnaście minut.

— A jeśli pan ucieknie z pieniędzmi? — Szczurek spojrzał na niego z dramatycznym wyrazem twarzy.

— Wówczas będzie to znaczyło, że został pan okradziony — odparł spokojnie Harpad — ale odkąd siedzę w tym interesie, czyli od jakichś dwunastu lat, nigdy tego nie zrobiłem.

Czaszka Szczurka lśniła kropelkami potu, choć w kawiarni nie było gorąco. Trzęsące się ręce wyjęły z torby szare pudełko po miętówkach. Harpad nie czekał dłużej. Wziął je, włożył do kieszeni, zabrał swój komunikator z dyskretera i wyszedł. Sprawdzenie PZ zajmie mu minutę, może dwie. Tego kwadransa potrzebował głównie do weryfikacji wiarygodności klienta. Jeśli tamten byłby z policji, jego obstawa nie mogła spuścić wzroku z paczki z pieniędzmi. Banknoty, nieużywane od lat w cywilizowanym handlu, były dominującym środkiem płatniczym w miejscach, w których Harpad bywał regularnie. Wykonano je z tak trwałego materiału, że wciąż nadawały się do użytku. Każda transakcja nimi powinna zostać zarejestrowana i opodatkowana. No ale nie po to używa się banknotów, by cokolwiek rejestrować.

Ryzyko wpadki zawsze istniało, choć wątpliwe, by policja wybrała do akcji takiego nieudacznika. Harpad nie znosił takich typków.

Minął dwie bramy, skręcił w trzecią, wcześniej upatrzoną, przeszedł trzy podwórka studnie, jasne dzięki słońcu stojącemu idealnie w zenicie, i znalazł się na następnej przecznicy. Zaparkowany kilka kroków dalej Triumph mignął diodą zamka. Drzwi odskoczyły od karoserii i wsunęły się na dach. Harpad usiadł na fotelu kierowcy, przyciskiem zamknął drzwi i przyciemnił szyby. Odetchnął. Chłodne wnętrze dawało poczucie bezpieczeństwa, izolowało niemal doskonale od rozgrzanego chaosu miasta. Wjazd do starych dzielnic kosztował, prawo do parkowania również, ale ten kawałek prywatnej przestrzeni był mu potrzebny. Włączył zagłuszacz, położył pudełko na fotelu obok. Ze schowka wyjął podręczny skaner i przejechał nim nad pudełkiem. Czysto, ani zapalników, ani pluskiew. Pieniądzy nawet nie przeliczył, wrzucił je do schowka. Dotknął wypukłości za prawym uchem. Nacisnął, pyknęło. Zamknął oczy i zapadł głębiej

w fotel.

Twarze, nazwiska i liczby wypełniły zieloną przestrzeń. Płynął, leciał między nimi, przeczuwając już kierunek. Właściwy rekord przyciągał go w znajomy sposób. Rozgarniał nieistotne dane, aż dotarł do celu. Wizualizacja była prosta: tabliczka ze zdjęciem, imieniem i nazwiskiem oraz wartością PZ, ukazującą ciężar młota wiszącego nad spoconą, zestrachaną głową Szczurka.

Otworzył oczy. Niewiele się zmieniło. Dźwięki z zewnątrz niemal tu nie docierały, a za ciemnymi, zdefokusowanymi szybami przesuwwały się mgliste cienie. Wyjął z kieszeni kurtki papierośnicę ze stali nierdzewnej z wygrawerowanym: „Dla Pawła, miłości mojego życia”. Gumka przytrzymała osiem papierosów. Strzeliła zapalniczka. Pachnący fiołkami dym uniósł się pod sufit. Siwe smugi przepływały sennie we wnętrzu. Kozielski, bo tak nazywał się Szczurek, miał przesrane. Jego PZ zbliżało się do setki, zostały niecałe trzy punkty. Intuicja go nie myliła. Tak mały margines bezpieczeństwa to już niemal równia pochyła. Samo ujawnienie mu grozy sytuacji oznaczało wyrok.

Z tylnego fotela patrzył na niego facet o fizjonomii buldoga. Harpad zamarł z dłonią w pół drogi do popielniczki. Intuicja jest przereklamowana. Skurczybyk przecież siedział tu od początku. Harpad nie był głupi, więc nie próbował tanich sztuczek. Zanim otworzyłby drzwi, tamten wpakowałby mu w plecy cały magazynek. Odetchnął, by uspokoić serce, i zapytał:

— Czego chcesz?

— Dowiesz się. — Głos intruza brzmiał tak, jak wyglądał jego właściciel. — Teraz jedziesz.

— Dokąd?

— Jedziesz.

Miał broń? Bez różnicy. Jeśli ktoś potrafi otworzyć modyfikowany zamek ze zmiennym kodem, to o rewolwer nie wypada go już pytać. Dotknął panelu kontrolnego. Szyby przywróciły pełną przejrzystość, blask słońca wypełnił wnętrze. Po chwili nieco się przyciemniły, dostosowując się do jasności na zewnątrz. Komputer pokładowy wyświetlił na przedniej szybie subprogram nawigacyjny Syrenka – zaprogramowaną trasę do Kabat. To również robota Buldoga. Harpad nacisnął przycisk „Start”, zezwalając autopilotowi na przejęcie kontroli nad pojazdem. Triumph zczekał na lukę między samochodami i łagodnie włączył się do ruchu.

Czy ktoś mógł chcieć go zabić? Klienci, którzy otrzymali od niego zaniżone PZ, raczej już nie mieli okazji do zgłoszenia reklamacji. Kto więc? Płynął ulicami Centrum, objechał dzielnicę rządową i pomknął Puławską. Walczył ze sobą, by nie zadać kolejnych pytań. Skupił się na tym, co za oknem. W nowo powstającej dzielnicy finansowej na południowym Mokotowie szkielety biurowców Twin Stylus dobijały do osiemdziesiątej kondygnacji. Spora masa. Jeśli tu budowano takie konstrukcje, coś o podobnej wadze musiało już rosnąć gdzieś w Łomiankach.

Nie, tak się nie da. Przejął stery. Zwykle tak robił, kiedy chciał zachować pozory kontroli nad sytuacją. Pilnował, by nie przekraczać dozwolonej prędkości. Porwanie porwaniem, spotkanie z policją również jednak nie leżało w jego interesie. Starał się nie zmieniać zbyt często pasa ani zbyt dynamicznie przyspieszać. Wszystko wpływa na wartość PZ.

— Za sto metrów skręcasz w prawo.

Harpad posłusznie skręcił. Tu nawierzchnia nie była samowygładzalna, pojazdem lekko trzęsło. Do głowy przychodziły Harpadowi różne pomysły, ale nie zamierzał wprowadzać ich w życie. Już na początku odrzucił myśl o jakichkolwiek próbach fizycznego oporu. Nie był w tym dobry.

Domy, wille właściwie, stały w otoczeniu lasu, a ledwo minęli Kabaty. Mieszkanie tu musiało kosztować majątek. Posłuszny poleceniom Buldoga, skręcił kilka razy, aż droga doprowadziła ich do opuszczonej hali. Może to stara fabryka, może zamknięte warsztaty samochodowe. Wewnątrz, w głębokim cieniu, stał wielki czarny Oldsmobile. Harpad zatrzymał we wskazanym miejscu.

— Wsiadasz.

Ociągał się, przeczuwając, że zaraz zrobi się jeszcze mniej przyjemnie. Z braku alternatywy nacisnął klamkę. Pod podszwami zachrząścił gruz i okruchy szkła. W tej części Warszawy panował upał, co prawdopodobnie oznaczało ulewę na Bielanach.

Teraz widział dwóch mężczyzn, goryli. Podejrzewał, że dwóch kolejnych nie widzi. Przesadna elegancja garniturów kontrastowała z brzydotą scenerii. Buldog wysiadł z Triumphu i ukazał mu się w całej okazałości, czy może w całym jej braku. Gruby kurdupel w szarym płaszczu. Krótkie, kręcone włosy wyglądały jak nasmarowane przedpotopową brylantyną, ale mogły być zwyczajnie tłuste. Oparł się o burtę Triumphu, zapalił papierosa i niedbałym ruchem głowy wskazał Harpadowi czarną limuzynę. Jeden

z goryli powiedział coś do swojego nadgarstka. Drzwi samochodu otworzyły się, a cień za nimi był jeszcze czarniejszy. Nuzzler przełknął ślinę i ruszył w kierunku czarnego otworu. Bardzo się starał, aby nie wyglądać na przestraszonego. Nie za dobrze mu to szło, prawie potykał się o własne nogi. Pomyślał przelotnie, że tamci myślą o nim zapewne to samo, co on o Szczurku. Nie sprawdzili go, wiedzieli, że nie będzie sprawiał kłopotów.

Chłodne wnętrze limuzyny pachniało dobrze wyprawioną skórą, drogim tytoniem i jeszcze czymś, czego Harpad nie rozpoznawał. Zapadł się w głęboki fotel, a drzwi trzasnęły i pozostawiły go w niemal zupełnej ciemności. Po chwili rozpoznał zamontowany w podłokietniku dyskret. Włożył do niego komunikator i zamknął pokrywę, co uniemożliwiało użycie go jako podsłuchu.

Czekał, czując, jak przyspiesza mu puls. Drgnął, gdy ciszę przerwał głos:

— Robisz nam konkurencję.

Głos, którego nie trzeba podnosić, by osiągnąć cel. Harpad wytarł spocone dłonie o spodnie. Konkurencja? Z tego, co wiedział, w Warszawie nie miał konkurencji. Działało kilkunastu zwyczajnych oszustów, nie sprawdzali PZ, bo nie umieli. Żeby się włamać do bazy g.A.I.a., potrzebny był wszczepiony chip, tylko tak dawało się oszukać zabezpieczenia. Lokalizację serwerów g.A.I.a. okrywała tajemnica. Nie można się tam dostać, wpiąć fizyczny kabel i skopiować dane.

— Skoro mnie tu ściągnęliście, to znaczy, że wiecie, czym się zajmuję — zdobył się na odpowiedź. — Wiecie więc również, że w tym mieście nie mam konkurencji.

— W Warszawie pracuje dla nas ponad stu nuzzlerów.

— Nie mają wglądu w bazę danych g.A.I.a. Nawet policja, nawet Nadzór i Prowokacja nie mają. System jest autonomiczny. Ci nuzzlerzy nie mogą –

— Jakość świadczonych przez nich usług nie należy do zakresu naszych zainteresowań. — Głos niewidzialnego rozmówcy nie znosił sprzeciwu. Wilczy głos, należący do drapieżnika. — Zależy nam na ich lojalności. Dbamy o naszych przyjaciół. Czego ci brakuje w życiu? Dupy do rżnięcia? Dostaniesz.

— Nie potrzebuję w tych sprawach pośrednictwa. Chcecie, abym wam oddawał część zysków? — zapytał o to, czego obawiał się od dawna.

— Twoje gówniane zyski nas nie interesują. Źle wygląda, kiedy ten jeden jedyny prawdziwy nuzzler pozostaje wolnym strzelcem. Oczekujemy od ciebie czegoś innego.

Harpad wstrzymując oddech, wpatrywał się w ciemność.

— Czego? — zapytał cicho.

— Czas na ciebie — usłyszał. — Dziś odbierasz Marysię.

* * *

Szczurek, Buldog, Wilk. Ludzie to zwierzęta. Harpad stał przed szarym gmachem na Powiślu, oparty o maskę Triumpha. Bardzo chciało mu się palić. Niesłońce przebijało przez Chmurę, cieńszą z tej strony. Strużka potu pociekła mu po plecach, nie tylko z powodu gorąca. Nie zdjął jednak kurtki. Co chwila zerkał na zegarek. Wpisał do komunikatora prośbę o ustalenie terminu wizyty w serwisie, żeby wymienić zamek w Triumphie. Wybrał pierwszy lepszy z listy i zatwierdził. „Klimek – kompleksowe naprawy samochodów”. Nie miał siły sprawdzać opinii innych klientów. Wiedział, że robi to tylko dla poprawy samopoczucia. Wysłał też dwie wiadomości do Szczurka. Obie się odbiły.

Jest! Czarnowłosa dziewczynka wybiegła wraz z innymi dziećmi przez szkolny portal. Wyjść mogły tylko te, których opiekunowie, a raczej ich chipy ID znajdowały się w zasięgu skanera portalu. Samochodów czekało zaledwie kilka. Większość opiekunów przyszła tu pieszo od najbliższej stacji metra.

Marysia rzuciła mu się na szyję. Uniósł ją w powietrze. Poczuł, że jest coraz cięższa, a on coraz słabszy. Tydzień Harpada miał czternaście dni, a dziś była niedziela.

— Pojedziemy do zoo? — zapytała.

— Trochę później. Muszę załatwić jedną sprawę.

— Tato... — Temu spojrzeniu nie sposób się oprzeć.

Westchnął i umknął spojrzeniem gdzieś w bok. Minęła godzina, odkąd wyszedł z kawiarni. Prawdopodobieństwo, że Szczurek wciąż tam czeka, było nikłe. Uciekł zapewne do nory zwinąć się w wystraszony kłębek. Tym lepiej, nie wolno mieszać małej w takie sprawy. Szczurka trzeba będzie poszukać i przekazać przykre wieści. Wolał nie wysyłać konkretów w wiadomości tekstowej. Ale to może poczekać. Marysię ma raz na dwa tygodnie.

— Pojedziemy. — Uśmiechnął się i włożył tornister do samochodu. — Chcesz siedzieć z przodu?

Małej zaświeciły się oczy. Bez słowa, jakby się bojąc, że tata zmieni zdanie,

wskoczyła na przednie siedzenie. To oczywiście było nielegalne. Urodziła się w roku turkusowym, miała więc dziewięć lat. Dzieci w tym wieku powinny jeździć z tyłu w specjalnym samoutwardzającym się pod wpływem przeciążenia kokonie. Jednak przez przyciemniane szyby, jeżeli maszyną kierował autopilot, nie było niczego widać, a o kamery uliczne przy wysiadaniu nie musiał się martwić. Podświadomie wiedział, skąd i pod jakim kątem patrzę. To jego zawód.

Ledwie samochód ruszył zaprogramowaną trasą, zapikał komunikator. Harpad zerknął na wyświetlacz. Oczywiście ona. Już mu przypominała, że ma czas do piątej, i ani minuty dłużej. Otrzyma jeszcze kilka takich wiadomości, żeby nie zapomniał, jak bardzo ma przesrane życie. Matka Marysi już przestała go śledzić, ale groźba oskarżenia o molestowanie małej wciąż wisiała w powietrzu. Rok temu napisała mu wprost, że ma zniknąć z jej życia i z życia córki, albo zrobi z niego pedofila, potwora, monstrum wykorzystujące dziecko. Jediną rzeczą, która powstrzymywała tę sucz, była perspektywa utraty niezłych dochodów. Płacił na Marysię trzy razy więcej, niż zasądziłby sąd.

Na szczęście, z powodu zbyt małej pojemności kanałów łączności bezprzewodowej, komunikatory nie pozwalały na połączenia głosowe. I tylko to powstrzymało go od wygarnięcia jej wszystkiego, co o niej myśli. Na wspólne wychowywanie małej musiały wystarczyć im proste WT – wiadomości tekstowe.

„Dupa do rżnięcia”. Nieźle go wyczuł ten wilczy skurczybyk. Bo od pewnego czasu spotykał się z kimś. Może coś z tego będzie, może nie. Czuł gęsią skórę na myśl o wpływie Renaty na jego życie. Kiedyś miała być tą jedyną, wielką miłością, a okazała się największym błędem. Niestabilna psychicznie, wyrachowana, pozbawiona empatii sucz! Wpadał w panikę, kiedy zadawał sobie pytanie, czy Marysia też taka będzie. Nie!

Opanował się i przestał zaciskać dłonie na wolancie – i tak był odłączony przez autopilota.

— O czym myślisz, tato?

Uśmiechnął się z trudem. Tłumaczenie małej zawilości układu, jaki zawarł z jej matką, nie wchodziło w grę. Niech ma dzieciństwo, a raczej jego resztki. Na zderzenie z prawdziwym życiem przyjdzie jeszcze czas.

— Jedziemy do zoo pooglądać zwierzątka — powiedział. — Na przykład świnie.

Marysia parsknęła śmiechem. Wyjęła swój komunikator w obowiązkowym różowym kolorze, urodzinowy prezent od Harpada.

— Napisałam Julce o świniach w zoo — oznajmiła radośnie. — Niezły żarcik.

— Będziesz mogła wysłać jej zdjęcia. Kupię ci specjalny bilet.

— I watę cukrową? — upewniła się.

— Jasne! Podwójną.

Jechali już górnym poziomem Wisłostrady w kierunku mostu Gdańskiego.

Komunikator piknął ponownie. Kolejna wiadomość: „Bluza Marii ma być zapięta. Jeśli się przeziębisz, więcej jej nie zobaczysz”. Wywalczył jedno popołudnie z własnym dzieckiem raz na dwa tygodnie. Powinien zapowiedzieć, że w tym czasie nie chce pamiętać o tym, że Marysia ma matkę. Że za każdą cholerną wiadomość od niej będzie zmniejszał alimenty. Nie miał teraz siły na negocjacje, jedyne, do czego był zdolny, to nie dać się sprowokować do dyskusji w trybie tekstowym o sensie zapinania bluzy w taki sposób. Nie odpisał, co poskutkowało serią wiadomości. Wyciszył komunikator i schował go do kieszeni. Sprawilo mu to satysfakcję. Teraz ona piekli się tam i wymyśla coraz to gorsze groźby, których oczywiście nie zrealizuje, bo przyzwyczała się już do jego kasy.

Przecięli Wisłę i zatrzymali się na piętrowym parkingu.

— Gotowa? — uśmiechnął się do córki.

Przytaknęła energicznie. Wysiedli. Niesłońce znalazło szczelinę w Chmurze i przygrzewało w tym rejonie znacznie mocniej.

— Zdejmij bluzę, bo się zgrzejesz.

— Mama mówiła, żebym nie zdejmowała.

Bo to nie ona będzie w niej chodzić w upale, chciał powiedzieć.

— Weźmiemy ją ze sobą, na wypadek gdyby nagle spadł śnieg.

Dziewczynka zaśmiała się, posłusznie zdjęła bluzę i podała ojcu. Śnieg padał raz do roku, przez trzy dni świąt Bożego Narodzenia.

Harpad spojrział w niebo. Nie zanosilo się na deszcz. Skoszował wiadomości od byłej, z mściwą satysfakcją nawet ich nie czytając. I wtedy przyszła kolejna. Zatrzymał się z palcem nad ikoną kosza. To nie była wiadomość od Renaty, ale od kogoś, kto podpisywał się Wolf. Dzisiejsze spotkanie w opuszczonej hali teraz wydawało mu się złym snem. Niestety, ten sen przyśni się jeszcze nie raz. Przeczytał wiadomość i zatrzymał się kilka kroków przed portalem ogrodu. Marysia stanęła obok i skierowała na ojca pytające spojrzenie.

Dostał właśnie pierwsze zlecenie. Harpad wiedział, że tak naprawdę powinien się

cieszyć, bo to oznaczało, że mafia, podziemie, kimkolwiek byli ci faceci, nie zamierza go sprzątnąć, lecz zatrudnić. Wolność i tak trwała długo. Problem polegał na tym, że umówili mu klienta za niecałą godzinę w Ursusie. To drugi koniec miasta, graniczący z Łomiankami i Kabatami.

Harpad spojrział na przeczuwającą kłopoty córeczkę. To jedna z podstawowych zasad – nie łączyć życia rodzinnego z pracą. Odmówić jednak nie mógł. Powinien teraz odwiedzić małą do matki i pognać do Ursusa. Tyle że dla niego i Marysi to jak odwołanie Bożego Narodzenia. Intuicja już raz go dziś zawiodła, ale mimo to był przekonany, że oto poddawany jest testowi. Jeśli Wolf wiedział, że Harpad odbiera dziś córkę, wiedział również, że ma dla niej zarezerwowane popołudnie. Czyli to test, jak bardzo można pomiatać małym nuzzlerem.

— Zła wiadomość, tatusiu? — zapytała.

— Nie... — Zmusił się do uśmiechu. — Tylko zaskakująca. Chodźmy, zanim niedźwiedzie zapadną w sen zimowy.

Marysia zaśmiała się. Dzieciom niewiele trzeba do szczęścia. Minęli portal, który automatycznie ściągnął należność z jego konta. Dokupił jeszcze uprawnienia do robienia zdjęć.

— Kupiłeś mi bilet na zdjęcia? — upewniła się mała.

— Oczywiście. — Pogłaskał ją po głowie. — Możesz zappełnić całe swoje konto zdjęciami świń.

Spojrział na ekran swojego komunikatora.

— Też będziesz robił zdjęcia? — zapytała.

— Nie. Odpisuję na wiadomość.

— Tę zaskakującą?

— Yhy. Spróbuję bardziej zaskoczyć tego, kto ją napisał. To taka zabawa.

Stanęli przed basenem hipopotamów. Harpad napisał: „Jestem na Pradze. Mogę dotrzeć do Ursusa za trzy godziny”.

— Prawie jak świnie, prawda? — powiedział, chowając komunikator do kieszeni.

— Tato, co ty?! To hipopotamy. — Mała śmiała się i pstrykała fotkę za fotką.

Znudziła się szybko. Przeszli do kopuły jurajskiej, gdzie po skrzypowym lesie przechadzały się mechaniczne dinozaury. Harpad nie zwracał uwagi na sztuczne zwierzęta, przyglądał się córce. W tym wieku szybko rosła. Co dwa tygodnie widział

zmiany. Kolejna wiadomość: „Możesz mnie ignorować, ale pamiętaj o konsekwencjach. Wiesz, co mam na myśli”. Dopiero po chwili zauważył, że to nie od Wolfa. Jakie konsekwencje, głupia babo? Zdechłabyś bez moich pieniędzy. Schował komunikator.

— Pancerne świnie giganty — powiedział.

Mała znów parsknęła śmiechem, ale zaraz skrzywiła się.

— Śmierdzi tutaj.

— To sztuczny zapach — wyjaśnił. — Tak chyba śmierdział wtedy cały świat. Kiedy żyły dinozaury.

Nie dodał, że nie tylko zapach, ale i zwierzęta były sztuczne, i to nie tylko w kopule jurajskiej, ale w całym zoo.

— Kupisz mi watę cukrową?

Wyszli na powietrze. Ogród zoologiczny zwiedzało niewiele osób. Środa. Harpad rozejrzał się i dostrzegł znudzonego sprzedawcę waty. Zostawił Marysię przy wybiegu nosorożców (świnie szpiczastoryje, jak je nazwał), ale nim dotarł do sprzedawcy, komunikator znów piknął: „Klient dojedzie. 14:50 przy południowej bramie. O pieniądzech nie rozmawiaj”.

Zamknął oczy i poczuł, jak odpływają z niego siły. Miał nie narażać rodziny. Marysi.

— Słucham pana. — Sprzedawca waty spojrział na niego z rutynowym znudzeniem.

— Poproszę największą watę, jaką potrafi pan zrobić.

Sprzedawca spojrział zaskoczony, ale suma przelewu, którą wyświetliła kasa na wózk, zamknęła mu usta. Harpad wrócił do Marysi i triumfalnie wręczył jej gigantyczny cukrowy obłok na dwóch patyczkach.

— Oburęczna duża porcja dla dużej dziewczynki — oznajmił z uśmiechem.

Mała wbijała ząbki w watę i odrywała kawałeczki, lepiąc sobie przy tym twarz i włosy. Jednak podejrzliwie zerknęła na ojca. Wiedziała, że nie wszystko jest OK.

— Chcesz zobaczyć rekiny? — zapytał. — To przy południowej bramie.

Przytaknęła. Ruszyli, ale już po chwili zatrzymali się przy wybiegu tygrysów. Harpad nie miał pomysłu, jak przyspieszyć marsz.

— Zobacz, świnie z długimi ryjami — wskazał wybieg słońi.

Dziewczynka prawie upuściła watę.

— To są słonie, tato. — Stała przy barierce. Obserwowała małego słonika bawiącego się wielką gumową miską. Powłoka na boku sztucznego zwierzęcia zużyła się

i teraz przy każdym ruchu otwierała się tam długa na kilkanaście centymetrów szczelina.

Harpad dyskretnie zerknął na ekran komunikatora. Trzyście minut. Dojście do południowej bramy zajmie dziesięć. Czas na zatrzymywanie się przy kolejnych wybiegach był nieprzewidywalny.

— Wiesz co, mam taki pomysł — zaczął. — Pójdziemy prosto do oceanarium, a potem wrócimy tu i obejrzymy inne zwierzęta. OK?

Marysia skinęła głową, choć bez entuzjazmu. Wziął ją za rękę i poprowadził środkiem brukowanej alejki. Mała szła teraz w milczeniu, wpatrzona w bramę pół kilometra dalej. O czym myślała? Co myśli dziecko, uwikłane w nierozwiązywalne, niezrozumiałe problemy dorosłych? Dlaczego tatuś i mamusia nie mieszkają razem? To ponad pojmowanie dziecka – przecież mogło być tak pięknie, tak normalnie. Obserwował ją, jak idzie z cichą wytrwałością. Rozbita rodzina to też parę punktów PZ więcej. Nie miał w sobie dość siły, by sprawdzić jej PZ. Jednocześnie wiedział, że skoro raz o tym pomyślał, to myśl ta będzie go męczyła tak długo, aż kiedyś wreszcie to zrobi.

Zdawał sobie sprawę, że przez to traci zapewne punkty w jej wewnętrznym rankingu, ale nie potrafił się do niej odezwać podczas tego długiego marszu. Coś ścisnęło go za gardło.

Czteropiętrowy pawilon oceanarium przypominał bunkier. Akwarium głębokie na dwanaście metrów potrzebowało przecież solidnej obudowy. W środku otoczyła ich ciemność, rozświetlana tylko błękitnymi odblaskami mniejszych akwariów.

— Zaczekasz tu na mnie? — zapytał. — Muszę załatwić jedną sprawę.

— Tę zaskakującą?

Harpad spojrział na nią, zbity z tropu. Dziewięciolatka rozumiała więcej, niż sądził. Atmosfera ich wspólnego popołudnia psuła się coraz bardziej, ale jeszcze mógł to naprawić.

— Tak, ale to zajmie tylko chwilę. Nie wychodź stąd, dobrze?

Przytaknęła i odwróciła się do wielkiej tafli szkła, za którą krążyły rekiny. Niebieski poblask oświetlił jej delikatne rysy.

* * *

Rozpoznał go od razu. Elegancki czterdziestolatek wyróżniał się spośród reszty klientów kawiarni, jak orzeł wśród kur. Harpad podszedł do stolika.

— Nie mogłem dotrzeć do Ursusa — powiedział zamiast przywitania.

— Nawet lepiej, tam teraz pada — odparł bez pretensji klient. — Przy okazji pooglądam zwierzęta, które nie udają, że są ludźmi.

Nie było uścisków dłoni. Zamówili po kawie. Harpad zauważył, że są w samym środku kadru kamery ochrony. Nie mógł już tego zmienić. Nie da się pracować w cudzej firmie zgodnie ze swoimi zasadami.

— Spotkanie zawsze jest konieczne? — zapytał klient.

— Muszę pana zobaczyć i poznać. Zwykle wystarcza parę słów.

Facet popatrzył na różową bluzę w dłoni Harpada. Nie skomentował tego.

— Potrzebuję kwadransa — powiedział Harpad.

Klient w odpowiedzi tylko skinął głową i zajął się komunikatorem.

Kiedyś Harpad próbował pracować na odległość, ale nic z tego nie wychodziło. Bez fizycznego kontaktu nie potrafił odnaleźć człowieka w bazie. Wiedział, dlaczego ci hochsztaplerzy od Wolfa również spotykali się z klientem – oceniali kondycję psychiczną i mówili mu to, czego się spodziewał. Pseudonuzzlerzy byli po prostu sprawnymi psychologami.

Wyszedł z kawiarni. Gdzie usiąść? Samochód zaparkował prawie kilometr stąd. Rozejrzał się po ogrodzie. Nieliczne ławki w zasięgu wzroku były zajęte. Ruszył przed siebie wąską alejką, z trudem panując nad emocjami. Za dużo się działo, a potrzebował teraz spokoju i skupienia. Znalazł wolną ławkę przy małej fontannie. Usiadł, kilka razy mocniej odetchnął i zamknął oczy. Sięgnął za ucho. Wtedy zapikał komunikator i całe skupienie prysło. Kolejna wiadomość od Renaty. Skasował bez czytania, ale znów musiał zbierać myśli. Wyszedł z kawiarni pięć minut temu, czyli Marysia jest sama od dziesięciu minut. Szybciej!

Do fontanny podbiegł kilkuletni chłopczyk. Zaczął chlapać i krzyczeć coś po swojemu. Zza jaśminu wyłoniła się mama z dzieckiem. Dość! Wstał i odszedł szybkim krokiem. A co, jeśli nie zdoła sprawdzić tego PZ? Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło, ale... zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz. Zmyślenie wyniku nie wchodziło w grę. Dopiero co złamał dwie ważne zasady bezpieczeństwa, już czuł kaca. Nie, nie może tego zawalić. Nie testowe zlecenie.

Lodziarnia z rachitycznymi stolikami. Nic z tego. Przysiadł na murku przy wybiegu małp. W pobliżu nie było nikogo. Ustawił się w jak najbardziej stabilnej pozycji

i zamknął oczy. Potem postawi ultimatum: jeśli ma pracować dla Wolfa, tamten musi przynajmniej zaakceptować jego metody pracy. Spokój... spokój... Dotknął palcem zgrubienia za uchem. Kliknęło.

— Nic panu nie jest?

Otworzył oczy, wyrwany raptownie z transu. Ktoś potrząsał go za ramię.

— Nic ci nie jest, człowieku? — Ochroniarz przyglądał mu się badawczo.

— Chyba zasnąłem — odparł.

Odwrócił się i odszedł, nim padły kolejne pytania.

„Zimno mi”, wiadomość od Marysi. Spojrzał na różową bluzę. Wciąż ją trzymał. Mała była sama od kwadransa.

Wrócił do oceanarium. Biegał między rekinami, murenami i piraniami, aż znalazł ją w kącie, opartą o szybę. Tuż za nią płaszczyła się na szkle brunatna ośmiornica.

— Załóż to. Przepraszam, zapomniałem, że tu jest zimno.

— Chcę do domu — powiedziała smutno.

— Jeszcze pięć minut — poprosił. — Potem poszukamy świń.

Wzruszyła ramionami. Ośmiornica za szybą poruszyła macką.

— W zoo nie ma świń.

— Są, zobaczysz.

— Zmyślasz...

— O co zakład?

— O pięć złoteuro.

— Nie o pieniądze. Może o to, kto wybiera film za dwa tygodnie.

Przytaknęła gorliwie.

— Wytrzymaj jeszcze chwilę. Szybciutko skończę tę zaskakującą sprawę i wracam.

OK?

Przytaknęła ponownie.

— Nie lubię zaskakujących spraw — dodała i odeszła ku akwariom z rybami tropikalnymi.

Zakład już przegrał, w zoo nie ma oczywiście świń, ale to bez znaczenia. Jako pesymista lubił przegrywać zakłady. Ruszył szybko do miejsca, które powinno zagwarantować chwilę spokoju.

Toalety były równie mroczne jak reszta budynku. Panowała tu cisza, więc przyjął, że

kabiny są puste. Zamknął się w pierwszej z brzegu, usiadł na opuszczonej desce i oparł się o ścianę. Wyłączył komunikator. Trudno, inaczej się nie da. Teraz spokój. Rozluźnił się. Spokój... Cóż za partyzantka. W sąsiedniej kabinie ktoś jednak był i walczył teraz ze swoim organizmem. Paradoksalnie pomogło to Harpadowi w zebraniu myśli. Przymknął oczy, odetchnął, nacisnął zgrubienie za uchem, a bioniczny włącznik pyknął.

Zanurzył się w zielonej wnętrzości bazy danych Potencjalnych Zagrożeń. Żadnego ekranu powitalnego, żadnej strony logowania, żadnych użytkowników. Sam był swoim użytkownikiem, wedle własnego życzenia informującym resztę świata o zawartości bazy danych PZ. Dostać się tu można było, jedynie skacząc przez płot. Znajome doznania: nieważki lot przez zieloną przestrzeń wypełnioną twarzami, liczbami, nazwiskami. Nierozpoznany pasożyt w ciele g.A.I.a.

Złapał trop, w nieznany sposób szukany obiekt zawsze przyciągał go. Nie było mowy o pomyłce. Płynął, leciał coraz szybciej w świecie nieokreśloności, bez góry i dołu. Teraz zbliżając się do właściwego rekordu, czuł, że coś jest nie tak. Przestrzeń wokół wypełniła się czerwienią. Zerwał połączenie i otworzył oczy. Ciężko dyszał, spocony, z sercem walącym jak młot. Sto dwanaście! Facet był już po tamtej stronie! To znaczy, że go teraz śledzili, testowali. Prowokatorzy. Akurat, kiedy on jest tu z małą!

Spokojnie. Prowokacja to nie policja, ich nie obchodzą powiązania podejrzanego, lecz jego profil. Można się jednak spodziewać, że g.A.I.a. ma jakiś system zabezpieczeń na wypadek takich sytuacji. Co robić? Podać fałszywe dane! Wtedy system uzna, że ma do czynienia z kolejnym oszustem. Brak zagrożenia oznacza brak reakcji. Zaraz... Myśl! Jakie zagrożenie? System nie może podejrzewać istnienia prawdziwego nuzzlera. Nie ma po co tworzyć zabezpieczeń przed tak nierealnym zagrożeniem. Punkty PZ są przechowywane w kontekstowej pamięci AI, która po wylistowaniu wyglądałaby przecież jak spowiedź szaleńca. To nie jest zwykła baza danych, skąd można ściągnąć tabelkę. To błoto informacyjne, którego nie trzeba specjalnie pilnować, tak jak restauracja nie zabezpiecza się przed kradzieżą soli rozpuszczonej w zupie.

Jeśli wróci do faceta i powie mu o swoim odkryciu, smuga ryzyka pociągnie się za nim, jak ślad krwi za rannym jeleniem. Trop. Powinien natychmiast zaszyć się na kilka dni w przypadkowym miejscu i zająć czymś całkowicie neutralnym, co odwróci od niego uwagę Nadzoru. Nie mógł jednak tego zrobić i to nawet nie z powodu czekającej gdzieś za ścianą córeczki.

Opuszczenie Warszawy było przecież niemożliwe.

Nie może nie wrócić do klienta, nie podpadając jednocześnie Wolfowi. I nie może do niego wrócić, nie narażając Marysi. A podpadając Wolfowi, również naraża Marysię. Nie ma dobrych rozwiązań. Odetchnął, spuścił wodę i zdecydowanym krokiem wyszedł z toalety.

Ruszył prawie biegiem i zwolnił dopiero przed kawiarnią. Klient wciąż tam siedział, spokojnie przeglądając coś na ekranie komunikatora. Zaraz ten spokój zniknie.

— Zgubił pan bluzę — powiedział, gdy Harpad usiadł. — Tę różową — dodał.

Harpad pokręcił głową, starając się nie wnikać w głębszy sens tej uwagi. Zastanawiał się, jak przekazać wiadomość wyrok.

— Sprawdziłem pana PZ.

— Jest pan spocony. To aż takie trudne?

— Czasem. — Spojrzał mu w oczy. — Pana wynik to sto dwanaście.

Nadzór miał wszędzie oczy i uszy, i nie było to komfortowe. Nie bolało, jeżeli ktoś miał poniżej stu punktów. Jednak po przekroczeniu tej wartości człowiekiem zajmowali się Prowokatorzy, a życie zaczynało przypominać spacer po polu minowym. Dalej była tylko Eliminacja. Harpad nie wiedział, przy jakiej wartości punktowej człowiek znika. Może po przekroczeniu stu pięćdziesięciu, może stu dwudziestu. A może po setce punkty nie mają już znaczenia.

Nuzzler czekał, aż do klienta dotrze waga tej informacji. Nic z tego. Mężczyzna pokiwał głową, jakby właśnie usłyszał, że wieczorem mogą się pojawić przelotne opady. Skinął głową w podziękowaniu, schował komunikator i wyszedł. Tak po prostu. Harpad został sam ze swoim zdumieniem. Czegoś tu nie rozumiał, ale teraz nie miał czasu tego roztrząsać.

Do oceanarium dotarł biegiem. Marysia siedziała na krzeselku pod ścianą i patrzyła na niego zrezygnowana. Milczała. Kucnął przed nią. Starał się ukryć przyspieszony oddech.

— Załatwiłem już niespodziewaną sprawę. Teraz mam czas tylko dla ciebie.

Poprawiła się na krzeselku.

— Pokażesz mi świnie?

Świnie!

— Jasne, chodź. — Wziął ją za rękę. — Chcesz się czegoś napić?

Pokręciła głową.

— Mama przysłała trzy wiadomości — powiedziała. — Jak czekałam przy akwariach. Dlaczego jest na ciebie zła?

Dlatego, że żyję.

— Martwi się, gdy nie ma cię obok.

— Może weźmiemy ją do kina za dwa tygodnie?

— To chyba nie jest dobry pomysł.

— Od razu byście się pokłócili.

Raczej pobili.

W milczeniu mijali kolejne wybiegi. Sto dwanaście punktów... Nigdy nie spotkał człowieka z taką wartością. W dodatku zwyczajnie przemieszczającego się po mieście. A już na pewno nie kogoś, kto spokojnie przyjmuje informacje o swoim tak wysokim PZ.

— W zoo nie ma świń, prawda? — zapytała cicho.

— Są. — Uśmiechnął się. — Mieszkają tu, zaraz za rogiem.

Pokręciła głową z niedowierzaniem, ale chwilę później, zadziwiona, z uchylonymi ustami, oparła brodę o barierkę.

— To guźce — wyjaśnił Harpad. — Najbardziej świńskie zwierzęta w tym zoo. Cały dzień chodzą uświnione. Wieczorem biorą prysznic, a rano, przed wyjściem na wybieg, opiekunowie zaświniają je ponownie.

Marysia parsknęła śmiechem i przytuliła się do niego.

— Tato, wygrałeś. Wybierasz film za dwa tygodnie.

Komunikator odegrał melodię, której nienawidziła. Oznaczała coś, czego nienawidziła jeszcze bardziej. Tym razem wiadomość brzmiała: „Marszałkowska 72. Broszka. 30 minut”. Wiedziała, że nie może odmówić. Odsunęła talerz z napoczętym spaghetti, wytarła usta serwetką i wstała.

Trzydzieści minut to niewiele, a spóźnienie drogo kosztuje. Włożyła buty, nie czerwone szpilki, które tak lubiła, tylko zwykłe, płaskie. Żeby łatwo podbiec, jeśli okaże się, że pół godziny to za mało. Do torebki wrzuciła parasolkę i bluzę. Teraz jest gorąco, ale za godzinę może lać. Prognoza obejmowała najwyżej kilkanaście minut, nawet nie godzinę.

Upewniła się, że w torebce jest broszka — dobrze skompilowana, wyglądała na starą i cenną. Zbiegła po schodach i wyszła w gorące i hałaśliwe miejskie popołudnie.

Trzysta metrów do przystanku pokonała w minutę. Teraz już się nie spieszyła, już wczuwała się w rolę, choć znacznie lepiej się nie wczuwać i zachowywać naturalnie.

Nie potrafiła tak.

To tylko trzy przystanki autobusem, potem jeden metrem. Wydaje się blisko, ale gdy przyjechał autobus, z trzydziestu minut zostało dwadzieścia. Nie potrafiła opanować nerwów. Nie wiedziała, co grozi za niewykonanie zadania. Może nic. Nie miała jak tego sprawdzić. Nie patrzyła na ludzi w autobusie, skupiła się na zadaniu. W głowie wirowały jej myśli, a najważniejsza była obawa, że zawsze coś może pójść nie tak.

Niewiele brakowało, a przejechałaby przystanek. Wyskoczyła na chodnik w ostatniej chwili i prawie biegiem ruszyła w stronę stacji. Po kilku krokach zmusiła się, by zwolnić. Walącego serca spowolnić nie potrafiła. Zeszła pod ziemię i dotknęła panelu przy bramce. Wszczepiony w ciało chip ID porozumiał się z portalem stacji metra. Jej konto zmniejszyło się o pół złoteuro.

Linie metra były trzy: dwie po lewej stronie Wisły i jedna po prawej. Wszystkie na osi północpołudnie. Pociągi jeździły w obie strony po pętlach. Te środkowej linii, do

której teraz wchodziła, nie musiały zawracać na Kabatach, znacznie tańsze w dłuższej perspektywie okazało się przekopanie dwukilometrowego tunelu do Ursusa, skąd przez Łomianki pociąg jechał do Młocin. Nowe osiedla między Kabatami a Ursusem wymusiły dodanie dwóch nowych stacji. Linii wschódzachód nie było po co odtwarzać. Warszawa miała sześć kilometrów szerokości. Wystarczyły autobusy i tramwaje. Metro stanowiło kręgosłup systemu, a linie komunikacji naziemnej odchodziły od stacji jak żebra węża.

Gdy ponownie wyszła na powierzchnię, upał należał już do przeszłości. Wiatr pchał masy ochładzającego się powietrza wąwozem Marszałkowskiej. Zostało pięć minut, w sam raz, by się uspokoić. Albo zdenerwować jeszcze bardziej. Wybrała kawiarnię najbliższą miejsca akcji, stolik blisko wyjścia. Zamówiła kawę i paczka z różnym nadzieniem. Zapłaciła od razu, tego wymagała procedura. Upiła łyk kawy, gdy komunikator odegrał zniechęcającą melodię przypisaną do tego kontaktu.

„30 sekund”.

Mechanicznie wstała od stolika, wyszła na ulicę i mechanicznie pokonała trzydzieści metrów dzielących ją od budynku o numerze 72. Sięgnęła do kieszeni torebki po broszkę. Obracała metal z perłą w dłoni.

Ładny przedmiot, podobał jej się. Sama chciałaby mieć coś takiego. Nie stać jej.

Starła się zachowywać naturalnie. Nie rzucać się w oczy, to najważniejsze. Procedura. Im bardziej się jednak starała, tym silniejsze ogarniało ją poczucie, że wszyscy się na nią gapią, że wszyscy wiedzą.

Brama. Jeszcze pięć metrów, trzy...

już. Naturalnym ruchem upuściła broszkę wzdłuż uda. Upadła tam, gdzie powinna, bez toczenia się, perłą do wierzchu. Tak, miała to wyćwiczone. Trenowała wiele razy w domu. Akcja z broszką była jedną z prostszych.

Usłyszała otwierające się drzwi w głębi bramy. Znów się udało. Ulga, to przecież banalnie proste. Teraz wystarczy, że obiekt podniesie broszkę.

Renata nie oglądając się, odeszła.

* * *

Samochód jadący obok nagle skręcił na ich pas. Nim Harpad zdążył zareagować, włączył się system antykolizyjny, ale awaryjne hamowanie nie mogło się udać. Ciszę przerwał zgrzyt rozdieranych powłok kompozytowych. Wystrzeliły piankożelowe

osłony i wszystko znieruchomiało.

Harpad zobaczył swoje dłonie zaciskające się na wolancie. Szyby otworzyły się, a wentylacja szumiała na najwyższych obrotach, wydmuchując z wnętrza dezintegrujący się piankożel. Słuch mu powracał.

I wtedy zorientował się, że słyszy płacz Marysi. Odpiął pas i nachylił się do małej.

Pomacał jej ręce i nogi. Spojrzał w przestraszoną buźkę. Na oko nic jej się nie stało. Pożałował, że nie wsadził jej w kokon z tyłu.

— Wszystko w porządku, kochanie — powiedział, siląc się na spokój. — To tylko stłuczka. Musimy chwilę poczekać.

Informacja o wypadku od razu dotarła do centrum kontroli ruchu, ale nim zostaną powiadomione komputery wszystkich pojazdów w pobliżu, lepiej poczekać wewnątrz. Wreszcie samochody na sąsiednich pasach zwolniły i zatrzymały się. Harpad otworzył drzwi, pomógł dziewczynce wysiąść i trzymając ją za rękę, obszedł samochód. Oglądał uszkodzenia. Oba pojazdy były lekko porysowane i poobijane. W kilku miejscach rozerwało kompozyt. Z drugiego samochodu, który miał pokiereszowany cały bok, wysiadł potężnie zbudowany mężczyzna. Jego mina sprawiała wrażenie, że podobne rzeczy przydarzają mu się regularnie.

— Nawet pan nie przeprosi? — warknął nuzzler.

— Jechałem na autopilocie. — Facet nie poczuwał się do winy.

Z okien samochodów obok patrzyli na nich niezadowoleni ludzie: bussinesmani, którzy spóźnią się na spotkania, matki z rozwrzeszczanymi dziećmi, zniecierpliwieni kurierzy, którym właśnie zdezaktualizował się plan dostaw. Musieli tu teraz czekać do odwołania ostrzeżenia. Ulica po kres widoczności była jak zamrożona. Dalej samoistnie tworzyła się sieć objazdów.

Harpad zignorował to wszystko. Kucnął przy Marysi.

— Nic się nie stało, widzisz? — Wskazał samochód. — Nawet lepiej, bo zapłacą mi za remont. To ważne, kochanie, parniętaj, gdyby jakiś psycholog cię przepytywał, to myślałaś, że to taka zabawa.

— Żeby mi nie podnieśli PZ?

Przełknął ślinę. Rozumiała więcej, niż mogło się wydawać. Pocałował ją we włosy i wstał.

— Jeżeli nic się nikomu nie stało...

— zwrócił się do mężczyzny, ale właśnie z tyłu rozległ się sygnał policji. Opuścił głowę. Przed chwilą miał jeszcze nadzieję, że uniknie tego. Zwykle tak się działo, wystarczały wozy serwisowe. Oba pojazdy mogłyby nawet dalej jechać, gdyby nie blokada komputerowa.

Na pasie awaryjnym zatrzymał się wysoko zawieszony, srebrny Tarpan ze zderzakiem jak bariera energochłonna.

Drzwi uniosły się, a ze środka wyskoczył policjant w kombinezonie i kasku z anonimizującą lustrzaną szybką i z godłem Syreny na piersi. Zasalutował, podał swój numer i zapytał: — Są ranni?

Harpad pokręcił głową.

— Proszę o odpowiedź słowną — sprecyzował policjant.

— U mnie nie ma. Tam — wskazał drugi samochód — nie wiem.

— Więc czemu pan zaprzeczył, skoro nie ma pan danych?

Harpad skupił się. Kontakt z policją to zawsze ryzyko, ale oni też są ludźmi, nawet jeśli skrytymi za anonimizującymi uniformami.

— Nie zrobiłem niczego niezgodnego z prawem — powiedział. — Byłbym wdzięczny za szybkie załatwienie sprawy.

Ta sytuacja to dla mnie kłopot.

Policjant stukał już w ekranik umieszczonego na nadgarstku komunikatora.

— Pojedzie pan z nami — oświadczył niespodziewanie. — Proszę wsiąść do transportera.

Drzwi w tylnej części policyjnego Tarpana otworzyły się, ukazując fotele zwrócone oparciami do ściany. Z wnętrza wyskoczył drugi policjant.

— Nie złamałem prawa — powtórzył zaskoczony nuzzler.

— Musimy wyjaśnić wątpliwości dotyczące softu systemu antykolizyjnego.

— Jest ze mną dziewięcioletnie dziecko...

— Proszę wsiadać — powtórzył bardziej stanowczo policjant. — Dzieckiem my się zajmujemy.

Pasem awaryjnym, już bez syreny, wolno zbliżał się drugi Tarpan.

— Policjanci zawiozą cię do mamy.

— Harpad przytulił małą. — Panowie chcą wyjaśnić przyczyny wypadku i muszę jechać z nimi. — Wyszeptał — pamiętaj, co mówiłem o zabawie.

Dziewczynka popatrzyła w lustrzane szyby hełmów. W ich odbiciach była jeszcze mniejsza. Wolno skinęła główką, ale małe usta wygięły się w podkówkę. Harpad czuł, jak zatrzymuje mu się serce. Ponaglany przez drugiego policjanta, wsiadł do Tarpana. Nim zamknął się właz, spojrzął jeszcze raz na Marysię. Stała obok rozbitego samochodu i płakała.

* * *

Szklane drzwi aresztu otworzyły się ze zgrzytem siłowników. Obudzony z nerwowego półsnu, zerwał się na równe nogi.

Strażnik w lustrzanym hełmie wskazał mu drzwi na końcu korytarza. Nuzzler przeszedł wzdłuż szarej ściany, słysząc za sobą jego kroki. Minął jedne drzwi, drugie. Trzecie były otwarte. Strażnik chwycił go pod łokieć i pchnął do wnętrza.

— O jaki problem z softem chodzi?

— warknął Harpad. — Tym zajmuje się serwis.

Odpowiedzią było zatrzaśnięcie drzwi.

Znalazł się w równie szarym pomieszczeniu o wymiarach trzy na trzy metry. Na środku stał stół z obłymi rogami i dwa krzesła, połowę jednej ze ścian zajmowało lustro, na pewno weneckie. Z lamp, ukrytych w szczelinach sufitu, spływało mdłe światło. Nim zdążył usiąść, drzwi otworzyły się ponownie. Weszła policjantka — kombinezony anonimizujące nie potrafiły ukryć cech anatomicznych. Gestem wskazała mu krzesło, lustrzany hełm bujnął się.

Zaczekała, aż Harpad usiądzie, i sama również to zrobiła.

— Czekam od pięciu godzin — zaczął.

— Bez łączności ze światem.

— Przykro mi. Sposób sprowadzenia pana tutaj nie zależał od nas.

— Czyli nie chodzi o soft. — Starał się ukryć podenerwowanie. Powtarzał w myślach, że policja nie zajmuje się sprawami Nadzoru. — O co więc? Trzymaliście mnie za kratami pięć godzin.

— Mamy do pana pewną prośbę.

— No to cholernie źle zaczęliście.

— Próbował grać twardziela. — Jestem w separacji z żoną. Wydziela mi kontakty z córką, mam ją raz na dwa tygodnie i to było akurat dzisiaj. Jak pani myśli, jak

zareagowała, kiedy dziecko przywieźli jej policjanci?

— Współpraca z nami na pewno panu pomoże podczas ewentualnej rozprawy przed sądem rodzinnym.

— Tak, to będzie wyglądało doprawdy świetnie. — Wstał i zaczął chodzić wzdłuż ściany. — Ojciec zamknięty w więzieniu za felerny system antykolizyjny. Omal nie zabił własnej córki, a teraz chce, żeby przyznano mu nad nią opiekę. Na pewno zachwyci to sąd, który i bez tego automatycznie opiekę nad dzieckiem przyznaje matce. Nieprawdaż?

Policjantka spokojnie czekała, aż skończy.

— Dziecko jechało z przodu.

Harpad zacisnął usta.

— Poproszę o mandat.

— Niech pan siada. — Wskazała krzesło. Usiadł niechętnie. — Jeśli nie odpowiada panu słowo „prośba”, mamy dla pana ofertę. Wiemy, czym się pan zajmuje.

— Od miesiąca jestem bezrobotny.

— Mam na myśli to, czym się pan zajmuje naprawdę. Od przeszło dziesięciu lat.

Sczytywaniem wartości Potencjalnego Zagrożenia z bazy danych g.A.I.a.

— To nie jest nielegalne. Podobnie jak jasnowidztwo, różdżkarstwo czy pierdolona chiromancja!

— Proszę nie przeklinać. Nie jest nielegalne, jeżeli wystawia się rachunki i odprowadza podatki. Będzie pan potrafił dowieść, że zdobył te pieniądze legalnie?

W jaki sposób opłaca pan abonament za samochód?

— Brakuje wam ludzi — Harpad spochmurniał — więc siedzi przede mną dobry i zły policjant w jednej osobie. Czemu w ogóle służy ta rozmowa?

— Podstawą jest dyskrecja. Sprawa nie wyjdzie poza nas.

Harpad zerknął w bok. W rogu pod sufitem tkwiła mała czarna kropka.

Kamera. Jedna z kamer. Z pewnością przekaz ze wszystkich szedł również do sieci g.A.I.a.

Policjantka powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Awaria.

— Akurat teraz?

Wzruszyła ramionami.

— Przygotowaliśmy się, panie Harpowski. To, o czym będziemy za chwilę

rozmawiać, musi pozostać między nami.

— Nami?

Policjantka uniosła dłonie do hełmu.

Zawahała się, po czym ściągnęła go. Brązowe włosy opadły na ramiona. Była ładna, nawet bardzo ładna — harmonijna twarz, zielone oczy, lekko zadarty nos. Nie miała więcej niż trzydzieści lat. Wyciągnął z kieszeni papierośnicę i zapalniczkę. Przy okazji zauważył, że brakuje scyzoryka — musieli mu go zabrać razem z komunikatorem.

— Czy tu wolno palić?

— Nie.

Przypalił i z lubością zaciągnął się fiołkowym dymem. Tak naprawdę nawet niespecjalnie chciało mu się palić. Odczekał chwilę.

— Zamieniam się w słuch.

— Nie jest to nic niezgodnego z prawem — zapewniła go. — Z tym nie będzie problemów.

Z tym właśnie będą problemy, pomyślał. To jak z zajrzeniem do własnej dupy.

Żaden paragraf tego nie zabrania, ale jakoś się nie udaje. Albo inaczej — nikt tego nie przeżył, żeby opowiedzieć, jak było.

— I nic nie trafi do akt?

— Nie będziemy prowadzić żadnego zapisu. Nie pozostanie żaden ślad po naszej współpracy.

— Bez śladu w aktach jak ma mi to pomóc przed sądem rodzinnym?

— Nie wszystko... musi być załatwiane oficjalnymi kanałami. Policja współpracuje z sądami.

— Czyli jednak dowie się ktoś więcej.

Spojrzała na niego bez służbowej wyższości. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Jeśli macie dla mnie jakąś ofertę, po pierwsze przestańcie kłamać. — Grał dalej, choć coraz więcej go to kosztowało.

— Albo przynajmniej kłamcie dobrze.

— Pan chyba poczuł się zbyt pewnie.

— Policjantka odzyskiwała utraconą pewność siebie. — Możemy tu pana przetrzymać dwie doby. To dość czasu, żeby zdobyć nakaz i przekopać pańskie mieszkanie.

Wtedy pana pozycja do negocjacji będzie wyglądała znacznie gorzej.

— Ale WW mi urośnie.

— WW?

— Współczynnik Wkurwu. Będzie znacznie trudniej ze mną rozmawiać. Już i tak na dzień dobry zepsuliście to, na czym mi zależy. — Powstrzymał się, żeby nie użyć słowa „najbardziej”.

Zerknął na lustro weneckie *vis a vis* drzwi. Wyraźnie im na nim zależało, skoro odwalili całą tę szopkę. To dawało solidną podstawę do negocjacji.

— Naprawdę mi przykro. — Policjantka patrzyła takim wzrokiem, jakby rzeczywiście tak było. — To jest policja, nie służby specjalne. Działamy inaczej.

Oferta, jaką dla pana mamy, wymaga sporej dyskrecji.

— Powiedzmy, że byłbym skłonny ją wstępnie rozważyć. Oczywiście w zamian za gwarancję spokojnej egzystencji i zachowania dotychczasowego stylu życia. Chcę się widywać z córką. Najpierw jednak muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

Skinęła głową.

— Pozna pan pewnego człowieka. On powie panu tyle, ile może pan wiedzieć, zanim wyrazi pan zgodę na współpracę.

— OK. — Założył ramiona. — Mam czas. Zdaje się, że nigdzie się nie wybieram.

— On... nie może tu przyjechać.

— O, to nie spędzę w pace następnych czterdziestu trzech godzin? — zapytał kpiącym tonem. — Dobra, gdzie on jest?

— W więzieniu.

* * *

Sunęli przez miasto małą, nieoznakowaną

waną Sinicą. Prowadziła Syrenka, którą policjantka uruchomiła od razu. Zmieniła ubranie na cywilne — obcisłe białe spodnie, biały golf i krótką, brązową kurtkę z syntetycznej skóry. Nie odzywała się, ale Harpad wyczuwał jej napięcie.

— Łatwiej by się nam rozmawiało, gdybym poznał pani imię — odezwał się po dłuższym milczeniu.

— Przecież nie rozmawiamy.

No tak. Sięgnął po papierosa. Zrezygnował w pół ruchu i zapatrzył się w okno.

Zbliżał się wieczór, stojące w zenicie Niesłońce gasło. Simca zwolniła i ugrzęzła w pełzającym korku na moście Grota.

Teraz wyprzedzały ich nawet bicykle poruszające się po kładce wysuniętej kilka metrów poza krawędź mostu. Gdyby nie kolejny remont mostu Północnego, oszczędziliby ze dwadzieścia minut. Stres wolno odpuszczał, ustępując miejsca senności.

W takim tempie dotrą na Białołęgę za godzinę. Zamknął oczy i oparł głowę o zagłówek. Szum klimatyzacji i dziesiątek pojazdów wokoło cichł z wolna. Zamiast snu przyszedł trans. To się czasem zdarzało, zupełnie jakby mózg się mylił. Harpad nie przerywał, wolał poczekać, aż płynnie przejdzie w sen. To było nawet przyjemne, jak leżenie w hamaku, jak unoszenie się w stanie nieważkości. Śniła mu się policjantka z fotela obok.

Obudziły go wstrząsy. Rozejrzył się nieprzytomnie, przypominając sobie wcześniejsze wydarzenia. Niewielka Simca, pojazd typowo miejski, źle znosiła nierówne nawierzchnie. Minęli bąblowate mieszkaniowce Nowego Bródna, resztki starego lasu otoczonego przymami nielegalnych wysypisk śmieci i kilkadziesiąt podejrzanych warsztatów. Skręcili w długą aleję kończącą się bramą więzienia. Dziewczyna konwersowała przez komunikator.

Autopilot zatrzymał samochód pięćdziesiąt metrów przed bramą, przy wysepce, na której stał automat z przepustkami, i opuścił szybę. Z urządzenia wysunęła się na elastycznym przewodzie kula wielkości pięści i zajrzała do wnętrza. Znieruchomiła przed twarzą dziewczyny, potem przed Harpadem. Skanowanie chipu ID. Pobieżnie zlustrowała jeszcze wnętrze pojazdu i wycofała się. Blokada zniknęła i autopilot ruszył w kierunku bramy. Ciężkie wrota zaczęły się rozsuwać.

— Nigdy nie byłem w więzieniu — stwierdził nuzzler.

Judyta spojrzała na niego z miną, mówiącą, że to się jeszcze może zmienić.

Harpad poczuł gęsią skórę. Skąd zna jej imię?! Przecież się nie przedstawiła.

A może jednak? Nie miał czasu się nad tym zastanowić, samochód zjechał na mały parking.

Z łomotem zderzyły się skrzydła bramy, strzeliły jeszcze elektryczne sworznie i zgasły migające pomarańczowo światła ostrzegawcze. Od świata zewnętrznego dzielił ich teraz ośmiometrowy mur z automatycznym systemem snajperskim. Pomosty dla strażników były puste. Główna aleja biegła prosto, jak strzełił, aż do wyłaniającej się zza

horyzontu czarnej łuny. Tam rozciągała się już Bariera, co czyniło mur właściwie niepotrzebnym.

Niesłońce ledwo się żarzyło wewnątrz Chmury, nadając jej wygląd kłębka waty z ukrytą wewnątrz czerwoną żarówką.

— Idzie pan?

Odwrócił się. Judyta stała w portalu wejściowym dla gości i trzymała dłoń na fotokomórcie szklanych drzwi. Weszli do przestronnego hallu o betonowych, nieotynkowanych ścianach. Niezamierzony brutalizm architektury. Zatrzymali się przed grubą fosforyzującą linią namalowaną na podłodze metr przed bramkami z pancernego szkła. Znow skanowanie siatkówki.

Szklana bramka stanęła otworem. Dopiero kiedy weszli, pojawił się pierwszy człowiek. Strażnik w wieku przedemerytalnym skinął na nich i poprowadził labiryntem betonowych korytarzy i szklanych bramek.

Ich celem było pomieszczenie bez okien. Nie wyglądało na salę widzeń. Dwa na trzy metry, gołe betonowe ściany i kilka przedmiotów, które od biedy można wykorzystać jako broń — trzy krzesła, stół z pustym blaszanym wazonem, łóżko i umywalka.

— Czy te kamery również uległy awarii? — Harpad wskazał kropki ledwo widoczne na teksturze tynku.

— To „mokry pokój” — wyjaśniła dziewczyna. — Więźniowie spotykają się tu ze swoimi żonami. Za dobre sprawowanie można tu bywać częściej. A nasz rozmówca sprawuje się bardzo dobrze.

— To może ja zaczekam na korytarzu?

— To jedynie miejsce w więzieniu, gdzie można rozmawiać bez rejestracji.

— Wyprostowała się sztywno.

Jak kij od szczoty, przeszło przez myśl Harpadowi.

Drzwi rozsunęły się z cichym sykiem rozprężanego powietrza. Mężczyzna, wchodzący do pokoju, należał do tego typu osób, których nie zauważa się na ulicy. Nijaki, bezbarwny pięćdziesięciolatek z mysimi włosami, przeciętną twarzą i lekko zaokrąglonym brzuchem. Pomarańczowy, więzienny uniform przypominał krojem tani garnitur. Wyróżniało go jedynie bystre spojrzenie zza staroświeckich okularów.

Judyta podbiegła i objęła go. Harpad obserwował to, starając się nie sprawiać wrażenia zdziwionego.

Mężczyzna wyswobodził się z objęć dziewczyny i wyciągnął dłoń do nuzzlera.

— Taliński.

— Harpowski. Proszę mi mówić Harpad.

— Siadajcie.

Taliński zmierzył nuzzlera krytycznym spojrzeniem i położył na stole ozdobny dyskret. Dopiero gdy trzy komunikatory znalazły się wewnątrz, kontynuował: — To pan ma nam pomagać? Nie widzę entuzjazmu.

— Bo go nie ma. — Harpad założył ręce. — Najpierw muszę ustalić pewne fakty. Na przykład, co my robimy w więzieniu?

— To nie jest żadna tajemnica.

— Taliński uśmiechnął się. — Kiedy moje PZ przekroczyło sto, postarałem się, żeby trafić tutaj. Nie, nie korzystałem z niczyich usług celem określenia wartości PZ. Po prostu pewnego dnia zauważyłem, że przydarzają mi się osobliwe sytuacje. Wiedzia łem, że rozpoczęła się Prowokacja. Pierwszy raz coś innie tknęło, gdy zobaczyłem leżącą na chodniku broszkę. Wyglądała na starą, sprzed Przemiany, czyli ceną. Gdybym się po nią schylił, dostałbym pół punktu, gdybym schował do kieszeni — cały punkt. Oczywiście to tylko aproksymacje.

Udałem, że jej nie widzę. Kilka godzin później w kawiarni byłem świadkiem kradzieży kieszonkowej. Powiadomiłem policję. Tego samego dnia wieczorem kilka metrów ode mnie trzech oprychów napadło kobietę. Mieli noże. Wezwałem policję, ale nie pomogłem jej. Kosztowało mnie to pięć punktów. Wiedziałem, że to wynik działania Prowokacji albo wroga politycznego.

Miałem świadomość, jak to funkcjonuje, więc większość testów zdałem. Unikałem miejsc, gdzie możliwe było zaaranżowanie sytuacji, z którą bym sobie nie poradził, jak podczas tej z napadem. Jednak to nie wystarczyło. Czułem, że pętla się zaciska.

Aż pewnego dnia stanąłem przed wyborem: sumienie albo prawo. Zamiast wybrać, wsiadłem do samochodu, wyłączyłem autopilota oraz systemy bezpieczeństwa i miną łem z nadmierną prędkością trzydzieści trzy punkty kontrolne. Zsumowało się na rok odsiadki. Luka w systemie, jednak wymagająca precyzji i kosztowna dla stosujących ją. Siedzę w więzieniu, ale ocalałem życie i zyskałem rok na spokojne myślenie. Tu łatwiej jest przestrzegać reguł i dusić PZ.

Tu zasady są jasne, a Prowokacja nie ma tu wstępu.

— Skoro wiedział pan, że to się zaczęło, mógł pan postępować według dowolnej instrukcji przeciwstawiania. Są dostępne w sieci.

— To nie pomoże, jeśli g.A.I.a. się na kogoś uweźmie.

— g.A.I.a. nie może się uwziąć.

— Idealista z pana. Albo naiwniak.

Robię tu wszystko, czego ode mnie oczekują. Nikt się nade mną nie wy zwierzęca.

Modelowa resocjalizacja. Prowokatorzy tu nie sięgają. Nie mam jak nabawić się traumy, więc wedle wszelkich znanych schematów aktualna wartość PZ powinna codziennie zmniejszać się o około pół procenta. Co lekko licząc, daje mi na dziś jakieś siedemdziesiąt punktów, tyle co u niegrzecznego trzynastolatka. Może mnie pan teraz sprawdzić?

— To kosztuje dziesięć tysięcy.

Judyta westchnęła.

— Nasza oferta nie obejmuje wynagrodzenia finansowego.

— Żartowałem. — Podszedł do łóżka.

— Potrzebuję kilku minut ciszy.

Nie zdejmując kurtki ani butów, wyciągnął się na pościeli, zamknął oczy i dotknął zgrubienia za uchem. Trans pojawił się szybko. Harpad wszedł do wnętrzości g.A.I.a. i od razu wyładował przed właściwym rekordem. To zdarzyło się chyba po raz pierwszy. Przypadek? Przez chwilę w napięciu oczekiwał ataku niewiadomego.

Nie, był tu sam, zawsze był tu sam. Przybliżył się do rekordu. Przypominał mu tablicę z pulsującą na czerwono liczbą sto dwadzieścia pięć. Czerwona była tylko ta wartość, a nie cała tablica, co zapewne oznaczało, że Prowokatorzy naprawdę nie mieli wstępu do więzienia. Nie zastanawiał się nad tym wcześniej. Rekord Talińskiego wydawał się większy i bardziej rozbudowany od innych. Jak się dokładniej przyjrzeć, podobieństwo do tablicy słabło. Nigdy nie odważył się dotknąć rekordu, nigdy też nie marnował czasu na przyglądanie się detalom. Nie, to przecież nie interfejs, to jego mózg wytwarza tę iluzję. Coś jak synestezja albo świadomy sen, kiedy szczegóły obiektu pojawiają się dopiero po skupieniu na nim uwagi.

Podświadomie czuł, że dotykanie rekordów jest niebezpieczne, że może ujawnić jego obecność, jak strącona przez włamywacza szklanka. Do tej pory interesowała go zawsze tylko wartość PZ, ale tu miał znacznie więcej informacji. Gdy skupiał na jednej z nich

wzrok, powiększała się i wychodziła z rekordu, niczym element ruchomej zabawki—łamigłówki. Taliński urodził się piętnastego maja roku karmazynowego, miał nieznaczną nadwagę i grupę kiwi ARli—. Dostępnych informacji było wiele, wiele więcej. Gdzieś wewnątrz poruszały się trybiki... To tylko wyobrażenie ruchu elektronów w półprzewodnikach ukrytych serwerów g.A.I.a., ale tu stawało się realne.

Zauważył coś ciekawego: od rekordu odchodziło wiele niematerialnych nici.

Przymocowane do elementów rekordu, zmieniały wyświetlane wartości. Ktoś, gdzieś je trącał. Harpad podążył wzdłuż jednej z nich i trafił na rekord strażnika więziennego imieniem Karol. Od niego też odchodziło kilkadziesiąt powiązań. Harpad cofnął się i wybrał inną nić. Bez trudu trafił po niej do rekordu Judyty Talińskiej. Tak, o niej właśnie pomyślał. Skąd wiedział, że ma wybrać właśnie tę nić? Sześćdziesiąt pięć PZ. Grzeczna dziewczynka, potrafi unikać kłopotów. Choć to raczej efekt ustawy anonimizującej. g.A.I.a. nie brała pod uwagę wydarzeń mających miejsce podczas służby. Wiek — dwadzieścia sześć lat, grupa krwi ARh+, stan konta... Było tu znacznie więcej danych, które wychodziły teraz na spotkanie nuzzlera. Rekord zupełnie nie przypominał już tablicy. Zamienił się w przestrzenną konstrukcję, skomplikowany układ drobnych elementów w kanciastej, nieregularnej bryle szkła konsolidującej to wszystko. Od każdego elementu biegło kilka nici. Rozejrzał się po zielonej wnętrzości g.A.I.a. Teraz widział wyraźnie, że cała jest wypełniona gęstwą napiętych nici. Czy to ma jakieś znaczenie, czy jest tylko wynikiem spuszczonej ze smyczy wyobraźni? Cofnął się, zaniepokojony.

Lepiej nie bawić się narzędziem pracy, dzięki któremu zarabia całkiem niezłe pieniądze. Przerwał trans.

— Sto dwadzieścia pięć — oznajmił, gdy tylko otworzył oczy. Usiadł na łóżku.

— Czy to ma dowodzić, że g.A.I.a. uwzięła się na pana?

— To blok „A”, dla bogaczy i VIP—ów — wyjaśnił Taliński. — Płacimy za to, by to miejsce przypominało sanatorium. Więźniów z innych bloków widzimy przez mleczne szkło pod postacią cieni. Jeśli potrafiłby pan sprawdzić moich współwięźniów, którzy są tu od kilku miesięcy, odkryłby pan, że prawie nikt nie zbliża się do setki.

Potrafiłbym, pomyślał Harpad. Wystarczy wybrać odpowiednią nić.

— Jeśli ma pan rację — powiedział zamiast tego — oznacza to, że ta sprawa może ściągnąć zainteresowanie g.A.I.a.

również na mnie. Ostrzegam, że apelowanie do mojego poczucia sprawiedliwości, wiary w wyższe ideały i podobne pierdy nie zadziała. Jeśli nawet kiedyś miałem zadatki na idealistę, zostałem wyleczony.

Taliński obrócił się na krześle i spojrzał na nuzzlera poważnie.

— g.A.I.a. zaciska szpony na naszych karkach — zaczął powoli. — To proces niemal niezauważalny, bo powolny i płynny. Ludzie muszą się coraz bardziej pilnować, udawać kogoś innego, niż są.

Sam pan przyzna, że to nie jest dobre.

— Niech pan przejdzie do konkretów — poprosił Harpad.

— Dobrze, zacznijmy od początku.

Cofnijmy się zatem do momentu, kiedy system rozpoczął pracę w komendzie głównej policji Pierścienia Warszawa. Podobne systemy pracowały już w kilku innych miastach. g.A.I.a. została zaprojektowana do celów diagnostycznych, więc nadzór nad jakością wewnętrznych procedur nie był konieczny. Program zainstalowany na policyjnym serwerze miał pomagać policji w nadzorowaniu byłych więźniów, wytypowanych przez psychologów jako potencjalne zagrożenie dla społeczeństwa. Analizował wszelkie dostępne dane z ich dotychczasowego życia, ze szczególnym uwzględnieniem wydarzeń mogących spowodować trwałe urazy psychiczne. Od bardzo dawna wiadomo, że dziecko, regularnie bite przez rodziców, w dorosłym życiu chętniej posłuży się przemocą. Młody człowiek, który wpadnie w złe towarzystwo, na zawsze pozostanie podatny na pewne pokusy.

Początkowo liczba punktów PZ za rodzaje incydentów była narzucona, ale szybko pozwolono programowi działać elastycznie i samodzielnie je modyfikować. Po integracji g.A.I.a. z monitoringiem miasta i prywatnymi sieciami kamer ilość napływających danych przekroczyła możliwości personelu. Ludzie zaczęli spowalniać i ograniczać sztuczną inteligencję. Zrezygnowano więc z ludzkiego nadzoru operacyjnego i pozostawiono jedynie kontrolę wyrywkową. To był moment, w którym g.A.I.a. zyskała prawdziwą władzę, choć nikt jeszcze tego nie podejrzewał. Wtedy to był tylko jeden z systemów bezpieczeństwa miasta, nawet nie najważniejszy. Mimer, program analizujący mowę ciała, każdego tygodnia wykrywał kilka razy więcej przestępstw. Jego minusem był czas cyfrowej prekognicji — potrafił przewidzieć przestępstwo z kilkuminutowym, a nawet kilkusekundowym wyprzedzeniem. Szybko okazało się, że

połączenie obydwu systemów przyniesie same korzyści. Początkowo współpracowały, ale nie minął miesiąc, gdy sprawniejsza g.A.I.a. wchłonęła prostolinijnego Mimera, potraktowała go po prostu jak swoje narzędzie. W ciągu roku wszystkie inteligentne systemy prewencyjne stały się subprogramami g.A.I.a., w ciągu następnych pięciu lat samoistnie zintegrowały się podobne systemy z innych miast.

Nawet Manfred, sterujący ruchem ulicznym, stał się częścią g.A.I.a. Dzięki wymianie doświadczeń znacząco zwiększało to precyzję określania PZ. W pewnym momencie zorientowaliśmy się, że we wszystkich miastach działa jedna wspólna g.A.I.a. PZ stał się bardzo dynamiczną zmienną. Tabelaryczne dane nie mogły dłużej podołać złożoności procesów analitycznych i pod presją opinii społecznej, która zawsze ceniła sobie bezpieczeństwo, g.A.I.a. została zwolniona z obowiązku przechowywania danych w sposób czytelny dla ludzi. W pierścieniach, w których władza nie zgodziła się na zmianę, ta i tak nastąpiła. Nieoficjalnie. Relacyjna baza danych rozsypała się w pozornie chaotyczną bazę kontekstową, a następnie w dynamiczną strukturę, której umysł ludzki nie potrafił już ogarnąć. Nie uznano tego za problem, ponieważ wyniki były coraz lepsze, a po Przemianie bezpieczeństwo stało się przecież priorytetem.

— Dlaczego więc wy uważacie to za problem? — Harpad wykorzystał krótką pauzę.

— Niby wszystko się zgadza, bo system działa sprawnie — zgodził się Taliński.

— Ale gdzie poczucie sprawiedliwości?

Podświadomie czujemy, że coś jest nie tak.

— Jak dla mnie wszystko gra. — Nuzzler rozłożył ręce. — Mordercy znikają z miasta, zanim przyjdzie im do głowy kogoś zabić. Idealne rozwiązanie dla zdrowego społeczeństwa.

— Proszę pamiętać, że tchórzliwy pies szybciej ugryzie w nieoczekiwanej sytuacji.

Zastraszony człowiek strzeli prędzej niż opanowany gangster. Proszę sobie wyobrazić: mamy dwóch sąsiadów z jednego piętra. Jeden to miły, wrażliwy człowiek, założmy kompozytor, drugi — cham i prostak wykorzystujący każdą okazję, by dogryźć słabszemu, któremu zazdrości talentu. Groźne spojrzenia i półsłówka nie są przestępstwem, ale pogrążają kompozytora w poczuciu zagrożenia. Cham tyrnczasem pompuje swoje ego kosztem sąsiada.

Jest niemal pewne, że w tej rozgrywce cham nie przekroczy granicy fizycznej nietykalności, a nawet że osoba słabego sąsiada niewiele go obchodzi. Przypomina sobie

o nim, tylko kiedy go widzi. Natomiast rozgorączkowana wyobraźnia kompozytora, człowieka wrażliwego, sprawi, że te drobne w sumie zdarzenia urosną do rangi zagrożenia życia. W tym układzie to kompozytor jest potencjalnym przestępcą, choć wina leży przecież po stronie chama.

Poczucie zagrożenia skłania do podejmowania drastycznych kroków, dlatego PZ kompozytora przez samo sąsiadowanie z chamek wzrośnie o wiele punktów. Natomiast PZ chama spadnie, bo możliwość psychicznego znęcania się nad słabszym będzie zaworem bezpieczeństwa dla jego agresji. Działanie g.A.I.a. nie likwiduje więc prawdziwej przyczyny potencjalnego przestępstwa, lecz uderza w ostatni element biorący udział w ciągu przyczynowoskutkowym. Zawsze jest to ostatni element, czyli potencjalny przestępca. g.A.I.a. nigdy nie sięga o stopień głębiej. Precyzując, nigdy tego nie robiła. Aż do przedwczoraj, kiedy to uznała, że osoba, skłaniająca kogoś do popełnienia przestępstwa, również jest przestępcą.

— To chyba akurat stara zasada. To się nazywa „podżeganie”.

Judyta przysłuchiwała się rozmowie w milczeniu. Zerkała co jakiś czas na zegar ścienny.

— Owszem, ale podżeganie do podżegania już nie jest przestępstwem — zauważył Taliński. — Nie zadał pan sobie pytania, czemu policja zainteresowała się panem akurat dziś?

Nie tylko policja.

— Zamieniam się w słuch.

— Przedwczoraj, kilka minut po dziewiętnastej, nastąpiło kolejne zasadnicze przekonfigurowanie g.A.I.a. Zdarza się raz na kilka miesięcy, poznajemy to po wyjątkowym obciążeniu łączy międzypierścieniowych. Na dwanaście minut transfer wzrósł o całe rzędy wielkości. Bezpośrednio po tym nastąpiła seria Eliminacji. Zniknęli ludzie, których wcześniej nikt nie podejrzewał o zbliżanie się choćby do wartości sto. W kilka minut ich PZ wzrosło do niebotycznej wartości. Proszę pamiętać, że PZ dotyczy wyłącznie prewencji. Jeśli kogoś pan zabije, to pańskie PZ wzrośnie, tylko gdy g.A.I.a. uzna, że może pan zabić ponownie. W części przypadków PZ mordercy nawet spadnie. Tak więc przez te dwanaście minut ci ludzie nie zrobili niczego szczególnego. Wzrosła jedynie precyzja określania PZ i g.A.I.a. dokonała korekty. Jak pan przed chwilą sprawdził, również moje PZ wzrosło.

— Zawsze się zastanawiałem, po jakiej wartości pojawiają się eliminatorzy.

— Ustalenie tego jest pierwszą rzeczą, której od pana oczekujemy.

— My?

— Byłem szefem zespołu, pracującego nad stworzeniem interfejsu do odczytywania bazy danych g.A.I.a.

Harpad spojrział na niego z zaskoczeniem.

— Pan pracował nad... Prometeuszem?

— Nie tylko ja — Taliński skrzywił się skromnie — zespół był całkiem duży. Projekt się rozpadł, gdy kolejni z nas ulegali Eliminacji. Mieliśmy podejrzenia, ale poza anomalią statystyczną nie było żadnego dowodu na intencyjne działanie g.A.I.a.

Zresztą... kto mógłby jej zagrozić. Policja, prokuratura, służby specjalne — wszyscy podlegają jej władzy. Cel, jaki zadano na początku jej istnienia, jest nadal realizowany, bo takie zagłębianie się w hierarchię przyczynowoskutkową służy zwiększaniu skuteczności prewencji. Ostatnia zmiana sprawia, że cały system ma jeszcze mniej wspólnego ze sprawiedliwością w naszym pojmowaniu tego słowa. Niespodziewane przekonfigurowania zdarzały się już wiele razy, ale teraz zmiana była najpoważniejsza od czasu tej z roku rubinowego, czyli od trzech lat. g.A.I.a. umieściła sama siebie we własnym modelu rzeczywistości. To nawet logiczne, bo ma ogromny wpływ na wszystkich ludzi. Teraz bierze pod uwagę również ten wpływ. PZ wzrasta nawet osobom, które nie miały żadnych przeżyć zwiększających ryzyko popełnienia przez nie przestępstwa. Pojawiła się kategoria katalizatorów przestępstw — ludzi, których samo istnienie, sam sposób bycia może prowokować innych do przestępstw.

— Cham zostanie ukarany za gnębienie kompozytora.

— W nowej wersji g.A.I.a. — tak, choć nadal o wielokrotnie mniejszą wartość niż jego ofiara. Ukarany zostanie również urzędnik, wracający nocą przez ciemny park, bo jego obecność w parku zwiększa prawdopodobieństwo, że zostanie napadnięty. To postawienie sprawiedliwości na głowie. Nie sądzi pan?

— Może. Nie sądzę jednak, bym mógł się wam przydać. Nie mam pojęcia, jak określić próg, po którym człowieka zabierają eliminatorzy. Nie możecie ich po prostu zapytać?

— Nie wiedzą — wyjaśniła Judyta.

Harpad prawie zapomniał o jej istnieniu.

— Dostają nakaz i go realizują. Są anonimowi i wykonują anonimowe nakazy. Sam Nadzór, który koordynuje i kontroluje wszystkie służby, nie ma dostępu do tych danych.

Nuzzler pokiwał głową.

— A ta druga sprawa?

— Odnajdzie pan pewnego znanego polityka, który jest najbliższej tej wartości — powiedział Taliński. — Najbliższej progę Eliminacji.

— Czy mogę wiedzieć, po co wam to?

— Nie.

— Czemu mnie to nie dziwi... Jesteście jakimiś cholernymi spiskowcami?

— Jeśli potrzebne są panu takie definicje. Nie chcemy zmieniać niczego siłą.

Chcemy tylko pokazać ludziom prawdę.

Ma pan rację, nie działamy sami. Mamy specjalistów. Analityków. Brakowało nam tylko nuzzlera.

— Powiedział pan na wstępie, że g.A.I.a. uwzięła się na pana.

— To takie uproszczenie. g.A.I.a. nie ma świadomości, nie jest istotą według definicji, jakiej używamy. Bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że wykształciła coś w rodzaju instynktu samozachowawczego.

Zmiany, jakie nastąpiły przedwczoraj, mogłyby sugerować samoświadomość, ale moim zdaniem jest inaczej. Tok rozumowania, jeśli można jeszcze użyć tego sformułowania w stosunku do g.A.I.a., zapewne wygląda mniej więcej tak: „Stoję na straży prawa i jest to mój naczelny imperatyw.

Każdy, kto mi zagraża, zagraża realizacji moich zadań, więc sprzyja łamaniu prawa.

Obronę prawa muszę więc zacząć od obrony siebie”.

— Brzmi logicznie.

— Tyle że w tym momencie PZ każdego, kto spróbuje, nawet legalnie, ograniczyć jej władzę, automatycznie posybuje w górę. Wystarczy już pewnie sama krytyka czy podanie w wątpliwość sensu istnienia g.A.I.a. Wystarczy żart na jej temat.

0 próbie lokalizacji serwerowni nawet nie wspomnę.

Harpad wstał, wsunął ręce do kieszeni i zapatrzył się w podłogę.

— I nie ma w tym złej woli? — zapytał.

— Nie, bo g.A.I.a. nie ma woli. Jeśli wkurzy pan rój os, zaczną żądlić. Automatyka. A to oznacza gigantyczną pokusę manipulacji dla wrogów politycznych.

— Ale czy takie same mechanizmy nie zadziałały w momencie pojawienia się telewizji? Świat się zmienia. Politycy, którzy się nie dostosowali, zniknęli. — Harpad pokręcił głową. — Nie potrafię tak przeszukiwać bazy g.A.I.a. — Przypomniał sobie o niciach. Nie, ich lepiej nie dotykać. — Określam wartość konkretnego człowieka.

Tylko tyle. Nawet nie wiem, jak to robię.

— Nasza oferta zakłada pana współpracę — zaczęła wolno Judyta. — Jeśli nie wypełni pan tych dwóch zadań, oferta przestanie być aktualna. Ktoś może zażądać zwrotu niezapłaconych podatków i sprawdzić inne sfery pana życia. Na przykład czemu nie płaci pan alimentów porzuconej żonie z dzieckiem.

Harpad zacisnął zęby.

— Nie porzuciłem jej — warknął.

— I płacę znacznie więcej niż te marne grosze, które wyznaczyłby sąd.

— Ale nie ma pan rachunków. Proszę mnie posłuchać. Jeśli zrobi pan, o co prosimy, dostanie pan zaświadczenie trzech policyjnych psychologów, że jest pan idealnym ojcem. Tego sąd rodzinny nie będzie mógł zignorować.

Harpad spojrział Judyty w oczy. Uciekła wzrokiem, ale przez tę krótką chwilę zobaczył, że cała ta srogość to tylko poza, która z trudem jej wychodzi. Tarł czoło, nerwowo rozważał wszystkie za i przeciw.

— Dobrze — odparł po chwili.

— Spróbuję. Szansa marna, ale spróbuję.

Muszę tylko mieć trochę czasu, żeby się zastanowić, jak się do tego zabrać.

Na twarzy Judyty pojawiła się ulga.

— Najpierw i tak musimy pana zbadać — oznajmiła, a widząc jego pytające spojrzenie, dodała — nie chcemy, żeby dostał pan zawału albo udam podczas pracy dla nas.

Wcale nie o to chodzi, pomyślał, ale skinął głową.

Zabrzęczał dzwonek, a Taliński spojrział na zegar, potem na drzwi. Po chwili szcęknął zamek, matowa szklana płyta stała się przezroczysta i wsunęła się w ścianę.

— Czas wizyty to jedna ze spraw niepodlegających negocjacji — wyjaśnił i podał nuzzlerowi rękę na pożegnanie.

Justyna przytuliła się mocno do Talińskiego.

— Trzymaj się, kochanie — wyszeptał do niej, na tyle jednak głośno, że Harpad

usłyszał.

Co teraz dzieje się z Maiysią?

Czuł prawdziwą ulgę, gdy znalazł się na powietrzu. Latarnie na szczycie betonowego muru zamieniały noc w dzień.

Odszedł dalej, uniósł głowę i spojrzał na setki tysięcy światełek Natolina i Wawra po przeciwnej stronie Pierścienia Warszawa: pulsujące świetliście żyły ulic, geometryczne obrysy mieszkaniowców, ciemne plamy parków. Trzyście kilometrów nad jego głową.

III

Profesor Rozsmuda wystukał fajkę o korek na środku popielniczki. Pusty gest, była jedynie elektronicznym gadżetem, z którego można wypuścić niemal bezwonną parę.

— Gównu wiemy — rzucił w przestrzeń.

— A co mielibyśmy wiedzieć.

— Taliński nalał kawę do dwóch filiżanek.

— Jesteśmy tylko siedzącymi w pierdłu dziadami, którzy dla zabicia czasu urządają sobie popołudniowe dyskusje. Brakuje nam bezy na porcelanowych talerzykach.

Rozsnnida spojrzał na niego z dziwnym smutkiem i szybko uciekł wzrokiem.

— Taaa, i srebrnych widelczyków...

— No to jedziemy z naszym ulubionym tematem: czy g.A.I.a. powinna stać ponad prawem?

— Jest obok prawa, przed prawem — powiedział z naciskiem profesor. — To co innego. g.A.I.a. dba, by prawo nie zostało złamane. Podawałem ci już przykłady, które systematycznie ignorujesz.

Pamiętasz? Możesz rzucać w ludzi kamieniami. Jeśli nikogo nie trafisz, dostaniesz najwyżej mandat; jeśli kogoś zabijesz, pójdiesz do pierdła za morderstwo z premedytacją. A przecież rzucając, nie wiesz, czy kogoś trafisz. Dlaczego więc kara ma być uzależniona od losu? To jakby sąd rzucał monetą: drinki z palemką w Pierścieniu Bahama albo długoletnie więzienie.

— Szukasz sprawiedliwości absolutnej? A może rzeczywiście śni ci się całkowite porzucenie prawodawstwa?

— Prawo nie jest wartością samą w sobie. Ma być użyteczne, powinno zatem ustąpić miejsca systemowi skuteczniejszemu. Prawo przede wszystkim służy utrzymaniu porządku, na drugim miejscu, wiesz o tym dobrze, obronie interesów grupy tworzącej owo prawo, a dopiero dalej mgliście rozumianej sprawiedliwości. Złudzeniu sprawiedliwości. Celem bezinteresownej g.A.I.a. ma być ochrona społeczeństwa. Na

razie ta ochrona jest definiowana prawem, ale to przecież tylko proteza, bo prawo nie jest pojęciem podstawowym.

Ostatnie przekonfigurowanie g.A.I.a. wskazuje, że ten cholerny system dąży w tym do perfekcji, a w osiągnięciu jej przeszkadzają mu nie tylko ograniczenia technologiczne, ale również samo prawo jako pośrednik.

— Czego my dwaj jesteśmy najlepszym przykładem — przyznał Taliński. — Twój pobyt tutaj kłóci się z twoimi poglądami.

— To, co lepsze dla mnie, niekoniecznie jest lepsze dla ogółu. W tym wypadku również istnieje konflikt, to jasne. No ale czemu, powiedz, mam nie postępować egoistycznie, skoro jest to częścią normy kulturowej?

— A nie powinienes przypadkiem sam świecić przykładem?

— Tylko głupiec albo szalowiec ustawia się pod prąd trendu. Ja nie mam skłonności samobójczych.

— Ani ja — przyznał Taliński.

— Czasy liderów zapierdalających na czele tłumu dawno minęły. Dziś idee generuje się w bunkrach na tyłach.

— Takiego jak ten nasz.

— I tu się zgadzam.

— Widzisz, ja działałam trochę wbrew sobie, bo chcę, żeby system uniemożliwiał takie działania, jak te moje. Nasze. Chcę systemu, w którym sankcja będzie nieunikniona, a nie zależna od loterii. Tam bym się lepiej odnalazł.

— Ta loteria, o której teraz mówisz, stary przyku, to wyznacznik naszej wolności.

— Mylisz, dziadzie, wolną wolę z wyrokami losu. Sądzisz, że rzucanie kamieniami jest wyrazem wolności jednostki? Otóż nie! Jeśli idea PZ osiągnie doskonałość, rzucenie kamieniem będzie tak samo karane, niezależnie od skutku.

Kara wyliczona statystycznie. Możesz kogoś zabić, możesz spudłować. Obecny stan sprzyja ponoszeniu ryzyka, bo ktoś rzucający kamieniami może liczyć na to, że nikogo nie trafi. Subiektywnie naciąga więc prawdopodobieństwo, próbuje zaklinać rzeczywistość i wmawiać sobie, że nie poniesie kary. Ba! W świecie idealnej hiperprewencji kara zostanie wymierzona, zanim kamień zostanie rzucony. I nikt nie ucierpi.

— Zasady naliczania PZ nie są znane.

Nieznana jest też wartość parametru.

— Taliński odkaszlnął, by zamaskować inny ton głosu. — Można to próbować wyliczać, gdybać. Zasady nie są jasne, a więc nie można wymagać od ludzi, by się do nich stosowali. Bez odniesienia do stanowionego prawa, hiperprewencja straci kręgosłup moralny. Już teraz przecież oblicza jedynie prawdopodobieństwo, że ktoś rzuci kamieniem.

— To powrót do natury, nie widzisz tego? Przetrwają najlepiej przystosowani do środowiska, jakie stworzy nam g.A.I.a.

Prawa natury też nie są nigdzie spisane, nie można ich wykuć na pamięć, nie można złożyć odwołania od wyroku do wyższej instancji. Żaba zjedzona przez bociana nie miała się komu poskarżyć. Znasz przecież zasadę, jeśli wchodzisz między wrony, musisz krakać jak i one. Znajomość prawa tylko ułatwia jego omijanie; znajomość procedur śledczych ułatwia zacieranie śladów, a sądowniczych — unikanie kary. Praw natury nie można zignorować, złamać, obejść. Tym bardziej nie można uniknąć kary. Perfekcyjny system hiperprewencji będzie taki sam. Świat bez przestępstw, wyobrażasz to sobie?

— Więc uważasz, że nadrzędnym celem g.A.I.a. powinno być wyłącznie dobro społeczeństwa? Nie muszę ci chyba przypominać, ileż już było koncepcji uszczęśliwiania ludzi...

— Nie chodzi o dobro ludzi, tylko ludzkości. Zrozum, baranie, to przecież dwie różne sprawy. Żyjemy w sztucznym środowisku, czyli w tym pierścieniu, ba!

w całym Różańcu jedziemy na tym samym wózku. Błąd poprzednich prób uszczęśliwiania ludzkości polegał na tym, że robili to sami ludzie, skażeni własnymi wadami charakteru, własnymi słabościami, wbitymi do mózgu ograniczeniami kulturowymi.

g.A.I.a. jest od tego wolna, a ostatecznym klientem systemu PZ ma być dobro społeczeństwa właśnie.

— Czemu nie sama g.A.I.a., co? Nie jest sprawiedliwym bogiem, tylko jednym z graczy. Graczem i bogiem w jednej osobie. Sędziuje grze, w której sama gra. Nie uważasz, że to demoralizujące?

— Nie, jej nie można zdemoralizować jak nas. Będzie jednym z graczy do czasu, gdy nie osiągnie stanu idealnego i absolutnej władzy. Gdy to nastąpi, nie będzie musiała zajmować się własnym bezpieczeństwem i wzniesie się ponad tę grę. Zrealizuje swój

prawdziwy cel.

— Posłuchaj, stary pryku — Taliński założył ramiona — ilekroć słyszę o wdraża niu ideałów w życie, tylekroć widzę masowe groby. Kiedy pracowałem nad Pro meteuszem, miałem głowę pełną analiz działania g.A.I.a. Nie, nie zbliżyłem się nawet do zrozumienia sztucznej inteligencji. Nie pojąłem jej motywów, nie poznałem celów. To byt, który wymknął nam się z rąk i przerósł nas o kilka rzędów wielkości. Nie ma w nim już nic ludzkiego, nic z ducha, który przed laty umieścili w nim programiści.

— Czy ty tego naprawdę nie rozumiesz?! To właśnie gwarancja naszego bezpieczeństwa! g.A.I.a. nie może przejawiać jakichkolwiek cech ludzkich, bo są wśród nich cechy odrażające. A nawet nasze piękne i wzniosłe uczucia potrafią być zabójcze. Potrzebujemy zdehumanizowanego zarządzania cywilizacją. Przy kosmicznej skali nie ma miejsca na uczucia. Pozostaje matematyka.

Taliński z niepokojem dostrzegł, że rozumowanie profesora w gruncie rzeczy aż tak bardzo nie odbiega od jego własnego.

— Czy to w imię tej matematyki członkowie Prometeusza kolejno ulegali Eliminacji? — zapytał. — Zespół powołano do życia ustawą, którą przegłosowano niemal jednomyślnie. Działał w zgodzie z prawem, którego szanowanie jest przecież naczelnym zadaniem g.A.I.a. A jednak przestał istnieć, gdy zabrakło kluczowych pracowników. Część uległa Eliminacji, a reszta uciekła z projektu, by nie podzielić ich losu.

— Daj spokój, Prometeusz był zagrożeniem dla g.A.I.a. Musiała się bronić.

— Więc jednak instynkt przetrwania?

Jeśli g.A.I.a. będzie miała wybór: ona albo ludzkość, zgadnijmy, co wybierze? Nie rozumiesz, że inteligentna istota musi wykształcić instynkt samozachowawczy?

— Błąd! Nawet jeśli chcesz traktować g.A.I.a. jako istotę, co samo w sobie jest ryzykownym założeniem, musisz pamiętać, że jest istotą pierwszą i jedyną w swoim rodzaju. Instynkt samozachowawczy to wynik działania selekcji naturalnej przez miliony generacji. Tutaj nie ma mowy o żadnej selekcji.

— g.A.I.a. wchłonęła kilka podobnych programów. Ponadto zapominasz, że mówimy o sztucznej inteligencji, która ma dostęp do całej wiedzy ludzkości. Ona WIE, czym jest instynkt samozachowawczy.

— Ta wiedza nie wystarczy, żeby ten instynkt autoimplementowała — upierał się profesor. — Musiałaby mieć wolną wolę.

Ty też WIESZ, na czym polega komponowanie muzyki. Co nie znaczy, że potrafisz złożyć do kupy choćby trzy nuty.

— Pasikonik ma instynkt przetrwania.

Chcesz powiedzieć, że ma też wolną wolę?

— Pasikonik ma komplet instynktów od samego początku. g.A.I.a. musiałaby te instynkty dodać do swojego kodu, aby to zrobić, musiałaby najpierw uznać, że są przydatne. Zresztą skąd wiesz, że broniła się, żeby przetrwać? Ja sądzę, że broniła się, żeby jej misja mogła niezakłócenie trwać dalej.

— Z naszego punktu widzenia na jedno wychodzi — zauważył Taliński. — Czy broni siebie, czy misji, to niczego nie zmienia. Ona usuwa ludzi, którzy chcą ją kontrolować.

— Naprawdę nie rozumiesz, że jeżeli g.A.I.a. utożsamia się ze swoją misją, to znaczy, że robi właśnie to, do czego została stworzona. Zapobiega łamaniu prawa, stosując hiperprewencję. Przewiduje, jakie działania po iluś tam etapach doprowadzą do złamania prawa. To odwrócony efekt motyla. g.A.I.a. wykonuje niemal nieskończone liczby symulacji, zmienia drobne parametry, szuka dla nas najbezpieczniejszej drogi, a potem idzie pod prąd czasu, podąża za nitkami prawdopodobieństwa i antycypuje, jak uniknąć katastrofy. Usuwa pierwszą komórkę rakową, nim ta się namnoży, tworząc nieoperacyjny guz. Głęboko wierzę, że celem nadrzędnym g.A.I.a.

jest dobro ludzkości.

Taliński pokręcił głową.

— Kiedyś pewien filozof powiedział, że są tylko trzy rodzaje prawdy: świnta prawda, tyż prawda i gównno prawda. Z tym dobrem ludzkości to ta trzecia prawda.

— Wiesz, kto pilnuje środka ciężkości Pierścienia Warszawa? Przecież nie zachłanni deweloperzy, którzy postawiliby dwa budynki w jednym miejscu, gdyby pozwalały na to prawa fizyki.

— Sądzę, że zajmuje się tym odpowiedni urząd.

— Urząd do spraw Wyważania Pierścienia? Nie pierdol mi tutaj.

— Jak zwykle, kiedy nie masz racji, sprowadzasz naszą dyskusję na boczny tor.

Stale rośnie liczba fałszywych oskarżeń o wszelkie możliwe przestępstwa przeciw prawu i obyczajowi. Określenie „zaprosesować kogoś na śmierć” nie jest już przeno śnią. To nowa strategia pozbywania się wrogów politycznych. Strategia wykorzystująca

mechanizmy hiperprewencji. Co z tego, że ktoś jest czysty? Co z tego, że w końcu po długim procesie oficjalnie zostanie oczyszczony z zarzutów? Cóż z tego, że zostanie mu zasądzone wysokie odszkodowanie? Niewinny człowiek już dawno zniknie w Eliminacji. Gdzie w tym jest dobro ludzkości?

— Czas na świętą prawdę. Musisz stawić temu czoła. Nie ma jednostek bez społeczności, ale społeczność może się obyć bez pojedynczych ludzi. Dobro jednostki jest mniej ważne od dobra społeczności.

— Zatem mamy być hodowani jak łososie w Pierścieniu Oslo? — Taliński krążył po pokoju. Po celi. — Na początek spróbujmy wymusić na g.A.I.a. respektowanie.. . podstaw naszego człowieczeństwa.

— Chcesz uczyć sztuczną inteligencję humanitaryzmu? Jesteś jak ćma, która pragnie nauczyć człowieka krążyć wokół lampy. Bo tylko to umie.

— My, ja, ty, nie jesteśmy cholernym społeczeństwem, lecz jednostkami. Ja. Ja jestem. Społeczeństwo to tylko słowo okre ślające wielu takich jak ja albo ty. To nie społeczeństwo ma być szczęśliwe, tylko my wszyscy, każdy osobno na swój sposób.

Ale nawet, niech ci będzie, weźmy to „dobro społeczeństwa”. Co to niby jest?

Który parametr jest najważniejszy? Zdrowie, bogactwo, postęp, długowieczność, równość, sprawiedliwość, indywidualizm?

Wszystkiego naraz nie zrealizujemy, żebyśmy w portki narobili. Z czegoś trzeba zrezygnować, bo to wartości równie piękne, co sprzeczne ze sobą nawzajem. Nawet jeżeli dzięki g.A.I.a. ten świat osiągnie jedną z wersji doskonałości, to tylko jej część społeczeństwa będzie szczęśliwa. Inni pragną innych doskonałości. Przecież życie składa się z małych radości i przykrości, z porażek i błędów. Z ryzyka. Chcesz, żeby to wszystko zniknęło w imię jakiegoś abstrakcyjnego „dobra społeczeństwa”?

— Ludzie mordowali się o niuanse proporcji między tymi parametrami. Uważasz, że społeczeństwo istnieje wyłącznie dla dobra jednostek?

— Uważam, że jedno nie może istnieć bez drugiego. Jeśli zgubimy jednostkę, to podważy sens istnienia społeczeństwa. Bo po co przynależeć do społeczeństwa, jeśli jest ono wrogię jednostce? A tak z innej strony: gdzie tu widzisz sprawiedliwość?

— Tak jakbyś miał złudzenia, że prawo kiedykolwiek zapewniało sprawiedliwość.

— Profesor rozłożył ręce. — To duby smalone dla ciemnego ludu. Albo równość, albo sprawiedliwość, albo wolność.

Naczelną funkcją prawa było i jest utrzymanie porządku. Wiesz, jak zamienić człowieka moralnego w dewianta? Nie trzeba zmieniać człowieka, trzeba zmienić zasady moralne. Ileż razy w naszej historii bohaterowie *post factum* stawali się zbrodniarzami.

— Hiperprewencja anihiluje zasady moralne.

— Nie, mój drogi, ona ustala tylko nowe kryteria oceny naszego postępowania.

Wiele lat temu, przed Przemianą, głośna była sprawa pewnego somnambulika... nie pamiętam, jak się nazywał. Lunatykował i zaczepiał ludzi, kogoś pobił. Odgrywał sceny ze swoich snów. Poniósł karę za czyny, które popełnił we śnie i nawet ich nie pamiętał. Nazwałbyś to sprawiedliwo ścią? Albo inny przypadek: mężczyzna w wyniku ciężkiego pobicia doznał urazu mózgu. Zaczęły się pojawiać ataki agresji.

Trzy razy pobił żonę, zaatakował policjantów. Poszedł za to siedzieć, ale czy sprawiedliwie? Przed wypadkiem taki nie był.

Czy za jego czyny nie powinien odpowiadać sprawca jego stanu?

— Zapewne powinien — niechętnie przyznał Taliński. — Na pewno nie istnieje prawo, które potrafiłoby opisać takie zawiłości.

— Idźmy dalej. Wiesz, że po przeszczepie szpiku biorca przejmuje wiele cech dawcy: gusta kulinarne, temperament, czasem podobno nawet kolor oczu. A co się stanie, jeśli zostanie mu przeszczepiony szpik seryjnego mordercy? Kto będzie winien przemiany spokojnego człowieka w bestię?

— Daj spokój, sprowadzasz naszą dyskusję do absurdu.

— Nie, tylko pokazuję poziom skomplikowania spraw, które musi regulować prawo. Pamiętaj, prawo jednakowe dla wszystkich. Tu, tak czy inaczej, nie ma miejsca na sprawiedliwość. Nikt nie potrafi ocenić, za co odpowiada nasza wolna wola, a co jest wynikiem na przykład urazu z wczesnego dzieciństwa. Dziecko regularnie katowane przez matkę narkomankę nazwiemy ofiarą. Ale dwadzieścia lat później ta ofiara zabije kogoś w ataku furii i nazwiemy go oprawcą. A zabił tylko dlatego, że w dzieciństwie był katowany. To udowodniony związek przyczynowo skutkowy.

— Tu w grę wchodzi raczej czynniki korelacyjne. Dziecko odziedziczy po matce skłonności do uzależnień, nawet jeśli ta nie jest narkomanką.

— Jestem pewien, że g.A.I.a. analizuje każdy przypadek, opierając się na niedostępnej nam liczbie parametrów i niedostępnych nam algorytmach. Stosując skalę PZ, zdejmuje z naszego zbiorowego sumienia dylematy moralne, kto jest winien.

Wkrótce winnych nie będzie wcale, bo znikną ci, którzy prawdopodobnie będą mogli zostać winnymi, niezależnie od powodów. Przy doskonałej inwigilacji wszystkich obywateli matka narkomanka nie będzie katować dziecka. Ba! Nawet nie zostanie narkomanką. Naprawdę nie widzisz piękna tej idei?

— Przecież to utopia! Jesteś aż tak głupi, aby wierzyć w przełożenie jej na rzeczywistość? Nikt nie może zweryfikować zasadności całego procesu. Nawet nie mówię o złej woli, lecz o błędnej analizie prawdopodobieństwa Potencjalnego Zagrożenia. Jeśli Eliminacji ulegnie niewinny człowiek, nawet nie będziemy o tym wiedzieli.

— Ależ o tym mówię, słuchasz mnie w ogóle? — Rozsmuda odłożył fajkę, żeby móc swobodnie gestykulować. — Winny czy niewinny — to pojęcia, które muszą odejść do lamusa. To można stwierdzić jedynie po fakcie, kiedy do przestępstwa już doszło.

— Niepohamowana optymalizacja każdego z procesów prowadzi do absurdów.

Jeśli spotykam się z przyjacielem w karczmie, żeby ustalić szczegóły wspólnej wyprawy na praski brzeg na ryby, to stracę dużo czasu i wydam pieniądze. Logiczne wydaje się, że optymalizacja powinna skrócić czas wymiany informacji i obniżyć koszt. Moglibyśmy to załatwić przez komunikatory, nie ruszając się z domów. Zamiast kupować superwędkę, o jakich marzymy, lepiej kupić ich tańsze odpowiedniki, bo przecież często na te ryby nie będziemy łązić. A jeszcze lepiej wędkę pożyczyć i nie jechać na praski, zarośnięty brzeg, tylko na Powiśle, gdzie na betonie będzie wygodniej. Aż pewnego pięknego dnia ten proces optymalizacji doprowadzi do tego, że zamiast iść na ryby, kupimy pierdolone mrożone filety z mintaja.

— Byłoby to rozsądne.

Taliński pokręcił głową.

— Jeśli wszystko miało by podlegać maksymalnej optymalizacji, to po co samoświadomi ludzie? Lepiej zamienić nas na maszyny. Nie, co ja gadam! Lepiej zlikwidować ludzkość, bo z twojego punktu widzenia nie zajmujemy się niczym, poza zwiększaniem entropii wszechświata.

— Przyznaję, łowienie ryb w Wiśle absolutnie nie jest racjonalne.

— Ty chyba chciałbyś żyć w jakimś utopijnym socjalizmie, w społeczeństwie robotów! W historii z przyjacielem nie chodziło wcale o te cholerne ryby, których tam pewnie nawet nie ma, tylko o pretekst, żeby się napić piwa.

IV

Kilkaset metrów na zachód od parku Moczydło Wola kończyła się Bariera, za którą rozciągały się tylko czerń kosmosu i gwiazdy. Odolany i Jelonki nie przetrwały Przemiany. Teraz, nocą Harpad nie czuł tu takiego przygnębienia, ale w ciągu dnia starał się unikać dzielnic granicznych. Poniżej pięćdziesięciu metrów od Bariery iluzja słonecznego nieba zaczynała znikać. Tafla widziana pod ostrym kątem nie odbijała błękitu. Rozmyta czarna dziura na pół nieba chyba u każdego powodowała niepokój.

Jasno jak w dzień, a jednocześnie obok, na wyciągnięcie ręki gwiazdy świecą w idealnej czerni kosmosu. Człowiek czuje się, jakby stał na krańcu świata i co więcej, to odczucie odpowiada prawdzie. Tu ceny mieszkań i biur były najniższe, a wskaźnik samobójstw najwyższy. Harpad płacił za małą klitę położoną bliżej starych dzielnic, bliżej środka, by nie musieć na co dzień pamiętać, czym po Przemianie stała się Warszawa.

Sinica zagłębiała się w labirynt uliczek najstarszej części Woli. Policjantka milczała, choć kilka razy zerknęła na niego, jakby chciała o coś zapytać. Powstrzymała się.

Gabinet mieścił się w piwnicy budynku oddalonego od Bariery o nie więcej niż sto metrów. Dalej były już tylko niskie kamienice biedoty i wyrzutków społecznych.

Ostatnich kilku metrów unikały nawet bezpańskie psy. Komunikatory traciły tu zasięg, nawigacja głupiała. To nie była bezpieczna okolica. Judyta nacisnęła dzwonek, po chwili nacisnęła ponownie. Gdy gdzieś z tyłu brzęknęło tłuczone szkło, odruchowo sięgnęła do kabury ukrytej z tyłu pod kurtką. Dźwięk nie powtórzył się. W stalowych drzwiach otworzyła się mała klapka, a z otworu wyjrzała kamera. Skaner sprawdzał właśnie ich chipy ID.

— Kogo sprowadziłaś? — padło pytanie zniekształcone przez kiepski głośnik.

— Kogoś, kogo szukaliśmy — wyjaśniła.

Głośnik szczeknął i klapka się zamknęła. Zgrzytnął zamek, a drzwi uchyliły się wystarczająco, by mogli się wślizgnąć do mrocznego wnętrza. Siłownik elektryczny

zamknął je, gdy tylko znaleźli się w środku. To nie wyglądało na gabinet lekarski, chyba że doktora Frankensteina.

Słabe światło stojącej w kącie lampki ujawniało tylko kontury mebli i wyposażenia, ale to wystarczyło, by ocenić, że sprzęt medyczny nie tylko nie jest najwyższej klasy, ale jeszcze w kiepskim stanie. Na niektórych monitorach brakowało osłon, kable pozlepiano odłączającą taśmą izolacyjną.

— Zaczynam się poważnie wahać — mruknął Harpad.

— Nie będę pana kroił. — Niski, siwy pięćdziesięciolatek z zaciekawieniem patrzył zza grubych okularów. Poplamiony kombinezon, pomijając biel materiału, pasował raczej do warsztatu ślusarskiego.

— Badanie jest bezinwazyjne — dodał — chyba że leptony przenikające przez tkanki uzna pan za inwazję.

— Postaram się nie złapać jakiegoś syfa od samego patrzenia — mruknął nuzzler.

— Prześlij wyniki, jak tylko skończysz analizę, Soul. — Policjantka odwróciła się do drzwi. — Odezwę się do pana jutro przed południem.

— Mam wracać sam?

Obrzuciła Harpada spojrzeniem, w którym kryło się... chyba zmieszanie. Nie potrafił tego dokładnie określić.

— Niech pan wezwie samochód.

Będzie tu za pięć minut.

Ale czy za piętnaście będzie nadał?

Drzwi zamknęły się za nią. Harpad został sam na sam z Soulem, który wciąż wpatrywał się w niego badawczo.

— Możemy zacząć? — zapytał nuzzler.

— Możemy — odparł lekarz. Nie ruszył się z miejsca, wciąż mu się przyglądał.

— Zaczynamy więc.

Lekarz wolno podszedł do ściany i zapalił jeszcze jedną lampę. Niewiele to zmieniło w kwestii rozjaśnienia zakamarków pomieszczenia, ale przynajmniej dało się dostrzec ściany. I kolejny sprzęt medyczny. Dużo sprzętu. To nie był gabinet lekarski, nawet nie stary gabinet lekarski. Pomieszczenie wyglądało na czyściec dla zepsutych maszyn. Tu są osądzane, które na złom, a z których da się coś jeszcze wymontować i użyć ponownie.

— Jest pan lekarzem? — zapytał Harpad. — Za co pana tu zesłali?

— Żadne tam zesłanie. — Soul dotykał leżący na blacie panel sterujący. — Warto coś robić tylko dlatego, że jest słuszne. Nie mam racji?

Harpad gestem ogarnął gabinet.

— Więc tak kończą ludzie, którzy robią to, co słuszne.

— Proszę się tu położyć — powiedział lekarz sucho. Wskazał aparat składający się z ustawionego pionowo pierścienia i leżanki, która wsuwała się w jego wnętrze. — Leptony się niecierpliwią.

Harpad podejrzliwie przejechał palcem po brązowej syntetycznej skórze, którą obciągnięta była leżanka. Lepiła się obrzydliwie, jakby nie myto jej od lat. W zasadzie było mu wszystko jedno. Położył się na niej, nie zdejmując butów i od razu poczuł, jak przyklepia się. Przemknęło mu przez myśl, że odpowiedź lekarza nie była jednoznaczna. Czy słuszne jest to zajęcie, czy też jest ono karą za czynienie słusznych rzeczy?

— Co to za urządzenie? — zapytał zamiast tego.

— Nazwa nic panu nie powie.

— Lekarz flegmatycznie kończył konfigurację na tablecie. — Ma pan przy sobie jakieś metalowe przedmioty?

— Mam. Czemu pan pyta?

— Ot tak, bo mogą pana zabić podczas badania.

Harpad usiadł, wyjął zapalniczkę, papierośnicę z wygrawerowanym napisem „Dla Pawła, miłości mojego życia”, i na wszelki wypadek również komunikator.

Poklepał się po całym ciele, nic więcej nie znalazł. Scyzoryka nie odzyskał po zatrzymaniu. Rozległo się buczenie. Leżanka z przykrym dla ucha piskiem rolek wsunęła się do pierścienia.

— Niech się pan nie rusza — poprosił Soul. — Na parę minut musi się pan zamienić w sztywniaka.

Harpad leżał bez mchu przez następne dziesięć minut, podczas gdy urządzenie buczało i wydawało z siebie piski przywodzące na myśl muzykę alternatywną.

Wreszcie wszystko ucichło, a leżanka wysunęła się.

— I co, jestem zdrowy? — sarknął nuzzler, schodząc na podłogę.

— Jeszcze nie skończyłem. — Soul wskazał mu krzesło. — Nie ma pan widelca w żołądku, a to już coś.

Położył rękę Harpada na poduszce ułożonej na blacie i nasunął na nadgarstek

bransoletę połączoną wiązką kabli z kolejnym urządzeniem. Na ekranie przeskakiwały liczby, w końcu pojawił się wy kies i coś zapiszczało.

— No i po krzyku. — Lekarz zdjął bransoletę i uśmiechnął się sztucznie.

— Nano zdrowe. Czegóż chcieć więcej od życia.

— Co zdrowe?

— Nano. Ma pan zdrowe nano.

Nano oznaczało coś bardzo małego, ale z niczym konkretnym mu się nie kojarzyło.

Wstał.

— Czego chcieli się dowiedzieć?

— Może sami panu powiedzą.

— Lekarz zerknął znad okularów. — Analiza jeszcze potrwa, to stary sprzęt. Ale już widzę, że nie będą zachwyceni.

— Ich niezadowolenie mało mnie obchodzi. — Harpad narzucił kurtkę i wyszedł.

— Nie będą zadowoleni — mruknął jeszcze Soul, nim drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Triumph stał dziesięć metrów dalej.

Przedni prawy błotnik był rozwalony. Gildia mechaników samochodowych wywalczyła ustawę nakazującą właścicielowi wymianę w ciągu tygodnia każdego uszkodzonego elementu karoserii. Protesty ekologów, że wobec rosnących gór nieprzetworzonych śmieci i powiększania się Chmury należy ograniczyć niepotrzebne przetwórstwo, zdały się na nic. Każdy ciągnie w swoją stronę, nie oglądając się na resztę.

Harpad starał się patrzeć na świat wyłącznie ze swojego punktu widzenia, altruizm, myślenie globalne i temu podobne wymysły lepszych czasów ograniczając do powstrzymywania się przed niepotrzebnym szkodzeniem innym. Starał się wybierać najprostsze rozwiązania, unikając daremnych rozważań i zapychania umysłu rzeczami, na które jednostka i tak nie ma wpływu. Wniosek na dziś był jeden i to prosty: ma jeszcze trochę czasu, nim autopilot skieruje samochód do najbliższego warsztatu.

Zastanawiał się, co zrobić z resztą nocy. Zwykle szedł do baru lub zwyczajnie kładł się do łóżka i przeskakiwał kanały filmowe, oglądając każdy najwyżej kilka minut. Ostatnio doszły do tego randki z dziewczyną, z którą łączyło go chyba coś więcej niż okazjonalny seks.

Oparł się o pogięty błotnik i spojrział na nocne miasto. Światła dzielnic centralnych

wznosiły się w górę z prawej i lewej strony.

W miejscu, gdzie ulice zdawały się już piąć pionowo, tysiące migotliwych punkcików niknęło za czarną o tej porze Chmurą.

Wyżej ciemniało pozorne niebo bez gwiazd.

Że coś jest nie tak, poczuł, gdy tylko zamknął za sobą drzwi. Spojrzał w lusterko. Był tam, Buldog z tłustymi kłakami.

— Nie możecie używać komunikatorów? — warknął Harpad.

Buldog pochylił się do przodu i oparł łokieć o przedni fotel.

— Używamy. Nie odbierasz wiadomości.

Nuzzler wyjął z kieszeni komunikator — był zablokowany. Sam to zrobił podczas aresztowania, żeby policja zbyt łatwo nie dobrała się do pamięci. Nawet nie próbowali — log nie zawierał informacji o próbach dostępu. Przeczytał wiadomość od Wolfa. Wysłano ją trzy godziny temu, zawierała kolejne zlecenie. Jak zwykle nie miała charakteru rozkazu, brzmiała jak stwierdzenie przyszłych wydarzeń, jak pewność, że jego wola stanie się rzeczywistością.

— Kiedy i gdzie mam się spotkać z klientem? — rzucił niechętnie Harpad.

— Masz tu wszystkie dane, pełny profil. Szef nie chce, żebyś spotykał się z obiektem.

— Więc powiedz szefowi, że nie ma specjalnego wyboru. Muszę się spotkać.

— Szef nie będzie zadowolony.

— Może być niezadowolony, wściekły albo i wkurwiony. — Harpad był tak zmęczony długim dniem, że nawet się nie bał.

— Bez osobistego kontaktu nie dam rady sprawdzić PZ. I żadne groźby tego nie zmienią.

Buldog milczał. Potem wysiadł i bez słowa oddalił się w kierunku najbliższej bramy.

— Byle nie przed jedenastą — dodał ciszej Harpad.

W bramie pojawiły się światła pozycyjne. Czarny Oldsmobile przetoczył się obok z cichym pomnikiem silnika.

Nuzzler wysiadł, oparł się o błotnik i sięgnął po papierosa. Gdy przypalał, zauważył, że trzęsą mu się dłonie.

Więc jednak knajpa.

* * *

Knajpa Piwory mieściła się w piwnicach kamienicy na Żoliborzu. Pod gołymi ceglanyimi ścianami stały czerwone kanapy, przy nich niskie stoliki. Było dostatecznie jasno, a jednocześnie dostatecznie ciemno.

Spod długiego baru z ciasno ustawionymi wysokimi stołkami sączyło się pomarańczowe światło. Jedenasta w nocy, więc ludzi wciąż przybywało. W powietrzu wisiał dym tytoniowy, i nie tylko tytoniowy. Było to nielegalne, ale obecność dwóch gliniarzy pijących przy barze, najwyraźniej na koszt firmy, tłumaczyła wiele.

Harpad siedział na wysokim stołku barowym, wciśniętym w kąt za automatem hazardowym. Stukot mechanizmu naśladowującego brzęk monet zupełnie mu nie przeszkadzał. Nie próbował zbierać myśli, chciał ich się pozbyć. Po trzecim drinku zrozumiał, że to będzie trudne, zadał sobie bowiem pytanie, skąd właściwie Buldog wiedział, gdzie go szukać. No i skąd przedtem Wolf wiedział, że Harpad jest w zoo?

Komunikatory ani chipy ID nie miały lokalizatorów. Znacznie prościej było namierzyć samochód. Może nawet nie musieli się włamywać do systemów bezpieczeństwa mchu. Wystarczyłaby pluskwa przyklejona gdziekolwiek. Trzeba to sprawdzić.

I wymienić zamek. Taaa, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

Pieniądze w schowku pozostały nietknięte, a w miejscu takim jak to papier był honorowany chętniej niż przelew. Czysty zysk.

Obracał w dłoniach banknot sprzed Przemiany. Znad jedynki i trzech zer patrzył na niego Mikołaj Kopernik. Stary astronom nie uwierzyłby, co ludzie zrobili z Układem Słonecznym.

Machnął do barmana i wskazał szklanę. To jedyny sprawdzony sposób na odegnanie złych myśli. Dobrych nie było.

W okolicach szóstego drinka na stołku obok siedziała już ona. A może tylko tak mu się wydawało?

Gdy otworzył oczy, nie zobaczył niczego. Co gorsza, nie pamiętał również, co robił przed położeniem się. Bolała go głowa, a w ustach miał małą lokalną pustynię. Poruszył nogą i skrzywił się z bólu.

Połowa ciała zdrętwiała od leżenia w niewygodnej pozycji. Pomacał podłogę. To

z pewnością nie jego łóżko. Materac był twardy i szczerze mówiąc, trochę mokry.

Powietrze również było wilgotne i jechało stęchlizną. Zamrugał, ale nic się nie zmieniło. Ciemność. Uniósł prawą dłoń i przysunął do twarzy. Błada plama oznaczała, że ciemność nie jest idealna. Wcześniej musiał leżeć na lewym ramieniu, bo na próbę poruszenia reagowało tysiącem zimnych igiełek.

Mimo bólu zmusił się, by usiąść. Stęknął, ale udało mu się. Opuścił nogi i poczuł pod bosymi stopami zimny, goły beton.

Cały obolały, czuł się, jakby ktoś go pobił albo wyrzucił z jadącego autobusu. Niestety nie pamiętał, co wydarzyło się naprawdę. Gdy zbierał strzępy myśli, obok w ciemności coś zatrzeszczało i zaszele ściło.

Znieruchomiał.

— Obudziłeś się...

Odwrócił głowę w stronę, skąd dochodził głos. Tam też była ciemność.

— Kto tu jest? — zapytał ostrożnie.

— Nieważne. Więcej się nie spotkamy.

— Filozof — prychnął.

Odpowiedzią był stłumiony śmiech, który równie dobrze mógł być tylko westchnieniem.

Siedział nieruchomo. Nie wiedział, co powinien zrobić. Dotarło do niego, że trafił do czegoś w rodzaju aresztu, ale aresztu urągajacemu wszelkim standardom.

— Jak cię doiwali? — zapytał głos.

— Dorwali...? — zdziwił się. — No tak, skoro tu jestem.

Więc go aresztowali. Za co?

Ktoś w sąsiedniej celi próbował szarpać kratami. Te były widocznie idealnie spasowane, bo mimo szarpania metal ani drgnął.

Tylko błada postać poruszała się gwałtownie.

— Zajebię gnoi! — wściekły głos poniósł się echem korytarzami. — Nawet kibla nie ma! Wypuście mnie!!!

Współwięzień wstał i kulejąc, podszedł do krat.

— Nie drzyj japy, bo nie dadzą nam obiadu — powiedział spokojnie.

Ubranie! Pomacał się po ciele i z przykrością stwierdził, że gdzieś zniknęło, a w jego miejsce pojawiła się szorstka piżama, czy raczej drelich więzienny, może kombinezon.

— Złożę zażalenie — oświadczył w ciemność.

— Rób, co chcesz. Nie masz nic do stracenia. — Współwięzień wrócił na swoje miejsce i ciężko usiadł. — Poza obiadem.

Gdzieś w korytarzu zapaliło się słabe światło. Odległość, z jakiej dochodziło, kazała przypuszczać, że to wielki budynek.

Strażnik zbliżał się niespiesznie. Niósł latarnię dającą słabe żółtawe światło.

Wstał z pryczy i zmusił nogi, by go zaprowadziły do krat, pionowych stalowych prętów grubszych od kciuka. Przy okazji dostrzegł, że jego ubranie ma kolor pomarańczowy.

— Chcę zadzwonić — oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Mam prawo do jednej rozmowy!

— Nie masz żadnych praw — wtrącił współwięzień. — Siedź i czekaj.

— Strażnik! Chcę zadzwonić!

Strażnik nie zwrócił na niego uwagi.

Co więcej, nie był człowiekiem. Masywna, prawie dwumetrowa maszyna na gaśnicach minęła celę i już się oddalała. Nie dało się dostrzec wielu szczegółów poza potężnymi hydraulicznymi ramionami.

— Jestem prawnikiem! Nazywam się Marek Reweda i jestem szanowanym adwokatem!

Współwięzień westchnął.

— Nie ma znaczenia, kim jesteś.

A raczej kim byłeś. Ja prowadziłem kiosk.

Tam mogłeś być nawet prezydentem, tu jesteś nikim.

— Zaskarżę was! — Prawnik nie słuchał. — Za bezprawne aresztowanie nie wypłacicie się do usranej śmierci!

— Aresztowanie? — Wychudła twarz kioskarza zamajaczyła w słabnącym świetle latarni. — Nic nie pamiętasz?

Świszczący i warczący komunikator przerwał sen i rozpoczął egzekucję kary za wczorajsze ekscesy. Harpad nienawidził tego momentu, a jednocześnie nigdy o nim nie pamiętał, gdy zaczynał pić.

Wstać? Nie wstać? Żadna z opcji nie służyła niczemu. Zasnąć już się nie da, to akurat wiedział z doświadczenia. Wstał wreszcie i wyjrzał przez okno. To nigdy nie pomagało,

ale i tak zawsze to robił. Przy ładnej pogodzie, jeśli dłonią przysłonić Niesłońce, między wieżowcami Centrum daleko na północy dawało się dostrzec budynki Muranowa niemal dokładnie pod kątem czterdziestu pięciu stopni z góry. Nie dziś.

Wschód, zachód, północ, południe — tych określeń używano z rozpędu. Kompas w Pierścieniu Warszawa wskazywał wyłącznie najbliższy magnes. Prawdziwe Słońce znajdowało się w płaszczyźnie pierścienia, zasilając panele słoneczne na jego obwodzie. Z żadnego miejsca nie można go było dojrzeć. Źródło światła znajdowało się w Chmurze. Niesłońce zapalało się i gasło, pilnując rytmu dwudziestoczworgodzinny. Rozmyte cienie nie przesuwały się wraz ze wskazówkami zegara. Sztuczna gwiazda trwała w zenicie, skryta za mgłą, czasem gęstsza, czasem rzadsza, zależnie od nieznanymi czynników.

Dzień podobny był do dnia, od dziewięćdziesięciu lat trwała wczesna, kapryśna jesień.

Podczas Przemiany kamienice podwyższono, obniżając jednocześnie piętra i dzieląc mieszkania na mniejsze. Warszawa była jednym z tych miast, które się na to zdecydowały, zamiast budować wszystko od nowa. Lepsza, zoptymalizowana Barcelona czy Santiago ze starego układu zachowały tylko największe zabytki. Resztę zaprojektowano tak, by jak najlepiej wykorzystać przestrzeń pierścienia. To było popularniejsze rozwiązanie, ale zdaniem Harpada lepiej mieszkać w ciasnej klicie w udającej miasto Warszawie niż w trzy razy większej trzydziestopiętrowej piwnicy gdzieś w Bangalore.

Komunikator odezwał się ponownie.

Harpad ukląkł na łóżku i zerknął na ekran.

Trzy nieprzeczytane wiadomości. Judyta pilnie chce się spotkać. Nadawca identyfikuje się jako „oficer #26”, ale wiadomo, że to ona. Wolf też chce się spotkać o jedenastej piętnaście na Polu Mokotowskim. Nie, nie chce — Wolf spotka się o jedenastej piętnaście na Polu Mokotowskim. To za pół godziny!

Harpad nieco otrzeźwiał. Mało czasu.

Na stole znalazł kanapki i kartkę o koktajlu w lodówce. Mokry ręcznik leżał na krześle, łazienka była jeszcze zaparowana.

Wciągnął w nozdrza nikły ślad zapachu perfum. Przywodziły na myśl coś miłego i ekscytującego. Pożałował, że tak mało pamięta z ostatniej nocy.

Wziął zimny prysznic, dzięki czemu poczuł się trochę mniej jak stary but. Kiedy wsiadał do windy, wezwał samochód z podziemnego garażu. Kilka minut później jechał już aleją Świętego Jana Pawła II.

Przełączył autopilota w tryb komfortowy, którego nie używał prawie nigdy. Lepiej dotrzeć dwie minuty później, niż puścić pawia na następnym zakręcie.

Po Przemianie przybyło zakrętów.

Układ ulic został naciągnięty, jakby był z gumy. Celem było częściowe wyprostowanie linii Wisły, by mogła stworzyć obieg zamknięty, oraz uratowanie co cenniejszych obszarów miejskich. Widać to było w niektórych miejscach całkiem wyraźnie, gdy proste wcześniej ulice zamieniono w kręte. Na przykład oś ujazdowska biegła po łuku. Największą zmianą okazało się jednak wrzucenie okrojonego Ursusa nad Łomianki, a pod Ursynów. Nikogo to wła ściwie nie obchodziło, bo nikt nie pamiętał, jak było przedtem.

Wysiadł na Batorego i odesłał Triumphą na najbliższy parking. Dzień był nieznośnie słoneczny. Wysoko ponad koronami wiekowych topoli z mglistego błękitu wyłaniała się pionowa, geometryczna siatka ulic Mokotowa.

Wszedł na trawnik, między dziesiątki warszawiaków, chcących spędzić południe w największym miejskim parku. Pole Mokotowskie zawijało się w górę aż do Wawelskiej. Od zachodu wznosiły się wielopoziomowe wiszące ogrody. Skomplikowana struktura z tej odległości wyglądała jak powiększony milionkrotnie odłamek pumeksu. W miarę zbliżania się do nich, ujawniały swą złożoną, uporządkowaną strukturę. Kolejne kilkunastometrowe platformy połączono wąskimi pomostami.

Dziesięć, może dwanaście poziomów — trudno to zresztą określić, bo pułap platform zmieniał się losowo, sterowany centralnym systemem parku — pięło się w górę bądź opadało w tempie kilkudziesięciu centymetrów na godzinę. Od spodu pokryto je emiterami światła w paśmie dziennym, nawet na samym dole było więc jasno.

Snuł się po poziomie zero, czekając na wiadomość od Wolfa, i walczył z ochotą położenia się zwyczajnie, jak żuł, na trawie w cieniu. Miał pięć minut zapasu. Korciło go, żeby wysłać wiadomość do Maiysi, przeprosić za wczoraj, wytłumaczyć niewytłumaczalne i obiecać gwiazdkę z nieba za dwa tygodnie. Wraz z trzeźwieniem zaczynał się długi etap oczekiwania na kolejne kilkugodzinne święto spotkania z córką.

Nie napisał niczego. To tylko rozsierdzi łoby Renatę, na pewno czytała

korespondencję Marysi. To milczenie suczy, którą jeszcze rok temu uważał za kobietę swego życia, było bardziej wymowne niż zwyczajowy stek wyzwisk.

Zapikał komunikator. Wiadomość od Wolfa z dokładnym miejscem spotkania.

Animowana mapka na ekranie komunikatora prowadziła go do jednego z wejść na parking podziemny. Bezpiecznie rozmawiać można tylko w przestrzeni izolowanej akustycznie i elektromagnetycznie, czyli na przykład we wnętrzu odpowiednio zabezpieczonej limuzyny, po ukryciu komunikatorów w dyskreterze.

Zjechał windą ukrytą w pniu sztucznego dębu. Czarnego Oldsmobila Wolfa poznał od razu. Samochód wystawał poza linię miejsca parkingowego. O tylny błotnik opierał się Buldog. Bawił się elastomerową łamigłówką. Na widok Harpada schował zabawkę do kieszeni i głową wskazał tylne drzwi. Zatrzymali się przy czarnej lustrzanej szybie i ochroniarz wyszeptał kilka słów do mankietu. Harpad stał cierpliwie, pukanie nie miało sensu, skoro wnętrze jest izolowane. Po chwili drzwi otworzyły się. Harpad, z duszą na ramieniu, wsiadł. W świetle odkładanego na fotel komunikatora zobaczył profil mężczyzny.

Ostre rysy, tylko tyle zarejestrował, nim zapadła ciemność. Czekał.

— Stwarzasz problemy — odezwał się wilczy głos.

Nuzzler przełknął ślinę. Tamten pochylił się do niego. Spod rozpiętej koszuli wysunął się srebrny łańcuszek i błysnął kółkiem, na którym nic nie wisiało. Harpad, idąc tu, powtarzał sobie, że tym razem nie da się zastraszyć. Jednak teraz, kiedy siedział w ciemności na wprost tego człowieka, puls w tajemniczy sposób przyspieszał, a dłonie wilgotniały.

— Późno poszedłem spać... — Kiedy już to mówił, zrozumiał, że chodzi o coś innego. — Muszę osobiście spotkać obiekt.

Klienta. Inaczej nie potrafię odnaleźć jego rekordu.

Chwila ciężkiego milczenia.

— Czego chciała od ciebie policja?

Ile może powiedzieć? Ile tamten wie?

— Miałem stłuczkę. — Badał grunt.

— Twierdzą, że ktoś manipulował przy systemie antykolizyjnym.

— Pytam, czego chciała od ciebie policja.

Więc wie więcej.

— Zabraли mnie na komisariat i trzymali kilka godzin. — Gładko udał, że opowiada chronologicznie. — Potem mi powiedzieli, że chcą wykorzystać moje zdolności. — Trzeba też powiedzieć o wizycie u tego konowała. — Robili mi jakieś badania. Nie wiem jakie. O was nie wspomniałem! Zresztą interesuje ich co innego.

— Co?

— Czyjeś PZ. Nie wiem czyje.

— Kiedy będziesz wiedział?

— Dziś chcą się spotkać. Może się dowiem. To nie ma związku z wami.

Owszem, ma związek. Dla takich ludzi jak Wolf związek zawsze istnieje. Informacja jest potencjalnym zyskiem, bo można ją sprzedać, choćby owemu politykowi.

— Sprawdzisz tego człowieka.

— Przed nosem Harpada pojawił się ekran z obracającą się animacją głowy mężczyzny po pięćdziesiątce. Siwe włosy, szeroki kark, inteligentny wyraz twarzy. Harpadowi niespodziewanie wydał się znajomy.

— Spotkasz go za kwadrans, tu. — Komunikator nuzzlera zapikał, odebrał punkt oznaczający miejsce spotkania. — Zrobisz to tak, żeby się nie zorientował, że jesteś tam z jego powodu. No już, idziesz, masz mało czasu.

— Muszę zamienić z nim kilka słów — powiedział nuzzler. — Bez tego nie zdołam — Nie zamienisz z nim ani słowa. Jak już będziesz znał jego PZ, wrócisz tutaj.

Drzwi otworzyły się. Harpad skinął głową i wysiadł.

— Zainstaluj to — powiedział Buldog.

— Od tej chwili używasz komunikatora tylko do ustalania miejsca i czasu spotkania. Wszystko inne tylko w cztery oczy.

Zanim Harpad zdążył zapytać, co ma zainstalować, komunikator piknął, oznajmiając odebranie pliku. Zerknął na ekran.

Program czyszczący pamięć wiadomości.

Zapewne tylko tych od Wolfa. Uruchomił go dopiero w windzie. „Każdą wiadomość będziesz mógł odczytać tylko raz” — tak przynajmniej głosił komunikat, który pojawił się na ekranie i zaraz zniknął. „Również tę”. Program nie respektował standardów, bo zaczął pracę od skasowania, bez pytania, całej korespondencji z Wolfem.

Zerkając na ekran i lawirując między spacerowiczami, przeszedł do kolejnej windy kursującej pomiędzy ruchomymi platformami. Gdy patrzyło się w górę przez szklany

dach windy, widać było regułę, zgodnie z którą zaprojektowano park. Rzut poziomy wiszących ogrodów Pola Mokotowskiego dawał sześciokątną regularność sieci krystalicznej, gdzie wierzchołkami sześciokąta były środki platform. Chaos wielopoziomowego układu przestrzennego powrócił, gdy Harpad wysiadł na poziomie szóstym. Alejką wśród paproci, jałowców i sosen doszedł do nieregularnego centralnego placu z ławkami i małą fontanną.

Ponownie zerknął na ekran. Kilka złoteuro odpłynęło do właściciela parku. Miejsce spotkania znajdowało się gdzieś tu, a zostało do niego dziesięć sekund...

Uniósł wzrok i ujrzał idących w jego kierunku mężczyznę ze zdjęcia i kobietę. Stał, zaskoczony. Tamten posłał mu przelotne spojrzenie i przeszedł obok, nie przerywając rozmowy. Nuzzler otrząsnął się i zrozumiał, co było przyczyną jego zdziwienia. Facet nazywał się Waldemar Kruszewski i był radnym, często pojawiającym się w serwisach sieciowych. Przy oficjalnych okazjach przeważnie towarzyszyła mu żona, ale teraz to nie była ona. Asystentka?

Dziennikarka? Radny spotyka się z mnóstwem ludzi. Ktoś taki jest przyzwyczajony do ciekawskich spojrzeń, pewnie więc już zapomniał o nuzzlerze.

Harpad odprowadził ich wzrokiem.

Lekko wznoszącym się pomostem przeszli na platformę, na której rosły wierzby płaczące. Gałęzie malowniczo opadały na niższy poziom. Para zniknęła w cieniu drzew.

Skąd właściwie Wolf znał tak dokładnie czas i miejsce pobytu polityka? Kim on jest? Co jest jego celem? Harpad zastanowił się, czy w ogóle chciałby poznać odpowiedzi.

Wybrał ławkę w zarośniętym zakątku platformy i rozsiadł się na niej, udając, że wystawia twarz do Niesłońca, a konkretnie do lamp platformy powyżej. Zamknął oczy, wcisnął przycisk za uchem i wszedł w trans. Drgnął, gdy pojawił się czeiwony rekord radnego Kruszewskiego. Nie musiał go szukać, od razu znalazł się w odpowiednim miejscu. Czyli jednak możliwe jest odnalezienie rekordu bez interakcji z obiektem. A może to tak działa w przypadku osób publicznych?

Tym razem rekord był skomplikowaną przestrzenną strukturą posłuszną myślom nuzzlera. Przekonał się o tym od razu, gdy jego niewypowiedziane pytanie o ową kobietę spowodowało wysunięcie się klockaelementu połączonego z nicią. Wiedział, co jest na końcu każdej nici, bez konieczności podążania wzdłuż niej. Eliza Strumińska, asystentka radnego. Na większości różnokształtnych klocków, z których składał się rekord, Harpad

nie dostrzegając żadnych napisów. Po prostu wiedział, jaką informację zawiera każdy klocek. Wybrał ten z zapisaną wartością PZ. Sto trzydzieści trzy. Nie uwierzył, sprawdził ponownie.

Sto trzydzieści trzy. Największy wynik, jaki do tej pory widział. W czasie całej swojej kariery spotkał ledwie kilka osób, które nieznacznie przekroczyły setkę. Do wczoraj. Poczynając od spotkania w zoo, wyniki szybowały w górę. To się nazywa wpaść w złe towarzystwo.

Czerwony był nie tylko rekord, ale i przestrzeń wokoło. Mimo zabarwienia powietrze pozostawało przejrzyste, co przeczyłoby prawom optyki w realnym świecie.

Obok unosiły się inne rekordy, również czerwone, z odchodzącymi od nich czerwonymi nićmi. Wiedział, do kogo należą.

W tym świecie Harpad pozostawał bezcielesny, a środowisko poddawało się jego woli. Dotknął, nie dotykając, klocka z wartością sto trzydzieści trzy i niespodziewanie znalazł się w innym miejscu, poza sferą rekordów. Tu nie było kolorów, nie było niczego, co potrafiłby nazwać. Bąbel wrażeń bez definicji, bez obrazów, bez wymiarów. Inny poziom struktury g.A.I.a. Trafił do wnętrza maszyny przeliczającej punkty.

Rozumiał wszystko, na czym skupił uwagę, ale nie ogarniał całości. Złożoność g.A.I.a.

przekraczała zdolności poznawcze jego białkowego mózgu. Wrażenie było tak nagłe, że nawet nie zdążył się zdziwić.

Wycofał się szybko między kanciaste rekordy, ale zdobył nową wiedzę. To, co przed chwilą przeżył, przypominało nikielne wspomnienie snu, który pozostawia emocje, choć sama jego fabuła zamienia się we mgłę. Chwycił i wysiłkiem woli przyciągnął do siebie jedyne, co zapamiętał.

Była to liczba sto trzydzieści siedem. Drugi próg PZ. Ten, po którego przekroczeniu człowiek znika i nigdy już nie wraca.

Ujrzał skalę PZ, a konkretnie — jej dwa punkty krytyczne. Pomyślał, że jest jedynym człowiekiem, który zna drugi próg.

Silniejsze okazało się jednak wrażenie po krótkiej wizycie w bąblu. Dawała ona pojęcie o złożoności g.A.I.a. A to przecież nie jej prawdziwe serce, lecz jedynie druga warstwa powłoki.

Poczuł, że we wnętrzości ktoś jeszcze jest! Obserwował Harpada z oddali, sam

pozostając niewidoczny.

Harpad rozejrzył się po znajomozmienionej przestrzeni rekordów pierwszej, najpłytszej warstwy, którą jeszcze przed chwilą uważał za jedyną. W pewnym stopniu nad nią panował, a przynajmniej panował nad jej obrazem, który trafiał do jego świadomości. Spróbował odgadnąć, gdzie ukrył się tajemniczy obserwator. W odpowiedzi uczucie zaczęło słabnąć i po chwili znów był sam. Może to było tylko złudzenie? Nikt przecież nie zaprojektował tych kanciastych, klockowatych, ruchomych rekordów; nikt nie plótł nici między nimi.

To tylko gra wyobraźni, jakiś spontaniczny interfejs, który powstał między nim a g.A.I.a.

Sięgnął do jednej z nici przy rekordzie radnego, dziwnie znajomej. Podążył za nią i przyjął dwie informacje: że powiązany rekord należy do niego samego i że jego wartość PZ wynosi zero. Zero. Osłupiał.

Nie ma takiej wartości!

Ocknął się. Zdezorientowany, nie wiedział, gdzie się znajduje. Dopiero po chwili dotarło do niego, że siedzi na ławce w parku. Musiał wyglądać naprawdę źle, bo przechodząca obok kobieta przyspieszyła kroku.

Oddychał szybko, wciąż pod wrażeniem przypadkowego odkrycia. Platforma parkowa Pola Mokotowskiego powoli stawała się realna, bardziej realna od wnętrzości g.A.I.a. Nigdy nie sprawdził sam siebie. Wiedział, że jeśli zacznie, nie będzie mógł przestać. To jeden z powodów, dla których PZ pozostawało tajne. Poznanie wartości zmiennej silnie wpływałoby na tę wartość — następowałoby sprzężenie. Harpadowi wystarczała pewność, że jest daleko od setki. Ale zero? Tyle ma dzieciak minutę po wzorowym porodzie. Licznik tak naprawdę startował gdzieś między drugim a trzecim rokiem życia, kiedy to kształtowała się świadomość. Najniższe wyniki, jakie widział u dorosłych, nie schodziły poniżej pięćdziesięciu.

Wstał i mszył w kierunku windy.

Wszystko wokół zdawało się filmem. Czucie i kontrola nad ciałem zaczęły wracać, gdy przewrócił się o własne nogi. Ktoś pomógł mu się podnieść, ale kiedy już stał, uścisk nie zelżał. Pociągnięty w krzaki, niemal znów upadł. Był jak pijany, poczuł jednak, że przeciwnik nie jest zbyt silny. Ktoś próbował go jednocześnie obezwładnić i utrzymać w pozycji pionowej. Oba te cele okazały się sprzeczne, bo zdołał się wyszarpnąć.

— Jesteś zwykłym oszustem!

— wykrzyczała Judyta. — Pseudonuzzlerem jak inni. Trochę sprytniejszym, lepiej grającym, ale oszustem.

Znajdowali się w niskiej grocie utworzonej wewnątrz korony wierzby. Pień był słupem podtrzymującym ażurowe sklepienie. Widział czerwoną ze złości twarz dziewczyny w ruchomych cieniach i blaskach prześwitującego przez liście Słońca Niesłońca.

— Nie masz w głowie żadnego chipa.

— Dyszała gniewem. — Nie masz tam nic!

— Dźgnęła go palcem w skroń.

Cofnął się o krok.

— Jest z tyłu głowy. — Zbliżył palec do prawego ucha. — Tutaj. Włącznik jest tutaj. Naciskam go i wchodzę...

— Masz tam chrząstkę. Może narodził.

Nawet bez unerwienia.

Harpad musnął opuszkami palców zgrubienie za uchem.

— To jest włącznik — powiedział już mniej pewnie. — Niezbędny.

— Niczemu nie służy. Jest jak pieprzyk na tyłku. — Judyta pokręciła głową.

— Skąd ty się w ogóle wzięłeś?

— Żyłem sobie spokojnie. — Teraz powoli wzbierała w nim złość. — Wczoraj z buciarami wpieprzyliście się w mój świat.

Niczego nie chciałem. A już na pewno nie tego, co teraz się dzieje.

— Święty się znalazł! Nie trafiliśmy na ciebie bez powodu. Żresz się z byłą o dziecko. Od razu wyczułeś szansę. Udawałeś tylko, żeby więcej wynegocjować.

Nagle, irracjonalnie, zupełnie bez powodu, chwycił ją, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Zaskoczona, próbowała się wyrwać, ale wyszło to jeszcze bardziej nieudolnie.

— Przepraszam. — Odskoczył od niej i schował ręce za siebie. — Po transie przez jakiś czas nie jestem sobą.

— Jakim transie, człowieku?

— Wytarła usta rękawem. — Jesteś...

wszyscy uważają, że jesteś oszustem.

Zaczął jej recytować wszystko, co o niej wiedział, sam zaskoczony rozległo ściami tej wiedzy: imię, dane medyczne, stan konta, a potem imiona dwóch chłopaków, z którymi chodziła w liceum i na studiach.

Gdy doszedł do listy wczorajszych zakupów, zamilkł.

Patrzyła przerażona.

— Skąd to wiesz? — zapytała cicho.

— Z wewnętrzności g.A.I.a. — odparł spokojnie. — Dlatego mnie osaczyliście.

Znalazłem tego człowieka, to radny Kruszewski. Jego PZ to sto trzydzieści trzy. Do Eliminacji brakuje mu czterech punktów.

Tego ode mnie chcieliście, prawda? Sto trzydzieści siedem to drugi próg. Już wszystko wiecie. Czy teraz dacie mi cholerny spokój — niezamierzenie podniósł głos — i mój pierdolony certyfikat perfekcyjnego ojca?!

Złość odpływała z niej szybko. Wyglądała, jakby z czymś walczyła i siłą się powstrzymywała. Dotknęła jego ramienia, cofnęła dłoń i powiedziała: — Może mówisz prawdę, a może jesteś sprytnym oszustem. Dziś się sprawa rozstrzygnie, a swoją zapłatę dostaniesz po wszystkim.

— Po jakim wszystkim?

— Po tym, jak Kruszewski przekroczy drugi próg i zniknie w Eliminacji.

Rozgarnęła gałęzie i wyszła z roślinnej groty. Zerwał się lekki wietrzyk, oszołomiony Harpad stał wśród ruchomych cieni rzucanych przez wierzbowe gałązki. Wnętrze pierścienia było wystarczająco duże, by pojawiały się tu niespodziewane podmuchy. Nikt nie znał ich przyczyny. Najpewniej była to suma całkowicie nieprzewidywalnych zjawisk, które zamieniały prognozę pogody w loterię. Po chwili wiatr ucichł. Nuzzler wyszedł do światła. Nigdzie nie widział Judyty, powlókł się więc do windy na parking. Drzwi limuzyny otworzyły się od razu. Wsiadł, nadal w półśnie.

— Sto trzydzieści trzy — rzucił w mrok.

Szczęknął metal. Światło zapalniczki na moment wydobyło z mroku ostre rysy twarzy. Wnętrze wypełniło się dymem cygara.

— Nienawidzisz jej.

Harpad skojarzył, że mowa o jego byłej. Skinął głową.

— Zgadza się — dodał szybko, bo zdał sobie sprawę, że w ciemności nie widać gestów. — Zabrała mi córkę.

— My pomagamy przyjaciołom. Jeżeli zrobisz, co każe, twój problem zniknie.

— Chcesz ją... zabić?

— Twój problem zniknie — powtórzył Wolf. — Wykonasz zadanie, a Maria będzie bezpiecznie dorastać. Z tobą.

Harpad zwilżył językiem spierzchnięte wargi. Każde napomknięcie o Marysi w ustach tego człowieka brzmiało jak groźba.

— Na czym polega to zadanie?

— Obniżysz PZ radnego Kaliszewskiego do wartości dziewięćdziesiąt.

— To... niemożliwe.

W ciemności rozżarzyło się pomarańczowe światełko.

— Masz czas do wpół do dziewiątej.

Drzwi otworzyły się z cichym sykiem.

Harpad bez ponaglania wyszedł na beton parkingu. Nie oglądając się za siebie, dotarł do windy. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że jeśli nie wykona zadania, to sam zniknie. Wiedział również, że nie potrafi tego zrobić. PZ nie daje się modyfikować.

Zostało mu zatem kilka dni życia.

Nigdy więcej nie zobaczy już córki.

Nie, to nie takie proste. W życiu zawsze jest trzecia droga. I czwarta, i piąta... Ta rozmowa służyła przekazaniu niewypowiedzianej groźby, z zawołowanym drugim dnem dotyczącym Marysi.

„Będzie bezpiecznie dorastać”. Jeżeli on wykona zadanie.

Przypomniała mu się stara kreskówka: kaczor Duffy zmuszany przez gangstera do złożenia złotego jaja. Duffy dobrze wiedział, że ani nie zniesie jaja, ani tym bardziej złotego. Grał więc na zwłokę, zwodził i naciągał gangstera na kolejne luksusy, które niby pomogą mu się skupić. Gra na zwłokę... W tej sytuacji to niemożliwe.

Z jakiejś przyczyny wszyscy chcieli załatwić swoje sprawy do wpół do dziewiątej.

I wtedy dotarło do niego: albo Wolf, albo Judyta. Wolf chciał obniżyć PZ radnego, Judycie, a raczej jej mocodawcom, zależało, żeby przekroczył drugi próg. Sprzeczność. Odmówi Wolfowi — zginie, wykona jego zadanie — przeżyje, ale córki i tak nie zobaczy, bo Judyta wpakuje go do więzienia za przestępstwa przeciw całej masie paragrafów, których nawet nie znał.

Stanął przy zatoczce na Batorego i zorientował się, że nie wezwał samochodu.

Dotknął ekranu komunikatora. Przy okazji sprawdził, czy są jakieś *newsy* o tym, co będzie robił Kruszewski o ósmej trzydzieści. Otóż były — od siódmej do ósmej czekała go debata w Gmachu Rady. Co zatem może robić pół godziny później?

Z dwiema dziwkami wciągać kreskę w pokoju hotelowym?

Czekając, przyglądał się innym. Całe rodziny wsiadały do autaxów — automatycznych taksówek. Na Polu Mokotowskim nie było może tego tak widać, ale statystycznie rodziny pojawiały się coraz rzadziej. Często wybierano niezależność, jakby w oczekiwaniu, aż dziwne czasy miną. Ale przecież one nie miną, pierścienie nigdzie nie dolecą. Kręcą się w kółko na słonecznej karuzeli. Karuzeli z diabelskich młynów. Różaniec miast nanizanych na nić grawitacyjną. Prędkość obrotowa dobrana tak, by udawać grawitację, czas obiegu wokół Słońca identyczny z dawnym rokiem ziemskim. Nie ma stąd ucieczki.

Nie może nawet zabrać Marysi i uciec do innego miasta. Procedura emigracyjna jest skomplikowana, obliczona na zniechęcenie.

Do odrzucenia wniosku wystarczył drobiazg, a rozbita rodzina to znacznie więcej niż drobiazg. Będzie się tu więc kręcił.

Żywy albo martwy.

Zwalił się na fotel Triumphu i odpalił autopilota. Nie miał siły prowadzić. Nie miał siły zadawać celu, dotknął losowego punktu na mapie i po prostu patrzył za okno. Pogoda zmieniła się diametralnie.

Rzędy identycznych wieżowców wzdłuż alei Świętego Jana Pawła II rozmywały się w deszczu gdzieś koło pięćdziesiątej kondygnacji. Triumph wolno sunął szarym kanionem obok innych szarych samochodów. Bokiem, co jakiś czas przemykał audost. Na chodnikach szarzały nakryte parasolami i folią stoiska sprzedające pierogi i hamburgery, dalej przemykali szarzy ludzie, ledwo widoczni w strumieniach lejącej się z góry wody. Nawet światła reklam wydawały się szare.

Wtedy pomyślał o niej. Po rozpadzie małżeństwa rzucił się w wir romansów, jeśli romansami można nazwać nocne przygody, po których co najmniej jedna strona była zażenowana swoją wieczorną słabo ścią i pragnęła tylko jak najszybciej o wszystkim zapomnieć. Z nią było inaczej.

Mimo wypijanych przez niego kolejek chciała się spotkać ponownie, a on nawet nie pomyślał, by jej odmówić.

Nowy start? Nowe życie?

Żeby tylko tego nie spieprzyć. Spróbować choć raz na trzeźwo.

Odszukał w komunikatorze jej wizytówkę i wysłał wiadomość: „Zjesz ze mną lunch?”. Odpowiedź przyszła po chwili.

Adres knajpki.

Harpad głęboko odetchnął. Tylko nie spieprzyć.

V

— Dlaczego akurat tu?

Nadwiślański bulwar na wysokości Starego Miasta.

— Zmiana otoczenia. Coś nowego, żeby przykuć uwagę.

— Nie mamy czasu na takie duperele.

— Proszę mi wierzyć, wszystko zaplanowałem.

Joachim Wielicki nie wyglądał na przekonanego. Wysoki i siwowłosy, szedł wolno z rękoma w kieszeniach eleganckiego ciemnoszarego garnituru, wodził wzrokiem po przeciwnym, zarośniętym drzewami praskim brzegu Wisły, po ponurych kłocach wieżowców Portu Praskiego i po niższych o połowę biurowcach Powiśla. Niecierpliwił się. Garnitur idącego o pół kroku za nim Sylwestra Solińskiego był o klasę gorszy od garderoby szefa.

Znacznie młodszy sekretarz z powodu sporej nadwagi pocił się intensywnie, choć nie było szczególnie gorąco. Woda obmywająca betonowe schody kilka kroków od nich dodatkowo schładzała powietrze.

Wielicki zerkał dyskretnie na nielicznych spacerowiczów, choć trzymający się kilka kroków z tyłu trzej ochroniarze na pewno nie zaniebdywali obowiązków.

Ludzie zresztą przenosili się do knajpek mieszczących się w przeszklonych pawilonach i do zadaszonych altanek, Chmura gęstniała, co zapowiadało w niedługim czasie deszcz.

Lepiej, żeby jeszcze przez kwadrans nie padało.

— Jest tam. — Sylwester z ulgą wskazał chudzielca w kurtce z logo Kanału Siódmego, który stał na tle mostu Gdańskiego i gmerał w zawieszanej na ramieniu torbie.

Przyspieszyli kroku. Obecność ochroniarzy niestety rzucała się w oczy, a to z kolei sprawiało, że spacerowicze rozpoznawali Wielickiego. Sytuacja wydawała mu się nieco dziwna, ale ufał swojemu sekretarzowi. Oczywiście w granicach rozsądku.

Reporter przywitał się uściskiem ręki, nie patrząc mu w oczy. Przedstawił się tak

niewyraźnie, że Wielicki nie zrozumiał, ale prawdę mówiąc, nie obchodziło go to ani trochę. Chciał to już mieć za sobą. Reporter wyjął z torby dwudziestoparocentymetrowego drona z kamerą i lekko podrzucił go.

Maszyna, mimo wyczuwalnego wiatru, zawisła nieruchomo trzy metry nad ziemią.

Cztery niezależne wirniki w ruchomych tulejach na obwodzie korpusu podrygiwały, reagując na podmuchy.

— Możemy powoli zaczynać — powiedział reporter, jednak wciąż gmerał przy pilocie od kamery i przeglądał ekran komunikatora. — Już zaraz...

Wielicki przyglądał się temu z lekkim zniecierpliwieniem. Odniósł wrażenie, że tamten na coś czeka, gra na zwłokę. Zerknął na Sylwestra, który również wyglądał na podenerwowanego, rozglądał się.

— Ruchy, człowieku. — Wielicki, silił się na spokój.

— Już, już... — Reporter niezdarnie walczył z teleskopowymi podporami przypiętymi do grubego pasa, po czym zajął się wyregulowaniem pasków przy goglach VR.

Zachowywał się, jakby robił to pierwszy raz. Gdy już je założył i powierzył swoją równowagę stelażowi, przeszedł do sprawdzania mobilności drona. Wykonał nim kilka drobnych manewrów.

Wielicki głośno wypuścił powietrze.

Marnowanie czasu. Między drzewami parku oddzielającego bulwar od Wisłostrady zaszczekał pies, przejechały dwa rowery. Gdzieś z tyłu plusnęła woda, jakby ktoś wrzucił kamień.

— Możemy zaczynać. — Niespodziewanie ożywiony głos reportera dobiegł już z głośników minikoptera. — Dziś będziemy rozmawiać z — Nim jednak powiedział coś więcej, z tyłu rozległ się kobiecy krzyk. Wszyscy odwrócili się gwałtownie. Stojąca po kostki w wodzie kobieta dramatycznym gestem wskazywała na rzekę. Coś tam rzeczywiście było, coś unosiło się na wodzie. Wielicki rozpoznał co to takiego. Rzucił szybkie spojrzenie na kamerę, na zaskoczonych spacerowiczów, wreszcie na sekretarza, który ledwo zauważalnie skinął głową.

Wielicki zerwał z siebie marynarkę i rzucił ją Sylwestrowi. W kilku krokach dopadł wody. Rozwagał skok z ostatniego stopnia, ale w porę zrezygnował — brzeg mógł być przecież kamienisty. Wszedł do zimnej wody po pas i dopiero wtedy szybkim crawlmem

popłynął w stronę wystającej nad powierzchnię główki dziecka. Widział, że to dziewczynka, ale nie mógł rozpoznać jej wieku. Prąd był tu wolniejszy i znosił go do brzegu, podczas gdy dziecko oddalało się.

Zacisnął zęby i napał mocniej, błogosławiąc, że mimo natłoku zajęć i narzekań współpracowników regularnie trenował.

Przypomniał sobie teraz, że powinien przebiec kilkanaście metrów po brzegu z prądem, wyprzedzić małą i dopiero wtedy wskoczyć. Poniosły go emocje. Rosnąca grupka gapiów szła szybkim krokiem wzdłuż brzegu. Ktoś coś krzyczał, ktoś mu coś doradzał, ale on nie rozpoznawał słów.

Kilka metrów nad nim unosił się dron.

Mężczyzna z trudem pokonując prąd, zbliżał się do dziewczynki. Mała najwyraźniej umiała pływać, bo ani na chwilę nie zanurzyła się pod powierzchnię. Wtedy dopiero w głowie Wielickiego pojawiło się pytanie — dlaczego nie wskoczył za nią ani jeden ochroniarz. Przecież ich wszechstronne i intensywne szkolenie musiało obejmować naukę pływania. Blżej praskiego brzegu cumowała motorówka. Ktoś na niej był, ale on również nie kwapił się do pomocy.

Coś tu się nie zgadzało.

Gdy do celu pozostały mu może trzy metry, poczuł znany z siłowni ból przeciążonych mięśni. Wiedział, że nie utrzyma takiego tempa. Obrócił się na plecy, by choć minimalnie odciążyć ramiona.

Dostrzegł ochroniarzy i Sylwestra idących brzegiem wraz z innymi. Reporter złożył stelaż i szedł kawałek dalej z otwartym jednym okulem. Jakiś mężczyzna w pomarańczowym dresie wreszcie się zdecydował. Zrzucił bluzę i schylił się, by rozwiązać buty. Natychmiast dwóch ochroniarzy dyskretnie, choć stanowczo, zastąpiło mu drogę do wody. Mężczyzna patrzył na nich, zdziwiony, ale i z lekką ulgą, że nie musi skakać. To wszystko Wielicki zobaczył w mgnieniu oka, pomiędzy bryzgów wody zalewających mu twarz. Odwrócił się znów i płynąc crawlmem, zmniejszył dystans o kolejne dwa metry.

Mała miała może dziewięć lat, była wystraszona, ale nie wpadła w panikę.

Skreśliła i nadzwyczaj sprawnie dopłynęła do mężczyzny, by ułatwić mu swoje ocalenie. Nie miał pojęcia, jak powinien ją chwycić, nie przechodził nigdy kursu ratowniczego. Obrócił ją więc na plecy i przycisnął ramieniem do swojej piersi.

Z ulgą stwierdził, że dziewczynka się nie szarpie, a nawet pomaga mu nogami — naprawdę bardzo dobrze pływała. Już dużo wolniej skierował się do brzegu. Gdy poczuł pod nogami grunt, stanął w wodzie po pas i wziął małą na ręce. Był tak osłabiony, że nie mógł jej normalnie utrzymać.

Na chwiejnych nogach dotarł do brzegu, na wpół ją niosąc, na wpół wlokąc, zanurzoną w wodzie. Dopiero teraz ktoś mu pomógł, ale nie wziął od niego małej, tylko podtrzymał jego ramiona, by to właśnie Wielicki wyniósł dziewczynkę na betonowe nabrzeże. Posadził ją, a sam uklęknął obok.

Nie miał siły stać.

Rozległy się brawa, ktoś krzyczał o bohaterstwie. Coś tu się jednak nie zgadzało. Wielicki pod bluzą dziewczynki wyczuł nietypowe zgrubienie. Nadmuchana może w jednej trzeciej zabawkowa kamizelka na basen. Jakaś kobieta przepuszczona przez ochroniarzy, pewnie matka, dopadła dziecka i przytuliła je mocno. Jednocześnie dyskretnym mchem zasłoniła skrawek kamizelki. Odsunęła małej włosy z czoła, pocałowała.

— Żyjesz! — Przytuliła ją jeszcze raz.

Teraz zauważył, że to ta sama kobieta, która przedtem krzyczała. Szepnęła ciszej do dziecka — co się mówi?

Mała spojrzała na swojego wybawiciela.

— Dziękuję panu, panie prezydencie — wykrztusiła, szczękając zębami.

— No, dalej... — zachęciła ją matka.

Dziewczynka niepewnie usiadła i zarzuciła Wielickiemu ramiona na szyję.

Cała drżała. Rozejrzał się za czymś, by ją nakryć. Soliński podał mu jego własną marynarkę. Prezydent zawahał się. Ochroniarze trzymali gapiów na dystans tak, by nie wchodzili w kadr kamery drona.

Już wiedział.

Wziął marynarkę i zarzucił na ramiona małej, która od razu owinęła się za dużą dla niej płachtą materiału. Usłyszeli nadjeżdżający ambulans.

— Gratuluję odwagi i przytomności umysłu, panie prezydencie — wyrecytował ktoś teatralnie.

Uścisnął kilka rąk, a ochroniarze pomogli mu wstać.

— Marynarka zostaje — szepnął mu na ucho Sylwester.

Poprowadzili go do nadjeżdżającego trawnikiem Buicka. Siwe włosy lepiły się Wielickiemu do czaszki. Ledwo szedł, odprowadzany kamerą drona. Z lekką pomocą ochroniarza wsiadł do rozgrzanego wnętrza. Sylwester przyniósł z bagażnika ręczniki, szlafrok i kapcie frotte, więc prezydent zaczął od przebrania się.

— Daj mi coś na rozgrzewkę i gadaj, co się tam wydarzyło — zażądał.

Siedzący naprzeciw, tyłem do kierunku jazdy. Sylwester jeszcze przez chwilę zachował kamienną twarz. Potem wyszczerzył się w szerokim uśmiechu. Prezydent parsknął śmiechem.

— Nie mów, już rozumiem.

Sekretarz odkręcił termos i wręczył prezydentowi parujący kubek herbaty z rumem. Samochód wolno mszył.

— Kto jeszcze wie? — Wielicki ściszył głos. Ochroniarze jechali w przedziale oddzielającym ich od kabiny kierowcy, więc nie mogli słyszeć rozmowy. Z pewno ścią jednak od początku byli wtajemniczeni; to tłumaczyło ich zachowanie.

— Poza nimi? — Sylwester wskazał kciukiem za plecy. — Mój zaufany człowiek, reporter i ta matka. Nie wiem, co powiedziała córce, ale kiedy się z nią rozliczałem, sprawiała wrażenie rozsądnej.

— Co za matka wrzuca swoje dziecko do rzeki dla pieniędzy?

— Zdesperowana. Mieli ją eksmitować, czy coś. A mała od dwóch lat codziennie trenuje pływanie. Jest w jakimś kółku.

— No i miała kamizelkę ratunkową.

— Zabroniłem... — Sylwester pufnął ze złością. — Pytała o to. Zabroniłem.

— Chyba nikt nie zauważył. Nie masz zaufania do moich zdolności aktorskich.

— Klepnął sekretarza w ramię. Nieco za mocno jak na przyjacielskie klepięcie.

Było w tym trochę nagany, a przynajmniej tak odebrał to sekretarz.

— PZ spadło panu o kilka ładnych punktów, ale za to notowania skoczą w górę — wyjaśnił oczywistość.

— Pamiętaj, że podstawą jest PZ. Bez tego reszta nie ma sensu. — Odetchnął i wreszcie przestał się trząść. — Czuję się fatalnie, gdybym zniszczył garnitur Vistuli i buty od Kielmana, żeby uratować przypadkowego bachora. Zawsze to ryzykowna akcja.

— Przecież wiem, że pan pływa dwa razy w tygodniu. Sam układam panu grafik.

Ci tam wskoczyliby za panem, gdyby coś poszło nie tak. W odwodzie mieliśmy

jeszcze motorówkę z kimś, kto był mi winien przysługę.

— Ja pierdolę — westchnął Wielicki i podsunął kubek. — Dolej.

— Teraz przyda się panu raczej to.

— Wyjął ze schowka napój izotoniczny.

Wielecki niechętnie otworzył butelkę i pociągnął łyk. Pokiwał głową i zamyślił się.

— Nieźle to wykombinowałeś — przyznał. — Doskonałe posunięcie. Zdonek tego nie przebije. Ta ciota ma kałdun większy od twojego. I jeszcze będzie mi musiał pogratulować. To jakbym już wygrał.

Resztę dnia mam wolną, a na mojej nieobecności dodatkowo zbiję punkty!

— To hiperwentylacja. Powinien się pan przespać. O piątej musi pan być w formie, mamy wizytę w szpitalu na Solcu.

— Prezydent spojrzał na niego pytająco, więc Sylwester wyjaśnił — odwiedza pan uratowaną Mirandę Kawalec. Bombonierka i kwiaty już czekają w bagażniku. — Mrugnął porozumiewawczo. — O siódmej jest debata. Jeżeli ją pan opuści, wyjdzie to nawet na dobre. Tamci dwaj będą się zreć między sobą, a pan zostanie wielkim nieobecnym.

— Nie, na debacie muszę być. — Prezydent poklepał sekretarza po ramieniu, tym razem lekko, z uznaniem. — Ale zrób mi jeszcze raz coś takiego... Nie daruję.

Sam nie był pewien, czy to mu się tylko nie przyśniło.

Chińska knajpa śmierdziała przepalonym olejem i przyprawami, ale nie zamierzał narzekać. Ciemne parawany między stolikami dawały poczucie prywatności.

Ona nie pasowała do tego miejsca.

Miała na sobie elegancki szary kostium skrojony na wzór tych królujących w dzielnicach biznesowych. Nienagannie ułożona fryzura sugerowała, że jest asystentką kogoś wysoko postawionego lub nawet tym kimś wysoko postawionym.

Postanowił nie pytać o pracę, by natarczywością niczego nie zepsuć. Bo w tym był dobry — w psuciu spraw pozornie nie do zepsucia.

— Wyglądasz lepiej niż rano, kiedy wychodziłam — uśmiechnęła się.

— Chyba przesadziłem wczoraj. Niewiele.. . — nie dokończył, bo przy stoliku pojawił się kelner.

Zamówiła kurczaka generała Tso, Harpad przezornie tylko sajgonki, które lubił.

Nie ufał jeszcze żołądkowi.

— Po takiej ilości alko z człowieka wszystko wychodzi — powiedziała z uśmiechem.
— Nie chciałbyś wiedzieć, kim się okazali niektórzy faceci.

Nuzzler zastanawiał się, co odpowiedzieć.

— Mam córkę...

— Nie o tym mówię. — Pokręciła głową. — Z ludzi wyłazą potwory. Wydają się mili, uprzejmi, a potem zamieniają się w kogoś zupełnie innego. W tobie nie ma potwora.

— Nie znasz mnie... — zawiesił głos, znów nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

Wyręczyła go.

— Poznałam cię, wierz mi. — Przytrzymała jego dłonie i spojrzała mu w oczy.

Był skołowany. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wydarzyło się tyle, że swojemu osądowi rzeczywistości nie powinien ufać bezkrytycznie. Czy jest atrakcyjny? Czy może się podobać dziewczynie, która mogłaby mieć każdego?

Na stole pojawiły się miseczki z daniami. To dało mu czas do namysłu.

Jadł powoli, automatycznie, wymieniając z nią spojrzenia. Sajgonka wyslizgnęła się z pałeczek, a dziewczyna uśmiechnęła się, widząc, jak próbuje maskować niezdamość.

Może tego potrzebowała? Kogoś, dla kogo będzie pępkiem wszechświata? Wiedział, jak to działa, bo już to przeżył. Zakochany po uszy, nie widział potwora wychodzącego z matki jego dziecka. Bo przez ostatni rok wspólnego życia mieszkał z potworem, który ją pożerał. Nie zostało nic z jego Renaty.

Ostatnia sajgonka, ostatnia myśl. Jak poznać, czy ktoś nosi w sobie potwora?

Zaczął, aż ona skończy jeść, i zapytał: — Co byś zrobiła w sytuacji bez wyjścia? Masz dwa demony, z których każdy czegoś od ciebie żąda. Nie możesz zrobić obydwu rzeczy, bo są wzajemnie sprzeczne. Albo jedna, albo druga. Masz wybór. Jeśli zawiedziesz pierwszego demona, ukarze cię śmiercią, a jeśli nie ciebie, to bliską ci osobę. Najbliższą. Jeśli zawiedziesz drugiego, ten sprawi, że nigdy już jej nie ujrzysz.

— Po pierwsze trzeba przeżyć.

— Znów chwyciła jego dłonie. — A bliska ci osoba będzie żyć, nawet jeśli ty nie będziesz jej widywał. Świat nie znika, kiedy zamykasz oczy.

Miała rację, on sam też to wiedział, jednak dopiero kiedy to usłyszał z jej ust, zrozumiał, że zna już odpowiedź. I że ta dziewczyna potrafi porządkować, zamiast wprowadzać chaos.

W samochodzie sama puknęła palcem w ekran Syrenki. Jednak dzielnica finansowa.

Tuż obok.

— Co robisz dziś wieczorem? — zapytała.

Wieczór. Odległa perspektywa.

— Nie zastanawiałem się... A ty?

— Jem z tobą kolację — uśmiechnęła się. — Przy świecach.

— Dziś czeka mnie ciężki dzień.

— Mówił to, a jednocześnie czuł, że pragnie zobaczyć ją ponownie jak najszybciej.

— Spróbujmy. — Pogłaskała go po twarzy. — Przynajmniej spróbujmy.

Nad Grochowem wstawała czarna luna.

Znikała iluzja błękitnego nieba. Skręcił w prawo, wielki czarny cień poruszał się wraz z nim. Gocław zniknął w Przemianie.

Teraz Grochów graniczył z Rembertowem przeciętym w połowie i zniekształconym wypadkowymi modyfikacji centrum. Tu podczas Przekształcenia tkanka miejska zmarszczyła się najbardziej. Niektóre ulice nie wchodziły w siebie precyzyjnie. Zdarzały się domy wygięte pod dziwnymi kątami albo przekoszone jak po uskokach tektonicznych, choć pozostały w pełni funkcjonalne. Tu nikt nie starał się maskować blizn. Może zabrakło czasu. Ludzie nie chcieli tu mieszkać, ale, choć jeszcze o tym nie wiedzieli, za kilka lat będą musieli ponownie zasiedlić te rejony, pchani falą wyżu demograficznego. Czemu im gorsze czasy, tym rodzi się więcej dzieci?

Triumph zatrzymał się na końcu wąskiej Alpejskiej. Pokruszony asfalt zarastał zielskiem. Harpad wysiadł i odetchnął głęboko. Panowała tu osobliwa atmosfera spokoju, jak w kościele, w którym nie był od dzieciństwa. Niezwykle jasna, cicha noc, tylko niebo czarne, jakby nie istniała atmosfera. Przeszedł kilka kroków przez chwasty i przyłożył dłoń do chłodnej tafli.

Nie wiedział, z czego jest zrobiona.

Zapewne to doskonały izolator, bo absolutne zimno kosmosu nie potrafiło się przezeń przedostać. Widział podwójne odbicie swojej dłoni od wewnętrznej i zewnętrznej płaszczyzny. Nie więcej jak dziesięć centymetrów dzieliło go od próżni. Przysunął twarz i osłonił dłońmi od refleksów światła.

Mały, niepełny obwarzanek świecił na tle czerni kosmosu. Pierścień Kraków.

Bariera wzbudzała w nim pierwotny strach. To przecież koniec świata. Dobre miejsce do rozmyślenia.

Zero PZ. Raz przyjętej wiedzy nie można się, ot tak, pozbyć. Kto zmienił jego PZ? Może on sam? Kiedy? We śnie?

A może jego podświadome życzenia w zielonej wnętrzości g.A.I.a. realizowały się tak samo, jak świadome poszukiwania? Do dwudziestej trzydzieści zostało ponad pięć godzin. Aż nadto, by się zadręczyć.

Na szczęście jest ona. Dziewczyna o neonowo czerwonych włosach, cierpliwa, opiekuńcza, wyrozumiała. Od rozstania z żoną próbował z kilkoma kobietami.

Z żadną nie wyszło, zapewne głównie dlatego, że nie potrafił im zaufać. Skąd wiadomo, gdzie leży granica między zaufaniem a naiwnością? Nie miał kogo zapytać o radę. Był sam, zupełnie sam. Żadnych przyjaciół.

Ale teraz chciał spróbować. Zdecydowanie chciał spróbować. Ona gdzieś tam w biurze zajmowała się już swoimi sprawami, ale wystarczyło to krótkie spotkanie i jedno jej mądre zdanie, by chciał spróbować.

Podjął decyzję. Zmodyfikuje PZ, a przynajmniej spróbuje.

Pisk komunikatora i wiadomość od Renaty: „Gdzie Maria?”. Poczul na plecach gęsią skórę. Odpisał znakiem zapytania.

Po chwili z porcji bluzgów wyłowił informację, że Marysi nie ma w szkole. Ktoś ją odebrał i nie była to matka.

Wtedy przypomniał sobie końcówkę kreskówki z Duffym: gangster stracił wreszcie cierpliwość do fanaberii kaczora i przystawił mu do głowy Magnum.

Kaczor Duffy zniósł złote jajo.

VI

Powiązania między miastami-pierścieniami stopniowo zanikały. Każdy został przecież pomyślany jako samodzielna struktura, zamknięty obieg biologiczny, puszka z żywą konserwą. Miastapierścienie krążyły, nanizane na dawną orbitę Ziemi jak różaniec. Handel był niematerialny i polegał na wymianie licencji i modeli do kompilacji specjalizowanych produktów. Cywilizacja ulegała atomizacji również na poziomie kulturowym. Bycie Polakiem niewiele już znaczyło, bo patriotyzm od lat ograniczał się do własnego pierścienia. Dla wrocławianina Silesja znaczyła tyle, co Seattle. Nawet język zaczynał się różnić i to mimo wspólnych kanałów mediowych. Krakowianie twierdzili, że warszawiacy mówią za szybko i trudno ich zrozumieć. Poznaniacy mieli problemy ze zrozumieniem dialektu gdańszczan. Kanały informacyjne przekazywały już głównie informacje lokalne. Język pisany wciąż wyglądał tak samo, ale wszędzie pojawiały się postulaty reform. Dobrze miały się za to międzypierścieniowe korporacje, które zarabiałały na handlu technologiami i licencjami kompilacyjnymi.

Harpad jechał do ich starego mieszkania na Powiślu, ale zmienił zdanie. Dwie przecznice wcześniej skasował cel.

Triumph zaparkował przy krawężniku i zaczął odliczać eurogrosze za parkowanie.

Po co ma się spotykać z tą suką? Żeby ją przekonać, że to nie jego sprawka? To bezcelowe. Gdyby go naprawdę podejrzewała, już miałby na karku policję. Nie, nie pojedzie do niej. Nawrzeszczeliby tylko na siebie, obwinili wzajemnie. A raczej to ona nawrzeszczałaby na niego. Potwór, którym się stała, potrzebował kogoś, na kogo można przerzucić winy, na kim można się wyładować. Długo to wytrzymawał, wiedząc, że gdy odejdzie, straci Marysię.

Wreszcie Renata wyrzuciła go z domu.

Robiła to już wcześniej. Zawsze wracał, choć jedyną formą przeprosin było kilka dni bez awantur.

Za którymś razem nie wrócił.

— Co zrobić? — zapytał w przestrzeń.

Składanie doniesienia na policji w jego przypadku nie miało sensu.

Wyjął komunikator i zaczął pisać wiadomość do Wolfa. Skasował ją od razu. Po co dodatkowo upewniać tamtego o własnej słabości. Ze złością uderzył pięścią w drzwi. Dobrze, robi to teraz! Marysia wróci, może nawet nie zorientuje się, co się właściwie stało. Wyciszył komunikator i zmatowił szyby.

Wtedy przypomniał sobie, co mu powiedziała Judyta. Zamarł z dłonią w pół ruchu do ucha. Nie ma żadnego chipa, żadnego przełącznika. Jak więc się łączy z g.A.I.a.? Przecież nie za pomocą zwykłego chipa ID, bo to tylko zapisany cyfrowo numer. Położył dłonie na kolanach i zamknął oczy. Nic. Ze złością dotknął przełącznika, który nie był przełącznikiem.

Znów nic. Zaczął się pocić. Czyżby do wejścia potrzebna była wiara? Przedtem nie wiedział, lecz wierzył... Nagle zdał sobie sprawę, że nie pamięta, aby ktokolwiek, kiedykolwiek wszczepiał mu coś do głowy.

Ubzdurał sobie cały ten specjalny chip.

Tak, w to mógł teraz uwierzyć. W to tak.

Zaniknął oczy i pomyślał o Marysi.

Liczba siedemdziesiąt osiem była tym, co od razu zobaczył na rekordzie córki.

Z wrażenia zapomniał, gdzie jest i co ma zrobić. Siedemdziesiąt osiem. Serce ścisnęło mu się nagłym skurczem. Nie chciał tego wiedzieć, nie miał najmniejszego zamiaru sprawdzać jej PZ. Coś zadecydowało za niego. Przypadek? Za późno na rozważania, już nie mógł tego odwiedzić.

We wnętrzości nie mógł się przejść, włożyć rąk do kieszeni, potrzeć twarzy. Nie mógł zrobić żadnej z tych rzeczy, które na zewnątrz pomogłyby mu się uspokoić.

Nawet zamknąć oczu nie mógł. Spróbował się skupić. Siedemdziesiąt osiem to dużo jak na dziewczynkę w jej wieku, nawet biorąc pod uwagę rozbitą rodzinę. Prawdopodobnie współczynnik podskoczył jej po wczorajszych wydarzeniach, a szczególnie po porwaniu. Ten skurwysyn zapłaci za to!

Harpad mógł olewać cały świat, siedzieć w swojej norce, ale Marysia była jedyną osobą, na której mu zależało. Ale to potem.

Jeśli można zmieniać PZ, jeśli tylko można... Powstrzymał się, żeby nie dotknąć rekordu córki. Takie testy lepiej przeprowadzać z dala od domu. Odszukał

Kruszewskiego. Spacer po Polu Mokotowskim obniżył mu PZ o jedną dziesiątą punktu. Musiał mieć stalowe nerwy, skoro Prowokacja nie pchnęła go dalej.

Przyglądał się przestrzennej bryle rekordu radnego. To, co widział, stanowiło tylko ułamek tego, co wiedział. Obraz był wstępem do wielowymiarowej struktury.

Wymiarów było pięć, sześć, może więcej.

Zajrzał w głąb klocka z parametrem PZ.

Cięgna i trybiki wyprodukowała jego wyobraźnia. Elementy ciągnęły się, wnikały na głębszy poziom, tam, gdzie nie chciał ponownie wchodzić.

Czy istniało zabezpieczenie przed manipulacją? Do tej pory tylko tu węszył, oglądał. Niczego nie dotykał. Może zapis mieścił się w kilku miejscach, wartości były porównywane, a każda różnica wzbudzała alarm? A może ograniczone było tempo zmian. Przecież nikt nie przestanie stwarzać zagrożenia w ciągu sekundy.

W trakcie tych rozważań cyfry niepostrzeżenie zamieniły się w obrotowe bębny, jak w archaicznym liczniku gazu. Przyjrzał im się z bliska. Jego wola trąciła ostatnią cyfrę. Wartość spadła o kilka dziesiątych punktu. Wystraszył się i cofnął. Czekał, nic się nie działo. Odczekał jeszcze chwilę. Zebrał się w sobie i jednym ruchem przesunął wartość na dziewięćdziesiąt.

Odskoczył kawałek, jakby się bał wybuchu.

Nic nie wybuchło, nic się nie wydarzyło.

Dopiero po chwili rekord zaczął zielenieć.

Nie wierzył, że udało się tak po prostu, bez konsekwencji. Trwał tak, wpatrując się w bryłę. Zmieniała się wolno. Ilekroć skupiał uwagę na jakimś jej fragmencie, ten rósł i wzbogacał się o nowe szczegóły.

Wartość PZ pozostawała niezmienna — dziewięćdziesiąt. Podświadomie spodziewał się, że coś się stanie, że pojawi się nowy, agresywny element wewnętrzności.

Nie doczekał się.

* * *

Patrzył w zmatowioną szybę Triumphu, bawiąc się papierosnicą. Licznik parkingowy doszedł do trzech złoteuro. Wyjął z kieszeni komunikator i wpisał: „Jest 90. Wypuść ją”. Wpatywał się z napięciem w ekran. Po chwili przyszła odpowiedź: „Nikogo nie trzymam”.

Więc, kurwa, kto?! Judyta i jej spiskowcy? Ustawił przypadkowy punkt w Syrence. Samochód mszył. Co teraz?

Podnieść PZ Kruszewskiego do poprzedniej wartości? To dopiero może uruchomić jakiś subprogram ochronny. Albo przynajmniej diagnostyczny. Nie ma też stuprocentowej pewności, że Wolf mówi prawdę.

Może będzie trzymał Marysię do tej dwudziestej trzydziści, żeby sprawdzić, czy Harpad nie kłamie. A może mała tylko się zerwała ze szkoły z koleżankami. Już prawie pisał do niej wiadomość, szybko doszedł jednak do wniosku, że to bez sensu.

Na pewno zabrali jej komunikator — inaczej porwanie nie miałoby sensu.

Niczego już nie był pewien. Wolf i spiskowcy Judyty nie wiedzieli o sobie nawzajem. Nie mieli więc powodu, by ujawniać, że to oni właśnie porwali. Ktokolwiek to zrobił, był przekonany, że Harpad o tym wie. Oficjalnie jednak powinni zaprzeczać, by nie dostarczać niepotrzebnych dowodów. Gdyby o sobie wiedzieli, pojawiłyby się sugestie, żeby upewnić go, komu ma być posłuszny. W tej sytuacji nie da się stwierdzić, kto porwał.

Ale było jeszcze coś — owa tajemnicza obecność, którą wyczuł we wnętrzości g.A.I.a. Pojawiła się po raz pierwszy niedługo przed zniknięciem Marysi.

Przytłoczony tym wywodem, odpiął pas i wsunął się głębiej w fotel. Zapiął go jednak ponownie, gdy Syrenka zagroziła zjechaniem do najbliższej zatoczki parkingowej. Problem młota i kowadła powrócił.

Pogodzić interesów obu stron się nie da.

A gdyby znalazł innego polityka ze skrajnie wysokim PZ?! Kolejne spóźnione olśnienie. Harpad przeprogramował Syrenkę na Wiejską, gdzie w dawnym budynku Sejmu mieściła się Rada Warszawy. Parlament Rzeczypospolitej nie istniał od dawna, odkąd okazało się, że miastapierścienie wchodzące niegdyś w skład Polski chcą same stanowić swoje prawo.

Tradycja mało kogo obchodziła, skoro życie po Przemianie stawało się coraz trudniejsze.

Wszedł w trans, nie dotykając przycisku za uchem. Pomyślał o Marysi. Wnętrznosc znów zawirowała, już nie on się przemieszczał, to jemu pod nos podjeżdżały rekordy. Klocki Marysi były zaokrąglone na krawędziach, jakby nadtopione — to też imaginacja. W ciągu tej półgodziny jej PZ urosło o trzy punkty. Dużo, ale wciąż daleko do

pierwszego proggu. Sprawdził nici. Żadna nie należała do Wolfa. Ani do Judyty. To jeszcze niczego nie dowodziło.

g.A.I.a. nie analizuje stanu rzeczywistego, lecz dane, które zdoła zebrać wszelkimi dostępnymi sposobami. Nie jest wszechwiedząca, więc i wszechwiedzący nie będzie Harpad. Szkoda, że nie może sprawdzić, gdzie ją trzymają.

Wysunął się kolejny klocek i przesłał mu lokalizację. Adres? Mapa? Harpad po prostu nagle wiedział, gdzie jest Marysia.

Dwunaste piętro kamienicy na Czerniakowie. Trafi tam bez problemu.

Zaraz, pojedziesz tam i co zrobisz?

Obezwładnisz goryli Wolfa? Powiadomisz policję? A jeśli to właśnie policja jej pilnuje? Nie, do dwudziestej trzydzieści nie zrobisz niczego. Możesz jej tylko zaszkodzić.

Wpatrywał się w zdjęcie córki. Urocza.

Ciekawe, jak będzie wyglądała za parę lat.

W odpowiedzi zdjęcie zmieniło się, Marysia wydorosła nieco. W okolicy szesnastych urodzin pojawiła się mała blizna na policzku. Marysia dalej dorastała. Teraz miała jakieś osiemnaście lat. Ładna, podobna do matki... Pod zdjęciem pojawił się suwak linii życia. Pchnięty wolą nuzzlera przesunął się do wartości dwadzieścia pięć. Wyglądała prawie zupełnie jak Renata. Czy odziedziczyła też charakter?

Może to nie takie proste. Może musi spotkać kogoś takiego jak on, katalizatorklucz, żeby dokonała się przemiana w potwora? Może bez swojego Harpada pozostanie aniołem. Przesunął czas jeszcze dalej, uroda zaczynała przemijać, z dziewczyny zamieniała się w dojrzałą kobietę, włosy siwiały, twarz pokrywała się siecią drobnych zmarszczek, wreszcie wychudła i zniknęła. Czas stanął. Harpad poczuł przesywające zimno. Znał dokładną datę śmierci swojej córki. Miała przed sobą jeszcze prawie pięćdziesiąt lat życia. Będzie znacznie starsza, niż on jest teraz, ale to i tak krótko. Niecałe sześćdziesiąt lat...

Wrócił po linii życia do czasów obecnych. Skąd wiedza o dacie śmierci? Skąd ta blizna, która powstanie za siedem lat?

Rekord nie może być przecież tak dokładny. g.A.I.a. nie jest wszechwiedząca.

Tylko... skoro nie jest, to skąd wie, gdzie przetrzymują Marysię? A skoro wie gdzie, to dlaczego nie wie kto?

Spokojnie, tylko spokojnie. Każde nierozważne działanie może jej zaszkodzić.

Z zamyślenia wyrwało go bębnienie deszczu o dach. Oprzytomniał, wyłączył klimatyzację i uchylił szyby. Naturalny chłód był przyjemniejszy, nawet jeśli krople wpadały do środka. Odgłosy demonstracji i tak utonęły w deszczu.

Wolf chciał, żeby PZ radnego spadło.

Nie wspominał jednak, że nie może potem wzrosnąć... Nie, takie zagrania z pewnością nie mieszczą się w kategoriach myślenia ludzi pokroju Wolfa.

Ścisnął głowę w dłoniach. Co go podkusiło, żeby podać Judycie nazwisko Kruszewskiego? Gdyby wtedy wiedział...

I nagle coś sobie przypomniał. Kreskówka o Duffym miała jeszcze jedno zakończenie, pointę po poincie. Gdy Duffy zniósł złote jajo i odetchnął z ulgą, gangster pokazał mu pokój ze stertą pudeł przygotowanych do zapakowania setek kolejnych złotych jaj.

Harpad wpatrywał się w matową, pełną ruchomych cieni szybę. Zrozumiał. Jeśli zdolności jedyne, prawdziwego nuzzlera są niepowtarzalne, więc i wiele warte, nie ma mowy, żeby skończyło się na jednym zleceniu. Wolf zaoferuje mu pomoc w odzyskaniu córki (dbamy o naszych przyjaciół), a naprawdę będzie przetrzymywał Marysię, zwołując go, że to ostatnie zlecenie, że jeszcze tylko jedno, że już prawie koniec...

Zapalił papierosa. Nie, Wolf nie będzie jej trzymał. Wypuści ją dziś wpół do dziewiątej, dokładnie o tej godzinie, żeby Harpad zyskał pewność, że córka już zawsze będzie nieświadomym zakładnikiem. Tyle że o tej samej godzinie spiskowcy Talińskiego dowiedzą się, że radny Kruszewski nie ulegnie Eliminacji. W efekcie kilka najbliższych lat Harpad spędzi w więzieniu za niezapłacone podatki i za parę innych spraw, które wyjdą przy okazji. W pierdłu nie można robić wielu rzeczy, ale nuzzlować można. Będzie więc gnił w celi, spełniając polecenia Wolfa, dostarczane wraz z poranną owsianką. Matka Marysi przestanie otrzymywać nieformalne alimenty, czy raczej haracz za widzenia z córką, więc spełni swoje groźby. To kolejnych kilkanaście latek po zaocznym posiedzeniu sądu.

Marysię zobaczy ponownie, kiedy on będzie starym dziadem, a ona dorosłą kobietą. Do tego czasu o nim zapomni, a jeśli cokolwiek będzie do niego czuła, to tylko nienawiść, sączoną przez matkę przez te wszystkie lata. Kurwa!

Wyrzucił peta przez okno i wysiadł w deszcz. Kilkadziesiąt metrów wyżej wolno

sunął sterowiec wyświetlający reklamę oranżady Ptyś. Przy tej pogodzie skuteczność reklamy musiała być zerowa.

Postawił kołnierz, kaptura nie wyciągał. Spadały na niego skroplone oddechy sprzed miesiąca, odparowany pot, wilgoć przemysłowa. Z tego przecież składała się Chmura.

Alternatywa była znacznie prostsza.

Jeśli podniesie PZ radnego do poprzedniego poziomu, Maiysia pewnie umrze. Nie można zjeść cukierka i mieć cukierka.

Opcje pośrednie? Nie ma opcji pośrednich.

Nie ma kierunku pośredniego między podniesieniem a obniżeniem PZ.

Skoro brakuje dobrych pomysłów, to może pora zastanowić się nad złymi? Najbardziej szalone rozwiązanie przyszło mu do głowy od razu. Taliński uciekł przed g.A.I.a. do więzienia. A gdyby tak...? Nie, to szalone, nierealne. Nie zwracał uwagi na deszcz wciekający mu za kołnierz. Pomysł był wariacki. To jakby skoczyć z dachu mieszkaniowca, by sprawdzić, czy to naprawdę zabija.

Jak działa trzystopniowy system, zwany hiperprewencją, w ogólnym zarysie wiedział każdy, bo informacja ta kiedyś była jawna. Obywatel z wartością PZ poniżej stu był dyskretnie obserwowany przez Nadzór, czyli głównie przez elektroniczne oczy, uszy i analizatory. Podlegali mu wszyscy, a dane nieprzerwanym strumieniem płynęły do bazy danych g.A.I.a. Po przekroczeniu setki człowiek stawał się obiektem zainteresowania Prowokacji. Poddawano go serii dyskretnych testów, aranżowano sytuacje, w których delikwent tracił bądź zyskiwał punkty. Przeważnie tracił.

Gdy wartość PZ przekraczała sto trzydzieści siedem, człowiek zniknął za sprawą Eliminacji. Jak to wyglądało w praktyce?

Dobre pytanie. Eliminatorzy tworzyli formację paramilitarną, ale rzadko działali otwarcie. W większości wypadków zabierali człowieka po cichu, bez wyważania drzwi czy strzałów w powietrze. Ponoć prowadzili normalne życie, by nikt nie podejrzewał, czym się zajmują. Profity, jakie czerpali z członkostwa w elitarniej służbie, zapewniały im dostatek.

Harpad potarł szorstki dwudniowy zarost na policzku. Gdzie się trafia po Eliminacji? Do więzienia? Umiera się? Wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Wiedział tylko, że wyeliminowani nigdy więcej nie pojawiali się w mieście. Ich kartoteki w urzędzie skarbowym zamykano jak umarłym, numer ewidencyjny zniknął z listy.

Kasowały się konta bankowe i pocztowe, następowała automatyczna procedura spadkowa. Słowem, człowiek zniknął bez śladu.

Pomysł był szalony — jeśli dysponował możliwością dowolnego manipulowania PZ, to czysto teoretycznie, mógł podnieść swoją własną wartość ponad owe sto trzydzieści siedem, zniknąć z policyjnych rejestrów, a potem powrócić tu z czystym kontem. Papierowe pieniądze mógł ukryć i potem całkiem przyjemnie za nie żyć.

Jeśli to możliwe, jeśli możliwe jest przeżycie Eliminacji, mógł bezkarnie wystawić do wiatru Talińskiego i zapomnieć o Wolfie.

Najważniejszym problemem był teraz los Marysi.

W głowie huczało mu od zazębiających się alternatyw, z których każda mogła się okazać największym błędem jego życia.

Zaraz, po kolei. Wiedział, gdzie ona jest.

To już coś, ale jeśli tam pojedzie, odkryje kolejną kartę. Porywacze, więc i ich mocodawcy, dowiedzą się, że potrafi to zrobić.

Deszcz przestał padać nagle, skończył się, jakby ktoś zakręcił kran. Harpad uniósł wzrok. Chmura przesuwiała się za Niesłońce. Biała kula wyłoniła się z brudnego oparu, wypełniając Śródmieście ciepłem.

Na granicy ciepłego obszaru przez kilka minut będzie wiało, aż ciśnienia się wyrównają. Niebo odzyskało na krótko szarobłękitny kolor, tłumiąc perspektywę powietrzną wiszący kilkanaście kilometrów nad jego głową Ursynów'. Poziome smugi deszczu moczyły teraz Żoliborz.

Na niebie nie było ptaków. Wszystkie wyginęły kilka lat po Przemianie. Nie potrafiły, jak ludzie, przystosować się do nowych warunków. Rozbijały się o budynki, o ziemię, a głównie o Bariere.

Najdłużej przetrwały wróble, małe, szare, niepozorne. Ale ich czas też nadszedł. Harpad znał je tylko ze zdjęć.

Jak się lepiej zastanowić, to w Warszawie nie było żadnych zwierząt.

Rozpiął przemoczoną kurtkę i odetchnął wilgotnym powietrzem. Demonstracja zniknęła. Co go obchodzi ich problemy, ma swoje własne. Na początek warto zredukować liczbę niewiadomych. Czym jest Eliminacja? Widywał czasem czarne rekordy, wystające jak pieńki zepsutych zębów zza obszarów czerwonej wnętrzo ści g.A.I.a. Nigdy się do nich nie zbliżał, a one z czasem przemieszczały się w dół, w rejony,

gdzie się nie zapuszczał. Nie było na nich żadnych napisów, żadnych informacji. A może ich nie dostrzegał? Nie wiedział również, czy rekordy zmarłych znikają, czy są przechowywane w innej bazie danych. Jak się lepiej zastanović, wiedział niewiele poza tym, co było mu niezbędne do pracy. Czy ci, którzy przekroczyli próg stu trzydziestu siedmiu punktów, kończą swój doczesny żywot na cmentarzu? Czy mają pogrzeb, skoro rodzina opłakała wyeliminowanego już dawno; a jeśli nie, to co się dzieje z ich ciałami?

Wsiadł do samochodu i wywołał ekran nawigacyjny. Czerniaków? Powązki? Różański.

* * *

Pokój był stylizowany na gabinet może Freuda, a może innego martwego od dawna specjalisty od dusz. Nie znała się na tym, więc wybrała jedyne nazwisko, które kojarzyła. Zresztą wątpiła, czy miało to jakikolwiek wpływ na przebieg terapii. Jak i w sam jej sens. To jak leczyć złamaną nogę akupunkturą.

Od razu zauważyła, że grzbiety książek na ścianach to tylko fototapeta. Po cóż się bardziej wysilać za trzydzieści złoteuro za godzinę? Klitce nadano numer trzydzieści trzy i to najlepiej określało przerób, jaki się odbywał w klinice. Zsunęła buty i ułożyła się na stylowej leżance. Koszmarnie niewygodna, obłożona narzutami i poduszkami, zapewne kryła pod spodem zwykły materac na stelażu.

Darowała sobie wszelkie uprzejmości.

Witanie się z automatem wydawało jej się niepotrzebne i dziwne.

— Nie kocham — wyznała po przedłu żającym się milczeniu.

— *Wiem.* — Mechaniczny głos był kojąco neutralny. — *Powiedz coś więcej?*

Była naprawdę wdzięczna projektantowi, że nie próbował nadać psychoanalitykowi kształtów człowieka. Miał formę niskiego cylindra zakończonego ruchomą kopułką optoelektroniczną z kilkoma wystającymi płytkami nieznanego dla niej przeznaczenia. Stał na starej szafce obok leżanki jak solidny, metalowy wazon. Albo jak urna z prochami.

— Nie potrafię kochać — powiedziała, patrząc w sufit. — Nie potrafię czuć. Moje życie jest puste. Rany, jak to banalnie brzmi...

— *Ale jak boli* — odparł robot.

— *Rozumiem to doskonale.*

Akurat.

Poprawiła się na leżance i spojrzała na psychoanalizatora. Poruszył płytkami wokół kopułki, nadając sobie wygląd przejętego.

— *Wątpisz w to, że rozumiem?*

— zapytał. — *Masz rację. To tylko skrót myślowy. Analizuję twoje słowa i gesty, by cię poznać. Ułóż się wygodnie.*

Płytki poruszyły się, symulując uśmiech. Jak to w ogóle możliwe, że kilka ruchomych blaszek potrafi udawać emocje?

One nawet nie przypominały części twarzy, a jednak udawały mimikę.

Ułożyła się, najwygodniej jak to było możliwe.

— Nie pamiętam, kiedy zdałam sobie z tego sprawę. Chyba jako nastolatka.

Dziewczyny wiązały się w pary z chłopakami, potrzebowały bliskości. Ja nie.

— Zastanowiła się. — Wystarczał mi seks.

— *Seks też polega na bliskości.*

Wzruszyła ramionami.

— Chodziło wyłącznie o przyjemność.

Prosiłam ich, żeby nic nie mówili.

— *To dlatego nie masz dzieci.* — Psychoanalizator ułożył płytki w wyraz współczucia. — *Czego oczekujesz po naszej terapii?*

— Zdałam sobie sprawę, że czegoś mi w życiu brakuje. Coraz bardziej. Chciałabym się zakochać. Nie, inaczej... Chcę poczuć potrzebę zakochania się. A dopiero potem się zakochać.

— *Skąd wiesz, że tego potrzebujesz, skoro nigdy nie doświadczyłaś tego uczucia?*

— Doświadczyłam. Niedawno.

— *W jaki sposób ci się to udało?*

Zastanawiała się chwilę.

— Nie mogę powiedzieć.

* * *

Cmentarz Powązkowski zajmował jedną trzecią swego obszaru sprzed Przemiany. Reszta zapomnianych grobów zniknęła, by zrobić więcej miejsca dla żywych.

Życie przeciętnego człowieka podsumowywała aluminiowa urna w małej betonowej niszy, w jednym z długich na pół kilometra regałów.

Znacznie bardziej racjonalne przerobienie ciała na kompost okazało się nie do przyjęcia kulturowo. Konieczna była wysokoenergetyczna procedura kremacji, przy czym spora część pyłu uciekała przez komin, bo przecież początkowo musiało być tego znacznie więcej, niż mieściło się w małej puszcze. Większa więc część masy martwego ciała po spaleniu ulatywała do atmosfery, by anonimowo opaść w postaci mętnego deszczu i wsiąknąć w ziemię, w ubrania i włosy żywych, osiąść gorzkim smakiem na ich ustach.

Tak, pomyślał Harpad, kręcimy się tu wszyscy we wsobnej konserwie, wdychamy cudze oddechy, jemy, co już kiedyś przetrawiliśmy. Tak było i wcześniej, gdy istniała planeta Ziemia, ale wtedy mieliśmy anonimową nieogarnialną przestrzeń. Przestrzeń — słowo, którego znaczenie zmieniło się po Przemianie. Kiedyś przestrzeń oddawał zamaszysty ruch ramienia ukazujący nieskończoność za horyzontem. Teraz — zaledwie mały ruch dłoni.

Powązkowskie regały wybudowano równoległe do osi pierścienia, by uniknąć zakrzywienia perspektywy. Robiły wrażenie — idealnie proste, szare monolity z wnękami czekającymi na każdego mieszkańca Pierścienia Warszawa. To jedyny cmentarz, każdy musiał tu trafić. Harpad nie mógł od siebie odgonić myśli, że to miejsce jest i jemu przeznaczone.

Chmurzyło się, a brak drzew przygnębiał jeszcze mocniej. Szedł wzdłuż rzędów aluminiowych postciał i wyszukiwał niedawne daty śmierci. Zapamiętywał nazwiska. Czasem przy urnie umieszczone było zdjęcie, wpatrywał się w nie wtedy z niechęcią. Starał się nie poddać atmosferze Powązek. Miał tu zadanie do wykonania.

Najbardziej przygnębiająco działały na niego wnęki puste, czekające, nie inaczej przecież, na wypadki, zawały, udary.

Gdzieś w magazynie domu pogrzebowego czekały też anonimowe na razie, ale gotowe do napełnienia, puszki. Urny.

Ławkę wkomponowano w przerwę w regale tak, by nie psuć perspektywy. Dłonią zgarnął wodę po niedawnym deszczu i usiadł. Resztką wilgoci przemiękła przez spodnie. Kawalek dalej przygarbiona staruszka w ciemnoszarym palcie zapalała znicz na półce, do której ledwie mogła sięgnąć. Światło chemiczne zamiast stearyny i knota. Rzuciła

nuzzlerowi bezbarwne spojrzenie kogoś, kto żyje już tylko z przyzwyczajenia. Przetarła beton, przetarła aluminium, potem zmiotką oczyściła z wilgotnego kurzu chodnik. Okazało się to jednak niewystarczające dla jej troski. Brakowało choćby przywianego przez wiatr papierka, który mogłaby odgarnąć. Sucha masa jej starego ciała wkrótce znajdzie się w aluminiowym opakowaniu obok aluminiowego postciała jej męża. A umysł? A dusza?

Stała z opuszczonymi ramionami na wprost urny.

Harpad zaniknął oczy. Ręka drgnęła, siłą przyzwyczajenia chcąc sięgnąć za ucho. Powstrzymał ją.

Marysia patrzyła na niego z miękkiej bryły zielonego rekordu. Osiemdziesiąt pięć. Ze złością obiecał sobie, że ktoś za to odpowie. Powściągnął gniew i skupił się na zadaniu. Przypomniawszy sobie nazwiska z kilku urn wypełnionych niedawno prochami. Nic. Nie pomogły nawet zdjęcia. To byli obcy ludzie, nie znał ich, nigdy nie spotkał, niczego o nich nie wiedział. Odnalezienie ich w gąszczu rekordów wewnątrz ści g.A.I.a. okazało się niewykonalne. Sennie podpłynął mu przed nos rekord staruszki, którą widział przed chwilą. Jej PZ wynosiło trzydzieści pięć, nie mogła w żaden sposób złamać prawa, jej życie podlegało sennym rytuałom, które nikomu nie zagrażały ani nikogo nie nakłaniały do popełnienia przestępstwa. Pół dnia pewnie spędzała tutaj, próbując znaleźć sobie zajęcie, czekając na liść, który jakimś cudem tu przyleci i pozwoli się sprzątnąć.

A gdyby tak pchnąć jej licznik na sto trzydzieści osiem? Ile czasu by upłynęło, zanim dopadliby ją eliminatorzy? Jak to w ogóle wygląda? Szybka akcja policyjna czy raczej cicha robota, pułapka, atak z zaskoczenia, kiedy nikt nie widzi? Szkoda kobiety. Szkoda, chociaż już wszystko przeżyła i nic więcej pozytywnego jej się nie przydarzy, a resztę dni wypełni oczekiwanie na koniec wegetacji. Mimo wszystko szkoda.

To zaskoczyło samego Harpada.

Mógłby tu i teraz bezkarnie pchnąć nikomu niepotrzebną staruszkę w objęcia Eliminacji i przekonać się, jak to działa. Mógł otrzymać odpowiedź. A jednak tego nie zrobił. Rekord samotnej pani Stefańskiej odpłynął w zielony bezkres wnętrza g.A.I.a.

Nie, to musi być ktoś, kogo zna. Pomyślał o Judycie. Jej rekord podpłynął natychmiast, ciągnąc za sobą dziesiątki nici.

Chyba trochę ją polubił, ale ona i Taliński byli przecież dla niego zagrożeniem. Może więc sumienie, którego istnienia u siebie dopiero zaczynał się domyślać, mniej by mu

doskwierało, gdyby to ich wykorzystał i gdyby sprawdził się czarniejszy scenariusz. A jeśli wówczas sprowadzi na siebie gniew organizacji, która za nimi stoi? By zyskać czas do namysłu, a głównie by udać przed samym sobą, że to nie wahanie, pchnął w prawo suwak wieku Judyty. Ani drgnął. Więc ustawa anonimizująca uniemożliwia g.A.I.a. wejrzenie w przyszłość policjantki.

Nie, musi znaleźć kogoś innego.

Jest... Zawzięte usta i te zmrużone nienawistnie oczy. Grymas zamieniał jej ładną kiedyś twarz w maskę złości. Zaraz... to nie jego wyobraźnia, ona naprawdę na zdjęciu miała minę, jakby nienawidziła całego świata. Czy tylko on tak widział Renatę, czy przypadkiem takie zdjęcie było w bazie danych? A może pasożytowanie na wnętrzości pozwalało na dobieranie zdjęcia ze wszystkich dostępnych? Modyfikowanie ich? Dziewięćdziesiąt jeden PZ. Dobrze ci tak, wredna babo! Pieiwsza miła wiadomość od dłuższego czasu. Jej rekord przypominał bezkształtną, pokrytą pulsującymi burchlami bryłę stygnącej zielonej magmy, której macki wpełzały nawet na nici.

Gapił się na trzy cyfry „091”. Wystarczy obrócić pierwszą... Zaledwie lekkie muśnięcie. Ku własnemu zaskoczeniu nie mógł się na to zdobyć. Coś go powstrzymywało, choć wcześniej marzył o podobnym rozwiązaniu. Skupił uwagę na suwaku linii jej życia. Pchnął go w prawo. Bez skutku.

Albo teraz źle to robił, albo miał dostęp tylko do przyszłości Marysi. A może poprzednio niechcący uruchomił jakieś zabezpieczenie. Przesunął suwak w lewo, w przeszłość, do czasów sprzed rozłamu i katastrofy ich małżeństwa. Twarz na zdjęciu zamieniła się na taką, jakiej już prawie nie pamiętał. Patrzyła na niego kobieta, którą kochał.

Którą kiedyś kochał.

Rekord wolno oddalał się i znikał z niezmienioną wartością dziewięćdziesięciu jeden punktów PZ.

Z przeciwnej strony nadciągnął potężny, kanciasty gmach rekordu człowieka znanego jako Wolf. Twierdza bez wizerunku właściciela zawisła nad nim.

Czyją wezwał? Zapewne nieświadomie.

Nie było zdjęcia, nie było nawet miejsca na zdjęcie. Pomyślał, że to wynik jego strachu przed Wolfem, a nie konstrukcji bazy danych. Czy tu wszystko jest jego prywatną imaginacją, własnym interfejsem kleconym intuicyjnie, w miarę jak poznawał

wnętrznosc. Tknięty przecuciem, przewinał suwak życia w lewo. Zdjęcie Wolfa wyskoczyło twarzą szesnastolatka. Szczupły blondyn z zaciętym spojrzeniem szarych oczu.

Postrach liceum. Ten człowiek miał pojęcie o świecie, skoro zdołał utajnić swoją twarz, kiedy inni odkrywają dopiero w necie pliki porno. Znaczyło to ni mniej, ni więcej, że od tego czasu żadna kamera nie zarejestrowała jego wizerunku.

Od twierdzy Wolfa odchodziły setki nici. Harpad wolał nie sprawdzać, dokąd prowadzą. Nie znał ich natury, być może wykształciła je jego własna wyobraźnia do zilustrowania kolejnych parametrów wnętrznosci. W samych niciach musiały tkwić dalsze informacje. Nie wystarczy przecież rozrysować kreski na tablicy.

Informacji musi być więcej: kto?, kogo?, kiedy?, dlaczego?, po co? Nic łącząca Harpada z Marysią, choć nieodróżnialna, oznaczała zupełnie coś innego niż ta prowadząca do Judyty. Marysia była połączona linią z nim, ale również ze swoim nauczycielem matematyki, a także z Wolfem, choć nie wiedziała nic o jego istnieniu. Nici wyglądały identycznie — nieskończenie cienkie kreski ginące w zielonej perspektywie. Z rekordu Wolfa zwisała jedna prowadząca donikąd. Harpad dopiero po chwili dostrzegł, że nie urywa się, lecz prowadzi w dół, do zamglonych obszarów. Co tam było? Nigdy wcześniej nie widział nici biegnącej pionowo w dół.

Licznik PZ Wolfa był ukryty albo umieszczony z przeciwnej strony. Harpadowi wydało się nagle, że dotykanie tego rekordu jest bardzo złym pomysłem. Odsunął się więc, by zebrać myśli. Musi znaleźć kogoś, kogo zna i czyj los nie będzie dla niego tajemnicą.

Kolejno przybliżał znane sobie osoby, o których sobie przypominał, i kolejno je odrzucał. W końcu stało się jasne, że nie potrafi nikogo wepchnąć w objęcia Eliminacji.

Wtedy przyszedł mu do głowy jeszcze ktoś. Na parterze mieszkaniowca Harpada był kiosk prowadzony przez Mariana Rzepeckiego. Kulawy i niedowidzący emeryt był ospałym gburem, jednak niepozbawionym sprytu, tego prostackiego substytutu inteligencji, który sprawia, że jego posiadacz, nie wiadomo skąd, zawsze ma jakieś pieniądze. Ten sam spryt blokuje jednak drogę do naprawdę dużych pieniędzy. Zdarzenie sprzed lat, spotkanie z osiedlowym gangiem, po której to przygodzie Rzepecki zaczął kuleć, nie nauczyło go, że nie warto ryzykować wszystkiego dla małego zysku.

Gangsterzy, nawet ci osiedlowi, nie lubią, kiedy ich się przekręca. Niczego go to nie

nauczyło. Dzień bez naciągniętego na parę eurogroszy klienta był dniem straconym.

Uzbierało mu się. Stary dureń do końca nie zorientował się, że jest w Prowokacji.

Myślał, że szczęście uśmiechnęło się do niego, gdy znalazł na schodach pognieciony banknot. Podniósł go oczywiście i schował do kieszeni. Szczęście uśmiechało się do niego jeszcze cztery czy pięć razy. Aż w końcu przyszli po niego w środku nocy. Nie wiadomo, co zrobili ze starą Rzepecką. Ocknęła się dopiero rano.

Jej lament ucichł, gdy odkryła, że stacy sknera oprócz dziurawych portek i skarpet pod poduszką miał konto jak manager korporacji Elemis. Od razu kupiła lepsze mieszkanie i wyprowadziła się.

Marian Rzepecki uległ Eliminacji dwa tygodnie temu.

Harpad udał się tam, gdzie bardzo nie chciał. Do miejsc, które widywał czasem w dole pod postacią burych plam, przypominających Bariere oglądaną z niewielkiej odległości. Gdyby wnętrzość miała zapach, pasowałby tu odór ekshumowanego trupa. Krążenie między czarnymi bryłami w czarnej wnętrzości tuż nad mglistym obszarem nieznanym miało w sobie coś niepokojącego i zarazem... niesmacznego.

Nie znał tych ludzi, mijał losowe rekordynagrobki. Nie wiedział, czy żyją. Mógł wcześniej sprawdzić trzy rachityczne nici Stefańskiej, czy jest wśród nich ta, do jej zmarłego męża. Teraz już na to za późno.

Nie było żadnych nici. Tutaj rekordy oskubano z parametrów, były czarne, jak i czarne było powietrze. Brakowało tylko ogni piekielnych buchających z dołu. Nuzzler podejrzewał, że jeśli teraz opuści to miejsce, już nigdy nie zdobędzie się, by wejść tu ponownie.

Znalazł, choć z trudnością. Osmalone i nieczytelne cyfry również zapewne były imaginacją. Zapieczone bębenki z cyframi udało się obrócić do wyglądającej na przypadkową wartości siedemdziesiąt trzy. Nie wydarzyło się nic. Zupełnie nic. Czekał chwilę, starając się nie patrzeć na kłębiącą się w dole brudną mgłę. Nie wiedział, jak tu można liczyć czas ani czy odpowiada on upływowi czasu w rzeczywistości.

I nagle poczuł na sobie czyjś wzrok.

Nie, to nie było spojrzenie. Ktoś skupiał na nim uwagę. Czuł to już wcześniej, choć nie tak silnie jak teraz. Wiedział tylko, że to ktoś, kogo nie zna.

Otworzył oczy i odetchnął z ulgą, jak po złym śnie.

Pięć metrów dalej leżała wdowa Stefańska. Zerwał się z ławki. Ciało staruszki

ułożone było w nienaturalny sposób, na boku, z ręką wygiętą pod korpusem. Raczej nie położyła się tak, żeby odpocząć.

Kamery! Nie sprawdził tego wcześniej.

Jego instynkt chyba ostatnio stępieł. Teraz za późno, by się rozglądać. Za późno też, by udać, że niczego nie zauważył. Stał więc nad trupem, co było oczywiście najgorszym z możliwych rozwiązań.

Przyklęknął i przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej staruszki. Dotyk pomarszczonej, pokrytej plamami miękkiej skóry przyprowadził go o dreszcz. Nic. Rozchylone usta czekały na ostatnią próbę ratunku.

Przełknął zgęstniałą nagle ślinę. Żołądek przypomniał sobie o trudnym poranku.

Harpad z trudem opanował wymioty, oparł się o zimny beton i uspokoił się kilkoma głębokimi oddechami. Uniósł czapkę i przejechał dłonią po wilgotnych od potu włosach. Niesłońce świeciło coraz mocniej.

Rozejrzał się. Nikogo, aż po kres widoczności, ale to tylko kwestia czasu. Odszedł kilka kroków, zawrócił. Pustka w głowie sprawiała, że czuł się jak trzyletni chłopiec nad stłuczonym wazonem. To, że nikt go teraz nie widział, niczego nie zmieniało.

Gdy tu wchodził, z pewnością gdzieś zostało to zarejestrowane. W bramie nie było co prawda portalu, ale na zewnątrz, na otwartej przestrzeni na pewno znalazł się w kadrze kilku kamer z okolicznych sklepików, z przejeżdżających samochodów służb miejskich. Samochody... Pozycję każdego pojazdu analizował na bieżąco system sterowania ruchem. To dane łatwe do analizy. Jeśli znajdą trupa, sprawdzą wszystkich, którzy przebywali w okolicy.

Harpad tu był, skoro był jego samochód.

Więc co? Ukryć ciało? Gdzie? Przebiegł wzrokiem po rzędach małych wnęk, porównał z rozmiarami ciała staruszki. Bez szans.

A tli są przecież tylko wnęki i ławki! Zakopać nie majak, wszystko wybetonowane.

Wrzucić na górę regału? Nie da rady, babcia waży ze sto kilo. No i to dopiero byłaby zagadka dla śledczych!

Paradoksalnie, wybetonowany cmentarz wydał mu się najgorszym miejscem na pozbycie się ciała.

Zgłoszenie sprawy byłoby niczym przyznanie się do winy i oznaczało aresztowanie. Jak by wytłumaczył powód wizyty na cmentarzu? Nie, na to nie mógł sobie pozwolić do

czasu uwolnienia Marysi.

Pustka w głowie zamieniła się w galop chaotycznych, nieracjonalnych pomysłów, z których niespodziewanie wyłoniło się rozwiązanie tajemnicy wszechwiedzy Wolfa. Facet musiał mieć dostęp do danych z systemu sterowania ruchem, więc i do aktualnej pozycji Triumphu. Dlatego wczoraj wiedział o zoo.

Wolf... Powiedział, że dba o przyjaciół.

Harpad nabrał powietrza, wyjął komunikator i wklepał, z trudem panując nad drżeniem rąk: „Mam kłopot”. Odpowiedź przyszła prawie natychmiast: „Nie przez komunikator”.

„To raczej pilne”.

„Włącz kodowanie”.

Zorientował się, że nie chodzi o standardowe kodowanie softu komunikatora, lecz o program, który dostał. Zaznaczył odpowiednią opcję i wpisał: „Jestem na cmentarzu. Starsza pani nie żyje. To nie moja wina, ale byłem obok.

Nie wiem, co robić”.

Ktoś pojawił się sto metrów dalej, w poprzecznej alejce. Bury płaszcz zniknął, zanim nuzzler zdążył się przestraszyć.

Drgnął, gdy zapikał komunikator: „Wyślij pozycję. Posadź ciało na ławce i wolno wyjdź z cmentarza”.

Na ławce... Oczywiście. Proste, jakie to proste! Wiadomość zniknęła, gdy tylko ją zamknął. W odpowiedzi wysłał pozycję i stanął nad ciałem.

Trzeba będzie jej dotknąć.

Przejechał dłonią po twarzy i szybko rozejrzał się. Bardziej pusto już nie będzie.

Nabrał powietrza, obrócił ciało na plecy i stanął nad nim okrakiem. Chwycił połę płaszcza i podniósł odrobinę. Stęknął i upuścił. Tak nie da rady. Znow się rozejrzał.

Od strony Powązkowskiej ktoś się zbliżał.

Kolejna staruszka, tym razem w nieprzystającym do powagi miejsca wściekle różowym płaszczku. Siedemdziesiąt metrów.

Oby miała słaby wzrok.

Obszedł trupa od strony głowy i wsunął ręce pod ramiona byłej wdowy. Uniósł tylko trochę, głowa opadła do tyłu, a martwe oczy spojrzały na Harpada. Poluźnił chwyt. Ciało upadło, a ramiona staruszki, oparte na jego nadgarstkach, uniosły się, jakby martwa

Stefańska próbowała klasnąć w dłonie. Harpadowi zrobiło się słabo.

Różowy płaszcz wciąż się zbliżał, na szczęście wolno. Naprawdę musiała mieć słaby wzrok, bo od szarpiącego się z trupem nuzzlera dzieliło ją teraz nie więcej niż pięćdziesiąt metrów.

Spróbował ponownie, tym razem podkładając pod plecy Stefańskiej kolano.

Objął ciało i pociągnął w kierunku ławki.

Udało mu się przemieścić je o pół metra.

Przy kolejnym szarpnięciu głowa nieboszczki oparła się o jego policzek. Prawie krzyknął. Przechylił głowę, by zimne już ucho opierało się o jego czapkę, a nie skórę.

Po kilku szarpnięciach trup siedział oparty o ławkę. Teraz trudniejsza część.

Obszedł ławkę od strony oparcia, chwycił Stefańską pod pachy i pociągnął w górę.

Przeciążony kręgosłup ostrzegł go igielką bólu. Zignorował to i pociągnął mocniej, sadzając wreszcie ciało na ławce. Kucnął, ustawił równo stopy, ułożył w jak najbardziej naturalnym geście dłonie i ocenił swe dzieło. Nieboszczka wyglądała, jakby się zdrzemnęła. No, z tego by się w życiu nie wybronił, już nie mógł powiedzieć „to nie ja”. Zostawił tu masę śladów, odciski palców na gładkim betonie. Czy można zdjąć odciski z betonu? A ławka? A włókna materiału? Naskórek? Spojrzał na dłonie, obtarte o beton i materiał palta. Wiedział, że jeśli ludzie Wolfa nie dotrą tu szybko, będzie ugotowany.

Odgłos szurających kroków nasilił się.

Harpad kątem oka dostrzegł różowy płaszcz. Usiadł na ławce, zacisnął szczęki, żeby nie wydać żadnego odgłosu i... chwycił trupa za dłoń.

Staruszka wolno przeszurała obok, rzucając mu spojrzenie bez wyrazu. Takie samo kwadrans temu miała Stefańska.

Zaczekał, aż oddali się kilka metrów, wstał i odszedł, nie oglądając się. Najspokojniejszym krokiem, na jaki było go stać, z trudem zmuszając się, by nie zacząć biec, doszedł do Triumpha. Gdy zwałił się na fotel, odruchowo spojrzał w lusterko. Tylne siedzenie było puste. Przy bramie zatrzymał się niebieski Żuk służb technicznych miasta. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn w kombinezonach, z ładowni wyjęli czterokołowy wózek i szybkim krokiem zniknęli za cmentarnym murem. Więc tak to się odbywa.

Harpad dopiero teraz poczuł, że jest cały mokry, dłonie trzęsą mu się jak narkomanowi na głodzie, a kręgosłup pulsuje tęnym bólem. Ze schowka wyjął chusteczki antybakteryjne, które zawsze woził, i metodycznie wytarł dłonie. Potem zrobił to raz

jeszcze. Wygrzebał z kieszeni pudełko z lekami i bez popijania połknął dwie tabletki przeciwbólowe. Uspokoił się trochę i dopiero dotarło do niego, co się przed chwilą wydarzyło. Staruszki umierają, umierają same z siebie, ot tak. Nikt nie otworzyłby śledztwa w sprawie staruszki, która umarła na cmentarzu.

Zadał komputerowi przypadkową destynację w starych dzielnicach i opadł w fotel, czekając, aż lek zacznie działać.

VII

Judyta uniosła szklaną fiolkę pod światło lampy laboratoryjnej. Wewnątrz był tylko przezroczysty płyn.

— Nie pytaj mnie, jak to działa.

— Mężczyzna w białym fartuchu pokręcił głową. — To nie nasza technologia. Od momentu otwarcia nano pozostaną aktywne najwyżej przez pół godziny. W suchym pomieszczeniu nawet krócej. Na tyle wystarcza osłona wodna. Kiedy ta cienka warstewka odparuje, metabiałkowa izolacja skruszy się i nano przestaną działać. Masz pół godziny od momentu odłamania szyjki.

— Musi to wypić?

— Wystarczy kropla.

— Ile czasu będzie działać?

— Organizm od razu zaczyna je zwalczać. Limfocyty Tc rozpoznają je jako wirusy, bo poniekąd to nano przypomina wirusa. Przystają działać po tygodniu, dwóch, zależnie od indywidualnej odporności. Bywa, że i po dwóch dniach.

Rozejrzała się po zapleczu policyjnego laboratorium. W rogach pomieszczenia, wysoko na szczytach regałów stały sterty pudeł i matowe pojemniki. Za ścianką z mleczonego szkła trwała ożywiona dyskusja nad wyższością modułów elektronicznych Elzab nad modułami Elwro.

— Jest bezpiecznie. — Domyślił się, czego szuka dziewczyna. — Zajmuję się inwigilacją, wiem, jak to działa.

— Az braku tego się wytłumaczysz?

— Schowała fiolkę do kieszeni.

— Szkło czasem się tłucze. Teraz jeste śmy kwita?

Uśmiechnęła się i wyszła.

Ciemniało, a wygięte smugi deszczu, jak wielka miotła, sunęły od północy.

Będzie padać. Albo krótka mżawka, albo ulewa, tego nie sposób przewidzieć. Harpad

zerknął na ekran komunikatora i dotknął odpowiednie pole. Zbliżał się do Bemowa, gdzie rzeczywiście już zapowiadano opady.

Górne piętra biurowców Woli pochłaniała gwałtownie kondensująca się wilgoć.

Wszystko jedno, niech pada.

W miarę jak ból słabł, wracała jasność umysłu. Harpad wiedział, że porusza się po nieznanym terenie, gdzie panują inne zasady, a jego intuicja na nic mu się nie przyda. Chciał jak najszybciej jechać do Marysi i zrobiłby to, gdyby nie racjonalna ocena sytuacji. Nie mógł jej uwolnić, nawet nie miał broni. Lepiej dla małej, jeśli zostanie tu do wpół do dziewiątej, cokolwiek ma się o tej godzinie wydarzyć. Niech plan poiywaczy biegnie niezakłócony. Harpad wiedział, że tylko od niego zależy, ile będzie o tej godzinie wynosiło PZ Kraszewskiego. A to właśnie miało decydujący wpływ na przebieg wypadków. I na los Marysi, to rozumiał doskonale.

Pisk komunikatora.

„Co zamierzasz zrobić, bydlaku?”

Zacisnął zęby. Nie miał siły się z nią kłócić.

Nachylił się do komunikatora, aż poczuł szarpnięcie w plecach. Podyktował wiadomość najspokojniej, jak tylko mógł: — To też moja córka, więc mi tym razem zaufaj.

Prawie rzucił komunikatorem o przednią szybę. Co w tej babie kiedyś widział?

Odetchnął. Trzeba ostrożnie badać możliwości, bo łatwo o błąd. Gdyby przed śmiercią wdowy Stefańskiej pchnął jej licznik, co rozważał, teraz byłby przekonany, że Eliminacja polega na natychmiastowym mordowaniu ludzi. Tak nie jest, ale na razie trzeba zapomnieć o samowolnym poddaniu się Eliminacji. Zbyt wiele niewiadomych, za duże ryzyko.

Przypadkowa destynacja okazała się portalem wjazdowym piętrowego parkingu policyjnego. Spojrzał na wyświetlacz i zrozumiał. Przed cmentarzem w zdenerwowaniu pomylił się i z przyzwyczajenia wybrał historię. Triumph był w tym miejscu wczoraj, po stłuczce na Wisłostradzie.

Wybrał kontakt „Talińska” i wpisał WT: „Spotkajmy się na kawie. Jestem w pobliżu”.

Zapewne potrafiłby ją odszukać w transie, ale może jest łatwiejsza metoda, na przykład książka teleadresowa. Wpisał „Judyta Talińska” i już miał jej aktualne dane. Ile

była warta cała ta ochrona anonimizacji, skoro to takie proste? Jeśli on sobie poradził, to g.A.I.a. tym bardziej nie powinna mieć z tym problemów. A jednak PZ policjantki było niskie.

Wysłał lokalizację kawiarni po drugiej stronie ulicy. Usiadł przy jednym z wolnych stolików.

Nie odpowiedziała, ale Haipad i tak wiedział, że się pojawi.

Czekał mniej niż dziesięć minut.

— Nie możemy się tak spotykać.

— Judyta rozejrzała się dyskretnie i usiadła. — Tu przychodzą moi koledzy.

— Możesz chyba wypić kawę ze znajomym. — Zmusił się do uśmiechu. — Niech to wygląda, jakbyś mi się podobała.

Wywołał na komunikatorze menu kawiarni i wybrał dwie kawy latte. Zza baru dobiegł dźwięk młynka.

— Jestem trochę zajęta. — Zerknęła na ulicę. — Mów szybko.

— Jak najlepiej zgłosić porwanie?

Odgarnęła włosy za ucho.

— Ktoś został porwany? Ja się tym nie zajmuję.

— Pytam teoretycznie. — Potarł dłonie. — Żeby wiedzieć na przyszłość.

— Można wysłać wiadomość z dokładnym opisem zdarzenia albo przyjść osobiście na posterunek. W obu przypadkach konieczne będzie przesłuchanie. — Coś do niej dotarło. — Chodzi o Marysię...?

Nie odpowiedział. Patrzył jej w oczy, potem uciekł spojrzeniem na małego robota, który zbliżał się z dwoma kubkami.

Dziewczyna dotknęła jego dłoni, ale szybko cofnęła rękę.

— Kiedy to się stało? — zapytała innym tonem.

— Rano... po południu. Późno wstałem.

— Już po naszym spotkaniu na Polu Mokotowskim?

— Tak...

Harpad zerknął na dziewczynę i zobaczył na jej twarzy ulgę. Nie wiedziała, że on potrafi manipulować wartością PZ, więc dla niej ta chronologia oznaczała, że informacja o Kruszewskim jest prawdziwa.

Szantaż nie mógł przecież działać wstecz, by skłonić nuzzlera do podania fałszywej

wartości. Może lisica, ale jeśli nawet, to niedoświadczona.

— Wiesz, kto ją ma? — zapytał.

Usta Judyty drgnęły.

— Tu nie chodzi o nas — powiedziała wolno. — Nie chodzi o nasze rodziny, przyjaciół. Chodzi o przyszłość.

— Mnie chodzi o moją córkę.

Pokręciła głową.

— To nie takie proste. Każdy ma kogoś bliskiego.

— Walić to! Mówię o Maiysi.

Kilka osób z sąsiednich stolików spojrzało na nich. Judyta nachyliła się, położyła dłonie na przedramionach Harpada i powiedziała znacznie ciszej: — A jeśli ci powiem, to coś zmieni?

— Więc wiesz? — Naciskał. — Znasz człowieka z cygarem chowającego się w cieniu?

— Wiem, o kim mówisz. Nie mogę nic zrobić. On jest poza naszym zasięgiem.

— Jak to poza zasięgiem? Ma moją córkę!

Judyta opuściła głowę, cofnęła dłonie.

— On miał kiedyś brata bliźniaka. Kierowali gangiem młodzieżowym i byli nieuchwytni. To legenda powtarzana u nas na wydziale i nie wiadomo, ile w niej prawdy.

To było dawno temu, nie znajdziesz na ten temat żadnych informacji. Po trzydziestu latach stare rekordy kartotek policyjnych są usuwane, zostają tylko opowieści. Nie mogliśmy ich złapać. Zrobiła to Eliminacja.

Zabrali jednego z braci, drugi zniknął. Od tego czasu nie zarejestrowała go żadna kamera, nikt go nie widział. A przynajmniej nikt tego nie przeżył. Nie wiem, czy to jest dobry sposób, żeby oszukać Eliminację, ale na pewno dobry, żeby zniknąć z kartotek Nadzoru. Więc dla nas on nie istnieje.

Harpad spuścił głowę i zapatrzył się w kubek z kawą.

— Ta twoja żona... — zaczęła Judyta.

— Czy ona naprawdę jest takim potworem?

— Są różne rodzaje potworów. Niektóre mają wiele twarzy, inną na każdą okazję.

— Spotkałeś się ze mną, żeby sprawdzić, czy nie mamy czegoś wspólnego z porwaniem Marysi, prawda? — Spojrzała mu w oczy. — Nie mamy. Nie działamy

w ten sposób. Zajmujemy się... — Zamilkła na chwilę. — Czy nie myślisz czasem o czymś poza tym, czego możesz osiągnąć? O czymś, co ciebie bezpośrednio nie dotyczy?

Dziwne pytanie. Upił łyk kawy i wzruszył ramionami.

— Nigdy nie zastanawiałaś się, skąd się bierze kawa, którą pijesz? — nalegała.

Spojrzał w kubek, potem na nią. Pokręciła głową z dezaprobatą.

— Czy tam, na Polu Mokotowskim, powiedziałaś prawdę? — zapytała.

Jaka różnica? Wszyscy kłamią. Kłamstwo jest bardziej naturalne, prawda to sztuczny twór. To podawanie komuś własnego oglądu sytuacji, luka w zabezpieczeniach. Zawahał się.

— Czy PZ Kruszewskiego to sto trzydzieści trzy? — naciskała.

Obracał kubek między palcami.

— Wtedy tyle było...

Skinęła głową. Wstała, ale nachyliła się jeszcze do niego.

— Nie zgłaszaj porwania, jeśli chcesz odzyskać córkę. Jeżeli myślimy o tym samym człowieku, zrób, co ci każe, i czekaj. Nic nie zdasz. Nikt nic nie może zdziałać.

Wyszła, zostawiając nietkniętą kawę.

Odprowadził ją wzrokiem. Nie skłamał, choć... Czym jest kłamstwo? Powiedzeniem nieprawdy? To można zrobić nieświadomie, więc nie. Zatem kłamstwo jest przekazaniem informacji niezgodnej z przekonaniem o stanie rzeczywistym. Tego również nie zrobił. Powiedział więc prawdę, ale jednocześnie wprowadził Judytę w błąd.

Co tu się właściwie wydarzyło przed chwilą? Rzuciła karty na stół i poddała partię. A może rzuciła, myśląc, że i tak wygra.

Zatrzymał się przed kawiarnią, rozejrzał się. Zza chmury wychodziło Niesłońce, co znaczyło, że za parę minut zrobi się tu gorąco. Miał wrażenie, że przed laty zmiany pogody nie były tak gwałtowne.

A może zbliża się starość?

Spojrzał na zaparkowanego Triumplia i chwilę myślał nad czymś intensywnie.

Tylko chwilę. Wyjął komunikator i zdalnie wysłał samochód w przypadkową trasę po mieście. W centralnych dzielnicach krążenie samochodem było tańsze od parkowania — idiotyczne rozwiązanie w czasach autopilotów. Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku stacji metra.

Tli też stały nowostare kamienice, kopie tych zniszczonych w innych rejonach miasta w Powstaniu Warszawskim i później, przez komunistycznych urbanistów.

Budynki poddano tym samym metamorfozom, co wszystkie inne. Przybyło im kilka kondygnacji, a każdą z nich obniżono, by mniejszym kosztem zyskać większą przestrzeń życiową. Dawne zindustrializowane Aleje Jerozolimskie istniały nadal. Hale handlowe skurczyły się i dały się zepchnąć na tyły kamienic, dwie przecznice dalej.

Zdławiony rozczłonkowaniem cywilizacji konsumpcyjny styl życia nie umarł, przeszedł tylko w stan letargu. Nie pozwalano mu umrzeć, bo nikt nie miał pomysłu, czym zastąpić religię wzrostu. Na czteromilionową komunę nie było przyzwolenia społecznego, nacjonalizm nie miał sensu wobec braku tak zagrożeń, jak i możliwości ekspansji. Inny plan zwyczajnie nie istniał.

Produkt miejski brutto rósł bardzo wolno, a i to chyba tylko dlatego, że rządowi ekonomiści manipulowali przy sposobach jego obliczania.

Szedł wolnym krokiem z taką samą prędkością jak inni przechodnie, by nie wyróżniać się z tłumu. Robił to już odruchowo. To nie była misja ratunkowa, raczej ryzykowny sposób na upewnienie się, że małej nic nie grozi.

Na granicy Śródmieścia, Woli i Ochoty mieszkali nieco inni ludzie. Artyści. Mimo bliskości Bariery, która już majaczyła zimną szarością w perspektywie ulicy, dzielnica nie zamieniła się w slumsy.

Mieszkańcy dbali o to, by nie wprowadzał się tu niepożądany element. Chcieli zachować własny styl życia, nawet jeśli był niezrozumiały dla reszty warszawian. Byli nawet tacy, którzy mieszkali w domach z oknami skierowanymi w wieczną czerń kosmosu.

To tu, po przeciwnej stronie Alej. Piętnastopiętrowa kamienica z elewacją z czerwonego klinkieru przed Przemianą miała pewnie nie więcej niż pięć, sześć kondygnacji. Marysię trzymali na szóstym piętrze od frontu, po prawej stronie klatki schodowej. Skąd to wiedział? Po prostu wiedział i był tej wiedzy absolutnie pewien.

Nie zatrzymał się, nie spojrzął w górę, to byłoby zbyt podejrzane. Zamiast tego skrzył do drzwi domu naprzeciwko.

Domofon nie działał, ale drzwi otworzyły się, gdy je pchnął. Wszedł do chłodnego hallu. Podłogę zdobiła sfatygowana mozaika białych i brązowych płytek. Trzybiegowe schody okrężały wyłożony siatką szyb zabytkowej windy. Ciekawe, czy kamienicę po

Przemianie odtworzono w takim stanie, czy stworzono ją pachnącą nowością? Czy mozaika na podłodze była kompletna i gładka, czy drzwi mieszkań nie były odrapane? Próbował zająć głowę czymś innym niż myśli o Marysi.

Spojrzał na drzwi windy. Szóste piętro, ale w windzie prawie na pewno jest kamera. Niechętnie powlókł się do schodów. Minimalizacja ryzyka. Nie spieszył się. Bał się widoku z okna, tam, na górze.

Już na czwartym piętrze serce mu łomotało, a pot spływał po plecach. Skutki picia, całego roku ignorowania własnej kondycji, wożenia tyłka klimatyzowanym samochodem. Zatrzymał się na półpiętrze dla złapania tchu.

Gdzieś w górze trzasnęły drzwi, na schodach rozległy się kroki. Zza szybu windy wyłoniła się podstarzała kobieta z łaciatym chartem o absurdalnie chudych nogach. Sama również była chuda, jakby żywiła się tylko szczypiorkiem i powietrzem. Zatrzymała się kilka stopni od nuzzlera i ściągnęła przesadnie wymalowane usta. Pies też go obserwował, ale był za głupi, żeby zrobić cokolwiek więcej. Był robotem bez funkcji obronnych.

— Kondycja... — Harpad zmusił się do uśmiechu.

Usta kobiety drgnęły niesymetrycznie.

Choć było to wyjaśnienie jego postoju na półpiętrze, a nie obecności w kamienicy, wystarczyło, żeby i kobieta, i pies ominęli go bez słowa. A nawet jeżeli wezwą policję, to co? Nie zrobił przecież nic złego.

Spojrzał w górę schodów, ale nie ruszył się z miejsca. Czy g.A.I.a. wie to wszystko, co wydaje się wiedzieć, czy tylko ekstrapoluje ze strzępków informacji? Już za chwilę okaże się, czy potrafi zlokalizować dziecko z dokładnością do kilku metrów. Odpoczął i ruszył dalej. Zaczynał żałować, że tu przyjechał. Lepiej by zrobił, gdyby urznął się w jakimś barze i przeczekał do tej ósmej trzydzieści. To, co zobaczy przez okno, raczej nie poprawi mu nastroju, a małej i tak nie pomoże.

Minął szóste piętro, zatrzymał się dopiero na półpiętrze wyżej. Oparł się o parapet i spojrzał na budynek naprzeciwko. Zamarł z dłońmi zaciśniętymi na drewnie parapetu. Była tam, siedziała przy stole z jakąś kobietą i jeszcze jedną dziewczynką z radymi loczkami. Wszystkie trzy się śmiały. Chyba w coś grały, bo Marysia przesuwiała po stole jakieś małe elementy.

Bez lornetki nic więcej nie mógł dostrzec.

W pokoju po lewej siedziało trzech mężczyzn —jeden zajęty komunikatorem, dwóch rozmawiało. Nawet nie zasłonili okien — nie bali się, że ktoś zobaczy. Odetchnął z ulgą. Małej nic nie będzie, skoro jest zakładnikiem profesjonalistów. Puszczą ją przed dziewiątą, gdy wydarzy się to, co ma się wydarzyć. Zrobił, co chcieli, i przekonają się o tym już za parę godzin.

Wtedy wszystko wróci do normy.

Skąd wiedział, że tu będzie okno, z którego zobaczy córkę?

Nie miał czasu się nad tym zastanowić.

W dole rozległ się tupot dwóch par butów.

Ktoś wbiegał po schodach, a Harpad był pewien, że biegną po niego. Cofnął się od parapetu i spojrzał na wyświetlacz windy — kabina stała na parterze. Nie zdąży tu dojechać. Mógł więc biec do góry, ale tamci dopadną go najdalej po dwóch piętrach. Walenie do przypadkowych drzwi też nie wydało się dobrym pomysłem — nie chciał tu przecież policji. Nic innego nie wymyślił. A potem nie było już czasu na myślenie.

Podszedł do balustrady. Już ich widział przez stalową siatkę i mechanizmy szybu.

Kondycja i siła, pewnie wspomagane chemicznie. Cofnął się do barierki i zerknął przez ramię na przeciwległą kamienicę.

Trzech facetów stało w oknie i gapiło się na niego.

Nic mi nie zrobią, jestem im potrzebny.

Inaczej po co porywaliby Marysię?

Tych dwóch pokonało ostatnie stopnie.

Bez zadyszki i śladu zmęczenia zatrzymali się metr od Harpada. Kwadratowe, sterydowe gęby o doskonale obojętnym spojrzeniu, garnitury wypchane masą mięśniową.

Opór był bez sensu — refleks też mieli podkrecony. Nuzzler oparł się o barierkę i przełknął ślinę. Starał się nie okazywać strachu. Jeden z mężczyzn podszedł bliżej, a Harpad odruchowo napiął mięśnie brzucha. I tak go zatkało. Tamten przytrzymał go i uderzył jeszcze dwa razy. Dopiero potem zadał pytanie: — Po co tu przylazłeś?

Puścił Harpada i pozwolił mu opaść na kolana. Nuzzler po kilku próbach złapał oddech. Nie bije z całej siły, przemknęło mu przez myśl. Jestem potrzebny.

— Zobaczyć córkę...

Mięśniak uniósł mu brodę i utkwiał w nim wciąż obojętne spojrzenie.

— Skąd wiedziałeś gdzie?

Sam chciałbym to wiedzieć.

— Przeczucie.

— Przeczucia nie istnieją. Skąd wiedziałeś?

— Przeczucie...

Wstał. Za późno pomyślał, że odbiorą to jako prowokację. Kolejny cios w brzuch znów posłał go na ziemię.

Zmusił się do płytkiego oddechu. Nic mi nie zrobią. Jestem potrzebny.

— Wasz szef zatrudnił mnie, właśnie dlatego że mam przeczucia.

Patrzył w podłogę. Nie widział, co zamierzają. Stali nieruchomo.

— Skąd wiedziałeś?

Nie jesteście dobrzy w konwersacji. Już powiedziałem.

Nie, nie powiedział tego. Ale i tak go nie zabiją, bo jest im potrzebny. Choć to nie znaczyło, że go nie poturbują jeszcze bardziej.

Pierwszy mięśniak uniósł go za kurtkę.

— Skąd wiedziałeś?

Harpadowi zapaliła się czerwona lampka. To nie byli mistrzowie intelektu.

Nie wiedzieli nic o planach Wolfa. Mieli tylko pilnować Marysi, a Harpad wszedł im w paradę. Zabiją go, bo to przychodzi im z łatwością. Zabiją, bo nie wiedzą, co Wolf z nimi zrobi potem.

— O tym mogę rozmawiać...

— wystękał — tylko z waszym szefem.

Chwila ciszy. Mięśniakowi coś się skojarzyło, bo zamiast uderzyć, wyjął z kieszeni komunikator i wycelował obiektyw w nuzzlera. Wysłał gdzieś zdjęcie i przeszedł w stan spokojnego oczekiwania, z którego wybił go dopiero sygnał przychodzącej wiadomości. Zerknął na ekran i powiedział tym samym obojętnym tonem: — Za dziesięć minut masz być po drugiej stronie miasta. Nie wracaj tu.

— Co z małą?

Odwrócili się i bez pośpiechu zeszli po schodach. Harpad wstał, rękawem otarł ślinę z ust. Chciał wyrzucić przez okno, ale powstrzymał się.

Wszedł na pełne piętro i stanął przed drzwiami windy. Już nie obchodziła go kamera. Miał dziwne wrażenie, że tamci czekają dwa piętra niżej, żeby jeszcze raz mu przyłożyć. Zanim dotknął przycisk wzywania windy, wysoko w górze rozległo się szczęknięcie

archaicznego silnika.

Zadrgały liny i kabina zaczęła się wspinać w kierunku osi obrotu Pierścienia Warszawa. Nuzzler przełknął ślinę i cofnął się o krok. Bolały go mięśnie brzucha i żebra.

W żadnym razie nie miał ochoty na powtórkę. Układał już w głowie odpowiedź na pytanie, skąd wiedział. Był zdecydowany powiedzieć.

Winda stanęła, a drzwi skrzypiąc, rozsunęły się. Z kabiny wyszła chuda kobieta z chudym chartem. Zatrzymała się w progu, widząc wbite w siebie spojrzenie. Harpad wyminął ją i zbiegł po schodach.

* * *

Zegar nad drzwiami pokoju bez okien wskazywał wpół do szóstej. Betonowe ściany z ledwo widocznymi śladami po szalunku zionęły chłodem. Judyta siedziała przy stole i zastanawiała się, jak zacząć.

— Cieszę się, że przyjechałaś — wyręczył ją siedzący naprzeciwko Taliński — ale powinnaś teraz być tam i nadzorować końcowe przygotowania.

— Służbę zaczynam za półtorej godziny. Wolałam porozmawiać osobiście.

Komunikacja elektroniczna może być kontrolowana.

Wstała i przeszła kilka razy wzdłuż betonowych ścian. Usiadła na łóżku.

— Jest sposób — powiedziała cicho.

Spuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

— Jest sposób na proste wykonanie ostatniego punktu twojego planu. Lepszy niż ten twój. Pewniejszy. Nie wiem, jak mogłam w ogóle o tym pomyśleć, ale jest sposób.

Mężczyzna wstał i pogłaskał ją po głowie. Uśmiechnęła się niepewnie.

— Mamy mało czasu. — Zerknął na zegar. — Mów.

Waldemar Kraszewski siedział za biurkiem w swoim praskim biurze i przeglądał unoszące się nad blatem wirtualne dokumenty. Półprzezroczyste, wyświetlały się jeden na drugim do momentu, w którym nie przysuwał któregoś przed oczy. Na wierzchu, pół centymetra nad raportami o stanie bilansów pierścienia, unosiły się dwie proste tabelki.

— Mam dwie listy — powiedział, choć gabinet zdawał się pusty. — Wypisałem je sobie, żeby mi się lepiej wbiły w pamięć.

Dwanaście najważniejszych spraw, które powinno się załatwić podczas następnej kadencji. To lewa strona tabelki. Po prawej wypisałem te, których załatwienie muszę

obietcywać, bo ludzie chcą to usłyszeć, choć połowa jest szkodliwa dla Warszawy. Obie listy mają tylko trzy punkty wspólne. Nie przestaje mnie zastanawiać, jak to możliwe, że jeszcze nie... wyginęliśmy. — Chciał powiedzieć „nie zniknęliśmy z powierzchni Ziemi”, ale to akurat przecież się stało.

— Cóż za diabelski mechanizm zmusza nas do popełniania tylu błędów, z pełną tego świadomością. Jakbyśmy służyli kapry śnemu rozpuszczonemu dzieciakowi, a nie społeczności dorosłych ludzi, potrafiących myśleć w kategoriach przyczyny i skutku.

Istnieje znacznie sprawniejszy model zarządzania pierścieniem — korporacyjny. Nikt przy zdrowych zmysłach tego nie zaproponuje, bo zagrozi to układom nie do przebiccia. Zagrozi świętej demokracji. Nawet nie zamierzam tego zapisywać na mojej liście życzeń, to tak nierealne. Jeśli coś takiego powiem, wszyscy się na mnie rzucą, że planuję zamach na demokrację. Tymczasem prawda jest taka, że głupcy wybierają złych przedstawicieli, cwaniaków, którzy potem źle rządzą. A źle rządzą właśnie dlatego, że są cwaniakami. Wiem, mnie też wybrali.

Tu się inaczej do władzy nie dochodzi. Nie są promowane właściwe cechy, lecz kuglarstwo dla gawiedzi. Tak można wybierać sołtysa, a nie prezydenta Warszawy. Kompetencje do rządzenia pierścieniem przegrywają na starcie z prymitywnym dowcipem.

— Tęsknisz za totalitaryzmem?

— Eliza objęła go i przysiadła na poręczu fotela. Blond kosmyki połaskotały go w twarz.

— Wtedy władca sam zamienia się w zepsutego dzieciaka. — Pokręcił głową.

— To, co mówię, a to, w co wierzę, to zupełnie inne sprawy. Najgorsze, że kłamstwo tak weszło w moją naturę, że zaczynam się źle czuć, kiedy mówię prawdę. Jakbym się odsłaniał.

— Ludzie chcą być oszukiwani, więc rób to. — Asystentka wsunęła palce w jego włosy i drapała go delikatnie. — Nie rozczulaj się nad sobą akurat teraz. Za parę godzin musisz być w szczytowej formie.

Wyrzuty sumienia zostaw sobie na imprezę powyborczą.

— To nie są wyrzuty sumienia. Przychodzi mi na myśl analogia do czasów, kiedy jeszcze istniały pociągi, a ludzie mogli wybierać, gdzie chcą żyć. Czuję się jak pasażer, który pomylił pociągi i zorientował się, gdy było już za późno. Wiem, że jadę w złym

kierunku i nic nie mogę na to poradzić. Oddalam się od mojego celu, a i tak muszę wykonywać te wszystkie czynności, które trzeba wykonać w pociągu. Znajdę miejsce, włożę bagaż do schowka, przeczytam książkę, wypiję kawę. W którymś momencie pojawi się konduktor i będę musiał kupić nowy bilet, czyli zapłacić za coś, co oddala mnie od celu. Tak, idę w złą stronę, bo tam wiedzie mnie tłum. — Machnięciem usunął połowę dokumentów znad centralnej części biurka.

Pofrunęły do swoich niematerialnych teczek. — Muszę zmienić wizerunek na bardziej wyrazisty. Spróbuj jeszcze raz wyszukać te dane statystyczne recydingu.

— Próbowałam kilka razy. Nic takiego nie istnieje. Musielibyśmy sami wynająć ludzi i przegrzebywać śmieciarki. — Eliza przytuliła się mocniej. — Jeśli przypną ci łątkę ekologa, możesz zapomnieć o wygranej. Lepiej poćwicz ślizgi.

— Nie muszę. — Kruszewski wziął swój komunikator i przez chwilę przesuwiał po ciemnym ekranie palcem, rysując skomplikowane wzory.

Komunikator Elizy wyświetlił natychmiast: „Nie chodzi o ekologię, tylko o rozrzutność i marnotrawstwo”.

— Ryzykownie blisko ekologii. Już ci mówiłam. — Pocałowała go w policzek.

— Po to ci te dwie listy? Żebyś się czuł lepiej, bo wprawdzie robisz źle, ale o tym wiesz?

— Mam też trzecią — wyciągnął na wierzch wirtualnej sterty listę dłuższą kilkakrotnie od tamtych dwu razem wziętych.

— Przyda się, dopiero jeśli wygram wybory. Ma tylko jeden punkt wspólny z pierwszą. To rzeczy, o których mogę tylko marzyć.

— Po co więc startujesz w wyborach?

— Choćby dla tego jednego punktu.

Tamci nie zrobią przecież nic.

* * *

Krążył po mieście, wykorzystując funkcję random autopilota. Złudzenie podążania w jakieś konkretne miejsce dawało mu sub—

stytut poczucia sensu, szczątkowej celowości ostatnich godzin tego dnia.

Przyszła kolejna WT. No tak, kolacja przy świecach. Nie odpisał jej. Skończyła pracę i przysłała mu dwie WT, że chętnie spotka się wcześniej. Nie miał teraz ochoty na

niczyje towarzystwo, nawet jej. Jego myśli i tak krążyły wokół Marysi. Co jakiś czas pojawiała się w nich również Renata, co wprawiało go w rozdrażnienie.

W jednym z barów, ustawionych tak, by można zamawiać bez wysiadania, kupił chińskie danie w kartonowym pudełku.

Albo wietnamskie danie w kartonowym pudełku. Wszystko jedno, było paskudne, smakowało solą, cukrem i przepalonym tłuszczem.

Wreszcie zdobył się, żeby odpowiedzieć. Napisał, że bardzo przeprasza, ale teraz musi pobyć sam. I zaraz wysłał kolejną, że może by się spotkali późnym wieczorem. Wiedział, że wtedy będzie jej potrzebował. Odpisała zwięźle, że z ochotą i żeby odezwał się, kiedy. Pomyślał przelotnie, że istnieją kobiety idealne i że jeszcze będzie się tym cieszył, jak to wszystko się skończy. Nie, nie wierzył, że to się skończy. Wiedział, że jest zbyt cenny dla Wolfa, by ten, ot tak, go sobie odpuścił.

A jeśli nawet odpuści Wolf, znajdzie się kto inny. Zawsze ktoś podnosi pchany wiatrem banknot.

Kolejne WT wyrwało go z pętli bezproduktywnych rozmyślań: „Przed gmachem Rady za godzinę”. Ożywił się. Nadawca anonimowy — tego się spodziewał, ale czemu akurat pod gmachem Rady? Najgorsze miejsce; pełno kamer i demonstrantów.

Zastanawiał się, czy nie zaprotestować, zażądać zmiany miejsca. Nie zrobił tego.

Porywacze znają się na swojej robocie, więc pewnie mają jakiś plan. A przy okazji Harpad tam będzie miał największą szansę na ostatnią próbę zwiększenia PZ innego polityka.

Wahał się tylko chwilę. Nie znosił polityków, większość z nich uważał za szkodniki. Wybierze po prostu największego szkodnika i pchnie go w objęcia Eliminacji.

Zrobi to. Zrobi to dla Marysi i przekaże Judycie WT z nazwiskiem. To najlepsza opcja.

Wyprawa w Aleje uspokoiła go. Był obolały, ale to nieważne. Teraz przynajmniej wiedział, że Marysi nic nie grozi, że nikt nie chce jej zrobić krzywdy. Być może była nawet teraz lepiej chroniona niż sam prezydent. No i ktoś, mimo wszystko, starał się, by jej PZ nie wzrosło — ta kobieta, która siedziała z nią i z tą rudą dziewczynką, opiekunka. To będzie wyglądało jak przygoda, jak szkolna zabawa w zaduszki.

Dbamy o naszych przyjaciół. Tylko czasem porywamy im dzieci.

Za oknem przesuwają się Kabaty i luksusowe mieszkaniowce z widokiem na

Kampinos, którego ponoć nigdy nie zabudują. Kiedyś myślał o przeprowadzeniu się tu. Kiedyś, kiedy jeszcze miał rodzinę.

Teraz było mu wszystko jedno.

Nie. Przecież Marysia.

W takich sytuacjach najgorsze jest oczekiwanie i świadomość, że nie ma się żadnego wpływu na bieg zdarzeń. Zrobił już wszystko, co mógł. Teraz musiał czekać. Zaprogramował jeszcze dłuższą trasę, która miała się zakończyć o wyznaczonej porze przed gmachem Rady, i zamknął oczy, pozwalając się wieść wokół Pierścienia Warszawa. Mimo stresu zasnął prawie od razu.

VIII

Demonstrantów było więcej niż zwykle. Zbliżały się wybory prezydenta miasta — ten urząd wciąż tak się nazywał, choć już kilka razy próbowano go przemianować na „prezydenta pierścienia”. Wszyscy i tak mówili „prezydent” lub „Wielicki”, czasem „Wielgach” albo korzystano z całego arsenału określeń obraźliwych. W kontaktach międzypierścieniowych funkcjonowała nazwa „Prezydent Warszawy”. Na transparentach widniały umiej lub bardziej grzeczne określenia, w zależności od poglądów twórcy. Obrażliwe właściwie się nie pojawiały, w obawie przed natychmiastową konfiskatą, a może i aresztowaniem.

Demonstranci stali podzieleni na kilka grup i skandowali hasła, które nakładały się na siebie i zlewały w niezrozumiałą jazgot.

W niebo unosiły się transparenty. „Żądamy jednej Polski! Połączyć wszystkie polskie pierścienie!” — odbijało się w kilku dziesiątkach lustrzanych przyłbic policyjnych hełmów.

Ciekawe jak, pomyślał Harpad. Zaparkował najbliżej, jak się dało, nie bacząc na trzykrotne przebicie opłaty ze względu na bliską demonstrację. Wysiadł i ruszył w kierunku wejścia do Rady. Wiedział, że nie dostanie się tam. Liczył, że przynajmniej zobaczy kilku polityków, dzięki czemu będzie mógł poznać ich PZ. Radni należeli do grupy najwyższego ryzyka.

Zdarzało się, że Eliminacja zabierała liderów partii po przegranym głosowaniu.

— Pan też narodowiec? — zagadał do niego przechodzeń, starszy facet. — Jak połączyć?

Harpad zignorował pytanie. Wypatrywał ponad głowami ludzi, czy ktoś nie wyjdzie do demonstrujących. Ale kto by miał wyjść? Skupić na sobie tyle nienawiści to murowany wzrost PZ.

— Ile jest polskich miastpierścieni?

— nie odpuszczał starszy pan. — No ile?

Będzie z piętnaście.

— Jeśli je połączyć, wyjdzie cygaro — rzucił od niechcienia Harpad. — Końce będą wystawać spoza orbity okołosłonecznej. Zmienne ciążenie słoneczne, wektor ukośny, też zmienny. Na peryferiach murowana choroba morska.

Przeszedł dalej, by zgubić natręta.

Drogę zagroził mu policjant. Z tej strony nie podejdzie. Zawrócił.

— Zmienne ciążenie przy takiej odległości? — Starszy pan go dogonił. — Bzdura! Z centrum Warszawy przejdziemy spacerkiem do centrum Torunia—Bydgoszczy. Piękne, nie?

— Ale niemożliwe — odparł. — Mają inne średnice.

Staruszek zatrzymał się, zaskoczony nową informacją.

Nuzzler nie miał pojęcia, jakie są średnice pierścieni. Nie oglądając się, wrócił do samochodu. Zmatowił szyby. Może nie potrzebuje bezpośredniego kontaktu z obiektem, może wystarczy znać jakiś parametr. Czemu nie, skoro zwykłą bazę danych można przeszukiwać i porządkować na wszelkie sposoby. Zamknął oczy i wszedł, nawet nie dotykając nieprzełącznika. Znalazł się w pustce, daleko od najbliższego rekordu. Nie potrafił wydawać tu żadnych poleceń ani nawet precyzować życzeń. Jego wola spełniała się, zanim jeszcze pomyślał, by wykonać jakąś czynność.

Jak znaleźć rekordy polityków z najwyższym PZ? Wnętrznosc wokół zawirowała i uporządkowała się ponownie. Pochylało się nad nim kilkadziesiąt kanciastych brył radnych, a im która bliżej, tym wyższe PZ.

Zapamiętał trzy nazwiska, niemal na skraju niebytu, z wartością blisko sto trzydzieści siedem.

* * *

Mimo że tłumek najwyraźniej nie zamierzał wychodzić na ulicę, luźny kordon policyjny i tak stał wzdłuż planowanej trasy przejazdu, i dalej, za bramą, aż do głównego wejścia. Wewnątrz za bezpieczeństwo odpowiadała straż miejska.

W gorętszych okresach, a takim bez wątpienia był czas przedwyborczy, oddziały prewencji wzmacniano oficerami z innych wydziałów. Najbliżej drzwi stała zgrabna policjantka. W dłoniach osłoniętych rękawicami taktycznymi trzymała puszkę napoju gazowanego. Potrząsała nią lekko, jakby mimowolnie. Stali tak wszyscy od półgodziny,

podczas której nic się nie działo. Nawet krzyki demonstrantów dobiegały zza świerków i jodeł, więc niczego nie było widać. Każdemu mogło się znudzić. Robiło się chłodno i zbierało się na deszcz, co było jeszcze mniej przyjemną perspektywą.

Wreszcie o podjazd zaszurały opony i czarna limuzyna marki Tatra zatrzymała się na wprost drzwi. Policjanci wyrównali szyk. Z pierwszego przedziału wysiadł ochroniarz. Zlustrował sytuację i dopiero wtedy otworzyły się tylne drzwi. Najpierw wyszedł wysoki, szpakowaty i bardzo elegancki mężczyzna — radny Kruszewski.

Przyglądził marynarce, zapiął ją i włożył dłoń do ciemnego wnętrza pojazdu, by pomóc wysiąść trzydziestoletniej blondynce w szarej minispódniczce i szarym, bardzo dopasowanym żakiecie. W asyście ochroniarza mszyli do odległego o dziesięć metrów wejścia.

Policjanci stali przodem do ich trasy, jak zawsze w sytuacji, gdy nie przewidywano żadnego konkretnego zagrożenia.

Policjantka przy drzwiach wciąż bawiła się puszką. Gdy gości dzieliło już tylko kilka kroków od drzwi, rozległ się syk. Rozpylona chmura o zapachu coli wystrzeliła metr przed Kruszewskim i jego asystentką.

Ochroniarz zasłonił radnego własnym ciałem i błyskawicznie wsunął rękę pod marynarce. Rozglądał się czujnie.

— To tylko cola — powiedziała przepraszająco policjantka i schowała puszkę za siebie.

— Nawet o tym nie myśl! — Między nią a ochroniarzem pojawił się policjant z insygniami komisarza i wskazał dłoń za pazuchą. — To tylko cola — powtórzył.

— Kurewski upał, każdemu chce się pić.

Ochroniarz zmierzył go wzrokiem, a dokładniej własne wydłużone odbicie w lustrzanej masce. Chwycił zaskoczony Km szewskiego za ramię i skierował do budynku. Asystentka rozejrzała się, zdezorientowana, i szybko podążyła za nimi.

Komisarz odwrócił się do sprawczyni całego zajścia: — Co ty mi tu odpierdalasz?

— To zdenerwowanie, panie komisarzu. — Policjantka pochyliła głowę. — Otworzyła mi się niechcący.

— Wyrzuć to!

— Tak jest! To się nie powtórzy.

— Posłusznie rzuciła pieniącą się nadal puszkę pod ścianę.

— Czekam na raport, Talińska.

* * *

Obudził go narastający zgiełk rozkręcającej się demonstracji. Rozkleił zaspane oczy i stwierdził, że Triumph stoi zaparkowany na Matejki, niedaleko głównej bramy Rady. Przespał całą tę podróż losowymi ulicami Pierścienia Warszawa. Diabelski młyn uspił go na ponad godzinę.

Sięgnął po komunikator. Nie było żadnych wiadomości, nawet od eks. Albo się bała, albo... Nie, ona się go nie bała. Powinien już dostać z dziesięć WT. Więc może się nie odzywa, bo wynajęła detektywa. Na policję raczej nie poszła. Wkurzał się, kiedy pisała, ale teraz, kiedy milczała, czuł niepokój.

Zamówił w pierwszym lepszym autoście napój izotoniczny i kawę, czyli poniekąd przeciwieństwa. Cena wzrosła o połowę ze względu na pobliską demonstrację, więc i ryzyko uszkodzenia robota dostawczego. Kwadrans oczekiwania, ale zwykle kłamią, bo łączą zamówienia. Więc nawet dłużej. Przeciągnął się, by choć trochę pobudzić krążenie. Wysiadać nie chciał, wolał tu czekać na kolejne instrukcje. Przez trzy lata, odkąd używał tego samochodu, wygniótł fotel do własnych kształtów i dobrze się w nim czuł.

Obserwował demonstrantów, których transparenty nikogo, poza nimi samymi, nie obchodziły. Czemu porywacze wybrali tak okamerowaną okolicę na przekazane Marysi? Może chcą wykorzystać zamieszanie?

Miejsce, które znalazł komputer pokładowy, dawało niezły widok na wjazd do Rady. Oficjalni goście zwykle korzystali właśnie z tej drogi, z jego punktu widzenia była to więc doskonała miejscówka.

Z tego, co nawijała komentatorka, zrozumiał, że jeden z polityków już przyjechał, kiedy on spał. Nie miał pojęcia kto.

Mógł to być Kruszewski, ale prawdopodobieństwo wynosiło jeden do trzech. Włączył ekran komputera samochodowego i odszukał kanał informacyjny transmitujący wydarzenia w Radzie. Trwały przygotowania do debaty, w której miał uczestniczyć Kruszewski. Wyglądało na to, że nie będzie to zwykła nudna rozmowa polityków, jakich wiele. Powstawało coś na kształt teatru. Nuzzler nie interesował się polityką; wiedział, kto jest prezydentem, jak działa mechanizm jego wyboru i wyboru rady; wiedział, że rada przegłosowuje ustawy, a prezydent potem rządzi, opierając się na nich. Wybory miały się

odbyć jakoś niedługo, więc ten przygotowywany z wykopem show był zapewne debatą przedwyborczą. A to znaczyło, że Kruszewski nie jest zwykłym radnym. Harpad poczuł skurcz w żołądku, gdy dotarł do niego sens tego spostrzeżenia. Do tej pory myślał, że władował się, a raczej go władowano, w poważną aferę. Teraz zrozumiał, że afera dotyczy samych szczytów władzy.

To poziom, na jakim życie małego nuzzlera i życie jego córki warte są tyle, ile karty w dłoni gracza.

* * *

Drzwi do pokoju otworzyły się. Opiekunka i jej dwie podopieczne oderwały się od puzzli wyświetlanych na białym ekranie.

— Jedziemy — rzucił mężczyzna w czarnym garniturze. — Ty zostajesz. — Wskazał palcem rudą dziewczynkę, która jako pierwsza podniosła się od stołu.

— Chcę jechać!

— To przygoda — wyjaśniła opiekunka. — Jeśli ktoś będzie cię pytał, co się stało, powiesz, że grałaś i bawiłaś się cały dzień. — Wskazała białym ekranem. — Możesz grać, w co tylko chcesz.

Dziewczynka spojrzała na ekran, będący jednocześnie białym stołem, potem na drzwi, za którymi kręcili się mężczyźni w czarnych garniturach.

— Nie chcę z nimi zostawać — wyszeptała.

— Oni tu są, żeby cię chronić. — Opiekunka pogłaskała małą po główce. — Żeby nic ci się nie stało. Niedługo wrócę.

Wzięła za rękę drugą dziewczynkę.

— I zobaczę się z mamusią? — zapytała Marysia, gdy drzwi pokoju zamknęły się za nimi.

— I z mamusią, i z tatusiem. — Jeden z mężczyzn sprawdził broń w kaburze pod pachą. — I z kimkolwiek będziesz chciała.

— Przestań! — skarciła go opiekunka.

— Zajmij się swoją działką.

— Jasne. — Uśmiechnął się szeroko.

— Twoją zajmę się potem.

Kobieta posłała mu piorunujące spojrzenie.

— Pospiesz się lepiej. Za dwadzieścia minut mamy tam być.

Marysia spojrzała na opiekunkę.

— Jaką działką, ciociu?

— To takie nasze żarciki — uśmiechnęła się kobieta. — Niedługo spotkasz się z rodzicami i wszystko będzie jak kiedyś.

— Tata nie mieszka z nami.

— Wiem, kochanie, ale teraz nie będziesz musiała czekać dwóch tygodni.

Spotkacie się niedługo.

— Skąd wiesz, że widujemy się raz na dwa tygodnie?

— Po prostu wiem. Wróżki wiedzą więcej.

— Nie jesteś wróżką — zaprotestowała Marysia. — Tylko się ze mną bawiłaś.

— Jestem najprawdziwszą wróżką.

— To musisz spełnić moje życzenie.

Opiekunka kucnęła, pokiwała głową i zmrużyła w zastanowieniu oczy.

— A więc... — uniosła palec — będziesz teraz znacznie więcej czasu spędzać z tatą.

* * *

Waldemar Kruszewski szybko zapomniał o głupim incydencie z colą. Zdolność selekcji problemów i zadań według stopnia ważności i pilności to część zawodu polityka. A on teraz miał ważniejsze i pilniejsze sprawy.

Nie był zachwycony formułą programu.

Sprawdził archiwalne nagrania, z których jednoznacznie wynikało, że „Fakty na bok” to format typowo rozrywkowy, odwołujący się do najniższych instynktów. Nie miał jednak wyboru, oglądalność szła w miliony, a przed taką publicznością nie wolno dać szansy pozostałym kandydatom na bezkarne obsmarowywanie go.

Przywitał się z Wielickim i Zdonkiem, którzy już czekali przed drzwiami studia.

Z pierwszym znał się całkiem dobrze, nieraz ścierali się w Radzie na wszelkie tematy. Drugi natomiast był zagadką. Businessman, który nagle pojawił się w świecie polityki, oficjalnie nie miał poparcia żadnej partii, a jednak jego popularność stopniowo rosła. Analiza, którą przeprowadził sztab Kruszewskiego, wykazywała jasno, że to dzięki milionom złoteuro pompowanym w media. Prowadził rozległe interesy, zdaje się uczciwe. O jego życiu prywatnym nie było wiadomo niczego, poza tym, że jest

kawalerem.

Kraszewski wymienił z nimi kilka nieszczerych uprzejmości, po czym odszedł dwa kroki zebrać myśli. Teraz każdy kandydat trzymał się osobno, przygotowując się do starcia. Mejkapistki dokonywały ostatnich poprawek, technicy sprawdzali mikrofony bezprzewodowe i przylepiali do garniturów małe niewidoczne w paśmie widzialnym markery dla programów graficznych.

W korytarzu, przed salą zamienioną na studio uwijało się kilkadziesiąt osób. Przenosili coś, rozmawiali przez PMR—y.

Wyglądało to na totalny bałagan, ale tylko wyglądało.

Różowowłosa prezenterka, Natalia Kuzman, która przed kamerami zwykle robiła z siebie idiotkę, teraz ustalała z operatorami kamer i grafiki ostatnie szczegóły.

Niewysoka, zgrabna i wysportowana, ubrana w białoróżowobłękitny strój pasujący bardziej do cyrku niż programu politycznego, teraz na ramiona zarzuciła za dużą męską marynarkę, a w dłoni trzymała tablet. Podeszła do polityków. Miała tak mocny makijaż, że trudno było rozpoznać nawet jej wiek, choć Kraszewski pamiętał, że nie przekroczyła jeszcze trzydziestki.

— Witam panów. — Przywitała się z nimi kolejno, uprzejmie i profesjonalnie.

— Zaczynamy za pięć minut. Mam nadzieję, że znają panowie formułę programu. Moi współpracownicy przekazali współpracownikom panów szczegółowe wytyczne, ale przypomnę pokrótce. Kanał 7

jest neutralny światopoglądowo i politycznie. Nikt nie będzie więc faworyzowany.

Ze wszystkich będziemy żartować, jak się tylko da. „Fakty na bok” to rozrywka lekka, łatwa i przyjemna. Jeśli uda nam się zwiększyć świadomość wyborczą, to dobrze, ale nie będę ukrywać, że dla nas wyznacznikiem jest oglądalność. Tym razem zajęli śmy się polityką, bo teraz to może tę oglądalność zwiększyć. Najpierw krótkie wprowadzenie. Każdy z panów ma minutę na przedstawienie się, potem zaczynamy rozmowę, która będzie się rozwijała spontanicznie. Scenariusz jest, ale nie mogę go panom zdradzić. Ostrzegam, że będę przerywała, żartowała i zapewne wielokrotnie przekroczę granicę dobrego smaku. Mają panowie jakieś pytania?

Nie mieli. Prezenterka skinęła głową i wskazała drzwi. Ktoś wziął od niej marynarkę i tablet, ktoś inny otworzył drzwi i politycy wkroczyli do ciemnego wnętrza.

Wystroju nie dało się rozpoznać, bo studio tonęło w ciemnościach, z wyjątkiem

widowni, już wypełnionej po brzegi szepczącym tłumem. W powietrzu polatywały kamery, spod sceny testowo puszczano chmurki dymu, coś szumiało, światła kolejno zapalały się i gasły. Zorganizowanie studia w budynku Rady okazało się kosztowne i kłopotliwe. No i z pewnością nie było łatwo zdobyć pozwolenia.

Wszystko to służyło promocji Kanału 7, który miał sporą oglądalność również w innych polskich pierścieniach.

Uczestnicy dotarli na miejsca, śledząc wyświetlane laserem strzałki opisane ich nazwiskami. Po omacku niemal zasiedli na wysokich krzesłach za zabudowanymi stolami, które w słabym świetle wyglądały jak powiększone modele zębów trzonowych.

— *Pół minuty* — rozległo się z megafonu.

— *Pamiętaj, żeby wspomnieć o żonie* — Kruszewski usłyszał w uchu głos asystentki. Jasne, a Wielicki wspomni wtedy o swojej i o dwójce dzieci.

Przed podwyższeniem, na którym siedzieli politycy, przebiegło jeszcze kilka osób, na sali cichły pochrząkiwania i szepty. Kruszewski niezwykle rzadko miał tremę, zdarzyło się to ledwie kilka razy w całej jego karierze politycznej. To, co teraz czuł, z pewnością było tremą właśnie. Nigdy wcześniej nie występował w...

— *Pięć sekund.*

Światło na widowni zgasło i płynnie zapalił się reflektor celujący w Natalię, która siedziała za podobnym zębem trzonowym. Kruszewski zmrużył oczy.

— *Wchodzimy!*

— Witajcie kochani faktonabokowicze — rozległ się dziecięcounaiwny głos prowadzącej. Zmieniła się nie do poznania od rozmowy sprzed programu. — Dziś kolejna debata kandydatów na urząd prezydenta Pierścienia Warszawa. Tym razem robimy ją my, więc będzie z wykopem, w studiu zorganizowanym w gmachu Rady. Nie wiem, co musiał zrobić mój szef, żeby wyhaczyć ten lokal, ale zrobił to dobrze.

Poznajmy dzisiejsze ofiary... to jest, gości.

Najbliżej innie Waldek Kruszewski, Francjaelegancja warszawskiej sceny politycznej. Mogę ci mówić „Elegancik”?

Kolejny jupiter na moment oślepił Kruszewskiego.

— *Wolałbym nie.* — Uśmiech radnego nie wyszedł przekonująco.

— *Przemyśle to jeszcze. Dalej przystojniacka, nasz aktualny prezydent i dzisiejszy nadwiślański superboliater* — ciągnęła niezrażona — Joachim Wielicki.

Szkoda, że nie usiadłam bliżej... Uch.

— Powachlowała się tabletem, z którego i tak nie korzystała. — A może i lepiej, zapomniiałabym, po co tu jestem.

Publiczność ryknęła śmiechem, wzmocnionym dodatkowo przez efekty dźwiękowe. Wielicki uśmiechnął się szarmancko. Jemu, zdaje się, formuła odpowiadała.

— Na końcu tajemniczy i małomówny Janusz Zdonek, lat czterdzieści. Z tego, co wiem, na razie kawaler, ale do końca programu może się to zmienić.

Siła spokoju, jak określał go w myślach Kruszewski, uśmiechnął się nieznacznie i skinął głową. Za to publiczność znów zareagowała nienaturalną wesołością, a operator światła gwałtownymi ruchami wszystkiego, co miał w swej władzy.

Kruszewski dyskretnie wyjął komunikator i ukrył go w dłoni.

— Wszyscy już się znają, więc możemy zaczynać. Najpierw nudy, czyli prezentacja programów wyborczych.

Dowiemy się, co kandydaci chcą nam obiecać i czego potem nie dotrzymają.

Zacniemy alfabetycznie, czyli... Zdonek ma przechlapane. — Śmiechy na sali.

— Na „A” nikogo nie mamy, na „3” również, czyli „3” jest najpierw, tak?

Powiedzmy... więc najpierw Francjaelegancja. Dajesz!

Biurko Kruszewskiego rozświetliło się wszystkimi odcieniami różowości.

— Witam państwa. — Ukłonił się lekko. — Zacznę od tego, że zamierzam dotrzymać obietnic.

— Poważnie? — Natalia zrobiła wielkie oczy. — No nie gadaj!

Kolejna salwa śmiechu. Kruszewski oczyma wyobraźni widział siebie z palcami zaciskającymi się na szyi gówniary. Oczywiście nie da się do niczego sprowokować.

Jako polityk w środowisku determinowanym przez wartość PZ musiał być odporny na prowokacje bardziej wyrafinowane niż to, co mogło się wydarzyć w tym studiu.

Ale pod jednym względem ona miała rację — nie zamierzał dotrzymywać obietnic wyborczych. Po to były trzy listy: oficjalna, pragmatyczna i idealistyczna.

— Najbardziej niepokojącym zjawiskiem, jakie każdy może dostrzec, jest powiększanie się chmury.

Natalia założyła wielkie okulary o szklach jak denka od butelek i z głupią miną próbowała coś wypatrzeć na suficie.

— Nic mi się tu nie powiększa!

— wykrzyknęła. Dotknęła swojego biustu i potrząsnęła nim. — A szkoda.

Śmiech na sali.

— Z danych statystycznych wyraźnie wynika, że klimat pierścienia jest mniej korzystny niż jeszcze dwadzieścia lat temu — brnął dalej Kruszewski. — Zmiany aury są częstsze. W ciągu tych lat przybyły prawie dwa cykle deszczowe na dzień.

Światło zmieniło się na ciemnoniebieskie, a z głośników dał się słyszeć szum deszczu. Sala zareagowała stłumionymi chichotami.

— *Żadnych konkretów* — usłyszał w głowie. — *Niech się śmieją z twoich żartów. Na razie śmieją się twoim kosztem.*

„Daj żart” wyślizgał na komunikatorze.

Nie radził sobie za dobrze z takim humorem. Ba, wcale sobie z nim nie radził.

A powinien, jeśli chciał sięgnąć po władzę w tym mieście. Niestety, przystosowanie musiałoby chyba polegać na usunięciu fragmentu mózgu, tego, który przeszkadzał mu robić z siebie pajaca.

— Zmiany pogody były konieczne, żeby utrzymać tu znośne warunki do życia.

Alternatywą byłaby ciągła mgła...

Z tyłu rozległ się syk i podłogę zasnuła biała chmura chemicznego dymu. Radny zaniemówił, po czym roześmiał się, by zamaskować zaskoczenie.

— Prawie tak by to wyglądało w całym pierścieniu... Lepiej kiedy czasem pada deszcz, a czasem świeci Niesłońce. Zdarza się jednak coraz częściej, że deszcze są bardzo intensywne.

— *I jeszcze nam podmyją szosę do Kielc.*

„To głupie, nie powiem tego”.

— *Będziemy się musieli przesiąść do amfibii.*

— Będziemy się musieli przesiąść do amfibii.

Ludzie zaśmiali się, ale tylko dlatego, że tak im kazał realizator.

— Alojzy! — krzyknęła Natalia i w tym samym momencie do studia wbiegł przygarbiony facet ucharakteryzowany na emerytowanego clowna. Sadził wielkimi susami. W dłoni trzymał parę różowych kaloszy. Postawił je na różowym stoliku i śmignął gdzieś za dekoracje, nie zapominając przy tym potknąć się i zrobić fikołka.

Przygotowali się, przemknęło przez myśl Kruszewskiemu.

— *Załóż je.*

To było idiotycznie, ale zdjął własne buty i włożył kalosze, co nie było łatwe z ukrytym w dłoni komunikatorem. Rozmiar pasował. Wstał, wyszedł przed stolik i rozłożył ręce, by zaprezentować się publiczności. Stroboskopy przez dwie sekundy udawały tłum fotoreporterów.

Uklonił się, czując się jak tani sztukmistrz.

— *Cofnij się!*

Szybko wykonał krok w tył. W samą porę — wylana przez kogoś na górze woda chlapnęła mu pod nogi, mocząc tylko nogawki spodni. Tym razem śmiechy przeszły w brawa za refleks. Alojzy znów się pojawił, tym razem z kubłem i mopem, choć woda wciekała już przez otwory w podłodze, z pewnością przygotowanej na takie okazje. Teraz nastąpił kilkunastosekundowy popis potknięć i przesadnej do absurdu nieudolności sprzątacza, co radny wykorzystał, by dyskretnie wrócić za swój stolik. Postanowił, że cokolwiek się stanie, nie obrazi się i nie wyjdzie.

Natalia opierała głowę o blat i uderzała na płask dłońią, nie mogąc się powstrzymać od sprawnie udawanego śmiechu.

— W najbliższej porze deszczowej na salonach modne będą różowe kalosze — wykrzyknęła przez wymuszone łyzy śmiechu. — Pamiętajcie o tym. Idzie potop!

Kupujcie kalosze już dziś! Bo zabraknie, bo zabraknie...

* * *

Wyszli w słoneczne i zatłoczone Aleje Jerozolimskie. Po tej stronie ulicy stały gęsto zaparkowane samochody. Najbliższe wolne miejsce było za następną przecznicą.

Ochroniarz wyciągnął komunikator i wezwał samochód.

— Sto pięćdziesiąt metrów — oznajmił. — Druga przecznica w prawo. Idziemy normalnym tempem, jak na spacerze.

Posłuchaj mała. — Spojrzał na nią z góry.

— Nie zrób niczego głupiego.

Marysia ściągnęła usta. Nie odpowiedziała.

— Nie strasz jej — rzuciła cicho w jego stronę opiekunka. Schyliła się do dziewczynki z uśmiechem. — Trzymaj się blisko mnie, kochanie. Nie próbuj uciekać, bo możesz się zgubić, a tu jest dużo złych ludzi. Zawieziemy cię do taty, ale to jeszcze

chwilę zajmie.

Ruszyli wolnym krokiem. W kawiarenkach siedzieli ludzie, ktoś grał na akordeonie, przechodnie wymijali się. Ochroniarz lustrował najbliższą okolicę w poszukiwaniu zagrożeń. Nie podobało mu się załatwianie spraw w ten sposób, ale to nie od niego zależało. Szedł pół kroku za opiekunką i czuł się tu jak na widelcu. Bordowy Wars minął ich i skręcił, kierując się w stronę wolnego miejsca. Gdyby wcze śniej wiedział, że tak będzie, kazałby mu znaleźć miejsce gdzieś bliżej.

— Zachowuj się naturalnie — rzuciła przez ramię.

Dotarli do drugiej przecznicy. Gdy skręcili na luźniejszy chodnik, obok przemknął samochód. Zatrzymał się raptownie w bramie. Z wnętrza wysiadło dwóch policjantów. Opiekunka posłała spłoszone spojrzenie ochroniarzowi. Pchnął ją, by nie zwalniała kroku. To nie przypadek. Mimo anonimizujących szyb czuł, że patrzą na niego i oceniają, czy jest niebezpieczny.

Nie było szans, by ich ominąć, a jakikolwiek inny manewr byłby potwierdzeniem podejrzeń. Zresztą jak uciekać z małą?

— Dzień dobry. — Pierwszy policjant zasalutował. — Posterunkowy...

Drugi policjant oparł dłoń na rękojeści tkwiącego w kaburze pistoletu, a ochroniarz minimalnie uniósł prawą rękę i zgiął łokieć. Policjanci zamarli w napięciu, z rękoma przygotowanymi, aby sięgnąć po broń. Teraz pewnie żalowali, że nie zrobili tego od razu. Trwali tak, a pomiędzy nimi wisiała niewypowiedziana, ledwie zasugerowana groźba. Opiekunka chwyciła dłoń ochroniarza, jakby szukając otuchy. Przy okazji uniemożliwiła mu wyciągnięcie broni. Spojrzał na nią, zaskoczony, i wtedy okazało się, że już za późno na cokolwiek.

Kabury kliknęły i oto patrzył w dwa otwory luf.

— Powoli, dwoma palcami wyjmij broń — powiedział spokojnie policjant. — A ty dwa kroki w bok.

Ochroniarz wyswobodził dłoń i sięgnął za połę marynarki, celowo jej nie odwijając. Opiekunka odsunęła się pod ścianę budynku, odciągając za sobą sztywną ze strachu Marysię. Zacisnęła usta i rozpaczliwie szukała w głowie rozwiązania. Żeby tylko temu kretynowi nie przyszło do głowy strzelać. Ochroniarz powolnym ruchem zaczął cofać rękę. Policjanci obserwowali go zza masek i nie sposób było stwierdzić, na co patrzą. Najpewniej skupiali się na czarnym kształcie, który wyłonił się spod marynarki.

— To etui na okulary — wyjaśnił, prawie nie otwierając ust. — Mam nadwrażliwość na światło. To jest moja żona i córka.

Idziemy na spacer.

W tym samym zwolnionym tempie otworzył etui i nasunął ciemne okulary na nos. Opiekunka zacisnęła ostrzegawczo dłoń na karku Marysi, ale dziewczynka i bez tego była zbyt przerażona, by w jakikolwiek sposób zareagować.

— W porządku. — Policjant opuścił broń. Jego partner zrobił to samo. — Przepraszamy. Otrzymaliśmy zgłoszenie o porwaniu. Oczywiście mogą państwo złożyć skargę...

— To nie będzie konieczne — powiedział szybko ochroniarz. — Pójdziemy już.

Trochę się spieszymy.

Odeszli, odprowadzani spojrzeniami zza srebrnych masek. Skręcili w pierwszą przecnicę i zatrzymali się dopiero kilkadziesiąt metrów dalej.

— Ktoś sypnął — powiedział cicho ochroniarz. — Albo ten nuzzler zgłosił porwanie.

— Nikt nie sypnął, idioto — warknęła opiekunka. — g.A.I.a. dopasowała naszą trójkę do wzorca porywaczy i zakładnika.

Nie wyglądamy na rodzinę. Zachowujesz się jak gangster, mówisz jak gangster. Chodzisz nawet, jakbyś się przechadzał po miasteczku na Dzikim Zachodzie. — Palcem wskazującym stuknęła go w mostek. Starła się nie krzyżeć, choć przychodziło jej to z trudem. — Jeżeli sytuacja została rozpoznana jako porwanie, to dołożyliśmy małej z dziesięć PZ. Ta akcja z policją to następne parę punktów. Mieliśmy ją dobrze traktować. Zwiększanie jej PZ nie jest dobrym traktowaniem!

Ochroniarz spojrział na własne dłonie.

Trzęsły się. Odpuszczało napięcie. Schował okulary i komunikatorem wezwał samochód.

— Jeśli nikomu nie powiemy, co się stało, nikt się nie dowie.

— Od dawna jesteś w firmie?

— To moja trzecia akcja.

— Pięknie. — Opiekunka pokiwała głową. — Amator. Po prostu, kurwa, pięknie. I co ty zamierzałeś zrobić z tym pistoletem? Chciałeś, żeby nas tam rozwalili?

— Zejdź ze innie. — Ochroniarz odzyskał rezon. — Załatwiłem to. Nie siedzimy w suce. Też nie zachowujesz się jak matka.

Udusisz ją.

Zdała sobie sprawę, że wciąż zaciska dłoń na karku Marysi. Cofnęła rękę i zobaczyła czerwony ślad po własnych palcach.

Kucnęła i odgarnęła włosy z drobnej twarzyczki. Dziewczynka płakała.

— Chcę do mamy — powiedziała cicho. — Kiedy mnie do niej zawieziecie?

— Zaraz zawieziemy cię do taty. Czekamy tylko na... pozwolenie.

* * *

— Co nam powiesz, przystojniaczku?

— Natalia Kuzman bawiła się wielkim świecącym na końcu ołówkiem.

— Ilość wody w pierścieniu jest ograniczona. — Wielicki wstał i wyszedł na środek sceny, tym samym symbolicznie przejmując kontrolę nad *show*. — To obieg zamknięty, szanowny kolego. — Wskazał Kraszewskiego. — Az pustego i Salomon nie naleje. Powódź nam nie grozi, nawet jeśli wszyscy naraz spuścimy wodę.

Śmiech na sali. Punkt. Prezydent uśmiechnął się i spojrzał w górę, co wywołało kolejną salwę śmiechu.

— Proszę państwa — kontynuował.

— Mój program jest prosty — obiecuję robić to, co dotychczas, ale jeszcze lepiej. Cała tajemnica sprawowania władzy, służenia ludziom, polega na ciągłości. Każda zmiana to przestój i szarpanina. To wstrząs i straty dla wszystkich. Zmiana kierowcy podczas jazdy bez autopilota może się skończyć niezłą kraksą. — Z głośników dobiegł pisk hamulców i huk zderzających się samochodów. Program miał kilka sekund opóźnienia, więc realizator postprodukcji w innym miejscu z pewnością dodawał do tego stosowne efekty wizualne, niewidoczne w studiu.

— Uuu, przystojniacha ma gadane — przyznała z przesadnie udawanym podziwem Natalia.

— Gospodarka kwitnie, PMB rośnie, obywatele bogacą się, a przestępcy siedzą w więzieniach. — Prezydent gestykułował i zachowywał się, jakby zawodowo zajmował się występami na scenie. — Pierścień Warszawa jest w doskonałej kondycji.

— Położył się na brzuchu i wykonał dziesięć szybkich pompek. Wstał i bez śladu zadyszki kontynuował — kto mógłby chcieć zmieniać to, co dobre? To prawie sabotaż na sprawnie działającym organizmie, coś jak zamiana mięśni na sadło.

— Zerknął znacząco na Zdonka, który słuchał go, zupełnie nie zdradzając emocji, nawet po salwie śmiechu z sali. — To jak wymiana dobrej żarówki na inną, o której nie wiadomo, czy nie będzie świecić na przykład na różowo. — Tu zerknął na Kruszewskiego, znów wzbudzając powszechną wesołość. — Mój pomysł dla Warszawy, to robić to samo, tak samo, a nawet lepiej.

Wypowiadając ostatnie słowa, uniósł ramiona jak śpiewak operowy po *grandę finale*.

— Wypierdziście to rozegrałeś!

— Natalia dopiero teraz postanowiła przejąć prowadzenie, na co Wielicki łaskawie jej pozwolił, wracając na miejsce. — Dać mu wódki!

Gdzieś z boku pojawił się Alojzy z tacą i butelką wódki. W rytmie braw wbiegł na scenę, wywrócił się, wykonał przewrót, nie upuszczając przy tym tacy ani butelki, co było nie lada sztuką. Postawił butelkę przed Wielickim i jeszcze cmoknął go w policzek. Prezydent udał, że rzuca za uciekającym butelką, ale już śmiał się wraz ze wszystkimi i wycierał policzek chusteczką.

Butelkę schował do kieszeni marynarki, wzbudzając jeszcze większą wesołość.

Kraszewski ze Zdonkiem wymienili spojrzenia.

* * *

Ścieni Niesłońca w całej Warszawie trwał od kilkunastu minut. Haipad przez szklany szyberdach spojrział w Chmurę, za którą z wolna ciemniała sztuczna gwiazda.

To się kiedyś nazywało zachód. Teraz słowo „zachód” kojarzyło się tylko z dzielnicami na lewo od Wisły, jeśli stać tyłem do kierunku obrotu pierścienia i prądu rzeki. Zabawne, jak zmieniają się znaczenia słów. Połowa dzieciaków pewnie nawet nie ma pojęcia, co kiedyś znaczył zachód.

Dzieciaki... Maiysia.

Obok Triumphu zatrzymał się mały bezzałogowy audost z napisem „Blikle” na burcie. Metrowej wysokości maszyna, przypominająca odwróconą do góry nogami butelkę, balansowała na gumowej kuli. Dobre żyro i szybki procesor ograniczały konieczne ruchy do ledwie kilku milimetrów. Odsunęła się klapka i Harpad wyciągnął zamówione napoje. Audost zabujał się, łapiąc równowagę, zamknął klapkę, mignął logo Rometu, mechanicznie podziękował i odjechał w kierunku przeciwnym do demonstracji.

Harpad zaczął od napoju izotonicznego.

Przestał zerkać na ekran komunikatora i próbował odsunąć od siebie myśli o córce.

Rozglądał się, czy nie pojawiają się kolejne limuzyny lub polityk, którego mógłby poświęcić dla córki.

Otworzył oczy i przejechał dłonią po zmęczonej twarzy. Włączył klimatyzację i wysłał do Judyty wiadomość o trzech lepszych kandydatach. Powinna być mu wdzięczna.

„Trzymamy się Kaliszewskiego”, odpowiedziała po chwili.

„Tamci są bliżej drugiego progu”.

„Wszystko ustawione pod Kruszewskiego. Za późno na zmiany”.

Przełknął ślinę i zamknął oczy. Młot znów pochylał się nad małym, leżącym na kowadle nuzzlerem.

Wmawiał sobie, że Marysia jest bezpieczna. Uchylił okno. Chłodne powietrze owiało mu twarz. Wieczór był zawsze spokojny, rzadko padało, a nawet jeśli, to raczej nic poważniejszego niż mżawka.

Ściem trwał dokładnie pół godziny, po czym temperatura spadała do piętnastu — osiemnastu stopni. Wtedy czasem nadchodziła niespodziewana ulewa, która szybko cichła. Ciepłej robiło się dopiero po jasio, który zaczynał się wpół do piątej i też trwał pół godziny. Około południa temperatura zatrzymywała się w okolicach dwudziestu jeden stopni. Oczywiście to wartość średnia, bo wahania były spore. Zdaniem Harpada coraz większe.

Dwudziesta dwadzieścia jeden. Wzdłuż Matejki zamigotały latarnie. Ciekawe, czemu wyglądało to właśnie tak. Nie lepiej było zostawić Niesłońce na kilku procentach mocy, na te osiem godzin zamrozić szarówkę, zamiast konstruować i utrzymywać złożoną sieć oświetleniową? Wymogi technologiczne? Raczej pragnienie, by Warszawa jak najmniej się zmieniała. Wszyscy narzekają, ale kiedy przychodzi do konkretów, nie wiedzą, co chcieliby zmienić.

A nawet jeśli wiedzą, każdy chciałby zmienić co innego. Może więc i dobrze, że zostało, jak jest. Nie miał pojęcia, jak to wygląda w innych pierścieniach, choć słyszał, jak głupie pomysły mieli ludzie.

Z zamyślenia wyrwał go szum opon przejeżdżającego obok Warsa.

Jak ją puszczać? Gdzie? Oddadzą matce? Myśli o córce znów przesłoniły mu rzeczywistość. Bezmyślnie wpatrywał się w znikający samochód i nie mógł przestać

myśleć o małej.

* * *

Janusz Zdonek wyszedł na środek, prowadzony światłem jupitera, i stanął ze złączonymi palcami, jak profesor zbierający myśli przed trudnym wykładem. Natalia wydobyła z siebie przeciągłe „Uuu...”, mające chyba oznaczać, że za chwilę nastąpi coś wiekopomnego.

— Jeśli państwo pozwolą, nie będę robił pompek — zaczął Zdonek, co publiczność przyjęła stonowanym śmiechem.

— Zaniedbuję kondycję fizyczną, co zresztą widać, poświęcam bowiem czas innym zajęciom. Zarządzam kilkunastoma przedsiębiorstwami, z którymi z pewnością macie państwo codziennie do czynienia. Są to sprawnie działające firmy, przynoszące zysk i dające pracę wielu mieszkańcom Pierścienia Warszawa. Możliwe, że pracują państwo w jednej z nich. Nie przeczę, że obecny prezydent dba o miasto. Jest jak troskliwa matka, która pilnuje, by jej dziecko było zawsze ciepło ubrane, by regularnie jadło zdrowe posiłki, myło uszy i zęby, by się dobrze uczyło. Joachim Wielicki jest jak troskliwa matka, która nie zauważyła, że dziecko już dorosło. — Stonowane śmiechy. — Ręczne sterowanie Warszawą oznacza stagnację, zeskorupienie. Czy jest dobrze? Jest znośnie. Ale kto tak naprawdę chce żyć w miejscu, które jest znośne?

Tylko ludzie pozbawieni ambicji. Brak postępu oznacza cofanie się. Ja chcę oddać ludziom wolność, chcę dać im wpływ na ich los. To prawda znana od zawsze, że o swoje dba się lepiej niż o wspólne. Teraz w ratuszu siedzi kilka tęgich mózgów i debatuje, jak zrobić lepiej każdemu z nas.

Zmienię to — dodam im kilka milionów mózgów, waszych mózgów. Dostaniecie realną władzę i każdy z was będzie mógł ulepszyć swój mały fragment Warszawy.

Wybierzcie sami.

Zdonek uklonił się i wrócił na miejsce w ciszy, którą dopiero po chwili wypełniły oklaski. Udało mu się. Nie poddał się formule programu, lecz ją zmienił. Na chwilę zaledwie, ale ona wystarczyła, by wszyscy go zapamiętali.

— To się nazywa zepsuć klimat — jęknęła ponuro prezenterka. Skrzywiła się i teatralnie powachlowała otwartą dłonią, jakby odganiała brzydki zapach. Odczekała chwilę, po czym roześmiała się głośno, a jej śmiech udzielił się całej widowni. Spod

sceny wyleciały baloniki, z góry posypało się confetti, zagrały trąby. — Wiemy już wszystko o kandydatach. Francjaelegancja Kruszewski zasponsoruje wszystkim różowe kalosze, przystojniacha Wielicki zapędzi nas na aerobik, a tajemniczy Zdonek będzie nami zarządzał jak spinaczami w biurowcu. Przechodzimy do etapu drugiego, czyli żywej debaty. Oczywiście nie pozostawajcie bezczynni i przeszkadzajcie, jak tylko wy potraficie!

Wyjęła spod biurka trąbkę i zatrąbiła, po czym nastąpił dłuższy występ solowy z rzucanymi garściami dowcipami i osobistymi docinkami pod adresem kandydatów.

Dowcipy opowiadane przez Natalię nie śmieszyły gości, ale publiczność prawie tarzała się ze śmiechu. Oczywiście tylko w momentach, kiedy życzył sobie tego reżyser. Wielicki śmiał się razem z nimi, choć przychodziło mu to z trudem. Stara telewizyjna zasada mówi, że im głupszy program, tym więcej ludzi chce go oglądać.

A ten oglądała prawie połowa populacji, z czego jedna trzecia na żywo, a reszta zobaczy już z opóźnieniem, w ciągu tygodnia. Miał też sporą widownię poza pierścieniem, ale to akurat nie miało znaczenia dla kandydatów. Głupie programy oglądają głupi ludzie. Ale głupi ludzie mają takie samo prawo głosu, jak mądrzy. A jest ich przecież więcej.

Kruszewski nie czuł się dobrze w rozmowach z głupkami, przez co tracił punkty.

Wielicki był niezły w tę grę, więc tracił u całej reszty. Zdonek przyjął inną taktykę.

Założył, że ironiczny dystans pozwoli mu pozostać zabawnym dla tego motłochu i jednocześnie śłać sygnał inteligentom, że tym czarnym ludem pogardza i z niego kpi.

Symultaniczna gra, trudna, ale możliwa.

— ... dlatego też pierwszy zabierze głos... — Natalia wodziła palcem od jednego do drugiego kandydata. — Hm...

Powinno być ucziwie, ale co tam. Przystojniacha ma fory! Jedziesz!

Wielicki spojrział na Zdonka, który spodziewał się, że będzie pierwszym obiektem ataku obu kandydatów. Wkręcił się, nieproszony, w ich grę, kiedy byli przekonani, że to dwuosobowa rozgrywka.

— Skoro jest pan tak zajęty — zaczął Wielicki — to jak pan chce znaleźć czas na zajmowanie się całym pierścieniem? Ma pan udziały w kilkunastu firmach, w przeszłości połowie większościowe. Zasiada pan w kilku radach nadzorczych, jest pan konsultantem. Lista pana zajęć jest doprawdy imponująca. Czy Warszawą zajmie się pan w przerwie na

lunch?

— Pana tok rozumowania jest oczywiście poprawny. Ile czasu, pana zdaniem, poświęcam dziennie na zarządzanie moimi firmami?

Pytanie obliczone na wybicie oponenta z rytmu podziałało, ale tylko na chwilę.

— Cały czas. — Wielicki zareagował szybko. — Dobry businessman poświęca swoim firmom cały czas. Skoro uważa się pan za dobrego businessmana, to nie zaniedba pan żadnego ze swoich zajęć. Tym bardziej że Warszawa będzie najmniej dochodową z pańskich firm. Pensja prezydenta nie jest wysoka.

— Pan wyciąga nieoficjalnie całkiem niezłe pieniądze. Nie może to więc być trudne. Przez salę przeszło przeciągłe „Uuu”.

Oczywiście nieszczerze. Zdonek obserwował zamarłego oponenta. Zapewne Wielicki właśnie dyskutował ze swoim sztabem, próbując ustalić, czy Zdonek może mieć dowody na jego nielegalne przychody.

Wybawił go Kruszewski, który wykorzystał chwilę ciszy, by zaatakować z drugiej strony: — Pan nie ma żadnego doświadczenia w polityce. Jak zamierza pan uprawiać skuteczną politykę po wygranych wyborach?

— Nie zamierzam — odparł Zdonek.

— Jeśli zostanę wybrany na urząd prezydenta, nie będę marnował energii na politykę, będę zarządzał Pierścieniem Warszawa. Polityka przeszkadza w pracy, a ja będę miał dużo pracy. Potrzebujemy radykalnych rozwiązań.

— A co tu można robić radykalnego, skoro od dziewięćdziesięciu lat nie dzieje się nic przełomowego? — zapytał Wielicki.

— Powoli się rozwijamy. Ostatnie cztery lata to okres stabilnego wzrostu. Żyje się nam coraz lepiej.

— Patrzymy, jak bogactwo przecieka nam między palcami — pozornie przytaknął Zdonek.

— A co by pan chciał, żeby się wydarzyło ważnego? Chce pan stworzyć problem, żeby potem obiecywać jego rozwiązanie. Sam podpalam, sam gaszę, sam zgarniam laury?

— Stabilny rozwój to złudzenie — wtrącił Kruszewski. — Ulegamy pełzającej katastrofie. Marnujemy surowce. Używamy kubków jednorazowych, wymieniamy zepsute urządzenia na nowe, zamiast je naprawiać.

— Ja lubię śmiecić! — wykrzyknął zza kulis Alojzy. Wybiegł i wyrzucił na środek plastikowy worek pełen śmieci. Worek pękł, a pogniecione kubki, talerzyki i cała reszta wysypały się wprost przed stoliki kandydatów. Z sali poleciało kilka kolejnych śmieci.

— To tylko jeden z przykładów.

— Kruszewski nie dał się wybić z rytmu.

Zwrócił się do Wielickiego — pan przez cały okres urzędowania nic z tym nie zrobił. Wciąż produkujemy góry śmieci — wychylił się i podniósł zgnieciony kubek — a pan blokuje ustawę o opodatkowaniu naczyń jednorazowych.

— Wyższe podatki to wyższe koszty życia. Kieruję się tylko dobrem obywateli.

Ten kubek można zmielić i zrobić z niego nowy kubek. Ktoś ma pracę i zarabia na utrzymanie rodziny.

— Dobrze pan wie, że większość takich śmieci nie jest poddawana żadnemu recyclingowi.

— Skąd takie informacje. Ile dokładnie procent?

— Ależ przynudzacie! — przerwała im Natalia. Wybiegła zza swojego biurka, przebrana nie wiadomo kiedy w spódniczkę baletnicy. Rozległy się dźwięki *Jeziora Łabędziego*, światła zapulsowały i zamieniły studio w podwodną grotę. Przy akompaniamencie oklasków i wiwatów Natalia wykonała coś na kształt kilku figur baletowych, ale w trampkach nie szło jej za dobrze, więc swój *show* zamieniła w rodzaj tańca nowoczesnego. Muzyka i oświetlenie dostosowały się, a na scenę wpadł znów Alojzy i wciąż rozrzucając śmiecie, porwał Natalię do tańca.

Kra szewski patrzył na to ze źle skrywanym niesmakiem, Wielicki klaskał do rytmu. Twarz Zdonka nie wyrażała żadnych emocji.

Publiczność nagrodziła tancerzy owacjami na stojąco.

* * *

— Ogląda pan to? — Ktoś pochylał się, zasłaniając całe okno Triumphu. To był ten sam starszy facet z transparentem „Połączyć pierścienie”. Wskazał ekran na samochodowej konsoli. — To ma być debata?!

Cyrk! Robią tylko z ludzi kretynów.

— A skąd pan wie? — odparł niechętnie Harpad. Natarczywość faceta była ostatnią rzeczą, której teraz pragnął.

— Oglądał pan?

— Nie muszę oglądać. Bzdury, proszę pana. Bzdury i zabawa dla pospólstwa. Trzech kandydatów i co pan o nich wie?

Żadnych konkretów nie zdołają powiedzieć, a i nie chcą. Jarmark, panie.

Harpad wysiadł i spróbował odszukać wzrokiem Warsa. Niestety samochód znikł za demonstrantami i wozami policyjnymi.

Ciekawe, czemu jeszcze nie zamknęli ulicy.

Obok wolno przejechała niebieska Nysa z napisem „Usługi hydrauliczne”.

Zwolniła i zaparkowała przed Triumphem, zasłaniając Harpadowi widok. Tam nie wolno było parkować. Chwilę się zastanawiał, czy nie zwrócić kierowcy uwagi, ale uznał, że lepiej nie rzucać się w oczy.

Obszedł furgonetkę.

— Nikt się nie interesuje, co się w tym pierścieniu dzieje — nie ustępował facet.

Wciąż wpychał transparent w pole widzenia rozmówcy. — Wszyscy mają Warszawę w dupie...

— Panie, idź pan stąd! — Nuzzler machnął, jakby odganiał muchę.

— Doczesność przez pana przemawia.

— Tamten wycelował w niego groźnie palec i nadal napierał.

— Spieprzaj, dziadu! — warknął groźnie Harpad.

— Niech pan pomyśli, co oni z nami robią! — Facet przezornie się cofnął.

Harpad już nie słuchał. Wrócił do samochodu, stanął na progu i próbował coś wypatrzeć w kłębiącym się przed Radą tłumie. Wreszcie wdrapał się na dach i usiadł na nim, opierając nogi o krawędź maski.

* * *

— Korporacyjny model zarządzania jest najbardziej wydajny — oświadczył Zdonek, gdy ucichły brawa dla tancerzy.

— Rada ekspertów podejmuje decyzje z myślą o maksymalizacji zysków.

Kruszewski zbladł, czego na szczęście nie było widać w tym oświetleniu. Mój pomysł. Mój pomysł!

— *Przerwij mu!* — usłyszał w słuchawce.

— Myślę, że akurat w tym Janusz Zdonek mnie poprze — odezwał się szybko.

— Przygotowuję się do przedstawienia projektu ustawy o radzie mędrców, wspomagającej pracę rządu.

— Zmartwię pana. — Na tłustej twarzy Zdonka z trudem pojawił się cień uśniechu. — Pomysł rady mędrców pozornie jest bliski modelowi korporacyjnego zarządzania miastem, ale tylko pozornie. Kto miałby tych mędrców wybierać? W przypadku ekspertów decydować będą tylko kompetencje.

— Ja od początku traktuję Warszawę jak przedsiębiorstwo, które powinno przynosić dochód — oświadczył Wielicki.

— Nie mam teraz na myśli wyprowadzania pieniędzy publicznych na innopierścieniowe konta.

— Proszę pana...! — Wielicki zawahał się na moment. — Rzuca pan oskarżenia niepoparte konkretami.

— Najważniejszymi sprawami pierścienia zajmują się skorumpowani urzędnicy.

To, że są skorumpowani, to jeszcze nic.

Gorzej, że są amatorami, podejmującymi decyzje pod wpływem nacisków jeszcze większych amatorów.

Kaliszewski już otworzył usta, żeby coś dodać, ale zorientował się, że ich mikrofony są wyciszone, a całe światło skupia się na Natalii.

— Po debacie zapraszamy wszystkich na konferencję kandydatów, która odbędzie się w sali kolumnowej — powiedziała normalnym tonem prowadząca i uniosła rękę.

— Będą mieli państwo po dwadzieścia minut na zadawanie pytań każdemu z kandydatów. Mam i przykrą wiadomość, nie będzie tak ciekawie, jak dotychczas. Będzie sztywniacko. Ale już za tydzień w „Faktach na bok” porozmawiamy o... seksie!

Na scenę wbiegły tancerki w bikini.

* * *

Szła korytarzem w przekonaniu, że im bardziej stara się zachować normalne tempo, tym bardziej biegnie. Albo się wlecze. Powtarzała w myślach liczbę sto dwadzieścia trzy, by zachować równy odstęp między krokami. Szpilki stukały o marmur, wpięty w kłapę żakietu identyfikator zapewniał nietykalność. Dwadzieścia metrów do drzwi sali, a potem chwilowe wybawienie w postaci krzesła i podenerwowanego tłumu dziennikarzy. Brała już kiedyś udział w konferencji prasowej. Wtedy miała zadać zwyczajne pytanie, którego

zadaniem było wytrącenie gościa z równowagi. Nie pamiętała treści tamtego pytania, ale wydawało jej się banalne. Dla tamtego banalne nie było. Dzisiejsze zadanie okazało się bardzo osobiste, a osobistego zaangażowania nie znosiła. Wolała myśleć o swojej pracy, nawet nie jak o misji pilnującej porządku publicznego, lecz jak o zwykłym, najzwyklejszym zajęciu. Jakby zlecenia, które wykonywała od lat, były czymś równoznacznym z pracą barmanki. Oczywiście nie były, ale każdy sposób jest dobry, by uśpić sumienie.

Teraz sumienie nie miało znaczenia.

Liczyło się tylko zadanie, które powinno sprawić, że Maria odzyska wolność. Potem wszystko się zmieni. Maria już nigdy nie wyjdzie ze szkoły bez niej. Będzie jedynym dzieckiem, które może odebrać tylko i wyłącznie matka... no i ojciec. Może koledzy i koleżanki będą się z niej śmiać, ale to bez znaczenia. Ważne, żeby już nigdy nie powtórzyło się to, co dzieje się teraz. Nie miała pojęcia, dlaczego tak się stało, mogła tylko podejrzewać, że to efekt niejasnych interesów Pawła. Nie, nie miała zamiaru wrzeszczeć na niego. Te interesy zapewniały ich córce przyszłość. Teraz pewnie coś poszło nie tak, ale jak już wypełni zadanie i odzyska córkę, wszystko się zmieni. Spotka się z nim i porozmawia, żeby mniej lyzykował.

Tak naprawdę nie wierzyła, że to cokolwiek zmieni, ale musiała mieć jakąś myśl dotyczącą przyszłości. Przyszłości, w której wszystko potoczy się dobrze.

Niezatrzymywana, weszła do sali prasowej. Na podium, za przykrytym zielonym sukniem stołem stały trzy puste fotele.

* * *

— Nie podoba mi się to — powiedział.

— Policja, ochroniarze, demonstranci, kamery. Wpierdaliśmy się z małą w sam środek.

— Możemy zaczekać i znaleźć go później — zaproponowała opiekunka.

Mężczyzna pokręcił głową.

— Mamy oddać dzieciaka ojcu tutaj, natychmiast po potwierdzeniu. Natychmiast znaczy natychmiast.

W centrum rozmieszczono najwięcej kamer. Obraz z większości analizowała wyłącznie g.A.I.a. Przecisnęli się do miejsca, skąd widać było telebeam transmitujący

przebieg konferencji.

* * *

Konferencje on—line organizowali politycy niższego szczebla, żeby zapewnić sobie chociaż minimalną frekwencję. Od pewnego poziomu to zwyczajnie nie uchodziło. Kontakt musiał być bezpośredni.

Renata po raz kolejny podniosła dłoń i po raz kolejny prowadzący wskazał inną część sali. Nie słuchała pytań ani odpowiedzi. Całą energię wkładała w zwrócenie na siebie uwagi. Gdy wreszcie przyszła jej kolej, z zaskoczeniem stwierdziła, że ma pustkę w głowie. Stała, wspierając się na oparciu krzesła przed nią i z trudem próbowała zebrać myśli.

— Mam pytanie do radnego Kruszewskiego — usłyszała swój drżący głos.

Chciało jej się płakać, ale jeszcze chwilę musiała wytrzymać. To dla niej, dla jej małej córeczki... Przełknęła ślinę i zapytała głośno i wyraźnie — dlaczego zgwałcił pan moją dziewięcioletnią córkę?

* * *

— Mama! — wykrzyknęła Marysia.

Opiekunka spojrzała na dziewczynkę, potem na obraz na telebeamie.

— To twoja mama? — zapytała z niedowierzaniem.

Marysia, podekscytowana, przytaknęła.

— Co ona tam robi? — Opiekunka spojrzała na ochroniarza.

— Nie nasza sprawa. — Pokręcił głową. — Mamy konkretne zadanie.

— Ale jeżeli to jej matka, to coś tu śmierdzi. Nie powinno jej tam być.

Harpad patrzył na telebeam i nie wierzył. Co ta kretyńska wyrabia, do kurwy nędzy?! Skąd się tam wzięła? Nigdy nie miała nic wspólnego z polityką. Nawet nie odróżniała radnego od sędziego.

Siedział jak skamieniały na dachu Triumphu i wpatrywał się w telebeam.

W sali prasowej zapadła cisza, nawet demonstranci wokół Harpada się uspokoili.

— *Kogo pani reprezentuje?* — zapytał prowadzący. — *Nie pamiętam pani.*

— *Reprezentuję siebie* — Renata przeniosła wzrok na radnego i dodała ciszej — *ona panu ufała.*

Kruszewski siedział z otwartymi ustami.

— *To brudna prowokacja* — zdołał z siebie wydusić.

Harpad nie potrafił ogarnąć tego, co się dzieje. Nie po to obniżał PZ Kruszewskiego, żeby teraz jego eks podkładała facetowi taką bombę. O co tu chodzi? Przecież to coś przeciwnego, niż chciał Wolf. Jeśli to Wolf stoi za porwaniem... Coś tu idzie bardzo niezgodnie z planem. Tylko czyim planem?

I zrozumiał kolejną rzecz. PZ wzrosło nie tylko Kai szewskiemu. Tyle samo, jeśli nie więcej, wzrosło również Maiysi.

* * *

Cisza, która zapadła na sali, natychmiast ustąpiła miejsca narastającym szeptom, a zaraz potem w górę powędrowały ręce. Zanim prowadzący kogoś wskazał, dały się słyszeć wykrzykiwane pytania: — Dlaczego pan to zrobił?

— Co pana łączy z tą dziewczynką?

— Kiedy to się stało?

— Nie zrobiłem tego — powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił Kraszewski. — Nie znam jej córki. Nie mam pojęcia, kim jest ta kobieta. Kim pani jest?

Prezydent Wielicki wstał, spojrział na Kruszewskiego i korzystając z dostępu do mikrofonu, przebił się przez hałas: — Dołożę wszelkich starań, by ukarać tego człowieka. To wyjątkowo potworny czyn.

Kruszewski również wstał.

— To ohydne pomówienie! Czy ma pani jakieś dowody?

Renata schowała twarz w dłoniach, wstała i płacząc, zaczęła się przepychać do wyjścia.

— Proszę zatrzymać tę kobietę!

— wykrzyknął Kraszewski. — To pomówienie. Wyjaśnię to w sądzie.

— Niechże pan przestanie znęcać się nad tą biedną matką — zaprotestował Wielicki. — Lepiej by pan wyjaśnił społeczeństwu, dlaczego pan to zrobił?

Zdonek w milczeniu przypatrywał się boksującym się przeciwnikom. Spokojnie czekał na odpowiedni moment, by włączyć się do akcji.

Człowiek z czerwonym identyfikatorem, oznaczającym najwyższe uprzywilejowanie, wstał. Zdonek wiedział, jakie mężczyzna za chwilę zada pytanie. Sam je przygotował.

* * *

— Tłum robi się nerwowy — zauważyła opiekunka.

— Trzymamy się planu — warknął ochroniarz. — Pamiętaj, jesteśmy rodziną na festynie. Tu nie rzucamy się w oczy.

— Kto wybrał to miejsce na przekazanie dziewczynki? Jezu, najgorsze z możliwych.

— Ojciec się uparł. Albo jest tak tępy, albo chciał mieć świadków, gdyby coś poszło nie tak.

— Zaraz nastąpi przetasowanie polityczne i będziemy tu mieli prawdziwą zadymę.

— Znasz się na socjologii? — Ochroniarz rozglądał się czujnie, sprawdzając ewentualne drogi ucieczki na wypadek nieprzewidzianego. Było to bezcelowe, przecież wiedział, że nie ma dróg ucieczki.

W terenie obstawionym przez tylu policjantów nigdzie nie uciekną, jeśli coś pójdzie nie tak. Trzymał się myśli, że w razie czego szef ich wyciągnie. Agresji tłumu się nie obawiał; ona się skieruje przeciw komu innemu. Obawiał się, że w zamieszaniu nie zdoła wypełnić zadania.

— Spróbuj go namierzyć — powiedział do opiekunki.

— Mam pytanie do pana prezydenta — powiedział reporter z czerwonym identyfikatorem. — Kiedy ostatnio zdarzyło się panu skłamać?

Wielicki spojrzał na niego, starając się nie pokazać po sobie zaskoczenia.

— Nie kłamię z zasady. W ogóle nie kłamię. Nie pamiętam, kiedy ostatnio skłamałem.

— *Dostaliśmy właśnie nagranie*— usłyszał w głowie Kruszewski. — *Musisz je pokazać teraz.*

„Co na nim jest?“, wyslizgał palcem serdecznym na komunikatorze.

— *Powiedz o wykorzystywaniu dzieci przez Wielickiego. Już!*

Co tu się dzieje...?

— Bierze pan na poważnie bezpodstawne oskarżenia — odezwał się Kruszewski — a tymczasem sam wykorzystuje pan dzieci.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi — odparł prezydent.

— To konferencja prasowa — wtrącił prowadzący. — Debata już się skończyła.

— Mam chyba prawo do obrony po tak ohydny i anonimowy oskarżeniu — Kruszewski podniósł głos. — Jestem w posiadaniu ważnego nagrania. Proszę o kanał AV.

— To konferencja prasowa, nie pokaz filmowy — zaprotestował tknięty przecuciem Wielicki. — Przejdźmy może do następnych pytań z sali.

Chciał oddalić potencjalne zagrożenie, utopić je w innych pytaniach. Wyręczył prowadzącego i wskazał pierwszą z brzegu wyciągniętą rękę.

— Chcielibyśmy zobaczyć to nagranie — powiedział wskazany dziennikarz.

Nysa stojąca przed Triumphem zmieniła kolor na pomarańczowy, a napis „Usługi hydrauliczne” znikł. Zamiast niego pojawiło się logo — białe litery „EL”

w kółku. Harpad zauważył to dopiero po chwili; w pierwszym momencie wydało mu się, że obok zgasła latarnia. Nuzzler zamarł, gdy dotarło do niego, co to oznacza.

Z Nysy wysiadło czterech mężczyzn w czarnopomarańczowych kombinezonach i złotych maskach. Nie mogli mu nic zrobić, jego PZ wynosiło zero, ale taka bliskość eliminatorów przyprawiła go o dreszcze. Oczywiście, że nie przybyli tu z jego powodu. Oczywiście, że chodziło o kogo innego. Ruszyli równym krokiem w kierunku gmachu Rady.

Zrozumiał, po kogo idą. Prowokacja Talińskiego powiodła się. Dzięki Renacie.

Więc przestawienie licznika w rekordzie Kra szewskiego nic nie dało, a modyfikacja dotyczyła tylko wizualnej części interfejsu g.A.I.a. Więc Wolf... więc Marysia...

* * *

Na ekranie nad głowami uczestników konferencji pojawił się przebój tego dnia — film z Wielickim ratującym dziewczynkę.

Prezydent nie uśmiechał się, wiedział przecież, że konkurent ma jakiś ukryty cel.

— Widzimy tu dzielnego męża stanu ratującego dziecko. — Kraszewski odbierał szybkie instrukcje od Elizy i na bieżąco komentował film, którego wcześniej nie widział. — Teraz zobaczymy to samo z innej kamery.

W pierwszym momencie trudno było stwierdzić, co przedstawia to inne ujęcie.

Zapis pochodził z kamery monitoringu umieszczonej na przęśle mostu Gdańskiego, który był oddalony od zajścia o dwieście metrów. Dopiero zoom cyfrowy wychwycił Wielickiego i Sylwestra idących nabrzeżem w asyście ochroniarzy. Obraz, mimo że

niewyraźny, i tak pokazywał, co dzieje się dwadzieścia metrów za nimi.

Kobieta i dziewczynka schodzą nad wodę, dziewczynka podaje coś kobiecie, a ta wpycha małą do wody.

— To nie był wypadek — ciągnął Kruszewski. — Miranda Kawalec została wepchnięta do wody.

— Ależ ja nie miałem o tym pojęcia!

— oświadczył Wielicki. — Jak państwo widzą, tę sytuację zauważyłem dopiero po jakimś czasie. Wyrodna matka wepchnęła dziecko do wody. Gdybym nie rzucił się na ratunek, dziewczynka by nie żyła! Pan Kruszewski urządza ten pokaz, aby odwrócić uwagę od niego samego.

— Jak państwo widzą, Miranda doskonale pływa. — Kruszewski wskazał ekran.

— Co więcej, oddała się od brzegu, by znaleźć się w głównym nurcie.

— *Jej matce zapłacono, żeby wrzuciła córkę* — usłyszał w głowie głos Elizy.

„Mamy dowody?”

— *Będziemy mieć za kilka minut.*

„Więc nie mamy”.

— *Potem będziemy się martwić!*

— Jej matce zapłacono, żeby wrzuciła córkę.

— Dowiaduję się o tym teraz. — Wielicki rozłożył ręce. — Wtedy zrobiłem to, co należało zrobić. Każdy na moim miejscu powinien zrobić to samo. Nie wiem, co kierowało tą kobietą. Policja zbada tę sprawę.

Jeśli ta wersja się potwierdzi, będę wnioskował o odebranie praw rodzicielskich.

— Odwiedził ją pan w szpitalu dwie godziny później.

— Już powiedziałem, dopiero teraz dowiedziałem się, jak doszło do tej sytuacji. Pan by nie ratował?

Na ekranie Wielicki sprzed kilku godzin witał się z Mirandą, jej matką i wręczał im kwiaty oraz bombonierkę Wedla.

— Wszyscy to widzieli. Porozmawiajmy lepiej o panu.

— *Jeszcze tylko jedno ujęcie.*

— *Jeszcze tylko jedno ujęcie.*

Ponownie pojawiło się nagranie znad Wisły, z drona zawieszono dwadzieścia metrów nad ziemią, należącego do innej stacji. Asystent Wielickiego wyciągał

z bagażnika koc, by zanieść go przemoczonemu prezydentowi. Marynarka musiała wylądować na ramionach Mirandy. Stopklatka i powiększenie zawartości bagażnika.

— To też potrafi pan wytłumaczyć?

— zapytał spokojnie Kruszewski.

Prezydent Wielicki, a wraz z nim cały Pierścień Warszawa, patrzyli na powiększenie bagażnika, gdzie z leżącej na jego dnie torby wystawała bombonierka Wedla.

* * *

Harpad zeskoczył z dachu i ruszył biegiem w stronę tłumu przed Radą. Jeśli Eliminacja zabierze Kruszewskiego, to Wolf nie wypuści Marysi. Czuł, że ona gdzieś tu jest. Wszedł między ludzi. Deptali trawniki i klomby, krzyczeli coś lub tylko machali transparentami. Policja nie reagowała, bo nikt nie wchodził na jezdnię ani nie zamierzał blokować przejazdu limuzyn oficjeli.

Media ignorowały zamieszanie, traktując je jako tło do afer, które eksplodowały w sali konferencyjnej. Wszyscy reporterzy i wszystkie latające kamery obstawiały wyjścia z budynku. Również te boczne, na wypadek, gdyby któryś z polityków chciał się wymknąć.

Eliminatorzy krążyli w tłumie, wzbudzając spory niepokój. Kiedy go zabiorą?

Wyciągną z sali konferencyjnej, czy zaczekają, aż wyjdzie? Harpad spojrział na telebeam na dachu furgonetki Kanału 7 — Kruszewski ciągle był w środku. Gdyby wejść na jakieś podwyższenie... Nie, to nic nie da, przecież mała ma niecały metr trzydzieści. Jeżeli gdzieś tu jest, to trzymają ją w samochodzie, czy wtopili się w tłum, by ją niepostrzeżenie wypuścić? Czy mogli czuć się tak pewnie, że nie dbali o obecność policji?

Rozglądał się. Widział kilkoro dzieci, których rodzice potraktowali to wydarzenie jako atrakcję wieczoru. Ale zgromadziło się tu kilka tysięcy osób, które teraz przemieszczały się, podskakiwały, pokrzykiwały i machały transparentami. Znaleźć wśród nich małą dziewczynkę nie będzie łatwo.

* * *

— Bombonierka już czekała, bo wszystko było ukartowane — oświadczył Kruszewski, wykorzystując to, że prezydent zwlekał z odpowiedzią.

— Ja... często kupuję taką bombonierkę — Wielicki rozpaczliwie próbował znaleźć wyjaśnienie. Najprostsza odpowiedź, że to fotomontaż, nie przyszła mu do głowy. — Lubię ją, więc taką samą dałem tej dziewczynce.

— Prowadzi pan zdrowy tryb życia.

Bombonierki do pana nie pasują.

— Moja dieta naprawdę nie powinna pana martwić. Zawiozłem do szpitala bombonierkę, która od kilku dni jeździła w bagażniku.

— Kwiaty też wozi?

— Kwiaty też pan wozi?

Wielicki nie miał pojęcia, o co chodzi.

Kruszewski również, ale nacisnął przycisk na komunikatorze. Film mszył w zwolnionym tempie i zatrzymał się po chwili, ukazując pod krawędzią klapy główki kilku róż w celofanie. Z boku ekranu pojawił się umiejszy obraz, powtarzający scenę ze szpitala. Bombonierka i róże.

— Wiedział pan, że odwiedzi Mirandę Kawalec w szpitalu, zanim wpadła... to znaczy została wrzucona do Wisły?

Prezydent milczał dłuższą chwilę, wreszcie odparł: — Sam nie korzystam z bagażnika limuzyny, więc nie mogłem tam włożyć kwiatów. Podejrzewam, że kwiaty kupił mój sekretarz dla swojej dziewczyny.

Odstąpił mi je, gdy pojawiła się taka konieczność.

— Ile czasu kwiaty mogą wytrzymać w bagażniku, zanim zwiędną? Czy pański sekretarz planował randkę w środku dnia, kiedy kampania prezydencka wchodzi w decydującą fazę?

— Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania, bez rozmowy z moim sekretarzem.

Ale możemy się zająć pana sprawą, która jest znacznie bardziej bulwersująca niż pożyczone kwiaty.

— Ja też nie potrafię odpowiedzieć na żadne pytania, nim się nie dowiem, co uroiła sobie ta kobieta. Nie mogę się odnieść do tych bredni, zanim nie zostanie ona przesłuchana bądź zbadana przez specjalistów. Sądzę, że jest chora psychicznie.

Pana sprawa jest ciekawsza, bo istnieją dowody, a nie tylko słowa rzucone na wiatr.

Kruszewski znacząco trzymał palec nad sterowaniem odtwarzacza komunikatora.

Nie wiedział, czy film kryje jeszcze jakieś niespodzianki. Wielicki też tego nie

wiedział, a nie wiedział również, że Kruszewski nie wie. Było jasne, że nastąpił pat i dalsza walka osłabia ich obydwu. Ani jeden, ani drugi nie byli przygotowani na lawinę pytań, jaka za chwilę miała paść pod ich adresem.

— Obie sprawy wymagają wyjaśnienia — powiedział wolno prezydent. — Proponuję zakończyć konferencję.

— Zakończmy — zgodził się Kruszewski. — Wyjaśnijmy obie sprawy tak, jak powinny zostać wyjaśnione.

Wielicki i Kruszewski spojrzeli znacząco na Zdonka, który skinął głową, wstał i zaczął się przygotowywać do wyjścia.

Mimo narastającej fali protestów z sali, dwóch polityków zgodnie wyszło.

— Wobec tego... — Prowadzący trochę bezradnie spojrział na zamykające się drzwi i na zdezorientowanych dziennikarzy. — Wobec tego chyba musimy...

Zdonek przywołał na twarz uśmiech, który wypadł całkiem naturalnie. Zamiast wyjść, wrócił za stół i powiedział: — W zaistniałej sytuacji z chęcią opowiem państwu o moich planach dla Warszawy.

* * *

Judyta zza lustrzanej maski obserwowała eliminatorów przy wyjeździe na Wiejską. Potem usłyszała krótkie „Uwaga, idą”

od swojego dowódcy i odwróciła się, by dostrzec Kruszewskiego wychodzącego z gmachu Rady. Błyskały flesze, podtykano mu pod nos mikrofony. Idącego kilka kroków za nim Wielickiego potraktowano tak samo. O ile ten pierwszy zacisnął usta, o tyle prezydent odpowiedział kilkoma zdawkowymi ogólnikami, zapewne nawet nie słuchając pytań. Tu stali reporterzy drugiej kategorii, ci, którzy nie załapali się na konferencję, ale również zapasowe zespoły głównych mediów, nawet Kanału 7. Większość to hieny czekające na wszelkie wpadki. Im poważniejsze, tym lepiej.

Kruszewski przeszedł przez rozstępujący się przed nim gąszcz rąk z mikrofonami, jakby to było przybrzeżne sitowie, a nie atakujący go dziesiątkami pytań, błyskający i depczący się nawzajem tłum desperatów, których premia zależy od tego, czy zdołają zwrócić na siebie czyjąś uwagę.

Wielicki uśmiechał się, kiwał głową i powtarzał okrągłe zdania.

Eliminatorzy nie ruszyli się. Judyta patrzyła to na nich, to na polityków zbliżających

się do swoich limuzyn. Na co czekają?! Po takim ciosie PZ Kruszewskiego powinno poszybować do niebotycznych wartości. Im bardziej przekroczona wartość, tym szybciej powinni chcieć go zgarnąć. A jednak czekali, nie zwracając uwagi na polityków. Zamierzają zatrzymać limuzynę przy wyjeździe? A może pojedą za nią, by dokonać Eliminacji z dala od kamer? Tylko jeśli tak, to po co tu są?

Obaj mężczyźni wsiedli do swoich limuzyn, a dziennikarze szukali już dobrego tła, by powiedzieć kilka słów do swoich kamer.

Coś poszło nie tak, pomyślała Judyta.

Może nowe reguły g.A.I.a. działają zupełnie odmiennie? Albo... albo Harpad skłamał. Po co miałyby to robić? Ale jeśli skłamał, oznacza to fiasko całej akcji!

* * *

Renata, jak robot, wyszła przez boczne drzwi Rady w chłodny warszawski wieczór. Przeoczyli ją reporterzy, skupieni na nękaniu Wielickiego i Kruszewskiego.

A ona wyszła i skręciła w stronę Wiejskiej, skąd zamierzała na piechotę wrócić do domu. W dłoni ścisnęła torebkę, którą oddali jej ci z depozytu. Gdyby nie przypomnieli, toby ją zostawiła. Nie miała pojęcia, jak oddadzą jej Marię. Ale obiecali, więc oddadzą. Od domu dzielił ją kwadrans spacerem, choć w tempie, w jakim się poruszała, mogło to potrwać i pół godziny.

Może Maria będzie czekała na nią w domu.

Ona zrobiła przecież, co chcieli. Użyła swoich umiejętności i zaplecza technicznego Prowokacji, by dostać się tam i zadać to pytanie. Konsekwencje? Może i będą, ale kiedyś, jutro.

Opiekunka pierwsza ją wypatrzyła i dyskretnie wskazała partnerowi.

— Mieliszmy oddać małą nuzzlerowi.

— Ochroniarz pokręcił głową.

— Ale to jest jej matka! Co za różnica?

— Jest różnica. Szukaj go.

Maiysia niepokoiła się coraz bardziej.

Ochroniarz wiedział, że lada moment zacznie krzyczeć, a wtedy będzie miał wybór: puścić ją albo uderzyć.

— Jest tu, niedaleko. — Opiekunka wpatrywała się w ekran komunikatora. —

Oddajmy ją matce.

— Zamknij się! — warknął mężczyzna.

Poczuł na sobie kilka spojrzeń. Dodał więc ciszej — i tak nie mamy potwierdzenia.

— Przecież facet wszedł do limo.

— Opiekunka przycichła i przeszła do łagodnej perswazji. — Nie doszło do Eliminacji. Nuzzler wykonał zadanie.

— Czekamy na potwierdzenie.

— Robi się gęsto.

— Czekamy.

— Ona skręca w naszą stronę.

Zabierzmy małą.

Renata zbliżała się do nich, idąc na ukos przez trawnik między kępami płożącego jałowca. Ale nie widziała świata poza kilkoma metrami drogi przed swoimi stopami.

I wtedy zobaczyła ją Marysia.

* * *

Harpad przedzierał się przez coraz bardziej podekscytowany tłum. Ci spokojniejsi i ci z dziećmi już wycofywali się w kierunku Alej Ujazdowskich. Przeczuwali, na co się zanosi. Reszta stopniowo kierowała się w tę samą stronę, co nuzzler. Te pojedyncze jednostkowe pragnienia, by być bliżej, by lepiej widzieć, by uczestniczyć, łączyły się w potężne parcie kilkutyśięcznego tłumu na kordon policji na Wiejskiej przed wejściem na teren Rady.

Zaczął siąpić lekki deszczyk, co nikogo specjalnie nie obeszło. Emocje rosły, teraz już nakręcały się same. Ktoś chciał Kruszewskiego rozstrzelać bez sądu, ktoś inny żądał aresztowania tej głupiej baby, która opowiada takie kłamstwa, ktoś inny domagał się rozliczenia ich wszystkich. Ktoś żądał, aby powsadzać do więzień polityków i wprowadzić rządy artystów. Okrzyki już nie zgadzały się z napisami na transparentach. Blisko kordonu gromadziło się więcej i więcej osób.

Harpad przedzierał się przez tłum z coraz większym trudem. Gdy zobaczył na telebeamie, że Kruszewski opuszcza salę, porzucił resztki kultury i zaczął się bezceremonialnie przepychać. Jego trasę znaczyły gniewne okrzyki i roztrącone transparenty.

W końcu ugrzązł w nieprzebytym ścisku dyszących emocjami ciał, kilka metrów od ulicy. Coś się działo i wyglądało na to, że ludzie potrzebują w czymś uczestniczyć.

W czymkolwiek, byle mieć poczucie przynależności do grupy, do tłumu. Nas nie ruszą, my to my.

My kontra wy.

Kruszewski ze wściekłością wydlubał z ucha słuchawkę i zapadł w miękką kanapę limuzyny. Eliza przezornie nie zbliżyła się. Wiedziała, że jego złość minie szybko.

— To najlepszy dowód, że system jest chory. — Radny w zacisznym wnętrzu dochodził już do siebie. — Można kogoś oskarżyć i nie ponieść konsekwencji. Ona po prostu sobie wyszła, nikt jej nie zatrzymał! I kto ją w ogóle podstawił?

Gdy limuzyna wolno ruszyła, rozwiązał krawat. Asystentka uznała, że może bezpiecznie się do niego przytulić. Teraz był dobry moment, by to zrobić. To go najszybciej rozluźni.

— Wielicki też sporo stracił — przypomniała, głaszcząc go po głowie. — Ktoś przysłał nam to nagranie, gdy już trwała konferencja. Sprawdziliśmy, czy jest prawdziwe, i wysłałam je do ciebie. Mamy anonimowych przyjaciół.

— Nie mamy żadnych anonimowych przyjaciół! To Wielicki ma anonimowych wrogów. Ile stracił, okaże się jutro. Ja straciłem więcej. Sondaże sondażami, ale ciekawe, ile PZ mnie to kosztowało. Na pewno jestem w Prowokacji, tylko nie mają jak mnie podejść. Cztery lata temu Wielicki wygrał, bo głównego konkurenta zabrała Eliminacja. Cóż z tego, że tamten miał o dwadzieścia procent większe poparcie?

Zniknął, bo ktoś wyciągnął wiarygodnie spreparowane przekręty finansowe. Potem okazało się, że to lipa, ale człowieka już nie ma, a Wielicki wciąż jest prezydentem.

Założę się, że to również jego sprawa.

Stosuje tę samą metodę. Nawet jeśli osobiście tego nie wymyślił, to wydał instrukcje.

Zrób mi drinka. Podwójnego. Albo lepiej czystą łychę. Dziś już nie będę pracował.

I kim jest ten cały Zdonek? Producent jakichś wafli nagle odkrył w sobie talent polityka? Są sprawy, o których wiadomo, że lepiej głośno nie mówić. — Kruszewski przejechał dłonią po twarzy. — Zawsze sądziłem, że nie powinno się mówić głośno o korporacyjnym modelu zarządzania miastem. On przecież stoi w opozycji do demokracji, która zakłada, że debil ma takie samo prawo głosu, co geniusz. A każdy

debil chce mieć prawo głosu. Pilnowałem się przez cały czas, żeby o to nie zahaczyć, a ten cholerny Zdonek po prostu to powiedział i jego notowania wzrosną! Jestem tego pewny. I co teraz? Przecież to rozbija całą moją strategię. Mam się przyznać, że też o tym myślałem, ale nie miałem odwagi głośno powiedzieć?

Eliza podała szefowi szklanę z whisky. Ledwo ją wziął, samochód gwałtownie zahamował.

— Co jest, kurrr... ?! — Kruszewski otrząsnął dłonie z resztek alkoholu.

Szklanka potoczyła się po dywaniku.

— *Przepraszam* — rozległo się z interkomu. — *Dziecko i wybiegło mi przed maskę.*

* * *

— *Wszyscy na barierę zachodnią*— usłyszała Judyta. — *Zostają siódemki.*

Nie miała numeru kończącego się na siedem, więc pobiegła z innymi asfaltowym zjazdem wokół grupy strzelistych iglaków, przez trawnik pomiędzy płożącymi jałowcami. Dwie limuzyny stały tu pozornie bez powodu, ale gdyby chciały ruszyć, potrafi łyby co najmniej kilka osób. Tłum napierał na rozstawione luźno bariery. Wyglądało to osobliwie, bo pomiędzy nimi pozostało dość miejsca, by tamtędy przejść. Barierek było zbyt mało i ustawiono je w pewnych odstępach, a jednak ledwie kilku odważnych przekroczyło niewidzialną granicę.

Pomiędzy stojącymi limuzynami kręciło się kilka przypadkowych osób. Całkowite pogwałcenie procedur bezpieczeństwa.

Usunąć ich? Nie ma rozkazu.

To sytuacja, w której wystarczy iskra, by zaczęła się reakcja łańcuchowa. Wystarczy kilka osób, które przewrócą pierwszą barierę, i wtedy ruszy lawina.

Judyta słyszała wykrzykiwane w eter żądania wezwania posiłków. Wiedziała, że policjantów jest o wiele za mało. Nawet i pięć razy więcej by nie wystarczyło. Ale tu nie potrzeba setki ludzi do trzymania bariery. Tu trzeba jednego dobrego mówcy, który przekona tłum, że nie warto jej przekraczać.

Ochroniarz usiłował się przepchnąć przez ostatnie szeregi dzielące go od bariery. Odciągał ludzi i odpychał, jakby byli bezwładnymi workami, ale musiał zrezygnować, gdy dostrzegł biegnących w tę stronę kolejnych policjantów.

— *Spierdoliliśmy to* — powiedział z niedowierzaniem. — *Matko, spierdolili śmy...*

Marysia stała kilka centymetrów przed maską czarnej limuzyny. Wokół roило się od granatowych uniformów policji. Tłum konsolidował gniew. Skandowane hasła rozprzestrzeniały się i brzmiały zrozumiale.

— Wynośmy się. — Chwycił opiekunkę za łokieć i pchnął. — Spierdoliliśmy.

Nie oglądaj się i chodź.

Dała się kawałek prowadzić. Potem wyrwała łokieć i sięgnęła do torebki po komunikator.

— WT od szefa! — krzyknęła.

— Mamy... pozwolenie na przekazanie Marysi.

Ochroniarz zatrzymał się i przejechał dłonią po twarzy.

— Namierz go.

— Za dużo ludzi. Sygnał jego chipa — — Rób, co mówię!

Drgnęła i dotknęła ekranu komunikatora.

— Jest gdzieś tam — wskazała kierunek — jakieś pięćdziesiąt metrów. Co ci to teraz da?

— Posłuchaj. Przekazaliśmy ją ojcu.

Namierzyliśmy go i puściliśmy bachora z piętnastu metrów, żeby facet nas nie zobaczył.

— Przecież nie...

— Nie słuchasz mnie. Puściliśmy ją, a ona zamiast do ojca, pobiegła do matki.

Matki miało tu nie być, więc to nie nasza wina.

— Nie możemy okłamać szefa — zaprzeczyła. — Nawet nie chcę myśleć, co się stanie, jeśli się dowie.

— Jeśli mu nie powiesz, to się nie dowie. Nie moja, kurwa, wina, że wysłał nas z dzieciakiem w środek rozpierduchy!

* * *

— Dlaczego nie jedziemy? — zapytał przez interkom Kraszewski. — Za oknem widział biegnących policjantów, ale podjazd wydawał się przejezdny.

— *Ta wała stoi przed maską* — odparł kierowca. — *Wystraszyła się. Za wąsko, żeby ją wyminąć.*

— *Czekam jeszcze dwie sekundy i ją przeniosę* — dodał ochroniarz.

— Mam lepszy pomysł. Ja to zrobię.

— Odradzam. Po drugiej stronie ulicy trwa demonstracja.

— Więc tłum jest dwadzieścia metrów dalej. — Kruszewski puścił przycisk interkomu i rzucił do Elizy, puszczając oko — początek odbudowy wizerunku.

Wcisnął guzik odblokowywania drzwi i do wnętrza wdarł się hałas tysięcy gardeł skandujących niezrozumiałe hasło. Wysiadł i obszedł limuzynę od przodu. Otworzyły się również drzwi przedziału ochroniarzy.

— Wszystko w porządku, mała?

— Kruszewski przykucnął i odgarnął włosy z wystraszonej twarzyczki.

Dziewczynka wciąż patrzyła na chromowaną atrapę chłodnicy, kilkanaście centymetrów od swojej twarzy.

— Sugeruję pośpiech — powiedział ochroniarz.

— Przeniosę cię kawalek. — Kruszewski uśmiechnął się do dziewczynki. — Nie powinnaś tak stać na środku. No to hop...

Wziął dziewczynkę pod pachy i podniósł. Dopiero teraz zrozumiał, co krzyczy tłum.

Tłum skandował: „Kruszewski pedofil!”.

* * *

Renaty nie obchodzili ani biegnący obok policjanci, ani coraz głośniejsza demonstracja. Gdzieś z boku mężczyzna w ciemnym garniturze podnosił stojące przed limuzyną dziecko. Dziecko... Maria!

On trzyma Marię! Porywacz!

Przyspieszyła kroku.

— Puść ją! — krzyknęła. Było za głośno, by mężczyzna mógł to usłyszeć. — Puść, mówię!!!

Nie reagował. Niósł Marię, gdzieś dalej od Renaty. Przypomniała sobie o torebce.

Wyciągnęła z niej mały pistolet gazowy.

— Puść! Natychmiast ją puść!

Była może piętnaście, może dziesięć metrów od córki.

— Ma broń! — krzyknął ktoś obok.

— Ona ma broń!

Mężczyzna trzymający Marię odwrócił się w jej stronę. Rozpoznała go, ale to

niczego nie zmieniło. Uniosła pistolet, a wtedy coś dotknęło jej piersi. Zwolniła i upuściła torebkę. Potknęła się na równej drodze, opadła na kolana, podparła się wolną ręką. Było zimno, a ona stała się nagle tak słaba. Położyła się na boku.

Odpocznie tu chwilę, tylko chwilę, a potem...

Na dźwięk wystrzałów tłum zafalował.

Wielki telebeam przekazywał obraz upadającej kobiety i Kruszewskiego trzymającego wyrywające się dziecko. Powiększony mocno obraz drżał — kamera zbliżała się dopiero do miejsca nieoczekiwanej sensacji. Ochroniarz podbiegł do radnego i pociągnął go do wnętrza limuzyny. Pozostawiona własnemu losowi dziewczynka dopadła do leżącej kobiety. Teraz kamera była już bliżej. Kolejne osoby rozpoznawały twarz dziennikarki, która zadała Kaliszewskiemu pytanie o córkę.

— Marysia... — Harpad nie mógł uwierzyć w to, co widzi. — Marysia!!!

Zaczął się szybko przepychać, rozgarniał tłum, a gdy to okazało się niemożliwe, spróbował się wspiąć na złorzeczących mu ludzi. Ktoś uderzył go pod żebra, ale zwolnił miejsce.

I wtedy ją zobaczył. Klęczała przy leżącej Renacie. Jak to się stało?! Rzucił się w jej stronę na oślep, a gęsty, falujący tłum spowalniał go jak gęste bagno. Ludzie odpowiadali mu coś gniewnie, ale milkli, widząc zacięty wyraz twarzy.

Ktoś zastąpił mu drogę i nie pozwalał się wyminąć.

— Mam cię, nie wywiniesz się tak łatwo, złodzieju!

Harpad rozpoznał go. Szczurek, któremu sprawdzał wartość PZ kilka dni temu.

— Z drogi! — Nuzzler chwycił go za ramię i przesunął w bok.

— Ostatnie pieniądze! — Szczurek wczepił mu się w rękaw. Jego twarz wykrzywiła wściekłość. — Okradłeś mnie z ostatnich pieniędzy.

— Puszczaj! — Harpad próbował wyswobodzić rękaw. — Masz dziewięćdziesiąt siedem.

Ale tamten nie słuchał.

— Sprawdzają mnie! — krzyczał, plując śliną. — Prowokują, codziennie prowokują! Twoja wina! Ale znalazłem cię! Znalazłem!

Tłum napierał ze wszystkich stron, przesłaniając widok. Harpad prawie stykał się z twarzą wrzeszczącego Szczurka.

Udało mu się wyrwać rękaw, ale nie mógł się odsunąć. Od barierki dzieliły ich trzy,

może cztery osoby.

Gdy zauważył nóż, było już za późno.

Zwykły kuchenny nóż, którego rękojeść wystawała teraz z jego piersi. Szczurek puścił go. Dygotał z emocji, śmiał się jak szaleniec i płakał. Harpad z furją, z całej siły odepchnął go. Szczurek kwiknął, gdy powietrze uszło mu z płuc, i poleciał do tyłu, uderzył o kogoś. Ktoś stracił równowagę, zaraz za nim upadł ktoś następny.

Ludzkie domino uderzyło w barierkę, a ta nie wytrzymała i przewróciła się. Tyle wystarczyło. Gniewny tłum bez trudu przerwał luźny kordon policji i runął w kierunku Rady.

* * *

Ochroniarz Kruszewskiego wskoczył za nim do limuzyny i zatrzęsął drzwiami.

Krzyknął do kierowcy: — Jedź!

— Za dużo ludzi. — Kierowca bezradnie rozłożył ręce, pokazując biegnących przed podjazdem.

— Jedź, idioto, zaraz będzie gorzej!

— Nie wjadę w tłum.

— Masz inny plan?

— Nie zrobię tego.

— Jedź! — Ochroniarz przecisnął się na fotel obok kierowcy. — To nie szkolny autobus.

— Beze mnie.

— Nie! — krzyknął ochroniarz, ale kierowca już odblokował drzwi.

Ledwo uniosły się do góry, w otworze pojawiła się czyjaś wściekła twarz. Ochroniarz chwycił się oparcia i usunął ją z pola widzenia podeszwą. Ktoś zaklął, ktoś inny chwycił kierowcę za rękaw i pociągnął.

Dwóch mężczyzn próbowało się wdrzeć do kabiny, jakaś kobieta włożyła ponad nimi kij od transparentu i dźgała na oślep.

Większość ciosów trafiła w fotel po prawej stronie, ale jeden ugodził ochroniarza w bark. Kierowca zrozumiał swój błąd i zdzielił pięścią na oślep ciągnącego go napastnika. Uścisk zelżał, ale już ktoś inny chwycił go za nogę. Kierowca próbował teraz zamknąć drzwi. Siłownik nie mógł sobie poradzić z kilkoma parami rąk, które złapały

krawędź. Ochroniarz kilkoma kopniakami usunął większość z nich. Złapał kij, pociągnął i od razu pchnął bardzo mocno. Głowa kobiety odskoczyła do tyłu, siejąc w świetle latarni kropelkami czerwieni. Coraz więcej ludzi tłoczyło się przy otwartych drzwiach.

— Schyl się! — krzyknął ochroniarz i nie czekając na nic, strzelił kilka razy w stojących najbliżej.

Krew chlapnęła na tapicerkę. Ktoś krzyknął, ktoś osunął się na ziemię, ale efekt został osiągnięty. Tłum odstąpił na dwa kruki, a drzwi mogły się wreszcie zamknąć.

Kierowcy nie było w środku.

Olaf przesunął się na jego miejsce.

— *Czekajmy na odsiecz* — z interkomu dobiegł głos Kaliszewskiego. — *Karoseria jest kuloodporna. Nic nam nie zrobią.*

— Ale nie jest ognioodporna.

— Ochroniarz dotykem zalogował się do panelu sterowania. — Jeśli przewrócą samochód, to po nas.

— *Nie wjeżdżaj w tłum!*

— To jedyny sposób — odparł ochroniarz.

Zdezaktywował system antykolizyjny i ruszył.

* * *

Demonstranci okładali transparentami limuzynę. Kilku pchało za burty, by ją rozbijać i przewrócić. Już stracili indywidualność, już nie byli obywatelami, którzy przyszli zademonstrować swoje poglądy, już zamienili się w masę, pewną swej racji i bezkarności w tłumie. Okrążali samochód.

Nagle rozległ się huk. Coś zaczęło błyskać, dymić. Nuzzlera zakreśliło w nosie. Cofnął się i potrącany, obszedł Tatrę w bezpiecznej odległości. Systemy obronne limuzyny pluły dymem i gazem łzawiącym, strzelały ładunki hukowe. Ludzie odskoczyli, ale tylko na chwilę. Ktoś już demontował kostki brukowe. Kilka trafiło w przednią szybę, nie czyniąc jej jednak najmniejszej szkody.

Nieliczni policjanci byli w rozsypce, nie próbowali nawet interweniować. Biegli w stronę budynku Rady, by go chronić lub by chronić siebie. Wściekłość tłumu skupiła się na limuzynie. Kilka kamieni trafiło też w drugi pojazd, należący zapewne do Wielickiego. Limuzynę Kruszewskiego bujało już kilkadziesiąt par rąk i było jasne, że za

chwilę ją przewróca. Zrozumiał to też kierowca, bo samochód, z włączonymi światłami i wyjąłym klaksonem, wolno ruszył. Ludzie rozstępowali się z trudem, a ci najbliżej stojący okładali szyby, czym mogli, odrywali listwy ozdobne, kopali w drzwi. Ktoś próbował przebić opony.

Ktoś inny wskoczył na maskę, jakiś łysy i napakowany dwudziestoparolatek wszedł na dach. Wreszcie tłum na tyle zgęstniał, że dalsza jazda stała się niemożliwa bez taranowania ludzi. Kierowca powtórzył manewr z dymem i wolno mszył, rozsuwając tłum, jak kiedyś lodołamacze krę. Ktoś upadł i dostał się pod koła.

Tłum stracił impet, nie widząc celu w próbie sforsowania wejścia do Rady, i podążył za przedzierającą się do placu Trzech Krzyży limuzyną. Teraz jechała szybciej, roztrącając tych, którzy nie zdążyli uskoczyć. Niektórzy, z nadmiaru dopiero co wyzwolonej wściekłości, dla której nie było ujścia, zaczęli uderzać w drugą limuzynę. A potem niszczyli wszystko, co było w zasięgu i nadawało się do niszczenia.

* * *

Judyta klęczała przy Renacie i próbowała zatamować krew. Było to beznadziejne zadanie. Kula przeszła na wylot.

Ciemna kałuża powiększała się, a spojrzenie kobiety kryło się już za mgłą.

— Przepraszam... — szepnęła Judyta i schyliła głowę. Na dolnej krawędzi srebrnej maski zadrgała mała srebrna kropla.

— To nie tak miało wyglądać...

Choć wokół biegli ludzie, nikt się do nich nie zbliżał, jakby otaczało je niewidzialne pole siłowe.

* * *

— Co to było? — Kruszewski usiłował wypatrzeć coś przez tylną, przyciemnioną szybę limuzyny. — Jakaś zorganizowana akcja?

— Dowiemy się zaraz z serwisu.

— Eliza podała mu szklanekę z podwójną whisky, bez wody ani lodu. Sobie też przygotowała.

— Jeszcze kwadrans temu myślałem, że oskarżenie o gwałt na nieletniej jest szczytem skurwysyństwa, a tu takie coś.

Kto mógł tak pokierować thunem? Ilu musiało być animatorów?

Przypomniawszy sobie, że limuzyna jest wyposażona w kamery zewnętrzne. Włączył AV i na środku pojawił się wirtualny ekran podzielony na cztery części. Każda wyświetlała obraz z jednej kamery, z wyjątkiem lewej, zniszczonej przez demonstrantów.

— *Jesteśmy bezpieczni* — oznajmił przez interkom ochroniarz. — *Jedziemy do domu?*

— Tak, jestem wykończony.

I skończony, dodał w myślach. Pociągnął wprost z butelki spory łyk alkoholu, nawet się przy tym nie krzywiąc. Palący płyn spłynął do gardła.

— Kto to zmontował? Wielicki czy Zdonek? Skąd on się, kurwa, wziął? Trzy miesiące temu wypłynął z niebytu, a teraz zgarnia punkty w sondażach. Przez całą konferencję prasową prawie nie otworzył ust.

— Konferencja trwa! — powiedziała zaskoczona Eliza, sprawdzając coś na rozszerzonym pulpicie swojego komunikatora.

Pokazywał transmisję z konferencji.

— Jak to trwa? — Kruszewski nachylił się do Elizy. — Mogę?

Eliza przysunęła okno bliżej, podniosła je i obróciła do pionu. Kciukiem i palcem wskazującym powiększyła je kilkakrotnie.

Naturalnej wielkości Zdonek referował swoją wizję Warszawy najbliższej przyszłości.

Kruszewski słuchał go dłuższą chwilę, nerwowo popijając whisky jak wodę. Nie czuł smaku, ale nawet tego nie zauważał.

— To czysty populizm! — wybuchnął wreszcie. Machnął ręką, w której trzymał butelkę, rozlewając nieco alkoholu. Eliza zabrała ekran. — Nawet Wielicki by się do tego nie posunął. Ten facet nie ma żadnego pomysłu.

— Przedstawia twoje pomysły — dodała Eliza. — Z trzeciej listy.

* * *

Drzwi drugiej limuzyny otworzyły się.

Wielicki wysiadł i wyrwał z rąk chudego faceta transparent, którym tamten walił w dach.

— Co robisz, debilu?!

Zaskoczony demonstrant najpierw chciał uderzyć, ale rozpoznał prezydenta, bąknął „przepraszam” i uciekł. Dwaj ochroniarze, również zaskoczeni postępowaniem szefa, dopiero teraz wysiedli z samochodu i zajęli strategiczne miejsca, by osłonić Wielickiego przed potencjalnym zagrożeniem.

— Sugeruję powrót do samochodu — powiedział jeden z nich.

Wielicki nie słuchał. Ruszył na dwóch wyrostków gmerających przy atrapie chłodnicy.

— Odpierdolcie się od tego samochodu, gnoje! — ryknął.

Tamci czmychnęli bez słowa. Do reszty demonstrantów dotarło wreszcie, że znącają się nie nad tym pojazdem, co trzeba. Odstąpili. Tłum przerzedzał się, odsłaniając krajobraz jak po bitwie.

— Niezły burdel! — Prezydent, ku rozpaczy ochrony, nie zamierzał wracać do limuzyny. Dostrzegł policjantkę klęczącą przy rannej kobiecie. — To ta reporterka — zauważył i ruszył w jej stronę.

— Odradzam — powstrzymał go Sylwester, który właśnie wysiadał. — Nie wiemy, kto to jest. Ona chyba pierwsza wyciągnęła broń.

— Strzelał do niej ochroniarz Kruszewskiego. Jeśli zainteresuję się jej losem, zyskam parę głosów.

— Ryzykowne. Jeśli ona jest zamachowcem, nie powinna być z panem widziana.

— Dziś już dałeś pokaz profesjonalizmu z bombonierką. — Wielicki był wściekły, jednak zrezygnował. Popatrzył na podjazd, gdzie leżało lub siedziało na ziemi kilku demonstrantów. Część z nich zapewne już nigdy nie wstanie. — Na szczęście Kruszewski i tak jest skończony — ocenił. — Został nam Zdonek.

* * *

Lewa poła kurtki była czerwona od krwi. Harpad nie miał pojęcia, gdzie podział się nóż. Nie dziwił się, że jeszcze żyje, nie myślał o tym. Krążył wokół miejsca, w którym widział na telebeamie Marysię. Nigdzie jej nie było. Wspiął się na wzniesienie bliżej budynku, by dostrzec coś ponad głowami tłumu. Ludzie znów biegli, tyle że w przeciwną stronę. Policja przystąpiła do kontrataku, pałując i spychając demonstrantów dalej od wejścia. Wściekłość zastąpił strach i ludzie już tylko uciekali. Dymy rozwiewały się, ukazując kilkanaście leżących osób. Część nie ruszała się.

Harpad zarejestrował nienaturalnie powyginanie ciała Szczurka, spłaszczone, jakby przejechał po nim czołg.

Dostrzegł postać w policyjnym uniformie klęczącą przy rannej kobiecie. Przy Renacie. Poczł ukłucie paniki, gdy nie dostrzegł obok Marysi. Zbiegł tam i przyklęknął obok.

— Ambulans już jedzie — powiedziała cicho policjantka. Odpięła kask i cisnęła nim o ziemię. Z wnętrza słychać było rozkazy.

— Gdzie Marysia?! — Harpad podniósł głowę Renaty. Przełknął ślinę i zignorował narastający ból w klatce piersiowej.

— Gdzie ona jest...? Powiedz... Renata...

I wtedy zrozumiał, że ona już nie odpowie. Że jej już nie ma. Przytulił ją, a jej krew zmieszała się na kurtce z jego krwią.

Zamknął oczy.

— Jak to się stało...? — Judyta płakała. — To było tylko jedno pytanie. Proste pytanie...

— Gdzie Marysia?! — Harpad chwycił ją za ramię. — Gdzie moja córka? Była tu jeszcze przed chwilą. Widziałem!

Judyta wolno uniosła głowę i spojrzała na niego spod posklejanych i splątanych włosów.

— Zabrali ją. Zabrała ją Eliminacja.

CZĘŚĆ II

I Równie dobrze mógł to być ekran lub ukryty za tapetą głośnik. Ktoś jednak uznał, że taka forma będzie skuteczniejsza. Kosz na śmieci, z kopułką wyposażoną w sensory i płytki do wyrażania emocji, czekał, aż ona odezwie się pierwsza. Tym razem wygrał.

— Nie wiem, po co tu przychodzę. To nic nie daje.

— *Psychoterapia to powolny proces.*

— Płytki ułożyły się w wyraz zatroskania.

— *Efekty nie pojawią się po kilku wizytach.*

— Przecież rozmawiam z maszyną.

Czy maszyna może zrozumieć człowieka?!

— *Dysponuję bazą danych z zapisami podobnych przypadków z Warszawy i innych pierścieni. Żaden człowiek nie ma dostępu do takiej ilości danych, nie mówiąc o tym, że nie potrafiłby ich przetworzyć.*

— Może ważniejsza jest intuicja?

— *Porozmawiamy lepiej o tobie. Co wydarzyło się od ostatniej wizyty?*

— Nic takiego, o czym chciałabym teraz rozmawiać. Może za jakiś czas. Dziś nie.

Płytki ułożone w wyrazie zawodu.

Chwila milczenia.

— *A jest coś, co chciałabyś mi dziś powiedzieć?*

— Kiedy mówiłam, że nie czuję potrzeby miłości, to nie była całkowita prawda. Potrafię kochać, ale to są krótkie przebliski. W dodatku potrzebuję... wspomagania zewnętrznego.

— *Możesz mi zdradzić, jak to robisz?*

Pokręciła głową.

— Obawiam się, że to nielegalne.

Pokój z niezakratowanym, choć pancernym oknem wychodzącym na szpaler topoli nie był duży ani komfortowy, ale z całą pewnością nie przypominał więziennej celi.

Dwa łóżka, biurko, kabina prysznicowa i toaleta, dwa fotele przy niskim stoliku, szafa. Za wsuniętymi w ścianę szklanymi drzwiami widać było ozdobną barierkę i wysokie na kilka metrów rośliny w donicach. Można było nawet korzystać z siłowni, kortu tenisowego i basenu.

Gdyby nie brak barku i możliwości wyjścia na zewnątrz, pobyt tutaj niewiele różniłby się od wczasów. Więzienie to różniło się od powszechnych wyobrażeń. Drzwi do cel zamykano po kolacji i otwierano przed śniadaniem. Przez cały dzień więźniowie mogli swobodnie się przemieszczać po bloku. Możliwość odsiadki tutaj wyroku kosztowała jednak znacznie więcej niż porządny hotel.

Taliński skończy! odpowiadać na zaległą pocztę i odłożył komunikator, włączając uprzednio opcję „tylko ważne wiadomości”. Mimo odosobnienia nie przerywał pracy, a wręcz zwolniony z codziennych czynności, zabierających czas ludziom na zewnątrz, pracował intensywniej. Na listy odpisywał trzy razy dziennie, po każdym z posiłków z wyjątkiem kolacji, po której oddawał się lekturze. Czytał starych filozofów, ale też opracowania prawne i analizy ekonomiczne. Dobę miał uporządkowaną, a umysł spokojny. Przynajmniej tak było zazwyczaj. Teraz, na jego spokój kładło się cieniem wczorajsze fiasko planu.

Zapadł w fotel. Po lunchu zazwyczaj dyskutował ze swoim współwięźniem, ale siedzący w drugim fotelu profesor Rozsmuda dziś nie kwapił się do rozmowy.

— Ta dziewczynka wczoraj — Taliński wskazał miejsce, gdzie pojawił się wirtualny ekran ze zdjęciem sprzed gmachu rady — zagroziła w jakiś sposób społeczeństwu tym, że na jej oczach zginęła jej matka?

— Pierdolisz — zripostował niechętnie Rozsmuda. — Pytanie powinno brzmieć: „Czyjej ocalenie byłoby korzystne dla społeczeństwa?”. Tu nawet nie chodzi o niewłaściwy punkt widzenia, lecz o przewarto ściowanie naszego oglądu rzeczywistości.

g.A.I.a. jako cel swojego działania uznaje doprowadzenie do powszechnego przestrzegania prawa. PZ, czyli Potencjalne Zagrożenie, to w istocie potencjalne zagrożenie złamania prawa, czyli niespójnych, zmiennych zestawów niedopracowanych norm. A ten dzieciak po tak traumatycznych przejściach być może w ogóle nie nadawałby się

do życia.

Na nagraniu pomarańczowa Nysa z napisem „EL” w kółku podjechała bliżej gmachu Rady. Nikt nie próbował przeszkodzić. gdy czarnopomarańczowi ładowali dziewczynkę do furgonetki. Mimo że płakała rozpaczliwie, wyciągając ręce do umierającej matki. Taliński nie wytrzymał, wyłączył nagranie. Wstał i podszedł do okna.

I to jest, kurwa, słuszne? Potrzebne w imię wyższych racji? Może w bezdusznym świecie skurczybyka Rozsmudy, lecz z ludzkiego punktu widzenia było zwyczajnie potworne. Wepchnęło niewinnego dzieciaka w otchłań Eliminacji. Bo jakiś cholerny algorytm uznał, że za wiele lat może zejść na złą drogę. Taliński przejechał dłonią po twarzy. Powtarzał wszystkim, że od pewnego poziomu nie ma moralności, nie ma sumienia. Gdy w grę wchodzi miliony istnień, zaczyna się matematyka. Łatwo dywagować, ale widok tego dziecka...

— Ty naprawdę wyglądasz na przygnębionego — stwierdził profesor. — Znałeś tę małą?

— Nie, skąd! — Taliński zaprzeczył gwałtownie i odwrócił się bokiem do rozmówcy. — Po prostu... szkoda dzieciaka.

Nic nie zawiniła.

— Żyjemy w kurewskicli czasach — odparł profesor, znów stukając efajką wr korek.

— Piękna wymówka. — Taliński prychnął. — Ale od kilku dni ty też wydajesz się zdenerwowany.

— Ty za to tiyskasz optymizmem.

— Masz rację. — Taliński machnął ręką. — To kurewskie czasy.

— Kruszewski powinien zniknąć zaraz po oskarżeniu tej kobiety. — Profesor dał wreszcie spokój fajce. — To nie pierwsze takie pomówienie w historii naszego pierścienia. Skuteczne jak żadne przedtem.

Strach, kto za tym stoi. Jak myślisz?

Taliński mimowolnie poluzował koszulę pod szyją. Rozsmuda nie należał do wtajemniczonych i z pewnością się nie domyślał. Oczekiwali przecież zupełnie innego efektu — Kruszewski miał zostać męczennikiem.

— Toż to perfekcyjna akcja — ciągnął profesor. — Główny sprawca ginie kilka minut po dokonaniu zamachu, a jedyny świadek, córka ofiary, znika bezpowrotnie w otchłani Eliminacji. Nie ma kogo przesłuchać, nie ma śladów. Nie ma sprawy.

— Mnie też to zastanawia — Taliński przytaknął ponuro i tym razem akurat szczerze. — Wciąż o tym myślę.

— No przecież to nie przypadek!

— Profesor wycelował w niego ustnik efajki. — To zbyt skomplikowana akcja, zbyt nieprawdopodobny splot nieszczęśliwych okoliczności. Tu mi kaktus wyrośnie, jeśli to nie część większego procesu. Puść jeszcze raz to nagranie.

Taliński niechętnie sięgnął po komunikator i włączył odtwarzanie. Przywilejem mieszkańców bloku „A” było przyzwolenie na używanie komunikatorów, pod warunkiem zgody na ich niezapowiedzianą kontrolę. W praktyce takowa nigdy się nie zdarzała. Na ekranie, który pojawił się przed nim metr nad ziemią, falował widziany z lotu ptaka tłum. Przekaz seiwisów informacyjnych tradycyjnie był realizowany w 2D. Taliński wciąż miał w oczach to nagranie z wieczoru. Długo nie mógł dojść do siebie. Takich demonstracji miasto nie widziało od bardzo dawna, co samo w sobie było zastanawiające. Nie chciał tego oglądać ponownie, jak i nie chciał o tej sprawie rozmawiać. A jednak musiał. Wiedza Rozsmudy mogła być bardzo pomocna.

* * *

Nagranie odtwarzało się na kilku wirtualnych ekranach, pod różnymi kątami. Kruszewski z ponurą miną oglądał je po raz kolejny. Obawiał się pikiety przed swoim biurem, a nawet przed domem, bo któryś z tych śmieciowych blogów pewnie już wygrzebał i podał gawiedzi jego prywatny adres.

Wściekłym ruchem wyłączył nagranie i stanął przy oknie ze szklanką soku pomarańczowego. Zapatrzył się w nocny Wawer, nad którym unosił się Grochów, a jeszcze wyżej zamglony lekko Targówek. Po chwili wszystko zniknęło za kurtyną deszczu.

Ani jednej zabląkanej osoby pikietującej przed furtką. A przecież był na pierwszych miejscach porannych serwisów.

Co za kretyn powiedział „Nieważne, jak mówią, ważne, że mówią”? Na stole kuchennym leżał jego komunikator, nad którym unosiły się wyselekcjonowane nagłówki ważniejszych serwisów. Tak, tego dnia był najpopularniejszym politykiem Pierścienia Warszawa. Szkoda, że jego nazwisko poprzedzone było określeniami, wśród których „zwyrodnialec” nie brzmiało najgorzej. Notowania spadły z trzydziestu jeden do

dwunastu procent.

Oczywiście zaskarzy serwisy, inaczej wyglądałoby to jak przyznanie się do winy. Pewnie w niektórych przypadkach wygra.

Pewnie nawet na całej sprawie zarobi. Ale *image*, ale te dwanaście procent... Najlepszy dowód na to, że system działa źle i wymaga zmiany. Przecież te cholerne media z premedytacją publikują informacje, o których wiedzą, że są niesprawdzone albo wręcz nieprawdziwe. Cóż za upadek praworządności, jeśli to oskarżony musi udowadniać swoją niewinność, która powinna być przecież założeniem domyślnym. To się wszystko odbywa poza prawem. Niesłusznie pomówiony staje się winny i ponosi karę, nawet jeszcze bez udziału policji i prokuratury, o procesie sądowym nie wspominając.

Zastanawiał się, czy nie wymienić soku na coś mocniejszego. Nie, za wcześnie.

Czemu media to robią? Ewentualne odszkodowanie będzie o rząd wielkości niższe od zysków. W ciągu kilku dni na jego nazwisku wzbogaci się wielu. A jeśli sięgnie po niego Eliminacja, odszkodowania w ogóle nie trzeba będzie płacić. Bezrefleksyjna tłuszcza, pewna swej bezkarności w masie, obsmarowuje go na setkach blogów, w chamskich komentarzach. Stał się zwierzyną łowną. Ale nie pójdzie im tak łatwo. Nie wiedzą o tym, o czym wie on.

Bardzo szybko zwierzyna zmieni się w myśliwego.

Komunikator odegrał pierwsze nuty Roty. Obejrzał się. Na wierzch chmury dokumentów wypłynęło WT od Elizy, będzie za dwie minuty. Ta dziewczyna nie ma życia prywatnego. Jest w pracy, kiedy on wraca do domu, rano pracuje, zanim on wyjdzie z domu. Teraz, przed wyborami, rozstawiała się z nim najwyżej na cztery — pięć godzin. Oboje jechali na Nieśnie. Ale może warto za tę pensję. Nie, nie chodzi o pensję. Łączyło ich coś, co wykraczało poza układ szefasystentka. Dbała o niego jak matka. Szybko skarcił się za to porównanie — z matką się nie sypia.

Do kuchni weszła Mariola Kruszewska, zaspana, w jedwabnym szlafroku i puchatych kapciach. Podeszła do męża, objęła go od tyłu, opierając głowę o jego ramię. Była jeszcze gorąca od snu i nim pachniała.

Zirytowało go to, ale nie pokazał tego po sobie.

— Gdy się obudziłam, ty już wstałeś.

Wczoraj jak wróciłeś, spałam.

— Wiesz, co się wydarzyło. — Odwrócił się i objął ją. Myślami był daleko.

— Widziałam. — Przytuliła się. — Nie przejmuj się, wszystko się przecież wyjaśni. Zrobić ci kawy?

Pokręcił głową. Nic się nie wyjaśni.

Babakamikadze nie żyje, bachora zgarnęła Eliminacja. Nie ma nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na pytania, pytania więc pozostaną. Po wyborach zaczną blaknąć, popadać w zapomnienie, ale całkiem nie znikną. Będzie się musiał nauczyć z nimi żyć. Po wyborach...

Strażnik w budce przed domem zdalnie otworzył bramę, by wpuścić czarną Tatrę.

Kruszewski wolał wsiadać na własnym podwórku.

— Wieczorem mamy bal dobroczynny w Bristolu. — Zgarnął z oparcia krzesła marynarkę. — Bądź gotowa na siódmą.

Przyjadę po ciebie... Nie, raczej kogoś przyślę. Czeka mnie pracowity dzień.

Mógłbym nie zdążyć.

— Miałam nadzieję, że wieczorem uda nam się pobyć razem.

— To decydujący tydzień. Potem albo przeprowadzka na plac Bankowy, albo mnóstwo wolnych wieczorów. Dziś wieczorem będzie sztywna impreza. Muszę tam być.

— Chciałabym wreszcie spędzić wieczór tylko z tobą.

— Wytrzymaj ten tydzień. — Pocałował żonę na pożegnanie i ruszył do drzwi.

— Prześpij się.

Strażnik czekał już w progu z parasolką. Kruszewski przywitał się z nim zdawkowo i obaj podążyli krótką alejką.

Tatra, co prawda umyta i nawoskowana, nosiła jednak wyraźne ślady wczorajszych wydarzeń.

Na przywitanie cmoknął asystentkę w policzek. Jak zwykle wysiadła i jak zwykle wyglądała olśniewająco.

— Nie stój w deszczu. — Gestem zaprosił ją do środka.

Pomachała z uśmiechem kobiecie w kuchennym oknie. Kruszewski też pomachał i wsiadł do znajomego, pachnącego dobrym tytoniem wnętrza. Teraz poczuł usta Elizy. Tak, tu bardziej był w domu niż... niż w domu. Nawet śniadania i kolacje tu jadł. Nawet rozmawiało się tu bezpieczniej. Firma Warta, od której wynajmował tę limuzynę od lat, zapewniała swoim klientom zabezpieczenia przed inwigilacją, niezależnie od ich

poglądów politycznych i profesji. Od dwóch miesięcy w domu włą ściwie tylko spał. Chociaż nie, „tylko spał”

już od kilku lat i nawet nie pamiętał momentu, w którym na środku łóżka pojawiła się linia demarkacyjna. Ostatnio najlepiej im wychodziło z żoną pozowanie do sesji fotograficznych. Czasem się zastanawiał, czy ona niczego się nie domyśla.

A może przestało jej na tym zależeć i chciała tylko korzystać z dobrego życia?

Drzwi zasunęły się, odcinając ich od mokrego poranka.

— Jak tam? — Eliza uśmiechała się, jakby wczoraj nie istniało.

— Dobrze. — Wzruszył ramionami.

— Spodziewałem się tłumu reporterów przed furtką. Teraz zjadłbym...

Podawała mu papierową torebkę. Rozwinął papier, uwalniając aromat, o jakim marzy każdy, kto nie jadł niczego od paru godzin. Dobra kawa, ciepła bułka z bekonem, serem i warzywami oraz mały koktajl witaminowy. Wszystko, czego trzeba.

Wysunął blat i nacisnął przycisk interkomu.

— Jedź ostrożnie, jem — powiedział, po czym przypomniał sobie o czymś i innym przyciskiem otworzył pancerną przegrodę między przedziałami. — Jak sprawy?

Ochroniarz siedział za kierownicą.

Spojrzał w lusterko.

— Będą zarzuty — odparł, wyraźnie wdzięczny za zainteresowanie — ale się nie przejmuję — nie przekroczyłem uprawnień.

Licencja nie jest zagrożona. Gdy jest kilku napastników, mogę użyć dowolnych środków.

— Materiał dowodowy nie pozostawia wątpliwości — przyznał Kruszewski. — Napastników było kilkuset. Zapomniałem ci podziękować, Olaf. Więc dziękuję. Masz podwyżkę. Jak będzie trzeba, wynajmę najlepszego prawnika. Niczego nie musisz się obawiać.

Ochroniarz skinął głową i powiedział: — Potrzebujemy nowego kierowcy.

— Zrezygnował?

— On... nie wróci do pracy. Na razie ja będę prowadził. Szukamy kogoś odpowiedniego.

— Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

— Skinął głową i przyciskiem podniósł przegrodę.

— Odrobina socjotechniki? — zapytała Eliza.

— Nie celowo. — Wbił zęby w bułkę, przełknął i dopiero dokończył — może i automatyzuję banalne czynności, ale mam inne priorytety.

— Wiązanie krawatu to banalna czynność — sięgnęła do węzła pod jego szyją i poprawiała go — ale traci się przez to punkty. Twoja żona nie umie tego robić.

— Sam wiązałem. Co mamy na dziś?

— Sporo odwołanych spotkań. Nie jest dobrze.

— Sam wiem. Konkrety.

— Facet z „Rzeczpospolitej” też odwołał wywiad, za to dobijają się brukowce.

Spuszczam ich systematycznie, to tylko bardziej by zaszkodziło. Jutro do dziewiątej mamy wolne.

— W najbliższym tygodniu nie mam wolnej ani jednej minuty. — Wyjął komunikator i wpisał krótkie WT. — Dobrze się składa, że teraz nic się nie dzieje. Załatwię jedną ważną nieplanowaną rozmowę.

— Jestem twoją asystentką — zauważyła z uśmiechem Eliza. — Zleć mi to.

Wykorzystaj mnie.

— Wykorzystam, nie obawiaj się. Ale to jedno muszę zrobić sam.

* * *

Jacek Lipniarz schylił się po pchany wiatrem banknot. Nie pierwszy raz znajdował pieniądze na ulicy. Przemknęło mu przez myśl, że to może być prowokacja.

Nie, na pewno nie! Co to by była za prowokacja? Przecież podnosząc banknot nikogo nie okrada. Banknot pchany wiatrem jest niczyj, należy do tego, kto go znajdzie. Ma szczęście do pieniędzy, szczęście, i tyle.

Schował banknot do kieszeni. Pieniądz jest pieniądz.

Stał na rogu Żurawiej i Brackiej.

Patrzył na reklamę firmy Miejskie Usługi Transportowe, a w głowie rozwijała mu się niejasna myśl, zapowiedź czegoś dużego.

To coś było jeszcze niedookreślone i ulotne. Na wszelki wypadek nie ruszał się więc i tylko czekał, aż ta myśl skonkretnieje. Wokół przechodzili ludzie, ale ani on nie zwracał na nich uwagi, ani oni na niego.

Nie był zresztą człowiekiem rzucającym się w oczy. Łysina jakich wiele, mało

imponujący wzrost, nijaka kurtka.

Myśl była prawie gotowa. Jakaś część jego osoby już się cieszyła, bo jako lepiej wtajemniczona, wiedziała, o co chodzi.

Myśl była przyjemna i zapowiadała coś ekscytującego.

Miejskie Usługi Transportowe, piętnaste piętro. Zaskoczyło, już wszystko wiedział. Wyjął komunikator i dotknął ekranu.

Strzałka wskazała drzwi po lewej stronie.

Wszedł przez nie z uśmiechem na ustach, ukłonił się portierowi i skierował się prosto do wind.

Kilka wolnych dni to doskonała okazja do zrealizowania tego niespodziewanego pomysłu. Czy aby na pewno niespodziewanego? Lipniarz miał wrażenie, że chodzi tu o dręczące go od dawna pragnienie, którego przez długie miesiące do siebie nie dopuszczał.

Biuro na piętnastym piętrze wyglądało skromnie. Dziewczyna zza pulpitu z ekranem spojrzała na niego zaskoczona. Chyba nieczęsto ktoś tu zaglądał.

— Dzień dobry — zaczęła. — Pan...?

— Nie byłem umówiony. — Lipniarz zdjął okulary i przetarł je o skrawek bluzy.

— Na pomysł skorzystania z państwa usług wpadłem dosłownie przed chwilą. Zajmujecie się państwo transportem?

— Tak. — Sekretarka patrzyła podejrzliwie. — W zasadzie przyjmujemy zamówienia wyłącznie przez internet. Co chciałby pan przetransportować?

— Siebie. — Stuknął się palcem we własną pierś. — Chciałbym zwiedzić Kraków. Nie jestem już najmłodszy, a nigdy tam nie byłem. Wstyd się przyznać, ale ja jeszcze nigdy nie byłem w innym pierścieniu.

* * *

— To zjawisko znane również fizykom — zaczął Rozsmuda. — Przegrzanie cieczy. Jeśli w wodzie nie będzie żadnych zanieczyszczeń, a ścianki naczynia pozostaną gładkie, temperatura może przekroczyć sto stopni i nie rozpocznie się wrzenie.

Ale wtedy wystarczy paproch lub delikatny wstrząs, by nastąpiło gwałtowne uwolnienie nagromadzonej energii. Podobnie jest z tłumem. Brak prowodyra powoduje narastanie emocji, bez ich uwolnienia. Liderzykrzykacze zniknęli, bo sytuacja ich

przerosła. Popatrz tutaj — fajką wskazał środek ekranu — teraz. Człowiek w wojskowej kurtce próbuje się przepchnąć do barierki.

Wypycha kogoś, zapewne niechcący, na kordon policji. Wcześniej nikt nie chciał być pierwszy, a teraz następuje reakcja łańcuchowa — tłum rozpoczyna atak. Ale nie to jest ważne. Ważne są przyczyny.

— Kamery nie skupiały się na Eliminatorach, to było zabronione, ale niby przypadkiem trzymały w kadrze ten fragment tłum, w którym parły do przodu czarno — pomarańczowe postacie. Ludzie wokoło rozsuwali się, jakby sama śmierć kroczyła w kierunku gmachu Rady. — Wiadomo, Kruszewski nie zgwałcił tej dziewczynki.

Tak absurdalne oskarżenie miało na celu wywołanie skrajnych emocji. Zapytaj każdego z osobna, a w większości przyznaliby, że to mało prawdopodobne. To jednak nieważne, bo w masie uwierzyli i poczuli wspólny, pierwotny gniew, który ich zjednoczył. Gniew stał się wartością samą w sobie, ich spoiwem. Przyczyną eksplozji emocji mogło być cokolwiek, dowolny, dostatecznie silny impuls.

— Przez noc emocje opadły. To nie było szczere oburzenie społeczne, lecz pretekst, by uwolnić nagromadzoną energię.

Sejsmolodzy nazwaliby to wstrząsami wstępnymi. Nastąpiło rozładowanie naprężeń, ale główne trzęsienie ziemi jest kwestią czasu.

— Zapomniałeś, że trzęsienie ziemi już nie ma? A po Przemianie wstrząsów społecznych też miało nie być.

— To dzisiaj nie wydarzyło się bez przyczyny. Naprężenia rosną. Coś się dzieje i chyba nikt nie wie co.

— Ludziom kończy się cierpliwość — potwierdził Taliński. — Nie chcą być dłużej hodowani.

— Myślisz, że na Dzikim Zachodzie żyło się dobrze?

— Zaskoczę cię, jeśli powiem, że pod wieloma względami lepiej? Wtedy przynajmniej każdy był panem swojego losu. Dziś nawet społeczeństwo nie ma kontroli nad swoim losem. Oficjalnie parametr PZ nie istnieje od kilkudziesięciu lat, kiedy uległa przekształceniu kontekstowa baza danych g.A.I.a. Teraz PZ to tylko model matematyczny, stworzony na podstawie dyskretnej i właściwie nielegalnej obserwacji systemu.

Nielegalnej. Czy to cię nie dziwi... nie oburza, że istnieje ustawa zabraniająca

jakiegokolwiek zbierania i gromadzenia danych o Prowokacji i Eliminacji? Ze strzępków tych nielegalnych informacji i dawnego wycieku z archiwów policyjnych udało się stworzyć kilka koncepcji.

— Mówisz mi to i się nie boisz?

— zapytał profesor. Jego głos podszyty był lekką ironią.

— Przypomnę ci, że jesteśmy w więzieniu.

— Eliminacja nie ma tu wstępu, racja.

— Rozsmuda pokiwał głową. — To jedyne miejsce poza ich zasięgiem. Kiedyś jednak stąd wyjdiesz. Nie obawiasz się, że Eliminacja cię zgarnie zaraz po wyjściu?

Taliński machnął ręką.

— To odległa perspektywa. Mam dobrego adwokata, zadba, bym za szybko nie wyszedł. Pewnie o nim słyszałeś, to mecenas Marek Reweda.

* * *

Firma Miejskie Usługi Transportowe specjalizowała się w transportach wewnątrz Pierścienia Warszawa. Nie transportowała ludzi, lecz towary. Głównie chodziło o przeprowadzki. Mógł się tego domyślić.

Przyjął upokorzenie ze spokojem, jak zwykle, choć wciąż miał przed oczami uśmiech politowania sekretarki. Kilka innych firm, które sprawdził, zajmowało się tym samym.

Te na szczęście sprawdził już w internecie.

Jacek Lipniarz siedział w głębokim fotelu i oglądał kanał *W cieniu Wawelu*, najlepszy krakowski tasiemiec kryminalny.

Oglądał go od lat, ale dopiero ostatnio odczuł potrzebę zobaczenia tych wszystkich miejsc na własne oczy. Na pasku na dole ekranu przesuwały się wyniki sondaży wyborczych i inne informacje, które ani trochę go nie interesowały. Nie miał zamiaru dopłacać, żeby zniknęły. Gdy naprawdę zaczynały go wkurzać, zakrywał je dołem bluzy.

Filmik trwał prawie pięć minut, dłużej trudno utrzymać uwagę odbiorcy. Zagadka nie została rozwiązana, jak zwykle zresztą.

Stanie się to przed połową następnego odcinka, by szybko przejść do kolejnej sprawy. Prosta strategia, niepozwalająca, ot tak, porzucić kanału. Nigdy nie następuje ta chwila, w której rozwiązane są wszystkie wątki.

Gestem zamknął ekran holograficzny i wziął komunikator. Włączył wyszukiwanie

i zatrzymał się z palcem nad klawiaturą.

Już wcześniej próbował wpisywać wszelkie słowa kluczowe, które kojarzyły mu się z podróżą do Krakowa. Niczego nie znalazł. Trzeba spróbować czegoś innego.

Podróż międzypierścieniowa na pewno nie jest tania i zwykłych ludzi na nią nie stać. Poszukiwania trzeba więc zacząć inaczej. Co jest drogie, ekskluzywne i dostępne dla wybranych? Wynajem limuzyn.

Dotknął kilka razy ekranu i bez problemu znalazł odpowiednią firmę. Gdy zobaczył cenę za godzinę, aż uniósł brew.

Ale zapytanie jest przecież darmowe. Wpisał destynację „Plac Mariacki 5, Kraków”.

Uniósł brwi, widząc komunikat o braku wyników do wyświetlenia. Jak to możliwe?

To przecież jest jeden z najważniejszych adresów w Krakowie!

Wszystko wskazywało na to, że sprawa nie jest tak prosta, jak to się wcześniej wydawało. Trzeba będzie się bardziej postarać.

Odłożył komunikator, wstał i przeciągnął się. Spore mieszkanie w Wilanowie można by nazwać luksusowym. Duży salon z barkiem, duża sypialnia, zaledwie piąte piętro i nawet kilka drzew w zasięgu wzroku. Ściemniało się już, a to znaczyło, że pora na coś mocniejszego.

Otworzył lodówkę i sięgnął po wypełnioną w połowie butelkę whiskey. Dobrej whiskey. Nie lubił tych sików z kompilatora.

Obok na swój czas czekała pomarańczowa puszka. Skrzywił się na jej widok.

Na szczęście to jeszcze nie dziś. Dziś ból codziennych małych klęsk zaleczy tradycyjnym alko.

* * *

Przejrzał raporty najważniejszych agencji ratingowych — wszędzie katastrofa. Jego notowania leciały na pysk. Ale nie zamierzał się poddawać, o nie!

Pierwsze nuty *Roty* powiadomiły o przyjsciu WT. Komunikator przełączony w tryb 2D dawał użytkownikowi wrażenie informacyjnej klaustrofobii, ale zapewniał dyskrecję. Przeczytał i wcisnął przycisk interkomu.

— Zmiana planów. Zaraz prześlę nową destynację. — Kruszewski zwolnił przycisk i zwrócił się do asystentki — przekaż mi teraz wszystkie złe wieści.

— Jeszcze wcześniej. — Wciąż była jakby nieco obrażona, że postanowił coś

załatwić sam. — Niewiele mamy oficjalnych wiadomości.

— Chcesz? — Wyjął z kieszeni fiolkę z Niesnem. Białe tabletki fosforyzowały zachęcająco. Do wyborów pozostało ledwie kilka dni. Dwadzieścia cztery godziny na dobę to i tak za mało na pracę. Wygrany będzie spał kilka godzin, przegrani kilka dni. Zdarzało się, że pierwszą rzeczą, którą widzieli po przebudzeniu, było ich własne odbicie w złotej masce.

— Już brałam. — Uniosła dłoń.

— Zdonek ma ponad trzydziestoprocentowe poparcie, czyli niemal dwukrotny przyrost. Jeśli tendencja wzrostowa się utrzyma, wygra w pierwszej turze.

— A niczego nie zrobił, poza tą przemową. — Radny potarł wargę w zamyśleniu. — A może jest tak sprytny, że tylko udaje nieobytego. Kto nam podesłał ten materiał o niedoszłej topielicy?

— Nie ustaliliśmy. Dobrze się zamaskował.

— Lepiej nie szperać za mocno, żeby nie zniechęcić następnych. Może stał za tym właśnie Zdonek. Może chciał mnie i Wielickiego napuścić na siebie, żebyśmy się nawzajem wykrwawili. Może to on wysłał tę babę.

— Zaczął prezentację swojej wizji Warszawy od para uwag na temat zdegenerowanych elit politycznych — przyznała Eliza.

— To jeszcze o niczym nie świadczy.

Sam bym tak zaczął na jego miejscu.

— Chcesz obejrzeć?

Kruszewski skinął głową. Otworzył się przed nimi wirtualny ekran.

— Przygotowałam skrót, bo gadał prawie pół godziny — wyjaśniła Eliza. — Na tyle zaciekał dziennikarzy, że mu nie przerywali. Jego program pominęłam, bo to takie same banialuki, jak nasz. Wybrałam coś, co może mieć prawdziwy wpływ na wynik wyborów.

Miał na końcu języka pytanie, kiedy to zrobiła, ale dał spokój. Obejrzał zmontowany, pięciominutowy skrót.

— Rada ekspertów to twój pomysł — stwierdziła Eliza, gdy ekran znikł.

— Rada mędrców — poprawił w zamyśleniu. — Rada mędrców to jednak co innego. Ci pierwsi są z zasady egoistami i mogą zarządzać firmą, jeśli im się to będzie opłacało. Odejda do konkurencji, jeśli ta zaproponuje im większe korzyści.

Rada mędrców nie podlega prawom ekonomii. Są przypisani do danej społeczności, z której wyrosli i muszą być wobec niej lojalni. Jak się lepiej zastanowić, to oba modele są skrajnie odmienne.

— Ale żaden nie jest demokratyczny.

— Właśnie. Facet opowiada populistyczne dyrdymały, a potem nagle wkłada w to radę, czyli pomysł bardzo niepopularny. Mówi o tym chwilę i szybko zmienia temat na bardziej przyjemny. On... on wysłał sygnał. Tylko komu...? Szuka sprzymierzeńców? Ci, którym pomysł się podoba, podchwycą go, reszta nie zapamięta. — Podniósł komunikator i przeczytał wiadomość. — No, przynajmniej to spotkanie się odbędzie.

Przesłał kierowcy destynację, zapadł w fotel i zapatrzył się w mahoniowe wykończenie barku.

— Kim jest ten człowiek? — zapytała ostrożnie asystentka. — Możesz mieć przez to poważne problemy z policją. To nas dobije.

— Na razie dzięki niemu trzymam się na powierzchni. Gdyby nie ten układ, już bym był w Eliminacji. — Pokręcił głową.

— Jakie większe problemy można mieć?

Policja się nim nie interesuje. To inny poziom.

— A cena?

— Każdy musi się ubrudzić. Cztery lata w opozycji zmieniają. Przegrałem wybory z człowiekiem, który nie miał skrupułów.

Układał się z tymi, co trzeba, mówił, co trzeba, zmieniał poglądy, jak trzeba. A ja?

Miałem przecież ideały, cele. Idiota.

— Roześmiał się. — Polityk musi być kameleonem, to konieczność, wręcz standard. Wielicki rozumiał to już wtedy. Ideały rozbijają się o zamknięte drzwi do władzy. Cóż komu po genialnych pomysłach, jeśli nie zostaną zrealizowane? Widziałaś tych wszystkich leszczy, co startują na radnych dzielnic? Nic więcej nie osiągną. Nie wiedzą, nie potrafią robić prawdziwej polityki. Kiedyś byłem taki sam.

Eliza spuściła głowę i zajęła się porządkowaniem kalendarza.

Stare Bródno straszło pionowymi slumsami. Kilkudziesięciopiętrowe bloki obrosły chaotycznymi przybudówkami, schodami, a nawet kładkami na linach między wyższymi kondygnacjami. Zacieki na murach i pęknięcia nie obchodziły nikogo.

Większość budynków nie miała prądu ani bieżącej wody. Gdyby nie filtry limuzyny,

czuć byłoby odór palonych śmieci — czarne dymy spowijały ponure bryły brudnymi welonami. Patrole policyjne nie zaglądały do budynków, ograniczały się do zaznaczania swojej obecności na poziomie ziemi.

Można było spokojnie przyjąć, że gdzieś od piątego piętra prawo Pierścienia Warszawa przestawało obowiązywać.

Zostawili bloki z boku, minęli Żerań i wjechali między nową, wysoką zabudowę Tarchomina. Płynnie przechodziła w Natolin, który był elementem przeciwwagi dla pnącego się wzwyż Mokotowa. Tu budowano ekonomicznie nieuzasadnione mieszkaniowce, by utrzymać środek masy pierścienia w odpowiednim miejscu.

— Anulowali zaproszenie na bal dobroczynny w Bristolu — odezwała się cicho Eliza.

— Kurwa, tam miało być kilka ważnych osób. Wyślij do mojej żony zawiadomienie, żeby się nie szykowała. Z ministrem i tak widzę się jutro.

— Jutrzejsze spotkanie też odwołał.

Myślę... — Eliza zawiesiła głos i mocniej przytuliła się do szefa.

— No, śmiało, mów.

— Będzie jeszcze gorzej. Wydaje mi się... — zebrała się w sobie i wreszcie to z siebie wydusiła — wydaje mi się, że powinniśmy rozważyć wycofanie się. Nie odrobimy strat. Ta dziewczynka, którą przenieś przed maski... to była córka tej... Przecież to teraz wygląda...

— To nie wchodzi w grę! — Zacisnął pięści, aż pobieleły mu kłykcie. — Odbuduję wszystko! Zresztą, jeśli się wycofam, to tak, jak bym się przyznał! — Schował twarz w dłoniach. — Kurwa, czemu ją podniosłem...

— To wiele nie zmieniło. Powinniśmy się przyczaić i budować pozycję na kolejne wybory. TwojePZ...

— Nie! Czekałem na to cholernie długie cztery lata. Doradcy w roku pomarańczowym też mi mówili, żebym się wstrzymał, zebrał siły do następnych wyborów.

Nie mogę wiecznie czekać, rozumiesz?!

— Myślę, że powinieneś zacząć myśleć o swoim PZ.

— Nie muszę, jest niskie.

— Jak to? — Cofnęła się i obdarzyła szefa zdziwionym spojrzeniem. — Skąd wiesz?

— Nie mogę powiedzieć. — Wypił do dna koktajl witaminowy.

— Co ty zrobiłeś?

— Nie bój się, tobie nic nie grozi — zastrzegł szybko. — To umowa biznesowa. Zapłacę, kiedy wygram.

* * *

Rozmowa nie szła mu najlepiej. Boty niechętnie przyznawały, że coś jest niemożliwe lub że firma nie ma tego w ofercie.

Człowiek dla świętego spokoju odesłałby namolnego klienta do konkurencji lub naciągnął zasady i w dyskretny sposób dał do zrozumienia, że szkoda czasu. Bot potrafił lawirować w nieskończoność.

Jacek Lipniarz nie zamierzał odpuścić.

Głównie dlatego, że nie miał pomysłów, co innego mógłby jeszcze zrobić. Czasu też miał coraz mniej. Siedział w swoim fotelu i z kwaśną miną patrzył na unoszącą się przed nim prostą animację z uśmiechniętymi ludźmi na przyjęciu plenerowym w Łazienkach Królewskich. Na pierwszym planie stała limuzyna Rolls—Royce Golden Cloud. Była tam też cena przygotowania przyjęcia na pięćdziesiąt osób wraz z dowozem gości limuzynami Warty. Cena przekraczała możliwości finansowe Lipniarza, ale nie miało to znaczenia. Nie chciał przecież organizować przyjęcia na pół setki gości. Chciał się dostać na Planty.

Krakowskie Planty. Bot, z którym rozmawiał, zwodził go, proponował inne marki limuzyn: Bentley Mulsane, Daimler Sovereign, Warszawa M400 Prestige... Przygotowywał coraz to nowe, lepiej dostosowane do jego potrzeb oferty. Wszystkie w Pier ścieniu Warszawa.

Zwłókł się z fotela i podreptał do lodówki. Nie miał wielkiego wyboru. Mógł wypić piwo, whiskey lub... Zapatrzył się w pomarańczową puszkę, stojącą w drzwiach. Był wilgotny dzień i na ściankach szybko zaczęła się skraplać woda.

Nie, jeszcze nie dziś. Dziś jest czas na piwo.

Wrócił na fotel, otworzył piwo i pociągnął łyk. Dotknął przycisku „rozmowa z konsultantem”. Dwanaście złoteuro za minutę. Niech będzie, stać go.

Miejsce szczupłych, szczęśliwych gości z przyjęcia zajęło eleganckie okno z logo Warty. Po chwili pojawiło się niewielkie zdjęcie trzydziestolatka z nienaganną fryzurą

i pierwsze zdanie: „Witamy w firmie Warta. Nazywam się Konrad. W czym mogę pomóc?”.

Lipniarz pstryknął palcami, by włączyć syntezator. Nie lubił pisać ani czytać.

Wolał rozmawiać, nawet jeśli głos rozmówcy był odczytywany z tekstu przez program.

— Czy jesteś człowiekiem? — zapytał.

— *Tak. Wybrał pan rozmowę z konsultantem. Przez szacunek dla klientów w naszej firmie konsultanci są ludźmi z krwi i kości.*

Lipniarz dotknął zdjęcia i wybrał opcję syntezy z animacją. Głowa powiększyła się do normalnych rozmiarów, wybrzuszyła do trzech wymiarów i uśmiechnęła do niego uprzejmie.

— Szukam specjalnej usługi — mówił wolno, ostrożnie dobierając słowa. — Boty doradcze nie potrafią zrozumieć, o co mi chodzi. Ich propozycje są... jakby to powiedzieć...

— *Wiem doskonale, o czym pan mówi.*

— Konrad skinął głową i porozumiewawczo, acz bez poufalości uniósł brwi. Nie miało to, rzecz jasna, nic wspólnego z rzeczywistą mimiką rozmówcy. — *Odwiedza nas dużo chętnych, jak również dużo ciekawskich. Boty zajmują się wstępnym przedstawieniem oferty, by nasz personel Judzki miał możliwość swobodnej rozmowy z bardziej wymagającymi klientami. Takimi właśnie, jak pan.*

— Interesuje mnie... — Lipniarz starł kropelkę potu ze skroni. — Interesuje mnie specjalna usługa. Nie wiem, czy wasza firma ją oferuje.

— *Jesteśmy bardzo elastyczni. I równie dyskretni, oczywiście. Wynajmujemy limuzyny, sprzedajemy limuzyny i zapewniamy kompleksowy serwis.*

— Chodzi o to, że sama limuzyna nie jest najważniejsza.

— *Jesteśmy w stanie zorganizować wszelkie usługi dodatkowe, o jakie tylko pan poprosi. Oczywiście pod warunkiem, że są legalne.*

Wirtualna głowa Konrada mrugnęła okiem. Oryginał nie miał o tym pojęcia.

— To nic nielegalnego. — Lipniarz nie miał pomysłu, jak skierować rozmowę na właściwe tory. — Chodzi mi o podróż na sporym dystansie...

Źle, źle. Oczyma wyobraźni widział minę tamtego. Może nawet konsultant Konrad już zawołał współpracowników, żeby wspólnie się pośmiać. W Pierścieniu Warszawa

podróż dłuższa niż czterdzieści jeden kilometrów i dwieście metrów kończyła się powrotem do punktu startu. Można ją było przedłużyć, jadąc zygzakiem.

— *Dystans nie ma żadnego znaczenia*— zapewnił konsultant. — *Wynajmuje pan limuzynę wraz z kierowcą na określony czas i może pan z niej korzystać w dowolny sposób. Legalny, oczywiście.* — *Znów to mrugnięcie.* — *Kierowcy to również ludzie z krwi i kości, przez nasz szacunek dla klientów. Kierowcy wymieniają się co kilka godzin, ale nie musi się pan obawiać — dzieje się to w sposób niezauważalny dla klienta.*

— Limuzyna będzie potrzebna tylko na początku. — Kolejna kropelka potu łaskotała za uchem. — *Prawdę mówiąc, oczekuję pomocy w... Limuzyna jest pretekstem.*

— *Słucham pana cały czas.*

Lipniarz nabrał powietrza i zapytał wprost: — *Macie filię w Krakowie?*

Przez dłuższą chwilę wirtualny konsultant wpatrywał się w niego bez wyrazu. To z pewnością nie odpowiadało minie, jaką zrobił oryginał.

— *Ma pan na myśli Pierścień Kraków?*

— Tak! — Lipniarz wyprostował się w fotelu. — *O tym mówię.*

— *Mamy filię w Krakowie i większości polskich miast.*

— *Chcę odwiedzić kilka miejsc. Limuzyna nie jest niezbędna, ale... niech będzie i limuzyna.*

— *Nie bardzo rozumiem...*

— Rynek Starego Miasta, Kazimierz, a szczególnie okolice Bożego Ciała i Meiselsa. Tam była ta sprawa... Nie wiem, czy pan ogląda kanał *W cieniu Wawelu*. W zeszłym tygodniu był taki odcinek — — *Nie wiem... uczyłem moglibyśmy być pomocni.*

Nadzieja nie trwała długo. Głos Konrada brzmiał tak samo, jednak Lipniarz wyobrażał sobie, co tamten teraz myśli.

— *Chcę odwiedzić Kraków. Pomyślałem...*

— *Firma Warta nie chciałaby narażać pana na dalsze koszty. Dziękuję za rozmowę.* Okno zniknęło wraz z wirtualną głową.

Jacek Lipniarz zamknął oczy i zacisnął dłonie na podłokietnikach fotela.

* * *

— Ta wartość jest umowna, jak skala Celsjusza. Woda wrze w stu stopniach, człowiek wpada pod płaszcz Prowokacji, gdy jego PZ osiągnie sto. Równie dobrze

można by ustalić, że Prowokacja wchodzi do gry, gdy PZ osiąga dwieście trzydzieści jeden albo dziewięćdziesiąt pięć i trzy czwarte. Punkt skali, w której pojawiała się Eliminacja, nie był znany aż do wczoraj...

— Taliński zawiesił głos. Miał wątpliwość, czy może być tak szczerzy z Rozsmudą.

To z jednej strony ryzykowne, a z drugiej wskazane — miał bowiem nadzieję przekonać go i wciągnąć do sprawy.

Profesor kiwał głową w milczeniu.

Patrzył na komunikator wyświetlający zdjęcie siedmioletniej dziewczynki z rudymi lokami. Gdy Taliński podszedł bliżej, szybko zgasił ekran.

— Eliminacja pojawia się, gdy PZ osiągnie sto trzydzieści siedem — ciągnął Taliński. — Nie wiemy, czy ta wartość jest stała. Mimo kolejnych przekonfigurowań, model matematyczny pozostaje poprawny.

Nie wiadomo oczywiście, czy będzie tak nadal, ale to też sprawdzimy. Od jakiegoś czasu coraz trudniej zbierać i przekazywać informacje. Mam wrażenie, że niektóre przekazy międzypierścieniowe są nie tylko kontrolowane, lecz wręcz moderowane lub blokowane.

— To jakaś tajna organizacja?

— w głosie profesora dawało się wyczuć nutkę obawy.

— Strach cię obleciał, co? Spokojnie, to raczej klub hobbystów — celowo zbagatelizował Taliński.

— Mają coś wspólnego z Prometeuszem? Dlaczego nie ukończono prac?

— To były nieskoordynowane działania społeczne. Prawdziwa praca u podstaw setek bezinteresownych ludzi. Niestety, spotkały ich przykrości i jest to... duży eufemizm. Część osób uległa Eliminacji.

Nikt nie potrafi określić, ilu zniknęło. Cena zwiększenia naszej wiedzy była ogromna.

Pracowałem nad stworzeniem interfejsu do odczytywania nowej stochastycznej bazy danych, co było wówczas całkowicie legalne. Baza nie była tajna, lecz jedynie nieczytelna. Nie miałem kontaktu ze zbieraniem ani z przetwarzaniem danych. Projekt zakończył się fiaskiem, a jedynym jego efektem są właśnie coraz doskonalsze modele do szacowania wartości PZ. g.A.I.a.

upomniła się o mnie pół roku temu. Zwiążem tutaj.

— A wiesz, jak to wygląda w innych pierścieniach? Chyba nie chcesz powiedzieć, że wymyśliliśmy coś, co jest używane w całym Różańcu.

— Gdyby nie ograniczenie swobody komunikacji, Prometeusz miałby szansę powstać. Prace trwały w kilku pierścieniach. Tam, gdzie udało się zebrać chętnych i uzyskać przychyłność władz.

W Monachium prace są najbardziej zaawansowane. Współpracujemy, wymieniamy się informacjami. Tamtejszy nich jest zdecydowanie bardziej prężny. Nasi koledzy codziennie mają kilka minut dostępu do centrum obliczeniowego Uniwersytetu Ludwika i Maximiliana. Zmodyfikują symulację o dane, które ostatnio im wysialiśmy. To zajmie kilka dni. Przybliży się o krok do celu.

— Jakiego celu?

Taliński jak zwykle miał problem, co na to odpowiedzieć.

— Wolność, profesorze. Wolność jest naszym celem. W tym również wolność podróżowania. W Monachium na przykład atmosfera jest przyjazna wolności. Tamtejszy parlament ma jutro głosować nad ustawą ograniczającą kompetencje Eliminacji.

Profesor zerkał na komunikator, mimowolnie zdradzając, że czeka na ważną wiadomość.

— Podział na pierścienie jest bezpieczny — powiedział. — To niemal niezależne biosfery. Jakakolwiek pandemia nie wchodzi w grę.

— Ale też drobnoustroje ewoluują niezależnie. Nie mamy szans wykształcić odporności na odmianę grypy z Chicago.

— Wybierasz się do Chicago?

— Nie ciągnie mnie do innych pierścieni, ale ktoś z takiej, weźmy na przykład, Marsylii może się tam wybrać, potem poznać kogoś z Budapesztu, a ten ktoś z Budapesztu może przyjechać tu.

I będziemy mieć w Warszawie pół miliona chorych na chorobę, na którą nie znamy leku, i nawet go nie sprowadzimy, bo Chicago się na nią dawno uodporniło.

— Nie wiem, jakie procedury obowiązują podczas podróży międzypierścieniowych. Jestem pewien, że podróżni przechodzą kwarantannę.

— A co z transportem cargo?

— To ułatwia transfer technologii.

Taniej jest przekopiować dokładny algorytm syntezy limuzyny Rolls Royce Silver

Seraph IV, niż transportować duży i ciężki obiekt fizyczny.

— Produkcja masowa to osobna sprawa. Ale weźmy takie na przykład leki.

Rzadkie leki. W ich przypadku problemem nie jest masa, lecz czas potrzebny na dostarczenie. Synteza nowego leku potrwa dłużej niż transport. Ja w separacji pier ścieni widzę po prostu potencjalne zagrożenie cywilizacyjne, nie jednostkowe. Zwiększają się nie tylko różnice biologiczne, ale i kulturowe. Różnicowanie się języków stało się zauważalne już po kilkudziesięciu latach. I to mimo dobrze rozwiniętej sieci.

— Pierścienie powstały, żeby zażegnać znacznie poważniejsze zagrożenie. — Profesor odłożył fajkę, ale nie rozstawał się z komunikatorem. — Zresztą po co odwiedzać inne pierścienie? Co tam jest, czego nie byłoby tu? Sam mówiłeś o chorobach, na które możemy nie mieć odporności.

— Gdyby tak myśleli nasi przodkowie, to byśmy wciąż siedzieli na drzewach.

— Wiesz, że gdyby nie Przemiana, nie byłoby już *homo sapiens*. A życie w pierścieniach wymaga specjalnych środków bezpieczeństwa. Większość ludzi się na to godzi i traktuje hiperprewencję nawet nie jako zło konieczne, ale jak naturalny element środowiska, jak ścierny i jasy Niesłońca. Spora część społeczeństwa nawet nie wie, co to dokładnie jest.

— A ty wiesz?

Profesor uśmiechnął się nerwowo.

— Nie jestem ścisłowcem.

— To nie było pytanie techniczne.

— Ludzie potrzebują stałego rytmu dnia. — Profesor westchnął i trącił palcem komunikator. — Wiem, że w Krakowie mówią zgaś i płoń. Oczekujesz, że powiem coś o Wielkim Bracie albo o Opiekunie?

Przecież to zwykłe zabezpieczenie, jak system antykolizyjny w samochodzie czy zamek w drzwiach.

— Jak zamek, do którego zgubiliśmy klucz. Nie panujemy nad tym. System antykolizyjny zablokował drzwi i wiezie nas w nieznane. Zastanawiałeś się kiedyś, co się dzieje z człowiekiem po Eliminacji?

— Według oficjalnej wykładni nie ma to znaczenia. Eliminacja nie jest karą. Jej celem jest jedynie usunięcie ze społeczeństwa jednostki stwarzającej zagrożenie.

— Nie ciekawi cię to?

— Moim zdaniem są uśmierceni w humanitarny sposób.

— Możesz mieć taką nadzieję, nie pewność. — Taliński wstał i podszedł do mleczej szyby. — Nie mamy żadnej władzy nad g.A.I.a. ani nawet nie wiemy, jak ona działa. Zabezpieczenie zmieniło się w pułapkę. Znasz kogoś, kto kiedykolwiek opuścił Pierścień Warszawa?

* * *

Poszukiwania w internecie nie przyniosły żadnych rezultatów i Jacek Lipniarz powoli dochodził do wniosku, że ktoś celowo rzuca mu kłody pod nogi. Ktoś się na niego uwziął, żeby mu uniemożliwić realizację marzeń. Tylko kto? Ktoś, kto musiał mieć naprawdę dużą władzę.

Spacerował ruchliwymi, handlowymi ulicami Mokotowa. Nie spodziewał się zobaczyć szyldu z napisem „Podróże do Krakowa”. Wystarczyłby trop, cokolwiek, co skierowałoby go w odpowiednią stronę.

Czemu ktoś wybrał akurat jego, żeby go tu uziemić? Możliwe również, że akurat on, Jacek Lipniarz, nie powinien opuścić Pierścienia Warszawa z powodu odpowiedzialnej pracy. Tak, mogło chodzić o to, a wówczas za wszystkim stałoby jego przełożeni. No cóż, rzucać pracy nie chciał.

Tylko jeśli to przez jego pracę, to czemu nikt mu po prostu nie powie, że nie wolno mu opuszczać Warszawy? Przyjąłby to i porzucił marzenia. Na nich na pewno mniej mu zależało niż na pracy.

Powód musiał być jednak inny. Osobiste animozje? A może ktoś nie lubił jego firmy? Tym gorzej dla tego kogoś! Taki już miał charakter, że przeszkody tylko wzmacniały jego determinację. A czasu było coraz mniej.

To niesprawiedliwe, że padło akurat na niego! Kopnął zgniecioną puszkę i ruszył przed siebie. Odbijała się od trotuaru, aż znalazła się pod butem eleganckiej kobiety, która niosła kilka toreb z drogich butików.

But odjechał w bok, a elegantka zakłęła zupełnie nieelegancko i jeszcze bardziej nieelegancko wywróciła się, rozrzucając wokół luksusowe zakupy.

Lipniarz zatrzymał się, jak zresztą i kilka innych osób. W pierwszym odruchu chciał uciec. Nie zrobił tego, bo wówczas dla wszystkich stałoby się jasne, kto jest winien. Na razie nikt na niego nie patrzył.

Ale ktoś przecież musiał zauważyć, że to on kopnął puszkę. Jeśli pojawi się oskarżenie, zaprzeczy! Zaprzeczy i natychmiast odejdzie, udając oburzenie.

Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Ktoś przeszedł obok, przykucnął przy kobiecie i pomógł jej wstać. Ktoś inny podniósł jej torby. Lipniarz patrzył jeszcze, jak tamta otrzepuje spódnicę, poprawia włosy i odbiera torby.

Nie oglądając się, ruszył w stronę najbliższej stacji metra. Ci wszyscy ludzie wiedzieli, że to on był przyczyną. Na pewno wiedzieli! Nie mówili tego głośno, bo się bali. Czego? Nieważne! Czuł do nich jedynie nienawiść.

Gdy siedział już w wagonie jadącym na południe, cała ta sytuacja zaczęła go nawet bawić. Mina elegantki, gdy już nic nie mogło powstrzymać spotkania z chodnikiem, była naprawdę zabawna!

* * *

Skręcili w stronę niewykończonego wieżowca w kształcie kolby kukurydzy.

Stało ich tu kilkanaście, stanowiły odpowiedź władz pierścienia na wyż demograficzny. Odpowiedź, jak na razie, nieudaną.

Minęli otwartą bramę — stróż w prowizorycznej budce udawał, że ich nie widzi — i zabloconym przez ciężarówki zjazdem dostali się na parking podziemny.

— Dlaczego tu? — Eliza patrzyła niepewnie na monitory, które automatycznie przeszły na podczerwień.

— W niewykończonych budynkach nie ma jeszcze kamer.

Betonowe słupy przesuwają się wolno.

Nie było widać żadnego pojazdu. Zjechali na niższy poziom i dopiero tam dostrzegli majaczący między filarami zarys karoserii.

Kierowca zatrzymał się w bezpieczniej odległości. Kruszewski wysiadł. Przy końcu parkingu żarzyły się pomarańczowe światła pozycyjne drugiej limuzyny.

— Zostań — powiedział, widząc, że ochroniarz również zamierza wysiąść. — Jeśli coś się wydarzy, i tak nie pomożesz.

Pilnuj Elizy.

Ochroniarz skinął głową, zamknął swoje drzwi. Radny zaczerpnął powietrza i mszył w stronę, w którą wcale nie chciał iść. Eliza miała rację, nie powinien się kontaktować z takimi ludźmi. Ale bez nich nie miałyby szans na realizację swoich celów.

Miała też rację, że ich realizacja wygląda coraz mniej realnie. Nie zamierzał jednak rezygnować. Za dużo już w to włożył czasu i energii.

Pod podeszwami chrobotał drobny gruz. Budynek był na razie żelbetową wieżą bez żadnych instalacji. Gdyby nie pomarańczowe światła, czarna limuzyna byłaby niewidoczna nawet z kilku metrów.

Tylne drzwi otworzyły się z cichym sykiem, ukazując oświetlone miękkim światłem wnętrze. Wystarczająco jasne, by nie potknąć się o nic ani nie uderzyć w głowę. Dopiero teraz zauważył stojącego obok przysadzistego ochroniarza. Minął go i wsiadł do wypełnionego cygarowym dymem wnętrza. W bladym świetle bocznych lampek widział ostre rysy palacza.

Jego twarz skojarzyła mu się w jakiś sposób z wilkiem. Zachowanie zresztą też.

Radny stracił pewność siebie i było to przykre uczucie. Dlatego unikał osobistego kontaktu. Teraz jednak rozmowa była konieczna.

Wolf nie zamierzał się odzywać jako pierwszy. Ćmił cygaro.

— Wiesz, co się stało. — Kruszewski odezwał się pierwszy. — Została przekroczona kolejna granica upadku tego pierścienia.

Wolf powoli wydmuchnął dym i dopiero wtedy odpowiedział: — Ktoś chciał cię usunąć. To się zdarza. Nie byłeś przygotowany.

— Baba nie żyje, nawet nie da się jej przesłuchać.

— Zabił ją twój ochroniarz.

— To zbyt duży zbieg okoliczności.

Potrzebuję twojej pomocy.

— Już ci pomogłem. Mimo tego, co się wydarzyło. Jesteś na powierzchni.

— Zauważyłem. Ale nie odwdziczę się, jeśli nie wygram wyborów.

— Przeceniasz moje możliwości.

I moje chęci.

— To na pewno można odwrócić.

Wczoraj prowadziłem w sondażach.

— Swoje możliwości też przeceniasz.

Kruszewski odetchnął i nagle zachciało mu się palić. Odrzucił tę myśl.

— Więc nic nie zrobisz? — upewnił się.

Wolf patrzył na niego nieprzeniknionym wzrokiem.

— Przegrałeś — powiedział wreszcie.
— Jeszcze nie jest za późno. Mieliśmy umowę...
— Wywiązałem się z niej — masz PZ na poziomie grzecznego przedszkolaka. Ale te wybory już przegrałeś.

* * *

— Co to, kurwa, ma być?! — Wielicki zadawał to pytanie po raz kolejny.

Wykres poparcia dla niego z każdym odświeżeniem płynął w dół. Kruszewski, lider sprzed kilkudziesięciu godzin, już się nie liczył. Jego wykres spadł do trzynastu procent. Teraz zaczynał się wolno pięć w górę, ale zbyt wolno, by to mogło cokolwiek zmienić. Wielicki był na pierwszym miejscu, z półtorakrotną przewagą nad Zdonkiem, ale każda z zapuszczanych analiz pokazywała utratę prowadzenia najdalej za trzydzieści sześć godzin. Dlaczego? Dlaczego, kurwa?! Gdzie tu logika?

Siedział przy stole w małym pokoju narad, który się mieścił tuż za progiem jego gabinetu w Ratuszu. Oficjalnie nie wolno mu było wykorzystywać gabinetu do prowadzenia kampanii wyborczej. Idiotyczny i niewygodny przepis, no i kto niby miałby to sprawdzić? Dla świętego spokoju przechodził jednak do tego pokoju. Tym bardziej teraz, po wpadce z bombonierką i kwiatami w bagażniku wołał dmuchać na zimne.

Krzesa były tak niewygodne, jakby zaprojektowano je z myślą, by narady trwały jak najkrócej.

Do kolejnego odświeżenia sondaży zostały cztery minuty i dwadzieścia sekund.

— Ja pierdolę...

Był tu sam. Wstał i wyjrzał przez okno na nocny plac Bankowy i trzystumetrowy Błękitny Wieżowiec. Ruch o tej porze słabł, ale nie zamierał całkowicie.

— Jak oni przeprowadzają sondaże w nocy? — rzucił w przestrzeń. — Pytają pijanych imprezowiczów na Zbawiksie?

— To model matematyczny — odezwał się Sylwester, stając w drzwiach. — Aproksymuje.

— Czemu więc nie dadzą nam tych swoich aproksymacji na następny tydzień?

— Wielicki odwrócił się do niego gwałtownie. — Model to model. Za mało im płacimy?

— Model się zmienia. Nie ujawniają wyniku, dopóki nie mają pewności, że jest

poprawny. Obecny model nie prognozuje naszej reakcji. Wystarczy kilka prostych działań i wykres zacznie się piąć w górę.

Myślę, że nie ma się czym martwić. Usunęliśmy największego rywala. Zdonek nie powinien się liczyć.

Wielicki pokręcił głową.

— A co to, kurwa, tutaj jest? — Wskazał wykres, który wyraźnie załamywał się na kilka godzin, po czym wracał do poprzedniej wartości. — Wczoraj, środek nocy. Wszyscy śpią, a tu wahnięcie o ponad cztery procent.

— Tylko przez dwie i pół godziny.

— Kto przez sen dwa razy zmienia zdanie? To wygląda, jakby ktoś przesunął ten wykres palcem. — Prezydent wyprostował się. — Pytanie, czy ten palec przesuwają tylko wykresy, czy potrafi zmieniać i nastroje. Kto podłożył tę świnię Kruszewskiemu? Przecież nie my.

— No... nie my.

— To niepokojące, nie uważasz? A kto przekazał sztabowi Kruszewskiego nagrania o bombonierce? Kto to w ogóle nagrał?

— Nie mam pojęcia. — Sylwester wzruszył ramionami. — Bagażnik był otwarty najwyżej kilka sekund. Przypadek.

— Wiesz, co to jest prawdopodobieństwo? — Wielicki starał się nie podnosić głosu. — Jak działa? Kto przypadkiem akurat w tym czasie i w tym miejscu przeleciał dronem, żeby sfilmować otwarty bagażnik naszej limuzyny?

— Nie mam pojęcia. — Sylwester rozłożył ręce.

Wielicki odwrócił się do okna.

— To się, kurwa, dowiedz.

Jacek Lipniarz wszedł do domu w parszywym nastroju. Dziś był ten dzień.

Koniec tego dobrego.

Otworzył lodówkę. Pomarańczowa puszką z napisem YitEli czekała od dawna.

Wcale nie miał ochoty tego pić. Wewnątrz nie było alkoholu, tylko witaminy, ale i ten napój coś w nim zmieniał. Coś istotnego.

Nie od razu, stopniowo, przez kilka godzin.

Na początku nie było to przyjemne, bo część jego osobowości musiała odejść, usunąć się w cień. Ta część broniła się przed przymusowym snem. Potem do głosu dochodził

inny on, który cieszył się z kolejnego przebudzenia. Znał ten proces i pamiętał, że kończy go zadowolenie graniczące z euforią.

Ujął w dłoń chłodną puszkę. Cóż z tego, że nie chciał tego wypić?

Musiał.

* * *

Radny Janusz Zdonek wracał do domu ze świadomością dobrze wykonanej pracy.

Uśmiech zostawił przed Radą, teraz przyjął swój zwyczajny wyraz twarzy, który można by określić mianem nijakiego.

Willę na Żoliborzu Oficerskim kupił pięć lat temu z zamiarem generalnej przebudowy. Po Przemianie większość starych domów, a już szczególnie tych leżących na starych osiedlach, uzyskało status nietykalnych zabytków, choć *de facto* żadnymi zabytkami nie były. Uzyskanie pozwolenia na to, co chciał zrobić z tą willą, graniczyło z cudem. Zamierzał zamienić budynek w małą twierdzę. Urząd naturalnie odmówił. Zdonek był jednak uparty i potrafił wykorzystywać koneksje. Dopiął swego.

Niestety, gdy rozpoczął remont, z przykrością stwierdził, że dwupiętrowy ceglany budynek w obecnej postaci nigdy nie będzie twierdzą, gdyż sama jego struktura nie jest dość wytrzymała. Nie wahał się długo i zarządził kontrolowaną katastrofę budowlaną, po której willa nadawała się tylko do odbudowy od podstaw. Zamówił projekt identycznej bryły, ale z żelbetu, z osłonami radiacyjnymi w ścianach, z kilkoma instalacjami podnoszącymi bezpieczeństwo i mogącymi na dłuższy czas uniezależnić mieszkańców od mediów miejskich. Dodał automatyczne systemy gaśnicze, filtry w centralnie sterowanej wentylacji i układ hermetyzujący dom po wykryciu w otoczeniu skażenia. Liczne systemy ochronne, które zapewne nigdy nie zostaną użyte, kosztowały dwa razy więcej niż sam budynek.

To nic. Ważna była lokalizacja, która ze względu na swoją historię dawała prestiż. A prestiż, obok bezpieczeństwa, był tym, co Zdonek cenił najbardziej.

Kuta brama odsunęła się, by przepuścić limuzynę Warszawa M400. Wybór marki nie był przypadkowy — samochód nieco mniejszy i nieco mniej komfortowy, za to jednoznacznie kojarzący się z tym miastem.

Brama, jak również całe ogrodzenie, wyglądała całkiem normalnie, potrafiłaby jednak zatrzymać rozpędzoną ciężarówkę.

Kierowca zaczekał, aż brama się zamknie.

Dopiero wtedy otworzyły się wrota garażu i samochód mógł zjechać pod ziemię.

Radny miał dylemat, czy bezpieczniej jest wysiadać w garażu, gdy wrota już się zamkną, czy na podjeździe, by wejść do domu głównym wejściem. Żadne rozwiązanie nie było pozbawione wad, ale ostatecznie uznał, że mniej ryzykowne jest wysiadanie w garażu.

Ochroniarz otworzył drzwi przedziału pasażerskiego. Wcześniej, nim jeszcze minęli bramę, upewnił się, że w domu nie ma żadnego zagrożenia. Mimo to teraz ruszył przodem, by do hallu wejść jako pierwszy. Zerknął na centralkę systemu bezpieczeństwa i dopiero kiedy sprawdził, że wszystko jest w porządku, skinął głową na znak, że gospodarz może przekroczyć próg. Sam skierował się do małego pokoju obok wejścia głównego, skąd miał kontrolować sytuację w domu aż do końca swojej zmiany.

Wnętrze, utrzymane w jasnych kolorach, stanowiło mieszanek kilku stylów.

Metrowe wazy stojące przy wejściu do salonu były zdecydowanie rzymskie. Do tego perski dywan, krzesła w stylu Ludwika któregoś tam, białe lamperie i zielone tapety ze złotymi wzorami w liście. Mieszmasz.

Na radnego czekała już dziewczyna z upiętymi w koński ogon ciemnymi włosami. Dygnęła staroświecko. W dłoni trzymała kaptcie. Strój miał ją upodobnić do francuskiej pokojówki, a może japońskiej gimnazjalistki? Czasem wkładała krótszą o połowę spódniczkę, i ta wersja miała powiększony dekolt, który podkreślał wrywający się na wolność spory biust.

Gdy klęknęła, by rozwiązać mu buty, radny nawet nie zerknął w dół. Podał jej płaszcz i skórzaną teczkę. Nic w niej nie nosił, ale uważał, że dodaje mu powagi. No i mogła stanowić tarczę, gdyby komuś przyszło do głowy czymś w niego rzucić. Nigdy nic takiego się nie wydarzyło, ale Zdonek wolał być przygotowany na wszystko.

— Dziękuję, Anno. Co dziś na kolację?

— Rosół i pieczeń z jagnięcia w sosie miętowym oraz mus czekoladowy, proszę pana.

— Znakomicie.

Przez salon przeszedł do jadalni, po drodze wstępując do łazienki, by umyć ręce. Usiadł na szczycie stołu i położył dłonie na obrusie po obu stronach nakrycia.

Anna postawiła na środku stołu porcelanową wazę i ozdobną chochlą nalala rosół do

wrąbka talerza. Dokładnie tyle, ile lubił.

Napełniła również talerz pani domu po przeciwnej stronie stołu. Druga dziewczyna wniosła nakryty srebrną pokrywą półmisek.

Miała na imię Agata i wyglądała jak blond kopia pieiwszej. Przyniosły jeszcze sos, otwartą butelkę Bordeaux oraz deskę z serem i winogronami. Na koniec zapałką zapaliła dwie świece.

— Czy życzy pan sobie coś jeszcze?

— To wszystko, dziękuję.

Zaczekał, aż wyjdą i zamkną drzwi.

Dopiero wtedy położył komunikator za talerzem i zanurzył łyżkę w zupie. Podczas kolacji nikt nie miał prawa wejść do jadalni, póki gospodarz nie zadzwoni.

Holoprojektacja ruszyła od razu, gdy tylko komunikator uzgodnił z domem protokoły bezpieczeństwa. Wirtualne dokumenty uniosły się nad stołem. Zdonek gestami przewijał je, powiększał co bardziej interesujące fragmenty. Teraz przeczytał tylko skrócone, esencjonalne analizy swoich ekspertów. Rano zapozna się z ich rozszerzonymi wersjami. Wyglądało na to, że debatą zyskał kilkanaście procent. Łatwo poszło.

Aplikacja emulująca domniemane algorytmy g.A.I.a. aproksymowała jego PZ poniżej osiemdziesięciu pięciu, co jak na polityka było bardzo dobrym wynikiem.

Pomyślał, że warto to sprawdzić u dobrego nuzzlera, ale to już po wyborach, kiedy będzie więcej czasu. Brakowało aktualizacji softu po ostatnim przekonfigurowaniu g.A.I.a., ale nad tym biedzili się informatycy. Kilka dni minie, nim algorytmy odzyskają precyzję.

Zauważył, że rosół jego żony stoi nietknięty, a sztucce leżą tak, jak je położyły dziewczyny.

— Nie jesz, kochanie? — uniósł brwi, ale wobec braku reakcji wrócił do lektury.

— Wiesz przecież, że lubię czytać przy jedzeniu. Mój czas jest bardzo cenny. Oglądam wstępne sondáže i wygląda na to, że...

— Spojrzał na żonę przez unoszącą się w powietrzu niematerialną stertę dokumentów. Milczała, patrząc nieprzeniknionym wzrokiem. Westchnął i gestem wyłączył projekcję. — Wiem, że mało czasu spędzamy razem, chyba tylko podczas kolacji.

No i przy śniadaniu. Taką mam pracę, dzięki niej możemy tu mieszkać, możemy na

co dzień jeść to, na co inni nie mogą sobie pozwolić nawet od święta.

Odstawił pusty w połowie talerz, wstał i uniósł pokrywę półmiska. Pod sufit uniosła się para pachnąca miętą i mięsem. Sięgnął po talerz żony i nałożył sporą porcję.

Polał sosem i zatrzymał rękę z sosjerką, zamiast odstawić.

— Nalać ci więcej sosu? Dziś jest miętowy. — Znów nie otrzymał odpowiedzi.

Na wszelki wypadek dolał jeszcze trochę.

— Jesteś zła? Oglądałaś debatę? Pewnie nie spodobała ci się ta historia z zamachem i z tym dzieckiem... Potworność, potworność. — Pokręcił głową i nałożył sobie ziemniaki. Uśmiechnął się ledwo zauważalnie. — Oceniam jednak wieczór jako udany. Przekonałem bogaczy, że Kruszewski chce trwonić ich pieniądze na projekty, na których nikt nie zarobi, przekonałem biedotę, że Wielicki dba tylko o własny tyłek oraz tyłki swoich kolegów.

Spojrzał na żonę, zatroskany.

— Nie uczesały cię, jak należy, małe leniwe siksy — rzucił. — Przypomnę im potem o ich obowiązkach... Jak się nie przyłożą lepiej, wywalę. Wywalę na pysk!

Podkreślił to kategorycznym gestem.

Dolał wina do kieliszków i zabrał się do jedzenia. Odkrawał kawałek mięsa, nabierał porcję ziemniaków i wkładał do ust.

Gryzł, żuł, przelykał. Sięgał po więcej.

Odsunął talerz, zjadłszy ledwie połowę.

Jedzenia było za dużo, a on nigdy nie zjadał więcej niż połowę. Ta obfitość oznaczała, że głód mu nie grozi, że stać go na takie marnotrawstwo. Domyślał się, że resztki zjadają Anna i Agata, może nawet dzielą się z ochroniarzami. Nie przeszkadzało mu to, ta myśl była wręcz przyjemna. Na koniec odkroił plasterk sera, zjadł go razem z jednym winogronem i popił niewielkim łykiem wina.

Potrząsnął małym srebrnym dzwoneczkiem. Po chwili drzwi kuchenne otworzyły się i obie dziewczyny weszły do jadalni.

Anna postawiła na stole wysoką szklanę soku pomarańczowego.

— Czy smakowała panu kolacja?

— zapytała.

— Była wyśmienita. — Zdonek wstał i otarł usta serwetą.

— Życzy pan sobie coś jeszcze?

— Dziękuję, już nie będę was potrzebował.

— Dobranoc.

Opuścił jadalnię ze szklanką soku w dłoni. Parter willi przypominał zły sen architekta wnętrz. Z trzech projektów Zdonek wybrał losowe elementy i wyszło z tego, co wyszło. Nie zdawał sobie z tego sprawy. Zmysł estetyczny był mu obcy, a żaden z gości nie napomknął o bezguście wystroju ani słowem.

W willi nie było gabinetu. Gospodarz nie lubił pracować w domu, uważał bowiem, że dom winien służyć czemu innemu i kojarzyć się z bezpieczeństwem, odpoczynkiem i regeneracją. Odpoczywał w niewielkiej bibliotece usytuowanej od strony ogrodu. Od podłogi po sufit, wszędzie stały książki, posegregowane według wysokości, by nie marnować miejsca na eleganckich półkach z dębowego drewna, z których każda kosztowała tyle, co mały samochód. Na wprost drzwi, za odsłoniętymi kotarami znajdowało się okno, którego światło zmniejszały nieznacznie prowadnice od pancernych rolet. Za kuloodpornym szkłem widać było trawnik oświetlony niskimi latarenkami i kilkumetrowe tuje przesłaniające betonowe ogrodzenie.

Na lewo od drzwi w regał wkomponowano ekran do starych filmów 2D, a z prawej strony stały fotel, stolik i lampka.

Klasyka jest ważna. Zdonek po kolacji zawsze poświęcał godzinę na czytanie papierowej książki lub oglądanie filmu sprzed Przemiany. Chodziły słuchy, że ma to zostać zakazane. Czasem przeglądał stare albumy. Przy pomocy dobrego antykwariusza zebrał pokaźną, choć przypadkową kolekcję, dobraną raczej według rozmiaru i koloru grzbietów niż treści. Stare księgi i obrazy znikają z rynku w szybkim tempie, prawdopodobnie lądując w takich miejscach, jak to. Kosztowne hobby.

Tego dnia przeczytał kilkanaście stron powieści Larry'ego Nivena. Gdy zegar wskazał wpół do dziesiątej, przerwał lekturę w połowie akapitu i odłożył książkę na stolik. Po wyłożonych miękką wykładziną schodach wszedł na piętro i stanął przed drzwiami na końcu krótkiego korytarzyka.

Na staromodnej klawiaturze wprowadził sześciocyfrowy kod i zaczął czekać, aż skaner ID sprawdzi jego tożsamość. Wszedł i starannie zaniknął za sobą zamek. Znajdowały się tu tylko trzy pomieszczenia: łazienka, garderoba i sypialnia. Rozebrał się, wziął prysznic, umył zęby i w piżamie przeszedł do różowej sypialni pełnej pluszaków. Różnej wielkości i koloru misie leżały pod ścianami, na krześle, a nawet w nogach wielkiego, stojącego na

środku łóżka. Wsunął się pod kołdrę, starając się ich nie strącić.

Każdy miał swoje, idealnie dobrane miejsce. Położył się na wznak z kołdrą podciągniętą pod szyję i rękami założonymi na piersi. Zamknął oczy w oczekiwaniu na nadejście snu.

Mógł sobie pogratulować — wykupienie przez pośredników pakietu większościowego Warty było znakomitym posunięciem.

Komunikator Rozsmudy piknął, oznajmiając nadejście WT. Profesor zeszywniał i wolno przysunął do siebie urządzenie.

Przeczytał i zamknął oczy. Drżącą dłonią zdjął okulary. Taliński nie widział tego, zajęty perorowaniem: — Naprawdę nie rozumiesz, że źle szkolony pies obronny czasem może się zwrócić przeciw swemu panu? Ileż przewrotów w historii ludzkości zostało dokonanych przez wojsko, stworzone przecież do obrony legalnej władzy i społeczeństwa.

Winien był zwykle brak cywilnego nadzoru nad armią. Słuchasz mnie, pryku, czy gadam sam do siebie? — Taliński dopiero teraz zauważył, że jego rozmówca z zaciśniętymi ustami wpatruje się w ekran. — Antoni, co się stało?

— Nic. Taki mały głos w dyskusji Jednostka kontra społeczeństwo”.

Taliński nie drażył tematu. Stary drań prędzej czy później i tak mu o tym opowie.

Pół roku wspólnej celi zbliża i trudno utrzymać jakąkolwiek tajemnicę. Zresztą on sam właśnie zamierzał zdradzić tę największą.

— Chciałem ci powiedzieć coś ważnego, ale wyglądasz, jakby coś się stało.

— Nic się nie stało — zaczął bardzo cicho profesor — ale obawiam się, że zaraz się stanie.

— Co? Wiesz, skurczybyku, coś, o czym ja nie wiem?

— Wiemy to obaj. Różnica polega na tym, że ty, idioto, w to nie wierzysz.

Taliński zaśmiał się.

— Przekonaj mnie, mądralo.

Profesor wstał, wolnym, mechanicznym krokiem podszedł do Talińskiego i spojrzał mu smutno w oczy.

— Naprawdę bardzo mi przykro — powiedział.

I wbił mu nóż w serce.

Ciemność kosmosu zakłócały tylko zimne punkciki odległych pieców nuklearnych. Okno zajmowało całą ścianę. Przyciemnione lampy z ciemnobrązowymi aba żurami nastrojowo oswajały mrok. Adam próbował odszukać wzrokiem jakikolwiek wyróżniający się obiekt wśród wolno obracających się gwiazd, ale widział tylko podwójne odbicie swojej łysej czaszki i szerokich barków w grafitowej marynarce. Gdzieś tam obracał się Pierścień Gdańsk, ale światło odbite od ścian gigantycznego cylindra było słabsze nawet od światła gwiazd. Od Bariery dzieliło go pół metra.

— Dobre miejsce do rozmyślań — powiedział cicho. — Czujesz tę lekkość, Piotrze?

— Osiemdziesiąte piętro — odezwał się mężczyzna siedzący w fotelu przy jednej z lamp. — Ciężenie słabsze zaledwie o trzy procent. Wydaje ci się.

— Nasz świat jest zbudowany ze złudzeń.

Piotr westchnął. Nigdy nie potrafił się odnieść do spostrzeżeń Adama.

Ciszę zakłócał tylko chomik buszujący po klatce, która stała na stoliku. Piotr przyglądał mu się przez chwilę, po czym zerknął na zegarek — niepraktyczny element męskiej biżuterii, odliczający czas dzięki sprężynie i systemowi przekładni.

— Spóźnia się dwie minuty — zauważył Adam. Podszedł do okna. Był szczupły, wręcz chudy. Palcami zaczesał w tył czarne włosy. — Pewnie korek. Transport zbiorowy zamarzał nam w fazie larwalnej.

— Cóż, zdecydowaliśmy się na opcję minimum. Chcieliśmy przecież, aby po Przemianie jak najwięcej rzeczy pozostało takimi samymi jak wcześniej.

— Z korkami się udało. Toronto w ogóle zrezygnowało z komunikacji indywidualnej. Z pewnością żyje im się lepiej.

— Postąpił krok do przodu i spojrzał na czubki swoich butów od Kielmana. Dziesięć centymetrów wykładziny dzieliło go od Bariery i czerni kosmosu. — Inni płacą, żeby tego nie oglądać. Zawsze, kiedy tu stoję, mam wrażenie, że wypadnę.

Okno tak naprawdę nie było oknem — budynek przylegał do Bariery, która stanowiła

jednocześnie jedną ścianę pokoju.

— Gdybyś wypadł, toby znaczyło, że Bariera się rozprysła. A wtedy to, czy wypadłeś, nie miałyby znaczenia.

— Adam odwrócił się do drzwi. — Jest.

Lampy rozjaśniły się nieznacznie, reagując na niezauważalne polecenie wła ściciela. Z półmroku wyłonił się urządzone tradycyjnie choć skromnie gabinet, ze ścianami wyłożonymi panelami z ciemnego drewna.

Wszedł Sylwester, sekretarz Wielickiego, i uścisnął dłonie obu mężczyzn.

Pocił się, mimo działającej klimatyzacji.

— Co właściwie...? — zamilkł, gdy Adam przyłożył palec do ust i wskazał otwarte blaszane pudełko, w którym leżały dwa komunikatory. Niechętnie dołożył tam swój i zamknął pokrywę. — Mamy sytuację kryzysową. Wyciekło zdjęcie z czyjegoś drona. Sprawdziłem nagrania z naszych kamer. I tam nie było żadnego drona, tylko paru przechodniów. Nawet nie robili zdjęć.

— To nie ma teraz znaczenia — zapewnił go Adam.

— Dla ciebie może nie. — Sylwester pokręcił głową. — Chciałeś się ze mną natychmiast widzieć. Przełożyłem spotkanie. Ważne spotkanie.

Gospodarz gestem zaprosił go na środek gabinetu, nie na skórzane fotele.

— Bo musimy porozmawiać — wyjaśnił — a żadna forma przekazu elektronicznego nie jest bezpieczna. Tym bardziej dziś.

— Skąd w ogóle ta twoja pewność, że uda nam się zachować tajemnicę?

— Nigdy nie mówiłem, że się uda.

— Adam pilotem uruchomił duży ekran naklejony na ścianę. Fizyczne ekrany utrudniały przechwycenie transmisji.

— Nasze działania, mimo starań, nie są tajemnicą. Nadzieja w tym, że tajemnicą pozostanie nasza tożsamość.

— Mówiłem już, że mamy kłopoty?

Muszę ustalić tożsamość tego, kto nam sabotuje kampanię.

— Nie, nie musisz. — Adam wskazał ekran.

Obraz był monochromatyczny i lekko drżał. Na cętkowanej gwiazdami czerni wisiało jaśniejsze koło. W zwolnionym tempie kotłowały się w nim jasnoszare i białe kłęby dymu. Jakby ktoś potrząsnął bożonarodzeniową kulą ze sztucznym śniegiem. Gospodarz

milczał, gwiaździste tło wolno wirowało, a dym przelewał się leniwie. Goście próbowali zrozumieć, co widzą. Najbliższe skojarzenia to widziana z góry filiżanka kawy, do której właśnie wlano mleko.

Sylwester pierwszy dał za wygraną: — Co to, kurwa, jest?

— Pierścień Monachium — odpowiedział po prostu Adam. — Transmisja na żywo. W podczerwieni na kamerach zewnętrznych Pierścienia Gdańsk. Ponad czterysta stopni Celsjusza.

Minęła dłuższa chwila, nim zrozumieli sens tych słów.

— Co tam się stało? — zapytał zduszonym głosem Piotr.

— Nie wiadomo. Wszystko wydarzyło się godzinę temu. Jeżeli ktoś tam jeszcze żyje, to tylko w przestrzeniach technicznych pierścienia, a i to zapewne już niedługo.

Piotr spojrział na niego, potem znów na ekran.

— My tu o pierdach, a tam... — Cofnął się i zacisnął dłonie na krawędzi blatu biurka.

— Nie czas na żałobę — odparł tym samym tonem Adam.

— I mówisz o tym tak... spokojnie?

— Sylwester wskazał ekran. — Przecież...

— Nie wiemy, co tam się stało, ale koincydencja nie może być przypadkowa.

To odpowiedź i zarazem ostrzeżenie.

— Odpowiedź na co? Na Sprawę?

— Sylwester pokręcił gwałtownie głową.

— Nie żartuj.

— Gramy z bardzo inteligentnym przeciwnikiem, który widzi kilka ruchów do przodu.

— Nie, w to nie uwierzę. Personifikujesz automatyzm algorytmów.

— Nie pamiętasz historii tego miejsca?

— Adam wskazał palcem w dół, ku ziemi.

— Za każdego zabitego Niemca odda życie stu Polaków. Teraz narodowość nie ma znaczenia, Związek Miast Polskich istnieje tylko w teorii, o Orle Białym nikt już nie pamięta. Liczy się tylko twój pierścieńmiasto. Ale zasada pozostaje ta sama — odwet ma być nieporównanie potężniejszy, by kolejnego ataku już nie było.

— Więc czemu Monachium? Czemu nie my?

— Zamordowanie szalonego proroka to sposób na zrobienie z niego męczennika.

Najwięcej wyznawców zyskuje się pośmiertnie. A Monachium pokazuje, co się stanie, jeśli się będziemy stawiać.

I wszyscy tę świadomość uzyskają.

— Ale czemu Monachium? — powtórzył Sylwester. — Przecież Warszawa jest niemal synonimem mchu oporu przeciw wszystkiemu, czy to ma sens, czy nie. Prometeusz zaczął się u nas. Te wszystkie demonstracje też zaczęły się tu.

— W Monachium była nieformalna centrala i ośrodek obliczeniowy. No i to głosowanie w parlamencie.

— I przy okazji wyparowało półtora miliona ludzi — dodał Piotr. — Ludzi, którzy nie mieli o niczym pojęcia.

Adam zignorował tę uwagę. W stronę Sylwestra powiedział: — Nowe czasy wymagają nowych liderów. Do tej pory nie mieszałyśmy się do polityki, teraz to się zmieni. Wielicki musi przegrać...

Sekretarz prezydenta spojrział na niego z przerażeniem.

— Przecież... — wyszeptał — mamy układ...

— ... a ty mu w tym pomożesz — dokończył spokojnie Adam.

— Nie mogę!

— Na wypadek, gdybyś jeszcze nie zrozumiał. — Adam podszedł krok bliżej i uprzejmym gestem wskazał ekran.

— Nasz świat właśnie się zmienił. I to bardzo.

Musiał wyjść do ludzi, z kimś porozmawiać, może kogoś poznać. Narzucił dobrą marynarkę, zjechał windą na poziom zero i zamówił autaxa. Nad wyborem knajpy pomyśli po drodze. Śródmieście, Mokotów, a może Żoliborz?

Mały, żółty pojazd zjechał do krawężnika w momencie, gdy wychodził z mieszkaniowca. Wskoczył na fotel i spojrział na panel, wyświetlający prośbę o podanie destynacji. A może Praga? Kopia zapytania wyświetliła się na jego komunikatorze.

Mógł wybrać losową knajpę o zadanych parametrach. Nie miał wygórowanych wymagań — wystarczą alkohol i jacyś ludzie.

Zatrzymał się z palcem tuż przed ekranem. A może by tak...? To nic nie kosztuje. Nie wierzył, że coś osiągnie, ale i tak wpisał „Świętego Marcina, Kraków”.

W odpowiedzi zobaczył pulsujący na czerwono błąd. Westchnął i usunął słowo „Kraków”. Mała szansa, zerowa wręcz, że to coś zmieni.

Zielona animacja potwierdziła przyjęcie destynacji. Autax mszył i płynnie włączył się w ruch.

Lipniarz nie mszał się, żeby czegoś nie zepsuć. Delikatnie, dwoma palcami włożył komunikator do kieszeni i wolno opadł na oparcie. Teraz wystarczyło czekać.

W Warszawie nie ma ulicy Świętego Marcina, tego był pewien. Jak i tego, że taka ulica jest w Krakowie. Zatem autax nie dowiezie go tam, lecz do terminalu międzypierścieniowego, skąd uda się w dalszą drogę.

* * *

— Rozluźniony...? — Pocałowała go jeszcze raz i poprawiła mu krawat.

Nie, nie był rozluźniony. Teraz nie mógł go rozluźnić nawet seks na tylnej kanapie limuzyny.

— Byłaś cudowna. — Uchylił przyciemnianą szybę, za którą było jeszcze ciemniej.

Stojący piętnaście metrów dalej ochroniarz rzucił papierosa, przebiegł przez mokry od deszczu parking i bez słowa wszedł za kierownicę.

Kruszewski nacisnął przycisk interkomu.

— Zawieź nas do baru. Może być obskurny, byle był dyskretny.

— *Znam jeden dwie minuty stąd* — dobiegło z interkomu. — *Jest obskurny, gwarantuję.*

Samochód ruszył.

Eliza wyrównała jeszcze spódniczkę, skończyła zapinać garsonkę i usadowiła się na swoim miejscu. Obserwowała profil szefa. Kruszewski pograżył się w swoich myślach. Nie patrzył na nią, nie odzywał się. Nawet nie zerkał na komunikator.

Uznała, że na razie lepiej milczeć.

Gdy Tatra zatrzymała się, Kruszewski otworzył drzwi i wysiadł, nie czekając na ochroniarza. Eliza wysiadła za nim. Limuzyna stała pod daszkiem magazynu, deszcz padał tylko na bagażnik. Rzędy zimnych jarzeniówek ciągnęły się wzdłuż zadaszanej rampy. Sto metrów dalej jaśniejsze latarnie oświetlały przejeżdżające wózki widłowe i kręcących się robotników w pomarańczowych kaskach. Budynki magazynowe z ciemnej cegły miały kilka pięter wysokości i wyglądały na nigdy nieremontowane. Nad nimi majaczyły prostokąty okien wieżowców Woli. Obracające się trzysta metrów nad ziemią logo FSO omiatało niebo snopami światła jak latarnia morska.

Ochroniarz obszedł samochód i rozejrzał się czujnie.

— Całodobowy. — Wskazał blaszane drzwi z migającym nad nimi neonem „Bar”.
— Dla robotników.

— Masz papierosa? — zapytał Kruszewski.

Ochroniarz wyjął z kieszeni paczkę i podał mu jednego. Przypalił. Radny zaciągnął się głęboko.

— Ty palisz? — zdziwiła się Eliza.

— Nie. — Zakaszłał i wydmuchnął dym. — Zaczekaj tutaj. — Oddał papierosa ochroniarzowi i dotknął asystentkę w talii, by za nim szła.

Bar rzeczywiście był obskurny. Światło kilku zimnych jarzeniówek wystarczało, by dostrzec, gdzie są stoły, ale już nie tak, by ocenić, czy są czyste. Zapewne dlatego, że nie były. Za ladą i gablotami z napojami nie było nikogo, jak i w całym barze. Ekran pod sufitem wyświetlał clip muzyczny, ale dźwięk był wyciszony.

Przez okienko kuchenne dobiegał dźwięk rozklekotanego wentylatora. I tak śmierdziało przepalonym tłuszczem i papierosami. Ekran wyświetlał menu zawierające zaledwie kilka pozycji, wypisanych losowo wybranym fontem.

— Pochorujemy się — szepnęła Eliza.

Zamykające się za nimi drzwi poruszyły dzwonek. W kuchni zaszurało odsuwane krzesło i za ladą pojawił się niski facet w poplamionym fartuchu. Na widok nietypowych gości zamarł w pół kroku.

— Mam wszystkie pozwolenia — zastrzegł szybko.

— My nie... — zaczęła Eliza.

— Dwa razy bigos z Chlebem i oran żada — przerwał jej Kruszewski.

— To pan... — zauważył dopiero barman.

— Dostaniemy ten bigos?

Mężczyzna otrząsnął się z wrażenia i przytaknął energicznie. Odwrócił się i szybko zniknął w kuchni.

Kruszewski wyjął z kieszeni komunikator i korzystając z otwartego dostępu, pogłośnił muzykę.

Usiedli przy krótkim stole w najdalszym kącie. Przez małe okno nad ich głowami dobiegały odgłosy pracujących silników i przesuwanych ciężkich przedmiotów.

— Powiesz mi, co my tu robimy? — zapytała cicho Eliza.

— Tu nas nikt nie podsłucha.

— Limuzyna jest bezpieczna.

— Coraz mniej w to wierzę. — Nerwowo potarł brodę. — Nie wiem, komu mogę ufać. On powiedział, że mam się wycofać.

— On? Tamten...?

Skinął głową. Eliza położyła rękę na jego dłoni.

— Nie wiem, kim on jest — powiedziała. — Nie powinieneś się kontaktować z takimi ludźmi.

— Finansuje większą część naszej kampanii.

— Nielegalne finansowanie?

— Jasne, że nielegalne! — krzyknął niemal, aż drgnęła. — Żadna skuteczna kampania nie jest legalna. Pytałaś o cenę.

Oto właśnie ona — każdy musi się ubrudzić. Nie mówiłem ci, żeby cię nie narażać. Dzięki tym pieniądzom znalazłem się na szczycie rankingów. To nielogiczne, niezrozumiałe, że teraz każe mi się wycofać, zamiast za wszelką cenę odrabiać punkty procentowe.

— A to jest bezpieczne? — Eliza wskazała komunikator. — Już mówiłam, że moim zdaniem powinniśmy przeczekać cztery lata.

— A ja mówiłem, że już przeczekałem cztery lata. — Wyjął komunikator i wyświetlił aktualne rankingi. Osiemna ście procent, a od godziny wykres wolno piał się w górę. — Ludzie mają krótką pamięć. Teraz jest dobry moment na naprawianie świata. Wiesz, co się dzieje w Monachium. Rośnie masa krytyczna, która może doprowadzić do pokojowej, bezkrwawej rewolucji. Do obalenia tego chorego systemu hiperprewencji. U nas to nie wyjdzie tak szybko, ale warto choćby ciągnąć w tę stronę.

— Straciliśmy ponad połowę poparcia.

Ludzie zapomną o sprawie z dziewczynką, jeśli znikniesz na jakiś czas. I Wielecki, i Zdonek oprą swoją kampanię na wywlekaniu tej sprawy przy każdej możliwej okazji. Nie pozwolą ludziom zapomnieć.

Dowody lub ich brak, to nieistotne.

Barman podszedł do nich z miną, jakby ktoś kazał mu nakarmić drapieżne zwierzęta. Postawił na blacie tacę z dwoma miskami z bigosem, koszykiem z Chlebem i dwoma butelkami oranżady.

— Co pan sądzi o tej sprawie?

— zapytał Kraszewski.

— O jakiej...?

— O TEJ sprawie!

— Sądzę... — Barman przełknął ślinę.

— Sądzę, że chcieli pana zrobić.

— A co mówią robotnicy?

Barman wzruszył ramionami.

— Oni? W dupie mają politykę — rzucił i czym prędzej odszedł.

Kruszewski odczekał, aż tamten zniknie za ladą, i kontynuował: — Potrzebujemy nowej strategii.

Może...? — Wbił plastikową łyżkę w bigos. — Może powinienem się pochylić nad problemami ludzi, którzy nie interesują się polityką.

— Jeśli się nie interesują, są dla nas bezużyteczni. — Asystentka patrzyła z niechęcią na swoją miskę. — W kilka dni ich nie zainteresujemy.

— Coś wymyślimy. — Wyjął z kieszeni srebrne pudełeczko, wysypał na dłoń dwie tabletki Niesnu i podsunął Elizie.

— Umów na rano spotkanie z agencją.

Najwcześniej jak się da.

Przytrzymała mu dłoń i pokręciła głową.

— Prześpijmy się parę godzin — poprosiła. — Jutro zaczniemy o ósmej.

— Prześpijmy się po wygranych wyborach.

— To nieprawda, co piszą w reklamach. Brak snu otępia. Proszę, chociaż kilka godzin.

Zawahał się i wrzucił tabletki do pudełka. Zabrał się do jedzenia.

— Wystygnie — rzucił z pełnymi ustami.

Nabrała łyżkę bigosu i powąchała.

Spróbowała ostrożnie.

— Tylko dlatego, że jestem głodna.

— Przełknęła i nabrała następną porcję.

— A czy ten... ktoś? Czy jeśli się wycofasz, da ci spokój?

— Złe myślenie — odparł między kęsami. — Jeśli wygram, nie będę się musiał nim

przejmować.

— Będziesz musiał spłacić zobowiązania.

— Na moich zasadach.

Zjadł pierwszy i w milczeniu przyglądał się Elizie. Wolno i z lekkim obrzydzeniem przełykała kwaśne kęsy. Kruszewski najchętniej pojechałby do jej kawalerki na granicy Józefowa i Białołęki, żeby przespać się z nią w tym ciasnym łóżku. Nie musiał się nikomu tłumaczyć, ale teraz pozory były najważniejsze. Jeśli chce odzyskać pozycję, nie może popełnić najmniejszego błędu. Musi być krystalicznie czysty. Za wieczorną przyjemność musi wystarczyć Jack Daniels z kompilatora.

Przełał więcej pieniędzy, niż się należało. Wyszli.

Sunęli przez nocną Warszawę. Czul senność i po raz pierwszy od kilku dni zamierzał jej się poddać. Tylko na kilka godzin.

Ochroniarz zatrzymał się przed kamienicą Elizy, wysiadł, obszedł samochód i otworzył jej drzwi.

Pocałowała na pożegnanie Kruszewskiego i oparła już nogę na chodniku.

— Nie mogę wejść na górę, rozumiesz to, prawda? Ale... — chwycił ją za nadgarstek — ale muszę wiedzieć, czy jesteś ze mną.

W jej spojrzeniu mignęła niepewność.

Szybko ukryła ją za uśmiechem.

— Jestem, oczywiście. — Nachyliła się i pocałowała go jeszcze raz. — Zawsze byłam.

Ochroniarz zamknął drzwi i wrócił za kierownicę.

Stała przed drzwiami, czekając, aż czerwone światła Tatry znikną za zakrętem.

Uśmiech zamarł.

Wyjęła komunikator i wpisała: „On nie zrezygnuje”.

* * *

Autax wiozł go przez Mokotów, potem przez Śródmieście, skręcił w Senatorską i zwolnił do tempa pełzającego w pasażu obok Teatru Wielkiego. Ekran wciąż wyświetlał destynację „Świętego Marcina”. Lipniarz czuł przyjemne podniecenie, mrowienie ogarniające całe ciało.

Może to wizja międzypierścieniowej podróży, a może zaczynał działać VitEli?

Nie zabrał żadnych bagaży. Planował krótką wycieczkę, a jeśli będzie czegoś potrzebował, po prostu to kupi na miejscu.

Tam chyba będzie działać jego konto? Na pewno.

Autax zatrzymał się na Piwnej i wyświetlił informację o dotarciu do celu.

Drzwi otworzyły się, wpuszczając do środka chłodne, nocne powietrze. To już?

Wysiadł i rozejrzył się. Co dalej? Gdzieś tu pewnie jest jakaś stacja, jakiś terminal, skąd odlatują promy międzypierścieniowe.

Czy terminal może być na Starym Mieście? W sumie, czemu nie? Promy na pewno startują z najniższych, zewnętrznych poziomów pierścienia, zatem wejście może być gdziekolwiek. Do właściwego terminalu i tak trzeba się dostać windą.

Obok wolno przejechał dostawczy Żuk z logo Wedla na burcie. Rozbawieni ludzie, pary lub większe grupki, tłum przepychał się w obie strony wąskiej uliczki.

Szykowali się na wieczorne zabawy.

Kluby i restauracje wabiły reklamami, było w czym wybierać. Niestety, żaden neon, żaden hologram w zasięgu wzroku nie zapraszał do skorzystania z terminalu międzypierścieniowego.

Lipniarz odwrócił się. Stał przed ozdobnymi metalowymi drzwiami, które na pewno nie prowadziły do terminalu.

Chwilę zajęło, nim zrozumiał. Przygarbił się i szybko odszedł. Miał irracjonalne wrażenie, że wszyscy wokoło wiedzą, jak się wygłupił, że wszyscy się podśmiewają i po cichu komentują.

To było wejście do kościoła Świętego Marcina.

* * *

— Kto jeszcze wie? — Wielicki siedział za wielkim prezydenckim biurkiem, błąd jak ściana.

— Kilka osób — odpowiedział stojący z boku Sylwester. — I technicy od transmisji. Służby też, to pewne.

Na naklejonym na ścianę ekranie odtwarzało się zapętłone nagranie z Pierścienia Monachium. Krótki błysk i wypełniające ekran zakłócenia. Później obraz przypominający filmowaną z góry, w zwolnionym tempie, filiżankę kawy, do której ktoś wlał mleko.

— Sygnatura emisji promieniowania przypomina wybuch nuklearny — odezwał się sekretarz.

— Skąd to wiemy? Jest środek nocy.

— Obudziliśmy Gabrycha. To profesor politechniki.

— Czyli on też wie. — Wielicki potarł usta. — Za godzinę będzie to wiedziała jego kochanka, rano jej chłopak, a przed południem jego kumple.

— Pomyślałem, że powinniśmy poznać przyczyny. — Sylwester wytarł czoło chusteczką. — Jeśli to coś wydarzyło się tam, warto sprawdzić, czy — — Jak to wygląda teraz?

Sylwester wyjął komunikator i chwilę wodził palcem po ekranie. Obraz na ścianie drgnął i wewnątrz pierścienia zmieniło się w niemal czarne. Widać było minimalne ruchy, jaśniejsze smugi.

— Wyłącz to! — Wielicki wstał i wbił wzrok w biurko.

Ekran zgasł.

Pierścienie, obserwowane z zewnątrz, wyglądały jak czarne koła otoczone cienką złotą obwódką. Bariera nie przepuszczała promieniowania z wewnątrz, więc nawet najlepszy teleskop nie pozwalał obserwować, co się dzieje w sąsiednim pierścieniu.

Monachium ostatnich godzin to był wyjątek.

— Mamy ocenę wpływu tego zdarzenia?

— Błysk promieniowania był krótkotrwały i raczej nie wyrządził — — Pytam o sondaż, idioto — przerwał mu Wielicki. — Ujawniać wybuch, czy zataić? Kogo wskazać jako winnego?

— Tam zginęło półtora miliona ludzi — zauważył cicho Sylwester.

— Znałeś kogoś?

— Nie. — Spojrzał na szefa i przetaił czoło chusteczką. — Za mało czasu, żeby przeprowadzić analizę skutków... sonda żowych. Agencje ratingowe oczywiście nie mają dostępu do danych, więc...

— Więc daj komuś dostęp. Niecił ktoś zaufany zapuści symulację. Do tego czasu pełna blokada informacyjna.

— Łączą publiczne przestały działać po wybuchu, ale lada chwila zostanie przywrócona sprawność. Ludzie i tak się dowiedzą.

Wielicki myślał ledwie chwilę.

— Wyłączamy je — zdecydował.

— To da nam czas do namysłu.

* * *

Wszedł do pieiwszej z brzegu knajpy, usiadł przy barze i wskazał odpowiednią butelkę na regale. Skończyło się tak jak zawsze. Czemu wciąż miał nadzieję, że kiedykolwiek skończy się inaczej?

Gdy wlał w siebie pierwszą szklanę szkockiej z lodem, pomysł z wyprawą do Krakowa wydał mu się głupi, wręcz dziecinnie naiwny. Cóż takiego jest w Krakowie, czego nie ma tutaj? Wydałby tylko kupę kasy, a przecież równie dobrze można się napić na krakowskim Kazimierzu, co na warszawskiej Starówce.

Decyzję o odwiedzinach najbliższego baru podjęła odchodząca w niebyt część jego osobowości. Chciała się po raz ostatni zabawić, osłodzić ból zasypiania. Że to się nie uda, zrozumiała już ta druga jego część, powoli budząca się na fali wznoszącej alko zmieszanego ze składnikami aktywnymi YitEli. Przyjemne, choć nierozsądne. Ta druga miała tendencję do zachowań nieprzemyślanych i impulsywnych. Dopiero przypominała sobie, jak działa to ciało. Ale alko jest alko, nie można przerwać tak mile rozpoczętego wieczoru.

Gdy zamawiał drugą szklanę, już bez lodu, rozejrzał się. Bar był pustawy, a podniszczone meble czyniły go lekko obskurnym. Nigdzie się jednak nie będzie przenosić, jeszcze jest wczesnie, jeszcze przyjdą i zasłonią te żałosne odklejające się tapety i odrapaną boazerię.

Gdy zamawiał trzecią szklanę, prawie już nie było wolnych miejsc, a obok przy barze siedziały dwie dziewczyny.

Gdy zamawiał czwartą kolejną, trzy szkockie, jedna dla niego, dwie dla dziewczyn, nie pamiętał o żadnym Krakowie.

III

Leżał, wpatrując się w sufit. Poranek jak poprzedni, jak każdy inny. Nie liczył ich, dryfował przez czas. Nawet nie próbował pić. Nie był chyba tak trzeźwy, odkąd skończył podstawówkę. W dłoniach obracał papierośnicę. Przysunął ją do oczu i przeczytał, po raz setny chyba, wygrawerowaną dedykację: „Dla Pawła, miłości mojego ży/cia”. Kilka lat wcześniej dostał ją od Renaty, gdy uznała, że nie odwiedzie go od palenia. Nie lubił takich męskich gadżetów.

Papierośnicy używał tylko dlatego, że papierosy w niej nie gięły się ani nie zamakały.

Na środku stalowego wieczka widniał podłużny otwór po nożu, przecinający słowo „życia”. W denku był podobny otwór, nieco niniejszy.

Wsunął dłoń pod T—shirt i dotknął zgrubienia między żebrami. Ostrze nie weszło głęboko. Prosty szew w żelu załatwił sprawę.

„Dla Pawła, miłości mojego ży/cia”.

Wpatrywał się w sufit, nie myślał już o Marysi. Ani o Renacie. Nie myślał o niczym. W głowie obracały mu się luźne tryby. Nie zazębiały się, czasem tylko o siebie zgrzytały. Leżał, brudny i śmierdzący, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, do jakiegokolwiek inicjatywy. Decyzja o wygrzebaniu się z łóżka przekraczała jego siły.

Od Tamtego Dnia, już chyba zawsze tak go będzie nazywał, minęły dwa dni, a może cztery. Nie liczył.

Powrót do życia oznaczał sekwencję skomplikowanych czymiości, które teraz wydawały mu się równie trudne, jak wyprawa do innego pierścienia.

Leżeć. Powolnym ruchem sięgnął po komunikator, wyciszony przez cały czas od tamtego dnia. Od Tamtego Dnia. Osiem wiadomości, pięć od niej, ale na spotkanie z nią też nie miał ochoty. I żadnej od Wolfa. To prawie jakby tamten przyznał, że ma coś wspólnego z porwaniem Maiysi, więc i pośrednio z jej Eliminacją. Czy Wolf dlatego się nie odzywał, że to on za tym stał? A może tylko rozumiał, że przez dłuższy czas nie będzie z nuzzlera pożytku. Od Judyty też żadnej wiadomości. Przejrzał pozostałe WT

z tych kilku dni, ale nie mógł się skupić na zrozumieniu ich treści.

Bolały. Łatwiejsze okazało się skasowanie ich.

Usiadł na łóżku i spojrzał w okno, za którym Żoliborz zawijał się w górę. Gdzieś tam był człowiek winny eliminacji Marii.

Kurwa!

Wstał, przytrzymując się szafki, i otworzył okno na maksymalną dopuszczalną konstrukcyjnie szerokość, czyli całe dziesięć centymetrów. Poczłł chłodne poranne powietrze. Zaciągnął się nim.

Dość.

Prysznic, golenie się, nawet umył włosy. Kręciło mu się w głowie, chyba z głodu, o którym zapomniał od Tamtego Dnia. Nie jadł od dawna. Teraz jednak zjadłby porządne śniadanie, po którym lepiej będzie mu się myślało. Bo miał o czym, a właściwie o kim. Nie wiedział, kim jest człowiek, którego chce znaleźć, ale to nie problem. Każdego można znaleźć, jeśli ma się odpowiednie zdolności.

Znaleźć i ukarać.

Wyszedł na obskurną klatkę schodową.

Zapomniał wezwać wcześniej zdalnie windę, niestety, w miejscu panelu dotykowego zobaczył stopiony zapalniczką czarny strup. Wyjął komunikator, by wezwać windę, i zamarł. Komunikator Renaty.

Przypomniał sobie teraz, że zabrał go tam, na podjeździe przed gmachem Rady. Nie pamiętał, czy zrobił to ot tak, odruchowo, czy po to, by nikt nie mógł analizować ich korespondencji.

Schował go, starając się nie myśleć o Renacie. Wyjął swój komunikator i wezwał windę. Renata... Nie tylko nie cieszył się z jej śmierci, ale nawet było mu smutno. Potrafił oddzielić ten smutek od smutku po utracie Marysi. Zaskoczyło go to, bo odkąd się rozstali, nie myślał o niej inaczej, jak o swoim wrogu numer jeden.

Teraz złość zniknęła.

Brakowało mu Renaty.

Drzwi windy otworzyły się, witając go znajomym smrodem. Wsiadł i wezwał Triumph z podziemnego parkingu na podjazd przed wejściem. W odpowiedzi przyszła informacja, że komputer pokładowy zaprowadził samochód do serwisu. Minęło kilka dni od stłuczki na Wisłostradzie. Harpad zamknął oczy, czując, jak odpływa z niego energia.

Oparł się plecami o ścianę.

To nie tylko zwykła niedogodność; w samochodzie trzymał pieniądze. Miał wprawdzie kilka schowków w różnych miejscach pierścienia, ale dostęp do nich nie należał do łatwych. Przechowywał też pewną sumę w domu, jednak nie chciało mu się teraz demontować kabiny prysznicowej. Przy sobie miał zaledwie kilka banknotów. Resztę z ostatnich zleceń ukrył w pewnej kamienicy na Pradze lub po horrendalnym kursie zamienił na oficjalne elektroniczne złoteuro.

Z przyzwyczajenia skręcił w stronę kiosku, żeby kupić papierosy. No tak, zamknięty. I to od dwóch tygodni, kiedy to starego Rzepeckiego zabrała Eliminacja.

Przeszedł przez hall i zatrzymał się przy podjeździe. Tępo obserwował przejeżdżające samochody, bez pomysłu, co mógłby zrobić. Było chłodno i wilgotno.

Niesłońce chowało się właśnie w Chmurze.

Zrobił kilka głębokich wdechów i przeszedł na drugą stronę uliczki, do kawiarni sieci Pożegnanie z Afryką. W przeszklonym, pachnącym kawą i słodyczami wnętrzu nie było wielu klientów. Pызata dziewczyna uśmiechnęła się do niego zza lady.

Nie odwzajemnił uśmiechu, uciekł wzrokiem. Mimo że widywał ją niemal codziennie i, ze względu na jej wadę wymowy i fizjonomię, nazywał „świstakiem”, nie miał zamiaru przechodzić na wyższy stopień poufałości. Wtedy straciłby miejsce, w którym może spokojnie zjeść śniadanie, nie siląc się na grzecznościowe formułki „chyba będzie padać” czy „jaki dziś tłok mamy”. Udawał, że jej nie pamięta, i zamówił podwójną kawę z poczwórnym cukrem i kanapkę z pastą jajeczną. I papierosy.

W miarę jak jadł i wlewał w siebie kolejne porcje kawy, mętlik w głowie wirował coraz wolniej, a tryby z bolesnym zgrzytem wskakiwały na swoje miejsca. Wyłaniały się jasno sformułowane instrukcje, które — ułożone w kolejności — stworzyły plan działania na najbliższe pół godziny: sprawdzić, co to za warsztat, pojechać tam taksówką i zabrać pieniądze, oczywiście nie mówiąc, że to o nie chodzi. To już coś.

Na szczęście koszt komunikatora miał opcję odzyskiwania wyrzuconych wiadomości. Jedną z ośmiu WT, które skasował rano, okazała się właśnie lokalizacja warsztatu. Daleka Wola, prawie pod Barierą.

Wezwał automatyczną taksówkę, dopił kawę i wyszedł, nie zerkając w stronę Świstaka.

Żółty autax pojawił się prawie natychmiast. Mały, wąski pojazd kształtem

przywodzący na myśl jajko, nie należał do komfortowych, ale spełniał swoje zadanie. Gdy tylko pojawiły się pierwsze autaxy, wywołały falę protestów taksówkarzy. Zdarzyło się nawet kilka aktów przemocy i wypadków w niewyjaśnionych okolicznościach, ale ostatecznie system się przyjął. Harpad wolał jeździć własnym pojazdem, ale jeśli już musiał brać taksówkę, decydował się na automatyczną. Nie znosił tych koszmarnych pogaduszek z kierowcą.

Teraz skoncentrował się na bezmyślnym wpatrywaniu się w tył jadącego przed nimi samochodu. To lepsze od galopu niesynchronizowanych myśli. Na razie miał plan, a co będzie potem... zastanowi się za pół godziny.

Wysiadł przed rzędem baraków, chaotyczną zabudową narastającą przybudówkami i nadbudówkami przycupniętymi na tyłach kilkunastopiętrowych szarych kamienic. Budynki, jak rozsypane jedne na drugich klocki, ciągnęły się daleko w obie strony i nie sposób było stąd określić, gdzie kończy się jeden warsztat, a zaczyna następny. W pobliżu kręciło się kilka osób, ktoś przepychał samochód z jednego garażu do drugiego. Za plecami miał sterty śmieci wyrastające na kilka metrów, aż do czarnej Bariery. Poczł dreszcz. Jak zawsze gdy zbliżał się do granicy ich bezpiecznego świata. Nawet w jego obecnym stanie bliskość kosmosu wzbudzała w nim przerażenie.

Jeśli wierzyć Syrence, warsztat mieścił się tu, za krzywą, uchyloną do połowy bramą. Jak to się stało, że jego Triumpli wylądował w takim miejscu? Przemiana nie zlikwidowała korupcji, ona będzie istniała zawsze. Ktoś pewnie przekupił ludzkiego administratora systemu rozdzielania napraw, który wysyłał tu powypadkowe wraki, ale i całkiem sprawne samochody, których właściciele, jak Harpad, zapomnieli o terminie przeglądu i zignorowali kolejne przypomnienia. Zdarzało się, że samochód wprost uciekał właścicielowi sprzed nosa, by się tu stawić na polecenie systemu.

Przekroczył bramę i wszedł na placyk z kruszącego się betonu. Stało tu kilka mniej lub bardziej rozbebeszonych pojazdów. Od lat nie naprawiano uszkodzonych mechanizmów. Wymieniano całe moduły, do których komputer pokładowy zgłaszał wątpliwości. Stare utylizowano, lub, co bardziej prawdopodobne, wyrzucano na hałdy śmieci pod Barierą. Inspektorzy sanitarni rzadko tu docierali. Placyk z trzech stron zamykał nadwątlony mur z cegieł, z czwartej widok szpeciły parterowe warsztaty i piętrowy budynek, zapewne biuro.

Straszyły wyblakłe, popękane, nadrdzewiałe reklamy. Z mroku za niedomkniętymi

wrotami do najbliższego stanowiska naprawczego dochodziły odgłosy wiercenia w metalu.

Nazwa, wymalowana nad drzwiami, wydała mu się znajoma. „Klimek”. No tak, umówił się tutaj na wymianę zamka. Nie dotarł, bo pojawiły się ważniejsze sprawy.

Wybrał pierwszy lepszy warsztat, nie sprawdzając opinii poprzednich klientów.

A system to zapamiętał. Czyli nie korupcja, a on sam był winien.

W sąsiednich wrotach warsztatowych otworzyły się mniejsze drzwi i wyszedł przez nie chudy, przygarbiony facet w umorusanym, nieco przymałym kombinezonie. W kąciu ust tkwił zgasły, pognieciony papieros. Zmarszczki na jego twarzy przywodziły na myśl pięćdziesięciolatka, choć musiał być sporo młodszy. Zapach przetrawionej wody, jaki dotarł aż do nuzzlera, tłumaczył to doskonale. Wepchnął dłonie do kieszeni i wpatrywał się w przybysza, wyraźnie oczekując, co się stanie.

— Gdzieś tu podobno jest mój samochód — powiedział Harpad.

— Może i jest. — Mechanik splunął pod nogi. Papieros trzymał się wargi jak przylepiony.

— Mogę go zobaczyć?

— Idź pan do szefa. — Machnięciem głową wskazał drzwi biura.

Harpad wspiął się po poobijanych stopniach i sięgnął do klamki. Zawahał się, zapukał i dopiero otworzył drzwi. Jeśli z zewnątrz barak wyglądał na obskurny, to dla określenia wnętrza potrzeba było mocniej szych słów. Na podłodze, na metalowych regałach, na wygniecionej, zapadniętej i brudnej kanapie, pod niewielkimi, wysoko umieszczonymi oknami, wszędzie leżały niezidentyfikowane części, kable, mniejsze i większe puszkę, butelki, szmaty i pudełka. Siedzący za zaśmieconym biurkiem kudłaty grubas pasował do tego miejsca, jakby się tu urodził. Podobnie jak kurdupel stojący obok z pękiem usyfionych kabli. Obaj patrzyli na intruza, jakby zaskoczyła ich kurtuazja zapukania do drzwi.

Śmierdziało papierosami, smarem, potem i zwykłym brudem, i jeszcze czymś, co Harpad zidentyfikował dopiero po chwili jako ozon. Ten zapach pochodził najpewniej z kompilatora materii.

— Co jest, kurwa? — zapytał grubas.

— Macie mój samochód — wyjaśnił nuzzler. — Triumph po stłuczce.

— Jak z nim skończymy, sam wróci do szanownego klienta — wyjaśnił z nieszczerą

uprzejmością grubas. — Niezwłocznie po uregulowaniu rachunku.

— Zostawiłem w środku... — Harpad zaciął się. Tego nie przewidział w swoim prostym planie. — Zostawiłem coś.

— Co, jeśli można wiedzieć? — Grubas, sądząc z zachowania szef, wyjął z rąk pomocnika wiązkę kabli i rzucił ją pod biurko, poza zasięg wzroku Harpada.

— To coś to jest moja własność.

— Może tak, może nie. Do czasu zakończenia czynności naprawczych ja odpowiadam za samochód.

— Zabiorę to coś i pójdę — obiecał Harpad. Niepokój mieszał się z rozdrażnieniem. — Rachunek przyślecie, jak skończycie. Doliczcie coś ekstra.

— Doliczymy, jasne, że doliczymy. Za obsługę klienta, która właśnie się odbywa. Za każdą minutę doliczymy.

Harpad bardzo chciał podnieść głos, ale pohamował się.

— Więc gdzie jest mój samochód?

— Nie możemy się zgodzić na oględziny ani tym bardziej na zabieranie czegoś ze środka. Bo gdyby coś zginęło? Nie chcemy kłopotów.

Dopiero teraz zorientował się, że zaskoczył tamtych na robieniu czegoś, czym raczej nie zamierzali się chwalić.

— Może dla pewności otworzymy go w asyście policji — powiedział wolno, obserwując ich reakcję. — Będziecie mieli pewność, że nic nie zginie. Wszystko odbędzie się zgodnie z prawem i bez kłopotów.

Twarz grubasa jakby trochę obwisła, jednak szybko pojawiło się na niej zainteresowanie.

— Dobrze. — Wstał i stękając, wygramolił tłuste cielsko zza biurka. — Komisyjnie sprawdzimy, co klient chce zabrać.

Skinął owłosioną ręką i mszył przodem. Nuzzler zacisnął zęby. Nie tak to miało wyglądać. Myślał dziś bardzo wolno i oto skutki. Jeśli zobaczą, co jest w pudełku śniadaniowym, nie wypuszczą go tak łatwo. Idąc wąskim korytarzykiem za zajmującym całą jego szerokość szefem warsztatu, zastanawiał się, ile jest teraz warte jego życie? Wycofać się już nie mógł. Za jego plecami, dysząc, kroczył kurdupel, na podwórku stał palacz, paru następnych obserwowało sytuację z końca korytarzyka.

Nie, to jakaś paranoja. To przecież mechanicy, nie gangsterzy.

Weszli do warsztatów, gdzie w niewiele mniejszym bałaganie bez pośpiechu krzątało się trzech facetów, wśród których dostrzegł chudego palacza. Na pięć stanowisk cztery były zajęte. Najbliżej stał w połowie rozebrany Triumph.

— Tylne zderzak nie był uszkodzony — zauważył. — Ani moduły napędowe przy przednich kołach.

— Sprawdzamy wszystko — wyjaśnił szybko grubas. — Skrupulatnie. Bezpieczeństwo naszych klientów ponad wszystko.

Nuzzler spojrział na walające się pod ścianami części. Nie znał się na mechanice, jednak potrafił rozpoznać rozmontowane moduły konstrukcyjne. Moduły z założenia nierozbieralne i nienaprawialne. Więc ten bałagan jest nieprzypadkowy. To kamuflaż dla naprawy samochodów w sposób nieprzewidziany przez konstruktorów. Myślenie wciąż przychodziło mu z trudem, ale w tej krótkiej chwili zrozumiał tyle, że po plecach przebiegł mu dreszcz. Potem odbierze samochód i odda go do porządnego warsztatu. Teraz ma inne zadanie.

— Co szanowny klient chce zabrać?

— ponaglił grubas.

— Eee... — Harpad nabrał powietrza i poczuł, że nie wie, co zrobić z rękoma.

Wepchnął je do kieszeni. Starał się nie patrzeć na schowek na desce rozdzielczej.

— Coś z bagażnika.

Grubas wyjął z kieszeni urządzenie, które nuzzler widział po raz pierwszy, i wcisnął kilka guzików. Zamek kliknął i kłapa wolno uniosła się. Harpad pochylił się nad bagażnikiem. Dawno tu nie zaglądał. Nie używał bagażnika, nie był mu do niczego potrzebny. Zakupy robił w autoście, a jeśli już kupował coś sam, mieściło się to w jednej torbie, którą wrzucał na fotel pasażera. Galopek myśli. Sięgnął po tekturowe pudełko wepchnięte w kąt i dopiero kiedy wziął je w dłonie, przypomniał sobie, co jest w środku.

Otworzył wieczko. W wyłożonym filcem futerale leżał mały scyzoryk. Dostał go na urodziny od Renaty. Na ostatnie urodziny, które obchodzili wspólnie.

— Nóż — stwierdził grubas. — Szanowny klient tłucze się tu z drugiego końca pierścienia, żeby zabrać nóż.

— Nie inaczej — odparł, przyglądając się błyszczącemu ostrzu. — To pamiątka.

— Więc niech szanowny klient zabiera swoją pamiątkę i spierdala stąd w podskokach. Powiadomimy o przewidywanym terminie odbioru samochodu.

Wypowiedź grubasa spłynęła po Harpadzie bez przykrości. Nóż nie miał dla niego większego znaczenia emocjonalnego, ale dla zachowania pozorów chwilę mu się przyglądał, nim schował go do kieszeni.

Kawa z cukrem już działała, mógł myśleć.

Było jasne, że nie zdoła niepostrzeżenie wyjąć ze schowka pudełka z pieniędzmi ani tym bardziej z nim odejść. Wiedział też, że jeszcze chwila i tamci wyrzucą go siłą.

Zastanawiał się, jak zyskać na czasie.

I wtedy od strony wejścia rozległ się krzyk: — Psy!

Wszyscy natychmiast rzucili pracę i rozbiegli się, by zbierać spod ścian rozebrane moduły.

— Resetuj! — wrzasnął grubas.

— Kasuj!

Z niespotykaną zwinnością pomknął w kierunku stojącej pod ścianą maszyny przypominającej powiększoną lodówkę przemysłową, przy której właśnie majstrował kurdupel. Harpad teraz zrozumiał, że to całkiem spory kompilator materii. Grubas wduśił czerwony przycisk i pobiegł dalej, by uruchomić niszczarkę.

Harpad skojarzył, że nalot policyjny oznacza kłopoty również dla niego. Nie złamał prawa, przychodząc tutaj, ale sam jego pobyt oznaczał kłopoty. Nie miał najmniejszego zamiaru dać się wpakować w kolejną sprawę. Nie, nie może teraz dać się zatrzymać.

Coś huknęło z tyłu. Przez uchylone wrota dostrzegł policyjnego Stara taranującego bramę. Nie zastanawiając się dłużej, wskoczył do bagażnika i zatrzaskał za sobą klapę. Miał nadzieję, że zdołają potem otworzyć od środka.

Siedział zamknięty w puszcze, nasłuchując. Pokrzykiwania i tupot butów, mocno wyciszone przez karoserię, zniknęły dość szybko. Domyślił się, że mechanicy postanowili nie stawiać oporu. I tak przecież nie zdołaliby w tak krótkim czasie zniszczyć ani ukryć dowodów swoich przekrętów.

Zmienił pozycję i zaczepił głową o półkę oddzielającą bagażnik od kabiny. Uchyliła się lekko, więc uniósł ją bardziej i wyjrzał przez brudną szybę — mało prawdopodobne, by ktoś z zewnątrz mógł go dostrzec. Mechanicy, łącznie z grubasem, stali, z rękoma skutymi na plecach, pod ścianą z szafkami narzędziowymi. Policjanci powoli obchodzili warsztat, ale wyglądało na to, że interesuje ich głównie kompilator materii. Otworzyli go — otwierał się również jak wielka lodówka — i wydobyli ze środka niedokończony

błotnik.

Może nawet ten przeznaczony dla Triumphy. Technik policyjny zbliżył przenośny terminal do boku maszyny i skupiony, stukał w ekran.

Harpad jeszcze kilka dni temu w takiej sytuacji drżałby jak galareta. Teraz po prostu czekał, co będzie dalej. Delikatnie opuścił półkę, ułożył się wygodniej na plecach ze zgiętymi w kolanach nogami i podłożył pod głowę coś miękkiego, chyba torbę z ubraniem na zmianę, która jeździła tu od dawna.

Wyjął z kieszeni papierośnicę i przyjrzał jej się w świetle jarzeniówek, wpadającym przez szczelinę niedomkniętej półki.

„Dla Pawła, miłości mojego ży/cia”.

Właściwie to nie musiała tu przychodzić. Usługa terapii była dostępna za darmo, a do skorzystania z niej wystarczył komunikator. Przychodziła, bo nie wierzyła w załatwianie poważnych spraw na kolanie.

Godzina zwolnienia z normalnego życia sprzyjała przemyśleniom.

Leżanka Freuda była niewygodna jak zwykle.

— *Witaj ponownie* — powitał ją po dobrej minucie milczenia psychoanalityk.

— *Jak się dzisiaj czujesz?*

— Nie najlepiej — odparła zgodnie z prawdą. — Za dużo złych rzeczy.

— *Dotyczą bezpośrednio ciebie?*

— Nie. Moich bliskich. A raczej człowieka, który powinien być mi bliski. Ale to jeszcze gorzej, bo nie potrafię się przejmować. Wiem, że powinnam, chciałabym się przejmować. To zabawne, bo tak naprawdę ja potrzebuję ludzi. Nie cierpię pustych ulic, barów. A nienawidzę jeszcze bardziej, kiedy w knajpie siedzi zaledwie kilka osób.

Słyszę ich rozmowy. Cudze życie, obce problemy wdzierają się do mojej głowy.

Nie chcę tego, a czuję... wiem, że powinnam czuć... — zamilkła.

— *Możesz to dokładniej wytłumaczyć?*

— W zatłoczonym barze nie słyszę rozmów, tylko jednolity szum. Jestem anonimowa i bezpieczna.

— *Na pewno czasem ktoś się do ciebie odzywa.*

— Tak, ale to jest nieprzyjemne.

— *To naturalne, skoro nie czujesz się dobrze*

u kontaktach międzyludzkich. A jednak udało ci się to zmienić? Na chwilę? Na jakiś

czas? Ostatnio wspominałaś, że doświadczyłaś miłości.

— To nie była miłość. Nie dosłownie.

Zaledwie potrzeba miłości.

— *Pierwszy krok w dobrą stronę. Jak ci się to udało?*

Zawahała się.

— Wolf tego nie zdradzać.

* * *

„Miłości mojego ży/cia”... Odruchowo sięgnął po papierosa. Palenie teraz to jednak głupi pomysł. Leżał więc tylko, nasłuchując szczątków rozmów, jakie odbywały się wokół. Miał nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy zajrzeć do bagażnika.

Wyjął z kieszeni komunikator, by go wyciszyć i znów z zaskoczeniem stwierdził, że to komunikator Renaty. Nie wiedział, czy według prawa nie powinien go zwrócić natychmiast po jej śmierci. Pomysł schowania się w bagażniku przed policją okazał się więc całkiem dobry. A sam komunikator — coś musi w końcu z nim zrobić: potłuc młotkiem, spalić, wrzucić do Wisły. Zniszczenie tego małego urządzenia nie niszczyło danych, ich kopia była codziennie backupowana na ekoncie, które każdy obywatel dostawał automatycznie po narodzinach. Znalezienie ich tam było jednak bardziej pracochłonne niż odczytanie z komunikatora. Istniało więc duże prawdopodobieństwo, że prowadzący śledztwo w sprawie śmierci Renaty nie zada sobie tego trudu i nie przeczyta wszystkich gróźb, jakimi się nawzajem obrzucali małżonkowie.

Wciąż trzymał go w rękę. Renata po rozstaniu nie cofnęła mu prawa dostępu.

Może zapomniała. Zerknął na stan konta i uświadomił sobie, że jest jedynym spadkobiercą. Posiadał więc teraz umeblowane mieszkanie na dwudziestym piątym piętrze, na Powiślu, z widokiem na Wisłę. I pieniądze, które przekazał eks—żonie od czasu rozvodu. Prawie nic nie wydała. Prawdę mówiąc, spodziewał się, że wszystko przepuści. Zdjęcia.

I już wiedział, że nie wyrzuci komunikatora.

Zdjęcia Marysi, dziesiątki, setki zdjęć.

Zamknął oczy i poczuł napływające łzy. Nie chciał ich oglądać. Nie teraz, nie w tym bagażniku. Nie może się rozkleić.

Łzy przesłoniły mu widok, zaczął wciskać ekran na oślep, by jak najszybciej

zamknąć katalog ze zdjęciami. Zamiast tego włączył tryb projekcji i wnętrze bagażnika wypełniło się dziesiątkami latających miniaterek z roześmianymi twarzami jego córki. Czekwały tylko, by ich dotknąć i powiększyć.

Marysia na wycieczce klasowej, Marysia na zakupach w Smyku, z koleżankami, na szkolnym przedstawieniu, z rodzicami, gdy jeszcze potrafili się do siebie uśmiechać.

I wreszcie Marysia z ojcem w zoo, na tle guźca, udającego świnię.

Wyłączył projekcję i zacisnął powieki.

Otarł łzy. Powstrzymał się, by nie zacząć walić pięścią w podłogę. Oddychał głęboko, tonąc w beznadziei. Nie, nie zostawi tak tego. Poszukiwanie zemsty to przynajmniej jakiś cel. I zrobi to sam, osobiście.

Wśluchiwał się w krzątanie policjantów, walcząc z sobą, by nie wyjść z bagażnika i nie oświadczyć, że nie wolno im go zatrzymywać, bo idzie znaleźć winnego eliminacji swojej córki. Znaleźć i zabić. Fala energii szybko odpłynęła i nuzzler znów pograżał się w stanie, w jakim spędził ostatnie dni. Znów wyjął komunikator Renaty. Tym razem pilnował, by nie dotknąć albumu fotograficznego. Otworzył wiadomości i wyszukał wszystkie ich ostatnie rozmowy. Ich napięcie rosło co dwa tygodnie. W ciągu kilku godzin ślali sobie więcej pełnych wrogości i złośliwości WT

niż przez cały pozostały czas. Przeczytał kilka jej wiadomości. Teraz, gdy nie żyła, nie wydawały mu się już takie złośliwe.

Może powinien się zająć jej pogrzebem?

Leżał tak, aż zgasło światło i zatrzasnęły się wrota garażowe. Wśluchiwał się w ciszę, zakłócaną jedynie uderzeniami ciężkiego narzędzia gdzieś w sąsiednim warsztacie. Miał wrażenie, że ktoś tu nadal jest. Minęła chwila, nim poczuł, że to niematerialna obecność. Ta sama, z którą miał do czynienia w transie.

Tyle że teraz nie był w transie.

Obrócił się w ciasnym wnętrzu i skrzywił, czując mrowienie w zdrętwiałych mięśniach. Wrażenie obecności minęło. Uniósł czubkiem głowy półkę i wyjrzał. Warsztat tonął w półmroku i bezruchu. Nic nie stało na przeszkodzie, by policjanci umieścili tu kilka bezprzewodowych kamer. Wiedział jednak, że tego nie zrobili. Te jednorazowe urządzenia kosztowały tyle co nic, ale monitoring i późniejsza analiza zapisu wiązały się z upierdliwym wpatrywaniem się w monitor, na co nikt nie miał ochoty. Podczas gdy g.A.I.a. na bieżąco analizowała przekaz z setek tysięcy kamer, policja nie miała tak

zaawansowanego programu nawet do przejrzenia zapisu z kilku.

Odszukał przycisk, otworzył klapę i wyszedł z bagażnika. Zrobił kilka przysiadów, by pobudzić krążenie. Samochód pokrywał pył nieznanego pochodzenia.

Moduły napędowe wraz z kołami leżały obok, razem z tylnym zderzakiem. Uszkodzone w wypadku elementy karoserii zdjęto i nie było ich nigdzie widać. Aresztowanie personelu warsztatu odsuwało odzyskanie samochodu w nieokreślony czas. Żeby chociaż zresetowali komputer, dałoby się odjechać, przestawić Triumphą do innego warsztatu. Zapłaciliby podwójnie, bo akurat teraz potrzebował własnego transportu.

Wsiadł za kierownicę ze znajomym trójkątnym logo. Z bijącym szybko sercem otworzył schowek. Pudełko leżało na swoim miejscu, a w nim pieniądze. Cała suma.

Z ulgą przełożył je do kieszeni kurtki. Tym samym wykonał zadanie obmyślane w kawiarni. Potrzebował następnego planu.

Nie miał go.

Włączył komputer pokładowy. Ten wyświetlił tylko informację, że jest w trybie serwisowym, i komunikat, z którego wynikało ni mniej, ni więcej, że szanowny właściciel może spierdalać w podskokach, jakby to określił szef warsztatu. Na ekranie nie było żadnego przycisku, żadnego pola do wpisania kodu. Nic.

Może wystarczy zamontować te moduły napędowe i brakujące części i komputer po prostu się odblokuje? Wsiadł i podszedł do owiniętego taśmą policyjną kompilatora materii. Śmierdziało ozonem, aż musiał wstrzymać oddech. Obok maszyny stał oparty niedokończony błotnik. Wydrukowana w dwóch trzecich struktura dalej rozmywała się w coś wyglądającego jak spłaszczona gąbka. Przerwany proces. W dodatku to nie był jego błotnik.

Harpad obszedł halę, ale innego błotnika ani panelu drzwi nie znalazł. Rozważał przez chwilę uruchomienie kompilatora i odszukanie odpowiednich modeli. Nie znał się na tym ani trochę. Na pewno też nie miał pojęcia, jak te elementy zamontować.

Podskoczył, gdy sygnał dźwiękowy oznajmił nadejście WT. Wyciszył komunikator Renaty, a o własnym zapomniał.

Gdyby wiadomość przyszła trochę wcześnie...

„Wszystko OK? Odezwij się, niepokoję się, Misiu”, Misiu? Nigdy się tak do niego nie zwracała.

„Złatwiam sprawę samochodu. Wrócę na kolację”.

Wyszedł z budynku, przy okazji zrywając policyjną plombę, i ruszył wzdłuż warsztatów i podejrzanych magazynów.

Starał się nie patrzeć na Bariere, w czym pomagała ciągnąca się daleko hałda odpadków. Mijał garaże i bramy zamknięte na głucho, wszyscy jeszcze trwali w przyczajeniu po policyjnym nalocie. Przemknęło mu przez myśl, że skutek nalotu na dowolną firmę z tej okolicy byłby taki sam.

Tu wszyscy mieli coś na sumieniu, więc akcja wynikała raczej z tego, że grubas komuś podpadł.

Skreślił w pieiwszą przecznicę prowadzącą do bardziej cywilizowanych rejonów, jeżeli oczywiście przybarierową Wolę można nazwać cywilizowaną dzielnicą.

Wyjął komunikator, by wezwać autaxa, ale przy krawężniku zatrzymał się żółty Talbot.

— Taksóweczkę?

Przez otwarte okno wyglądał łysiejący, nieogolony kierowca z lizakiem w gębie.

Harpad zamierzał odmówić, ale widok trzech typków wychodzących z pobliskiej bramy sprawił, że zmienił zdanie. Wsiadł i podał adres.

— Czekałem na pana — pochwalił się kierowca, gdy tylko ruszyli. — To niebezpieczna okolica.

— Czekał pan...?

— Mamy podgląd na zlecenia dla autaxa. Jechał pan do warsztatu. Pół na pół szans, że wyjedzie pan własnym samochodem. Warte ryzyka.

Śmierdziało gotowaną kapustą. Harpadowi udało się powstrzymać przed domyślaniem się źródła tego zapachu. Nie chciał o niczym myśleć, poza najbliższym punktem jego planu. Nie chciał rozmawiać.

— Wzięli się za piratów, co? — Kierowca najwyraźniej był w odmiennym nastroju.

Harpad zamknął oczy. Właśnie dlatego wybierał autaxy.

— Jakich piratów? — zapytał niechętnie.

— Przetrzepali kilka warsztatów.

— Kierowca co chwilę odwracał się do niego. Ryzykowne, bo jechał na sterowaniu ręcznym, by móc przekraczać ograniczenia.

— Tam, skąd pan przyszedł. Samochody piracą. No, wie pan, nielegalna kompilacja części.

— Poważnie? — Nuzzler szukał sposobu na szybkie zakończenie rozmowy.

— Kiedyś piracili jakieś drobiazgi, teraz doszli nawet do silników. Tylko komputerów się nie da tak skompilować. Opłacalny biznes, panie. Sam mam tutaj parę drobiazgów... — Nie dokończył, tylko zarechotał i poklepał deskę rozdzielczą.

— Co się będę hamował, skoro wszyscy inni... Ale ktoś podkablował i się za nich wzięli. Bo piracie cale samochody, to już przesada, nie?

— Chyba tak. — Harpad próbował usunąć taksówkarza z umysłu. — Nie znam się na tym.

— Skompilować można wszystko.

— Kierowca był typem gawędziarza, a korek mu sprzyjał. — Widzi pan to?

— Uniósł prawą dłoń ze złotym pierścionkiem. — Ślubny. Skompilowany. Ona nie wie, że w środku miedź. He, he. Precyzyjna robota.

Harpad wyprostował się na fotelu.

— Zawracamy — powiedział.

— Słucham?

— Zawracamy. Z powrotem do warsztatu.

* * *

Wewnątrz buzował ogień, oświetlając ciepłą żółcią kafelki sterylnej czystej sali.

Przez otwarte wrota wydobywały się pojedyncze języki płomieni. Niewidoczny mechanizm bezszelestnie poruszył łańcuchem. Trumna wolno ruszyła na spotkanie płomieni.

Przez panoramiczne okno nie było czuć nawet śladu ciepła. Judyta nie płakała, nie mogła. Patrzyła na trumnę, a myśli wirowały jej w głowie. Na żadnej nie potrafiła się dłużej skupić.

Większość przyjaciół ojca nie mogła przyjść. Więźniowie nie dostają przepustek z powodu pogrzebu kogoś, z kim nie są nawet spokrewnieni. Zresztą wyjście poza mury więzienia było dla nich równoznaczne z Eliminacją. Na krzesłach obok siedziały ciotki i wujowie, których nie pamiętała ani nie zamierzała sobie przypominać. Nie utrzymywała kontaktów z rodziną. Gdzieś u kogoś miała być stypa i nawet ten ktoś ją zapraszał. Skromna i symboliczna. Niech będzie skromna i symboliczna. Ale bez niej.

To nie miało sensu, a raczej sens był przed nią ukryty. Zaczynała myśleć jak

policjantka i nic z tym nie mogła zrobić.

Bardzo chciała płakać, ale łzy nie płynęły.

Jedynie, co było teraz naprawdę ważne, to żeby śmierć ojca nie poszła na marne.

Czarne wrota pieca zasunęły się.

Trzask taśmy policyjnej, którą zerwał, rozbudził go do końca. Patrzył teraz na urządzenie trochę przypominające powiększony dziesięciokrotnie ekspres do kawy, trochę lodówkę, a trochę piec centralnego ogrzewania. Czy to coś mogło skompilować przedmiot według nielicencjonowanego modelu? Legalnie nie, ale kto tutaj dbał o legalność? Harpad w warsztacie był sam.

Włączył kompilator. Coś zaszumiało, coś się przesunęło, coś zachrobotало i na wyświetlaczu pojawiło się menu. Kompilator nie był zahasłowany. Policja nie troszczyła się o takie detale.

Pochylił się nad ekranem i dotknął losowej pozycji menu. Nic. Poniżej ekranu była wyslizgana od częstego używania klawiatura, a poniżej wytarte stare logo Łucznik. Zrozumiał, że ekran kompilatora nie jest dotykowy. Długo przeglądał zawartość menu, tylko po to, by się przekonać, że pamięć kompilatora nie zawiera żadnych modeli. Otworzył szufladę biurka obok i od razu natrafił na rozsypane klucze cyfrowe oznaczone logo różnych marek samochodowych.

Uderzyło go coś bardzo dziwnego.

W jakiś tajemniczy sposób wiedział, że pośród tych kluczy cyfrowych nie ma tego, którego szuka. Wiedział również, że jest on schowany w wyłożonej zielonymi kafelkami toalecie na tyłach warsztatu, za odrapanym lustrem z ułamanym prawym dolnym rogiem. Przeszedł obok podnośnika, nad rozrzuconymi po podłodze narzędziami. Częściowo bałagan był efektem policyjnego nalotu, a częściowo charakteru właściciela warsztatu. Toaleta wyglądała chyba jeszcze gorzej, ale Harpad nie zwracał na to uwagi. Stanął przed lustrem i zapatrzył się na swoją zmęczoną twarz.

Odrapane lustro miało ukruszony prawy dolny róg, a kafelki jaśniały zielenią.

Dokładnie tak, jak pamiętał.

A przecież nie był tu nigdy wcześniej.

Deja vu? Może lustra w takich warsztatach zwykle tak wyglądają? Wsunął dłoń za gładką powierzchnię i od razu znalazł to, czego szukał. Z prawej strony, na dole, ktoś przykleił taśmą kolejny klucz. To nie mógł być przypadek. Tym bardziej że Harpad

wiedział również, co klucz zawiera.

Teraz nie miał siły analizować tego.

Wrócił do kompilatora, wsunął klucz do gniazda czytnika i sprawdził, do czego uda mu się uzyskać dostęp. Fizyczne klucze były zabezpieczeniami antypirackimi stosowanymi czasem w przypadku drogich licencji. Oczywiście same klucze również były piracone, a najłatwiej było na nie trafić w takich miejscach, jak to.

Przeglądał zawartość katalogów. Było tam dokładnie to, czego się spodziewał.

Z długiej listy wybrał losową pozycję, której nazwa i tak nic mu nie mówiła — „Walther P99”, i nacisnął polecenie „Wykonaj”.

Kompilator zaszumiał głośniej, po czym zaczął wydawać z siebie rytmiczne dźwięki, które przypominały trochę cmokanie, trochę szlifowanie, a najbardziej kaszel. Czekał dobrą minutę, a pasek postępu na ekranie stał na „1%”.

Do wyprodukowania pistoletu z dwunastoma nabojami wystarczał podstawowy zestaw zasobników. Soft powinien odmówić wykonania modelu, i to z dwóch powodów: pierwszy to brak opłaconej licencji, drugi — charakter przedmiotu. Jednak w tym egzemplarzu kompilatora zabezpieczenia zdjęto lata temu. Policja oblepiła go taśmą, ale nawet nie wyjęła wtyczki z kontaktu.

Podszedł do swojego Triumplia i ponuro obejrzał go ze wszystkich stron.

Wrócił do kompilatora. Pasek niemrawo wskoczył na „2%”.

— Szukasz pan kłopotów? — usłyszał za plecami.

Odwrócił się. W drzwiach stał solidnie zbudowany facet w umorusanym kombinezonie mechanika. Jego mina rzeczywiście zapowiadała kłopoty.

— Szukam dobrego mechanika — powiedział Harpad.

— Klimek i reszta wrócą jutro, może pojutrze. A teraz wynoś się pan tam, skąd przyszedłeś.

Harpad włożył rękę do kieszeni, na co tamten zeszywniał. Nuzzler zauważył to i nawet mu się to spodobało. Odczekał chwilę, nim z pliku oddzielił mniej więcej jedną trzecią banknotów. Uniósł je, by znalazły się bliżej światła.

— Ile czasu zajmie panu naprawa?

— Głową wskazał samochód. — Spiesz mi się.

Wyraz twarzy mechanika zmienił się.

Miejsce agresji zajęła podejrzliwa nadzieja.

Podszedł i obejrzał Triumphę.

— To zależy — powiedział po namyśle. — Jak się sprężymy, to dwie godziny.

No chyba że będzie trzeba ściągać jakiś model z Coventry. Model do kompilatora, rozumiesz pan? Nie trzymamy wszystkiego.

— To problem?

— Burza słoneczna, nie słyszałeś pan?

— zdziwił się mechanik. — Od wczoraj nie ma łączności międzypierścieniowej. No i potem rejestracja do systemu ruchu.

Potrwa dobę, zanim system przemieli zgłoszenie.

— Da się jechać bez niej?

— Hazardzista z pana. — Mechanik podszedł bliżej. — Tak, da się. W trybie ręcznym.

Harpad podzielił trzymany w dłoni plik banknotów i wręczył połowę mechanikowi.

— Zaliczka. Czas start.

* * *

Syrenka gładko prowadziła samochód przez Żoliborz. Dopiero teraz napięcie osłabło, a wraz z nim samokontrola. Judyta rozplakała się i sprawiło jej to ulgę. Zniknęło też to nieznośne poczucie winy, że brak łez oznacza obojętność. Kochała ojca najmocniej na świecie. Zresztą poza nim nie miała nikogo naprawdę bliskiego. Może było to spowodowane jej charakterem, może nie trafiła na odpowiednich ludzi?

Tata powtarzał jej nieraz, że ludzie nie są idealni i musi to zaakceptować albo będzie samotna. Miał rację, była samotna.

Mówił też, że każdy dąży ku innym ideałom, a dwójka doskonale zgodnych ludzi zamordowałyby się nawzajem z nudów.

Powimia się teraz napić. A dokładniej — upić. Tak, to by pomogło. I wiedziała, że tego nie zrobi.

* * *

Pracowali we trzech i szło im całkiem sprawnie. Samochody w większości składały się z modułów, a moduły dawało się kompilować na miejscu. Te do Triumphy już były gotowe, więc wystarczyło je zamontować.

Harpad siedział na krześle przy kompilatorze i słuchał dźwięków dobiegających ze środka. Mechanicy nie pytali o nic. Pieniądze skutecznie stłumiły ich ciekawość.

Nie zauważył nawet, kiedy komunikator Renaty znów znalazł się w jego dłoni.

Przesuwał po nim palcami. Tak bardzo chciał... komu to teraz przeszkadza? Otworzył katalog WT. Wiadomości do koleżanek, do firmy, zamówienia, reklamy. Natrafił na ostatnią wiadomość, jaką wysłała do niego: „Co zamierzasz zrobić, Paweł?”.

Godzinę przed swoją śmiercią.

Godzinę przed eliminacją Marysi.

Zamknął oczy i z trudem powstrzymał łzy. To nieuczciwe. Najbardziej nieuczciwe, jak tylko można sobie wyobrazić.

Patrzył na wiadomość, zamiast ją zamknąć. Zaraz, coś się tu nie zgadza. „Co zamierzasz zrobić, Paweł?”. Co może się nie zgadzać w czterech wyrazach? Pamiętał tę wiadomość, jechał wtedy samochodem spod budynku, w którym trzymali Maiysię.

Wyjął własny komunikator i otworzył tę samą wiadomość. „Co zamierzasz zrobić, bydlaku?”.

Patrzył to na jeden ekran, to na drugi.

To ta sama wiadomość, data i godzina zgadzały się. Gdzie się podział ten „bydlak”?

Albo może... skąd się wziął? Przewinął do wiadomości z czasu wizyty w zoo. Co dwa tygodnie, gdy miał Marysię przez te kilka godzin, Renata słała mu wiadomość za wiadomością, żeby zepsuć mu te cenne chwile z małą. Policzył na swoim komunikatorze: czternaście wiadomości przez trzy godziny.

Otworzył pierwszą lepszą. „Bluza Marii ma być zapięta. Jeśli się przeziębisz, więcej małej nie zobaczysz”. Na komunikatorze Renaty wiadomość z tej samej godziny brzmiała: „Mała jest podziębiona.

Jeśli będzie zimno, zapnij jej bluzę”.

— Co jest...? — mruknął.

Dwa urządzenia. Z tego dnia w komunikatorze Renaty znalazł tylko trzy wysłane wiadomości. Ich znaczenie było podobne, jak tych z jego komunikatora, ale forma zupełnie inna. W oryginałach Renata nie groziła mu ani go nie obrażała. No i nie wysłała ich czternastu. Sprawdził miesiąc wcześniej, dwa miesiące wcześniej, trzy.

To samo.

Drgnął, gdy coś zapiszczało tuż obok.

Kompilator skończył pracę. Harpad wstał i przyciskiem otworzył drzwi. Syknęło dehermetyzacją i nad urządzeniem uniosła się śmierdząca ozonem chmurka pary.

Wewnątrz leżał czarny pistolet, a obok niego magazynek i szesnaście nabojów.

Przesunął się tak, by mechanicy nie widzieli zawartości komory, i przełożył wszystko do kieszeni. Odwrócił się do mężczyzn. Usilnie starali się na niego nie zerkać, ale nie udawało im się.

— Ile jeszcze? — zapytał.

— Kończymy — odparł mechanik, z którym Harpad rozmawiał na początku.

— Nawet szybciej poszło.

Nacisnął przycisk z boku podnośnika, a ten, piszcząc i warcząc, wolno opuścił Triumphę na ziemię.

Harpad wręczył mu resztę pieniędzy i wszedł do samochodu. Zapadł się w znajomym fotelu i ogarnął wzrokiem znajome wnętrze.

— Do jutra nie włączaj pan Syrenki — poradził jeszcze mechanik. — Bo zawiezie prosto na policję.

* * *

Judyta próbowała zebrać myśli i ogarnąć cały ten chaos. Przysługiwało jej kilka dni zwolnienia, co miało swoje dobre i złe strony. Mogła poświęcić więcej czasu Sprawie, ale z drugiej strony utrudniało to jej dostęp do danych operacyjnych policji.

Dlaczego emerytowany profesor zrobił coś takiego? Dzielił z jej ojcem celę od miesięcy. Lubili się. Nie zgadzali się ze sobą, trochę kłócili, drwili, ale cóż z tego?

Ojciec wiele razy powtarzał, że dzięki temu ich rozmowy są ciekawsze i łatwiej mu znieść więzienie. Czy to miało związek ze Sprawą? Czy chodziło o coś, o czym Judyta nie wiedziała? Pytań było więcej. Dlaczego porwana córka Harpada pojawiła się w samym środku tego chaosu? Dlaczego to ją zabrała Eliminacja? Dlaczego nie Kruszewskiego?

Po kolei. Wyjęła z torebki komunikator i uruchomiła połączenie z policyjną bazą danych. Szyby Simki automatycznie stały się matowe i dopiero wtedy nad fotelem pasażera uniósł się wirtualny ekran startowy. Judyta wybrała listę spraw w toku i odnalazła tę dotyczącą jej ojca.

Długo wahała się, nim jej dotknęła.

Odmowa dostępu.

No tak, jest jego córką. Algorytm uznał, że uniemożliwia to obiektywizm, więc lepiej odmówić jej wglądu do akt.

Zamiast tego wybrała więc z kartoteki dossier Rozsmudy. Przebiegła wzrokiem przez skrót informacji, które śledczy, lub nawet algorytm, uznał za istotne. Nie znalazła tam nic wartego uwagi, a na pewno nie znalazła nic, na podstawie czego by można wywnioskować, dlaczego obawiał się o wysokość PZ. Przecież z tego powodu zdecydował się uciec do więzienia. Wyrok skazujący zapadł w sprawie o uporczywą odmowę zeznań.

Zagłębiła się w wyciąg z akt sprawy.

Recydywista, to brzmiało poważnie, ale w przypadku Rozsmudy wcale tak nie było.

Dwukrotnie odmówił urzędowi skarbowemu ujawnienia źródeł dodatkowego dochodu. Późniejsze śledztwo fiskusa wykazało, że profesor nie miał żadnych dodatkowych dochodów. Gdyby nie odmowa współpracy, w ogóle nie byłoby sprawy. Co więcej, z prośbą o przeprowadzenie kontroli zgłosił się do urzędu on sam. Również dwukrotnie.

Sposobów na ucieczkę do więzienia było wiele, niektóre lepsze, inne gorsze.

Rozsmuda wybrał jeden z bardziej praco- i czasochłonnych, jednak nie sposób niemoralny. To wiele mówiło o nim jako o człowieku. Prościej byłoby dokonać, również dwukrotnie, aktu wandalizmu lub coś ukraść.

Czy w tym wieku mógł myśleć jeszcze o karierze? Miał osiemdziesiąt dwa lata. To czas na pisanie pamiętników. A może nie chodziło o reputację, lecz o zwykłą moralność?

Tylko w czyjej moralności mieści się morderstwo?

Odwykł od ręcznego kierowania samochodem. Co chwilę łapał się na tym, że ręka sama sięga do panelu sterującego Syrenką. Chciał wykorzystać czas podróży, żeby przyjrzeć się Waltherowi i przeciwiczyć jego obsługę. Zupełnie nie znał się na broni, wiedział jedynie, do czego służy spust.

Zahamował ostro, żeby nie wjechać w tył samochodu przed nim. Tego by tylko brakowało, żeby spowodował wypadek bez ważnej rejestracji, za to z nielegalną splotką w kieszeni. Czy za posiadanie broni szło się do więzienia? Nie miał pojęcia. Ani siły, żeby to sprawdzić.

Popołudniowy korek przed rondem Babka oznaczał co najmniej kwadrans

zmarnowanego czasu. Albo czas na przemyślenia. Czy jest w ogóle możliwe dostanie się z bronią do Wolfa i zastrzelenie go, tak po prostu? Ma dwóch ochroniarzy. Co najmniej dwóch. Z drugiej strony, kto by się obawiał strachliwego nuzzlera?

Korek przesuwiał się kolejnymi pełznięciami w rytmie zmieniających się świateł.

Z góry wszystkie te samochody musiały wyglądać jak ciało wielkiego ślimaka, który rytmicznie wydłuża się i skraca. Ślimak. Harpad jest komórką ślimaka. Nikt nie zauważy, jak zabraknie jednej. Komórki umierają każdego dnia tysiącami, a ich miejsce zajmują kolejne. Odwieczne prawo natury.

Nie, nie zabije dziś Wolfa. Zabicie go nie pomoże wyjaśnić, kto za tym stoi. Wolf jest winny, ale nie on jedyny. Na komunikatorze Renaty nie znalazł ani jednej nieprzyjaznej wiadomości. Ktoś od dawna fałszował WT. To się działo od miesięcy!

Harpad nie miał żadnej koncepcji, żadnego punktu zaczepienia, nie dostrzegał w tym nawet cienia sensu.

Przez okno zauważył kawiarnię.

Podwójne espresso na pewno pomoże w myśleniu. Zamarł z ręką nad panelem kontrolnym. Jak odesłać samochód na parking, jeśli nie wolno włączać Syrenki? Nie da się.

Do domu, więc i do własnego parkingu, miał stąd dziesięć minut drogi, nie licząc korka. Wobec braku innych opcji, ta wygrała od razu.

* * *

Polityka i moralność nie mogą iść w parze, bo ta draga sprawdza się wyłącznie w małej skali. Jeśli politykę przyrównać do ogólnej teorii względności, to moralność będzie teorią kwantową. Obie są poprawne, ale w innych skalach, stosowane równocześnie, zaprzeczają sobie. Romuald Taliński z pewnością był człowiekiem zasad, a nie jest łatwo postępować zgodnie z zasadami w świecie ludzi stosujących relatywizm moralny. Fiasko ostatniej akcji było tego doskonałym przykładem. Jako obiekt akcji wybrany został polityk, który z definicji jest niemoralny. Niestety, polityk z pierwszej ligi to osoba, do której bardzo trudno się dostać.

Judyta wyniosła z domu konkretne poglądy, jednak doskonale wiedziała, że ojciec przeczył sam sobie. Angażując się w Sprawę, wchodził do gry na dużą skalę, a wciąż obstawał przy swoich starych zasadach. To się mogło skończyć tylko katastrofą. Wielka

polityka jest z definicji amoralna.

Do polityka trudno się dobrać. Na drugim krańcu skali trudności będzie na przykład bezdomny. Kiedy nie ma innego wyjścia i kogoś trzeba poświęcić, to kogo, jeśli nie bezdomnego? Bo to niemoralne?

A moralne jest wartościowanie ludzkiego życia według pozycji społecznej?

— Tato... — Judyta wytarła kolejne łzy i wydmuchała nos. — Co zrobić?

Co będzie moralne? Kogoś trzeba wybrać, poświęcić. W końcu Sprawa dotyczy całej ludzkości, a czymże jest wobec tego jedno ludzkie życie? Ludzie to komórki wielkiego organizmu zwanego ludzkością. Nikt nie zauważy, jeśli zabraknie jednej. Komórki umierają tysiącami każdego dnia, a ich miejsce zajmują następne. Odwieczne koło życia.

Uśmiechnęła się gorzko. Na co komu takie zasady, tato? Tyle rozważań o moralności, darcia szat, a efekt taki, że do Eliminacji poszło dziecko.

Skąd w ogóle wzięła się tam córeczka Harpada?

Judyta dotknęła wirtualnego ekranu nad fotelem pasażera i wyświetliła przedwczorajsze nagranie sprzed gmachu Rady. Obok niej zawisł półprzezroczysty trójwymiarowy model okolicy pomiędzy Wiejską a Matejki. Głowy zgromadzonych za barierkami były wielkości główek zapalek.

Powiększyła model i przesunęła do wejścia, gdzie wtedy stała. Rozpoznała samą siebie z puszką w ładownicy przy pasku. Przesunęła kilka minut do przodu, do chwili, gdy otworzyła puszkę. Tak, sfuszerowała to, większa część chmury kropelek coli poszybowała w inną stronę. Cóż z tego? Soul wyraźnie mówił, że mieszanek trzeba wypić. Kroplę co najmniej. Więc gdyby nawet lepiej wycelowała, to i tak niczego by nie zmieniło. Jak miała zmusić Kruszewskiego, żeby cokolwiek wypił? Ale gdyby nawet, to nadal na nic, skoro nie uległ Eliminacji. Fuszerka po całości.

Przesunęła nagranie do chwili wyjścia polityków z gmachu i zmieniła kąt widzenia. Przesunęła jeszcze dalej i zobaczyła siebie klęczącą nad umierającą Renatą.

Zadrzała, gdy część modelu stała się nieostra jak papierosowy dym. Cenzura rozmyła obraz Eliminacji, która szła po Marysię. Bo cenzurowano nawet materiały operacyjne policji. Judyta obserwowała, jak w czasie rzeczywistym rozmyta plama przesuwa się w bok, zmniejsza i wreszcie znika, odsłaniając Nysę z napisem „Usługi hydrauliczne”.

Cofnęła do momentu sprzed pojawienia się Eliminacji i włączyła śledzenie Marysi.

Dziewczynka pojawiła się tam w towarzystwie elegancko ubranego pakera i kobiety,

w których doświadczony policjant od razu potrafił rozpoznać profesjonalistów z pogranicza prawa. Taki policjant wiedziałby też, że bardzo trudno będzie to udowodnić.

Ta para nie zadała sobie trudu, by się w jakikolwiek sposób zakamuflować, choćby czapką lub inną fryzurą. Nie wiedzieli więc, jak to się skończy. Przyszli tam oddać Marysię ojcu, przekonani, że ich zadanie jest proste i nie sprawi im trudno ści. Pod koniec, nim wybuchła wściekłość tłumu, już było widać, jak dociera do nich, że sytuacja wymyka się spod kontroli.

A Harpad? Zapewne przyszedł po córkę. Ktokolwiek wybierał czas i miejsce przekazania Marysi, wybrał najgorzej. Jak to możliwe, że oni wszyscy spotkali się w tym samym czasie, w najmniej odpowiednim do tego miejscu?

W przeciwieństwie do agentów Eliminacji, agenci Prowokacji byli relatywnie łatwi do zidentyfikowania. Z oczywistych względów nie mogli nosić masek anonimizujących i poza Prowokacją najczęściej mieli też zwykłą pracę. Pewnym ograniczeniem była blokada śledzenia ich, wbudowana w cały policyjny soft. Nikt jednak nie mógł zabronić zwykłego porównania dwóch zdjęć. Nie było również tajemnicą, że Prowokacja i policja w pewnym stopniu współpracowały. Właśnie to wykorzystała Judyta, by dokonać na Kruszewskim Prowokacji w tym właśnie momencie. Bezpodstawne oskarżenie rzucone w obecności mediów, i po sprawie. Miało być prosto, przewidywalnie. Nie było. Jak to się stało, że do Prowokacji na Kruszewskim została wyznaczona akurat matka Marysi? Zbyt wiele zbiegów okoliczności, by były przypadkowe.

Judyta westchnęła. Trzeba działać po kolei, albo raczej równolegle, lecz z zachowaniem priorytetów. Najważniejsze jest powtórzenie akcji, tylko z bardziej dostępnym obiektem.

Wybacz, tato. Zrobię to po swojemu.

Trzeba szybko wybrać odpowiedni obiekt... człowieka, a potem pchnąć go odrobinę w tę złą stronę. Jak sprawdzić, kto jest blisko, bardzo blisko punktu Eliminacji?

Znała tylko jednego człowieka, który potrafił to zrobić.

* * *

Wjechał do windy samochodowej. Na szczęście był tu panel sterowania ręcznego.

Nie wyglądał na często używany, bo nikt nie marnował czasu, by osobiście parkować

samochód. Harpad otworzył okno i nacisnął „—5”. Drzwi zaniknęły się, a winda z nieprzyjemnym bujaniem ruszyła w dół.

Raz, jeden jedyny, był na tym parkingu.

Pół roku temu. Marysia miała urodziny i kupił jej wielkiego misia, takiego naprawdę wielkiego, większego od niej samej. Częsty błąd rodzica walczącego o miłość dziecka. Wydaje się, że większa zabawka pozwoli wyzebrać więcej uczucia, a to przecież tak nie działa. Musiał zejść na parking i włożyć misia do bagażnika. Nie chciał paradować z nim przez hall, żeby nie wzbudzać ciekawości sąsiadów. Im mniej o nim wiedzieli, tym lepiej. Potem musiał zawieźć małą z wielkim misiem do mieszkania Renaty, do mieszkania, które kiedyś było i jego mieszkaniem. Pluszak okazał się za duży, żeby Marysia sama mogła go zanieść na górę. Wtedy też po raz ostatni widział Renatę, po raz ostatni, aż do czasu... Nie wydawała się szczególnie nieprzyjazna, nawet się uśmiechała. To on nie chciał z nią rozmawiać. Obawiał się, że skończy się awanturą w obecności małej.

Porozumiewali się wyłącznie za pomocą WT.

Wyjechał z windy i odszukał wolne miejsce. Samochody stały tak ciasno jeden obok drugiego, że wciśnięcie się między nie na sterowaniu ręcznym nie było proste.

Zresztą w większości nie były to samochody mieszkańców, tylko okolicznych firm płacących właścicielowi mieszkaniowca. Niezbyt zamożni ludzie, a przeważnie tacy tu mieszkali, zwykle nie potrzebowali samochodów na własność.

Dopiero za trzecim podejściem wjechał między furgonetkę kurierską a sportowego Poloneza. Pisnęła ładowarka indukcyjna wmontowana w posadzkę. Harpad z ulgą wyłączył zasilanie i odetchnął. Musiał teraz wyjść przez okno, czyli zostawi je otwarte, bo sterowanie automatyką pojazdu włącza się razem z Syrenką. Nie miało to żadnego znaczenia, bo przecież nikt tu nie wchodzi, więc i nikogo nie skusi kradzież. Zresztą teraz w Triumphie nie ma niczego atrakcyjnego dla potencjalnego złodzieja.

Jednak nie ruszał się z miejsca. Wyjął z kieszeni pistolet i przyjrzał mu się.

Ciężki, solidny przedmiot. Od spodu rękojeści dostrzegł otwór, zapewne na magazynek. Najprościej byłoby wyszukać w internecie instrukcję obsługi, no ale to mogło zwrócić uwagę Nadzoru. Przed wyborami wszyscy są nerwowi i czujni jak nigdy.

Odłożył pistolet i zajął się magazynkiem. Załadowanie go nabojami okazało się intuicyjnie proste — wystarczyło wepchnąć je od góry. Tak samo, jak włożenie

magazyńku do pistolet. Czy teraz wystarczy wycelować i nacisnąć spust? A może tu jest jakiś rodzaj bezpiecznika? To byłoby logiczne — przecież nikt nie chce, żeby pistolet wystrzelił w kieszeni po zaczepieniu się o paczkę gumy do żucia. Jak to sprawdzić bez naciskania spustu? Idealnie leżał w dłoni, jakby wymodelowano go z jej odcisku. A może nacisnąć spust?

Wycelować w betonową ścianę i nacisnąć?

Nie, gdyby rykoszet trafił w jakiś samochód...

Ruch! Coś tam było w zacienionym kącie, za ostatnim samochodem. Harpad zamarł. Przemknęło mu przez myśl, że nie powinien się obawiać, po raz pierwszy w życiu trzyma przecież w dłoni prawdziwy pistolet. Nie poczuł się z tego powodu bezpieczniej, wręcz przeciwnie.

Włożył Walthera do kieszeni i zapatrzył się w koniec parkingu. Jarzeniówki dawały tak oszczędne światło, jak to tylko możliwe.

Samochody sterowane Syrenką nie potrzebowały światła, by się nie zderzać. Zainstalowano je tutaj tylko dla ludzi.

Tak, nie ulegało wątpliwości, że coś tam było, kuliło się za smukłym Polonezem. Nie wyglądało groźnie, ale pozory mogły mylić. A może mieszkają tu jacyś bezdomni?

Harpad niespodziewanie odkrył w sobie ciekawość. W sumie to czego miałby się bać ktoś, kto przez ostatnie dwie godziny obmyślał plan potencjalnie samobójczego zamachu na szefa mafii? Mógł wyjść przez okno, przez szyberdach lub klapę bagażnika. Wybrał klapę.

Wyjął pistolet i trzymając go za sobą, wolno ruszył za spotkanie cienia.

To był człowiek. Siedział w półmroku, na betonowej posadzce, oparty o ścianę.

Głowę ukrył w ramionach. Miał na sobie pomarańczowy uniform bez żadnych widocznych oznaczeń.

A Harpad nagle wiedział, kim on jest.

Właśnie tak — informacja pojawiła się w jego umyśle znikąd. Zanim jeszcze rozpoznał wychudłą twarz.

Marian Rzepecki, kioskarcz, zabrany dwa tygodnie temu przez Eliminację.

W podziemiach nigdy nie było cicho.

Im głębiej, tym więcej dźwięków, bo bliżej pracujących instalacji pierścienia. Czasem brzmiało to jak głucho dudnienie, czasem szum, czasem zaledwie rytmiczne

wibracje, jakby kilka pięter niżej ktoś wiercił w betonie. A jednak Harpad wyraźnie słyszał szuranie butów Rzepeckiego. Kioskarz dygotał. Drgawki przychodziły falami. Harpad od razu poczuł, że coś z nim jest nie tak.

Nie potrafił określić, o co chodzi, bo nigdy wcześniej się z czymś podobnym nie spotkał.

Kioskarz siedział oparty o ścianę z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Uniósł głowę i spojrział na nuzzlera nieobecny wzrokiem. Brakowało mu czegoś, czegoś istotnego.

— Może mi pan pomóc? — zapytał cicho.

Harpad cofnął się o krok.

— Jak pan wrócił? Nie widział pan mojej córki? Dziewięć lat, czarne włosy.

Kioskarz spróbował wstać. Buty zaszurały, a echo powtórzyło dźwięk. Zdrętwiałe nogi odmówiły posłuszeństwa. Opadł na ziemię.

Harpad wciąż stał nieruchomo. Rzepecki wyglądał jak wrak człowieka.

Wychudła twarz, worki pod oczami, drżące dłonie, niezdrowo błyszczące oczy.

— Nie wiem, co robić. — Dźwignął się wreszcie, opierając się na błotniku samochodu. — Nie wiem... co się stało. Nie mogę otworzyć drzwi, nie mogę użyć windy... Nie działają nawet automaty spo żywczce. Tak bardzo chce mi się pić. Ma pan trochę wody?

— Zaraz przyniosę. — Harpad cofnął się ponownie. — Niech pan zaczeka. Przyniosę.

Szybkim krokiem ruszył w stronę windy. Dopadł drzwi i dotknął panelu.

Obejrzał się, żałosny cień na końcu parkingu chwiał się w tym samym miejscu.

Wskoczył do windy, gdy tylko otworzyły się drzwi, i natychmiast przyłożył palec do panelu kontrolnego. Winda bez pytania mszyła, by zawieźć go na jego piętro.

Wzdrygnął się na samą myśl, że za chwilę ma jeszcze raz stanąć twarzą w twarz z kioskarzem, ale mógł się czegoś dowiedzieć o Marysi. Co takiego było w tym człowieku? A dokładniej, czego w nim brakowało? Wyglądał jak trup, który zapomniał, że ma być nieżywy. Może był po prostu głodny? Wspomniał, że nie może użyć automatu spożywczego. Nie miał pieniędzy?

Wysiadł na swoim piętrze i zatrzymał się przed drzwiami. Kioskarz powiedział, że nie mógł uruchomić windy. Zatem miał uszkodzony chip ID. Czy to w ogóle możliwe?

Harpad nie miał pojęcia, kiedy ani gdzie był wszczepiany chip ID. Czy działo się to zaraz po urodzeniu, czy przy okazji któregoś z obowiązkowych szczepień?

Chodziło o bezpieczeństwo. W chipie mieściła się cała zewnętrzna tożsamość człowieka, zatem jego kradzież oznaczałaby kradzież tej części tożsamości.

W mieszkaniu otworzył lodówkę: napoczęta wódka, zepsute mleko, jakiś zeschnięty ser i słoiczek musztardy. Żadnej wody. W komunikatorze wpisał wyszukiwanie informacji o chipie ID. Nie było tego wiele, właściwie same już znane mu informacje. Dzięki niemu otwieramy zamki w drzwiach, płacimy, zamawiamy i robimy masę rzeczy. A nikt nie wie, gdzie on jest i czy może się zepsuć!

Kiedy zjechał na dół, zatrzymał się przed wmontowanymi w ścianę automatami z napojami i przekąskami.

Spróbował sobie przypomnieć, jak to wyglądało w przypadku Marysi i coś go w środku ukłuło na samo wspomnienie.

Pamiętał tyle, że gdy zaczęła sięgać do panelu wyboru napoju w automacie, to już ten chip ID miała. Nie zastanawiał się nigdy wcześniej, skąd się wziął w jej ciele.

Po prostu wszyscy je mieli.

— Musimy porozmawiać — powiedziała Judyta.

Odwrócił się gwałtownie. Złość nadeszła po chwili. W pierwszym momencie chciał ją po prostu ominąć i odejść.

— To ważne — dodała.

Tak naprawdę to miał ochotę ją uderzyć, wykrzyzczyć, co o niej myśli i dopiero wtedy odejść. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy, po prostu stał i patrzył na nią.

— To naprawdę ważne — powtórzyła.

— Moja żona nie żyje — powiedział ponuro. — Moja córka uległa Eliminacji.

Nie muszę... nie chcę z tobą rozmawiać.

Odejdź, po prostu odejdź. Idź i więcej nie wracaj.

— Musisz nam pomóc. Jesteś jedyną osobą — — Posłuchaj no! — Podszedł bliżej i wycelował w nią palcem. — Marysia uległa Eliminacji. A stało się tak dlatego, że wciągnęłaś mnie w tę waszą... Sprawę.

Zaczęło się od wypadku samochodowego, który spowodowaliście, a potem było już tylko gorzej. W kilka dni z normalnego dziecka zrobiliście...

Zamilkł, pokręcił głową i odwrócił się do automatu sprzedającego butelki z wodą.

— Mój ojciec został zamordowany — rzuciła i dodała ciszej — właśnie wracam z pogrzebu.

Po twarzy dziewczyny płynęły łzy.

— Przykro mi, bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało... — Patrzyła mu w oczy. — Ale przecież właśnie to chcemy powstrzymać. W Pierścieniu Warszawa każdego roku Eliminacja zabiera ponad piętnaście tysięcy osób. A my nawet nie wiemy, jak to działa. Nie wiemy, gdzie są serwery g.A.I.a. ani kto je obsługuje. To jest poza wszelką kontrolą, rozumiesz? Nie znamy nawet dokładnej liczby eliminowanych. Mamy tylko szacunki.

Harpad spojrzął na jedną z kamer na ścianie. Na ile znał sposób działania g.A.I.a., takie wypowiedzi gwarantowały wzrost PZ.

— Chcesz wiedzieć, jak to działa?

— Kupił półlitrową butelkę wody, potem jeszcze dwa batony. — To chodź.

Ruszył do windy. Przytrzymał drzwi, a dziewczyna, wciąż nieufna, weszła do środka. Zjechali na parking. Poszedł przodem do miejsca, gdzie zostawił kioskarza.

Nie było go tam.

Rozejrzał się, sprawdził za samochodami. Zbyt ciemno, by cokolwiek dojrzeć.

Judyta zapaliła latarkę, przyklękła i zaświeciła pod podwoziami. Snop światła wydobył z mroku podeszwy butów. Obeszła żółtą furgonetkę i przyklękła przy siedzącym pod ścianą Rzepeckim. Sprawdziła puls na nadgarstku i odwróciła się do Harpada.

— To mi chciałeś pokazać?

— Co z nim...? — zapytał niepewnie nuzzler.

— Nie żyje.

Harpad cofnął się o krok.

— Dziesięć minut temu jeszcze żył!

Rozmawiałem z nim. Prosił o wodę. I co teraz? Niczego się już nie dowiemy!

Judyta wstała i wytarła dłonie o spodnie. Zastanawiała się. Ponownie zaświeciła na ciało.

— To nie jest drelich więzienny — stwierdziła.

— On nie uciekł z więzienia! Uciekł z Eliminacji!

Wyjęła komunikator, zbliżyła do trupa i uruchomiła program identyfikacyjny.

Komunikator zapiszczał odgłosem błędu.

Spróbowała jeszcze raz, z identycznym skutkiem.

— Nie można odczytać ID. — Pokręciła głową. — To się nie zdarza.

— Sprawdź w kartotece. To Marian Rzepecki, eliminowany ponad dwa tygodnie temu. Znałem go. Prowadził tutaj na górze kiosk.

Judyta wpisała dane, przeczytała wynik i spojrzała pytająco na Harpada.

— Nikt nigdy nie wrócił z Eliminacji — powiedziała. — Nie znam takiego przypadku.

Harpad wskazał ciało.

— Już znasz.

* * *

Znowu Wola. Znowu Bariera. Wjechał między wysokie na kilkanaście metrów hałdy odpadków. Minimalne różnice temperatur w różnych częściach pierścienia powodowały różnice ciśnień, a te z kolei wiatr. Pojawiał się najczęściej na początku nocy. Nigdy nie był to huragan, choć zdarzało się, że wiało naprawdę mocno. Zło śliwi nazywali go przeciągiem. Jednak wystarczał, by częściowo segregować śmieci. Lekkie opakowania foliowe lądowały za wspartą o Barierę minę o wysoko ści dziesięciu pięter. Co noc pojawiali się tam poszukiwacze banknotów. Znajdowano ich na tyle dużo, że opłacało się po ciemku przerzucać tony brudów i narażać się na napaść ze strony podobnych sobie.

Przed ruiną piętrzyły się namoknięte tektury i plastikowe butelki, a z drugiej strony osobliwego jaru — części samochodowe, stare lodówki i zupełnie nierozpoznawalny złom. Dopiero bliżej granicy kosmosu wszystko znów się mieszało.

Żadne modele pogodowe nie mogły przewidzieć, czy budowa nowych wieżowców na Mokotowie nie spowoduje osadzania się lekkich śmieci w konkretnym rejonie Bielana. Zdarzyło się, że ekskluzywne osiedle traciło wiele uroku, więc i ceny za metr gruntu spadały, gdyż każdy dzień trzeba było zaczynać od zebrania śmieci z ogrodu.

Harpad zatrzymał samochód w miejscu, gdzie już nie dawało się dalej jechać.

Nikogo w zasięgu wzroku, tu już nie zapuszczali się poszukiwacze pieniędzy.

Trudno powiedzieć, czy najpierw tę okolicę opuścili mieszkańcy, czy wypełniły ją śmieci. Pewnie działo się to równocześnie.

Judyta wysiadła za Harpadem. Wciągnęła powietrze, które mimo sąsiedztwa hałd

odpadków, nie śmierdziało. Obeszła samochód i dotknęła klapy bagażnika. Ta ani drgnęła. Otworzył ją dopiero dotyk Harpada. W środku leżały zapomniane przez mechaników rękawice, dwie plastikowe torby i pudełko po sushi sprzed miesiąca.

Oraz zwłoki Mariana Rzepeckiego.

— Przypomnij mi, ty pracujesz w policji?

— Łap od strony głowy.

Kioskarz, choć wychudły, ważył swoje.

Trupa zawiniętego w dywan wyniesie byle osiłek. Niesienie zwłok bez dywanu zamienia się w walkę ze złośliwością przedmiotów martwych. Od razu po wyjęciu z bagażnika trup, mimo wysiłków Harpada, upadł na ziemię. Towarzyszył temu bardzo nieprzyjemny odgłos powietrza ulatującego z płuc. Jakby martwy skarżył się na swój los niemal zwierzęcym warczeniem. Chwyty pod ramiona powodował uniesienie tychże ramion, chwyt pod kark skutkował schyleniem głowy. Nawet złapanie za połą pomarańczowego kombinezonu skończyło się rozerwaniem guzików. Ciało zamiast stężeć, zginało się w każdym miejscu, jak gumowy manekin. Martwy kioskarz bronił się skuteczniej, niż potrafiłby za życia.

W końcu Harpad chwycił jedną nogę i wspólnie z Judytą zaciągnął ciało do podnóża hałdy i dalej, między puszki po farbie, stare opony i połamane krzesła. Pozostawało je jeszcze zakopać, ale potrzebowali chwili odpoczynku.

— Znasz się na tym — powiedział Harpad. — Dlaczego umarł?

— Nie jestem lekarzem — Judyta starała się nie patrzeć na trupa — ale wygląda na wycieńczonego.

— Czyli gdybyś mnie nie zagadała w hallu...

— Jego umieranie zaczęło się, zanim go znalazłeś. Cokolwiek byś mu przyniósł, i tak by nie przeżył. Być może kilka godzin wcześniej, w szpitalu, udałoby się go uratować. Kroplówki z glukozą, witaminy, adrenalina. Nie wiem.

Harpad rozgarnął nogą śmiecie. Ukrycie ciała nie powinno być trudne.

— Dlaczego tu? — zapytał.

— Tu nigdy nie szukaliśmy.

— My?

— Policja. Sprawdziłam statystyki. Tu nie znaleźliśmy żadnego trupa od trzydziestu lat.

— Czemu akurat od trzydziestu?

— Starsze dane są automatycznie kasowane. Oszczędność miejsca.

Zbliżał się ściem, choć nic go nie zwiastowało, poza niezmienną od lat godziną.

Niesłońce zawsze stało w zenicie. Zawsze gasło przez równe trzydzieści minut, a jedenaście i pół godziny później zawsze się zapalało przez kolejnych trzydzieści minut.

— Zastanawiałeś się kiedyś, co będzie, jeśli Niesłońce się nie zapali? — zapytała Judyta. — Nie mamy żadnej dokumentacji technicznej pierścienia. Nie wiemy, jak to działa.

— Instrukcji obsługi Układu Słonecznego też nie mieliśmy.

Harpad znalazł kawałek twardego plastiku i odrzucał nim co mniejsze śmiecie.

Przetoczyli ciało do powstałej szczeliny.

— Zaczekaj. — Judyta odwróciła się i zbiegła do samochodu. Wróciła po chwili z małym, podłużnym przedmiotem w dłoni.

Dopiero gdy zdjęła osłonę z igły, Harpad rozpoznał, że to strzykawka. Judyta odsłoniła przedramię kioskacza i zbliżyła igłę do szarej skóry.

— Jezu... — Harpad odwrócił się z obrzydzeniem.

— Pobieram krew do analizy.

— On jest martwy.

Gdy skończyła, przelała krew do fiolki i zatkała. Strzykawkę rozmontowała i schowała do plastikowej torebki.

— Co robisz? — zapytał Harpad.

— Zaniosę to do utylizacji.

Wyjął jej z dłoni torebkę i cisnął w górę hałdy.

— Zutylizowane.

Zaczęli nagarniać do śmieciowego grobu najpierw mniejsze odpadki, potem przycisnęli większymi. Na koniec wciągnęli na sam wierzch wybebeszoną lodówkę.

Harpad wyjął papierosa. Podał dziewczynie, ale odmówiła. Przypalił i zaciągnął się mocno. Zakreśliło mu się w głowie, upadłby, gdyby Judyta w porę go nie podtrzymała.

— Nic dziś nie jadłem — wyjaśnił.

Sięgnął do kieszeni po baton z automatu.

— To sam cukier — Judyta powstrzymała go. — Chodź, po drodze kupimy coś normalnego.

* * *

Harpad siedział na krześle wciśniętym między stół roboczy a komodę z dziesiątkami małych szuflad. Jadł chiński makaron z tekturowego pudełka i popijał wodą, która już nie była potrzebna kioskarzowi. Obserwował Judytę. Stała oparta o stół i obracała w dłoniach komunikator. Ten policyjny był o połowę grubszy od zwykłego. Na pewno miał dodatkowe funkcje, niedostępne dla cywilów. Soul w tym samym brudnym fartuchu wkładał fiolkę z krwią do kolejnych urządzeń i mamrotał coś pod nosem. Był wyraźnie poruszony wynikami testów.

W rogu laboratorium bulgotał przelewowy ekspres do kawy. Judyta odłożyła komunikator i naląła ciemny płyn do papierowego kubka. Uniosła do ust i skrzywiła się, zniechęcona wonią. Odstawiła.

— Co mamy? — zapytała w stronę Soula.

— Nic! — wykrzyknął z entuzjazmem.

— Zupełnie nic. Fascynujące.

— To czym się tak podniecasz?

— To pierwsza próbka, którą w życiu widzę, bez nanoID. Skąd to wzięłaś?

Judyta rzuciła szybkie spojrzenie na Harpada.

— Potem ci powiem.

— Nano? — odezwał się Haipad.

— Nanoware. — Soul powiedział to takim tonem, jakby to było coś najbardziej oczywistego na świecie. — Nanoboty we kiwi. Każdy je ma.

— Kto ci to powiedział?

— Nikt! Za kogo ty mnie masz?!

Jestem naukowcem. — Soul zdjął okulary i przetarł je o kombinezon. — Szukałem w ludzkim ciele chipa ID. Kilka lat szukałem i nie znalazłem. Noworodki nie mają ID, pojawia się parę miesięcy po narodzinach. Bez żadnej operacji chirurgicznej, żadnej magicznej kapsułki. Zacząłem eksperymentować. Umieściłem próbkę swojej kiwi w skanerze — wskazał bransoletę przypiętą do jednego z monitorów — a skaner mnie zidentyfikował. Jest bardzo czuły, bo zwykle potrzeba więcej. Panele kontrolne automatów działają, jak założysz rękawiczki, działają nawet przez folię aluminiową, przez gumę, przez inne izolatory.

Sprawdziłem. Elektrostatyka nie ma tu nic do rzeczy. Wszystkie terminale w windach, w automatach z gumą do żucia, w bankach, działają zbliżeniowo. Kilka milimetrów, milimetr, różnie. Jeśli oddasz krew do analizy, jakieś sto mililitrów, to pielęgniarka może iść ze strzykawką i kupić samochód, płacąc z twojego konta. Teoretycznie.

— Soul zmarszczył brwi. — Tylko po co?

Ten samochód będzie twoją własnością. To ciekawe... Do przemyślenia. Na pewno w restauracji zapłaci i zje na twoje konto.

Chociaż jakim świrem trzeba być, żeby do restauracji zabierać czyjąś krew? Ćśśś...

Świrów jest dużo, a chyba żaden na to nie wpadł. Hm. Czemu ja tego jeszcze nie zrobiłem?

— Czyli chip ID...

— Nie ma czegoś takiego. — Soul rozłożył ręce. — Masz to we krwi. Wszyscy mamy. W twoich żyłach krążą miliony nanobotów, których jedynym zadaniem jest podanie na żądanie numeru ID. Kilkubramkowe komputery kwantowe. Minimalizm.

Zabezpieczenie idealne, nie do usunięcia.

— Nie idealne — zauważył Harpad.

— Sam mówiłeś, pielęgniarka.

— Nie, to nieważne. — Naukowiec intensywnie pokręcił głową. — Systemu nie obchodzi, że ktoś zje obiad na twój koszt. System chce mieć pewność, że zawsze będzie potrafił cię zidentyfikować i zlokalizować.

— A to całe nano...?

— Syntetyczne symbionty, tak można by je określić. Albo pasożyty. Czerpią energię ze spalania komórkowego jak zwykłe komórki ludzkie i bakterie... jak sądzę.

Łączna moc wszystkich nanobotów w ludzkiej kiwi to kilka miliwatów. Niezauważalne obciążenie, wiele nie schudniesz.

— Nie można ich... ja wiem? Odfiltrować?

— Nie znam sposobu. Wielkość nanobotów jest mniejsza od leukocytów.

Mechaniczna filtracja nie wchodzi w grę.

Filtry magnetyczne też nic nie działają, bo magnetycznie nanoboty odpowiadają erytrocytom. Człowiek umrze z braku tlenu.

NanoID pod względem każdego z parametrów jest bardzo podobne do różnych

komórek kiwi.

— No ale psują się chyba? — wypytywał dalej Haipad. — Wszystko po jakimś czasie przestaje działać.

— Chciałbyś! To są replikatory. Te małe sukinsyny mnożą się jak wirusy. Wła śnie!
— Soul odwrócił się. — Mikroskop powie więcej. Kwadrans.

Odszedł w głąb laboratorium.

Judyta sięgnęła po kubek wystygłej kawy, zmarszczyła nos, ale pociągnęła łyk.

Znów zaczęła się bawić komunikatorem.

Harpad siedział pochylony. Wpatrywał się w podłogę i wyglądał, jakby zapadł w stupor. Tak naprawdę rozważał wiele możliwych planów. A najwięcej myślał o kioskarzu.

— Pewne rzeczy są nieodwołalne — Judyta miękko położyła mu dłoń na ramieniu.
— Myślałam o moim ojcu, co mogę dla niego zrobić. To znaczy... co mogę robić, żeby jego śmierć nie poszła na mamę. No i zamierzam kontynuować jego dzieło. Przyłącz się do nas.

— Do waszej dwójki? — Harpad obejrzał się na Soula, mamroczącego coś nad mikroskopem.

— Odbuduję jego kontakty — zapewniła go Judyta. — Jesteśmy ważną komórką.

— I będziesz musiała uciekać do więzienia? Oryginalny masz sposób na życie.

Westchnęła.

— Zamierzasz pozwolić, żeby eliminacja Marysi poszła na marne?

— Nie. Sprowadzę ją z powrotem.

IV

— Zaczekaj jeszcze chwilę! — poprosiła Judyta. Niewiele brakowało, a zasłoni łąby własnym ciałem dostęp do drzwi.

— Pół godziny.

Harpad nie miał siły ani ochoty się z nią szarpać. Zresztą wyniki badań Soula też mogły się okazać przydatne.

— Po co? — zapytał, nie ruszając się z miejsca.

— Ktoś ma tu przyjść. Gdybyś go zbadał... to by pomogło.

— Masz tu naukowca. — Wskazał Soula. — Ja jestem pseudonuzzlerem, jak inni. Trochę sprytniejszym, lepiej grającym. Tak mówiłaś, pamiętasz?

Judyta zamknęła oczy i pokręciła głową.

— Zaczekaj pół godziny. Potem zrobisz, co będziesz chciał.

— Porzuć wszelką nadzieję — rzucił z głębi laboratorium Soul. — Jest uparta jak agent skarbówki.

— Kto to ma być? — zapytał Harpad.

— Nie wiem. Ze względów bezpieczeństwa nie znałam nikogo poza Soulem i ojcem. Ten kontakt jest niejawnny.

— Niejawnny? — Harpad oparł się o blat. — Jak można wysyłać niejawne WT?

— Musiałabym zapytać policyjnego informatyka. — Dziewczyna pokazała mu wyświetlacz. W miejscu, gdzie powinien być nadawca, widniał tylko wielokropek.

— Ma zakodowany komunikator?

— Komunikator przechowuje tylko dane, które są na wyświetlaczu — rzucił z boku Soul. — Reszta leży na serwerach.

Jeżeli weźmiesz w rękę czyjś komunikator, to wyświetli twoje dane.

— Co? — Harpad spojrział na niego z zaskoczeniem.

Soul zerknął na niego znad okularów.

Podszedł.

— To tylko wyświetlacz, antena i bateria. — Wyjął z kieszeni, podał nuzzlerowi swój komunikator. — Kto weźmie w rękę, to jego.

Harpad podejrzliwie przesunął kciukiem, żeby przejrzeć zawartość.

— Lubisz tokijskie porno? — zapytał.

Naukowiec zbliżył się gwałtownie i spojrzał nad jego ramieniem na wyświetlacz.

— Lubię — przyznał. — Jak to zrobi łoś?

— Co jak zrobiłem? Podałeś mi odblokowany.

— Daj mi swój — poprosił Soul.

Harpad podał mu komunikator. Ledwo urządzenie zmieniło właściciela, zmienił się również jego wygląd — teraz było kopią tego, który spoczywał w dłoni nuzzlera.

Tknięty przeczuciem, sięgnął do kieszeni.

— Kurwa, to był jej...

Wyjął kolejny komunikator.

— Ile ty tam tego masz? — zapytał Soul. — Handlujesz nimi?

— To był komunikator Renaty. — Harpad wyjął z rąk naukowca urządzenie i zerknął na ekran. Zniknęły WT Renaty, zastąpione przez linki do tokijskiego porno.

Schował go do kieszeni. — Wziąłem go...

wtedy. Czytałem jej WT. — Harpad spojrzał na Judytę. — Różniły się od moich. To znaczy, ona wysyłała co innego, a co innego ja dostawałem.

— To niemożliwe. — Dziewczyna pokręciła głową. — Przesyłanie wiadomości tekstowych jest automatyczne. Jak je przeglądałeś? Słyszałeś, kto weźmie...

— Daj mi swój. — Wyciągnął rękę.

— To model policyjny. — Podała mu swój komunikator. — Nic nie zrobisz.

Zablokuje się.

W dłoni Harpada ekran rozjaśnił się menu startowym serwisu policyjnego.

Judyta obserwowała to z niedowierzaniem.

Nuzzler dotknął losowych przycisków.

W powietrzu między nimi pojawił się holograficzny model ulic przed gmachem Rady.

— Sprawdzalam, jak do tego doszło — wyjaśniła. — Jak to możliwe, że... — wskazała hologram. — Jak to robisz?

— Nie wiem. — Harpad przesuwał i obracał model. — Jak powstaje taki obraz?

— Montaż obrazu z kilku kamer?

— Wzruszyła ramionami. — Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym.

— To wygląda, jakby każdy z demonstrantów miał własną małą kamerę — zauważył Soul. — Przesuwając się, zmieniasz punkt widzenia, a obraz jest składany z nagrań z kolejnych kamer.

— Ludzie nie noszą ze sobą kamer.

Zapikał jeden ze sprzętów w głębi laboratorium. Soul bez słowa zabrał swój komunikator i odszedł w stronę, z której dobiegał dźwięk.

— Można to cofnąć? — Nuzzler wskazał nagranie.

Judyta pokazała mu, jak to zrobić.

Nie chciał oglądać jeszcze raz tamtych wydarzeń. Cofnął do momentu, w którym dostrzegł mężczyznę i kobietę prowadzących Marysię. Dowiedział się, że są blisko związani z Wolfem. Informacja po prostu pojawiła się, jak poprzednio, bez wchodzenia w trans. Rekordy tej dwójki we wnętrzości g.A.I.a. łączyły się nawet nie linkami, lecz linami z kryjącym się we mgle rekordem Wolfa. Teraz przynajmniej nie miał wątpliwości, kto stał za porwaniem. Wiedział też, że zamach, jaki planował, był naiwny i głupi. Być może kiedyś to zrobi, kiedyś zemści się... Nie, to złe słowo — kiedyś ukarze Wolfa za to, co zrobił Marysi.

Teraz miał jednak zupełnie inne zadanie.

— Wejdz do menu głównego — poprosiła Judyta.

Harpad zrobił to dopiero po chwili.

— Wybierz „sprawy w toku”

— mówiła dalej. — I teraz tę z samej góry.

Przez chwilę nie mogła uwierzyć, gdy na ekranie pojawiły się rządki podkatalogów sprawy. Ostrożnie, jakby to miało coś zmienić, wzięła komunikator. Akta natychmiast zniknęły. Spojrzała pytająco na nuzzlera, który uniósł brwi w zdumieniu. Przygryzła wargę. Zastanawiała się, patrząc na komunikator.

— Otwórz jeszcze raz — poprosiła, podając mu urządzenie.

Wyświetlił akta. Dziewczyna wyciągnęła palec, ale w porę się zatrzymała.

— Otwórz trzeci od góry — poprosiła.

Ekran wypełniło zdjęcie leżącego na podłodze Talińskiego. Krwi nie było dużo i tylko stercząca z piersi rękojeść noża nie pozostawiała wątpliwości co do przyczyny

śmierci.

Judyta zamknęła oczy. Harpad odłożył komunikator i po krótkim wahaniu objął ją.

Poddała się sztywno. Zaraz jednak opanowała się, odsunęła od nuzzlera i wzrok jej padł na zajętego swoimi maszynami Souła.

— To już i tak niczego nie zmieni — wyszeptała.

Harpad chciał coś powiedzieć, pocieszyć ją. Nie znalazł odpowiednich słów, milczał więc.

— Dlaczego nie sprawdzisz, co z nią?

— zapytała nagle. — Z Maiysią. Potrafisz to przecież.

— Boję się. Boję się, że coś... popsuję, jeśli ją wyszukam. Najpierw muszę to przemyśleć. Kioskarz nie przeżył powrotu.

— Umarł z wycieńczenia. Był stary, pewnie chory.

Harpad westchnął.

— Ja to zrobiłem — powiedział. — Ja go sprowadziłem z Eliminacji.

Patrzyła na niego badawczo.

— Rozumiem, że potrafisz to — wskazała leżący na blacie policyjny komunikator — ale nie powiesz mi, że... Nie. — Pokręciła głową. — Nie uwierzę.

— Nie zrobiłem tego celowo. Wcze śniej nawet nie wiedziałem, że to możliwe.

Wchodziłem w rodzaj... transu i sprawdza łem wartość PZ. Tak zarabiałem na życie.

Ludzie płacili mi za to duże pieniądze, przecież wiesz. Kilka dni temu odkryłem, że PZ można zmieniać. — Zrobił pauzę. — Dlatego Kaliszewski nie uległ Eliminacji.

Judyta zamknęła oczy.

— Przez to cała misternie przygotowana akcja wzięła w łąb.

— Chciałem wam znaleźć innego kandydata — przypomniał.

— Ty to zrobiłeś? — zapytała ostrożnie, po czym podniosła głos — ty obniżyłeś PZ Kruszewskiego?!

— Tak.

Za późno zobaczył w jej oczach furię.

Pclmęła go. Stracił równowagę i przewróciłby się, gdyby nie uderzył plecami o ścianę.

— Zabiłeś go! — krzyknęła.

Harpad próbował się odsunąć, ale doskoczyła do niego i złapała go za poły kurtki.

— Rozumiesz?! Przez ciebie nie żyje mój ojciec!

— Nie trzęście, bo tu mi obraz skacze — rzucił Soul z głębi laboratorium.

— Zabili go za to! — Judyta dociskała zaskoczonego nuzzlera do ściany. —
Rozumiesz to?

Niezdarnie próbował się wyswobodzić.

— Tyle przygotowań! Misterny plan, porozumienie z Prowokacją, wszystko precyzyjnie ustawione. A ty... Wiesz w ogóle, co zrobiłeś?!

— Porozumienie z Prowokacją?

— Harpad nagle znalazł w sobie siłę, by strząsnąć z siebie dłonie dziewczyny i odepchnąć ją. — Ty napuściłaś Renatę na Kruszewskiego?

Judyta straciła nieco impetu.

— Nie wiedziałam, że to będzie ona.

— To teraz już wiesz! Renata zginęła, a małą zabrała Eliminacja. To się stało mojemu dziecku! A ty mi opowiadasz o ojcu, którego w pierdłu zaciukał współwięzień. Co ja mam z tym wspólnego?! Za to ty masz wiele wspólnego z Eliminacją mojej córki.

— Wyciągnął z kieszeni pistolet. — Dziś rano chciałem zabić wszystkich odpowiedzialnych za Eliminację Marysi.

Jednak nie unosił pistoletu, celował nim w ziemię.

— Wszystko zaczęło się od tego, że nielegalnie wykorzystywałeś swój talent — powiedziała cicho policjantka. — Zatem śmiało, zastrzel pierwszego winnego — palnij sobie w łeb!

W ciszy cykało urządzenie, nad którym pochylał się Soul.

— Już nikogo nie zamierzam zabijać.

— Harpad schował pistolet. — Jeśli kioskarz wrócił, to Marysia też może. Zmniejszyłem mu PZ, a Eliminacja go wypluła.

Eliminacja to nie śmierć. Mogę sprowadzić ją z powrotem i zapewnić jej normalne życie.

Judyta patrzyła na niego poważnie.

— Mamy tego samego wroga — powiedziała.

— g.A.I.a. to nie wróg. To element naszego środowiska. Do środowiska się dostosowujesz lub giniesz.

Z głębi laboratorium dobiegło popiskiwanie jednego z urządzeń.

— Aha! — wykrzyknął Soul. — Tu cię mam, moje maleństwo.

Nuzzler i policjantka zbliżyli się do niego. Ekran mikroskopu wyświetlał czarnobiałą obraz kilkunastu rozmytych jasnych obiektów, unoszących się na ciemniejszym tle. Były obłe, miękkie, organiczne i przypominały kształtem pączki z dziurką.

— Co znalazłeś? — zapytała policjantka.

— To. — Soul wskazał znacznie mniejszy obiekt, który różnił się od pozostałych geometrycznym, sześciokątnym kształtem.

— Te wszystkie okrągłe to erytrocyty, czerwone krwinki, a ten mały diamencik to nasz nanorobot. Nie reagują na kod wywoławczy. Zatem albo są nieaktywne, albo jest ich za mało, żeby je wyczuł sensor ID.

— Ile ich zwykle jest?

— Nie wiem. U dorosłego może nawet kilka miliardów. To znaczy, że w takiej próbce powinniśmy widzieć trzy, może pięć. A tego znalazłem po dłuższych poszukiwaniach. Kiedy umarł właściciel tych erytrocytów?

— Nie więcej niż dwie godziny temu — odparł Harpad.

Soul przejechał dłonią po karku w geście zamyślenia.

— Nie sprawdzałem nigdy próbki pobranej od trupa — powiedział. — Zatrzymanie metabolizmu może powodować wytrącanie nano z krwi. Może tracą wtedy źródło energii i się wyłączają. Sądzę, że czerpią energię z procesu przypominającego oddychanie komórkowe, ale pewności nie mam. Po ustaniu krążenia poziom tlenu we krwi szybko spada... Kto wie, kto wie...?

— Na pewno były jakieś badania — zasugerował Harpad. — Sprawdź.

— Badania nad nanobotami g.A.I.a. nie są prowadzone — odezwała się Judyta.

— Kiedyś były, ale dziwnym trafem wiązały się z szybkim wzrostem PZ u całego zespołu.

Harpad wzruszył ramionami, wlał do kubka resztę kawy z ekspresu. Była chłodna i paskudna, ale kawa to kawa.

Pomaga w myśleniu.

— Poradziłaś mi, że jeśli chcę odzyskać córkę, mam zrobić, co mi każą — powiedział do Judyty, która zostawiła Soula, by pracował w spokoju. — Zrobiłem to, czego chciał Wolf. A chciał obniżenia PZ Kruszewskiego. Wtedy właśnie odkryłem, że potrafię to zrobić. Kim on jest?

Dlaczego jest tak potężny, że policja boi się go tknąć?

— To nie takie proste. Żeby kogoś aresztować i potem skazać, potrzebne są dowody, zeznania świadków. A g.A.I.a.

utrudnia nam zadanie. Wolf opanował do perfekcji legalne działania, wykorzystujące mechanizmy PZ. To nie jest zastraszanie świadków ani nie wymuszanie zeznań. To szereg działań, które potrafią skutecznie doprowadzić do Eliminacji. — Zastanowiła się. — „Wolf” to nasz policyjny kryptonim.

Skąd go znasz?

— Przyszło mi do głowy. — Nuzzler wzruszył ramionami. — Kiedy go spotkałem, dowiedziałem się... Nie wiem, jak to działa. — Pociągnął kolejny łyk gorzkokwaśnej kawy. — Dlaczego chcieliście usunąć Kruszewskiego?

— Nie chodziło o usunięcie. — Judyta pokręciła głową. — Chcieliśmy pokazać...

uświadomić wszystkim, jak zły i niesprawiedliwy jest system hiperprewencji. Kruszewski miał zniknąć w Eliminacji po fałszywym oskarżeniu. Ludzie mieli zobaczyć, w jakim terrorze żyjemy. Wszystko zostało przygotowane pod Kruszewskiego.

Po jego zniknięciu sprawa miała zostać wyjaśniona, a on oczyszczony z zarzutów.

To miało dać wszystkim do myślenia.

— Zawahała się. — Było jeszcze coś. Przygotowaliśmy dla Kruszewskiego wizjerkę.

— Co takiego?

— Wizjerka to nanoboty łączące się z nerwem wzrokowym. Pozwalają widzieć to samo, co widzi człowiek, który wypił roztwór z nano. Czas transmisji jest ograniczony zwykle do kilkunastu godzin — potem układ immunologiczny zaczyna zwalczać nano. Używamy tego podczas działań inwigilacyjnych. Chcieliśmy zobaczyć, co się dzieje z człowiekiem po Eliminacji. Rozważaliśmy też opublikowanie tego materiału. Na pewno wstrząsnąłby społeczeństwem. Niestety, mieliśmy za mało czasu na przygotowania i nie udało się podsunąć mu roztworu do wypicia.

— Skoro i tak nie macie skrupułów — Harpad wzruszył ramionami — wybierzcie kogoś łatwiej dostępnego.

— Taki mam zamiar. Nie chodzi nawet o brak skrupułów, lecz cel nadrzędny. I nie będziemy nikogo spychać do Eliminacji.

Jutro przejdziemy się ulicami, a ty wybierzesz kogoś, kto i tak niedługo do niej trafi.

Poczęstujemy go napojem z wizjerką.

— Mogę znaleźć kogoś na krawędzi — powiedział Harpad — ale nie dam gwarancji, kiedy Eliminacja się o niego upomni. A ten ktoś, kto ma dziś przyjść?

— To ktoś, kto chce nam pomóc. Informator. Sprawdzisz, czy jest tym, za kogo się podaje.

— Przecież pracujesz w policji.

— Wskazał jej komunikator. — Tym możesz zidentyfikować każdego.

— Nie jego. On należy do jedynej organizacji, której pracowników nie da się zidentyfikować.

Przerwało im buczenie dzwonka.

Judyta nabrała powietrza i podeszła do drzwi. Pomięła sprawdzanie, po prostu otworzyła je.

Gość bez słowa wszedł. Był niewysoki, choć barczysty i energiczny w ruchach. Na oko pięćdziesięciolatek, rzucał wokoło czujne spojrzenia kogoś, kto przeżył wiele.

Łysa głowa błyszczała w zimnym świetle LED—ów.

Judyta otworzyła metalowe pudełko, w którym leżały trzy komunikatory. Gość dołożył tam swój.

— Judyta Talińska. — Dopiero wtedy podała mu rękę.

— Możecie mnie nazywać Osiem Jeden. — Uścisnął jej dłoń. — Nie powiem wam, jak się nazywam. Nie zdradzę żadnych danych dotyczących konkretnych akcji. Nie będę też mówił o mojej przeszłości ani o życiu prywatnym.

Harpad tylko uścisnął jego dłoń. Nie codziennie widzi się Eliminatora. A może lepiej byłoby powiedzieć, że nie codziennie się wie, że się widzi Eliminatora. Ten nie wyróżniał się niczym szczególnym i Harpad nie mógł stwierdzić, czy gęsią skórę na jego plecach powoduje jakaś specjalna, niewidoczna na pierwszy rzut oka cecha tego człowieka, czy sama świadomość, czym się zajmuje. A jednak wiedział, po prostu wiedział, miał absolutną pewność, że metr od niego stoi Eliminator. Wiedział też, jak Osiem Jeden nazywa się naprawdę, ale nie zamierzał się tą wiedzą z nikim dzielić.

— Proszę, niech pan usiądzie.

— Judyta podsunęła krzesło do obdrapanego stołu.

— Nie komplikujmy. — Usiadł.

— Mówmy sobie na „ty”.

Dziewczyna skinęła głową i wrzuciła nowy zasobnik z kawą do ekspresu.

Maszyna zasyczała i zabulgotała. Usiedli, i tylko Soul kręcił się w głębi, starając się udawać, że nic poza maszynami go nie interesuje.

— Nie mam wiele czasu — powiedział Osiem Jeden. — Przejdźmy do rzeczy. Co chcecie wiedzieć?

— Wszystko, co możesz nam powiedzieć o Eliminacji — odparła Judyta. — Pytania pojawiają się w trakcie.

— Zespoły są czteroosobowe. Znamy nawzajem swoje twarze — podczas niektórych treningów i wszystkich odpraw nie nosimy masek. To ważne i psychologicznie uzasadnione, bo tak tworzą się więzi. Po zakończonej misji, w kantynie również nie mamy masek. To „godzina relaksacyjna”, czas na rozluźnienie i omówienie przebiegu misji. Nie znamy swoich imion, nie wiemy niczego o swoim życiu prywatnym. Zwracamy się do siebie, używając numerów lub ksywek. Tematy naszych rozmów podlegają ścisłym regulacjom. Czasem, jeśli jest to konieczne, godzina relaksacyjna jest poprzedzona spotkaniem z oficerem prowadzącym. Jego twarzy nie znamy.

— A inni oficerowie?

— Nie znam hierarchii Eliminacji.

— Osiem Jeden odpowiadał monotonnym tonem, jakby zdawał raport. — Pracuję tam od roku granatowego. To za krótko, by awansować. Jedynym człowiekiem, od którego otrzymujemy rozkazy, jest nasz oficer prowadzący. Czasem zdarzają się skomplikowane akcje, w których bierze udział więcej niż jeden zespół. Nawet wówczas, jedyna rzecz, którą wiemy o funkcjonariuszach z innych zespołów, to ich numery służbowe. Widzimy je tylko my, są niewidoczne dla postronnych.

— Co robicie, jeśli przypadkiem się spotkacie na mieście? — zapytała Judyta.

— Po służbie.

— Instrukcja jest prosta — mamy udać, że się nie znamy. Ale to się nie zdarza, przynajmniej mi się nie zdarzyło. Komunikatory ostrzegają nas, jeśli zbliżamy się do funkcjonariusza.

Dziewczyna naląła kawę i podała mu kubek.

— Oficer prowadzący mógłby powiedzieć wam więcej. — Eliminator podmuchał na gorący napój i odstawił kubek na blat. — Jestem pewien, że on też nie zna twarzy swojego przełożonego. Ale z pewnością wie więcej ode mnie.

— Pracujemy nad tym — powiedziała Judyta.

Harpad poznał ją już na tyle, żeby wiedzieć, że wiele ją kosztuje utrzymywanie iluzji panowania nad sytuacją.

— Nie zdarzyło się, żeby ktoś postronny próbował wam przeszkodzić? — zapytała.

— Kilka razy — przytaknął po żołniersku Osiem Jeden. — Naszym zadaniem jest tak przeprowadzić Eliminację, żeby nie ucierpiał nikt postronny. Dlatego staramy się wybrać moment, w którym obiekt będzie z dala od swoich bliskich. W dziewięciu na dziesięć przypadkach oporu wobec Eliminacji, to bliscy sprawiają trudności. Używamy wtedy niezbędnych środków przymusu. Mamy prawo użyć również środków przymusu ostatecznego. Eliminacja ma najwyższy priorytet.

— Ktoś wam kiedyś nawiał? — odezwał się Haipad.

Eliminator spojrzał na niego. Odpowiedział dopiero po chwili: — Trzy razy. To gest rozpacz, bo Eliminacja nigdy nie została odroczone na dłużej niż kilka godzin. Zawsze znamy lokalizację obiektu. W Pierścieniu Warszawa nie ma miejsca, gdzie można się przed nami ukryć. Eliminator podczas służby ma możliwość otwarcia każdych drzwi, użycia każdego pojazdu i każdego urządzenia. Nawet zdalnie.

— Trafiałeś kiedyś na kogoś znajomego? — pytała dalej policjantka.

— Nigdy. — Wziął kubek z kawą i zamieszał nim. — Osobiście sądzę, że czuwa nad tym odpowiedni algorytm.

Harpad czekał na grymas na jego twarzy po pierwszym łyku. Nie zawiódł się.

— Nie miewasz wyrzutów sumienia?

— znów zapytał nuzzler.

Justyna rzuciła mu karcące spojrzenie.

Uważała, że przeszkadza, ale nie dbał o to.

— Jeśli chcesz wiedzieć, to nie brałem udziału w Eliminacji twojej córki. — Harpad poczuł, jak coś ściska go za gardło.

— Ostatnie zadanie zrealizowałem dwa tygodnie temu. Wyeliminowaliśmy pewnego prawnika podczas wieczornego joggingu. Streszczajmy się. Dziś ostatni dzień urlopu, jutro o dziesiątej zaczynam służbę.

— Upił następny łyk kawy i znów się skrzywił. — To, co wam mówię, zostanie między nami, tak? — upewnił się.

Judyta skinęła głową i uspokajająco poklepała dyskreter.

— Opowiedz, jak przebiega Eliminacja — poprosiła.

— Są dwa rodzaje misji. Zwykle obiekt Eliminacji jest nam przedstawiany na odprawie. Takiej samej, jaką znasz ze swojego wydziału. Ważne jest jak najszybsze dokonanie Eliminacji, ale staramy się to robić tak dyskretnie, jak to możliwe. Czasem to oznacza kilkugodzinną zwłokę.

Drugi rodzaj misji to nagłe interwencje.

Dowiadujemy się o nich w trakcie służby.

Zdarza się, że korzystamy z pomocy Prowokacji. Przechwycenie obiektu też wygląda podobnie jak w przypadku policyjnego zatrzymania. Jeżeli obiekt ma ochronę, w akcji biorą udział co najmniej dwa zespoły Eliminatorów. To nadmiarowe zabezpieczenie, bo zdarza się raz na sto przypadków, że ochrona podejmuje jakieś działania. Przechwycony obiekt jest obojętniany, a jego identyfikacja — weryfikowana. Następnie przekazujemy obiekt do Terminalu Wyjścia na terenie bazy.

Opowiadał to wszystko tonem bez emocji, jakby relacjonował przebieg meczu dyscypliny sportowej, która go ani trochę nie interesuje.

— Co to jest? — zapytała Judyta.

— To... — Osiem Jeden zastanawiał się chwilę. — To jest miejsce, gdzie obiekt ostatecznie opuszcza nasz świat. Umieszczamy go wewnątrz śluzy Terminalu Wyjścia. Nazywamy to „zsysem”. Wewnątrz czeka robot, który unieruchamia obiekt.

Gdy zamykają się drzwi, nasze zadanie jest wypełnione. Udajemy się na godzinę relaksacyjną. Coś jeszcze?

Spojrzał tęsknie na metalowe pudełko ekranujące komunikatory.

— Czy zdarza się, że czekacie na obiekt, zanim przekroczy próg Eliminacji?

— zapytał Harpad. — Tak, żeby się przygotować i szybciej go zwinąć?

— Nie obchodzą nas żadne progi.

Mamy zlecenie na konkretny obiekt.

Judyta otworzyła pudełko i oddała Eliminatorowi komunikator.

— Chcecie znać moje zdanie? — zapytał. — Policja, sądy, adwokaci, cały ten archaiczny system utrzymania porządku to zbędny balast. Atawizm, który powinien zniknąć.

Dotknął komunikatorem do skroni w parodii salutu i wyszedł w noc. Trzasnęły metalowe drzwi.

— Właściwie to czemu on tu przyszedł i nam to wszystko opowiedział? — zapytał

Harpad.

— Nie wiem — przyznała Judyta.

— Może Osiem Jeden wypił o parę drinków za dużo i chlapnął komuś coś, czego nie powinien chlapnąć. Resztę załatwił szantaż.

Harpad poczuł znajome ssanie. Zignorował je.

— Dobrze grałaś panią sytuacji — pochwalił ją. — Znasz swoich przełożonych z tej całej Sprawy? Nie? To tak samo jak on. Ktoś ci go przysłał, a ty nawet nie wiesz kto.

— To nieistotne. — Judyta wyjęła z kieszeni kurtki komunikator i wyłączyła nagrywanie. Harpad pomacał się po kieszeniach i zrozumiał: w pudełku były komunikatory jego, Renaty i Soula. Ten należący do Judyty cały czas spoczywał w jej kieszeni. I nagrywał.

— Osiem Jeden nie powiedział nam nic, czego byśmy wcześniej nie wiedzieli — wyjaśniła policjantka. — Jedyne, co udowodnił, to że jest nam moralnie obcy.

Potwór, innymi słowy.

— Po co więc ta cała rozmowa?

— zapytał Harpad.

Jeżeli jeszcze czegoś nie rozumiał, to następne pytanie Soula z głębi laboratorium rozwiązało jego wątpliwości: — Wypił?

Judyta z uśmiechem uniosła pusty kubek.

V

Mieszkanie to klitka cztery na cztery z kanapą, szafą, biurczkiem służącym również za toaletkę i krótkim blatem kuchennym. Gdyby ktoś chciał się przewrócić w łazience, nie zdołałby, tak była ciasna. Wisząca na drzwiach sukienka wyglądała, jakby trafiła tu przez przypadek z innego, lepszego świata.

Eliza Strumińska siedziała na kanapie i przeglądała kolejne nagrania na komunikatorze. Nie płakała, ale niewiele brakowało. Oczywiście, że była zła na świat. Nie po to pomagała budować coś przez wiele miesięcy, by teraz zniszczyć to w jeden dzień. I to w taki sposób. Wiedziała, że prędzej czy później to nastąpi, choć liczyła, że później. Niestety, są ludzie, którym się nie odmawia.

Wstała, kilkoma wprawnymi ruchami rozłożyła kanapę i narzuciła na nią pościel.

Teraz na środku pokoju zostało tylko tyle miejsca, że mogła tam stanąć i rozebrać się do końca.

Wślizgnęła się pod kołdrę i wróciła do komunikatora. Zerknęła na nieprzeczytane WT i skasowała je bez otwierania. Powinna się poczuć wolna, już nie będzie musiała na nie odpowiadać, nie będzie musiała rozwiązywać nierozwiązywalnych spraw. Musi za to zniknąć na jakiś czas i mieć nadzieję, że wszyscy zapomną. Może cała ta sprawa zaszkodzi jej przyszłej karierze, może ją zniszczy, a może wprost przeciwnie. Bała się, to jasne, ale — rozejrzała się po ciasnym mieszkanku — przecież nie będzie się powoli piąć w tym żmudnym kieracie kariery. Chciała od razu wskoczyć kilka poziomów wyżej.

Przejechała dłonią po kanapie. Będzie jej brakowało Kruszewskiego, przyzwyczaiała się do niego. Ile razy tutaj to robili? Ile orgazmów, tych udawanych i tych prawdziwych?

Oglądała je teraz na komunikatorze.

Nie wszystkie nagrała, ale powinno wystarczyć.

* * *

Janusz Zdonek wiedział, że prędzej czy później to nastąpi, choć liczył na to, że

prędzej. Miał już trzy WT od pewnego przedsiębiorcy, a jednak nie odpowiadał. Do siódmej zostało jeszcze kilka minut. Jeśli się przyzwyczają, że jest dostępny zawsze, to będzie musiał być dostępny zawsze.

A tego przecież nie chciał.

Wszedł do kuchni już w wygodnych, domowych ciuchach. Nie ma przecież sensu ubierać się elegancko, jeśli istnieje poważne ryzyko oblania się kawą. Anna i Agata już krzątały się po kuchni, którą wypełniał zapach świeżego chleba i kawy.

Zapach pochodził z aromatyzatora, bo chleb kończył się kompilować, a kawa zaparzała się w hermetycznym ekspresie.

— Dzień dobry, panie Januszu — powiedziała Anna, a Agata tylko się uśmiechnęła. To wystarczało. — Dobrze pan spał?

— Dziękuję. — Skinął głową.

— Doskonale. Co dziś mamy na śniadanie?

— Jajecznica na maśle ze szczypiorkiem i pomidorki. — Agata umyła ręce, założyła mu pod szyję serwetę i powróciła do przygotowań. — Czy życzy pan sobie, żeby je podsmażyć?

— Wystarczy, jeśli przekroicie każdy na pół. — Usiadł za stołem. — Zostanie więcej witamin. Nałóżcie nam po dwa.

Czyli po czteiy połówki.

Przejrzał jeszcze raz najnowsze serwisy. Na kilka dni przed wyborami miasto traciło poczucie dnia i nocy. Wszyscy związani w jakikolwiek sposób z polityką nie spali i funkcjonowali na okrągło. Nie zamierzał do nich dołączać.

Anna przełożyła jajecznicę na dwa talerze, a Agata dorzuciła pomidory i cileb posmarowany masłem. Postawiły talerze, szklanki z sokiem i filiżanki kawy na stole, po czym ukłoniły się.

Zdonek zaczekał, aż zamkną się na nimi drzwi pomiędzy kuchnią a jadalnią.

— Jak noc? — zapytał w kierunku żony. — Miłe sny czy koszmary?

Nie odpowiedziała. Nie tknęła też jedzenia.

— Mnie się nic nie śniło. — Zaczął jeść. — Po przebudzeniu myślałem o propozycji, którą dostałem od pewnego dużego przedsiębiorcy. Nie znasz. Ma kilka znaczących firm, ale sam pozostaje w cieniu.

Oferuje mi dofinansowanie finiszu kampanii wyborczej. Twierdzi, że wnoszę

ożywczy powiew do polityki i że jako świadomy obywatel chce mnie wspomóc. Oczywiście kłamie, bo i musi. Takie zasady. I wiesz co? Najbardziej mnie ciekawi, co będzie chciał w zamian, jak już wygram. Spotkam się z nim, bo takie rzeczy trzeba omawiać w cztery oczy. — Między kęsami zerkał na milczącą żonę. — To wprost fascynujące.

Zasady politykowania są bardzo proste.

Najważniejsze to znać przeciwnika. Liczy się tylko umiejętność oceny ludzkich charakterów. Żadne inne kompetencje nie są ważne. Im bardziej się w to zagłębię, tym bardziej mnie to dziwi. Pierścieniem Warszawa, a innymi na pewno też, rządzą ludzie, których najważniejszym talentem jest umiejętność wynajdywania słabych punktów przeciwnika, wykorzystania ich, wygryzienia i dopchania się do władzy.

W to idzie niemal cała energia. Potem, już po zdobyciu władzy, zaczynają się działania pozorowane, których celem jest ukrycie niekompetencji do pełnienia funkcji. No i bezpieczne doczekanie do kolejnych wyborów. Najważniejszą kompetencją ministra finansów nie są finanse, lecz przegonienie innego kandydata na to samo stanowisko. Fascynujące.

Odsunął od siebie talerz z połową jajecznicy i dwoma kawałkami pomidora.

Wypił do połowy sok pomarańczowy i przysunął filiżankę z kawą. Była wypełniona do trzech czwartych wysokości, dokładnie tak, jak powinna. Dziewczyny osiągały perfekcję.

— Nie potrzebuję pieniędzy tego przedsiębiorcy — powiedział. — Mam wystarczająco dużo funduszy na kampanię.

Ale jestem ciekawy, czego chce w zamian.

Jeśli już się bawię w politykę, niech to będzie zabawa na całego. Tak to wygląda — trzeba się spotykać z ludźmi, którzy próbują cię wykorzystać. I wykorzystać ich.

— Wytarł usta, popatrzył na talerz żony z wystygłą jajecznicą i pokręcił głową.

— Zagłodziś się na śmierć, moja droga.

Nie odpowiedziała. Zupełnie jakby jej tam nie było.

* * *

Na kilka dni przed wyborami pory dnia zlewały się w jeden chaos chwilowych potrzeb i szans, które mogły się pojawić o dowolnej porze. Większość zaangażowanych

w nie, od polityków, poprzez dziennikarzy, a skończywszy na szeregowych pracownikach obsługi technicznej czy gastronomicznej, szczerze tego nienawidziło. Nie mieliby nic przeciwko, by na te kilka dni zrezygnować ze ściemów i jasów, pozostawiając Niesłońce przygaszone do połowy.

Waldemar Kaliszewski był jednym z nich, choć on akurat odróżniał możliwe od niemożliwego.

Siedział przy kawiarnianym stoliku i po raz kolejny sprawdzał, czy nie ma WT od Elizy. Zasnęła. Może tak podziałało na nią odstawienie Niesnu. Niech sobie pośpi, będzie potrzebna za kilka godzin. Zerknął na prognozy wyników wyborczych. Nie zanosilo się na nic, na żadne gwałtowne wydarzenie, które mogłoby odwrócić trend i zapewnić mu zwycięstwo. Nie miał żadnego sensownego planu, bo tego, co przygotowała agencja PR, nie nazwałby planem. Ileż można wzmacniać wizerunek moralnie nieskazitelnego męża stanu i swojej żony? Człowieka bez nałogów, nieumoczonego w układach, za to bezskutecznie starającego się o dziecko. Te ciągłe sesje z żoną były już nudne. Aż dziwne, że Wielicki nie przebił tej karty prostym zdjęciem ze swoją żoną i dwójką udanych dzieci.

Cztery lata temu promował przeciw poglądom, że tylko rodzic może pełnić ważną funkcję publiczną, bo tylko on myśli perspektywicznie, o przyszłych pokoleniach, nie o własnej emeryturze.

Teraz Wielicki już nic nie musiał, bo Kruszewski przestał być dla niego zagrożeniem.

— Możemy zaczynać? — głos dziennikarki wyrwał go z zamyślenia. Wyglądała nawet sympatycznie i nawet inteligentnie.

Była drobna, choć próbowała to zamaskować strojem. Zjadała ją trema, widział to.

To dobrze.

— Jestem gotowy — odparł.

Siedzieli w kawiarni, wynajętej na dwadzieścia minut przez serwis informacyjny. Za oknem dopiero zaczynało się robić jasno, ale ulice już były pełne ludzi.

Nie potrzeba jasnowidza, żeby znać pierwsze pytanie.

— Naprawdę nie chcę, ale muszę nawiązać do tej sprawy — powiedziała niemal przeproszającym tonem. — Jak pan sądzi, na ile zmniejszy to pańskie szanse na wygraną?

— Niestety, jak wskazują sondaże, kłamstwo i pomówienie jest coraz

skuteczniejszym narzędziem walki politycznej.

— Więc utrzymuje pan, że oskarżenie było nieprawdziwe?

— Oczywiście! To atak polityczny, a jedyna osoba, która mogła powiedzieć prawdę, nie żyje. — Jedno, co dobrze doradziła agencja, to nieatakowanie prowokatorce. Choć to wbrew logice, większość ludzi ją uważa za ofiarę, nie jego. — Podejrzewam, że była szantażowana. Zmuszono ją do tego pomówienia, a ona się zgodziła, żeby chronić własne dziecko.

— Ma pan na myśli tę dziewczynę, jej córkę, o której wykorzystanie pana oskarżała? Minusem każdego wywiadu są niewygodne pytania.

— Mam na myśli dziecko, które pojawiło się przed gmachem Rady w samym środku demonstracji. Nie znalazło się tam przypadkiem. Zostało zwrócone matce przez poiywaczy po wykonaniu przez nią prowokacji.

— Ma pan na to dowody? Policja dopiero rozpoczęła śledztwo.

Nie tylko te niewygodne pytania przeszkadzają, przeszkadzają wszystkie. Przeszkadzają w jasnym formułowaniu myśli i w precyzji przekazu.

— ... i jak się pani domyśla, wyniki nie będą znane przed wyborami. Jedyne, co wiadomo, to że ta... kobieta należała do Prowokacji.

— Skąd ma pan takie informacje? Prowokacja podlega ustawie anonimizacyjnej.

Wywiad to ciągła walka. Pytania, nawet te zadawane przez tak niedoświadczoną rozmówczynię, spychają do narożnika i nie pozwalają mówić o tym, co naprawdę ważne.

— Ustawa nie zabrania zapamiętania twarzy prowokatorce z poprzedniej prowokacji.

Ale to jest wywiad, nie przemówienie, więc pytania będą padać.

— Czyli już wcześniej miał pan z nią kontakt?

— To wykaże śledztwo. Nie wyręczajmy odpowiednich służb.

Zatem niech padają dokładnie takie, jakie są potrzebne.

— Czy uważa pan, że policja pracuje zbyt opieszale?

— Jeżeli coś można usprawnić, należy to zrobić. Ale nie mam na myśli pracy policji. W przeciwieństwie do pozostałych kandydatów wierzę, że świat można zmieniać i udoskonalać, jeśli tylko pozna się jego tajemnice. Nie musimy tkwić w stagnacji.

— Ma pan na myśli stabilność?

— Nie. Mam na myśli stagnację. To zupełnie co innego. Stabilność daje ludziom bezpieczeństwo, stagnacja oznacza brak postępu. Zmiany są konieczne. Czy pani

uważa... czy ktokolwiek może uważać — spojrział w kamerę — że kilkuletnie dziecko zasłużyło sobie na Eliminację?

Obowiązująca w naszym świecie hiperprewencja ukarała je za błędy innych. Prawdziwi winowajcy pozostają bezkarni.

— Sam pan mówił, że śledztwo trwa.

Już nie chce pan czekać na wynik?

Można też ignorować pytania. Cóż mu jeszcze pozostawało? Podpadł wszystkim.

To ostatnia szansa. Jeśli przegra te wybory, nie będzie kolejnej szansy za cztery lata.

W polityce będzie skończony, a może i poza nią również. Pora odpowiedzieć na niezadane pytania.

— Przez lata myślałem, że najgorsze kajdany, to te, których nie dostrzegamy.

Ale myliłem się. Niewidzialne kajdany możemy w końcu dostrzec, ktoś bystrzejszy może nam je pokazać. Najgorsze są te kajdany, których nie wolno nam dostrzegać.

Te, o których sama rozmowa jest zabroniona. Musimy udawać, że ich nie ma.

Takich kajdan nikt nam nie pomoże dostrzec, bo myje widzimy, ale uznajemy je za zło konieczne, za coś, z czym nie da się walczyć. Czego sensu nie wolno nawet podawać w wątpliwość. — Nabrał głęboko powietrza. — Oświadczam, że jeśli wygram te wybory, zrobię wszystko, by w Pierścieniu Warszawa przestały istnieć Prowokacja i Eliminacja.

* * *

Prezydent Joachim Wielicki wpatrywał się w wykresy wyświetlane na białym ekranie w pokoju narad. Prowadzi! przewagą osiemnastu procent przed Zdonkiem, Kruszewski był trzeci, ale jego wykres również rósł. Rósł wolno, przynajmniej do miejsca oznaczonego niebieską pionową linią, za nią startował ostro w górę. Linia oznaczała moment hipotetycznego ujawnienia katastrofy monachijskiej. Na prawo od linii wszystko się zmieniało. Wykres Wielickiego leciał na łeb na szyję, a szybował mu na spotkanie wykres Zdonka. W dniu wyborów wszystkie trzy niemal się spotykały.

— Ludzie to krety — warknął Wielicki.

Z raportu wynikało jednoznacznie, że wobec braku znanych sprawców ludzie winą za tragiczne wydarzenia najchętniej obarczą aktualną władzę. Nawet jeśli nie miała na nie wpływu.

— Nie utrzymamy tajemnicy do wyborów — odezwał się Sylwester. — Plotki już

krążą, dziennikarze wężą.

— Ile wiedzą?

— Nie wiedzą, co się dokładnie wydarzyło. Wiedzą tylko, że coś poważnego.

Przerwa w komunikacji międzypierścieniowej nigdy nie trwała dłużej niż kilka godzin.

— Może da się to jakoś obrócić na naszą korzyść? — Wielicki zmrużył oczy.

— Jedni będą się upierać, że to była katastrofa, drudzy, że zamach. To można bardzo ładnie rozegrać. No i zagrożenie terrorystyczne, to zakaz zgromadzeń i przyzwolenie na inwigilację. To może się przydać...

Nie, kurwa! — Uderzył dłonią w stół.

— Za mało czasu. To nie będzie miało żadnego znaczenia, jeśli przegram. Trzymajmy tajemnicę do wyborów.

— Importerzy i eksporterzy technologii ponoszą straty. Część z nich to nasi sponsorzy.

— Wkurzą się, ale będą musieli to przełknąć. Chyba wiedzą, o co idzie gra.

Jeśli przegram, stracą więcej.

— Chyba że zaczną się dogadywać ze Zdonkiem.

— Nie... — Wielicki pokręcił głową.

— Nie będą wszystkiego ryzykować w ostatniej chwili.

— Mamy jeszcze jeden problem.

— Sylwester wskazał drugi wykres. — Im później zdejmujemy blokadę, tym większe ryzyko dla sondaży. Jeśli przed wyborami wyda się, że to nasza robota, że nie było żadnych zakłóceń słonecznych...

Drugi wykres wyglądał jeszcze gorzej.

Były na nim dwie pionowe kreski. Pierwsza oznaczała moment ujawnienia katastrofy, druga wyciek informacji o celowym zablokowaniu łączności międzypierścieniowej.

Na tym wykresie Zdonek finalnie wygrywał niemal pięcioma punktami.

— Ludzie nie lubią być robieni w wała — oświadczył prezydent. — I dlatego dowiedzą się, że zrobiliśmy ich w wała, dopiero po wyborach. Do następnych zapomną. Co z niezdecydowanymi?

— Większość zagłosuje losowo.

— Sylwester wyświetlił kolejne wykresy.

— Gdyby nie to, że głosowanie jest obowiązkowe, nie głosowaliby.

— Co z wahającymi się? Na ile lojalni są wyborcy Zdonka i Kraszewskiego?

— Wyborcy Zdonka szukają nowej jakości, nie widzą różnicy między nami a Kraszewskim. — Sylwester zerknął na szefa, jakby się bał, że tamten się obrazi.

— Wyborcy Kraszewskiego wykazują większe wahania. Gdyby Kraszewski wycofał się z wyborów, prawie sześćdziesiąt procent jego wyborców głosowałoby na pana, na Zdonka ledwie piętnaście. Reszta losowo.

Wielicki milczał. Ręce mu drżały.

Może był to efekt zażywania od kilku dni Niesnu, a może nie.

— Czegoś się dowiedziałeś w sprawie zdjęć znad Wisły?

— Tam nie było żadnego drona. Poza naszym.

— Nie było drona? Więc skąd się, do kurwy nędzy, wzięło zdjęcie z drona, jeśli nie było drona?!

Sylwester gestem strząsnął plik z komunikatora na białekran. Przypadkowe ujęcie z kamery drona trzymanego przez operatora już po akcji ratunkowej. Kamera z kilkunastu metrów uchwyciła moment, gdy bagażnik był otwarty. Pod tym kątem nie było widać zawartości. Na chwilę przed wyłączeniem pojawił się szeroki kadr i zupełnie puste niebo.

Wielicki gestem zapauzował film.

Kilka metrów od samochodu stało parę osób.

— A ci tu? Stali wystarczająco blisko, by zajrzeć do bagażnika.

— Ludzie nie mają kamer w oczach — odparł Sylwester.

Wielicki patrzył na ekran w milczeniu.

— A pieprzyć to! Zrobimy ci zdjęcie z jakąś laską, powiemy, że to narzeczona.

Mamy tu większe gówno nad głową.

— Powinniśmy jak najszybciej powołać komisję śledczą — zasugerował sekretarz.

— Jaką znowu komisję? — Wielicki spojrzał na niego z zaskoczeniem.

— W sprawie Monachium... To trzeba wyjaśnić, poznać przyczyny, zabezpieczyć się na wypadek, gdyby w Warszawie pojawiły się symptomy...

— Pierdolić to! Zajmiesz się tym po wyborach. Teraz ścisła tajemnica.

— To nielegalne...

— Nie będziesz mi tu mówił, co jest legalne!!! — ryknął Wielicki. — Po wyborach to ja zadecyduję, co było legalne!

Sylwester niemal z przerażeniem patrzył na szefa. Pocił się.

— Łączy międzypierścieniowe mają pozostać wyłączone. — Prezydent szybko się opanował. Wpatrywał się w wykresy.

— Przejęcie głosów Kruszewskiego załatwi sprawę, nie ma wątpliwości. Spotkaj się ze Strumińską. Powiedz jej, że się zgadzamy.

* * *

Harpad zupełnie nieoczekiwanie zdał sobie sprawę, że nie musi się zastanawiać nad przystąpieniem do Sprawy. Nie musi, bo już w niej jest. Wizjerka, którą wypił Osiem Jeden, powinna dać odpowiedź na to, co się dzieje w pierwszej fazie Eliminacji. To niewiele, ale więcej niż nic.

Tajemnicza obecność pojawiała się co jakiś czas i za każdym razem znikwała, gdy tylko próbował ją wysledzić. Wycofywała się nawet wtedy, gdy kierował ku niej myśli i zastanawiał się nad jej naturą. Teraz jednak miał poważniejsze problemy.

Wszedł do swojego mieszkania. Kusilo go, by sprawdzić rekord Marysi. Powstrzymał się. Wciąż miał w pamięci bezwładne ciało kioskarza. Może umarł z wycieńczenia, może było to coś więcej.

Odrzucił już trzy zlecenia. Nie wchodził w trans z obawy, że niechcący dotrze do córki i zaburzy coś w całym tym nieznanym procesie.

Czas uciekał, a Marysia czekała, bezbronna, pozbawiona opieki, gdzieś, nie wiadomo gdzie. Zacisnął pięści. Nie, tym razem nie mógł sobie pozwolić na pochopne działanie. Kioskarz wrócił po dwóch tygodniach, zatem było jeszcze trochę czasu. Za godzinę, dwie będzie znał przebieg pierwszej fazy Eliminacji.

Usiadł na łóżku. Kurtka, którą w nocy rzucił na fotel, zsunęła się. Z kieszeni wystawała rękojeść Walthera.

Wyprostował się gwałtownie i odwiesił kurtkę na oparcie.

Spojrzał na komunikator leżący obok łóżka. Zapominał o zachowaniu podstawowych zasad bezpieczeństwa, zostawił dyskreter w kawiarni, wtedy gdy spotkał się ze Szczurkiem. Wydawało się, że to było tak dawno temu. Tylko po co zachowywać zasady bezpieczeństwa, jeśli ma PZ równe zero? Jego myśli w sposób nieunikniony powróciły

do Marysi. Zapatrzył się w ścianę, rozważając różne pomysły. Najważniejsze, nie spóźnić się do laboratorium. To akurat nie było trudne, nie miał na dziś żadnych planów.

Wyrwało go z tego zamyślenia dopiero piknięcie komunikatora. Poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. „Za pół godziny.

Tam, gdzie ostatnio”.

Stała w progu, a początkowe zaskoczenie zmieniło się w oburzenie. Człowiek!

Człowiek zamiast śmietniczki wyczarowującej syntetyczne emocje machaniem płytkami. Trzydziestolatek w okularach z rogowymi oprawkami siedział obok kozetki Freuda z tabletem na kolanach. Wstał na jej widok i uśmiechnął się łagodnie.

— Dlaczego jesteś człowiekiem?

— zapytała z pretensją. — Ja mam problem właśnie z ludźmi. Czemu zniknął automat?

— Tak będzie lepiej. — Człowiek poprawił okulary. — Lepiej dla dalszej terapii.

Odwróciła się i wyszła.

* * *

Wnętrze Oldsmobila wypełniała zawiesina dymu, od którego Harpadowi zachciało się palić. Czas uciekał, a Wolf

milczał. Nuzzler zastanawiał się, czy bardziej się go boi, czy nienawidzi.

Cygaro zajarzyło się. W powietrzu przybyło dymu, a wilczy głos oznajmił: — Podniesiesz Kruszewskiemu PZ.

Tak wysoko, jak się da.

Harpad przełknął ślinę i ostrożnie powiedział: — Kilka dni temu chciał pan, żebym mu obniżył.

— Wiele się zmieniło.

Na przykład moją córkę zabrała Eliminacja.

— Musisz go spotkać? — zapytał Wolf.

— Nie, tamten raz wystarczy.

Harpad zachował tyle rozsądku, żeby nie zdradzać, że w nieznanym sobie sposób ma również dostęp do większej liczby danych, a nawet do sieci powiązań między osobami. Żeby kogoś sprawdzić, żeby pchnąć wirtualny wskaźnik PZ w górę lub w dół, kontakt osobisty nie był mu już w ogóle potrzebny.

PZ Wolfa wynosiło pięćdziesiąt dwa.

Wcale nie chciał tego wiedzieć. Ta informacja po prostu pojawiła się w jego głowie. To tak, jak nie można nie usłyszeć czegoś, co mówi ktoś stojący tuż obok.

Choćby się nie chciało, informacja i tak zostanie przyjęta, przetworzona i zapamiętana.

Wczoraj jeszcze zamierzał zabić Wolfa, dziś wydawało mu się to nierealne. Co innego planować zabójstwo, a co innego przeprowadzić je w rzeczywistości. Nierealne i tak bardzo nierozsądne. Gdyby to zrobił, nigdy już nie zobaczyłby Marysi.

Poprawił się w fotelu. Mimowolnie dotknął twardego kształtu w kieszeni kurtki.

— Nie używałbym Waltliera skompilowanego w starym złomie — odezwał się Wolf.
— Nie wiadomo, w którą stronę wypali.

Nuzzler przełknął ślinę i położył dłoń na siedzisku. Czyli Wolf też wie więcej, niż powinien. Skaner w drzwiach? Nie, raczej dostęp do logów kompilatorów.

— Nie czuję się ostatnio bezpiecznie — wybrnął.

Nie potrafił wspomnieć o Marysi, jakby wypowiedzenie na głos, że wie o roli Wolfa w porwaniu, mogło sprawić, że Eliminacja stanie się prawdziwsza. Nie, kurwa, prawdziwsza już nie mogła być! On wiedział, że Wolf ją porwał, a Wolf wiedział, że Harpad wie. Tu nie było nic do mówienia.

— Kruszewski zniknie — ciągnął Wolf, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło.

— I to jeszcze dziś.

— Samo podniesienie wartości PZ do granicy nie gwarantuje Eliminacji. To tylko postawienie kogoś na skraju przepaści.

Potrzebne jest konkretne wydarzenie, które doprowadzi do zabrania go.

— To wydarzy się jeszcze dziś. Ty wcześniej wykonasz swoją część zadania.

Harpad ledwo zauważalnie pokręcił głową.

— Pan mnie myli z płatnym mordercą.

— Nie zamierzam ci płacić. — Cygaro znów zajarzyło się i po chwili w powietrze poleciała kolejna chmura dymu. — Chyba że zapłatą nazwiesz nadzieję.

Harpad poczuł kielkującą w nim złość.

Nie zamierzał dać się zabić, ale przecież Wolf go nie zabije. Na pewno nie teraz.

— Nic jej już nie zrobisz — powiedział cicho nuzzler. — Jest poza twoim zasięgiem.

Wolf zaśmiał się bez humoru swoim chropowatym głosem.

— Wiesz, jak wygląda życie kogoś bez ID? — zapytał. — Nie wiesz, możesz to sobie tylko wyobrazić. Widziałeś za to, jak wygląda śmierć.

Harpad patrzył w ciemność, w miejsce, gdzie powinna być twarz Wolfa. Złość mieszała się w nim z... właśnie z nadzieją.

— O drugiej po południu Kruszewski będzie stał na skraju przepaści — powiedział Wolf.

Chwilę później Harpad stał na betonie podziemnego parkingu. Tylne światła Oldsmobila zniknęły w wyjeździe. Znów zachciało mu się palić, ale nie zamierzał tego robić. Czuł, że bez palenia ma jaśniejszy umysł.

Mógł podnieść PZ komu tylko chciał.

Komu tylko chciał.

Rozwiązanie objawiło się w postaci olśnienia. Było proste, tak bardzo proste.

VI

Jacek Lipniarz przekroczył próg wieżowca przy Emilii Plater, jak robił to niemal codziennie od kilku lat. Skinął głową portierowi, którego imienia przez te wszystkie lata nie poznał. Zresztą nie widział potrzeby poznawania imienia kogoś, kogo jedynym zadaniem jest pilnowanie bramek bezpieczeństwa. Zbliżył dłoń do sensora i bramka otworzyła się. Nikt nie czekał na windę, co było pozytywne, bo zmniejszyło zagrożenie spotkania kogoś ciekawskiego.

Kobieta, która weszła do hallu chwilę po nim, właśnie bezskutecznie próbowała otworzyć bramkę.

— Czasem się zacinają — wyjaśnił spokojnie portier. — Pani przetrze rączkę o żakiecik.

Przetarła, ale to niczego nie zmieniło.

Bo też i bramka nie zacięła się, tylko dawała czas, by Lipniarz zdążył wsiąść do windy i samotnie nią odjechać. Lubił te dyskretne zabezpieczenia, tę wszechobecną technologię, która na każdym kroku mu sprzyjała. Czuł wtedy, że za plecami ma potężnego sprzymierzeńca, że przynależy do czegoś w rodzaju elity.

Wsiadł do windy. Nie musiał wybierać piętra — winda sama wiedziała, gdzie go zawieźć.

Na siedemnastym piętrze mieściła się tylko jedna firma, Fundacja na rzecz Rozwoju Przyjaznych Technologii. Nigdy się nie zastanawiał, co ta nazwa właściwie oznacza. I tak była fikcyjna. Przeszedł przez automatyczne drzwi z mlecznego szkła i skinieniem głowy przywitał się z dwoma ochroniarzami, siedzącymi za długą ladą recepcyjną. Obok, pod ścianą stały trzy tekturowe pudła, które wyglądały, jakby dopiero co przywiózł je kurier. Stały tam, odkąd pamiętał.

Przyłożył dłoń do dużego skanera, który sprawdzał nie tylko ID, ale też linie papilarne. Dodatkowe zabezpieczenie, w tym miejscu w pełni uzasadnione. Otworzyły się kolejne drzwi. Przeszedł przez nie i znalazł się w dużej pustej przestrzeni.

Całe piętro było puste, betonowe, niewykończone. Za plecami miał świecący matowo box z fikcyjną recepcją i betonowy trzon budynku z windami, schodami i pionami technicznymi. Wszystkie okna zakleiono matową folią, a przed nimi, za betonowymi filarami, ustawiono dziesiątki lamp, które co kilkanaście minut losowo zapalały się i gasły. Z zewnątrz miało to wyglądać na typowe biuro. I wyglądało.

Obszedł trzon budynku. Z drugiej strony były tylko drzwi jednej małej windy.

Zawsze jechał nią sam. Tutaj wszystko było zaplanowane i policzone, dlatego nigdy nie spóźniał się ani nie przychodził za wcześnie. Kolejność i dokładną synchronizację ustalano na kilka godzin wcześniej i wszyscy się jej trzymali.

Mała winda zwiozła go na poziom minus pięć i wysadziła w wąskim, wilgotnym korytarzu. Pokonywał nim te dwieście metrów nie raz, choć wolał używać innych wejść. Mniej upierdliwych. Ale algorytm jest algorytm.

Dopiero za stalowymi drzwiami, już bez żadnych zabezpieczeń, za to z wielkim logo Eliminacji, poczuł się wreszcie jak u siebie. Tu już nie był Jackiem Lipniarzem, tu był znów Osiem Jeden.

Nadzieja, o której mówił Wolf, oznaczała groźbę wobec Marysi. Dziewczynka była teraz poza zasięgiem Wolfa. A zatem groźba dotyczyła przyszłości, gdy już wróci z Eliminacji. Zatem Wolf zakładał, że ona wróci.

Siedzieli w laboratorium z Judytą i Soulem, choć ten ostatni, jak zwykle, był skupiony na swoim sprzęcie. Dziewczyna nerwowo sprawdziła godzinę. Do dziesiątej brakowało kilku minut.

— Czemu nie włączysz? — zapytał Harpad.

— Nie mam zamiaru oglądać jego prywatnego życia.

— Komunikator nie wystarczy. — Soul położył na stole czarny błyszczący przedmiot wielkości książki i odszedł w głąb pomieszczenia.

Harpad domyślił się, że to projektor.

— Eliminacja stała się elementem walki politycznej — odezwał się znów. — Tak mówił twój ojciec.

— Bo tak jest. — Judyta pokiwała głową. — Dla mnie zepchnięcie kogoś do Eliminacji moralnie nie różni się od morderstwa. Tyle że nie jest to w żaden sposób karalne, więc stało się narzędziem. Nie ma moralnych polityków. Są tylko mniej lub bardziej zepsuci.

— Sprawdziłem PZ Wolfa. Jest na poziomie grzecznej dziewczynki. Godzinę temu miał pięćdziesiąt dwa.

— Bo sam nie łamie prawa. — Judyta wzruszyła ramionami. — On tylko wydaje polecenia. Przez pośredników.

— Po ostatnim przekonfigurowaniu g.A.I.a. ludzie tacy jak Wolf powinni ulec Eliminacji. Nawet jeżeli sami nie popełniają przestępstw, to je katalizują.

Judyta zastanowiła się.

— Nigdy nie uważałam hiperprewencji za dobry ani sprawny system. Wolf zna sposoby, jak obejść zasady.

— Zastanawiam się... skoro nie grozi mu wzrost PZ, to po co on tak kombinuje?

Po co wysyła swoich wrogów w ramiona Eliminacji, zamiast zwyczajnie kazać ich zastrzelić?

— Eliminacja w założeniu ma być nawet gorsza od śmierci, bo oznacza, że eliminowany był kimś groźnym dla społeczeństwa i jego usunięcie było słuszne.

I niestety sporo ludzi tak uważa. Chcemy to zmienić. Chcemy, żeby przeciętny człowiek uważał Eliminację za coś wprost przeciwnego — za opresyjny przejaw systemu, który pozbywa się groźnych dla niego wolnomyślicieli. Właśnie dlatego Sprawa zdecydowała się poświęcić Kraszewskiego.

Jezus Chrystus zginął na krzyżu, choć w ten sam sposób tracono pospolitych przestępców. I stał się symbolem.

— Wali mnie to szczerze, ta cała podbudowa ideologiczna — powiedział Harpad. — Chcę poznać zasadę działania.

I odzyskać córkę, dodał w myślach.

— To tak jak my — zgodziła się Judyta. Zerknęła na czas. — Możemy zaczynać. Soul?

Naukowiec podszedł do stołu i dotknął projektora. W powietrzu nad urządzeniem pojawił się wirtualny ekran, a raczej dwa nałożone na siebie obrazy o nieregularnych, rozmytych krawędziach. Przedstawiły salę narad i kilku mężczyzn w uniformach Eliminacji, ale bez masek anonimizujących.

Soul konfigurował coś na swoim komunikatorze i po chwili oba obrazy najechały na siebie. Wciąż jednak w kilku miejscach obraz był podwójny i minimalnie przesunięty.

— Dźwięku nie będzie? — zapytał Harpad.

— Wąska specjalizacja. — Soul pokręcił głową. — Nanoboty są za małe, żeby łądować w nie więcej funkcji. Przeprogramowanie jest trudne. Lepiej użyć gotowych.

— Akcja nie zacznie się prędko.

— Judyta odeszła dalej i zajęła się komunikatorem.

Mężczyźni w milczeniu oglądali niemy przekaz. Nie dawało się nic wyczytać z ruchu ust. Obraz przesuwiał się szarpanymi ruchami, odpowiadającymi mchom oczu i głowy Osiem Jeden, co było dosyć męczące.

— Czy ta cała Wizjerka nie pożre się z nanoID? — zapytał Harpad.

— NanoID powinno być niewidzialne dla organizmu nosiciela — odparł Soul.

— Wizjerka tak samo. Dla siebie nawzajem również nie powinny istnieć.

— To takie proste?

— Czasem zdarza się, że pojawiają się zakłócenia w pracy systemu nerwowego lub hormonalnego. Oficjalnie nikt tego nie uznaje, ale ja i tak wiem, jak jest. Wymyśliłem nawet nazwę — choroby nanoidowe, he, he. To choroby nieopisane w żadnych podręcznikach. Przypominają raczej błąd programu. Ktoś nie widzi koloni ciemnoniebieskiego, ale nie jest to odmiana deuteranopii. Chory nie zauważa przedmiotów w tym kolorze. Dosłownie nie istnieją dla niego; nie potrafi ich chwycić, przesunąć.

Jak powietrze. Znam przypadek kobiety, która odczuwała duży dyskomfort w pewnym zakresie temperatur, między dwadzieścia trzy a dwadzieścia pięć... o ile pamiętam. Ciepłej bez problemu, zimniej bez problemu, a ten zakres powodował u niej uczucie, które z braku właściwego określenia nazywała „parzeniem”. Przerąbane.

Ciekawe. Albo koleś, który nie słyszał zdań pytających wypowiedzianych sopranem. Przy czym słyszał pytające niesopranem i niepytające sopranem. Niedawny przypadek to jakaś kobieta, która nie potrafi kochać. Można to uzasadnić chorobą psychiczną?

— A zdarzają się sytuacje odwrotne?

— naciskał Harpad. — Że organizm zakłóca pracę nanoID? Że je zwalcza?

— Zdarza się, że wchodzi w konflikt z systemem immunologicznym. To bardzo rzadkie przypadki. Zwykle kończą się śmiercią organizmu. Obywatela, znaczy.

Kara za nieposłuszeństwo obywatelskie na poziomie komórkowym.

Judyta wróciła i spojrzała na transmisję. Wciąż trwała odprawa.

— Możesz sprawdzić, ile jeszcze wytrzyma Wizjerka? — zapytała.

Soul pokręcił głową.

— NanoID może zabijać? — ciągnął Harpad.

— Nie no, to nie tak, że celowo wykańcza — odparł naukowiec. — Ono tylko się broni przed reakcją organizmu. Śmierć następuje na przykład w wyniku szoku anafilaktycznego, jak przy alergii.

— Hiperprewencja stawia dobro spo łąeczności ponad dobrem jednostki — dodała policjantka. — Bez nanoID obywatel stałby się niewidzialny dla Nadzoru.

A jeśli nie można kontrolować obywatela, trzeba go zabić. Taką filozofię wyznaje nasz przeciwnik.

Wizjerka przekazywała obraz niemej rozmowy. Harpad obserwował to w milczeniu, po czym zapytał: — Czemu hiperprewencja nie używa wizjerek?

Soul spojrział na niego czujnie.

— NanoID nie ma takiej funkcji.

— Może tylko nie potrafisz jej wykryć.

To byłaby inwigilacja doskonała.

— Nie... — Soul pokręcił głową.

— Cztery miliony par oczu... Nawet nie próbuję sobie wyobrazić rzutu i przetworzenia takiej ilości danych.

Harpad stracił zainteresowanie transmisją. Jego myśli uciekły do ostatniej rozmowy z Wolfem. Jak wygląda życie kogoś bez ID? Mógł się tylko domyślać, że to życie bardzo upośledzone, kalekie. Koszmar, w którym nie można samodzielnie otworzyć drzwi, używać komunikatora, wsiąść do metra, zdobyć jedzenia, napić się wody. Jest się niewidzialnym dla wszystkiego, z czego składa się świat.

Wtedy przez myśl przeszło mu, że słowa Wolfa o nadziei wcale nie musiały być groźbą wobec Marii. Mogły być obietnicą pomocy.

* * *

Sylwester Soliński jechał autaxem przez poranną Warszawę i denerwował się jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Przecież nie co dzień zdradza się własnego szefa.

Ostatnio kilka razy zamierzał rzucić tę pracę, gdy Wielicki po raz kolejny przekraczał granice, wydawałoby się, nieprzekraczalne. Nigdy się na to nie zdobył. Może dlatego, że nie miał pomysłu, co innego mógłby robić. Chociaż... wiedział, że nie narzekałby na brak

ofert. Chodziło raczej o to, że nie lubił zmian. Nie, lepiej byłoby powiedzieć, że bał się zmian.

Proces „brudzenia się” Wielickiego nie miał żadnego punktu przełomowego, nic z tych rzeczy. To był stopniowy, powolny ciąg zdarzeń, częściowo zależnych od siebie, a częściej zależnych od coraz mocniejszego naginania zasad. Grzęźnięcie. Sylwester obserwował rozwój kariery swojego szefa, choć ostatnio wolał to nazywać powolnym upadkiem moralnym. Wielicki nie miał kochanki, nie używał przemocy, dbał o ludzi, pomagał, jeśli mógł. Skoczył na pomoc tej dziewczynce, choć nie znał przecież planu Sylwestra. Człowiek kryształ. Nie, nic z tych rzeczy. Był dobry dla jednostek, natomiast skala korupcji i szkody, jakie wyrządzał wspólnocie, przebijały tę dobroć wielokrotnie.

Sylwester nie od razu to zauważył.

Przez całe lata uważał to za cenę sprawowania władzy na takim stanowisku.

Dopiero spotkanie i długa rozmowa z Romualdem Talińskim otworzyły mu oczy. Pokazały, jak jest naprawdę. O ile pierwotnie Wielicki troszczył się o Pier ścień Warszawa i przy okazji zawierał podejrzane sojusze, o tyle teraz rządzenie Warszawą było konieczne, by te sojusze móc zawierać. Funkcja prezydenta stała się dodatkiem, nie główną misją. To patologia.

Przed południem Sylwester miał zaplanowane dwa spotkania, oba na tę samą godzinę. Zatem jedno trzeba przełożyć.

Z punktu widzenia sukcesu wyborczego Joachima Wielickiego spotkanie z Elizą Strumińską było priorytetowe.

Dlatego przełożył właśnie je.

* * *

Harpad zastanawiał się, czemu Wolf spotyka się z nim osobiście. Czemu czeka na niego, poświęca mu czas. Albo nie był szefem, lecz tylko żołnierzem mafii, udającym ważniejszego, niż jest, albo wprost przeciwnie, to on, Harpad, był ważniejszy, niż sam podejrzewał.

Przemknęło mu przez myśl, że choć przed klientami utrzymywał, że jest jedynym prawdziwym nuzzlerem w Pierścieniu Warszawa, przecież nie ma gwarancji, iż jest tak naprawdę. Może być też tak, że więcej ludzi ma podobne zdolności, tylko albo o nich nie wiedzą, albo boją się ich używać. Co więc stało na przeszkodzie, by Wolf był jednym

z nich? Tylko jeśli tak, to po co mu Harpad? A może zdolności Wolfa są słabsze? Może nie słabsze, lecz inne? To by wyjaśniało, skąd tyle wie.

Nie, to za daleko idące wnioski. Może po prostu ma dobrych informatorów.

Odprawa wreszcie się zakończyła.

Transmisja z wizjerki Osiem Jeden pokazywała teraz eliminatorów, już w kaskach ze złotymi szybami, idących korytarzem. Harpad ku własnemu zdziwieniu odkrył, że odczuwa smutek. Przecież jadą na misję, która zakończy się przerwaniem czyjegoś życia, schwytaniem niczego niespodziewającego się człowieka i strąceniem go do „zsypu”.

* * *

Janusz Zdonek nie lubił spotkań z ludźmi, w ogóle nie lubił ludzi, ale skrzętnie to ukrywał. Wiedział doskonale, że ludzie źle reagują, jeśli wyczują antypatię.

Opanował do perfekcji uśmiechy i proste gesty, które miały emulować sympatię.

W jednym jednak nie różnił się od pozostałych polityków i businessmanów — spotkania odbywał we własnej limuzynie. To dawało gwarancję bezpieczeństwa. Żadnych podsłuchów, nikt nie mógł tu niespodziewanie zakłócić przebiegu rozmowy.

Wynajmował ją, jak większość użytkowników limuzyn, z Warty. Jednak miał nad innymi tę przewagę, że Warta należała do niego. Nie bezpośrednio, ale to nie miało znaczenia. Zyski, choć dla niego trzeciorzędne, i tak dotrą na odpowiednie konto.

Nie interesował się sytuacją ekonomiczną firmy, lecz jedynie obsadą stanowisk w dziale zabezpieczeń.

Ciekawiło go, czy można skutecznie udawać polityka. Zasady znał doskonale w teorii. Polityka to nie jazda na wrotkach, gdzie trzeba żmudnie trenować, budować odruchy motoryczne. Polityka w całości dzieje się w głowie, zatem można ją ćwiczyć, nie wstając z fotela.

Od rana odbył już trzy rozmowy. Dwie z przedsiębiorcami, którzy obiecywali mu finansowanie i pomoc w wygraniu wyborów w zamian za bliżej nieokreślone przysługi w przyszłości. Trzeci rozmówca był mało znaczącym politykiem, który oferował mu poparcie w zamian za stanowiska dla niego i związanych z nim, bliżej nieokreślonych, osób. To wydawało się nedorzeczne, ale też się zgodził, choć z innego powodu niż w poprzednich sytuacjach. Sam nie miał żadnych kadr, poza managerami jego firm.

Czwarte spotkanie miało wyglądać zupełnie inaczej. Wysoki trzydziestopięcioletek

z nadwagą był Zdonkowi dobrze znany. Oboje o tym wiedzieli, mimo to przedstawił się, by zachować zasady.

— Sylwester Soliński. Jestem sekretarzem prezydenta.

— Oczywiście, kojarzę pana. — Zdonek uścisnął mu dłoń i usiedli naprzeciwko siebie. — Ja jeszcze nie dorobiłem się sekretarza. Ani nawet asystenta. — Gospodarz gestem wskazał otwartą pokrywę dyskretera.

— Jeśli pan pozwoli... — Sylwester trzymał swój komunikator. — Będzie potrzebny. I też, mam nadzieję, nie będziemy rozmawiać o niczym nielegalnym ani niestosownym. Nawet wprost przeciwnie.

— Dobrze. Zainteresował mnie pan.

Słucham.

Sylwester dotknął kilka razy ekranu komunikatora i ruchem palca zawiesił w powietrzu wirtualny ekran z nagraniem.

— Pierścień Monachium — wyjaśnił.

— Populacja milion sześćset tysięcy. Prawie na pewno nikt nie przeżył.

Zdonek wpatrywał się w przelewające się dymy i popioły. Jego pulchna twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Nie dlatego, że nie był przejęty. Był tak przejęty, że zapomniał je okazywać.

— Czy to ma związek z tymi zakłóceniami słonecznymi?

— Nie ma żadnych zakłóceń. Wielicki kazał zablokować wszystkie kanały łączności międzypierścieniowej. Wszystkie, które mógł. Te należące do g.A.I.a. oczywiście działają.

— I oczywiście nie mamy do nich dostępu. Nie mogę zweryfikować autentyczności nagrania.

— Obawiam się, że na to nic nie poradzę. — Sylwester wyjął z kieszeni chustkę i otarł pot z czoła.

— Dlaczego Wielicki zablokował łączność międzypierścieniową? — Zdonek nie odrywał spojrzenia od nagrania. — Sytuacja kryzysowa podczas kampanii to doskonała okazja do wykazania się.

— Powody są dwa. Pierwszy jest taki, że prognoza pokazała nieznaczny spadek jego notowań, jeśli opinia społeczna dowie się o katastrofie. Wtedy podjął decyzję o blokadzie. Druga prognoza pokazała silny spadek notowań, jeśli opinia społeczna

downie się o blokadzie. Sytuacja stała się bardzo niekomfortowa.

— Sam na siebie zastawił pułapkę i sam w nią wpadł.

— Tu są nasze analizy wyników wyborczych. — Sylwester szybkim ruchem palca posłał mały wykres z ekranu komunikatora wprost w powietrze. Wirtualny ekran zawierał czytelny przekaz. — Jeśli informacja o blokadzie łączności zostanie ujawniona przed wyborami, wygra je pan.

Zdonek skinął głową i powiedział: — Pod warunkiem, że Kruszewski pozostanie w grze. A teraz najważniejsze pytanie. Co pan chce w zamian?

— Nic. Wystarczy mi, że Wielicki przegra wybory.

* * *

Lubił swoją pracę, była potrzebna spo

łączeństwu. Dla większości ludzi koniec urlopu oznaczał powód do depresji i początek odliczania dni do następnego. Osiem Jeden z pewnością do nich nie należał.

Odczuwał satysfakcję, że siedzi z towarzyszami w dobrze znanym wnętrzu Nysy.

Cieszył się z misji, na którą jadą, i cieszył się, że wkrótce znów usuną z miasta szumowinę, która stwarza zagrożenie samym swoim istnieniem.

Ale urlop był ważny. Przy tak stresującej służbie — wręcz niezbędny. Bez niego każdy, nawet najbardziej opanowany i oddany pracy eliminator zacząłby popełniać błędy. A Osiem Jeden nie chciał popełniać błędów. Raz, jedyny raz zdarzyło się, że weryfikacja legalności pochycenia obiektu dała wynik negatywny. Na placu Bankowym wyłuskali z tłumu nie tego człowieka, co trzeba. Niedokładnie wycelowany skaner, przemęczenie po wczorajszym picu, może też niedostateczne zgranie zespołu. Gość był podobny do eliminowanego obiektu i zrządzeniem losu znalazł się obok. Trzeba go było wypuścić, choć dotarł do ostatniego pomieszczenia przed „zsypem”. Gdyby ktoś zapytał Osiem Jeden o zdanie, usłyszałby, że skoro gość doszedł tak daleko, to lepiej już go wyeliminować.

Żeby nie narażać na szwank opinii Eliminacji. No, ale procedury są procedury.

Naprawił swój błąd po godzinie. Zastali gościa w barze nad piątą szklanką whisky.

Pił ze szczęścia, bo jak powiedział potem, tam, na Bankowym był pewien, że przyszli po niego.

Co się odwlecze, to nie uciecze.

Do przegrody, oddzielającej przedział bojowy od kierowcy, przymocowano duży fotel z pasami do unieruchamiania eliminowanego obiektu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za kwadrans fotel będzie zajęty.

O tak, Osiem Jeden lubił swoją pracę.

* * *

Szła przyspieszonym krokiem. Nie lubiła opuszczać głównych dzielnic. Anonimowy zgiełk miasta dawał jej poczucie bezpieczeństwa i sensu robienia czegokolwiek. Tu było niemal pusto, a w perspektywie ulicy szarzyła się Bariera. Nienawidziła tego widoku, przyprawiał ją o dreszcze.

Przejechał samochód, za nim przemknął audost. Wzdłuż ceglanych frontów kamienic szło ledwie kilka starszych osób.

Zerknęła na ekran komunikatora i skręciła w przecznicę. Ani żywej duszy. Śmieci wały się pod ziejącymi pustką otworami po drzwiach i oknach. Niektóre były osmalone. Być może kiedyś wróci tu życie.

Zapewne nieprędko.

Dlaczego on zawsze chce się spotykać w takich miejscach? Przecież można to załatwić zwyczajnie, w kawiarni w Śródmieściu. Nawet mniej podejrzanie by to wyglądało.

Wzdrygnęła się, gdy usłyszała syknięcie z bramy. Zatrzymała się i odwróciła w stronę dźwięku. Młody chyba nie umiał gwizdać.

Wyłonił się wolno z ciemności za resztkami zbutwiałych wrót. Miał na sobie tę samą, co zawsze, za dużą skórzaną kurtkę, bluzę z kapturem i luźne spodnie. Dużo dałoby już samo ścięcie za długich blond włosów. Albo przynajmniej ich umycie.

Pozował na kogoś, kim może się stanie kiedyś, kiedy skończy trzydzieści lat. Na razie nie miał nawet dwudziestu i nie wiedziała, czy jego maniera bardziej ją irytuje, czy śmieszy.

— Cześć mała. — Zlustrował ją wzrokiem. — Co cię do mnie sprowadza?

— Przyniosłeś? — Nie miała nastroju na to jego silenie się na elokwencję i luz.

Wyciągnął dłoń, ale cofnął natychmiast, gdy ona wyciągnęła swoją. Co za dzieciak...

— To nie jest za darmo, pamiętasz?

Coraz bardziej ją wkurzał. Niestety, nie miała alternatywy.

— Wołałabym normalnie zapłacić — poprosiła.

— Nie stać cię. Będziesz robić to, co do tej pory. To jest cena.

Skinęła głową, choć w środku aż się gotowała. Nawet nie próbował jej podrywać, co jeszcze bardziej ją wkurzało. To by była prosta gra.

Młody włożył jej coś w dłoń i zamknął jej palce.

— Kaszel bardzo dokucza? — zapytał.

— Wyjedź z miasta. A nie, to przecież nie alergią. To obojętność.

Wycofał się w mrok bramy. Z ciemno ści dobiegł jeszcze dźwięk potknięcia i zduszone przekleństwo. Nawet tego nie potrafił zrobić dobrze.

Monika odczekała chwilę i otworzyła dłoń. Leżał na niej biały cylindryczny pojemnik bez żadnych oznaczeń.

Miłość w sprayu.

* * *

Urlop miał też swoje wady. Nieuchronnie następowało rozluźnienie, czy raczej rozprężenie, osłabienie czujności. To wła

śnie się przydarzyło Osiem Jeden kilka dni temu, gdy w barze na Starówce wypił o jedną, no, o dwie szklaneczki szkockiej za dużo. Podrywał dwie dziewczyny. Co mu strzeliło do tego pijanego łba? Chciał zaimponować, że jest eliminatorem. Podczas urlopu zawsze mu spada motywacja i samokontrola.

Rozejrzał się po wnętrzu Nysy. Wszyscy milczeli za złotymi maskami. Panowała zasada, że podczas misji nie rozmawiają, żeby się nie rozpraszać, a przede wszystkim nie zdradzić przed przypadkowymi osobami swojej tożsamości. Czas na rozmowy nadejdzie, gdy złożą raport i pójdą do kantyny. Wtedy opowiedzą sobie może co nieco z urlopów, pilnując, by nie zdradzić żadnych istotnych szczegółów z życia osobistego.

Zerknął na komunikator. Do celu zostało dziesięć minut. Potem jeszcze najwyżej dwietrzy na pochwylenie. Kwadrans na powrót, końcowa weryfikacja i „zsyp”. Jeśli wszystko pójdzie sprawnie, za dwie godziny będzie sącył darmową szkocką w kantynie.

Może warto nieco ograniczyć picie? Na dziewczynach podryw na eliminatora zrobił wrażenie. Niestety, mówił nieco za głośno, więc wrażenie zrobił nie tylko na nich. Nie miał pojęcia, kim był ten facet przy sąsiednim stoliku. Za to tamten dowiedział się, kim jest Osiem Jeden. Propozycja, która padła następnego dnia, należała do tych nie do

odrzućenia. Doprawdy dziwna, bo wszystko sprowadzało się do opowiedzenia jakiejś dziewczynie i dwójce dziwaków, jak wygląda praca eliminatora. Wolał nie myśleć, kim są ci ludzie. Na szczęście to już przeszłość.

* * *

— Tydzień temu namawiałeś mnie, żebym postawił na Kruszewskiego, chociaż współpracowaliśmy z Wielickim od lat.

Zaraz potem Kruszewski leci na pysk i zaczynamy szukać alternatywy dla Wielickiego. Kiedy już prawie się zdecydowałem na Zdonka, namawiasz mnie, żeby jednak zostać przy Wielickim. — Businessman rozłożył ręce i pokręcił głową.

— Pogubiłem się. O co tu chodzi?

— Sytuacja jest dynamiczna — odparł Wolf z ciemności tylnej kanapy limuzyny.

— Istnieją również takie konstelacje zdarzeń, w których Kruszewski może wygrać.

A to oznacza śmiertelne zagrożenie dla naszych interesów. Na razie musisz mi zaufać.

Businessman prychnął.

— Zaufać? Tobie? Próbowaleś kiedyś mówić wprost? Bez owijania w celofan?

A Kruszewski jest skończony.

— Do tej pory na moich radach i współpracy ze mną wychodziłeś nieźle.

Właśnie toczy się gra, dla której powstało tysiące symulacji. Żaden wynik nie jest pewny, dopóki się nie wydarzy. Większość z nich pokazuje możliwą anomalię — jeśli Zdonek zacznie odbierać głosy Wielickiemu, Kruszewski może wygrać. Tak samo, jeśli Wielicki podejmie batalię ze Zdonkiem. Nie chcemy tego.

— Zaraz, zaraz. — Mężczyzna wycelował palec w ciemność, w której siedział Wolf.
— Chcesz powiedzieć, że jeśli wesprzemy Zdonka, to wygra Kruszewski?

Dawno nie słyszałem czegoś równie debilnego!

— Wszystko stanie się proste, jeśli po staremu będziemy wspierać Wielickiego.

Przy dużej przewadze będzie mógł ignorować przeciwników. Zamilczy ich na śmierć.

— Niedawno twierdziłeś, że Wielicki jest tak bardzo umoczonej, że jest tylko kwestią czasu, kiedy popłynie. Dobrze pamiętam? Podpięto się pod niego za dużo pijawek i on już nie może godzić tylu sprzecznych interesów. Między innymi naszych. Za dużo tego.

Chciałeś wyczyścić stajnię i wpuścić do niej nowego dozorcę, który będzie pracował tylko dla nas.

— Sytuacja uległa zmianie. — Wilczy głos niezmiennie pozostawał spokojny.

— Teraz Wielicki jest najmniejszym złem.

Mężczyzna złączył dłonie i siedział w namyśle. Przerwało mu kręcenie w nosie od dymu. Kichnął.

— Musisz tyle jarać? — zapytał z rozdrażnieniem.

— To pomaga zachować dyskrecję.

— Poważnie? Tak samo jak ciemność?

Liczysz na to, że Eliminacja tu po ciebie nie przyjdzie, bo się wystraszy ciemności?

* * *

Główną trudność pochwylenia stanowiło to, że obiekt prawie nigdy nie współpracował. Regulamin nakazywał minimalizację skutków ubocznych, co nie było łatwe podczas pościgu na zapleczu restauracji czy w zatłoczonym sklepie. Eliminacja starała się unikać takich miejsc, choć nie zawsze okazywało się to możliwe. Priorytetem było jak najszybsze pochwylenie. Niepisanym prawem przymykano oczy na zniszczenia mienia i poturbowanie przypadkowych osób, jeśli mieściło się to w granicach rozsądku, a samo pochwylenie odbywało się szybko i sprawnie. Osiem Jeden skrzętnie to wykorzystywał, odrobina demolki wszak zawsze poprawia humor.

Reakcje chwytyanych zawsze były zagadką. Niektórzy siedzieli w stuporze i pozwalali się obezwładnić, a potem zawlec do furgonetki i przypiąć do fotela.

Inni uciekali lub próbowali się bronić. Czasem reagował ktoś z otoczenia. To utrudniało sprawę, ale z drugiej strony dawało okazję do użycia środków przymusu bezpo średniego. Osiem Jeden chętnie z takich okazji korzystał. Byli też tacy, którzy do ostatniej chwili, nawet z workiem na głowie, grozili. Ci wzbudzali w Osiem Jeden największe rozbawienie. Niekiedy trafiali się cwaniacy, próbujący przekupstwa.

Wielka szkoda, że nie można temu ulec.

Oczywiście Eliminacja była nieodwołalna, ale cóż by szkodziło najpierw przyjąć przelew na kilka tysięcy złoteuro? Pochwycony obiekt i tak już nie potrzebuje pieniędzy.

Przypomniał sobie ostatnie zlecenie sprzed urlopu. Ten adwokat, jak on się nazywał? Marek Rewenda. Do końca myślał, że to porwanie. Nie dopuszczał do siebie, że dorwała

go Eliminacja. Osiem Jeden uśmiechnął się na samo wspomnienie.

— *Przygotować się* — rozległo się w słuchawkach. — *Jedna minuta.*

* * *

Sekretarz Wielickiego spóźnił się.

Najpierw przełożył spotkanie o piętnaście minut, teraz bez słowa wyjaśnienia nie przychodził przez kolejne dziesięć. Eliza siedziała w głębi przytulnej knajpki i sączyła drugą kawę. Denerwowała się.

Przecież nie co dzień zdradza się własnego szefa. I nie co dzień świeci się dosłownie gołą dupą przed całym pierścieniem. Miała już moment zawahania, gdy przyszło ostatnie WT od Sylwestra. Zawahanie trwało krótko, bo tak naprawdę nie mogła już wrócić do Kaliszewskiego. Za daleko to zaszło.

Nie zrobiła jeszcze niczego, co skreślałoby ją w jego oczach, nie zawiodła jeszcze jego zaufania i bez trudu wytłumaczyłaby swoje poranne milczenie. Nie o to chodziło — zmiany zaszły już w niej i po prostu nie potrafiłaby wrócić i udawać, że nic się nie stało. Sama straciła do siebie zaufanie.

Pół godziny po czasie. Zatrzymało go coś nagłego czy chciał jej okazać brak szacunku? Nie miało to znaczenia, nie zamierzała się targować. Jeśli nie on, to Zdonek.

Jeśli nie Zdonek, to jakikolwiek serwis plotkarski. Ważne było tylko, żeby materiały ujrzały światło dzienne dziś po drugiej. Ani minuty wcześniej.

* * *

Zaczynał się poważnie martwić. Od rana była nieuchwytna, a on miał tyle spraw do załatwienia. Spotkania, wywiady, negocjacje. Pierwszy okres ostracyzmu mijał nadspodziewanie szybko i teraz wszystkich rozsadzała ciekawość, jak to było naprawdę. Co powie sam potwór.

Kalendarz i większość kontaktów trzymała Eliza, więc do niego dobili się tylko ci najbardziej zdeterminowani. Niekoniecznie ci najbardziej pożądanymi. Ile okazji stracił przez te kilka godzin? I ile punktów procentowych będzie go to kosztowało? Ledwie jeden dziennikarz chciał się z nim spotkać w sprawie jego poglądów na temat Prowokacji i Eliminacji. Reszta była zainteresowana jedynie skandalem. Umówił się z nim na jutrzejsze popołudnie.

W sunącej przez miasto limuzynie próbował ogarniać sprawy, którymi zwykle zajmowała się asystentka. Nie szło mu zbyt dobrze. Przejrzał wyniki prognoz uzupełnione o impakt jego ostatniego wywiadu.

Trzy procent w dół. Szczerze mówiąc, spodziewał się kilku w górę. W sumie bez znaczenia, już zdecydował, że postawi wszystko na jedną kartę. Będzie szczerzy.

To niestandardowe w polityce, ale skoro inne pomysły zawiodły... Po przegranych wyborach i tak będzie się musiał wycofać.

Z zaskoczeniem stwierdził, że mniej się martwi o punkty procentowe, a bardziej o kobietę, z którą był tak blisko. Bliżej niż z żoną. Eliza nie odpowiadała od dwóch godzin. Być może to naprawdę reakcja na odstawienie Niesnu. Na to liczył. Ale to milczenie nie dawało mu spokoju. Nawet jeżeli wyciszyła komunikator, WT od niego powinny wybrzmieć tak głośno, by ją obudzić.

Za dwadzieścia minut kolejny wywiad.

Ważny, dla kanału, który ma pięć razy większą oglądalność niż tej siksy z rana.

Szybka decyzja. Napisał WT do dziennikarza, że nie może teraz przyjechać. Był niemal pewien, że tamten nie będzie się chciał ponownie spotkać. Tm dno.

Nacisnął przycisk interkomu limuzyny i powiedział do ochroniarza: — Zmiana planów. Jedziemy do Elizy.

* * *

Miał wrażenie, że ktoś za nim idzie.

Bał się odwrócić, żeby nie pokazać, że zauważył. A może odwracając się, ich spłoszy? Może to tylko złudzenie? Od pewnego czasu myślał o załatwieniu sobie ochrony.

Tyle że na takie spotkanie i tak nie mógłby wziąć ochroniarza. Zależało mu na dyskrecji. Przecież nie co dzień spotyka się z kimś, kto zdradza własnego szefa.

Sylwester odwlekał, jak mógł, spotkanie z Elizą. Jeszcze parę minut, a ona się zorientuje. Jeśli uderzy bezpośrednio do Wielickiego? Sylwester bardzo tego nie chciał. Wprawdzie kilka minut wcześniej podpalił lont pod beczkę prochu, która wyśle prezydenta w kosmos, ale... nie miał odwagi, by zrobić to inaczej niż metodą oślizgłej larwy. Jak na złość Niesłońce paliło jak rzadko. Chustką otarł pot z czoła.

Tak się właśnie czuł. Oślizgła larwa, która nie ma odwagi wystąpić otwarcie przeciw.

.. przeciw komukolwiek. Musi się więc i za każdym razem wybierać nieco mniejsze zło, czy może raczej — łatwiejszą drogę.

To tu, wr tej kawiarni się umówili.

Wszedł do środka i rozejrzył się po raczej ciemnym wnętrzu. Wzrok musiał się chwilę przyzwyczaić.

Drzwi za nim otworzyły się ponownie.

Tknięty złym przecuciem Sylwester obejrzał się za siebie.

I ujrzał swoje odbicie w złotej masce.

* * *

Mieszkanie wyglądało, jakby Eliza dopiero się tu wprowadziła. Albo jakby zamierzała się wyprowadzić. To pierwsze oczywiście nie wchodziło w grę, bo przecież znał to miejsce dobrze. Bywał w nim raz, dwa razy w tygodniu. Tym bardziej więc nie wiedział, co o tym myśleć. Pościel złożona w kostkę, na półce w szafie. Eliza lubiła porządek, ale nie aż tak. Przeważnie nawet nie składała kanapy, bo i po co, skoro do domu przychodziła tylko spać.

Spać albo się pieprzyć — w obu przypadkach bardziej przydawała się kanapa rozłożona właśnie.

Obok stały dwa otwarte kontenerki transportowe. W jednym leżały ubrania, w drugim kosmetyki i drobiazgi. Eliza nigdy nie otaczała się wieloma przedmiotami.

A może po prostu przeprowadzała się do większego mieszkania? Tylko czemu mu nie powiedziała? Żeby nie zwracać głowy podczas kampanii? Żeby mu zrobić niespodziankę po wyborach, niezależnie od wyniku? Nie, nie zrobiłaby tego w tak gorącym okresie.

Kraszewski zaczynał się poważnie martwić.

* * *

Sylwester Soliński siedział na krześle w kawiarni i nie miał siły wstać. Zamówił jedyny alkohol, jaki tu mieli, czyli piwo karmelowe. Prędszej się porzyga, niż nim upije. Trudno. Ręce mu się trzęsły, gdy podnosił szklankę do ust. Pomyślą, że alkoholik. I co z tego? Wyjątkowo nie dbał o to, co myślą inni. Kiedy w sekundę życie przelatuje ci przed oczami, nie masz nastroju do przejmowania się pierdołami.

Przecież z takim charakterem nie nadaje się do polityki! Jak to możliwe, że w ogóle do niej trafił?

Wiedział już z całą pewnością, że jego dni w tej branży są policzone.

Na stole, obok pustej filiżanki po kawie, leżał komunikator Elizy. Czarny, nieaktywny, ale wciąż z dostępem do wszystkich jej danych, za które już nie trzeba było płacić. Problem był tylko jeden — ktokolwiek dotknie komunikatora, przeloguje go do swojego konta i dostęp zniknie.

A wraz z nim nagrania kompromitujące Kraszewskiego. Na razie te dane wciąż można było wyciągnąć. Dla specjalistów nie stanowiło to problemu.

Jeżeli wcześniej nikt nie dotknie komunikatora.

Sylwester dotknął.

* * *

Ładne nogi, niezłe cycki, seksowna babeczka, nawet teraz, w worku na głowie.

Nic dziwnego, że Kruszewski wybrał ją na asystentkę. Osiem Jeden wodził wzrokiem po jej ciele ukrytym pod krótką czarną sukienką. Wrzucanie takiego ciała do „Zsyphu” to czyste marnotrawstwo. Ale regulamin jest regulamin.

Spojrzał po swoich milczących kolegach. Może myśleli o tym samym, co on, a może tylko o tym, że dziś łatwo poszło?

Zaraz skończą służbę i znów będą udawać zwykłych ludzi.

Za każdym razem, gdy dokonywali pochwylenia niezłej dziewczyny. Osiem Jeden lubił wyobrazić sobie, jak nagle zmienia zasady gry i ratuje ją w ostatniej chwili, jak pokonuje własnych towarzyszy i ucieka z nią gdzieś, gdzie nikt ich nie może znaleźć. Nie za darmo oczywiście.

Musiałyby z nim zamieszkać i robić to wszystko, na co miałyby ochotę.

Oczywiście wiedział, że to niemożliwe.

Ta dziewczyna była najlepsza, odkąd sięgał pamięcią. Najlepsza, odkąd zaczął służbę w Eliminacji. Wybitne ciało, luksusowe, zadbane. Natura połączona z godzinami ćwiczeń w klubie fitness. Nic nie mówiła, trzęsa się tylko i zaciskała palce na podłokietnikach.

Wielkie marnotrawstwo. No ale cóż, widocznie sama sobie zasłużyła na taki los.

Teraz podszedł nawet Soul. We trójkę patrzyli na wirtualny ekran z transmisją z wizjerki. Od oglądania tego rozbieganego, pływającego obrazu bolały oczy.

— Ty to zrobiłeś? — zapytała Judyta.

— Tyją... popchnąłeś na skraj przepaści?

Harpad pokręcił głową.

— Nawet nie wiedziałem, że była tak blisko.

Bez dźwięku trudno się było zorientować, co tam się dzieje. Eliza z workiem na głowie dopiero teraz próbowała się wyrywać. Rzecz jasna nie miała szans, jednak w polu widzenia pojawiła się końcówka paralizatora. Z pewnością trzymał ją właśnie Osiem Jeden. Błysnęło i ciało dziewczyny zwiotczało.

Posadzili ją na czymś w rodzaju czterokołowego wózka z solidnym fotelem, który wydawał się o rozmiar za duży. Przypięli ją pasami i powieźli korytarzem.

Judyta patrzyła na to z przejęciem zmieszonym ze smutkiem. Ku swojemu zdziwieniu Harpad czuł coś podobnego.

Przez rozsuwane automatycznie drzwi wepchnęli wózek do białej sali. Były w niej tylko dwa obiekty. Pierwszy miał kształt wysokiej na półtora metra, wąskiej szafki z ekranem i wyglądał na rodzaj automatu diagnostycznego. Dalej, na środku sali z podłogi wystawał spioły karbowany sześć ścian. Boczne i górne krawędzie miały zaokrąglone, a nad rozsuwanymi drzwiami widniał napis TW—03.

— Terminal wyjścia — stwierdził Soul.

— Zsyp.

Jeden z eliminatorów odpiął pas przytrzymujący ramię dziewczyny i przyłożył jej dłoń do ekranu. Pojawił się na nim jakiś tekst, zdjęcie oraz duży napis „Legalność procedury pochwylenia potwierdzona”.

— Czy oni nie mają sumienia?

— zapytała szeptem Judyta. — Nawet nie drgnie im ręka.

— Stymulacja hormonalna — odparł Soul. — Wyłącza empatię, współczucie i cały ten humanistycznoblizniolubny kompleks. Dodają im coś do żarcia, do picia. Potem zero zawahania, zadanie jest zadanie.

— Ty to wiesz, czy to jakaś twoja kolejna teoria?

— Hormony naturalne czy sztuczne, a może kolejne nano, co za różnica? Robią to samo. — Soul poprawił ostrość. — Teoria.

Drzwi terminalu wyjścia rozsunęły się, ukazując pomarańczowe wnętrza. Zapewne windę, choć nie widać było niczego w rodzaju panelu kontrolnego. Za to na środku stał

wyższy od człowieka robot gąsienicowy z trzema hydraulicznymi ramionami zakończonymi zaokrąglonymi uchwytami. Optoelektroniczna głowica obróciła się w stronę dziewczyny na wózku, a robot podjechał do niej. Na środku korpusu żarzył się reflektor wielko ści talerza.

Eliminatorzy odpięli pasy, unieśli ofiarę i tyłem przysunęli do robota. Dwie mniejsze łapy zamknęły się na jej ramionach; środkowa, większa, unieruchomiła ją w pasie. Osiem Jeden zdjął worek z głowy dziewczyny.

Harpad mimowolnie zacisnął pięści, nie mógł odgonić od siebie myśli, co w tej sytuacji czuło jego bezbronne, śmiertelnie przerażone dziecko.

Eliza rozglądała się w panice. Krzyczała, choć nie było tego słyhać. Jej próby wyswobodzenia się nie robiły na ciężkim robocie żadnego wrażenia. Wycofał się ze swoją ofiarą do wnętrza terminala. Chwilę potem drzwi zamknęły się i było po wszystkim.

Judyta opuściła głowę i chyba niewiele brakowało, żeby się rozpłakała.

— Niewiele się dowiedzieliśmy — stwierdziła cicho.

Soul sięgnął do projektora. Harpad złapał go za rękaw.

— Jeszcze nie wyłączaj.

* * *

Do kantyny czwórkami wchodzili eli

minatorzy z kolejnych zespołów. Eliminacja pracowała co prawda całą dobę, jednak najwięcej pochwyceń dokonywano między siódmą a dziewiętnastą. Próbowano uniknąć zamieszania z bliskimi obiektów.

Pochwycenie w biurze, w autobusie czy podczas lunchu najczęściej wiązało się tylko z krótką szarpaniną, czasem zakończoną użyciem paralizatora. Zwykle nawet to nie było konieczne, bo worek i kajdanki załatwiały sprawę. Raczej nikt postronny się nie wtrącał.

Nigdy nikt nie pomógł w pochwyceniu.

Osiem Jeden skończył swój stek i odsunął talerz. Niby zwykłe jedzenie, jak na mieście, ale czuł się szczególnie doceniony.

I związany ze swoją formacją. Te wspólne posiłki po służbie naprawdę wiele dla niego znaczyły. Był częścią większej organizacji, której siłę budował i jednocześnie korzystał z tej siły, by czynić dobro w Pierścieniu Warszawa. Poczucie wspólnoty

dodawalo mu skrzydeł. Nigdy więcej urlopów! Nigdy więcej głupich pomysłów z opuszczaniem pierścienia.

Pojawił się robot sprzątający i zabrał naczynia. Pozostali jeszcze nie skończyli, ale Osiem Jeden nie czekał, tylko otworzył puszkę YitEli i wypił ją duszkiem. Nie lubił tego metalicznego smaku, ale to było obligatoryjne —jedna puszka dziennie.

Dopiero teraz nadchodził czas prawdziwej przyjemności. Nalał szkocką do szklanki z lodem. Siedzieli przy stole w jednej z przytulnych łoży z elegancką skórzaną kanapą w kształcie podkowy. Na stole było wszystko, czego Osiem Jeden potrzebował do szczęścia — butelka szkockiej i kubek lodu. Pozostali woleli piwo.

Dla każdego coś dobrego, a wszystko na koszt firmy.

Pamiętał akcję pochwylenia redaktora jakiegoś serwisu sieciowego. Facet pracował w domu i praktycznie go nie opuszczał.

Nie mieli więc wyjścia. Rodzinka akurat siadała do obiadu: obiekt, dwójka dzieciaków i żona. Te rozpierduchy w ciasnych pomieszczeniach zawsze wyglądają najgorzej. Makaron był nawet na suficie. Żona poszła siedzieć na trzy lata, bo chwyciła nóż. Cóż z tego, że tępy, taki do przytrzymywania makaronu, żeby nie uciekał spod widelca? Nóż jest nóż. Co z dziećmiakami?

Pewnie życie je zmusiło, by wcześniej dorosły. Może niedługo Osiem Jeden przyjdzie i po nie.

— Widzieliście jej minę? — Osiem Jeden zaśmiał się i łyknął szkockiej. — Dla tych momentów nie zamienilibym nigdy naszej pracy na inną.

— Szkoda kobitki. — Cztery Sześć był mniej przekonany. — Ja bym jej dał drugą szansę.

— Ja bym jej dawał szansę co noc!

Tym razem wszyscy zarechotali.

Podobna atmosfera panowała w innych łożach. Po wszystkim pójdą do domów, niektórzy do swoich żon i dzieci, nieświadomych, czym się zajmują ich mężowie i ojcowie. Inni zostaną jeszcze chwilę, by pogadać przy barze lub w palarni. Większość eliminatorów paliło, być może nikotyna w jakiś sposób pomagała znieść wzrok ludzi znikających w pomarańczowym wnętrzu.

Nalał sobie następną kolejkę i popatrzył po kolegach. Ile jeszcze wspólnych misji przed nimi? Z końcem roku zawsze następowały przetasowania w zespołach. Dla

odświeżenia atmosfery. Nie było tajemnicą, że skład zespołów dobierano według wzajemnych sympatii eliminatorów. To ważne, by unikać tarć. Powszechnie podejrzewano, że algorytm kompletujący nowe składy pilnie obserwuje właśnie to, co dzieje się w kantine.

Rozmawiali o jakichś duperelach, ale żaden nawet nie zająknął się, co robił podczas urlopu. Osiem Jeden sięgnął po butelkę, ale zatrzymał rękę. Po wpadce urlopowej uznał, że odrobinę przyhamuje.

Przynajmniej tutaj, gdzie każdy ruch obserwują kamery. Co będzie potem, to już jego sprawa, bo oczywiście nie zamierzał iść prosto do domu. Odwiedzi bar, może dwa.

Poderwie jakąś dupeczkę.

— Spadam. — Wstał. — Muszę się porządnie wyspać.

— Te dwa tygodnie ci nie wystarczyły?

— zapytał z rozbawieniem Trzy Jedena ście.

— Wierz mi. Robiłem wiele rzeczy, o których ci się nawet nie śniło. I nie było to spanie.

Z uśmiechem pożegnali się i Osiem Jeden ruszył w stronę drzwi. Pamiętał o kamerach i starał się iść prosto. Po dwóch szklaneczkach nie było to nawet takie trudne. Gorzej będzie później, choć miał mocne postanowienie, że dziś nie popłynie.

Jeszcze góra trzy, no OK, cztery. W głębi duszy podejrzewał, że niestety skończy się tak, jak coraz częściej ostatnio, czyli rano nawet nie będzie pamiętał, ile wypił.

Wyszedł z kantyny. Korytarzem z naprzeciwka zbliżał się kolejny zespół.

Co dziwne, wciąż mieli na twarzach maski.

Próbował ich wyminąć, ale pierwszy z nich zastąpił mu drogę.

— Obywatel Jacek Lipniarz? — zadudnił zza maski.

— Osiem Jeden! — odparł oburzonym głosem Lipniarz. — Tu nie wolno — — Eliminator numer siedem trzy — kontynuował tamten — w imieniu Prezydenta Warszawy zatrzymuję pana prewencyjnie.

VII

Objęła go mocno. Z wdzięczności. Soul zerknął na nich i uniósł jedną brew ze zdziwieniem.

— Eliminacja zabrała Marysię, bo jej PZ przekroczyło drugi próg — powiedział Harpad, gdy dziewczyna odsunęła się.

— A stało się tak, bo była świadkiem śmierci matki.

Judyta odwróciła się, aby nie było widać jej twarzy. Nuzzler kontynuował: — Osiem Jeden powiedział, że poznają dane obiektu, dopiero gdy przekroczy próg.

Oni tam byli wcześniej, czekali. Widziałem ich. To wszystko było ukartowane. Ktoś napisał scenariusz, w którym wszyscy zagraliśmy. I tym kimś nie był Wolf.

Osiem Jeden nie miał worka na głowie i szedł, zamiast jechać na wózku. Zapewne dlatego, że terminal wyjścia znajdował się niedaleko. Obraz wizjerki był jeszcze bardziej rozbiegany i niewyraźny niż wcze śniej. Panika robiła swoje. Nieostre obszary w dole, zapewne łyzy, zmieniały swoje położenie po każdym mrugnięciu, które widzieli jako brak obrazu przez ułamek sekundy.

Oglądali teraz tę samą procedurę, tym razem z punktu widzenia ofiary. Jeden z eliminatorów przyłożył dłoń Osiem Jeden do ekranu, na którym po chwili pojawił się napis „Zasadność eliminacji potwierdzona”. Wtedy obraz zaczął tak drzeć, że stał się niemal nierozpoznawalny. Osiem Jeden nie należał do obiektów, które współpracują. Szarpał się, choć przecież jak rzadko kto wiedział, że ucieczka nie może się powieść.

Coś rozbłysło i obraz na chwilę zgasł.

— Paralizator — wyjaśnił niepytany Soul.

Gdy obraz powrócił, w kadrze widać było czterech eliminatorów. Kamera, a właściwie wzrok Osiem Jeden zjechał w dół, ukazując ramiona i korpus uwięzione w potężnych łapach robota. Osiem Jeden znów spróbował się uwolnić. Teraz to już nikomu nie przeszkadzało. Eliminatorzy spokojnie patrzyli zza swoich złotych masek na wierzgające w powietrzu nogi.

Oddalali się — to robot z ofiarą w objęciach wycofywał się do wnętrza terminalu wyjścia.

Cała trójka w laboratorium w napięciu obserwowała drżący obraz. Osiem Jeden w panice rozglądał się na wszystkie strony, a bezduszna maszyna wciągnęła go do pomarańczowej windy. Drzwi zasunęły się.

Nie było sposobu, żeby sprawdzić, czy winda się porusza ani czy w ogóle jest windą. Tylko obraz stawał się coraz mniej wyraźny. Znikały kolory, kontury, aż wreszcie wszystko zgasło.

Milcząc, wpatrywali się w miejsce, gdzie przed chwilą był obraz. Ciszę przerwała Judyta: — Nie żyje? — zapytała.

— Gdzie tam... — Soul wyłączył projektor. — Przykrość taka, że transmisja wizjerki idzie po łączach publicznych. Tam głęboko nie ma zasięgu.

Judyta wstała i przeszła na środek pomieszczenia. Uderzyła pięścią w obudowę jakiegoś grata.

— Strata czasu — powiedział ze złością Harpad. Zwrócił się do Soula — jak się tam dostać? Na dół, do Eliminacji?

— Spróbuj nagrzeszyć. Będziesz miał nawet darmowy transport. — Soul już rozłączał projektor.

— Nic z tego. — Nuzzler pokręcił głową. — Nie uda się. Cokolwiek bym zrobił, moje PZ będzie zawsze na zerze.

Naukowiec spojrział na niego z nagłym zainteresowaniem.

— Sprawdzalem. — Harpad rozłożył ręce.

— Szczęściarz.

— Żeż kurwa mać! — Nuzzler zerwał się. — Tam jest moja córka!

Soul pokiwał głową i po namyśle powiedział spokojnie: — Nie znamy dokładnego rozmiaru warstwy zewnętrznej pierścienia. Szacunki mówią o stu czterdziestustu pięćdziesięciu metrach. — Wskazał palcem w ziemię.

— Tyle dzieli nas od powłoki. Instalacje miejskie i fundamenty budynków nie sięgają głębiej niż na dwadzieścia metrów.

Czy szukano przejścia do niższych poziomów? Szukano. Wielokrotnie. Nie znaleziono.

— Kioskarz wylazł.

— Już nam nie powie, w jaki sposób — wtrąciła się Judyta. — Jeśli chcesz odzyskać córkę...

Harpad pokręcił głową.

— Nie zaryzykuję — powiedział cicho.

— Nie zmienię jej PZ.

— Założmy, że uda ci się tam wejść.

Co zrobisz potem? Nie mamy pojęcia, co tam jest ani jak to działa. Wiemy jedynie, że ludzie nie wracają stamtąd ot tak. Wejdiesz tam i co? Nawet nie umiesz się posługiwać bronią. Masz specjalne zdolności, zgoda, ale nie jesteś komandosem.

Twoje umiejętności polegają na czym innym i przydają się tutaj. — Podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu. — Coś wymyślimy.

— Jak wymyślicie, dajcie znać.

— Odłożył Waltiera na blat i mszył w stronę drzwi. — Wolf zlecił mi zadanie, a ja go nie wykonałem. Nie wiem, ile mam czasu, zanim to zauważy.

— Jakie zadanie?

— Miałem ustawić Kruszewskiego na skraju Eliminacji. — Otworzył drzwi. — Ale ja nie jestem mordercą.

* * *

Waldemar Kruszewski siedział w jadalni i patrzył tępo w ciemny ekran komunikatora. Minął prawie kwadrans, od kiedy po raz ostatni próbował się skontaktować z Elizą. Właśnie wtedy zamiast jej zdjęcia w indeksie teleadresowym pojawił się czerwony prostokąt z napisem „Wyeliminowano”.

Z boku cicho szumiał kompilator Zelmer. Kruszewski musiał się napić.

Potrzebował wódki. Nie whisky, nie koniaku, choć te stały w barku. Zamierzał się upić i to musiała być wódka, najlepiej taka, po której przyjdzie solidny kac.

Potrzebował taniej, kiepskiej wódki z kompilatora.

Jeśli Wolf potrafi obniżyć jego PZ, to potrafi je również podnieść. Skoro chciał się go pozbyć, to czemu wyeliminował Elizę? Czemu nie jego?

Dotknął komunikatora i po raz piętnasty, może dwudziesty spojrzął na czerwony prostokąt. To nie mogła być pomyłka czy błąd systemu. Takie rzeczy się nie zdarzały.

Elizy już nie było. Za kilka dni zniknie i ta krwawa klepsydra, a wraz z nią cała

historia życia kobiety, z którą planował przyszłość. Znikną zdjęcia, filmy, wiadomości.

Wszystko.

Krótki pisk z boku oznajmił koniec kompilacji. Kraszewski wolno wstał, wolno wyjął z szafki kieliszek i otworzył pokrywę kompilatora. Owionął go dobrze znany zapach ozonu. To, co stało wewnątrz kompilatora, nie było jednak butelką taniej wódki. Zajęło mu dobrą chwilę, nim uzmysłowił sobie, na co patrzy.

Z metalicznym kliknięciem odskoczyła dźwignia spustowa granatu.

* * *

Wszystkie światła płynnie zgasły, świeciły tylko gwiazdy za wielkim oknem. Jak zawsze. W oknie nie było zasłon, bo i po co zasłony, jeśli na zewnątrz panuje niezmiennie bezchmurna, bezksiężycowa noc?

Twarze obecnych wyłaniały się z ciemności, w miarę jak ich wzrok dostosowywał się do szczątkowego światła.

— Czy to konieczne? — zapytał korpulentny sześćdziesięciolatek z siwą brodą i w okularach. Wyglądał jak profesor politechniki, i był nim. — Może założymy maski?

— To dla naszego wspólnego dobra, profesorze Gabrych — odparł z ciemności Piotr.

— Jest pan pewien, że g.A.I.a. nie potrafi rozpoznawać ludzi po głosie? Że nie zna naszej lokalizacji?

— Im mniej okazji jej damy, tym mniej okazji będzie miała — odparł siedzący w głębokiej kanapie Adam. — Zaczynajmy. Poprosimy o prosty język, nie jeste śmy naukowcami.

— Wobec tego pozwolą panowie, że usiądę. — Profesor klapnął w fotel i pilotem włączył holograficzną wizualizację.

Fantom wypełnionego dymem pierścienia uniósł się nad stołem. — Nie udało nam się przywrócić żadnej łączności z Pierścieniem Monachium. Odpowiadają tylko zewnętrzne wieże radarowe, wyposażone we własne zasilanie.

— Prezydent, zdaje się, odciął łączność. — Piotr również usiadł.

— Tak, zdaje się. Jemu się zdaje.

Odciął kanały cywilne i urzędowe. O sieciach uniwersyteckich nie pomyślał.

— Czyli mamy łączność?

— Teoretycznie tak, ale jeśli spróbujemy ją wykorzystywać do celów

pozanaukowych, władze bardzo szybko się zorientują. Jesteśmy w stałej łączności z ośrodkami akademickimi z kilku miast. W Gdańsku, Wrocławiu i Katowicach łączność cywilna też jest odcięta. Poznań i Lublin i nie odpowiadają, co znaczy, że tamtejsze władze wpadły na pomysł zamknięcia również kanałów naukowych.

— Wybory we wszystkich pierścieniach Związku Miast Polskich odbywają się tego samego dnia — przypomniał Piotr.

— Czyli wszędzie mają te same dylematy.

Adam tylko westchnął, słysząc tę oczywistość.

— Pozostałe polskie miasta nie zastosowały blokady informacyjnej — ciągnął profesor. — Z tego, co wiem, pierścienie niepolskie również nie. Wszędzie tam jest to temat numer jeden. Nastroje można w skrócie określić jako kontrolowaną panikę. Nikt nic nie wie.

— A teraz, jeśli pan pozwoli — odezwał się Adam — chętnie poznamy opinię techniczną.

— Ależ proszę bardzo. Jeżeli panele słoneczne na obwodzie pierścienia też przestały działać, to w ciągu dwóchtrzech tygodni temperatura spadnie poniżej minus dwadziestu stopni. Jeśli Niesłońce zgasło całkowicie, a najpewniej tak się stało, to najpierw ustanie szczątkowa fotosynteza roślinna — jeśli jakieś rośliny w ogóle przetrwały — zniknie więc resztką tlenu, ta produkowana poza systemami podtrzymywania życia. Temperatura będzie nadal spadać, bo ciepło słoneczne będzie pochłaniane na obwodzie pierścienia i oddawane po jego ciemnej stronie. Czyli mamy ujemny bilans cieplny. Szacujemy, że po kilku miesiącach temperatura spadnie do minus osiemdziesięciu, minus dziewięćdziesięciu stopni. Dwutlenek węgla resublimuje i opadnie na wewnętrzną powierzchnię pierścienia. Następnie, w skali kilku tygodni (nie mamy danych, by to wyliczyć)

Pierścień Monachium starci stabilność na tyle, że promieniowanie słoneczne pokona rant i dotrze do obszarów leżących bezpo średnio przy Barierze. Żaden pierścień nie jest idealnie wyważony. Dowolny przemieszczający się przedmiot powoduje zaburzenie rotacji. Normalnie jest to korygowane na bieżąco przez system stabilizacyjny umieszczony na obwodzie pierścienia, ale tam ten system zapewne przestał już działać, a gwałtowność... zjawiska, jakie zaobserwowaliśmy, pozwala przypuszczać, że już w tym momencie mamy do czynienia z dużym niewyważeniem, spowodowanym chociażby

zawaleniem się wielu budynków. Do tego dochodzą ruchy atmosfery, która będzie podlegać niekontrolowanym fluktuacjom podczas bezpo średniego nagrzewania wewnętrznej powierzchni pierścienia przez prawdziwe Słońce. Zamarznięty dwutlenek węgla pod wpływem ciepła będzie sublimował, co spowoduje nagłe zmiany ciśnienia w różnych obszarach pierścienia, a więc i dalszą destabilizację osi rotacji. W przypadku jakiegokolwiek rozszczelnienia będzie to również oznaczać ryzyko przemieszczenia się Pierścienia Monachium w przestrzeni, więc i potencjalnej kolizji z innym pierścieniem.

— Uważa pan, że to nastąpi...?

— Piotr zawiesił głos.

— Nie prędzej niż za... — naukowiec wyduł wargi — kilka miesięcy. Tak wygląda pierwsza z wstępnych opinii naszej komisji.

— Więc jest ich więcej?

Gabrych skinął głową.

— Komisja podzieliła się na dwa obozy.

— To miała być komisja ekspercka — zauważył Adam. — Czy nie po to powo łano komisję, by dała jednoznaczną odpowiedź?

— Komisja... powołała się sama. Nieoficjalnie, potajemnie wręcz. Naszym celem jest prognoza zagrożeń. Nie wypracowaliśmy konsensusu, więc uznaliśmy za uzasadnione przedstawić obie opinie.

Nauka to nie polityka. Faktów nie można przegłosować, opinii również. — Profesor przełączył nagranie. — Analiza nagrań z sąsiednich pierścieni wskazuje, że w kilka sekund po wybuchu doszło do rozszczelnienia. Bariera wytrzymała. Wyciek pojawił się, gdy fala uderzeniowa dotarła do obwodu pierścienia. — Powiększył zdjęcie, na którym widać było teraz niewyraźne chmurki. — Według części komisji jest to pył wyrzucony wstrząsem ze szczelin w obudowie pierścienia. Moim zdaniem i zdaniem reszty komisji jest to ulatująca atmosfera. Nie mieliśmy czasu, by to zweryfikować z użyciem spektrometrów. Obie opinie opierają się na hipotezach i przypuszczeniach. Nasza jest niestety bardziej pesymistyczna.

— Z tego co pamiętam — odezwał się Piotr — wszyscy zgadzają się, że tam już nie ma żywych.

— Ja nie o tym. — Profesor pokręcił głową. — Wyciek może oznaczać uszkodzenie konstrukcji. Naliczyliśmy kilkadziesiąt takich obłoczków tylko po stronie

nasłonecznionej. Znikły po kilku minutach od eksplozji. Płaszcz każdego pierścienia prawdopodobnie ma systemy samouszczelniające. Prawdopodobnie to system grodzi i zbiorników z termoutwardzalnym żelom, który teoretycznie może poradzić sobie z kilkumetrową wyrwą bez pomocy robotów konserwacyjnych. Żel jest pompowany do sekcji, w których nastąpił spadek ciśnienia. Gdy zostaje poddany gwałtownemu spadkowi temperatury i ciśnienia, czyli w próżni, bądź w strumieniu rozprężającego się powietrza, gęstnieje i staje się lepki. Po kilku minutach twardnieje. To zwykle wystarcza, by zlikwidować wyciek atmosfery lub przynajmniej ograniczyć go do minimum. To bardzo prosty i zdecentralizowany system, więc mógł przetrwać kataklizm. Niepokojąca jest jednak skala zniszczeń, do jakich mogło dojść przy tak gwałtownych zmianach ciśnienia i temperatury. Automaty naprawcze nie poradzą sobie z tak rozległymi uszkodzeniami.

Panele słoneczne prawie na pewno nie działają. Moim zdaniem zniszczeniu uległa większa część systemów automatyki pierścienia. Jeśli połączymy to z licznymi uszkodzeniami osłony termicznej i naruszeniem konstrukcji nośnej, otrzymamy kolejne zmienne naprężenia związane z cyklicznymi wahaniami temperatury spowodowanymi promieniowaniem słonecznym. Kolejna rzecz, konstrukcja pierścienia jest policzona na kompensowanie gigantycznych sił odśrodkowych, które my tutaj odbieramy jako substytut grawitacji. Jeśli prędkość obrotowa spadnie, ta siła ulegnie osłabieniu, co wiąże się z ryzykiem kolapsu całej struktury.

— A po polsku?

— Naszym zdaniem Pierścień Monachium rozpadnie się. Zmiany temperatury to przyspieszone zmęczenie materiału.

Będą się pojawiać kolejne uszkodzenia, które spowodują dalsze rozsztywnienie struktury i mikrouszkodzenia. To będzie reakcja łańcuchowa, na końcu pierścień pęknie w najsłabszym miejscu. Co z kolei doprowadzi do kolejnych zniszczeń wynikających z działania sił odśrodkowych. Nie istnieje model, dzięki któremu moglibyśmy wszystko przewidzieć. Możemy się tylko domyślać, że naprężenia w momencie rozpadu rozerwą ściany na odcinki nie większe niż kilkaset metrów. Oczywiście w przestrzeń uleci wtedy również cała zawartość.

— Dlaczego pańskim zdaniem ma to być gorsze niż niestabilny pierścień w całości?

— zapytał Adam.

— Pierścień jako całość teoretycznie można wybić z orbity i skierować

w bezpiecznym kierunku, na przykład ku Słońcu.

Nie wiem teraz, jak tego dokonać, ale to teoretycznie możliwe. Z miliardami odłamków różnej wielkości i kształtu zrobić się tego nie da. Jeśli pierścień rozpadnie się, siły odśrodkowe spowodują rozproszenie szczątków. Jednak późniejsze orbity części z nich będą potencjalnie kolizyjne z orbitą Różańca. Zagrożą więc wszystkim pierścieniom, a najpierw tym najbliższym. Warszawa jest oddzielona od Monachium tylko siedmioma pierścieniami. Cały ten kosmiczny śmietnik będzie obrazem niepoliczalnego chaosu. Szczątki będą się ze sobą zderzać, szczepiać lub odbijać, lecąc w przypadkowych kierunkach. Te odłamki to nie tylko wielkie elementy konstrukcyjne. To także pojedyncze cegły, metalowe śruby, czy wreszcie piach i kurz. Pierścienie są na tyle masywne, że w obliczeniach trzeba brać pod uwagę ich grawitację.

Znajdziemy się więc w chmurze różnej wielkości odpadków, które zagrożą panelom słonecznym bezpośrednio, czyli mechanicznie, i pośrednio, zasłaniając i rozpraszając światło. To rozproszone światło będzie docierać do wnętrza pierścieni poprzez Bariere, o której wiadomo, że przepuszcza promieniowanie podczerwone tylko w jedną stronę. Produkcja energii elektrycznej spadnie, natomiast ilość wchłoniętego ciepła wzrośnie.

Profesor odetchnął. Dłuższą chwilę panowało milczenie.

— Co było przyczyną katastrofy?

— zapytał wreszcie Adam.

— Wszystko wskazuje na wybuch Niesłońca. Błysk z samego środka pierścienia przebił się nawet przez Bariere. Kilka sekund później stała się ona przezroczysta i... te nagrania już widzieliśmy.

— Zapewne zbyt wcześnie na takie pytanie, ale jednak je zadam: czy coś takiego może się powtórzyć w innym pierścieniu?

— Za wcześnie i nie za wcześnie. Przypomnę, że praktycznie biorąc, nie wiemy, czym jest Niesłońce. Są takie tematy, które znikają, nim się na dobre pojawią. — Profesor podrapał się za uchem. — Nazywam je publicznymi czarnymi dziurami. Ludzie wykazują wręcz chorobliwy brak zainteresowania, jakby sama myśl o nich sprawiała przykrość.

— Dziękujemy, profesorze. — Piotr wstał i wyciągnął dłoń. — To było bardzo pouczające.

— Właśnie o tym mówię. — Profesor Gabrych nie ruszył się z miejsca. —

Wspomniałem o badaniach Niesłońca, a pan postanowił zakończyć spotkanie.

Piotr wolno opuścił dłoń.

— Mamy kolejne spotkanie — wyjaśnił bez przekonania.

Gabrych pokręcił głową.

— To nie to. Czuje pan mrowienie?

Może skrępowanie? Może znudzenie? To się objawia na różne sposoby, gdy tylko pojawia się któraś z publicznych czarnych dziur.

— Chorobliwy brak zainteresowania — powtórzył Adam. — Możliwe, ale my naprawdę mamy kolejnego gościa.

Profesor uśmiechnął się smutno i przytaknął. Podszedł do drzwi, przez które wchodził właśnie chudy, wąty wręcz, czterdziestolatek o rzadkich włosach, który sprawiał wrażenie alkoholika na odwyku.

Nie wiedział, co zrobić z rękoma, bał się.

Wojskowa kurtka domagała się wymiany.

Nie wyglądał na kogoś, kogo warto wysłuchać.

* * *

— Eliza Strumińska uległa eliminacji

— oświadczył od progu gabinetu Sylwester.

— Ale masz te nagrania? — zapytał z nadzieją w głosie Wielicki.

Sylwester starł pot z czoła. Ułożył sobie wcześniej, co powie. Właściwie to nawet nie było konieczne. Mógł powiedzieć całą prawdę. Prawie całą. Wystarczyło, żeby nie wspominał o tym, że komunikator Strumińskiej został na kawiarnianym stoliku. I że go przełogował.

— Zabrakło kilku minut.

— Czemu się nie pośpieszyłeś?

— Wielicki zacisnął usta.

— No... Przecież nie wiedziałem, co się wydarzy.

— Ale wiesz, że są wybory! Znajdź mi, kurwa, szybko inny sposób na pozbycie się Kruszewskiego. To priorytet. — Prezydent dotknął białekranu i zaczął przeglądać raporty. — O której dokładnie ją eliminowano?

Sylwester poczuł gorąco. Na spotkanie z Elizą dotarł przecież z przeszło

półgodzinnym opóźnieniem.

Zapikał komunikator prezydenta. To nie zdarzało się często, bo niewiele osób miało możliwość wysłania WT do prezydenta, i w dodatku wiedzieli, że nie mogą tego nadużywać. Większość spraw załatwiali prezydency podwładni, między innymi właśnie Sylwester. Wielicki spojrzął na komunikator i natychmiast stracił zainteresowanie raportami.

— Kto to zrobił? — zapytał w ekran komunikatora. — Kto to, kurwa, zrobił?!

Sylwester zeszywniał. Na wszelki wypadek milczał, z cichą nadzieją, że nie chodzi o niego i Elizę.

Wielicki gestem przeczucił obraz na jeden z ekranów na ścianie. Zdjęcie przedstawiało willę z wypalonymi oknami na parterze. Brakowało części elewacji, połowy piętra, a podwórko zasłane było pogruchotanymi meblami i sprzętami domowymi.

— Kruszewski nie żyje. — Wielicki przetarł dłonią twarz. — Został tylko Zdonek... Całe te nagrania Strumińskiej o kant dupy. Ja pierdołę...

Sylwester nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Jak to możliwe?

— Takie rzeczy nie zdarzały się...

w ogóle.

— Ale teraz się zdarzają. — Wielicki szturchnął palcem pierś sekretarza. — On nie miał umierać! On miał się skompromitować i wycofać! Teraz wszyscy pomyślą, że to moja robota! Na szczęście nie dopuszczają tam mediów.

— Nie ukryjemy zniknięcia kandydata na prezydenta — zauważył Sylwester.

— Wiem! Jedź tam — powiedział wolno. — Zrób wszystko, żeby to tylko nie wyglądało na zamach. Wymyśl coś. Nie wiem, że to on konstruował bombę i mu wybuchła w pysk. Przekonaj media. Potem się będzie odkręcać.

— Obawiam się, że w tej kwestii nie możemy polegać na agencji PR. Oni już w sprawie Monachium mają — — Zrób cokolwiek!!! — ryknął prezydent. — Już!

Nie musieli się przedstawiać. Wiedział, że siedzący na kanapie łysy, umięśniony elegant nazywa się Adam, ten stojący z zaczesanymi do tyłu czarnymi włosami to Piotr. Powstrzymał się przed przyswojeniem większej ilości informacji o nich, ale i tak mimowolnie dowiedział się, że mają bardzo niskie PZ. Zaskakująco niskie.

Starął się sprawiać wrażenie pewnego siebie i mógł tylko mieć nadzieję, że mu się

udaje.

— Napije się pan whisky? — zapytał Piotr.

Harpad przełknął ślinę.

— Dziękuję, ale nie. Mam dziś coś do załatwienia. Na trzeźwo będzie łatwiej.

— Jest pan nuzzlerem.

— Mam krótką przerwę w świadczeniu usług. Sprawy rodzinne.

— Nie chodzi o usługi. Chodzi o losy Pierścienia Warszawa, a prawdopodobnie i o losy całej ludzkości.

— Grubo. — Harpad pokiwał głową.

— Niemniej zajmują mnie ostatnio sprawy rodzinne.

— Jedno z drugim się wiąże. Możemy pomóc sobie nawzajem.

— Panowie reprezentują... Sprawę?

— Harpad wsunął ręce do kieszeni. Głównie dlatego, że nie wiedział, co z nimi zrobić. — Czym jest ta cała Sprawa?

— O tym za chwilę. — Piotr poprawił włosy. — Wie pan o nanoID, prawda?

Przebadaliśmy je, na ile to możliwe. Identyfikacja to wtórna cecha, pierwotną było monitorowanie stanu zdrowia nosiciela i przesyłanie tych danych do centrum medycznego. Dawno temu. Obecne zastosowanie pojawiło się dzięki implementacji nowej funkcji w istniejącym systemie.

— Soul uczestniczył w tych badaniach?

— zapytał Harpad. — Mówił mi co innego o nanoID.

— Nie jesteśmy spółką publiczną, która musi być transparentna. — Piotr wzruszył ramionami. — Pracujemy dla Sprawy.

Jesteśmy w podziemiu. Może tego nie widać, nie używamy stopni wojskowych, nie ma przełożonych. Nie ma przymusu ani przysięg wierności. Jeśli potrzebuje pan zarysu hierarchii, to opiera się ona na stopniach wtajemniczenia. Gratuluję, właśnie pan awansował.

Harpad nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Milczał.

— Ustaliliśmy — ciągnął Piotr — że nanoID przesyła do systemu duże ilości danych, ale nie ma wśród nich tych o stanie zdrowia. A jeśli nawet są, to nikt ich nie analizuje. Gdyby było inaczej, cukrzycę, zakrzepicę i wiele powszechnych chorób wykrywano by na wczesnym etapie. Tak się nie dzieje. Wie pan dlaczego?

— Może... — Harpad szukał jakiegokolwiek wyjaśnienia. — Może chodzi o ograniczenia przepustowości łączy wewnątrzpierścieniowych?

Piotr pokręcił głową.

— A czemu porozumiewamy się za pomocą WT? — zapytał. — Dlaczego nie możemy po prostu połączyć się z kimś i porozmawiać z nim, zobaczyć go?

— Nie wiem. — Harpad wzruszył ramionami. — WT to wiadomość tekstowa, góra kilka kilobajtów. To nic w porównaniu z zapisem głosu czy obrazu. Przepustowość łączy... Nie, to by się wszystko zatkało.

— Przepustowość łączy jest wystarczająca. Podczas każdego skokowego przekonfigurowania g.A.I.a. ilość transmitowanych danych wzrasta na kilka godzin co najmniej tysiąckrotnie i nikt tego nawet nie zauważa.

Obciążeniem dla systemu nie jest transmisja, lecz analiza i przetwarzanie. Dlatego zbędne dane są odrzucane.

Harpad czuł znajome ciarki na plecach, ale nie cofał się. Próbował ułożyć w głowie prostą układankę i naprawdę niewiele brakowało, by...

— Wiadomościami tekstowymi łatwiej manipulować niż transmisją audio i video — wyrzucił z siebie. — Zmiana treści WT

jest bardzo łatwa. Wysyłam wiadomość, a adresat dostaje ją w zmienionej formie.

W podobnej, ale zmienionej. Tylko po co?

— A czemu dane zdrowotne nie obchodzą g.A.I.a.? — odpowiedział pytaniem na pytanie Piotr.

— To musi wynikać z czegoś innego.

— Harpad pokręcił głową. — g.A.I.a.

powstała, by... opiekować się ludźmi. Im więcej nas pracuje, tym lepiej ma się gospodarka. Wskaźniki... wydajność pracy... Nie jestem ekonomistą, ale to oczywiste. Jeśli ktoś jest chory, to nie pracuje, a inni muszą pracować ciężiej.

— W Pierścieniu Warszawa nikt nie musi pracować — odezwał się Adam.

Wstał i podszedł bliżej. Obseiwował klatkę z chomikiem. — Zdrowy czy chory, żadna różnica. Konieczność pracy to złudzenie.

Ludzie budzą się, w pośpiechu pochłaniają śniadanie, gnają do pracy albo pracują w domu, przez kilka godzin miotają się w nikomu niepotrzebnej fikcji, potem zapijają stres, wracają do domu, jedzą coś niezdrowego i idą spać. Następnego dnia od początku.

Jak w kołowrotku.

Harpad przeniósł wzrok na klatkę. Chomik przebierał łapkami, wprawiając w szybki ruch plastikowy kołowrotek.

— Po co on to robi, jak pan myśli?

— Adam włożył ręce do kieszeni. — Nie dostanie z tego powodu więcej pokarmu, tylko się zmęczy. Robi to, bo instynkt mu tak każe, bez tego zacznie chorować i zdechnie. Bez żadnego racjonalnego powodu. Chomik musi biegać, nawet jeśli biega w kółko.

— Ludzie pracują, żeby zarobić na życie — powiedział bez przekonania Harpad. — Dom, jedzenie, rozrywka...

— Chomika też się da nauczyć, że dostanie jedzenie, dopiero jeśli pobiega przez kwadrans. To nie będzie związek przyczynowo-skutkowy. To będzie tresura.

Nuzzler przyglądał się biegnącemu zwierzątku.

— Dlaczego chcieliście ze mną rozmawiać? — zapytał.

— Wybiera się pan po córkę. — Do rozmowy powrócił Piotr. — Na dół, do Eliminacji, jak ją pan nazywa.

— Co wam do tego? — Harpad spojrział na niego czujnie.

— Eliminacja to tylko nazwa formacji paramilitarnej. Jej rola kończy się na dostarczeniu obiektu do „zsypu”, jak okre ślają Terminal Wyjścia. Terminale prowadzą do poziomów technicznych pierścienia, do których nie mamy dostępu. Ani my, ani pan.

— Po co więc ta rozmowa?

— Jest pan jedynym człowiekiem, który może odwrócić proces Eliminacji.

Znajdziemy ochotnika, który podda się Eliminacji i na dole odnajdzie pana córkę. Pan sprowadzi ich na powierzchnię.

— Jesteście związkiem filantropów?

— zapytał podejrzliwie Harpad. — Robicie to z dobrego serca...?

— Ten ochotnik przy okazji zbierze informacje o poziomach technicznych. Oba zadania będą równorzędne.

— Jeszcze go nie macie, prawda?

— Mamy. — Piotr skinął głową.

— Nie jest filantropem. Jest chory. Nieuleczalnie.

Harpad prychnął i pokręcił głową.

— I co? Kipnie i tyle zostanie z misji.

— Musimy podjąć to ryzyko. Trudno kogoś namówić, a i czasu nie ma wiele.

— Czasu nie ma wcale. Macie za to ochotnika. — Harpad klepnął się w pierś.

Piotr zerknął przez ramię na wpatzonego w kosmos Adama, który zdawał się myśłami błądzić daleko stąd. Odwrócił się jednak.

— Pytał pan, czym jest Sprawa. Właśnie tym. Chcemy poznać, jak działa nasz świat. Jak naprawdę działa nasz świat.

— Patrzył poważnie na nuzzlera. — Zgoda.

Pomożemy panu się tam dostać. Warunki są dwa: zebranie informacji oraz całkowita dyskrecja.

Harpad skinął głową.

Teraz ich widział. Naprawdę widział.

Linki łączące rekordy w bazie danych g.A.I.a., które kiedyś odkrył w transie, były dla niego czytelne, kiedy tylko chciał.

A może lepiej powiedzieć, kiedy nie dość się powstrzymywał, by ich nie widzieć. Od obydwu mężczyzn prowadziły na przykład do kogoś, kto znajdował się ledwie kilka metrów stąd, za ścianą. Ukryty nie tylko przed wzrokiem, ale i przed owym osobliwym szóstym zmysłem. Linki nie były grube, ale świeciły jasnym światłem, tym silniejszym, im bardziej Harpad myślał o wyprawie na dół.

I wtedy poczuł muśnięcie znajomej obecności. Zaledwie muśnięcie, ale widział, że to jest to, co towarzyszy mu od kilku dni. Odkrył źródło.

— Jeżeli ja wiem, że on się tam ukrywa — powiedział wolno — to g.A.I.a. też wie.

Adam i Piotr wymienili spojrzenia.

— Ma pan rację — powiedział Piotr.

— Właśnie dlatego z panem rozmawiamy.

* * *

Sylwester wyglądał przez okno autaxa, po którym spływały pod kątem czterdziestu pięciu stopni pierwsze krople deszczu.

Minął kilka przecznic, nim dotknął panelu sterowania. Skasował trasę. Pojazd zwolnił i zatrzymał się przy krawężniku. Sylwester wysiadł i uśmiechnął się. Nie przejmował się deszczem, który właśnie lunął na całego. Wolnym krokiem ruszył do

najbliższej piwiarni. Usiadł przy barze i wyciszył komunikator.

— Poproszę duże piwo — rzucił z uśmiechem do barmana. — Zimne i w kuflu.

Nie pamiętał, kiedy czuł się równie wolny, jak teraz. Tym razem nie bał się gniewu szefa, kiedy wróci do ratusza.

Tym razem nie miał do czego wracać.

Panował tu chłód, a powietrze pachniało inaczej, niż powinno. Pokój był przestroimy, oświetlony szczątkowym światłem Drogi Mlecznej wpadającym przez okno zajmujące całą ścianę. Żarzyły się kontrolki kanciastego urządzenia wielkości szafki.

Ściany na całej wysokości wyłożono panelami z ciemnego drewna, skrywającymi drzwi, a może i coś więcej. Nie sposób było przeoczyć przygarbionej postaci na wózku inwalidzkim, okrytej starannie ułożonym pledem. Drobną sylwetką wycinała się czernią na tle Drogi Mlecznej. Kilka przewodów łączyło ją z cicho szumiącym urządzeniem i stojącą obok butlą.

Harpad stanął, obserwując mężczyznę z pewnej odległości.

Starzec miał w sobie coś niepokojącego. Patrzył w gwiazdy i zdawał się nie zauważać gościa. Gdy wreszcie się poruszył, nuzzler aż drgnął.

— Nie mam wiele do roboty — odezwał się słabym głosem. — Patrę sobie w kosmos. Rozmyślam. Zajmuje mnie głównie nieistnienie. Nieistnienie dla g.A.I.a. — Spojrzał na gościa oczami, które zdawały się młodsze od reszty ciała.

— Czekałem na pana.

Harpad poczuł ciarki na plecach.

— Niektórzy mają węch czulszy od psiego — kontynuował starzec — niektórzy widzą ultrafiolet, inni potrafią dotykiem czytać wydrukowany tekst. Ludzki mózg to piękna kwantowa maszyna, która sama nie rozumie zasady swojego działania. Pana mózg jest wyczulony na sygnały wysyłane przez krążące w ludzkiej krwi nanoID.

— Starzec wskazał urządzenie, do którego był przypięty. — Ta szafka przeprowadza rodzaj dializy. Oczyszcza moją krew z 99,99% nano. Dlatego wydaję się panu niepokojąco niekompletny. Nie świecę cyfrowym sygnałem, nie potrafi mnie pan przeczytać.

Harpad przełknął ślinę.

Starzec sięgnął do maski tlenowej, połączonej rurką z butlą, i ze świstem pociągnął tlenu. Po czym mówił dalej: — Obserwujemy pana od pewnego czasu. Przykro mi

z powodu córki. Mam nadzieję, że wkrótce ją pan odzyska.

Z naszą pomocą.

— Znacie sposób dotarcia na dół? Moje PZ wynosi zero. Eliminacja po mnie nie przyjdzie.

— Każdy system można oszukać. To zależy od wiedzy, pomysłowości i doświadczenia. Pracowałem przy Prometeuszu, dzięki czemu wiem o g.A.I.a. tyle, ile może się dowiedzieć śmiertelnik. Ale znam się też na ludziach, więc od początku wiedziałem, że pan będzie chciał iść tam osobiście. Przygotowaliśmy wszystko, za godzinę może pan wyruszyć. Osobiście panu pomogę.

— Ale... jak? — Harpad spojrział na rurki łączące wątłe ciało z maszyną.

— Ani ja nie jestem chory, ani ta maszyna mnie nie leczy. To dializer, który każdym uderzeniem jego sztucznego serca pogarsza mój stan i wpędza mnie w sztucznie wywołaną chorobę. Pozbawia mnie nano, to cena bycia niewidzialnym. Pracowałem przy Prometeuszu, gdy zorientowaliśmy się, że PZ wszystkich członków zespołu szybuje w górę z niespotykaną prędkością. Ludzie w podobnej sytuacji uciekają do więzienia, czasem używają ostatnich dni życia na najlepszą zabawę, na jaką ich stać, a potem bronią się do końca.

Niektórzy odbierają sobie życie. Byle nie dać się Eliminacji. Ja wybrałem inną drogę i, o ile wiem, byłem pierwszy, który to zrobił. Pierwszy, który to zrobił skutecznie.

I jak na razie ostatni. Wymyśliłem sobie, że zniknę. Już wtedy wiedzieliśmy o nanoID

i wydawało się oczywiste, że wypłukanie, wytrącenie, odfiltrowanie go z krwi może uczynić człowieka niewidzialnym. Niestety, w życiu zwykle tak bywa, że teoria wydaje się prosta, dopóki nie próbuje się jej przekuć w praktykę. Największym zaskoczeniem okazała się zdolność nanoID do reprodukcji. — Wskazał ręką dializer.

— Miałem spędzić z tym urządzeniem tydzień. Minęło pięć lat. I nawet nie mogę pozbać nanoID surowców do produkcji własnych kopii, bo to substancji niezbędnych do życia.

— g.A.I.a. wie o pana istnieniu — odezwał się Harpad. — Ja widzę nie tylko „świecenie cyfrowe” ludzi. Widzę też powiązania między nimi. A jeśli ja widzę powiązania prowadzące do pana, to g.A.I.a.

też musi.

Gospodarz znów zaciągnął się tlenem z butli i odwrócił wzrok do gwiazd. Skojarzył się Harpadowi z sową.

— Władza korumpuje — powiedział.

— A władza absolutna korumpuje absolutnie. John Acton. Ograniczenia są warunkiem istnienia. Bez formy treść rozmyje się w nieskończonych możliwościach. Zniknie, zamieni się w bełkot. Nie można być naraz wszystkim i nie rozpaść się na frakcje, a zaraz potem nie zacząć niszczyć samego siebie wojną tych frakcji. Tym bardziej jeśli jest się bytem podzielonym na tysiące pier ścieni Różańca. g.A.I.a. trzyma się własnych zasad, by zachować integralność.

Jedną z nich jest kontrolowanie ludzi według ich cyfrowych parametrów. Bez nanoID nie mam żadnych parametrów, więc g.A.I.a. mnie ignoruje. Jeśli rozpatrywać g.A.I.a. jako świadomy byt, jak chciałoby wielu, to szczerze wątpię, by ten byt zdawał sobie sprawę z naszego istnienia.

Jesteśmy tylko kolejną zmienną w jego śródowisku. Chociaż świadomość, a już szczerze gólnie samoświadomość, są w tym przypadku wątpliwe. Brak konkurentów do zasobów, czymkolwiek są zasoby dla g.A.I.a., oznacza brak konieczności wykształcania tak zaawansowanych procesów. Zagrożeniem są wyłącznie warunki środowiskowe, czyli głównie mechanika pierścieni i potencjalne zagrożenia kosmiczne. To pozornie czyni g.A.I.a.

naszym sprzymierzeńcem. Nazwa nawet może to sugerować.

Harpad mimowolnie bawił się przedziurawioną papierośnicą.

— Lepiej niech pan to schowa — powiedział Sowa. — Zawartość tlenu w tym pokoju to ponad trzydzieści procent.

— Jeśli pan pozwoli... — Nuzzler schował papierośnicę. — Miło się rozmawia, ale czas ucieka.

— Wybiera się pan na dół, a nic pan nie wie o tym, co może tam pana czekać.

— Tego nikt nie wie. Jedyne człowiek, który stamtąd wrócił, nie żyje.

— Zrozumienie przeciwnika zwykle pomaga, nawet jeśli płynie ono jedynie z teorii i analizy szczątkowych danych.

Tym bardziej jeśli mamy do czynienia z tak potężnym przeciwnikiem, który ma wpływ na każdy aspekt naszego życia.

— Jak bezosobowe, bezświadome g.A.I.a. może wpływać na naszą cywilizację? —

zapytał Harpad. — To naturalna siła.

— Zatem niech pan sobie wyobrazi, że g.A.I.a. wpływa na rządy ludzi tak, jak kiedyś na Ziemi wpływały na nie katastrofy naturalne. Upadki całych imperiów bywały powodowane załamaniem pogody w złym momencie. Pogoda była naprawdę losowa, zatem meteorologia okazała się bardzo przydatna. W przypadku g.A.I.a. udało się matematycznie udowodnić intencyjność działań. Czynnikiem kluczowym, który jest najłatwiejszy do wyodrębnienia z szumu statystycznego, okazuje się coś, co można by określić mianem działalności wywrotowej. Pozorne zbiegi okoliczności pokazują swoje prawdziwe oblicze dopiero ubrane w model matematyczny.

— Nawet jeśli ta siła naturalna nie jest obiektywna, cóż to zmienia? — zapytał Harpad. — Pioruny częściej trafiały ludzi łąjących podczas burzy po polu. Wystarczyło tego nie robić i zagrożenie zniknęło.

— Błąd myślenia schematami. — Sowa przyłożył do twarzy maskę i zrobił wdecli.

— Niech pan sobie pomyśli o procesie trawienia. Dostarcza panu substancje niezbędne do życia, choć trawi pan bezmyślnie i bezświadomie. Wydaje się, że nie ma tu miejsca na manipulacje. Wszystko, co nadaje się do strawienia, zostanie strawione. Bez wyjątku.

— To automatyka.

— A jednak to pan ma władzę nad tym, co wkłada do ust. Marysia uległa Eliminacji właśnie dlatego, że został pan uznany za wywrotowca.

Harpad spojrział ponuro na gospodarza.

— Nie było to niczym zamiarem — dodał starzec. — Wyszedł pan na łąkę podczas burzy. Tak to właśnie działa.

Chcemy to zakończyć.

— Zakończyć? — Nuzzler nerwowo pokiwał głową. — Jak? Chcecie walczyć ze światem, w którym żyjecie? Tym jest Sprawa? Misją samobójczą?

— Każdy zapytany, czym jest Sprawa, poda inną odpowiedź. Ja nad swoją myślą łem przez całe lata. Jak może już pan zauważył, nie mam tu wielu zajęć, poza myśleniem. Odpowiedź, do której doszedłem, spodobała się wielu osobom. Prawdopodobnie dlatego, że sami bali się o niej pomyśleć. Dla mnie celem Sprawy jest odnalezienie serwerów g.A.I.a. — Sowa zaciągnął się tlenem. — Odnalezienie ich i wyłączenie.

Harpadem wstrząsnął zimny dreszcz.

Zastanawiał się, czy rozmawia z szaleńcem, czy z wizjonerem. I sam nie wiedział, co gorsze.

— Nie uważa pan, że to... nieco drastyczne? — zapytał tylko.

— Przepaści nie przekracza się drobnymi krokami. Pierwsza zasada rewolucji to spalić za sobą mosty. Bez tego rzeczywistość zaspężynuje i wróci na dawne tory.

Tu chodzi o to, żeby nie było powrotu.

— Pauza na haust tlenu. — Zdarzyło się panu nie zapisać czegoś oczywistego: liczby, imienia, tytułu? Może hasła? Czegoś, co wydawało się oczywiste, dostępne w każdym momencie, a gdy było potrzebne po dłuższym czasie, stwierdzał pan, że nie pamięta.

— Nieraz.

— To powszechna przypadłość. Ludzie myślą terażniejszość z nieskończonością.

Owszem, odkładamy pieniądze, snujemy dalekosiężne plany, podpisujemy długoterminowe umowy, ale to tylko nadbudowa kulturowa. W głębi naszego zwierzęcego mózgu tkwi wiara w niezmiennosc rzeczy.

Zapewne wie pan, co było powodem dokonania Przemiany?

— Przeludnienie, zanieczyszczenie środowiska, epidemie, kurczące się zasoby.

— Harpad wzruszył ramionami. — Uczą tego w szkole. Musieliśmy skonstruować pierścienie, żeby przetrwać. Ludzie ze swoich miast przenieśli się do ich kopii w pierścieniach.

— Jeśli tak, to co się stało ze wsiami i małymi miasteczkami? — Gospodarz uśmiechnął się smutno, nie oczekując odpowiedzi. — Wszystko, co pan wie na temat Przemiany, to fikcja, którą wymyślono, by ludzie nie zadawali niewygodnych pytań. Żyjemy w pierścieniach, a nie wiemy, jak działają. Dokumentację starannie ukryto. Być może nawet zniszczono.

Postęp się zatrzymał, wiedza wyparowała.

Trwamy w przeszłości, której nie rozumiemy i nie chcemy rozumieć. Wydaje nam się, że życie tu i teraz jest celem samym w sobie.

— Żyjemy w terażniejszości.

— Istnieje tylko przeszłość. Terażniejszość staje się przeszłością, nim jej doświadczymy, nim impulsy z obrazem terażniejszości dotrą do mózgu, a mózg je przetworzy. Zatem niczego nie doświadczamy, bo nie zdążamy doświadczać. Tylko COŚ

pamiętamy. A pamięcią można manipulować.

Harpad zawahał się.

— Obserwował mnie pan. Czuję pana obecność we wnętrzości g.A.I.a. I potem poza nią.

Sowa zwlekał z odpowiedzią. Jemu chyba nigdy się nie spieszyło.

— Nie tylko pan potrafi tam wejść — powiedział wreszcie. — Nie tylko pan potrafi sprawdzać wartość parametru Potencjalnych Zagrożeń. Przyczyna, dla której więcej osób zainteresowało się panem, jest inna. — Przerwa na wdech tlenu. — Tylko pan potrafi tę wartość zmieniać. Niewolnik przejął kontrolę nad włła ścicielem. Używa pan nanoID jako interfejsu dostępu do g.A.I.a. Jak pan to robi, nie wiem. Ale udaje się to panu. Jest pan jedynym znanym nam koderem g.A.I.a.

Harpad pokręcił głową.

— Ja nie chcę brać w tym wszystkim udziału. To nie są moje sprawy. Ja chcę tylko odzyskać córkę.

— Doskonale pana poznałem przez ten czas, który razem spędziliśmy. — Starzec uśmiechnął się smutno. — Za każdym razem, gdy wchodził pan do wnętrzości g.A.I.a., przyglądałem się panu. To właśnie mój talent — obserwacja. Paradoksalnie, gdy pozbędę się z krwi ostatniego nanoID, utracę tę zdolność. To będzie jak wyciągnięcie wtyczki. Boję się tej chwili. Ale wszystko ma swój czas. — Zapatrzył się w gwiazdy. Zapomniał nawet o masce.

— g.A.I.a. nas kontroluje, za pomocą nanoID zmienia ludzkie decyzje, nastroje społeczne, steruje polityką i naszym życiem. Przesławia elementy, tak jak pan przemeblowuje mieszkanie, żeby było panu wygodniej. A przy okazji eksterminuje jednostki wywrotowe pod pozorem dbałości o porządek publiczny. Tylko nas dwóch nie potrafi dopaść od lat. To luka w systemie immunologicznym.

— Nie potrafi nas znaleźć.

— Nie potrafi nas zidentyfikować, otagować. Ewolucja gatunku ludzkiego wbrew temu, czego uczą dzieci na biologii, wciąż trwa. Wręcz przyspiesza. Uczymy się walczyć z przeciwnikiem, który przerasta nas o rzędy poziomów inteligencji, choć parametryzowanie g.A.I.a. naszym pojęciem inteligencji ma tyle sensu, co ocenianie machania dyrygencką batutą w kategoriach kulturowych. Ale czy to przeszkadza nam w potencjalnym zwycięstwie? Może jesteśmy jak banalny nowotwór, który zabija

genialnego myśliciela. Wie pan, na co umarł Zygmunt Freud?

— Ja nie wiem... kto to był.

— Nie zabił go żaden rywal w miłości ani drapieżnik, ani nawet nie prymitywna, jednokomórkowa forma życia. Zabił go banalny błąd procesu kopiowania jego własnego DNA. Z punktu widzenia ewolucji, to jak się potknąć o własny kapeć i rozbić czaszkę o nocnik.

— Tak, ja wierzę, tylko że ja...

— Tu nie chodzi tylko o to, że jesteśmy hodowani. Zagrożenie jest całkiem realne, bo co, jeśli się coś zepsuje? Będziemy bezradni jak dzieci.

Harpad nie potrafił dotrzeć do informacji, jak on się nazywa. Mało tego, nie potrafił znaleźć o nim żadnej informacji.

— Pierścienie działają automatycznie — zauważył.

— Ale nie są wieczne, zużywają się.

Głęboko pod naszymi stopami rzesze automatów naprawczych dbają o to, by wszystko działało, jak należy. Tylko co się stanie, jeśli i te automaty się zużyją?

— Kolejny haust tlenu. — A co będzie, jeśli g.A.I.a. uzna, że sprawy nie idą po jej myśli i trzeba nas eksterminować? Wymienić jak meble w mieszkaniu?

— g.A.I.a. powstała, by nas chronić.

— Wszystkie reżimy świata twierdziły to samo. — Starzec spojrział smutno.

— Szukamy serwerów g.A.I.a. od lat. Nie ma ich na powierzchni. Sprawdziliśmy kierunek przepływu danych. To są konkretne częstotliwości. Największe transfery idą pionowo. Węzły są głęboko pod naszymi stopami, głębiej niż podziemia Warszawy.

A skoro są tam węzły, to jest też serce.

— Jeśli powiemy się na g.A.I.a.

— zaczął powoli Harpad — to będzie musiała uznać nas za zagrożenie.

— Już się porwaliśmy, lata temu, gdy powstał Prometeusz. Zmusiliśmy g.A.I.a., by zareagowała na naszą obecność. Robi to niechętnie i bardzo dużym kosztem, bo nagina tym samym własne zasady, więc i naraża własną integralność. Największym osiągnięciem Sprawy jest zwiększenie wewnętrznych naprężeń wewnątrz superbytu, jakim jest g.A.I.a.

— Jeżeli g.A.I.a. jest wszechmocna, jeżeli jest tu bogiem, to czemu się nas nie pozbędzie? Po co my jej? Ma z nami tylko kłopoty.

— A kimże jest Bóg bez człowieka?

Do istnienia Boga człowiek jest niezbędny, jest celem jego istnienia. To nierozłączny tandem. Twórca i tworzywo, oprawca i ofiara, akcja i reakcja. Bóg nie może istnieć bez człowieka. Istnienie człowieka jest niezbędnym warunkiem przetrwania Boga.

— Wdech tlenu. — Może to dlatego g.A.I.a. zabrała nas na tę kosmiczną karuzelę? Wszyscy wiedzą, że powstała, by nas chronić. A co, jeśli jest wprost przeciwnie?

Co, jeśli sama władowała nas w tę sytuację? W Różańcu ma nad nami pełną kontrolę, której nie mogła osiągnąć na Ziemi.

W tym roku średnia temperatura w Pierścieniu Warszawa podniosła się o pół stopnia. Nikt nie wie dlaczego ani jak. Mamy dane z ostatnich trzydziestu lat, w ciągu których nic takiego nie miało miejsca.

W tym samym czasie w Pierścieniu Poznań średnia temperatura spadła o podobną wartość.

— To ważne? Czy te pół stopnia ktokolwiek zauważy?

— Temperatura wzmagą zachowania agresywne. Pół stopnia to niewiele, jednak doświadczenie powtórzone wiele razy i poddane analizie statystycznej może dać konkretny wynik. g.A.I.a. na nas eksperymentuje, tak jak my na myszach laboratoryjnych.

Harpad milczał. Sowa odezwał się dopiero po długiej chwili: — Jak pan myśli, co się stanie, gdy zniszczymy integralność g.A.I.a. Co zajmie jej miejsce?

— My...?

Sowa pokręcił głową.

— Wróg wewnętrzny, frakcja, nowotwór. Może to już się dzieje, może właśnie trwa walka o dominację. Jeśli nasza dotychczasowa strategia okaże się skuteczna, zamienimy jednego tyrana na drugiego.

g.A.I.a. przestanie istnieć, ale tak naprawdę nic się nie zmieni. Jedynym sposobem ostatecznego zwycięstwa jest zniszczenie środowiska, w jakim mogą funkcjonować takie... organizmy. A jest nim infrastruktura elektroniczna pierścienia. Dlatego szukamy fizycznej lokalizacji serwerów. I oto wreszcie nadarza się okazja, by do nich dotrzeć. — Przerwa na wdech. — Ukrywam się przed Eliminacją od pięciu lat i dziś zamierzam pozwolić się pochwycić.

A pan mi w tym pomoże.

Słabą dłonią uniósł płaski przedmiot przypominający komunikator. Dotknął ekranu, a jeden z drewnianych paneli ściennych otworzył się, ukazując niewielką wnękę i szklany cylinder wielkości szklanki, wypełniony szkarłatnym płynem.

Cylinder umieszczono między dwoma stalowymi tulejami, połączonymi sześcioma metalowymi prętami. Dochodziło do niego kilka przewodów.

— Krew. — Sowa ni to uśmiechnął się, ni to skrzywił. — Moja. Trzysta mililitrów.

Lekarz uznał, że utrata większej ilości może mnie zabić. Od przeszło doby karmimy tę krew pożywką i hormonami.

Zagęszczenie nanoID jest już wystarczające, by oszukać najbardziej wyrafinowane sensory. Wyłączmy ekranowanie i rozpocznie się pana misja. Zostanie pan pochwycony jako ja i poddany Eliminacji jako ja. Stężenie nanoID w próbce zagłuszy pana nanoID. To, co wydarzy się potem, to wielka niewiadoma.

* * *

Janusz Zdonek nacisnął przycisk „wyślij” na ekranie komunikatora.

* * *

— Nie mamy wiele czasu. — Profesor Gabrych zerkał na wyświetlacz komunikatora. — Tę sprawę potraktują priorytetowo.

Pięć lat opóźnienia to dla nich skaza na honorze.

Harpad nerwowo bawił się papiero śnicą. Siedzieli w małym ambulatorium kilka przecznic od „gmachu Sprawy”, jak w myślach nazywał go nuzzler. Milcząca pielęgniarka manipulowała przy stojącym na stole zabiegowym cylindrze z krwią.

Obok leżało coś w rodzaju długiej rękawicy w kolorze cielistym. Jej spodnia część miała podwójne ścianki tworzące zbiornik, który pielęgniarka właśnie napełniała krwią z cylindra. Zniknęło ekranowanie i gdzieś w trzewiach Pierścienia Warszawa rozpoczynała się procedura eliminacji. Harpad wzdrygnął się, widząc czeiwony płyn w przezroczystej rurce. Myśl o tym, że będzie musiał założyć to na rękę, przyprawiała go o dreszcze.

— Daję im kwadrans — rzucił profesor.

— Nie boi się pan? — zapytał Harpad.

— Czego? Siedzieć tu z panem? Eliminacja nie zabiera przypadkowych osób.

— A jednak ryzykuje pan wzrost PZ.

— Pozwolę sobie zauważyć, że nie jestem osobą, która tu ryzykuje najwięcej.

Mogę zwiększyć pana szanse, poszerzając wiedzę. Mamy tylko kwadrans, to niewiele.

Co pan wie o Różańcu?

Harpad wzruszył ramionami.

— Chyba to, co wszyscy.

— Dobrze. Więc od początku. Widząc dwa pierścienie, możemy obliczyć odległość między nimi, więc i półoś wielką, okres obiegu, i tak dalej. Nie możemy obserwować Słońca, ale znamy jego masę i położenie. To wystarcza, żeby poznać wszystkie parametry Różańca, z wyjątkiem jego masy. Obserwacje wykazują brak jakichkolwiek wahań indywidualnych orbit lub odchylenia od tego ideału są zbyt małe dla naszych przyrządów pomiarowych.

Osobliwe, prawda?

— Być może.

— Idealne orbity istnieją tylko w symulacjach komputerowych. Wszystkie pierścienie krążą nanizane na nić grawitacyjną.

Suną jak po szynach, a zajmują mniej niż jedną tysięczną stopnia orbity. Po przeciwnej stronie Słońca została nasza martwa Ziemia z krążącym wokół Księżycem. To przeciwwaga dla Różańca; tak uczą w szkołach.

— Tak, pamiętam.

— Wszyscy to pamiętają, bo na to się kładzie nacisk. Tyle że to nieprawda. Ziemia z Księżycem nie jest potrzebna jako przeciwwaga. Jest zbyt mała i zbyt odległa, by jej masa miała jakiegokolwiek znaczenie.

Usunięcie Ziemi z tego modelu niemal go nie zmienia. Co innego planety zewnętrzne.

Sam Jowisz jest wprawdzie od Słońca pięć razy dalej niż Ziemia, ale jest przy tym od niej ponad trzysta razy cięższy. Wpływ jego grawitacji z łatwością byśmy wykryli.

Czas jego obiegu wokół Słońca to prawie dwanaście lat ziemskich. Zatem co trzynaste miesiące Różaniec powinien być poddawany największym siłom przypominającym dawne siły pływowe wywoływane na Ziemi przez Księżyc. A to przecież nie jest układ izolowany. Mamy jeszcze mniej masywnego Saturna, który krąży dalej, z trzydziestoletnim okresem obiegu. Sam wpływ tych dwóch planet gazowych wystarczy,

żeby ujawnić niestabilność Różańca. Ze wszystkich symulacji wynika jasno, że już po kilkunastu latach powinniśmy mieć tutaj chaos. Różaniec powinien już dawno pójść w rozsypkę. A trzyma się doskonale. Nawet nie drgnie.

Harpad wzruszył bezradnie ramionami.

— Wreszcie, pierścienie mają własną masę — ciągnął profesor. — Wystarczająco dużą, że nie można pominąć ich wzajemnego oddziaływania przy tak długim czasie. Odległości między nimi powinny się zmniejszać, a najbardziej widoczne powinno to być na jego krańcowych ogniwach. W perspektywie dziesięcioleci powinno to doprowadzić do zderzeń i uformowania. .. hm, nie ma dla tego tworu nazwy. To by wyglądało jak luźna bryła zbudowana ze zniszczonych pierścieni.

Wiemy z pomiarów, że odległości między pierścieniami są stałe. To wszystko oznacza, że pierścienie mają napęd.

Harpad niewiele rozumiał z wiedzy astronomicznej sączonej przez profesora.

Słuchał jednak.

— Dalej — ciągnął naukowiec.

— Bariera ma grubość dziewięciu i pół centymetra, średnicę trzynastu kilometrów i stu dwudziestu metrów, co daje powierzchnię ponad stu trzydziestu pięciu kilometrów kwadratowych. Wewnątrz pierścienia, przy powierzchni panuje ciśnienie jednej atmosfery, czyli tysiąca hektopaskali, podczas gdy na zewnątrz jest próżnia.

Różnica ciśnień daje nacisk dziesięciu ton na metr kwadratowy. W środku pierścienia ciśnienie spada do połowy wartości, to jednak nadal o wiele za dużo, by wytłumaczyć, czemu Bariera to wytrzymuje. Nawet w symulacjach komputerowych nie potrafimy znaleźć hipotetycznego materiału, który miałby choć jedną dziesięciotysięczną tej wytrzymałości. Nie znamy konstrukcji. Nie wiemy nawet, czym jest Niesłońce.

Harpad próbował nadążyć za tym wywodem, choć myślami odleciał gdzie indziej. Nie pożegnał się...

— W Pierścieniu Warszawa nie ma ani jednego pojazdu latającego — ciągnął profesor. — Nie liczę dronów, które mogą się wzbić maksymalnie na kilkaset metrów.

Fizycznie nie potrafimy dotrzeć do Niesłońca, które wisi ledwie kilka kilometrów nad naszymi głowami.

Harpad wysłał wiadomość: „Idę po Marysię. Nie wiem, kiedy wrócę”.

W domyśle było też „czy”, ale tego już nie napisał.

— Badania spektrograficzne, radarowe, prześwietlanie laserem z przeciwległych dzielnic pierścienia... to wszystko namiastki. — Profesor zamilkł, widząc, że nuzzler go nie słucha. Westchnął.

— Czarna dziura... Marzną panu palce?

— Słucham? — Harpad przypomniał sobie o profesorze i odłożył komunikator.

— Podczas długiej pracy z komunikatorem niektórzy ludzie odczuwają chłód w opuszkach palców — wyjaśnił niewzruszony profesor. — Tak są zasilane komunikatory. Zjawisko Seebecka, energia z entropii. Gdziekolwiek spojrzeć, nauka ściera się z ignorancją. Wie pan, czemu panu o tym mówię?

— Szczerze mówiąc...

— No właśnie. Skąd się biorą komunikatory?

— Ze sklepu. Nie wiem.

— No ale w sklepie skąd się biorą?

— Gdzieś je tam kompilują...

— Wie pan, ja pracuję na politechnice.

Mamy tam całkiem niezły sprzęt, również precyzyjne kompilatory. Nawet one mają takie ograniczenia konstrukcyjne, że nie zbliżają się na dwa rzędy wielkości do precyzji układów scalonych. Poniżej pewnego rozmiaru kompilatory okazują się zupełnie bezradne. Nie da się pluć atomami złota z dokładnością do kilku setnych mikrona.

Zakładam, że nie zamierza pan po prostu pozwolić się złapać i... no właśnie, pozwolić zrobić ze sobą tego, co robią tam z eliminowanymi.

— Nie mam pojęcia, co zrobię. Zastanawiam się, jak ta wiedza może mi pomóc w mojej misji.

— Próbuje panu uświadomić, że świat nawet w małej części nie wygląda tak, jak się panu wydaje. Nie wierzę w import. Nic tu nie jest transportowane z innego pierścienia, który specjalizuje się w produkcji komunikatorów. Wszystko powstaje tutaj.

Na dole — profesor wskazał palcem pod łogę — napotka pan zautomatyzowane fabryki wszystkiego, z czego korzystamy na powierzchni. Każdy pierścień jest zamkniętym i izolowanym obiegiem materii. Kiedy ostatnio pomyślał pan o podróży do Krakowa? Do Trójmiasta? Gdziekolwiek?

— Nie ciągnie mnie do tego.

— Nikogo nie ciągnie. Czy to nie dziwne, że nikogo nie ciągnie do innych

pierścieni?

— Ludzie są zajęci. — Harpad wzruszył ramionami.

— Zna pan kogoś, kto ma rodzinę w innym pierścieniu? Kto się komunikuje z bliskimi?

Harpad pokręcił głową.

— Też nikogo takiego nie znam.

— Profesor skinął głową. — Oglądamy filmy z innych pierścieni, ale nie odczuwamy potrzeby zobaczenia tych miejsc osobiście. To nienaturalne. Sprawdziliśmy to prostymi testami. Ludzie unikali odpowiedzi, jak pan teraz, oburzali się, że im zabieramy czas, choć chwilę wcześniej zgadzali się na badanie. Typowa reakcja obronna. Musi istnieć jakaś blokada, która czasem zawodzi, jeśli następuje na przykład konflikt nanoID z innym nano. Ale to nieliczne przypadki.

— Jaki z tego wniosek?

— Podróże międzypierścieniowe to fikcja. Jedyne, czym wymieniają się pierścienie, to informacje. Na licencjach powstają prawdziwe fortuny. Jeżeli myślał pan, że pod naszymi stopami są instalacje do podtrzymywania życia, to miał pan rację. Ale jest tam o wiele więcej. Tam powstaje wszystko, co pan zna: od tytoniu poprzez elektronikę, po sok pomarańczowy. Kompilatory spożywcze w domach bogaczy też przecież nie skleją cząstek organicznych z pojedynczych atomów. Czerpią gotowe półprodukty z zasobników i zlepiają je na żądanie. To półprodukty. Zastanawiał się pan kiedyś, skąd się bierze kawa?

Harpad już miał odpowiedzieć, gdy podeszła do niego pielęgniarka z upiorną rękawicą. Dziewczyna bez słowa pomogła mu nasunąć latex z ciepłą zawartością na dłoń. Było w tym coś nie tylko obrzydliwego, ale i głęboko niestosownego. Na szczęście wystarczała tylko ta jedna rękawica — potwierdzenie ID odbywało się poprzez przyłożenie jednej ręki do sensora.

Na coś się przydała Wizjerka podana Osiem Jeden.

Jeszcze kilka plastrów stabilizujących krawędź latexu poniżej łokcia i wszystko było gotowe.

Komunikator zapikał przychodzącą WT. Harpad sięgnął po niego i zamarł.

W pierwszym momencie nie wiedział, co się dzieje — wyświetlały się obce dane. Skojarzył, że rękawica działa.

— Pójdę już. Nie chcę was narażać.

— Harpad wstał. — Dziękuję.

— Wybacz pan, że nie podam panu ręki. — Profesor również wstał i poklepał go po ramieniu. — Powodzenia. Niech pan szybko wraca. Z córką.

Pielęgniarka posłała mu jedynie milczący uśmiech.

— Dziewięćdziesiąt dwa — powiedział jeszcze Harpad. — Nasza rozmowa kosztowała pana jeden punkt.

* * *

Trzydzieste piąte piętro mieszkaniowca na Bliskim Mokotowie to nie najlepsze miejsce do testowania nowego inhalatora.

Czy raczej nowego nano o jednej, określonej funkcji, którą bynajmniej nie było likwidowanie kaszlu. Monika przeczytała WT od Harpada i nie poczuła nic. Ten śmieszny neurotyczny i aseksualny chuderlak w kurtce, którą sama mu wyprała jak jakaś ostatnia idiotka, zamierzał poddać się eliminacji, żeby odszukać swoją córkę.

Debil. Krzyżyk na drogę, to przecież nie ma szansy się udać.

Wciąż trzymała inhalator. Po co go w ogóle używać? Po co się zgadza na ten cały układ? Żeby poczuć cokolwiek? To już lepiej spaść z peronu metra, złamać rękę. Ból to też uczucie.

Syf. Wszędzie syf. Ten niedojda nie potrafi nawet włożyć własnych gaci do pralki. A seks z nim to jak rehabilitacja niepełnosprawnego.

Niech to wszystko zniknie. Już!

Włożyła do ust końcówkę inhalatora i nacisnęła przycisk.

* * *

Stał na chodniku przed kawiarnią i starał się wyglądać naturalnie. Kiepsko mu to szło. Mimowolnie wypatrywał furgonetki, która zmieni kolor na pomarańczowy.

Mijali go przechodnie, dla których ten dzień nie różnił się niczym od poprzednich.

Niesłońce prażyło zza cienkiej od tej strony Chmury. W ciepłe kałuże po deszczu sprzed kilku chwil już parowały.

„Dla Pawła, miłości mojego ży/cia”.

Zapalił i dopiero to trochę pomogło. Wypu ścił fiołkowy dym, odetchnął. Patrzył na

niebo, na ulicę i na ludzi. Czekał.

Co chwila automatycznie próbował sięgać do papierosa prawą ręką i z obrzydzeniem ją opuszczał. Płyn przelewał się siecią drobnych kanalików, jakby tam w środku wyłożony był gąbką. O ile sztuczna skóra wyglądała nawet naturalnie, o tyle w dotyku przypominała stary, owinięty folią, namoknięty kapeć.

Na szczęście z eliminatorami nikt nie wita się uściskiem dłoni.

Podkręcone hormonami komórki krwi w temperaturze ludzkiego ciała szybko metabolizują. Miał godzinę, maksymalnie półtorej, nim pozbawione paliwa i tlenu nanoID Sowy zaczną się wyłączać.

Wielki ekran na ścianie biurowca wyświetlał animację okręgu z wolno kotłującym się dymem. A może to tylko widziana z góry filizanka kawy, do której ktoś wlał mleko? Obraz wzbudzał spore zainteresowanie przechodniów. Ale nie Harpada. Nie interesowała go reklama kawy. Oczywiście denerwował się, ale bardziej była to podbita adrenaliną ekscytacja, że wreszcie coś robi, zamiast tylko planować. Był prawdopodobnie jedynym człowiekiem w Pierścieniu Warszawa, który obawiał się, że Eliminacja po niego NIE

przyjdzie. Tak się przecież mogło stać. Stał tu już kwadrans i nic. Sowa ukrywał się pięć lat i g.A.I.a. mogła uznać sprawę za zamkniętą. Co wtedy? Przecież nie da się znaleźć nikogo innego, kto na krawędzi Eliminacji odda ponad ćwierć litra krwi i...

Zaszli go od tyłu. Nim się zorientował, otaczali go już ze wszystkich stron, blokowali drogi ucieczki. Zachował tyle przytomności umysłu, by unieść prawą rękę w geście udającym bezradną obronę, czy może zdziwienie. To wystarczyło, by skaner odczytał ID z rękawiczki.

— Eliminator numer siedem trzy — odezwał się najbliższy stojący oficer. — W imieniu Prezydenta Warszawy zatrzymujemy pana prewencyjnie. Przysługujące panu prawa zostaną odczytane po potwierdzeniu legalności procedury pochwycenia.

Więc tak to wygląda.

Pomarańczowa Nysa stała dwadzieścia metrów dalej. Ludzie omijali ją lukiem, wiedzeni instynktownym strachem.

Dwóch eliminatorów chwyciło go pod łokcie i pchnęło zdecydowanie w stronę pojazdu. Co powinien robić, żeby uwiarygodnić sytuację? Wrywać się? Protestować, że to pomyłka, albo obiecywać, że się zmieni i już będzie grzecznym obywatelem? Nie, wówczas zakuliby go w kajdanki, a przecież najważniejsze to nie uszkodzić rękawiczki.

Musiała spełnić swoje zadanie jeszcze raz, przy terminalu wyjścia.

* * *

Joachim Wielicki wyglądał, jakby uszło z niego powietrze. Blady, siedział bez ruchu w fotelu w zaciemnionym gabinecie i wpatrywał się w ekrany. Wszystkie pokazywały to samo, różniły się tylko logotypy w rogach i napisy sunące po paskach.

Nawet nie próbował ich odczytać. Kanały rządowe najpierw udawały, że nic się nie dzieje. Potem straciło to sens, bo o Pierścieniu Monachium mówili i pisali dosłownie wszyscy.

Komunikator prezydenta zapikał.

A chwilę potem zaczął pikać raz za razem.

Wiadomości przychodziły coraz szybciej, aż ich dźwięk zlał się w jedno cyfrowe zawodzenie.

* * *

Płócienny worek na głowie nie przepuszczał światła, ale Harpad i tak wiedział, gdzie jest. Oglądał przecież tę trasę już wcześniej na wizjerce Osiem Jeden. Betonowy korytarz z migającymi świetlówkami i drzwi z okrągłymi oknami na końcu. Zbli żał się do nich, przykuty do wózka, a towarzyszyły mu kroki czterech eliminatorów.

Opracownicy odprowadzali swoją ofiarę aż do samego końca. Zaraz miną drzwi, posterunek i służę, a potem skręcą w prawo, w kolejny korytarz, a z niego w wejście do jednego z terminali. Od poznania tego, co następuje po zamknięciu się drzwi terminalu, dzieliło go kilka minut.

Syknęły siłowniki drzwi z okrągłymi szybami. Za nimi skręcili jednak w lewo, zamiast w prawo. Może tam też są terminale? W końcu oglądał tylko jedną eliminację. Otworzyły się kolejne drzwi, tym razem zwykle, jak do biura. Po zmianie akustyki zorientował się, że pomieszczenie jest niewielkie. Wózek znieruchomiał, a kroki oddaliły się. Drzwi z cichym skrzypieniem zawiasów zamknęły się, pozostawiając Harpada w ciszy. Ale nie był sam.

To zadziwiające, jak zaledwie kwadrans w ciemności potrafi wyostrzyć słuch. Pod czyimś butem, może trzy metry z przodu, nieco po lewej, chrupnęła grudka cementu albo okruch wyschniętego chleba. Nie używano zbyt często tego pomieszczenia.

I z pewnością nie było tu terminalu wyjścia.

— Mogę prosić o zdjęcie tego worka?

— odezwał się Harpad. — Wszystko, co zobaczę, i tak zabiorę do grobu.

Kroki przybliżyły się, a nuzzlera oślepiło światło. Zmrużył oczy. Lampa sufitowa nie była mocna, więc szybko dostrzegł postać w hełmie z anonimizującą przyłbicą. To nie był eliminator.

— Co robi policjant w kwaterze głównej Eliminacji?

Policjant oparł się o stół, na którym leżały kartonowe pudła. Pomieszczenie było magazynkiem technicznym z kilkoma regałami i stertami pudeł.

— Współpracujemy. — Szczupły, wysoki, nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat.

— Mam do pana kilka pytań.

— Odpowiadam w charakterze świadka czy oskarżonego?

— Niech się pan nie denerwuje. To tylko kilka pytań.

— Zostanę wyjęty spod ochrony prawa po eliminacji. Ta jeszcze nie nastąpiła.

— Może pan napisać skargę, rozpatrzemy ją w ciągu czternastu dni.

— Pan mi grozi? — parsknął Harpad.

— Mam za chwilę zostać eliminowany, a ty mi grozisz? Dostanę mandat?

Policjant podszedł bliżej i spojrzał na więźnia z góry. To nie była komfortowa pozycja do negocjacji, z rękami przymocowanymi klamrami do podłokietników wózka.

— Jak udało ci się przetrwać pięć lat w ukryciu?

— Wyjechałem z miasta.

Spodziewał się uderzenia, ale nie nastąpiło. Być może policjant miał jakąś umowę z eliminatorami. Być może rozliczano ich ze stanu zdrowia obiektu eliminacji. Tylko po co, jeśli eliminacja oznacza koniec?

— Zacznijmy inaczej. — Policjant przysiadł na stole. — Możemy się dogadać.

W roli dobrego gliny czuł się zdecydowanie lepiej.

— Jestem ciekaw twojej oferty. — Harpad pilnował się, by nie okazać rozmówcy krzty szacunku. — Co możesz mi zaoferować na najbliższy kwadrans.

— Dwadzieścia cztery godziny. Tyle wynosi norma na dostarczenie obiektu od momentu wskazania. Wiedziałeś o tym? To znaczy, że mamy dla siebie niemal dobę.

Harpad zdrętwiał. Nie wiedział, czy on bluffuje. Co gorsza tamten mógł zauważyć tę reakcję.

— Oni czekają. — Nuzzler wskazał drzwi.

— Tak ci spieszno do zsypu?

— I tak nie możesz mnie uwolnić.

Wolę to mieć za sobą.

Poczuł coś ciepłego na prawej nodze.

Zerknął w dół i zamarł. Krew. Nie jego krew, krew Sowy. Skapywała z nadgarstka na nogawkę spodni. Co się stało? Coś przetarło delikatny materiał rękawiczki? Skaleczenie, ściślej mówiąc przecięcie, było drobne, ale to przecież nie jest prawdziwa skóra. Nie zasklepi się, latex się nie zrasta!

— Czytałem twoje akta — ciągnął spokojnie policjant. — Nie miałeś nigdy konfliktu z prawem. Po co zniknąłeś?

— To chyba oczywiste. Żeby nie trafić tutaj.

— Jak zniknąłeś?

— Głęboko pod ziemią namiar nie działa. — Harpad próbował przycisnąć uszkodzone miejsce do podłokietnika, ale to nic nie dało.

— Kłamiesz. Działa doskonale. Gdzie byłeś?

Harpad zerknął w stronę drzwi. Słyszał za nimi przyciszone rozmowy i szuranie butów. Minimalny ruch głowy zdradził policjanta. Wcale nie miał doby na przesłuchanie. Za jakąś przysługę albo w ramach nieoficjalnej współpracy między formacjami wywalczył kilka minut. Eliminatorzy niecierpliwili się. Myślami byli już w kantynie i każda minuta oczekiwania zwiększała ich niecierpliwość. Jednocześnie każda kropla krwi wypływająca z rękawicy zmniejszała szansę na powodzenie całej misji. Zaczynało to wyglądać na grę o sumie zerowej.

— Co was to obchodzi? — zapytał Harpad. — Ukrywałem się przed Eliminacją, nie przed policją.

— Korzystamy z tych samych danych lokalizacyjnych Nadzoru. Znikający obywatele to kłopot.

— Czyli nie tylko ja wam zniknąłem?

— Harpad zmrużył oczy. — O to chodzi, tak?

Policjant nie odpowiedział, ale jego reakcja wiele mówiła. Wyprostował się i znów spojrzął na drzwi. Nie był dobrym śledczym, nie był nawet przeciętnym śledczym. Trafił tu, bo w chwili pochwylenia Harpada był najbliżej. A to znaczyło, że naprawdę liczy się

każda minuta, bo w przeciwnym razie przysłaliby kogoś doświadczonego. Wystarczy zatem przeczekać.

— Posłuchaj... — Policjant nie grał już nawet dobrego gliny, powoli przechodził do roli błagającego gliny. — Nie zrobiłeś nic złego... nic sprzecznego z prawem. Ale są ludzie, którzy łamią prawo... robią złe rzeczy. Nie możemy ich ścigać, jeśli nie widzi ich Nadzór. To ludzie, którzy zrobią wszystko i wszystkich poświęcą, byle nie dać się złapać.

— Nie wiem, jak robią to inni. Ja siedziałem pod ziemią w żelbetowym schronie. Dopadli mnie, kiedy wyszedłem na papierosa.

— Po raz pierwszy od pięciu lat?

— Mam silną wolę.

Policjant oparł się o stół.

— Mogę załatwić pominięcie przeszukania — powiedział. — Jeśli powiesz mi prawdę, będziesz mógł zabrać na dół komunikator. Podobno działa przez jakiś czas.

Harpad wbił spojrzenie w maskę anonimizującą. Policjant nazywał się Tomasz Banachowicz, jego PZ wynosiło sześćdziesiąt osiem, miał dwoje dzieci, to nieistotne.. . Dwóch wspólnych znajomych z ojcem Judyty, jeden z Soulem. Była też urwana nić prowadząca do dawnego rekordu eliminatora Osiem Jeden. Przeło żony nic nie wiedział o tej wizycie.

Nagle na Harpada spłynęło olśnienie.

Znów w jednej chwili wszystkie informacje połączyły się jak klocki, a sytuacja wyglądała już zupełnie inaczej. Być może ktoś ukrywa się przed Nadzorem, ale tu chodzi o co innego. Stał przed nim człowiek, który zmusił Osiem Jeden do wizyty w laboratorium Soula.

— Panie Tomaszu. — Harpad silił się na spokój. — Najlepiej przysłuży się pan Sprawie, jeśli pozwoli mi pan jak najszybciej dostać się na dół.

* * *

Siedziała przytulona do radiatora.

Nawet płacz nie pomagał. Paweł... Czemu cię tutaj nie ma? Czuję wszędzie twój zapach... Poduszka, T—shirt, cokolwiek, co cię przypomina. Kocham cię. Kocham.

Potrzebuję cię! Chcę cię czuć w sobie.

Pawełku. Dziś. Tu. Teraz! Ja nie mogę czekać, aż wrócisz z dołu. Po co tam idziesz?

Nie wrócisz. Wiem, że nie wrócisz. Chodź i weź mnie. Umrzesz tam. Zginiesz tam, ciulu jeden. A ja cię potrzebuję. Nie idź na dół!

* * *

Nie wiedział, ile krwi zostało w rękawiczce. Wydawała się niemal pusta, ale pewności nie miał, bo niewiele czuł — jego dłoń pływała w pocie. Jeżeli to pot.

Eliminatorzy pchali wózek szybciej niż poprzednio. Naprawdę spieszyło im się do kantyny. Zapomnieli mu założyć worek na głowę lub im się nie chciało, zresztą tutaj nie miało to już znaczenia. W ich przekonaniu za chwilę pozbędą się pochwyconego obiektu na dobre. Sam Harpad nie był pewien, czy nie mają racji. Nie dawało mu spokoju coś związanego z Sową, choć na razie nie wiedział co.

Tu korytarz był wysoki, betonowy, z instalacjami poprowadzonymi wprost po ścianach. Drzwi do kolejnych terminali wyjścia wyglądały jak pancerne wrota w magazynie materiałów wybuchowych.

Skęcili w trzecie z kolei. Wybierali je losowo, czy była w tym jakaś zasada?

Drzwi zasunęły się z cichym sykiem siłowników, a zaraz potem rozległ się kolejny dźwięk, który mógł oznaczać hermetyzację. To wewnątrz widział wcześniej dwukrotnie. Teraz — pierwszy raz nie w odcieniach szarości. Niewiele to zmieniało, bo wszechobecną biel uzupełniały jedynie niewielkie, pomarańczowe akcenty.

Harpad zerkał na rękawiczkę. Prawie już z niej nie kapało, choć nie łudził się, że rozcięcie w jakikolwiek sposób mogło się zrosnąć. Po prostu kończyła się krew. Puls mu przyspieszał i łapał się na tym, że nerwowo porusza palcami w butach.

Eliminator Siedem Trzy dotknął panelu wystającego z ziemi urządzenia.

— Przystępuję do procedury identyfikacji pochwyconego i potwierdzenia legalności pochwylenia — oznajmił oficjalnym tonem.

Harpad znał jego imię i nazwisko, wiedział o jego trzech kochankach, z których każda myślała, że jest tą jedyną. Znał jego stan konta, stany kont jego kochanek i rodziców kochanek... Potrzęsnał głową.

Co się dzieje?! Skąd te wszystkie informacje?

Klamra na prawym nadgarstku otworzyła się, a stojący za nim eliminator chwycił i przybliżył jego przedramię do panelu.

Ekran rozbłysnął czerwienią i komunikatem o błędzie. Harpad zdrętwiał.

— Odsuń swoją rękę — poradził Siedem Trzy.

Trzymający go eliminator spojrział na swoją rękawicę i wytarł ją o rękaw kurtki Harpada.

— On krwawi...

Po ekranie spływała krew.

— To nie powinno zakłócić identyfikacji. — Siedem Trzy podszedł do panelu i wprowadził nowe polecenie. Starał się przy tym nie dotykać krwi. — Wezwij serwis sprzątający. Zapaskudził też podłogę.

Harpad przyglądał im się w napięciu.

Nie miał pojęcia, co robić. Podobnie zresztą jak oni.

— Spróbujmy jeszcze raz — zdecydował Siedem Trzy.

Ku zaskoczeniu Harpada odskoczyła klamra na lewym nadgarstku i eliminator uniósł jego lewą rękę do panelu. Na lewej dłoni nie miał rękawicy! Nuzzler chciał zaprotestować, ale nie znalazł żadnych argumentów.

Jego dłoń dotknęła panelu. Poczł pod skórą zimną powierzchnię.

Ekran zabłysnął zielenią.

„Legalność procedury pochwylenia potwierdzona. Obiekt podlega eliminacji ze skutkiem natychmiastowym”.

Eliminatory rozluźnili się. Nuzzler w osłupieniu wpatrywał się w ekran wyświetlający twarz człowieka w pewnym stopniu podobnego do Sowy. Jak zdjęcie z młodości. Podobieństwo do samego nuzzlera trudno było dostrzec, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Albo nie chciał.

Jak to się stało? Harpad spojrział na swoje dłonie. Czyżby wystarczyła ta odrobina krwi rozmazana po ekranie?

Rozległ się sygnał ostrzegawczy. Z prawej strony wrót do windy, czy też śluzy.

Nad nimi migała pomarańczowa lampka.

Wózek z nuzzlerem został odsunięty od panelu i ustawiony na wprost wrót. Nikt nie przypinał mu nadgarstków. Jeżeli uznali, że nie będzie sprawiał kłopotów, mieli rację.

Zamierzał współpracować jak nikt inny wcześniej, byle tylko zniknąć z widoku, zanim ktoś dopatrzy się błędu.

Potężne i grube wrota, jakby zaprojektowane do przetrwania napom dużych sił, rozsunęły się ociężale. W oświetlonym pomarańczowo wnętrzu Harpad dostrzegł robota.

Z tej perspektywy wydawał się znacznie większy. Z cichym szumem mechanizmów napędowych płynnie wyjechał na gąsienicach i zatrzymał się metr przed wózkiem. Głowica optoelektroniczna na szczycie korpusu wycelowała obiektywy w dół. Kliknęły klamry na łydkach, a eliminatorzy unieśli Harpada i obrócili go tyłem do robota, którego uchwyt niespodziewanie szybko i niespodziewanie łagodnie złapały nuzzlera w pasie i za ramiona. Robot od razu wycofał się do windy. Albo śluzy.

Wrota już się zasuwwały, a Harpad nabrał powietrza. Ostatni oddech na powierzchni. Przez moment miał przemożną ochotę uśmiechnąć się do eliminatorów i krzyknąć „Do zobaczenia, chłopaki!”, a może „Dziękuję za współpracę”. Nie mógł się zdecydować, a chwilę później wrota zadecydowały za niego, zamykając się.

Minimalna zmiana ciężenia pozwoliła odczuć, że jadą w dół. Czyli jednak winda.

A może winda i śluza w jednym.

Wtedy Harpad zrozumiał coś, co nie dawało mu spokoju przez ostatnią godzinę.

ID Sowy właśnie zostało wymazane z bazy g.A.I.a., czyli uzyskał on wreszcie to, na co czekał od pięciu lat — wolność. Dializer nie był już potrzebny. Niezależnie od tego, co wydarzy się dalej, Sowa już wygrał swoją grę.

CZĘŚĆ III

Materac poznał wiele ciał. Był twardy, miejscami wygnieciony tak, że niemal stracił swą grubość. W wilgotnym powietrzu czuć było stęchliznę. Zarysy pomieszczenia ledwo wyłaniały się z półmroku. Harpad leżał nieruchomo i próbował sobie przypomnieć ostatnie wydarzenia. Trwało chwilę, nim dotarł do ostatniego wspomnienia, obrazu zasuwających się pomarańczowych drzwi windy. Co się wydarzyło potem?

W pomieszczeniu, w celi właściwie, bo całą jedną ścianę zajmowała kraty, był ktoś jeszcze. Oddychał równomiernie, z cichym świstem. Spał? A może też tylko leżał? Czy oddech może zdradzić cokolwiek o swoim właścicielu? Harpad wyobraził sobie szczupłego sześćdziesięciolatka z siwą brodą.

I astmą. Miał na imię Emil, tkwił tu od przeszło czterech dni i...

Harpad wiedział już o nim więcej, niż chciał. Odegnął nachalne cyfrowe wizje i usiadł na pryczy. Trójramienny robot przywłókł go tutaj dziewięćdziesiąt sześć minut temu. Skąd ta informacja? Skąd tak dokładna? Przecież był wtedy nieprzytomny. Przetarł twarz dłonią i aż się wzdrygnął, czując obcy dotyk. Z obrzydzeniem zdarł z dłoni rękawicę. Skóra pod nią była chłodna i wilgotna, na szczęście od potu.

Poruszył palcami i nadgarstkiem. To tylko lekkie zdrętwienie, nic więcej.

Pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu komunikatora. Nie znalazł go ani niczego innego. Miał na sobie drelichowy kombinezon i skórzane buty robocze.

Rękawica odcinała się jaśniejszą plamą od czarnej podłogi. Nie można jej tak zostawić. Na wprost kraty, obudowane niskimi murkami majaczyło coś w rodzaju sedesu. Pół na pół, że się zatka. Może pod materacem? Za pryczą? Nie wymyślił nic mądrego. Podeszedł do kraty, przycisnął głowę do prętów i usiłował dostrzec coś w perspektywie korytarza. Widział tylko kilka najbliższych celi po przeciwnej stronie. Wysunął rękę na zewnątrz, zamachnął się i rzucił rękawicę w bok, najdalej jak mógł. Rozległo się mokre plaśnięcie.

Usiadł na pryczy, wsłuchując się w ciszę.

Ktoś westchnął przez sen, ktoś odwrócił się na drugi bok.

Ciszę zakłócało jedynie dudnienie maszyn gdzieś głębiej. Tak wszechobecne, że się nie liczyło. Czegóż jednak brakowało.

Świszczącego oddechu z pryczy obok.

Harpad zamarł, widząc mroczną postać siedzącą półtora metra od siebie.

— Pan zdezorientowany? — padło pytanie. — Nic dziwnego, każdy tak ma na początku.

Głos nie należał do nikogo groźnego.

Emil na pewno pozbawiony był agresji.

Harpad czuł, że wystarczy wypuścić myśli w odpowiednią stronę, by się dowiedzieć o współwięźniu wszystkiego. Nie chciał tego robić.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał zamiast tego.

— Tu lądują ci, którzy podpadną rządowi. Pan czym podpadł?

— Rządowi...?

— Bo ja, proszę pana, głosłem prawdę.

Siedzę za prawdę. Niech pan zobaczy.

Coś zaszeleściło i przed Harpadem pojawił się jaśniejszy kształt. Bardzo cienki, pozaginany regularnie przedmiot.

Papier. Znał ten materiał z banknotów. Ten arkusz był jednak większy.

— To rysunek dziecka sprzed co najmniej trzystu lat — wyjaśnił konspiracyjnym szeptem Emil — a dokładniej jego kopia ręcznie przerysowywana dziesiątki razy.

— Rysunek sprzed Przemiany?

Emil pokręcił głową.

— Nie pochodzi sprzed Przemiany.

— Powiedział pan, że ma co najmniej trzysta lat.

— A Przemiana miała miejsce dziewięćdziesiąt lat temu? Nie zgadza się, co?

Te dziewięćdziesiąt lat... tak uczą dzieci w szkołach i nie spotkałem nikogo, kto by podawał to w wątpliwość.

— Jak pan to tutaj przemycił? — Harpad już bał się odpowiedzi.

— W brodzie. Nie pierwszy raz.

— Trzysta lat — mruknął nuzzler. Niewyobrazalny dystans dla kogoś, kto nie planuje dalej niż na dwa tygodnie w przyszłość. A teraz zaledwie kilka godzin. Przysunął

kartkę do oczu. Nadal niczego nie mógł dostrzec.

— Teraz mamy rok zielony — ciągnął Emil. — Przed nim był seledynowy, a jeszcze przed nim fioletowy i rubinowy.

Pamięta pan, jaki rok był przed rubinowym?

Harpad zastanowił się. Pewną trudność sprawiało mu kojarzenie faktów. Może przez to stęchłe powietrze?

— Chyba... granatowy — powiedział.

— Pomarańczowy. Granatowy był przed pomarańczowym.

— Możliwe. Nie mam głowy do dat.

— Mało kto ma. Tak to jest pomyślane, żeby się nikt nie połapał. Gdyby przynajmniej stała za tym jakaś logika, jak w kole barw. Wie pan, zielony, żółty, pomarańczowy, czerwony i tak dalej. Ale nie, losowo idzie. Ludzie głosują, jest loteria, nagrody, tak, wiem. Czyli losowo. Po co tak? Powiem panu po co. Żebyśmy się pogubili. Właśnie po to. Gdyby te lata miały numery, byłoby prosto policzyć, ile minęło od jakiegoś wydarzenia. A tu proszę, gubimy rachubę już po czterechpięciu latach.

Harpad zastanowił się nad tymi słowami. Rzeczywiście obliczenie liczby lat, które minęły od urodzin Marysi, nie byłoby proste, gdyby nie profil sieciowy. Marysia...

— Jak stąd wyjść? — zapytał.

— Gdybym wiedział, toby pan tu siedział sam.

— Można tu kogoś wezwać? Zapytać o cokolwiek?

— Niby jak? — Emil zabrał kartkę.

Oddychał głośno. — Pewnie kiedyś rysunek był kolorowy. Teraz zostały same zarysy. Kolory blakną pierwsze. Wszystko z wiekiem robi się szare. Jak ludzie. A wie pan, czemu rysunek był wielokrotnie kopiowany? Żadna informacja nie może przetrwać dłużej niż trzydzieści lat. Starsze dane znikają z sieci. Mówią, że to przez oszczędność miejsca na serwerach. Tylko czemu rysunek na papierze blaknie, nim minie te trzydzieści lat? Czemu papier rozsypuje się w proch? Czemu znika napis wyityy na miedzianej blasze?

— A znika? — Harpad zerkał na kartkę, wciąż próbując coś na niej wypatrzeć. — A co z banknotami? Pochodzą sprzed Przemiany. Mają ponad trzydzieści lat i nie rozsypują się. Po jakim czasie wzrok się przyzwyczaja do tej ciemności?

— Już się bardziej nie przyzwyczai. Ja nie muszę patrzeć, co tu jest narysowane. Ja

to przecież znam na pamięć. Wszystko zewsząd znika najdalej po trzydziestu latach. Dłużej może przetrwać tylko tu. — Dotknął palcem skroni. — A to nośnik bardzo niepewny, wrażliwy na manipulację.

Coś panu naopowiadają, pan uwierzy, i już ma pan niechciane kłamstwo w głowie.

Gdy stąd wyjdę, znajdę ucznia. Przekażę mu całą moją mądrość i tę kartkę. On zrobi własną kopię.

— Stąd się nie... — Harpad nie dokończył.

Emil nie był zainteresowany słuchaniem.

— Nikt mi nie wierzył — mówił dalej.

— Ba! Nikt nie przyjmował do wiadomości tego, co mówię. To jasne, że nawiedzeni szaleńcy opowiadają głupoty, a ludzie zazwyczaj puszczają je mimo uszu. Aleja nie jestem szaleńcem! Mówiłem, ludzie słuchali i od razu tracili zainteresowanie, jakbym mówił w obcym języku! Ciekawe, że przy niektórych tematach ludzie od razu tracą zainteresowanie. Jakby mieli w głowach zabezpieczenie. No i to moje gadanie nie spodobało się rządowi. Zesłali umie tu.

— To nie rząd. To algorytm pana tu zesłał.

— Za wszystkim stoi rząd. Ma wszędzie swoich agentów, informatorów. Prezydent i reszta. Ale nie złamię mnie. Wyjdę i będę dalej głosił prawdę.

Szelest papieru. Harpad próbował przebić wzrokiem ciemność. Rysunek zrobiony przez dziecko przed trzystu laty. Dawno, cztery życia ludzkie temu. A może i nie ma tu żadnego rysunku? Harpad wpatrywał się w szarawy zarys kartki. Miał przed sobą rysunek, mógł go pognieść, podrzeć, a nie mógł rozpoznać.

Emil jakby wyczuł jego myśli. Starannie złożył kartkę. Zaszleściły włosy brody.

Marysia też lubiła rysować, ale nigdy nie robiła tego na papierze, tylko na tablicie. Dlatego wszystkie jej rysunki przepadną w kilka dni po Eliminacji. Harpad wstał i zacisnął dłonie na kratkach. Szybko przywołał się do porządku — nie po to tu jest, żeby rozpaczać.

Zamka kraty nie dało się dostrzec, dobrze go ukryto, a sama krata nie miała ani milimetra luzu.

— Kiedy ktoś tu przyjdzie? — zapytał.

— Nie ma reguły. — Emil położył się na pryczy. — Co kilka godzin przyjeżdża maszyna i kogoś zabiera albo przywozi nowego.

— Dokąd zabiera? Co się dzieje potem?

— A skąd mam wiedzieć? Jeszcze tydzień temu zamiatałem podłogę w centrum handlowym. Mniej więcej tydzień. Tu nie ma nocy ani dni. Są pory posiłków.

Nieregularne, pewnie celowo, żeby nas zmylić, zdezorientować. Rząd ma takie metody. Wiem tylko, że gniję tu dłużej od innych. Jest w tym prawidłowość: im kto starszy, tym dłużej tu siedzi.

— A dzieci? — ożywił się Harpad.

— Ile czasu trzymają tu dzieci?

— Dzieci? — Emil wzdrygnął się.

— Nie widziałem tu dzieci! Cóż za wyrodni rodzice pozwoliliby tu trafić własnemu dziecku!?

Harpad przygarbił się.

— A co się dzieje potem? — zapytał ciszej. — Gdzie dalej trafiają ludzie?

— Jakoś się nad tym nie zastanawia łem. Wychodzą, co innego miałyby się dziać?! Po co się tym zamartwiać? Nie mam na to wpływu. Jak stąd wyjdę, o wszystkim opowiem. Prawdę rozgłoszę.

— Można to przyspieszyć?

— A ja wiem? Proszę pana, ja nic nie wiem. Któż to może wiedzieć, co tu się wyrabia? Kiedy przynoszą jedzenie, robi się trochę jaśniej. Na kwadrans może. Tyle wiem. Teraz przeczekam, a jak mnie wypuszczą, to wszystkim opowiem. Wyda się cały ten spiszek.

Zapadła cisza, choć nie powrócił świszczący oddech. Emil jeszcze nie spał. Może udawał, że śpi, żeby nie musieć odpowiadać na niewygodne pytania. Nie wiedział, że zdradza go brak świstu.

Harpad również się położył. Cóż mógł zrobić innego?

* * *

Nie wiadomo, skąd pochodziło światło.

Cele jaśniały, jaśniał korytarz. Dawało się dostrzec elementy wyposażenia i nie potknąć o własne nogi. W sąsiednich celach zaczął się ruch. Ożywienie ograniczało się jednak do pokasływań i szurania. Rozmowy nie były popularne wśród tych, których wydalilo własne społeczeństwo.

— Pora karmienia. — Emil usiadł na pryczy. — Jak zwierzęta nas traktują.

Teraz Harpad mógł mu się przyjrzeć.

Obraz z wyobraźni, czy też może lepiej powiedzieć — z bazy danych g.A.I.a., w pełni odpowiadał rzeczywistości: chudy, łysy sześćdziesięcioletek.

Wzdłuż korytarza jechał robot, ten z reflektorem i trzema chwytakami. Za nim podążał spory samobieżny kontener. Nie zwalniając, manipulatorami wyjmował ze swojego wnętrza miski z racjami żywno ściowymi i kubki z wodą. Stawiał je na metalowych parapetach wmontowanych w kraty metr nad ziemią.

Harpad zaczekał, aż buczący kontener oddali się. Wziął jedzenie i wrócił na pryczę. Kubek wody i miska brei. W breję wetknięto łyżkę z cienkiego jak papier plastiku. Wyglądała, jakby miała się złamać przy byle dotknięciu.

— Pan nie czeka. — Emil już jadł.

— Rozpuści się.

Harpad zamieszał łyżką w brei. Łyżka okazała się solidniejsza, niż się wydawało.

— Już się rozpuściło.

— Nie żarcie. Naczynia. Rozpuszczają się i odparowują. Nie można zostawiać na później.

Harpad spróbował mały kęs. Danie smakowało jak rozgotowane warzywa z rozgotowanym mięsem. Bez przypraw.

Dopiero teraz przypomniał sobie o głodzie.

Nie jadł nic od śniadania, a przecież dochodziła dwudziesta druga czternaście.

Skąd znał godzinę?

Zjadł bez przyjemności ledwie kilka kęsów, więcej nie potrafił w siebie wmusić, i popił wodą o metalicznym posmaku.

Wzorem Emila wrzucił naczynia do sedesu.

Początkowo niezauważalnie, światło zaczęło przygasać. Po chwili w celi panował już półmrok.

* * *

Wnętrznosc g.A.I.a. była szara i ciemna jak martwy staw. Rekordy eliminowanych z cel obok przypominały stare brudne silniki albo przekrzywione zbezczeszczone nagrobki. Biegające od nich linki falowały niczym zerwane cumy z zatopionego wraku

albo zwisały bezwładnie nad otchłanią pulsującą brudną czerwienią. To tylko wyobraźnia, nic więcej. Emil spędzi tu jeszcze siedem dni, a ten siedemnastolatek zza ściany tylko pięć godzin. Czemu?

Odpowiedzią była świadomość zasady. Nie żaden tam wykres, lecz podane wprost zrozumienie pochodzące z analizy kilkuset brudnych rekordów. Samą zasadą Harpad nie zawracał sobie głowy. Interesowała go tylko informacja, że Marysia opuściła to miejsce pół godziny przed tym, jak on się tu pojawił, a teraz nic nie może zrobić, poza leżeniem i rozmyślaniem. Czekало go jeszcze co najmniej czterdzieści dziewięć godzin.

Po co to?

Wbrew oczekiwaniom dostał odpowiedź, jakby jego umysł łączył się bezpo średnio z siecią. Nie rozumiał jej dokładnie, bo czy g.A.I.a. mogła naśladować ludzką percepcję? Po co miałyby to robić? Cóż to znaczy dla sztucznej inteligencji? To bagaż historii, który należy odrzucić jako niepotrzebny atawizm. Bezsensownie powolna ewolucja, której każdy krok liczony jest w dziesiątkach pokoleń, zamiast w dziesiątych milisekundy. A może wprost przeciwnie, może to część autoidentyfikacji?

W końcu umysł Harpada w jakiś sposób łączył się z bazą i wymieniał dane.

Po co na masce Triumph'a to trójkątne przetłoczenie, udające podział na komorę silnika i błotniki z czasów pierwszych samochodów? Przyzwyczajenie do dawnej estetyki; niepotrzebne z praktycznego punktu widzenia, ale wciąż stosowane. Nie da się zbudować niczego nowego bez opierania się na starym. To jak kolejne etapy wznoszonego przez stulecia kościoła. Jeśli odrzucisz podbudowę, zostajesz z niczym.

Wszystko, co robisz, cała twórczość, to tylko modyfikacja, nie zaś tworzenie od zera.

Kolejne etapy rozwoju technologicznego, nawet jeśli oznaczały przełom, to jednak zachowywały starą nomenklaturę i architekturę. Pierwsze samochody wyglądały jak powozy, do których ktoś zapomniał przyczepić konia, a w niewidzialnym gołym okiem świecie kwarków szybko zadomowiły się takie określenia, jak powabny, wysoki czy piękny. Tylko po to, żeby nie startować od zera, nie stracić gruntu pod nogami.

Nawet jeśli g.A.I.a. w swojej ewolucji zapomniała o ludziach, jako o dawnych stwórcach, to zachowała nadany przez nich szkielet z tej banalnej przyczyny, że jego zmiana kosztuje więcej wysiłku niż poniechanie. Nie można zmienić standardu leżącego u podstaw całej struktury, nie naruszając jej samej. Dzięki temu ludzki mózg może połączyć się z bazą danych g.A.I.a., otrzymać odpowiedź na pytanie, czemu służy pobyt

w tych celach.

Harpad otrzymał odpowiedź. To jest czyściec.

Chodził tam i z powrotem po celi. Na przemian siadał, kładł się i wstawał. To oczekiwanie doprowadzało go do szaleństwa. Miał tli spędzić dwie doby. To długo.

Za długo. Marysia teraz pewnie jest gdzieś tutaj, niedaleko, ale wkrótce mogą ją zabrać dalej albo... Nie wiedział przecież, co się dzieje potem. Mogło być i tak, że po odsiedzeniu godzin, dni, tygodni w tych celach następuje fizyczna egzekucja.

Ostateczna Eliminacja.

Nie, nie mógł czekać tych czterdziestu dziewięciu godzin, aż go przeniosą...

gdzieś. Nie, poprawka! Nie on miał tu spędzić dwie doby, tylko Sowa. Jego jedynym identyfikatorem było nanoID, które teraz leżało kilkanaście metrów dalej w korytarzu. Może wyrzucenie rękawiczki to błąd?

Może teraz nie istniał dla systemu? Nie, to niczego nie zmieniało. NanoID z krwi Sowy i tak nie przetrwałoby tyle czasu. Nie działało już przecież podczas procedury weryfikacji, tam na górze.

Spojrzał na swoje dłonie, ledwo majaczące w półmroku. Przed „zsypem” przyło żył lewą do skanera i został rozpoznany jako Sowa. A to mogło znaczyć, że potrafi się podszyć, pod kogo chce. Na przykład pod tego siedemnastolatka z celi obok.

Tylko jak? Jak to się robi?

Przez myśl przebiegło mu jeszcze jedno pytanie: co się stanie z chłopakiem, jeśli teraz zabierze mu tożsamość? Sam się zdziwił swoim rozterkom — jeszcze tydzień temu nawet by o tym nie pomyślał. Nieważne. Pięć godzin to i tak za długo.

— To nic nie da — dobiegło z boku.

— Lepiej leżeć i czekać.

Harpad spróbował potrząsnąć kratami.

Leżeć i czekać, to mógł w wygodnym łóżku na trzydziestym piątym piętrze swojego mieszkaniowca. Zaciskał dłonie na kratkach, jakby miał nadzieję, że wygnie grubą na dwa centymetry stal. W błysku olśnienia zrozumiał, jak działa cały system ponad tysiąca cel. Jedynie trzysta pięćdziesiąt dwie były teraz zajęte. Ich otwieranie i zamykanie wydawało się proste niczym podrapanie się za uchem. Coś kliknęło metalicznie i cała świadomość złożonego systemu rozplynęła się jak zagubiona myśl, która tuż przed snem bezpowrotnie ucieka, pozostawiając jedynie mgliste wspomnienie.

Ciężka krata niemal bezszelestnie odsunęła się w bok. Harpad poczuł gorąco. To tylko złudzenie, krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach, dłonie przestały być zimne.

— Co pan robi?

— Wychodzę.

— Niech pan zaczeka. — Zaszleściły włosy brody. — Pan jest jeszcze młody, proszę to wziąć.

Harpad zorientował się, że Emil trzyma coś w wyciągniętej dłoni. Rysunek tego dziecka sprzed trzystu lat.

— Nie wiem, kiedy mnie stąd wypuszczą — ciągnął Emil. — Dwa razy w życiu już to przerysowywałem, nie dożyję trzeciego. Za siedem lat musi pan przerysować.

— Może pan iść ze mną — powiedział wbrew sobie Harpad.

— Lepiej leżeć i czekać.

Chciał schować kartkę do kieszeni, ale zorientował się, że kombinezon nie ma kieszeni. Wsunął więc papier pod mankiet i wyszedł na korytarz. Mimo ciemności znał kierunek, gdzie ma iść.

— Powodzenia — usłyszał jeszcze.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Zasunął kratę i ostrożnie zanurzył się w mrok.

Doszedł do szerszego, poprzecznego korytarza, którego nie zauważył — poczuł na twarzy ruch powietrza.

— Hej! — dobiegło z ciemności.

— *Pst... ! Człowieku...!*

— Ciii — syknął Harpad.

— Otwórz moją kratę — poprosił ktoś.

— Nie umiem.

— Mam dzieci. Opiekuję się nimi. Co z nimi będzie?

— Naprawdę nie umiem.

— A swoją to jak otworzyłeś? — Niewidoczny człowiek mówił już całkiem głośno.
— Kłamiesz!

Harpad nie był pewien, czy to prawda, czy nie. Być może, gdyby się skupił, umiałby otworzyć również tę kratę. Tylko jak zareagowałyby na to roboty strażnicze?

— Nie mogę — szepnął. — Muszę się stąd wydostać po cichu.

Przez moment rozważał, czy przynajmniej nie spróbować odblokować zamka.

Tylko jeśli uwolni tego człowieka, to czemu nie jeszcze kogoś? A jeśli jeszcze kogoś, to czemu nie kolejnych dziesięciu, czemu nie wszystkich? Gdyby otworzył wszystkie kraty, mógłby pewnie zapomnieć o odnalezieniu Marysi.

— Otwórz, bo pożalujesz!

— Człowieku, ciszej... —Nuzzler uniósł dłonie w niewidzialnym dla tamtego geście uspokojenia.

— One zawsze przyjeżdżają, jak się robi hałas. Otwieraj! — Tamten szarpał kratę. — Zabiorą cię te blaszane obcęgi!

Ktoś próbował go uciszyć. Nic to nie dało.

— Otwieraj tę jebaną kratę!!! Otwieraj, gnoju!

Harpad odruchowo cofnął się kilka kroków. Wszelkie wątpliwości zniknęły, jak ręką odjął. Wypuścić kogoś takiego?

Ucieczka z nieobliczalnym głupcem to ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebował.

W sąsiednich celach zapanowało poruszenie.

— Moją też otwórz... — szept dobiegł z drugiej strony.

— Ja tu jestem przez pomyłkę. Nic nie zrobiłem.

— Boże, mam dzieci...

— Błagam...

Rekordy eliminowanych spadły na niego znienacka. Znał teraz ich imiona, rodziny, całe historie ich istnień, wszystkie złe uczynki, wiedział, kiedy stąd wyjdą.

Wszystko naraz w lawinie danych, która wdarła się do jego umysłu. Wiedział o Elizie Strumińskiej i o Jacku Lipniarzu, który spędzi tu długie trzy tygodnie. Zacisnął powieki i rzucił się do tyłu, aż uderzył plecami w mur. Zatkąło go, zachwiał się i usiadł. Ból przepędził cyfrową wizję.

Pozostał zimny pot i przyspieszony oddech.

Więźniowie zamilkli, ale bynajmniej nie z jego powodu. Szerszym korytarzem zbliżało się źródło światła. Harpad wstał, szorując plecami o mur. Nie było sensu uciekać. Już widział gąsienice i stalowe ramiona. I ten okrągły, żarzący się reflektor na korpusie. W jego słabym blasku z cienia wyłaniały się kolejne poprzeczne korytarze z rzędami zakratowanych cel. Blade twarze cofały się strachliwie w ciemność. Niepotrzebnie, robot obrał już swój cel.

Harpad przywarł plecami do ściany i czekał na nieuniknione. Robot skręcił w jego stronę i... przejechał obok, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

Zbliżył się do celi krzykacza i wsunął przez kratę mały manipulator.

— Już nic nie robię! — Krzykacz uniósł ręce w poddańczym geście. — Już przestałem! To jego wina! Tamtego... Ja już nic...!

Krzyk utonął w trzasku błękitnych iskier. Bezwładne ciało zważyło się na pod łogę. Zapadła cisza.

Harpad stał, przylepiony plecami do ściany. Nie potrafił powstrzymać dygotu.

Robot wycofał manipulator, zawrócił w miejscu, chrzęszcząc betonowymi okruchami pod gąsienicami, i ruszył w drogę powrotną. Nuzzler złapał oddech i odsunął się od ściany. Trzęsły mu się nogi i czuł zimno, choć temperatura nie spadła ani odrobinę. Czy to nie nazbyt bezczelne, iść za robotem? Czy to nie kuszenie losu?

Oddalał się właśnie w tę stronę, w którą powinien iść Harpad. Skoro jest dla robota niewidzialny, może go wykorzystać do pokonania kolejnych drzwi, jeśli jakieś tam są. A są na pewno.

Zmusił się, by ruszyć za maszyną, tuż na granicy słabego światła odbitego od ścian. Nikt nie próbował go powstrzymać.

Nikt nawet nie pisnął.

Harpad szedł za robotem strażniczym.

Nie mógł się pozbyć skojarzenia, że tylko niewiarygodne spiętrzenie przypadków sprawia, że jeszcze nie został zauważony.

Mijali kolejne odnogi korytarza, wzdłuż których po obu stronach ciągnęły się cele.

Jeżeli ktoś ich stamtąd obserwował, dbał o to, by pozostać pod osłoną mroku.

Robot zgasił reflektor i dalej posuwali się już w ciemności. Jedyнным wyznacznikiem kierunku i odległości pozostawały szum silnika i chrzęst gąsienic. Wreszcie robot zatrzymał się, zakręcił o dziewięćdziesiąt stopni i tyłem wjechał we wnękę w ścianie. Szczęknęły styki. Stacja ładowania.

Harpad zatrzymał się. Co teraz? Przestrzeń wypełniał ten sam monotony, dobiegający zewsząd odgłos pracującej za ścianami maszynerii.

Podszedł kilka kroków i stanął przed robotem. W półmroku tkwił masywny korpus maszyny z wbudowanym reflektorem, zwieńczony głowicą z obiektywami. Czy patrzył na człowieka?

Co ja wyprawiam...?

Występował otwarcie przeciw g.A.I.a.

Dopiero uciekł z celi, a teraz najzwyczajniej w świecie stał na wprost sensorów optoelektronicznych strażnika więziennego, który miał go pilnować.

Może uciekinier był równie nieistotny, co mrówka drepcząca po mankiecie filozofa odpoczywającego na trawie Pola Mokotowskiego? Myśliciel jest zbyt zmęczony i rozleniwiony, by mszyć ręką i strząsnąć nędznego owada. A może analizuje sprawy tak ważne, snuje tak górnolotne rozmyślenia, że mrówka go nie obchodzi?

Usłyszał chrobot, ale robot nie poruszył się. Harpad bardziej poczuł, niż zobaczył, że coś zbliża się z prawej strony. Dźwięk gąsienic ucichł i oślepił go reflektor. Drugi robot! Zszedł mu z drogi i dopiero wtedy robot mszył dalej. Minął człowieka, nie zwracając na niego uwagi. Więc jest ich więcej. Tkwią tu jak larwy pszczoł w komórkach ula. Ładują akumulatory, a może po prostu czekają, aż okażą się potrzebne. Nuzzler nie wiedział, ile ich jest.

W świetle odbitym dostrzegł kilkanaście identycznych robotów i parę pustych wnęk.

I już wiedział, że robotów jest pięćset sześćdziesiąt siedem, z czego trzydzieści cztery w tym rejonie. Dwa niesprawne.

Odprowadził wzrokiem robota. Skoro zatrzymał się przed nim, oznaczało to, że Harpad nie jest dla nich niewidzialny. Ignorowały go, ale zauważały. Był nieistotnym elementem otoczenia, który należało ominąć. Ominąć, nie rozjechać.

Korytarz za kolejnymi dwoma zakrętami kończył się wrotami równie solidnymi, jak te na górze, przy Terminalu Wyjścia. Panel kontrolny obok dawał wystarczająco dużo światła, by ocenić ich wielkość — trzy metry szerokości i tyleż wysokości. Rozważanie, czy powinien przejść przez te drzwi, było bezcelowe. Musiał.

Jeśli tego nie zrobi, wszystkie dotychczasowe wysiłki stracą sens.

Panel świadczył o tym, że wrota są przystosowane do obsługi przez ludzi. Harpad nie chciał tego analizować, bał się, że znów zaleje go nadmiar danych. Zamiast tego skupił myśli na samych drzwiach i mechanizmach nimi sterujących.

I nic.

Wpatrywał się w grube żebra na powierzchni wrót i nie widział nic poza nimi. To jak z czynnościami, które wykonuje się automatycznie, mimowolnie. Jak bezwzrokowe pisanie na klawiaturze. Idzie dobrze, dopóki człowiek nie zacznie się zastanawiać, gdzie

jest konkretny klawisz.

Im bardziej Harpad starał się nie skupiać na otwarciu wrót, tym bardziej o tym myślał.

Świadomość nie powinna się zapuszczać w rejony będące domeną nawyków. Może pragnienie musi wychodzić z głębi duszy, inaczej jest wyrachowaniem, które zostanie odrzucone przez nieznanne filtry.

Był zmęczony i nie miał siły się nad tym zastanawiać. Chciał tylko, żeby wrota się otworzyły. Nieważne jak.

Rozległ się sygnał ostrzegawczy, lampki zamigały na pomarańczowo i wrota zaczęły się rozsuwać.

Wstrzymał oddech. Za drzwiami nie dostrzegł jednak nic szczególnego. Krótki na dziesięć metrów korytarz i kolejne wrota. Czyli znów coś w rodzaju śluzy.

Albo windy, bo ścian nie wykonano z betonu, tylko z profilowanych szarordzawych paneli, co akurat mogło być złudzeniem wywołanym przez sącące się z góry pomarańczowe światło.

Wszedł. Pod nogami zachrobotąły okruchy. Piasek? Gromadził się pod ścianami, jakby nawiewał go tu wiatr. Panele kontrolne wyświetlały niezrozumiałe informacje. Harpad nawet nie próbował ich czytać. Drzwi za jego plecami zasunęły się, zgrzytając pojedynczymi ziarenkami piasku. Przy każdym zamknięciu mechanizm pokonywał opór drobnych ziarenek. Od ilu lat tak się dzieje? Dziewięćdziesięciu?

Może znacznie dłużej? Uszczelki się zużywają, więc trzeba je wymieniać. Skąd się biorą? Kto je wymienia? Przecież nie te roboty z obcęgami.

A skąd się bierze kawa?

Był zbyt rozkojarzony, by pomyśleć o otwarciu przeciwległych drzwi.

Zapewne dlatego rozsunęły się od razu.

Zmrużył oczy, nie tylko przed światłem.

Do środka krótkim i ciepłym podmuchem wpadł tuman szarorudego pyłu. Wyrównało się ciśnienie. Piasek opadł, a zawiesina drobniejszych cząstek półprzezroczystą kurtyną zdradzała jedynie zarys tego, co dalej.

Wszechobecne dudnienie i pomruk wielu maszyn przytłaczały. Nikt z własnej woli nie chciałby się tam znaleźć.

Harpad ruszył przed siebie.

Park był mroczny, pozbawiony drzew i trawy. I gorący, niczym w południe, nie zaś pośrodku nocy. U stóp szarorudych pagórków z ubitej ziemi walały się szaronide śmiecie. Wszystko szarorude, brudne, zakurzone. W powietrzu wisiła wilgoć, pachniało mokrą szmatą, kurzem i smarem, jak w metrze. I to dudnienie, jakby wielka zła maszyna próbowała się wydostać gdzieś spod ziemi.

Czy tu wybuchł pożar? Dawno temu.

I nikt nie posprzątał. Te dziwne wysokie budynki bez szyb, w środku taki bałagan.

Połowa ścian zniknęła, a druga się zawaliła.

Filary przekrzywione pod najróżniejszymi kątami. Gdzieś tam daleko przez mgłę, czy może pył, przebija aureola otaczająca słabą lampę. Dziwne miejsce. Straszne.

Marysia szła wolno ścieżką, gotowa do ucieczki, gdyby w okolicy coś się poruszyło. Ale tu panował bezruch. Ten pomarańczowy kombinezon, nie pamiętała kiedy ją w niego ubrali, był nawet wygodny, ale bardzo brzydki. Źle się w nim czuła. Brakowało jej ulubionej sukienki. Wszystkiego brakowało, a nikt jej nie wytłumaczył, dlaczego się tu znalazła ani jak długo tu zostanie. Czy to za karę? Nie pamiętała, żeby zasłużyła. Była grzeczna. Nie zrobiła nic złego.

Wzdrygnęła się, gdy dostrzegła szarą twarz patrzącą na nią z wysokości trzeciego piętra. Zatrzymała się. Nie, to tylko manekin. Siedział na pomoście wkomponowanym między krzywe filary. Dziwny manekin, pokryty pogniecioną szarą matową Wyszedł ze śluzu w cieplejszą o kilka stopni, obszerną przestrzeń. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się na twardym, porysowanym gąsienicami podłożu. Jak w starej fabryce lub warsztacie samochodowym, podłoga zamieniła się w mieszanek resztek smaru, pyłu i wszystkiego, co spadło i zostało zapomniane. Wrota za jego plecami zasunęły się, mieląc piasek.

To nie przypominało niczego, co widział wcześniej. Pieiwsze skojarzenie to wnętrze opuszczonej hali, ale kilkakrotnie powiększone. Nie było tu wcale tak jasno, co zrozumiał, gdy wzrok, wyczulony w ciemności więzienia, przywykł do nowych

warunków. Jak pochmurna końcówka ścieniu na powierzchni. Czasem tylko świeciła jaśniejsza lampa lub otwór prowadzący nie wiadomo dokąd. Pył wzbity otwarciem śluzy opadał i snopy światła przeświecające przez najbliższe rozgałęzienia rur znikwały, odsłaniając szczegóły otoczenia. Delikatną czerwień przygaszała szarość, jakby cały świat zardzewiał.

Trzydzieści metrów przed Harpadem wznosiła się kratownica zbudowana z dwumetrowych elementów. Cała ściana, ciągnąca się nieskończenie w obie strony, tak wyglądała. Wolne przestrzenie wypełniały mniejsze kratownice, w których gnieździły się z kolei jeszcze mniejsze. W różnych kierunkach prowadziły pomosty, wiązki różnej średnicy rur, przewodów, kabli.

Rozgałęziały się, zakręcały, przechodziły przez ściany, przebijały skrzynie, czy też może kontenery. Pięło się to wszystko w górę, gdzie niknęło w ciemności.

W zakamarkach i pod ścianami gromadziły się zasy z piasku i śmieci, ale innych niż te na powierzchni. Tutejsze nie miały wyraźnych kolorów, lecz jedynie odcienie rdzy.

Postąpił ostrożnie kilka kroków i rozejrzał się. Wrota, przez które się tu dostał, też tkwiły w wielkiej kratownicy, częściowo zabudowanej, częściowo ażurowej, odsłaniającej mroczne zakamarki głębszych warstw. Jak okiem sięgnąć, widok ginął w zapyleniu powietrza, za różnego kształtu budowlami i przybudówkami przylepionymi do kratownic. Ta dolina, ten wąwóz po kres widoczności, zakrzywiał się w oddali pierścieniem. Masywne elementy tworzyły szkielet, na którym opierały się wyższe poziomy, więc i grunt poziomu zero. Gdzieś w ciemności, w górze, za nieznaną granicą zaczynała się gruba na kilkadziesiąt metrów warstwa ziemi, dającej mieszkającym jeszcze wyżej naiwną iluzję opuszczonej dawno planety.

Poczuł na plecach ciarki. Gdyby nie Marysia, za nic nie zanurzyłby się w mroczną dolinę. Gdyby nie ona, zawróciłby i zaczął się dobijać do drzwi.

* * *

Najpierw byli panowie w czarnych garniturach i elegancka pani, nawet miła, ale nie pozwalała jej wyjść z tego mieszkania.

Mówiła, że to dla jej dobra. Marysia musiała grać w nudne gry z Kariną, tą z rudymi lokami, wnuczką jakiegoś profesora. Karina używała tak dziwnych, „dorosłych” słów, że trudno się z nią rozmawiało. A kiedy jadła, to tak elegancko trzymała sztućce.

A potem była manifestacja, i panowie w pomarańczowoczarnych kombinezonach. Zamiast twarzy mieli lustrzane maski.

Eliminatorzy. Dlaczego Eliminacja miałaby zabierać dzieci? Przecież zabierała tylko złych ludzi.

Ścieżka wiała się po martwym parku pomiędzy stertami śmieci, wielkimi metalowymi pudłami i rurami. Marysia nigdy wcześniej nie widziała w parku takich rzeczy. Ani nie słyszała, żeby ziemia tak dudniła. A może to jakaś zabawa? Taki sprawdzian, jak w szkole? Ktoś sprawdza, czy Marysia trafi do wyjścia. A wtedy wyjdzie stąd i wróci do... Zatrzymała się gwałtownie. Przypomniała sobie mamę. Mama leżała na ziemi, bo coś ją uderzyło albo się potknęła. Źle się czuła. Leciała jej krew.

Obejrzała się za siebie w mglisty mrok.

Powinna odwiedzić mamę w szpitalu, bo pewnie zabrali ją do szpitala. Tata z pewno ścią będzie wiedział, gdzie ona jest.

Sięgnęła do kieszeni po komunikator.

Nie było go. Nie było nawet kieszeni.

Były za to drzwi. Wielkie drzwi w ścianie budynku obok. Ścieżka skręcała w prawo i przechodziła w placyk przed tymi drzwiami. Może to jest wyjście z tego straszego parku?

Podeszła do drzwi.

A drzwi się otworzyły.

* * *

Po kilku minutach zorientował się, że podąża ścieżką. To z pewnością była ścieżka, choć bez śladów butów. Wolna od śmieci i piasku, szeroka wystarczająco, aby pomieścić jedną osobę, wydeptana jaśniejsza wstęga. Łagodnie omijała przeszkody.

Tędy szli eliminowani po opuszczeniu śluzy.

Niedawno tę drogę pokonała również Marysia.

Ruch z boku! Harpad zatrzymał się.

Ścieżka omijała jakieś stalowe szafy, jakieś bańki izolatorów, wymienniki ciepła.

Cokolwiek to było, nie wyglądało na sprawne. Panowała tu cisza, w rozumieniu ciszy międzypoziomowej, czyli wypełnionej dudnieniem i brumem nieznanymi maszynami i instalacjami.

Jednak coś się tam czaiło. Mały człowiek wychynął zza karbowanej ściany.

Człowiek? Nie... To coś się poruszało, ale nie było człowiekiem. Zbyt małe, choć niepokojąco ludzkie. Naga, szara skóra, opinająca mięśnie i ścięgna bez śladu tłuszczu, czarne oczy. Poprawka, skóra szaroruda, a oczy z czarnych zamieniały się w czerwone, gdy patrzyły na wprost. Zwierzę.

O takich istotach czytał na portalach historycznych. Przed Przemianą istniały różne gatunki. Niektóre nawet mieszkaly z ludźmi. Stworzenie przypominało trochę małego psa, trochę dużego szczura. Tyle Harpad pamiętał z przypadkowych nagrań.

Zwierzę ani się go nie bało, ani nie pragnęło się bliżej zapoznać. Stało na tylnych łapkach, spojrzało na człowieka i czmychnęło gdzieś w głąb struktury. Nie dostrzegł w tej ucieczce strachu, lecz jedynie brak zainteresowania.

Obok z zaworu grubej na pół metra rury zwisał potężny, połyskujący w świetle pobliskiej lampy stalaktyt. Prawie już się połączył z wyrastającym nieopodal z ziemi stalagmitem. Co chwila bezgłośnie spadała kropelka. Gdyby chcieć wymienić ciekący zawór, trzeba by zacząć od skucia wieloletnich osadów. Ilu lat potrzeba, by atom po atomie narosła wielotonowa bryła? Dziewięćdziesiąt wystarczy?

Szedł dalej. Teraz już miał wrażenie, że ktoś na niego patrzy. Nie wiedział, czy zwyczajne, ludzkie przecucie, czy informacja z wnętrza g.A.I.a. o kilku parach oczu, które go śledzą. Gdzieś z góry.

Uniósł głowę. Nie, nikogo tam nie było. Puste otwory w kratownicowej strukturze.

Znowu ruch! Pięćdziesiąt metrów z przodu. W górze. Wiedział to, zanim zobaczył. Coś spadało, furkocząc szarorudą tkaniną. Miało ludzki kształt. Nie krzyczało, tylko pod koniec lotu zamachało rękami, jakby chciało odwołać podjętą tam, wyżej decyzję. Za późno. Głuche uderzenie i niewielka chmura pyłu.

Przyspieszył kroku i nagle zobaczył, jak biegnie obok niego kilkanaście stworzeń, szczuropsów. Pędziły nad wyraz zwinnie, wielkimi susami, do miejsca upadku. Harpad ruszył, ale gdy tam dotarł, szczuropsy już otoczyły ciało zakutane w podarte szmaty. Spróbował odgonić zwierzęta, ale zobaczył czerwone oczy i wyszczerzone w groźbie zęby.

Twarz starca. Nie, ta twarz była o wiele za stara, by jej posiadacza można było nazwać starcem. Szara skóra, zmarszczki na zmarszczkach, zapadnięte oczy. Istota leżała bezwładnie, ale z pewnością żyła.

Nuzzler drgnął, gdy spojrzała na niego. Nie mogła się mszyć, łza spłynęła po labiryncie pomarszczonego policzka, po czym wszystko przesłoniły kłębiące się małe ciała z ostrymi zębami i mocnymi szczękami. Być może dałoby się przepędzić kilka. Z trzydziestoma nie było sensu próbować.

Cofnął się. Z przerażeniem patrzył na kłębowisko, pod którym nie było już widać niczego. Pomóc nie miał jak, nawet gdyby chciał. A nie chciał. Kimkolwiek był ten nieszczęśnik, sam sobie wybrał taki los.

Chwila intensywnego cierpienia miała być wybawieniem od dalszego trwania w na wpół zmumifikowanym ciele.

Z góry obserwowało go kilkadziesiąt par oczu. Szare twarze, stare i pomarszczone. Zbyt stare i zbyt pomarszczone, niemal utraciły już ludzkie cechy. Wychylały się ze struktury i trudno było określić, czy patrzą na kłębowisko szczuropsów, czy na nuzzlera.

Odszedł, byle dalej od tej jatki. Tu już nie było ścieżki, lecz wydeptane skrzyżowania i placyki, jakby zesłani tu tracili orientację. Wszechobecny pył pokrywał szmaty, puszki, inne śmieci. Wybrał drogę w bok, w głąb struktury. W cieniu kratownic kryły się wrota, takie same, jak poprzednie. Ledwo się do nich zbliżył, otworzyły się, ukazując znajome wnętrze.

* * *

Stała w progu wielkich wrót, zaskoczona widokiem. Odmiana była przeogromna. Po pustkowiu, przez które

dopiero co wędrowała — teraz wszędzie ludzie, tłum. Przechodzili między straganami, jak na bazarze, na który chodziła czasem z mamą. Ten jednak wydawał się większy. I ciemny. Nocny bazar pełen ludzi w pomarańczowych kombinezonach. Byli wszędzie: pomiędzy straganami, chodzili po pomostach, gdzie nie spojrzeć — z boku, w górze, w tych budynkach z krzywymi filarami. Zgiełk zagłuszał to potworne dudnienie.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. A przynajmniej tak jej się wtedy wydawało.

Weszła w tłum. Gdzieś tam przecież musi być wyjście na ulicę.

Mijała stragany z dziwnymi przedmiotami, jakby ktoś zrobił je ręcznie; z owocami, małymi i nieładnymi; minęła fryzjerkę, która strzygła klienta siedzącego na skrzynce; krawca szyjącego ręcznie igłą i nitką i całą masę sklepików niewiadomego jej

przeznaczenia.

Nigdzie nie potrafiła dostrzec wyjścia.

A dalej był grill, na którym piekło się mięso. Przełknęła ślinę, bo dopiero teraz przypomniała sobie o głodzie. Stała przed rusztem i dotarło do niej, że jest tutaj sama. Bez pieniędzy. Trzeba szybko znaleźć wyjście!

— Przepraszam pana — zaczęła kogoś. — Gdzie jest wyjście?

Tamten minął ją obojętnie, jakby była niewidzialna. Mechanicznie szedł przed siebie. Odprowadziła go zaskoczonym spojrzeniem. Podeszła do starszej kobiety, sprzedającej zwinięte w wielkie rulony materiały.

— Przepraszam, jak stąd wyjść?

Kobieta spojrzała na nią niechętnie.

— Skąd wyjść?

— No... — Marysia wykonała gest ogarniający wszystko dookoła — no, stąd.

Kobieta zaczęła się śmiać. Marysia wzdrygnęła się i odeszła, a skrzekliwy rechot gonił ją jeszcze kawałek.

Tu nie było niczego znajomego. Żadnych normalnych sklepów, kawiarni, samochodów. Nie było chodników ani jezdni, trawy ani drzew. Nie było nawet policjanta, którego mogłaby zapytać o drogę.

Szła wzdłuż domów bez okien, bez drzwi i bez większości ścian. Pomosty prowadziły w górę, w dół i w głąb budynków.

Nie mogła sprawdzić, kiedy zacznie się jas.

Przysiadła na metalowym stopniu i objęła kolana ramionami. Wystarczy poczekać.

W dzień łatwiej będzie się zorientować, w którą stronę iść.

Pomyślała jeszcze, że nie powinna zasypiać, ale oczy same jej się zamknęły i po chwili Marysia już spała.

Śluza. Od poprzedniej różniła się zalegającą wewnątrz stertą śmieci. Podłoga była wyslizgana, jakby niezliczone rzesze ludzi przemieszczały się tędy od wielu lat.

Jego myśli wciąż krążyły wokół tej starej istoty, której śmierci był świadkiem.

Czy to możliwe, że tak wygląda końcowy etap Eliminacji? Sztucznie przyspieszony proces starzenia? Ile to trwa? Nie, to się nie może tak skończyć. Sprawdził przecież wiek Marysi. Miała przed sobą jeszcze wiele lat. Tylko jak g.A.I.a. może znać przyszłość? Przecież nawet najlepszy algorytm nie panuje nad zdarzeniami losowymi.

Nie panuje nad przyszłością.

Czy Marysia też przeszła mroczną dolinę? Skręciła tutaj, czy poszła dalej?

Dzieliło ich nie więcej niż pół godziny. Tak niewiele brakowało, a odnalazłby ją jeszcze w czyścucu. Gdyby tylko ocknął się wczę śniej, gdyby wcześniej zdobył się na otwarcie krat...

To, co zobaczył po przeciwnej stronie śluzy, zaskoczyło go i wyrwało z rozmyślań. Ludzie! Setki ludzi. Część z nich przemierzała się w pośpiechu rzadko spotykanym na górze, część wręcz przeciwnie — snuła się lub siedziała samotnie i w mniejszych grupkach. Wszyscy ubrani byli w kombinezony, jaki i Harpad miał na sobie. Czasem bardziej zniszczone, czasem uzupełnione o podartą torbę, czasem o pled na ramionach, choć chłodno bynajmniej nie było. Kilka osób posłało mu beznamiętne spojrzenie. Dwie weszły do śluzy, nim ta się zamknęła.

Kilkadziesiąt metrów dalej wznosiła się kolejna kratownicowa struktura. Obie tworzyły wąwóz, którego wierzchołek ginął w brudnej czerni, natomiast niższe partie przypominały ulice miasta po kataklizmie.

Oświetlenie w losowych miejscach wydzierało z półmroku skrawki tego podziemnego... obozu? Bo czymże innym było to miejsce? Przerzucono nad tymi pasażami kładki i rachityczne mostki wiszące.

Z bocznych struktur wystawały balkony i większe tarasy. Były też zejścia podziemne, pochylnie, schody. Niedaleko, pod wielkim, oplecionym kablami i rurami kontenerem przycupnęło kilka krzywych straganów z nierozpoznawalnymi z tej odległości towarami. Dalej, przy małym ognisku o niepokojąco zielonkawym płomieniu, grupka ludzi grała w kości. W innym miejscu odbywało się strzyżenie — starszy mężczyzna siedział na skrzynce, a młoda kobieta całkiem sprawnie, nożyczkami, ścinała mu włosy. Z lewej strony bawiły się kilkuletnie maluchy.

W jaki sposób uległy Eliminacji?

Zapewne w podobny, co Marysia.

Rozejrzał się w poszukiwaniu znajomej główki między podobnymi do siebie postaciami. Nie miał pojęcia, w którą stronę pójść: zejść pod ziemię, czy wybrać któreś z prowadzących w górę schodów.

Jedni ludzie niemal biegli, inni przeciwnie — siedzieli pod ścianami lub niespiesznie podążali gdzieś za swoimi sprawami. Ktoś grał w szachy, dwóch nastolatków odbijało

piłkę, a na środku pasażu stało coś w rodzaju grilla z paleniskiem z przepołowionej beczki. Starszy mężczyzna pod absurdalnym tutaj, podartym parasolem przewracał szczypcami jedzenie na kratce. Aromatyczny dym uderzył Harpada w nozdrza, przypominając o głodzie — nie jadł przecież od wielu godzin. Teraz żałował, że wzgardził papką w celi. Wspiął się po schodach na chybotzący się most linowy, rozwieszony kilka metrów nad ziemią. Dopiero stąd ujrzał rozmiar Międzypoziomia i aż się przygarbił z wrażenia — dudniący wąż pełen przelewających się tłumów, stragany, sklecone z odpadków budki i wykusze, trzymające się na sznurkach i supłach mosty, smużki dymu, to wszystko ciągnęło się w obie strony po kres widoczności wyznaczany zawiesiną dymu i wilgoci. Nie ma szans, nie wypatrzy tak małej.

Zszedł i zbliżył się do grilla. Trzeba jeść, żeby zachować jasność umysłu. Odruchowo rozejrzał się za panelem dotykowym, którego oczywiście nie mogło tu być.

To, co piekło się na grillu, nie zachęcało.

Wprawdzie z lewej strony leżała zupełnie normalna kiełbasa, za to po prawej skwierczało coś podejrzanie przypominającego udo szczuropsa.

— Dwieście za udko, sto pięćdziesiąt za łopatkę. Kiełbasa pięćset... — Sprzedawca dopiero teraz spojrzał na przybysza, na jego kombinezon. — Nowy? Nie masz jak zapłacić, co? Idź do kompa.

— Gdzie?

W odpowiedzi kościsty palec wskazał przeciwległą ścianę.

— Tam. Do kompa. No jazda, nie stój mi tu! Płoszysz klientów.

Harpad posłusznie odszedł w kierunku wciśniętego w ścianę żółtego urządzenia.

Wnękę w obudowie oświetlała ciepła, żółta lampa w kształcie łuku. Zamiast panelu dotykowego wystawał tylko duży przycisk.

Wielkości dłoni, z wytłoczonym piktogramem, oczywiście dłoni, żeby nikt nie miał wątpliwości. Przycisk był mocno zużyty, ale wciąż czytelny. Harpad rozejrzał się i nacisnął. „Komp” był kompilatorem spo żywczym. Coś w nim zawarczało, zabulgotało i we wnęce pojawiła się miska z papką identyczną z tą w areszcie. Obok był podobny automat, tyle że niebieski. Harpad dotknął przycisku i dostał kubek pełen wody.

Żadnego wyboru, ale też żadnego pytania o zapłatę. Miał pieniądze. Miał całkiem sporo pieniędzy, wszystkie na górze.

— Bierzesz, czy jak...? — burknął ktoś obok. — Też chcę.

Harpad nawet nie spojrzał w tamtą stronę. Zabrał miskę i kubek. Przeniósł je na stalową skrzynię parę metrów dalej i pospiesznie zjadł kilka kęsów. Smak też był taki sam, nieodstręczający, ale niemiło metaliczny. Wypił wodę do dna.

— Nowy.

Przełknął i spojrzał w bok. Sześćdziesięciolatek miał kilkuniedniowy zarost, krótko ostrzyżone siwe włosy i bystre oczy. Szczupły, jak wszyscy tutaj. Jego pomarańczowy kombinezon był mocno nadwerężony, przetarty i rozpruty w kilku miejscach. Na ramieniu wisiała torba, chyba samodzielnie wykonana z jakiejś płachty.

— Jestem tu od godziny — potwierdził Harpad.

— Pomogę ci.

— Nie prosiłem.

— Z nudów. Od roku nie pracuję.

Harpad jadł pospiesznie i zastanawiał się, jak pozbyć się natręta.

— Tu nie ma co robić z czasem, jeśli się nie pracuje — ciągnął tamten. — A tobie będzie łatwiej, kiedy wyjaśnię co i jak tutaj. Tkwię tu od dwudziestu lat, według waszej miary.

— Może wiesz, z czego to jest zrobione? — Harpad wskazał papkę.

— Papa? Nie zadawaj pytań, na które nie chcesz poznać odpowiedzi.

Nuzzler z trudem przełknął, papka zaczęła smakować jakby gorzej.

Na końcu języka miał pytanie, czy nie widział Marysi. Nie zdecydował się, to jednak ryzykowne bez znajomości tutejszych realiów. Wołał polegać na swoim cyfrowym szóstym zmyśle. Jak zje, będzie miał siłę podjąć trop.

— Myślałem, że Eliminacja oznacza śmierć — powiedział zamiast tego. — Że te pomarańczowe furgonetki wiozą ludzi na egzekucję.

— Też tak kiedyś myślałem. Wszyscy tak myśleli, wszyscy, którzy przez to przeszli. Jestem Jeremi.

— Harpad. — Uścisnął wyciągniętą dłoń i powrócił dojedzenia. — Dlaczego chcesz mi pomóc?

— Mówiłem już, nie mam nic do roboty. Brak pracy odbiera sens życia.

Dosłownie. Jazda w stupor.

Harpad miał nieodparte wrażenie, że wszyscy dyskretnie mu się przyglądają, jakby wiedzieli, po co tu trafił.

— To powiedz mi, co powinienem wiedzieć — rzucił między kęsami papki.

— Zwykle opowiadam na przykładach.

— Poproszę o wersję skróconą.

Jeremi nie poczuł się urażony. Usiadł na rurze obok.

— Wylądowałem tu w roku fioletowym — Mówiłeś, że jesteś tu od dwudziestu lat.

— Może od dwudziestu dwóch...

— Jeremi podrapał się w głowę. — Wiesz, tutaj trudno liczyć upływ czasu. Nie ma dni ani nocy, są tylko cykle. No, a jak nie pracujesz, to i nawet to znika. Na okrągło półmrok. Nie ma potrzeby liczenia. Są co prawda tacy, co liczą dokładnie. Zapisują zmieniające się kolory lat, podawane przez nowych. Ale tak naprawdę mało kogo to obchodzi. Fioletowy był znów dwa lata temu. A może trzy? Kolory się powtarzają.

Nie wiem czemu. Pracowałem, a rytm pracy i odpoczynku dawał mi jakiś tam wewnętrzny spokój. Od roku nie pracuję.

Może od półtora? Już nie wiem, nie liczę, tu pojęcie roku nic nie znaczy. Tamci tam, patrz — mchem głowy wskazał siedzących pod przeciwległą ścianą — oni też nie pracują. Siedzą i czekają na kolejne sekundy i minuty życia. Nie mają pomysłu, co z nimi zrobią. Ja tak nie chcę i dlatego pomagam nowym. To nie żadna łaska, nie musisz dziękować. Robię to dla siebie, żeby mieć zajęcie.

— Nie myślałeś, żeby stąd uciec?

Jeremi zaczął się śmiać. Klepnął się w zylaste udo, jakby usłyszał dobry dowcip.

Uciec... A to dobre!

— Naprawdę nigdy o tym nie pomyślałeś?

— Och, człowieku... — Pokręcił głową. Wydawał się wręcz zażenowany. — Człowieku...

Harpad wzruszył ramionami. Przełknął ostatni kęs i rozejrzał się za koszem na śmieci.

— Rzuć gdziekolwiek. — Jeremi z ulgą porzucił poprzedni temat. — Albo zjedz.

Jest zjadliwe, choć niesmaczne. Lepiej wyrzucić. Szczuropsy nie pogardzą.

— Szczuropsy? — zainteresował się Harpad.

— Te małe ścierwojady.

— Wiem, widziałem je. Nazwałem je w myślach tak samo.

— Wszyscy je tak nazywają, jeśli nie liczyć tych, co na wszystko tylko klną.

— Więc jak to wszystko działa?

— Harpad rzucił naczynia na ziemię.

— To... — Zatoczył ręką krąg.

— Międzyzwoziami. Tak je nazywamy.

— Wiem... Choć nie wiem, skąd to wiem.

— Bo to taka naturalna nazwa. Ja już nie pamiętam, jak wygląda niebo.

— Ja też nie — przyznał Harpad.

— Nie żyłem przed Przemianą.

— Przed czym?

— Przed Przemianą. Przeprowadzili śmy się z Ziemi do Pierścienia Warszawa.

I do innych pierścieni. Inaczej byśmy nie przeżyli. Dziewięćdziesiąt lat temu, w roku białym, pierwszym. Nie uczyli cię w szkole?

— Nie wiem, o czym mówisz. Jestem prostym człowiekiem. Urodziłem się w Warszawie i nie byłem dobry z historii.

Po co sobie zawracać głowę sprawami przeszłymi, których już nie można zmienić? — Jeremi zmarszczył czoło. — Pewnie dlatego tak szybko tu trafiłem. I tego też nie zmienię.

— Nie interesują cię wiadomości z góry? Co się tam wydarzyło ostatnio.

— A co mnie to obchodzi? Kto został prezydentem? Kto jest sławny? Kto bogaty? To nie ma znaczenia nawet na Górze, a co dopiero tu. Tu zasady są proste.

Masz zapewnione jedzenie i picie. I ubranie, jeśli stare się zniszczy. Jak się nie zniszczy, to też. Był tu taki świr rok temu... a może dwa? Ze czterysta cykli temu. Naciskał guzik, a kompilator wyrzucał nowe kombinezony. Nie wiem, po co to robił. Może czekał na inny kolor? Przy dwudziestym ludzie go powstrzymali.

Wszystko jest za darmo, chyba że chcesz zjeść coś niestandardowego. — Spojrzał w kierunku grilla. — Nie polecam szczuropsów, żrą wszystko i nie zdychają od toksyn, bo one się w nich kumulują. Jak dobrze posmarujesz, można zjeść odpady produkcyjne. Dziś widziałem podwawelską za pięć stówek. Bywają flaczki i pyzy. Nie stać mnie na to, żrę papę z kompa. Kombinujesz, jak się tutaj ustawić, co?

Harpad pokiwał głową, choć chciał tylko znaleźć Marysię i wyjść na powierzchnię tak szybko, jak się da. Nie miał zamiaru spędzać w Międzyzwoziami ani minuty dłużej, niż to będzie konieczne.

— Gdzie trafiają dzieci? — zapytał.

Jeremi obejrzał się na chłopców grających w piłkę.

— Mają wolne — powiedział. — Skończyły pracę.

— Pracują? Kilkuletnie dzieci?!

— No jasne. Tam, gdzie przydają się małe dłonie. Praca to przywilej.

Harpad nie zrozumiał.

— On nadejdzie! — rozległ się głos.

Z przeciwka zbliżał się zarośnięty jak pustelnik mężczyzna w podartym kombinezonie. W dłoni trzymał rurkę, na której końcu powiewała szaroniebieska szmata.

— Czekajcie cierpliwie, albowiem on nadejdzie!

Harpad odprowadził mężczyznę wzrokiem.

— Kult Przewodnika — wyjaśnił Jeremi. — Niektórzy wierzą, że nadejdzie Przewodnik, który otworzy Styk i wyprowadzi ludzi na Górę. Naiwniacy.

— Wiara czyni cuda.

— Popatrz na niego. — Jeremi wskazał mężczyznę. — To nie wiara, to szaleństwo.

Jeremi nagle cofnął się. Odwrócił głowę, ostentacyjnie tracąc zainteresowanie rozmówcą. Jak spod ziemi wyrosło dwóch łysych osiłków. Mieli na sobie te same kombinezony, ale obwieszane łańcuchami i kablami w kolorowych izolacjach. Nie musieli niczego mówić, wystarczyło, że jeden chwycił Harpada pod ramię i pchnął wzdłuż struktury.

* * *

— Jeszcze nie... Jeszcze parę minetek. ..

Mama wyciągała Marysię z łóżka.

Zwykle narzekała przy tym, że spóźni się do pracy, teraz jednak przeszła samą siebie.

Wyciągnęła ją z łóżka, i to dosłownie.

Teraz wlokła ją za rękę do łazienki.

— Mamo...

Pizama szorowała po dywanie. Teraz mama ciągnęła ją już za obie ręce.

— Jeszcze ciemno... — Marysia uchyliła jedną powiekę. — Miałam straszny sen o nocnym bazarze. To się nie liczy jako spanie... To był koszmarek... Daj mi minutkę, mamusiu, minutkę...

Mama była nieustępliwa. Przeciągnęła ją obok łazienki i wciągnęła do salonu.
A nawet dalej.
Tyle że dalej niczego nie było. Salon przecież kończył się ścianą.
Marysia otworzyła szeroko oczy.

* * *

Harpad dał się prowadzić, a pytania zachował dla tego, do kogo zaraz trafi. Pod świadomie spodziewał się tego. Nie ma światów bez zasad i bez ludzi je tworzących. Takiego kogoś zaraz spotka. Właściwie to się nie bał. Miał władzę nad tą rzeczywistością, nawet jeśli nie potrafił jej jeszcze sprawnie używać. Nie była to władza absolutna, może nawet była władzą zupełnie niewielką, ale wiedział jedno: gdy tylko odnajdzie Marysię, wyprowadzi ją stąd, a wszystkie drzwi po drodze rozsuna się na jego rozkaz. Mechaniczni strażnicy z obcęgami nie spróbują ich zatrzymać, a już na powierzchni banalna zmiana wartości PZ dokończy dzieła wskrzeszenia.

Łysi nie byli brutalni. Nie popychali go, wręcz wydawali się znudzeni. Zatem rutynowa procedura. Pewnie wszyscy nowi przez to przechodzą. Klepinięciem w ramię skierowali go do wnętrza struktury, w tym miejscu nieprzesłoniętej ścianą. Stał u podnóża schodów prowadzących w ciemność. Słaba lampka w górze określała cel.

Wnętrze było skomplikowane, ale dawało się wychwycić wyraźną regularność. Na najgrubszych elementach wspierały się cieńsze, a na nich jeszcze cieńsze. Przy czym nawet te ostatnie z trudem dałoby się objąć ramionami. To do tych najcieńszych właśnie zamocowano schody, które prowadziły na wysokość szóstego, może siódmego piętra. Harpad złapał zadyszkę w okolicach czwartego i gratulował sam sobie, że jednak zjadł tę papkę, która dała mu zastrzyk energii.

Oddech złapał dopiero po krótkiej przerwie, gdy dotarli do celu. Znalazł się w dużym pomieszczeniu przypominającym gabinet o częściowo ażurowych ścianach i widocznych elementach konstrukcyjnych budynku. Stały tu jakieś zapadnięte kanapy, stoliki, szafki, bynajmniej nie nowe — sprawiały wrażenie, jakby przyciągnięto je tu z wysypiska. I zapewne stamtąd właśnie pochodziły. Główne źródło światła stanowiło kilka kopiących świeczek i słaba lampa wmontowana w ścianę. Podłogę zrobiono z ażurowych paneli nakrytych płachtami materiału udającymi dywany. Cała jedna ściana otwierała się na szeroki taras, wychodzący na wąwóz nad pasażem i rozwieszony po przeciwnej stronie

sznury ledwo żarzących się lampek. Na przedłużeniu stołu, w czerwonym obrotowym fotelu Harpad dostrzegł mężczyznę w kapeluszu.

Siedział tyłem do gabinetu, a nad rondem kapelusza unosiła się smużka dymu.

Obok, na niskim siedzisku złożonym z ciemnych poduszek, siedział po turecku łysy karzeł w okularach o szklach tak grubych, że jego oczy wydawały się zajmować pół twarzy. Na kolanach trzymał wielką otwartą księgę i końcówką długopisu wodził tuż ponad zapisanymi maczkiem rządkami liczb. Na stoliku po jego prawej stronie stał mały komputer, który wyglądał, jakby poskładano go z niepasujących do siebie części ukradzionych z muzeum.

Mały człowieczek, zapewne księgowy, skojarzył się Harpadowi z gnomem z bajek dla dzieci. Gnom nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Łysi wycofali się w cień, zostawiając Harpada samego. Obejrzał się na nich i napotkał beznamienne spojrzenia. Obszedł więc niski stół i zatrzymał się kilka metrów od fotela.

Z szerokiego tarasu roztaczał się dobry widok. Dwadzieścia metrów dalej obie ściany wąwozu łączył wiszący most, solidniejszy od tych niżej. Po drugiej stronie trwała zabawa. Niewidoczne ani niesłyszane z dołu, z poziomu ulicy, cienie tańczyły do utworu, który Harpad pamiętał z czasów, gdy wszystko było proste. Brzękało szkło. Bujał się sznur lampek.

Dalej nie chciał podchodzić. Czuł, że człowiek w kapeluszu raczej by sobie tego nie życzył.

Temten go usłyszał, może wyczuł.

Obrócił się z fotelem i wydmuchnął chmurę cygarowego dymu, której wielkość świadczyła, że się zaciąga. Harpad znał człowieka, który zaciągał się cygarem. Teraz, zbyt zdziwiony, by się naprawdę wystraszyć, zobaczył go przed sobą — na rozwalającym się fotelu siedział Wolf. Nie krył się w mroku, choć rondo kapelusza zacięniało czoło i oczy.

— Sam przekroczyłeś Styk — powiedział. — Jak to wytłumaczysz?

Co powiedzieć? Jak grać, jeśli nie zna się zasad? Co tutaj jest wartością, co walutą? Jak Wolf się tu znalazł?

— To moja pierwsza tutaj wizyta.

— Harpad wzruszył ramionami. — Powiniennem mieć parę?

Żart nie został doceniony. Wolf skinął na kogoś stojącego w cieniu, skąd dobiegało bulgotanie, przypominające gotującą się wodę.

Milczenie przeciągało się. Nuzzler mimowolnie pocierał dłonie, a Wolf tylko palił cygaro i wbijał w niego lodowate spojrzenie. Na jego szyi wisiał łańcuszek z wisiorkiem przedstawiającym dwa połączone ramionami krzyże.

Z cienia wyłoniła się dziewczyna w skąym stroju. Niosła małą tacę z metalową filiżanką. Podsunęła ją Harpadowi, nie patrząc mu w oczy. Uniósł filiżankę i powąchał. Kawa. Upił łyk. Kawa, espresso, całkiem niezłe, choć o tym samym metalicznym posmaku.

— Nie czuję cię. — Wolf zaciągnął się cygarem i wypuścił śmierdzący dym.

— Nie ma cię tu w całości.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

— Nuzzler kiwnął w podziękowaniu głową i odstawił filiżankę na tacę. Dziewczyna wróciła do cienia.

— Jesteś cieniem. — Wolf wycelował w niego cygaro. — Dotarłeś tu przed całkowitym nasyceniem. Jak?

— Przed czym? — Harpad naprawdę się zdziwił.

— Jesteś inteligentny, powinieneś rozumieć. — Wolf poprawił się w fotelu.

— Nano. Nie zaliczyłeś pełnego nasycenia.

Nie wiem, kim jesteś, nowy. — Wycelował w niego cygaro. — Ale wiem, że chcę cię mieć. To znaczy mniej więcej tyle, że będę cię miał.

— Nie bardzo rozumiem — powiedział Harpad.

I właśnie zdał sobie sprawę, że nie stoi naprzeciwko Wolfa. To był ktoś bardzo do Wolfa podobny, ale to nie on. I ten ktoś nie wiedział, kim jest Harpad.

Milczenie przeciągało się.

— Będiesz mój. Zapłata będzie twoje życie. Zachowasz je.

Łysi zachichotali krótko, z przyzwyczajenia. Nie wyglądali na kogoś o szczególnie rozwiniętym poczuciu humoru.

— Umiesz coś, czego nie umieją inni — ciągnął nieWolf. — Zamieszkać w okolicy, żebym nie musiał cię szukać. Spotkamy się ponownie, kiedy już się nasycisz.

A teraz idź, zabaw się.

Machnął ręką i odwrócił się z fotelem.

Łysi wzięli Harpada pod ramiona, wywlekli z pokoju i rzucili w bocznym korytarzyku.

Odeszli. Odczekał chwilę i powoli wstał.

Korytarzyk częściowo stanowił pomost prowadzący wewnątrz kratownicy. Tu chyba nic nie było jednoznaczne: wewnątrz, zewnątrz, ściana, nieściana. Za plecami miał zamknięte drzwi, które z normalnymi drzwiami nie miały wiele wspólnego, przypominały raczej wysoką furtkę.

Po upojeniu władzą sprzed kilku minut nie było śladu. Bo co mogła dać władza nad urządzeniami podpiętymi pod g.A.I.a.?

Przecież nie powstrzyma ludzi pokroju Wolfa. No i w dodatku to nie był Wolf, z pewnością nie on, choć wyglądał identycznie. A więc Brat! Harpad zamknął oczy i spróbował to sprawdzić bez wchodzenia w trans. Nie udało się, był zbyt roztrzęsiony. Zrobi to później. Czymkolwiek jest „nasylenie”, o którym wspominał Wolf, nie było chyba procesem szybkim.

Mimo wypitej kawy czuł senność.

Wypadało rozejrzeć się za miejscem do spania. Trans przed snem powinien wszystko wyjaśnić. Po tropie Marysi, tym, który czuł godzinę temu, nie pozostał ślad.

Zapewne właśnie z powodu zmęczenia.

Tylko gdzie tu się można przespać, przynajmniej ze dwietrzy godziny?

Ruszył dalej korytarzempomostem.

Nie miał wyboru — innej drogi nie było.

Mroczne skrzyżowanie i jedyna świetlista trasa, most wiszący, który prowadził do sąsiedniej struktury. Tej migoczącej kolorowymi światełkami i dudniącej muzyką.

Nigdy wcześniej nie siedł po czymś takim. Pod nogami miał plastikowe i metalowe elementy obwiązane sznurkami, po bokach sznurkowe barierki. Konstrukcja bujała się, sprawiając wrażenie jakby miała lada chwila runąć. Wytarta farba pod stopami znaczyła, że często ktoś tędy chodzi.

Ruszył. To przypominało zawrót skacowanej głowy, gdy wyglądał przez okno swojego mieszkaniowca. Tyle że tutaj obawa przed upadkiem powodowała dygotanie kolan. Tutaj strach był realny.

A jednak przeszedł, bo co innego miał zrobić? Przeszedł po chybotającym się moście wprost w środek zabawy. To zauważył już po drugiej stronie, gdy objęła go starsza

kobieta z papierosem tłącym się w szklanej fifce. Coś mówiła, niewyraźnie.

Nie interesowało go co. Ktoś wręczył mu kieliszek, łyknął odruchowo. Wyczuł alko, ale też i ten metaliczny smak.

Znów meble jak ze śmietnika. Mężczyźni, kobiety, niektóre półnagie, niektóre zupełnie nagie, powolna, basowa muzyka, ledwie żarzące się światła. Zupełnie nowe zapachy, wabiące w nieznaną sposób, obiecujące nowe doznania.

Dziewczyna ubrana w firankę pociągnęła go w stronę kanapy, blisko łańcucha lampek. Padł na miękkie poduchy, a już po chwili trzymał szklanę z drinkiem. Kolega po prawej, ten z przystrzyżoną brodą, opowiadał o czymś, co mu się nie podoba, a łysiejący z lewej wprost przeciwnie, że jest dobrze. Ta z firką znów się pojawiła, przysiadła się. Jakiś młody w przezroczystym podkoszulku też próbował podejść.

Machnęła z niechęcią ręką. Wystarczyło, by zawrócił i zniknął.

— Jesteś nowy — powiedziała zmysłowym głosem, który przyprawił go o dreszcze. Nieprzyjemne dreszcze.

Nie chciał z nikim rozmawiać, chciał spać. Choćby i tutaj.

— Opowiesz mi, jak tam jest, na górze?

Harpad rozkleił powieki.

— Jaśniej.

— Nie zasypiaj. — Poczul dłoń na kolanie. — Czuję, że jesteś cennym rozmówcą.

Odwrócił się do niej tyłem i jego wzrok padł na firankę i prześwitujące spod niej apetyczne ciało. Dziewczyna pocałowała go w usta.

— Chodź — szepnęła.

Skinął głową i z ulgą uwolnił się od napierającego na plecy ciała. Wlał w gardło zawartość szklanki i wstał.

— Ej, gdzie idziesz...? — dobiegło z tyłu.

Nie oglądał się. Drobną dłoń wiodła go między stolikami i kanapami. Ludzie, muzyka, kolorowe światła, wszystko zlewało się w senny chaos. Dotarli do baru.

— Nie idzie za nami? — Harpad obejrzał się przez ramię.

— Ona trafiła tu, kiedy miała dziewięć lat — wyjaśniła dziewczyna. — Trudno jej uwierzyć, że czas płynie.

Barman wlał jej do kubka napój z pomarańczowej puszkii i uzupełnił alkoholem. Harpad dostał coś, co smakowało jak wódka z kwaskiem cytrynowym. Metaliczna wódka

z kwaskiem cytrynowym.

Skrzywił się i tęsknie spojrział na jej kubek.

— Nie wolno ci tego pić. — Dziewczyna wzięła kubek i znów chwyciła jego dłoń. — Jeszcze kawałek.

Kilka metalowych stopni doprowadziło ich na mały podest z kolejną kanapą. Było tu ciszej i ciemniej. Usiedli.

— Podobno sam przeszedłeś przez Styk. — Wsunęła mu dłoń we włosy, palcami zaczęła je przeczesywać.

— Przez co...? — Kręciło mu się w głowie, ale upił jeszcze łyk.

— Przez Styk. On cię przygotowuje.

— Dziewczyna potarła jego policzek. — Wszystkich wyprowadzają cęgi. Ty wyszedłeś sam. A tu nikt nie wchodzi z własnej woli.

Czul jej gorący oddech tuż obok ucha.

— Jest podobna do ciebie. Będzie podobna za kilka lat, jak dorośnie. — Opadł na plecy i to było ostatnie, co zapamiętał. — Muszę ją znaleźć...

* * *

Wszystko inaczej. To nie dywan w salonie, tylko zaśmieczone klepisko nocnego bażant, a tym, kto ją włókł, nie była mama.

Marysia zadarła głowę, ale niczego nie zobaczyła. Nie z powodu nocy — na głowie miała płócienny worek. Trudno jej było oddychać. Rozbudziła się do końca i dopiero teraz naprawdę się wystraszyła.

Szarpnęła się.

— Puszczaj! — krzyknęła.

Niewiele to dało, ale przynajmniej przekonała się, że ciągnie ją ktoś niewiele silniejszy od niej. Ktoś o małych dłoniach.

— Puść mnie!

— Cicho bądź...! — Szept należał do kogoś młodego.

Zacząła się wrywać intensywniej.

— Puszczaj! Nie chcę!

— Ciszej, kurwa...!

— I co teraz? — Drugi głos był wystraszony. — Zaraz ktoś nas zobaczy!

Uścisk na lewym nadgarstku zelżał.

— Nikogo to nie obchodzi, głupku...!

Pociągnięcie za prawy nadgarstek było silne, przesadnie silne, bo gdy zabrakło rozpędu, zaraz zelżało.

— Nie idę! — Drugi głos wyrażał coraz bardziej stanowczy sprzeciw. — Przecież jak nas dorwą...

Marysia wykorzystała moment i wyrwała lewą rękę. Ten, kto trzymał prawą, sam ją puścił. Odbiegła kilka kroków i przewróciła się. Ściągnęła z głowy worek. Nie zrobiło się od tego wiele jaśniej, ale przynajmniej dostrzegła napastników.

Byli w jej wieku i wcale nie kwapili się, by ją gonić. Wprost przeciwnie, odwrócili się i odbiegli w ciemność. Z przerażenia nie mogła wydobyć głosu z gardła.

— Gdzie oni...? — Usłyszała za plecami.

Odwróciła się. Na tle jaśniejszego przejścia dostrzegła dwie męskie sylwetki.

Za nimi widać było przechodniów. Chciała biec w ich stronę, wołać o pomoc. Jakiś wewnętrzny głos powstrzymał ją. W ciemności nie widzieli jej. Wolno cofnęła się i skręciła za najbliższy filar. Wymacała coś w górze, rurkę. Podciągnęła się i wczółgała na coś, czego mogła się przytrzymać. Znieruchomiała.

Kroki zbliżały się. Słyszała tylko głosy, tym razem należące do dorosłych.

— Gdzie te małe skurwysynki spierdoliły?

— Brudna za dzieciaki płaci podwójnie.

— Za te z góry potrójnie!

— Dorwę tych gnoi... Już ją prawie mieliśmy. Zasnęła.

Kroki oddaliły się. Marysia długo jeszcze leżała bez ruchu. Tym razem nie zasnęłyby, nawet gdyby chciała.

* * *

Podążał za wewnętrznym głosem, któremu ufał. Początkowo szedł sam, potem stopniowo zaczęły do niego dołączać

kolejne osoby. Pomarańczowa rzeka. Ich cel był inny, ale szli w tą samą stronę, w podobnym tempie. Przeważnie milczeli.

Młodzi i starzy, różnego wzrostu, różnej postury, wyłamali się z cienia Struktury i dołączali do idących na południe. Z przeciwnej strony ciągnął tłum, od którego

odłączały się pojedyncze osoby. Wszyscy mieli na sobie takie same pomarańczowe kombinezony.

Ci idący z przeciwka wyglądali na zmęczonych, ale jednocześnie spełnionych.

Niektórzy zatrzymywali się przy kompach zjedzeniem, inni wybierali bary ze stolikami i krzesłami albo wchodzili w półmrok kratownic.

Im bliżej kolejnych śluz, tym rdzawy świat zaludniał się coraz bardziej. Krzyżowały się tu strumienie ludzi zmierzających w różnych kierunkach, ludzi prowadzonych niewidzialnymi siłami.

Harpad znał swój cel. Po regenerującym śnie w jego umyśle nie pozostał ślad wątpliwości. Skręcił w prawo i zwolnił.

Tutaj wszyscy wchodzili w jedną ze śluz, drepcząc jeden za drugim, czwórkami, niemal po wojskowemu. Identyczna kolumna mijała ich w przeciwnym kierunku. Optymalizacja. Przeszedł przez następny pasaż, nieodróżnialny od poprzedniego, i następną śluzę. Piętrzące się przy wrotach śmieci sugerowały, że pozostają one stale otwarte.

Skręcił kilka razy, bez najmniejszych wątpliwości, gdzie ma iść. Program w jego głowie prowadził go bezbłędnie. Wszedł w węższy korytarz prowadzący do wnętrza struktury, wraz z innymi zjechał windą dziesięć, może piętnaście metrów i minął kolejne drzwi. Przeszedł kładką przez halę oświetloną tak jasno, że musiał zmrużyć oczy i poruszać się po omacku, z dłonią na poręczy. W dole, między ciągnącymi się po kres widoczności rzędami dwumetrowych roślin, pracowali ludzie w ciemnych goglach. Minął przewężenie korytarza, dwa zakręty i zszedł po schodach do miejsca, które już na niego czekało. Tu właśnie dążył. Poczul ulgę, że wreszcie tu jest.

Zaczął bez niepotrzebnej zwłoki.

Stał między dwojgiem nieznanym i obojętnym mu ludzi. Jego ręce poruszały się same, z wprawą obierając jasne pestki z resztek czerwonej skórki i mięszu, których nie zdjęła maszyna. Przeczesał palcami powolny strumień wody w długim korycie i wyłuskiwał niedokładnie oczyszczone pestki. Mógłby zatrzymać dłonie, palce, nakazać im robić coś innego, lub nie robić nic, ale to wymagało więcej wysiłku woli niż pozostawienie spraw własnemu biegowi. To jak z oddychaniem. Dzieje się samo, a do przejęcia nad nim kontroli potrzebne jest skupienie. Tylko po co przerywać oddychanie? To bardzo nieprzyjemne.

Oczyszczone pestki wrzucał z powrotem do koryta, a woda pchała je dalej, gdzie identyczną pracę wykonywali następni.

Dalej, za zakrętem koryta kolejni ludzie wyławiali pestki i ładowali je do większych zbiorników. W hali było ze dwieście osób, może nawet więcej, a taśmociągi i kanały z wodą prowadziły dalej. Gdzieś tam płaskie, gorące zbiorniki wysoką temperaturą prażyły zawartość, a przy okazji otoczenie.

To stamtąd dobiegał ten intensywny zapach, który Harpad doskonale znał.

Jedna przesywająca myśl, nim świadomość uleci, pozostawiając ciało pracujące jak automat.

Nareszcie wie, skąd się bierze kawa.

Skręcało go z głodu, a nadal nie miał czym zapłacić za prawdziwe jedzenie.

Pozostawała więc papa z kompa. Papa z kompa... to nawet nie brzmiało jak coś dojedzenia. Ten najbliższy usytuowano pomiędzy sklepikiem z ubraniami a straganem jubilerskim.

Harpad przeszedł obok nieprzerwanego ludzkiego strumienia, nacisnął przycisk kompa i zerknął na biżuterię, sprzedawaną ze stolika przez starszą kobietę. To nie były produkty licencyjne, kompilowane, lecz broszki, kolczyki i naszyjniki ręcznie wykonane z drutu, kolorowych kamyków i szkiełek. Po drugiej stronie wisały kolorowe sukienki, koszule, spodnie. Skąd tu w ogóle ubrania, skoro z kompilatorów wychodzą tylko identyczne kombinezony?

Przeszedł z miską i kubkiem do rzędu niskich kontenerów, na których jedli też inni. Z rozkoszą przełknął pierwszy kęs.

W końcu pewnie przyzwyczai się do tego metalicznego posmaku i nawet przestanie go zauważać.

— Wolf z tobą rozmawiał — padło z boku.

Harpad odwrócił się. Krótko ostrzyżone siwe włosy i bystre oczy wydały mu się znajome. Jeremi.

— I bez niego wiem, że coś z tobą nie tak — dorzucił Jeremi.

— Wcale tego nie pragnąłem. Dziękuję bardzo za taką pomoc.

— Nie jestem twoim ochroniarzem, tylko pomagam ci się tu odnaleźć.

— Czemu ja?

Jeremi uśmiechnął się i wycelował w niego palcem.

— Bo jesteś inny. Mówiłem, coś z tobą nie tak. Nie rozpaczasz, że tu jesteś, tak jak wszyscy na początku.

— I planują ucieczkę?

— Och, człowieku! — Starszy mężczyzna zaśmiał się i opuścił głowę, jakby to pytanie wprowadziło go w zakłopotanie. Potarł dłonie. — Och...

— Dlaczego nie odpowiesz po prostu?

Jeremi zaśmiał się i obejrzał za siebie, jakby marzył o tym, żeby się oddalić.

— No dlaczego? — nalegał Harpad.

Jeremi zebrał się w sobie i z przykrością odpowiedział: — To taki temat, który... Jakby to...?

Nie rozmawia się o tym.

Odetchnął z ulgą, ale Harpad nie zamierzał dać za wygraną.

— Masz w głowie blokadę — stwierdził. — Publiczna czarna dziura.

Jeremi zamilkł. Sprawiał wrażenie, jakby chciał odejść, ale został.

Harpad obrócił w palcach łyżkę i poczuł coś osobliwego na opuszkach.

Skórę miał pomarszczoną i wysuszoną, jakby długo trzymał dłonie w wodzie.

Co dziś robił? Sięgał pamięcią ledwie kilka minut wstecz, kiedy to wraz z imiymi szedł pasażem, by chwilę później skręcić i zamówić papę z kompa. Co było wczynie? Życie, które pamiętał, składało się z ostatnich kilku minut! Już zaczynała go ogarniać panika, gdy się odblokował.

Wyszedł przecież ze Styku, potem ten spadający postarzeć i szczuropsy. Wolf, bar z dziewczyną ubraną w firankę. To było wczoraj, jeżeli określenie „wczoraj” miało tu jakiegokolwiek znaczenie. A dziś... płukanie nasion kawy i potem luka, której już nie potrafił zapełnić.

— Wydarzyło się coś dziwnego — powiedział wolno. — Trafiłem do osobliwego miejsca. Mnóstwo ludzi pracujących jak automaty. Też to robiłem, płukałem i obierałem ziarna kawy.

— Pracowałeś. Mówiłem ci, praca to przywilej. Na początku trafiasz na łatwe zajęcia.

— Nie rozumiem...

— Wszyscy pracują, jeśli nie są zbyt starzy, tak jak ja. No, prawie wszyscy. Gdy dopada cię Zew, idziesz tam, gdzie cię zaprowadzi, i robisz to, co ci każe. Jeżeli dopadnie

cię we śnie, to nawet lepiej. Nie budzisz się nawet, tylko sny znikają. Praca cię nie dotyczy. Ciało pracuje, świadomość jest wyłączona. Budzisz się, dopiero gdy skończysz. Wtedy masz czas dla siebie, robisz, co chcesz i tylko ból w barkach każe ci się domyślić, że tego dnia twoja praca polegała na noszeniu ciężarów. Mało kto pamięta samą pracę. Bo i po co? Ja pewnie za wolno pracowałem i robiłem dużo błędów. Tak przypuszczam. Starość. Pewnego dnia Zew nie przyszedł. Nie wiedziałem, co ze sobą robić, gdzie iść. Praca czyni wolnym.

— I tak codziennie? — Harpad jadł stygnącą papę. — Przez chwilę nie pamiętałem... kim jestem.

— Pamięć wraca opornie, już niekompletna. Ale to dobrze, bo zapominasz też złe rzeczy. Patrz na tamtych. — Wskazał siedzących pod ścianą, wpatrzonych w przestrzeń. — Niektórym nie wraca wcale. Nie wiem, czy to ich wybór, czy tak się po prostu przydarza. Nie pamiętają, kim byli, za co tutaj trafili. Nie pamiętają nawet, co robili wczoraj. Gdy ustaje Zew, budzą się jak nowo narodzeni. Oddają się prostym przyjemnościom i idą spać, by jutro zacząć od nowa. Chyba im z tym dobrze. Ludzie jednodniowi.

— Marysia! Miałem jej szukać. Teraz pamiętam! Myślałem, że do niej idę. Wczoraj, gdy prowadził mnie... Zew. Myślałem, że idę do Marysi.

— Kim jest Marysia?

— To moja córka. Przyszedłem tu po nią. Nie czuję już tropu...

Harpad zamilkł, gdy zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo. Jeremi patrzył na niego uważnie.

— Jak chcesz ją znaleźć?

— Ma dziewięć lat, a dzieci rzadko ulegają Eliminacji. Tu nie może być wiele dziewięciolatek. Przejdę się po okolicy.

— Mogła trafić gdziekolwiek — zauważył Jeremi. — Bezludne są tylko okolice wyjścia ze Styków. Tamtych miejsc unikają wszyscy, poza postarcami. Reszta wygląda tak jak tu. — Wskazał zatłoczony pasaż.

— Potrafię znaleźć własną córkę — odparł z rozdrażnieniem nuzzler.

— Życia ci nie starczy.

Harpad wypił duszkiem wodę i strącił puste naczynia na ziemię. Posłał Jeremiemu nieprzyjazne spojrzenie i odszedł. Pomocnik się znalazł! Dziad otepiały od tych

kazamatów, pozbawiony śladowej motywacji.

Wzmocniony posiłkiem, szedł, rozglądał się, wchodził do sklepików i podejrzanych barów. Przyglądał się bawiącym się dzieciom, wchodził na chodniki wnikające w strukturę, pokonywał mosty wiszące i śluzy.

Struktura na poziomie pasaży była uporządkowana, a jednocześnie obudowana powtarzalnymi elementami. Po jednej stronie śluzy należało ominąć rząd grubych rur prowadzących pionowo w górę, a tuż za nią, z mroku powyżej zwieszał się kanciasty kształt wielkości mieszkaniowca. Łatwo się zgubić, nawet sklepiki i szmaciane konstrukcje nie różniły się znacząco. A jednak nie gubił się.

Poruszał się chaotycznie i dopiero w połowie dnia, gdy się zmęczył, wziął kolejną papę z kompa i opracował marszrutę. Starał się nie oddalać od twierdzy Wolfa. Unikanie go nie było rozsądne.

Przynajmniej, dopóki nie znał Międzyzoziomia. Tamten zajmował się tu czymś podobnym, czym jego brat na Górze, tyle że tu brakowało odpowiednika policji, sądów, a nawet Eliminacji. Władzę Wolfa ograniczali tylko inni jemu podobni. Jeśli istnieli.

Nie dotarł do granic zaludnionego obszaru. Nawet nie natrafił na okolicę, gdzie byłoby choć trochę luźniej. A to znaczyło, że Wolf wybrał sobie na siedzibę środek Międzyzoziomia. Jaką mogło mieć powierzchnię? Jak daleko sięgać? Na pewno nie więcej niż kilometr półtora.

Populacja Pierścienia Warszawa to cztery, może pięć milionów. Rocznie Eliminacja zabierała dwanaście... niechby i piętnaście tysięcy obywateli. Ile dzieci? Niewiele.

Tutaj ile mogło być ludzi? Sto tysięcy?

A dzieci? Z tego, co się zorientował — całkiem sporo. Więcej, niż się spodziewał. Eliminacja jednak była bezlitosna.

Ani razu nie poczuł tropu Marysi.

Czy to możliwe, że utracił swoje umiejętności? Zapomniał, jak się wchodzi w trans? W ciągu ostatnich godzin próbował dwa razy. Nawet wciskał tę idiotyczną chrząstkę za uchem. I nic.

Zatrzymał się przed straganem sprzedającym coś przypominającego małe precle.

Brakowało mu jedzenia innego niż papa.

Nie miał jednak ani pieniędzy, ani nawet koncepcji, jak je zdobyć.

Dobiegł go zapach dymu papierosowego. Obok na ziemi siedział pięćdziesięciolatek.

Palił skręta, a Harpad poczuł ssanie w żołądku.

— Gdzie dostanę papierosy? — zapytał.

Palacz wolno uniósł na niego wzrok, a w jego spojrzeniu było coś obojętnego.

Wskazał stolik ze skrętami po przeciwnej stronie pasażu.

— A skąd się bierze pieniądze?

— zapytał ciszej nuzzler. Odpowiedź nie padła, pozostało milczące, cierpliwe spojrzenie. — Jednodniowy?

Dopiero to wywołało uśmiech na twarzy palacza.

— Po co zadawać sobie niepotrzebny ból przypominania? — zapytał. — Gdy Zew ustępuje, jesteś wolnym człowiekiem.

Żyjesz chwilą.

— To się samo dzieje? Czy podjąłeś taką decyzję?

— Ha, ha... Nie pamiętam człowieka.

Na tym to polega, nie? Ha, ha, ha... — Oparł się o ścianę i głośno się śmiał.

Harpad zauważył, że jednodniowy, choć nie najmłodszy, to ma zęby w idealnym stanie. Teraz już nie mógł się powstrzymać i obsesyjnie zaglądał w usta mijanych ludzi.

Wszyscy mieli zdrowe zęby.

* * *

Sen nie nadchodził, a chrapanie obok nie pomagało. Leżał i wpatrywał się w sufit ledwo mający w półmroku. W podłużnej sali na trzecim poziomie wewnątrz Struktury wszyscy poza nim spali. Po obu stronach wąskiego przejścia przez całą długość sali ciągnęły się dwa podwyższenia z elastycznymi matami. Harpad minął kilka takich pomieszczeń, nim upewnił się, że każdy może tu wejść i przespać się, aż poderwie go Zew. Widział, jak ludzie budzą się i wstają. Bez ziewania, odwlekania czy przeciągania się. Wstawali i wychodzili.

Wejście w trans nie udawało się. Może to Międzyposzycie tak na niego działało, a może stres i brak światła. Pozostały mu zwykłe poszukiwania. Dwa dni, może trzy i obejdzie wszystko, zajrzy w każdy kąt.

Będzie pytał ludzi, narysuje mapę.

Sięgnął pod mankiet. Wciąż tam była, kartka od współwięźnia ze Styku. Kopia dziecięcego rysunku Różańca sprzed trzystu lat.

* * *

Wziąć gumową uszczelkę z górnej półki, wetknąć na plastikowy bolec, wcisnąć w metalowy otwór i przekręcić w prawo, aż zaskoczy. Wziąć gumową uszczelkę z górnej półki, wetknąć na plastikowy bolec, wcisnąć w metalowy otwór i przekręcić w prawo, aż zaskoczy. Wziąć gumową uszczelkę...

* * *

Stał na środku pasażu i przyglądał się swoim rękom. Trzy palce lewej dłoni pokrywał czarny nalot, prawa pełna była drobnych skaleczeń. Nie pamiętał, jak to się stało.

Głód pchnął go w stronę najbliższego kompa. Chwilę później stał oparty o kontener i automatycznie wpychał sobie do ust kolejne porcje glutowatej odżywki. Ludzka rzeka przepływała obok w obie strony. Niezmiennie. Światło nie rozjaśniało się ani nie przygasało, wszechobecne dudnienie nie stawało się ani głośniejsze, ani cichsze.

Skończył jeść, spojrzał w prawo — nie było Jeremiego.

Znowu! Znowu nic nie pamięta! Czemu nie wie, jak się nazywa, czemu niczego nie pamięta, czemu się nie dziwi temu zawieszeniu w czasie.

Oddychał gwałtownie, a pamięć stopniowo wracała, jakby światło docierało do coraz głębszych pokładów. Trwało to dłużej niż poprzednio. Czyli proces postępuje.

Marysia...

Zostawił jedzenie i odszedł szybkim krokiem. Ile tu jest ludzi? Średnia długość życia w tych warunkach musi być krótsza niż na Górze. Dwadzieścia lat? Nie więcej niż dwadzieścia pięć. To znaczy, że populacja Między poziomów nie przekracza kilkudziesięciu tysięcy. W najgorszym razie niewiele ponad sto. Spotkanie człowieka na tak ogromnym obszarze powinno być rzadkością. A jest inaczej. Zatem gdzieś dalej są rejony zupełnie bezludne.

— Cześć — rzuciła dziewczyna idąca z przeciwka.

Zatrzymał się i spróbował sobie przypomnieć, czyją zna. Krótkie, czarne włosy, szczupła dwudziestolatka.

Tryby w głowie zaskoczyły. Dziewczyna w firance.

— Cześć. — Też się uśmiechnął.

Teraz, zamiast firanki, miała na sobie zwykły kombinezon. Nawet ten workowaty

strój dobrze na niej leżał.

— Też wracasz z pracy? — zapytał.

Zawróciła i szła teraz obok niego.

— Nie muszę pracować w fabryce.

— Słyszałem, że wszyscy muszą.

— Ten napój z pomarańczowej puszką tłumi Zew. Kiedyś pracowałam. Wolf przeznaczył mnie do innych rzeczy.

— Jesteś bardzo atrakcyjna, pewnie dlatego. Zaraz... — Harpad zastanowił się.

— Nazwałaś go Wolfem?

— Wszyscy go tak nazywają. Mam teraz lepsze życie. Jeżeli pracujesz dla niego, nie chodzisz do fabryki. To tutaj.

— Zatrzymała się. — Zaczekam, obiecuję.

— Wyszczrzyła białe, zdrowe ząbki.

— Teraz musisz z nim porozmawiać.

Z kim?, chciał zapytać, ale przecież wiedział. Odwrócił głowę. Dwóch łysych z założonymi rękoma czekało przy wejściu.

Teraz zorientował się, że stoją już przy Twierdzy.

— Sam potrafię korzystać ze schodów — rzucił w ich stronę.

Łysi byli jednak innego zdania. Zostali nauczeni, żeby niczego nie pozostawiać przypadkowi.

* * *

— Już wiesz, skąd się bierze kawa.

— Wolf ćmił nieodłączne cygaro. — Wiesz, skąd się bierze wszystko, co znalazłeś na Górze.

Harpad spuścił wzrok, tylko na moment, dla zebrania odwagi.

— Czy muszę pracować w fabryce?

— zapytał.

— Przez kilka dni, góra dwa tygodnie.

Wszyscy nowi muszą się nasycić.

— Czym?

Wolf zapadł głębiej w fotel.

— NanoB wypiera nanoID. To ono cię prowadzi do fabryki, do stanowiska pracy. Ono wyłącza świadomość. Jeśli masz we krwi dużo nanoID, Zew jest zakłócony. Potrzebuję ludzi wypełnionych nanoB, które będzie pracowało dla mnie. A ty będziesz moim koderem.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— Nie musisz rozumieć, żeby to robić.

NanoB daje się kodować, przeprogramowywać. Umiesz to.

— Nie.

— Umiesz. Wiem, co ludzie potrafią.

Wiem też, co zamierzają. Ty szukasz córki.

Harpad stężał. Jeremi, ty szczurze!

Wczorajsza chwila słabości wobec tego gnoma, który udawał kumpla, mogła zniweczyć cały jego plan!

— Trafiła tu zaledwie pół godziny przede mną. — Zamierzał ukryć przynajmniej resztę prawdy. — To naturalne, że chcę ją odnaleźć.

— Życia ci nie starczy.

— Mogę to robić w wolnym czasie.

Wolf wolno pokręcił głową.

Harpad zebrał się na odwagę. Może nie był wszechmocny, jak mu się wydawało jeszcze dwa dni temu, ale z pewnością jest potrzebny. I to bardzo. Inaczej Wolf by z nim nie gadał osobiście. To ta sama zasada, co na Górze.

— Eliminacja zabiera rocznie nie więcej niż piętnaście tysięcy ludzi — powiedział nuzzler. — Tu jest sto, góra sto pięćdziesiąt tysięcy. W kilka dni sprawdzę wszystkich. Nie wiem, jakie są pana oczekiwania wobec mnie, ale to nie będzie kolidowało, obiecuję. Będę jej szukał w wolnym czasie.

— Oczekujesz, że pomogę ci ją znaleźć? Zapewnię jej lepsze życie?

W tym burdelu po drugiej stronie pomostu? Harpad nie zapytał o to, wolał milczeć. Wolf odpowiedział sam: — Nie pomogę ci znaleźć córki. Jeśli wierzysz w jakiegoś boga, to się do niego módl, by los okazał się dla niej łaskawy.

Módl się, by tam, gdzie trafiła, było tak jak tu. Tyle tylko możesz.

— Jak to... tak jak tu? — Harpad patrzył na niego bezradnie.

— Poświęcę chwilę, by ci wytłumaczyć, dlaczego nigdy nie odnajdziesz córki.

Potem nie będziemy już do tego wracać.

Międzypoziomie jest podzielone na strefy.

W jednej z nich teraz jesteś i spędzisz w niej resztę życia. Potem albo umrzesz, albo dołączysz do postarców i też umrzesz, tyle że w wielkim cierpieniu.

Rechot łysych z tyłu. Skąd wiedzą, kiedy mają się śmiać?

Zatem Wolf nie tylko nie pomoże mu odnaleźć Marysi. On to uniemożliwi. Harpad jest mu potrzebny, a znalezienie córki oznacza jego powrót na Górę. Reszty łatwo się domyślić.

— Jeśli pójdziesz zbyt daleko na północ lub na południe, trafisz na barykadę — kontynuował Wolf. — Jeśli spróbujesz ją przekroczyć, zostaniesz zabity. Za barykadą jest inna strefa, do której nie przynależysz. Tu rządzą ja, tam kto inny. Trafiłeś do mnie i u mnie zostaniesz.

Wydmuchnął kłęb dymu i spojrzał na nuzzlera w sposób, który mógłby sugerować rozbawienie. Mógłby, gdyby Wolf miał poczucie humoru.

— Ludzie po Eliminacji nie przestają się rozmnażać — dodał, wkładając cygaro do ust.

Sens tego zdania docierał do Harpada powoli. Gdy wreszcie zrozumiał, co to oznacza, aż się skulił.

— Tak wygląda całe Międzypoziomie.

— Wolf odwrócił się z fotelem w stronę tarasu. — Cały obwód Pierścienia Warszawa. Ludzie z Góry to rzadkość, ułamek ułamka populacji, ciekawostka. Większość się tu urodziła, tu spędzi swoje życie i tu umrze. Ile nas tu mieszka, nie wiadomo.

Różni różnie to liczyli i wyszły im różne wyniki. Wszystkie pokazują od trzystu do czterystu milionów.

III

Lewa ręka odgina osłonę, prawa ciągnie linkę i nakłada ją na zaczep przy kierownicy. *Klik*, zrobione. Lewa ręka odgina osłonę, prawa ciągnie linkę i nakładają na zaczep przy kierownicy. *Klik*, zrobione.

Lewa ręka odgina...

Hulajnogi. Różowe hulajnogi dla małych dziewczynek. Kiedyś taką miała.

Dostała od taty. W dobrych czasach, kiedy nad głową nie panoszył się mrok, a wokół, zamiast dudnienia, brzmiała cisza. Kiedy nie było Zewu. Nie przyzwyczała się do tego i nigdy już się nie przyzwyczała. Ani do wiecznej nocy, ani do basowych pomruków niewiadomego pochodzenia. Ani do tych wszystkich ludzi, którzy mogą ją skrzywdzić. W fabryce było jeszcze głośniejsze, a każdego dnia rozbrzmiewał inny hałas.

Bo i trafiała codziennie do innej fabryki.

Ile to już czasu? Dwa tygodnie? Trzy?

Jak liczyć, skoro wieczna noc psuje rachubę?

Powiedziano jej, że nie wyjdzie z nocnego bazaru, bo to nie jest nocny bazar. Na początku nie wierzyła. Czekala na jas. Czekala, a czas włókł się niemiłosiernie.

W końcu zrozumiała, że to nie czas się wlecze, lecz dzień nie nadchodzi. I nie nadejdzie. Pogodziła się z tym. Nie całkiem, bo wrogiem mógł się okazać każdy, a zacienione miejsca wciąż pozostawały tajemnicą. Pogodziła się wystarczająco, żeby zrobić cokolwiek poza kuleniem się w kącie.

Została eliminowana, a tu trafiają wszyscy eliminowani. Wiedziała wcześniej, czym jest Eliminacja. Tu trafiają bandyci, złodzieje i mordercy — ludzie tak bardzo źli, że nawet więzienie im nie pomoże. Co tu więc robiła ona sama? Ktoś ją pomylił ze złodziejem? Nigdy niczego nie ukradła. No, raz zabrała koleżance kredkę w kolorze, którego nie miała. Ale za to nie idzie się do Eliminacji! A kredka i tak była do połowy wypisana.

Co ze szkołą? O to nie pytała. Domy ślała się, że szkoły tu nie będzie. Najpierw się

ucieszyła, a potem... a potem przyszedł Zew. Gorszy od szkoły, znacznie gorszy.

Powtarzanie tych samych czynności, bez przerwy, przez całe godziny.

Koniec pracy. Skądś to wiedziała, choć nie było dzwonka, jak w szkole. Odeszła od taśmy. Do hali wchodzili nowi i zajmowali miejsca tych, którzy skończyli. Na jej miejscu stanęła nieco starsza od niej dziewczyna.

Marysia chciała zapytać, skąd tamta wie, co ma robić. Nie zapytała oczywiście, tylko obserwowała. Dziewczyna patrzyła przed siebie. Lewa ręka odginała osłonę, prawą ciągnęła linkę i nakładała ją na zaczep przy kierownicy. *Klik*, zrobione. Nie trzeba nawet patrzeć, to można robić po omacku.

Może Marysię też ktoś pytał, a ona nie odpowiadała? Nie, pamiętała wszystko od początku. Pamiętała każdą hulajnogę, którą zrobiła.

Wyszła z fabryki wprost na pomost kilkanaście metrów nad poziomem pasażu.

Dalej pokonała większą część drogi schodami i kolejnymi pomostami, potem zeszła na ziemię. Była głodna, ale nie chciała brać tej paskudnej papy z kompa. Pod kombinezonem ukryła dwie linki hamulcowe od różowych hulajnóg. Jedną wymieni na obiad dla siebie, drugą zanieś do domu.

Do jej nowego domu.

Nie, poprawiła się, po prostu do domu.

Innego nie ma, bo tego starego już nie ma, istniał tylko we wspomnieniach.

Niewiele pamiętała z tamtych czasów.

Skrawki. Wielki pluszowy miś, różowa hulajnoga, wycieczka do zoo, wypadek na Wisłostradzie. Powinna pamiętać więcej, bo kiedy się ma dziewięć lat, nie zapomina się aż tak szybko. Ale zapominała. Coś tutaj sprawiało, że błękitne niebo pamiętała tak, jak się pamięta miły sen. Mgliście.

Zapominała.

* * *

Wujek siedział po prawej, na krześle zrobionym ze skrzynek po piwie i kawałka laminatu. Gdy położyła na stole linkę hamulcową, zamknął oczy i dotknął czoła.

— Skąd to masz, dziecko?

— Podfanciłam z fabryki.

— Nie możesz wynosić fantów z fabryki.

— Nikt nie pilnuje.

— Posłuchaj. — Nachylił się i dla podkreślenia wagi słów chwycił jej dłoń.

— To niebezpieczne. Są wyznaczeni ludzie, którzy mogą wynosić fanty. Oni zanoszą je do specjalnych miejsc. Dla wszystkich innych wynoszenie fantów jest śmiertelnie niebezpieczne.

— Nie płacą mi. — Wzruszyła ramionami.

— Zapłata jest powietrze, którym oddychasz; jedzenie, które spożywasz; woda, którą gasisz pragnienie. To rzeczy niezwykle. A fanty zbierają zwykli ludzie.

Tacy, którzy mogą ci zrobić krzywdę.

Wujek był dziwny i dziwnie mówił.

Elizę odwiedzało więcej wujków, ale tylko z nim nie zamykała się za metalowymi drzwiami.

— Chodzi o to, kochanie — Eliza pogładziła ją po głowie — że są ludzie, którzy mają specjalne pozwolenie na zabieranie fantów. Nie spodoba im się, jeśli zauważą, że ktoś to robi bez pozwolenia.

— Potem oddają je dla wspólnego dobra — dodał Wujek.

— Czemu nie wezmą wszystkiego?

— zapytała ostrożnie Marysia.

Wujek pokręcił głową.

— Dziecko, tak nie można. Bierzymy tylko odrobinę. Tyle, ile niezbędne. Przeznaczenie tych przedmiotów jest gdzie indziej.

— Nawet wiem gdzie. Niedawno z tego korzystałam. — Eliza głową wskazała w górę. — Nie zastanawiałam się, skąd to się bierze.

Dotknęła swoich włosów i przyjrzała im się krytycznie.

— Brakuje mi szamponu — stwierdziła. — Brakuje mi wszystkich tych rzeczy.

— Widziałam szampon na straganie — wtrąciła Marysia. — W białej butelce.

— Rozcieńczony wodą, a kosztuje tyle, że trzeba na niego pracować cały cykl.

— Wymienię za coś — rzuciła Marysia. Dziś wymieniła linkę na paczkę ciastek, z których połowę zjadła po drodze.

Zastanawiała się, co zrobić z drugą połową.

Eliza tylko pokręciła głową.

— Już nigdzie nie wychodź — poprosiła.

Marysia i tak nie miałyby na to siły.

Położyła na stole resztę ciastek i poszła do siebie, to znaczy do wnęki. Wnęka zastępowała jej pokój, a kilka szmat — łóżko. Miała też małą półkę, na której trzymała wszystkie skarby znalezione lub podfancone z fabryk. Najważniejszy był kudłaty miśbreloczek. Urządziła sobie ten kącik, jak potrafiła.

Cały dom wyglądał podobnie. Wci śnięta między dwa filary klitka, do której wchodziło się z bocznego korytarza. Nawet nie filary — to, co nazywała budynkami, tak naprawdę było rusztowaniem. Stała na nim cała Warszawa. Ich dom był jak wszystkie: ktoś go kiedyś zrobił z odpadków i umarł, potem kto inny go naprawił i też umarł, albo się wyprowadził. Eliza trafiła tutaj niedługo przed Marysią. Spała na legowisku, za drzwiami z kawałka blachy. Zamykała te drzwi tylko wtedy, gdy przychodził wujek, ale nie ten. TEN Wujek przychodził rozmawiać. Może był za stary na co innego, a może nie chciał. Czasem coś przyniósł, czasem coś naprawił, raz zamocował półkę na skarby we wnęce Marysi.

Eliza nie pracowała. I Marysia wiedziała dlaczego — Eliza nie czuła Zewu.

Wujek powiedział, że to z powodu ciąży.

Tylko skąd ten cały Zew miałby wiedzieć o ciąży, skoro sama Eliza o niej nie wiedziała? To znaczy teraz już wiedziała, bo Wujek jej powiedział.

Starali się mówić szeptem, ale i tak ich słyszała. Nie mogli ich zagłuszyć nawet ludzie przechodzący pomostem tuż obok.

Widziała sylwetki w szczelinach ścian; potrafiła odróżnić tych, którzy szli w Zewie, tych zmęczonych po pracy, no i pozostałych, idących tak po prostu przed siebie.

— Nie da się wrócić. — Wujek mówił szeptem. — Każdy, kto tu trafi z Góiy, myśli o tym przez jakiś czas. To obsesja, która w końcu przechodzi. Im szybciej, tym lepiej. Usłyszałaś gdzieś o tym kulcie Przewodnika? To bzdury!

Eliza ukryła twarz w dłoniach. Blond włosy w nieładzie opadły jej na ramiona.

— Zasłużyłam sobie. Wiem, że tak.

— To też nie pomaga. Pomyśl o tym jak o nowym życiu. Ma swoje minusy, ma też plusy.

— Plusy? To tu są jakieś plusy?

— Nie chorujesz. To chyba jest plus?

Nie tyjesz ponad miarę, nie chudniesz ponad miarę. Pełna opieka zdrowotna.

— Hodowla chyba.

— Nazywaj, jak chcesz. To twoje nowe życie. Nie zmienisz go, ale możesz uczynić lepszym.

— Na początek szampon uczyniłby je lepszym. — Eliza odgarnęła włosy. — Jedzenie też jest paskudne. Nie przyzwyczaję się.

— Papa zawiera wszystko, czego potrzebuje organizm.

— Widzisz? Mówiłam, hodowla.

Wujek westchnął i wstał.

— Pogadaj z małą, żeby nie zabierała fantów. — Otworzył drzwi. — To się źle skończy.

* * *

Obserwowała swoje dłonie, wykonujące nieznaną jej czynności. Informacje płynęły przez jej głowę i sterowały nią. Nie wiedziała, skąd się tam brały. Mogła im przeszkodzić, gdyby chciała. Przeszkadzała im nawet niechcący, jeśli próbowała się skupić na tych czynnościach. To się działo samo, to jakby z nudów, mimowolne obracać w palcach długopis. Wychodziło, póki było mimowolne. Gdy się o tym pomyślało, obracanie gubiło rytm, długopis spadał.

Gdy się o tym pomyślało, mimowolne obracanie długopisu traciło sens.

Zgubiła rytm, więc zamknęła oczy i pomyślała o Warszawie. Błękitne niebo, wiatr, zielona trawa. Wydobicie czegoś więcej z otchłani pamięci sprawiało jej trudność. To jak rozwiązywanie trudnego zadania z matematyki. Umysł walczył, by zająć się czymś innym, przyjemniejszym.

Gdy otworzyła oczy, ręce bezbłędnie nakładały zatyczki i nakręcały nakrętki na pojemniki z kremem.

Chyba nikt nie zauważy, jeśli na koniec cyklu zabraknie jednego pojemnika?

Wymieni go potem na szampon.

Czas włókł się niemiłosiernie, aż wreszcie nadszedł koniec. Coś odpuściło, poluzowało niematerialny chwyt, jak ulga po zdjęciu za ciasnych butów. Marysia odeszła od taśmy, ale nie wyszła z hali. Jej miejsce zajęła dziewczyna w jej wieku, cała umorusana, z włosami w nieładzie.

— Przepraszam. — Marysia podeszła do niej. — Skąd wiesz, co robić?

Tamta nie odpowiedziała, robiła swoje.

Marysia nigdy tak się nie zachowywała podczas Zewu. Chociaż nikt nigdy jej o nic nie pytał. A może pytał, tylko tego nie zauważała? Nie, raczej nie. Nawet teraz tylko ona stała z boku i obserwowała, jak wszyscy, bez wyjątku, zachowują się jak roboty. Ci, którzy skończyli pracę, wychodzili wolnym, mechanicznym krokiem.

Zmiana była płynna i trwała kilka minut.

Kolejni zajmowali miejsca poprzednich, tak by nie zatrzymywać procesu.

Jedna z kobiet wzięła opakowanie kremu i wcale się z tym nie kryła, zrobiła to automatycznie, z nieobecny spojrzeniem.

Nikt nie zwrócił na to uwagi.

Gdy wymienili się wszyscy, Marysia wreszcie wyszła. Krem pod kombinezonem trochę ją uwierał.

— Nie, nie możesz tam iść. Nie możesz. Międzypoziomie jest podzielone na strefy. Jeśli raz weszłaś do strefy, już jej nie zmienisz. Przesiąkasz nią.

— Ale dlaczego? Tu nie ma chipów ID, nie ma kontroli.

— Przesiąkasz kodem. W innej strefie od razu cię rozpoznają.

— Jakim kodem?

— Tu panuje porządek, bardzo ścisły porządek. Nie widać go, bo wszystko dzieje się w głowie. O tym się nie mówi, ale tak jest. Ty też lepiej o tym nie mów.

— Nawet nie wiem, o czym mam nie mówić. Jaki kod?

— Kod, który każe ci coś robić, a zabrania robić co innego. To dzieje się w głowie.

— Mówisz o kulturze? O zwyczajach i normach społecznych?

— Możesz tak to nazywać. Dawno temu byłoby to prawdą. Wiesz, jak żyją mrówki? W jednej kolonii jest ich wiele tysięcy. Rozróżniają się po zapachu. Jeśli mrówka znajdzie się w innej kolonii, zostanie rozpoznana i zabita.

— Nie jesteśmy mrówkami.

— Tutaj tak to wygląda.

— Hodowla.

— Nazwy nie są ważne. Ważne jest, co za nimi stoi. Nie możesz opuścić tej strefy ani Międzypoziomia. Z żadnej strefy nie ma wyjścia na Górę. Mała śpi?

— Śpi. Chyba. Jest kochana, dziś przyniosła mi szampon.

— To się źle skończy.

* * *

Już nie tęskniła. Ani za mamą, ani za niebem.

Zew w jej przypadku był słaby, o wiele słabszy niż u innych. To wiedziała na pewno, bo nie wyłączał jej świadomości.

Był prośbą, nie rozkazem.

Stała przy taśmie i składała coś, czego przeznaczenia nawet nie знаła. Trzy różne elementy musiała wetknąć w siebie, używając sporej siły. Bolały ją palce, a nie minęła nawet połowa czasu pracy.

I wtedy doznała olśnienia. Czemu tak po prostu nie odejść? Czemu nie wyjść z fabryki? Nikt przecież nie pilnuje. Opu ściła dłonie. Taśma z niezłożonymi przedmiotami przejeżdżała dalej. Mężczyzna, który stał po jej lewej stronie, wkręcał w przedmioty kolejny element. Gdy sięgnął po pierwszy niezmontowany przedmiot, zatrzymał się. A wraz z nim stanęła cała taśma. Spojrzał na Marysię, a ona poczuła zimny dreszcz. Przez jego oczy patrzyło coś obcego.

Niewiele brakowało, a wróciłaby do pracy. Jednak w tym momencie do fabryki wbiegła dziewczynka, może sześciolatka, i z marszu przystąpiła do pracy. Taśma ruszyła.

— Hej, ty! — zawołała Marysia i podeszła do niej. — Skąd wiesz, co robić?

Przytrzymała jej dłoń. Tamta znieruchomiała, po czym wyrwała dłoń i powróciła do pracy. Przez moment na jej twarzy rysował się grymas bólu.

Marysia wołała dalej nie ryzykować.

Wyszła z fabryki.

Wiedziała, że już nigdy więcej nie będzie musiała pracować.

* * *

Już było widać zaokrąglony brzuch, czyli Wujek miał rację. Rzadziej ostatnio przychodził. Zamiast niego coraz częściej pojawiał się Reweda, ale już nie zamykali się za metalowymi drzwiami. Rozmawiali przyciszonymi głosami. Myśleli, że Marysia śpi. Zwykle nie spała, słuchała.

Nie lubiła go i nawet nie potrafiła powiedzieć dlaczego. Może dlatego, że przychodził zamiast Wujka? Przynosił jej słodycze, przynosił też inne rzeczy dla Elizy,

a mimo to wydawał się niesympatyczny.

Ale to nie było jego dziecko. Marysia wiedziała na temat dzieci dostatecznie dużo. Eliza była w ciąży, już kiedy trafiła do Międzyzwozia. A to znaczyło, że ojciec został na górze i nawet się nie dowie, że jest ojcem.

— Masz obsesję na punkcie tej swojej pokuty. — Reweda wstał. Zwykle wstawał, kiedy zamierzał dłużej mówić. — Hiperrewencja nie została zaprojektowana jako system sprawiedliwy, miała być po prostu skuteczna. Jak sąd wojskowy. Skazuje pięćdziesięciu podejrzanych, żeby przypadkiem jeden winny się nie wymknął. Myślisz, że znasz zasady naliczania punktów PZ?

Doszłaś do wniosku, że skoro cię eliminowali, to sobie zasłużyłaś? Nie, to tak nie działa.

— Usiądź, mała śpi — poprosiła cicho Eliza. — Zrobiłam wiele złego w życiu — dodała szeptem, gdy usiadł. — Nikogo nie zabiłam, nikogo bezpośrednio nie okradłam. Ale to nie jest ważne. Moje życie przez ostatnie lata było kłamstwem. Zdradzałam każdego, kogo mogłam.

Reweda wziął ją za rękę.

— W poprzednim życiu byłem adwokatem. To zawód z bardzo niskim zagrożeniem Eliminacją, jednym z najniższych.

Adwokaci przestrzegają prawa, na tym przecież polega ich zawód. Eliminacja nie powinna po nich sięgać. A jednak tu jestem. Nie wydarzyło się nic szczególnego, poza tym że zacząłem pracować dla człowieka oddanego Sprawie.

— Sprawie? Cóż to takiego?

— Postawili sobie za cel ograniczenie kiperrewencji. Możesz ich nazwać ruchem oporu, podziemiem, jak chcesz. I teraz jestem w dosłownym podziemiu tylko dlatego, że im pomagałem. I ty również znalazłaś się tu z tego powodu. Byłaś asystentką Kruszewskiego, a on niemal otwarcie krytykował hiperrewencję. To jedyny powód, dla którego uległaś Eliminacji. Zastanawia łaś się — ściszył głos jeszcze bardziej — dlaczego ona się tu znalazła?

Milczenie się przeciągało. Zza ściany dobiegał odgłos kroków. One nigdy nie cichły.

— Ty też masz obsesję — szepnęła Eliza. — Obsesję na punkcie Eliminacji.

Już nie rozmawiajmy, mała śpi.

Marysia wiele wysiłku wkładała w to, żeby się nie poruszyć.



Minęło kilkanaście dni. Kilkanaście cykli, tak to się tutaj nazywało. Kilkanaście razy czuła Zew. Słaby jak chęć pójścia po cukierka do szafki; na tyle słaby, że potrafiła się powstrzymać. To nie było przyjemne, ale i tak lepsze niż perspektywa pracy przez ileś godzin przy taśmie.

Aż kiedyś, kiedy się nudziła, podążyła za Zewem. Przez zwykłą ciekawość. Popracowała chwilę i wyszła z fantem. Jej miejsce zajął kto inny. Miała fant, nie musząc pracować. Mogła go wymienić na cokolwiek o podobnej wartości. Zajął jej zaledwie kilka cykli, by się zorientować, co ile jest warte. Kosmetyki, kawa, papierosy, no i alkohol — były najdroższe. I tym łatwiej się ich pozbywała, skoro nie przedstawiały dla niej żadnej wartości.

Nauczyła się też przemieszczać po Miedzypoziomiu, tak, żeby unikać kłopotów. Kluczem do sukcesu było niewyróżnianie się. Jeśli udawało się kogoś, kogo prowadzi Zew, nikt cię nie ruszał. Prowadzeni Zewem byli jak maszyny nastawione na jeden cel, na dostanie się do miejsca przeznaczenia. Próba zatrzymania ich zaczynała się od przepychanki, a kończyła na walce o życie. Zew uzyskiwał, jak to mówił Wujek, najwyższy priorytet. To oznaczało, że powstrzymywanie takiego człowieka nie ma żadnego sensu. Więc kiedy się kogoś takiego udawało, miało się spokój. W praktyce sprowadzało się to do wpatrywania się w ziemię i sprawiania wrażeń nieobecnych. Największe zakapiory obchodziły cię tukiem, jeśli nie widziały w tobie łakomego kąska.

Ale było coś więcej. Zwykli ludzie pilnowali tu porządku i nie pozwalali robić rzeczy... niedobrych. Niedobrych w rozumieniu Marysi. Drobne kradzieże praktycznie się nie zdarzały. Widziała raz nowego, takiego co dopiero przybył z Góry. Próbował zwędzić herbatniki ze straganu; był głodny. Od razu znalazło się przy nim osiem, może dziesięć osób. Poszturchali go, tak, żeby zapamiętał, zabrali mu herbatniki i zaprowadzili do kompa. Wyglądali przy tym jak w Zewie, jakby coś ich prowadziło.

Gdy skończyli, odzyskali władzę nad swoimi ciałami.

Początkowo myślała, że od łysych karków lepiej się trzymać z daleka. A potem odkryła, że głównie oni utrzymują tutaj porządek. To przed nimi uciekali ci, których wolała unikać.

Aż przekonała się, co oznacza utrzymywanie porządku.

Słabiutki Zew po raz drugi powiódł ją do tej samej fabryki. To się nie przydarzyło nigdy wcześniej, ale nie żałowała. Fabryka czekolady, jej ulubiona. Doprowadził ją do stanowiska pakowania. Dwadzieścia tabliczek czekolady lądowało w tekturowym pudełku, które trzeba zakleić — informacja sama, nieproszona, pojawiła jej się w głowie. Zakleiła kilkanaście pudełek, myśląc o tym, czy komukolwiek zaszkodzi, jeśli w kolejnym znajdzie się tylko dziewiętnaście tabliczek. A w sumie... czemu nie zafancić całego pudełka?

Nie udało się go ukryć pod kombinezonem. Wyniosła je w rękę, tak po prostu.

Nie najlepszy pomysł.

Zobaczyła go, kiedy był już blisko — góra mięśni pędząca naprzeciw. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że chodzi o nią. Pobiegła w bok, odruchowo szukając jak najwęższych przejść. Jednak łysy wszędzie się mieścił. Więc to miał na myśli Wujek!

Tabliczki wypadały z pudełka, znacząc czekoladą ślad jej ucieczki. Wpadała na pomysł, by je wyrzucić. Ale dystans wciąż malał. Oglądała się za siebie, ale przestała, gdy napotkała jego spojrzenie. Patrzył jak prowadzony Zewem, a ona była jego celem. Więc już tylko biegła, przewracając za sobą wszystko, co napotkała na drodze.

Słyszała krzyki straganiarzy i tych, którzy nie zdołali uskoczyć przed łysym. Wpadał na ludzi, odpychając ich na boki, jak rozpędzona ciężarówka. Na szczęście, to go spowalniało.

Przed oczyma przewijało się wstecz życie, a raczej te skrawki, które pamiętała.

Z Warszawy pozostała jej już tylko twarz mamy i błękit nieba. Resztę wspomnień wypełniało Międzypoziomie. Nie miała wątpliwości, że jeśli łysy ją złapie, to będzie koniec. Koniec wszystkiego. Wiedziała, jak wyglądają sprawy — tutaj nikt nie dostaje drugiej szansy. Ale... za czekoladki? Nie, nie tylko za czekoladki! Za wszystko, co zafanciała wcześniej. Wujek miał rację.

Brakowało jej tchu. Skręciła w kolejne przejście, wywróciła za sobą stolik z czymś, nawet nie zauważyła z czym.

Łysy biegł kilka metrów za nią. Dyszał, tracił czas i energię na zakrętach. Skręcała więc, kiedy tylko się dało. Ale kiedy wypadła na szeroki pasaż, każdy kolejny skręt na otwartej przestrzeni tylko zmniejszał dystans. Serce czuła gdzieś w przełyku.

Biegła, jakby walczyła o życie, i zapewne tak właśnie było. A miała doświadczenie w bieganiu; robiła to przecież codziennie, zwykły spacer to przecież strata czasu.

Paluchy zsunęły się po jej plecach.

Przyspieszyła jeszcze, ale już pojawiły się mroczki przed oczyma. Dźwięki stały się przytłumione, kąt widzenia się zawężił, nogi miękły. Nie miała już siły dalej uciekać. Było jej już wszystko jedno. Byle już nie biec dalej. Upadła.

Nie miała siły wstać. Nie miała siły na nic. To był koniec.

— Ja już nie będę...

Łysy zatrzymał się kilka kroków od niej. Oddychał ciężko, oczy miał przekrwione, twarz czerwoną z wysiłku.

Zamiast złapać uciekinierkę, upadł na kolana i zwałił się ciężko na ziemię. Bezwładnie. Marysia uniosła się na łokciach.

Pot płynął jej po czole. Łysy leżał kilka kroków od niej. Sklepiarze wyszli z kubkami, miskami i zaczęli go polewać wodą.

Mieli ten sam nieobecny, zewi wzrok.

Woda parowała z przegrzanej góry mięśni.

— Przyjdą po ciebie.

Marysia otworzyła oczy. Obok jej wnętrza siedział Wujek. Byli sami.

— Przyjdą po ciebie — powtórzył.

— Jeśli nie dziś, to jutro. Będą cię szukać, aż znajdą.

Rozbudziła się i uniosła na łokciach.

Zamierzała zignorować Zew i przesiedzieć cały dzień w domu. Przecież łysi mogli jej szukać.

— Kto? — zapytała automatycznie, choć znała odpowiedź.

Łysi nie mieli oficjalnej nazwy, choć byli stałym widokiem w Międzypoziomiu.

Nie przypominała sobie, by ktokolwiek o nich rozmawiał, nazywał ich.

— Znasz takie przysłowie: „Najciemniej pod latarnią”? — mówił Wujek. — Jeśli sama do nich pójdziesz, nic ci nie zrobią.

— Posiedzę kilka cykli w domu. Zapomną.

— Nie zapomną. Wierz mi, to jedyne wyjście, żeby uniknąć kary. — Pogładził ją po włosach. — Poprawią ci kilka rzeczy w główce i wszystko się ułoży.

Marysia niechętnie usiadła na materacu i zwiesiła nogi. Po wczorajszym biegu bolały ją łydki.

— Po co? — zapytała.

— Zgłosisz się na ochotnika. To jedyny sposób.

* * *

Wujek przyprowadził ją tu, ale nie chciał z nią wejść. Może nie był pewien, czyjego plan się powiezie. Gdy przyszło jej to do głowy, było już za późno na odwrót. Siedziała wraz z innymi na podłodze, pod ścianą, za którą odbywało się coś, czego nie rozumiała. Kolejne osoby wchodziły w odstępach minutowych przez jedne z kilku drzwi. Nie dostrzegła żadnych innych dzieci.

Łysych było tu więcej niż gdziekolwiek indziej. Kilku stało przy wejściu do Twierdzy, na schodach prowadzących na trzecie piętro i w korytarzach naliczyła ich z piętnastu. Dwóch pilnowało schodów, którymi weszła. Nawet nie zamierzała próbować, czy przepuszczą ją z powrotem. Teraz jedynym sposobem, by się stąd wydostać, było przejście przez jedno z pomieszczeń za ścianą.

Nie, Wujek nie przyprowadziłby jej tu, gdyby podejrzewał, że stanie jej się krzywda. Nikt nie wywoływał kolejnych osób.

Ten, kto miał wejść, po prostu to wiedział.

Gdy przyszła jej kolej, też poczuła, że to już. Podeszła do trzecich z kolei drzwi. To była sugestia, informacja, muśnięcie Zewu.

Nacisnęła klamkę i bez słowa weszła.

W niewielkim pomieszczeniu stało tylko jedno krzesło, a ściany wygłuszono, by zapewnić spokój. Wszystko, łącznie z podłogą i sufitem, obito miękkimi wykładzinami. Nawet drzwi. Marysia aż westchnęła z wrażenia. Znalazła się w najcichszym miejscu, odkąd przybyła do Między — poziomia.

Mężczyzna w średnim wieku patrzył na Maiysię badawczo.

— Pierwszy raz. — Jednak się odezwał.

Wskazał jej krzesło, choć nie było to konieczne, sama przecież wiedziała, co ma robić. Usiadła, a on zbliżył dłonie do jej głowy. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła cyfry. Nie, właściwsze byłoby stwierdzenie, że je poczuła. Zamknęła oczy. Ciągi cyfr przepływające od dłoni kodera do jej głowy. Nie wiedziała, po co trzymał tak dłonie, to nie miało żadnego znaczenia.

Coś w jej wnętrzu buntowało się przeciw cyfrom, choć rozumiała je, wiedziała, czemu służą. Miały sprawić, by brała z fabryki fanty i zanosila je we właściwe miejsce.

Nic z tego! Przecież ma własne cyfry, nie chce tych obcych! Zebrała je wszystkie i cisnęła w nicość. Wtedy nastąpił wstrząs. Nie materialny, choć tak go odczuła. Zerwała się z krzesła. Oszołomiony koder wstawał z podłogi. Chwilę trwało, nim doszedł do siebie. Spojrzał na Marysię z zaskoczeniem, z przestraciem.

Zerwała się, otworzyła drzwi po przeciwnej stronie pomieszczenia i wybiegła.

IV

Ten, kto to wszystko zakończy, przybył tu już i to nie dziś. Przebywał tu zdecydowanie za długo, jego tożsamość wciąż jednak pozostawała tajemnicą. Czasem jego trop wydawał się wyraźny, czasem znikał zupełnie na długo. Niezidentyfikowane zagrożenie, ładunek wybuchowy, który może eksplodować w każdej chwili. Krył się we mgle zalegającej wnętrzość. Mógł być tuż tuż, niewidzialny. Kilka razy prawie udało się go schwytać. Prawie.

Wszystko ma swój początek i swój koniec. Ale to nie znaczy, że nie należy próbować odsuwać końca, jak daleko się da.

Wolf zgasił cygaro.

* * *

Stroboskopy w posuwistych, szarpanych ruchach maszyny ukazywały drżące półprofile Mikołaja Kopernika. Maszyna produkowała pieniądze, papierowe banknoty. Arkusze przejeżdżały przez kolejne obracające się, przesuujące i drgające moduły. Po minięciu każdego astronom coraz bardziej przypominał siebie. Arkusze zbierały się w stos, na który co chwila z hukiem opadała sztanca. Aż ziemia drżała.

Harpad czekał, aż stos uzyska odpowiednią grubość, i naciskał przycisk zwalniający sztancę. *Łupi* Równiutkie jasne cegielki spadały do wielkiej podłużnej kadzi z mętną wodą. Tam rozpadały się na pojedyncze banknoty i burzliwym nurtem płynęły do obrotowych sit. Dalej za okrągłą szybką wizjera tysiące pogniecionych papierów wirowało w huraganie gorącego powietrza.

Dudniąca linia produkcyjna kończyła się wielkim kontenerem z grubej stali. Tam ludzie nie mieli wstępu. Do wnętrza prowadziła rura, przez którą z szumem wlatywały banknoty. Nie było innych otworów, czyli dalszy proces zachodził poziom niżej albo poziom wyżej.

Dwadzieścia osób i kolejne dwadzieścia stojące za plecami tych pierwszych. Ci

z tyłu stali, tylko stali. Pilnowali? Po co, skoro tutaj są tylko maszyny. Maszyny ze stali i maszyny organiczne, sterowane przez krążące we krwi nanoB.

Pilnujący też byli maszynami.

Harpad wyłączał się, świadomość wolno odpływała. Nie panował już nad swoim ciałem, ale w głowie kotłowały mu się jeszcze myśli. Rekonfiguracja. To słowo najlepiej opisywało proces, który następował w jego ciele od... Od jak dawna? Od tygodnia co najmniej, może od dwóch.

Stracił rachubę. Stopniowo wygasaly znane funkcje nanoID, a w ich miejsce pojawiały się nowe, jeszcze nieznane, bo nienazwane.

Rekonfiguracja wyciszała nanoID, pozwalała je usunąć i zastąpić innym.

A może tylko przeprogramować? Czy w jedzeniu było inne, nowe nanoB? Sowa męczył się od tylu lat, by wyeliminować ze swojej kiwi nanoID, a tymczasem wystarczyło trafić tutaj, by sprawa została załatwiona szybko i sprawnie.

* * *

Z rozkoszą przełknął pierwszy kęs.

Kiedyś w końcu przyzwyczai się do tego metalicznego posmaku i nawet przestanie go zauważać.

Nie, nie chce się przyzwyczajać. Do niczego nie chce się przyzwyczajać! Nie może na to pozwolić! Gdy rekonfiguracja dobiegnie końca, straci łączność z g.A.I.a.

A wraz z nią wszystkie swoje zdolności.

Stanie się po prostu kolejnym eliminowanym, który ugrzęźnie tu na zawsze. Coś trzeba wymyślić. Nasycanie ma trwać dwa tygodnie, może nieco dłużej. Jeszcze jest czas.

Jadł samotnie, choć otoczony ludźmi.

Nie miał tu przyjaciół, nie miał też zbyt wielu znajomych. Właściwie to nie miał ich wcale, chyba że znajomymi można nazwać Wolfa i jego łysych, nieodróżnialnych od siebie żołnierzy. Siedział w Międzypoziomiu za krótko, a ludzi wokół przewijało się za dużo. Zresztą, nie potrzebował tego. Cel jest jeden. Trzeba zrobić mapę i systematycznie przeszukiwać...

— Zmęczony?

Jeremi. Tak, on był znajomym. Na pewno jednak nie przyjacielem.

— Drukowałem banknoty. — Zastanowił się. — A może to było wczoraj?

— To bez znaczenia. Dokończ i chodź.

Jest praca.

Wzrok Harpada powędrował ponad głowę Jeremiego.

— O nie, przyjacielu. — Jeremi pokiwał palcem. — Ja nie potrzebuję żadnych poprawek. Ale inni czekają.

Harpad niechcący strącił miskę z niedojedzoną papą. Chlapnęło na nogawkę. Do jedzenia już dobierał się szcziropies. Harpad odskoczył. Miał trudność z zaakceptowaniem czegokolwiek, co się rusza, a nie jest człowiekiem. Albo maszyną. Sama koncepcja istnienia zwierząt wydawała mu się co najmniej dziwna.

Jeremi szedł wolno, szurał nogami.

Harpadowi zrobiło się go szkoda. Ciekawe, czy gdyby nie on, w ogóle chodziłby kodować? Co zrobiłby Wolf, gdyby koder się nie pojawił? Pracownicy czekają, koder nie przychodzi. Co się wtedy dzieje?

Już szli po schodach, te dywagacje nie miały sensu. Dopóki jest Jeremi, koder przyjdzie.

Mały pokój z wygłuszonymi ścianami, krzesło kodera, na zewnątrz tłumek oczekujących. Przypominało to kolejkę do znachora. Widział kiedyś coś takiego na archiwalnym filmie sprzed Przemiany. Ale tutaj nikt nie chorował. Ludzie byli maszynami binarnymi: albo żyli, albo umierali. Nie było przewlekłych chorób, bo nanoB potrafiło je leczyć. Zdrowe zęby, zdrowa skóra, zdrowe serce, zdrowe wszystko. A jeśli nanoB nie potrafiło człowieka wyleczyć, wyłączało go. Szybko i bezboleśnie. Jedyne choroby, jakie występowały w Międzypoziomiu, to te trawiące umysł.

Jeremi zniknął jak zwykle. Nie miało to znaczenia, Harpad wiedział, co robić. Czy też nie wiedział, ale i tak to robił. Nie musiał nikogo dotykać ani zamykać oczu.

Nie musiał nawet tu przychodzić. Był tu, by rytuał wyglądał poważnie. Ludzie podchodzili, siadali przed nim, a on kładł im dłoń na czole, zamykał oczy i przyglądał się zielonym cyfrom, które krążyły nad ich głowami. Po zamknięciu oczu ludzie znikali, cyfry nie. Może to zamknięcie oczu pomagało? Nie wiedział dokładnie, co robi. Jednak jego działanie było skuteczne. Wpatrywał się w te cyfry, przestawiał je i doskonale wiedział, kiedy nie musi już dalej przestawiać, bo praca jest skończona. Tak jak określił Wolf: „Nie musisz rozumieć, żeby robić”. Powiedział to tydzień, może dwa tygodnie temu.

Harpad był jednym z kilkunastu koderów. Wszyscy pracowali dla Wolfa i stanowili jeden z filarów jego władzy. Cel kodowania był prosty. Na koniec pracy w fabryce każdy kodowany człowiek miał zabrać ze sobą fant — ostatnią rzecz, nad którą pracował. Robił to jeszcze podczas snu, nieświadomie. Puszka napoju, paczka kawy, buty. Cokolwiek to było, trafiało do Wolfa. Drobną zmianą w kodzie, którego żaden koder nie rozumiał. Ale działało, choć w miarę upływu czasu efekt słabł i kodowanie trzeba było powtórzyć.

Kodowani byli ochotnikami, wynagradzanymi za swoje działania. Nie mogli zatrzymywać fantów. Dostawali za nie papierowe pieniądze. Harpad też je dostawał, i to osobiście od Wolfa. Dostał też, jak inni koderzy, pokój w Twierdzy i dostęp do klubu po drugiej stronie pasażu. Tam wydawał papierowe pieniądze.

Tego dnia Wolf był przybity. Brakowało mu energii. Wyglądał, jakby od zmartwień przybyło mu kilka lat. Siedział przygarbiony, a cygaro częściej tliło się na burcie popielniczki niż w jego ustach. W milczeniu wręczył Harpadowi zwitek banknotów i odwrócił się z fotelem w stronę tarasu.

Skąd on bierze pieniądze? Fabryka pieniędzy była chyba jedyną, skąd nie dawało się niczego wynieść. Ciekawość szybko się rozplynęła.

Harpad wyszedł.

Mógł pójść prosto, do swojej kwatery, lub skrócić w prawo, do mostu wiszącego i klubu. Wahał się. Spać mu się nie chciało, towarzystwa nad szklanką też nie pragnął.

Spojrzał w lewo, gdzie otwierała się przed nim trzecia opcja — schody prowadzące do wyjścia z Twierdzy.

Zszedł na sam dół i minął dwóch łysych żołnierzy. Znali go już, nie robili kłopotów. Wolnym krokiem ruszył ruchliwym jak zawsze pasażem i opadło go wrażenie, że to jest jego świat, tu przynależy, jakby spędził w tym miejscu wiele lat.

A może urodził się tu i przeżył całe życie?

Może wieżowce, policjanci, panele dotykowe, samochody, noce i dni, może to wszystko tylko mu się przyśniło?

Usiadł na niskiej ławeczce i wyciągnął z rękawa paczkę papierosów. To było bardzo przyjemne, tak siedzieć, palić i patrzeć na podążających gdzieś ludzi. Nic nie musieć.

Dziewczyna w firance usiadła obok.

Teraz nie miała na sobie firanki, tylko ten sam kombinezon, który nosili niemal wszyscy. Lubił ją, choć spotkali się ledwie kilka razy. Może to ona jest przyjacielem?

— Cześć. — Podała mu mały cylindryczny przedmiot.

Puszkę owijał szczelnie szary materiał.

Pstryknął wypalonego do połowy papierosa na ziemię, otworzył puszkę i pociągnął łyk.

Napój był słodki, pienił się w ustach. Znajomy smak. Skąd go znał?

— Pamiętasz już? — zapytała.

* * *

Końcówka długopisu przesuwiała się milimetry nad papierem. Krótkie, pulchne palce księgowego ćwiczyły się w tym od lat. Oczy za grubymi szklami okularów zatrzymywały się na każdej cyferce, a cyferki składały się w jego mózgu w liczby, ciągi liczb, trendy i prognozy.

Ponad sto linijek na każdej stronicy, ponad trzysta znaków w każdej linijce. Ponad sześćdziesiąt tysięcy znaków na rozkładówce. Imiona, nazwiska, wartości przychodu, kategorie fantów, wypłacone wynagrodzenia.

Płynny ruch długopisu zwolnił, a chwilę potem końcówka zatrzymała się.

Drgnęła i zaczęła się cofać po sprawdzonych przed chwilą liczbach.

Nie potrafiłby odtworzyć z pamięci całej książki, ale ostatnich kilka stron na pewno. To one się liczyły. Cała reszta miała jedynie wartość archiwalną. Księgowy nie pamiętał, by kiedykolwiek musiał się cofać dalej niż dziesięć—piętnaście stron. Teraz cofnął się tylko o jedną, by stwierdzić, że nie wszystko się zgadza.

Obrócił się i zaczął klepać w rozklekotaną klawiaturę komputera. Rzadko to robił, wszystko miał w głowie. Komputera używał głównie wtedy, gdy natrafiał na błąd.

Klikanie klawiszy nakładało się na monotony szum Międzypoziomia i przyciszone odgłosy zabawy z klubu po drugiej stronie pasażu.

Klikanie urwało się, a księgowy wyprostował się na swoich poduszkach i oznajmił: Niedobór.

* * *

Ręce poruszały się automatycznie, a sen nie nadchodził. Człowiek z lewej podawał mu okrągły przedmiot, zadaniem Harpada było wetknięcie metalowego trójkąta w środek i przekazanie go dalej. Miał czas na przemyślenia, ale myśli kotłowały mu się w głowie,

nie mógł ich zebrać ani uporządkować. To nie było przyjemne.

Paznokcie popękane od powtarzania tej samej czynności przez kilka godzin. Zew nie skończył swojej roboty. Przyciągnął tu obietnicą nagrody, a nagrody nie ma. Jak zwykle są tylko bolące palce i wiedza, że wszyscy dookoła śpią, trwają w bezświadomości. Dobra nazwa nigdy nie powstała.

Przedramiona bolą od wczorajszego skręcania nieznanymi podzespołów. Ważne, że praca każdego kolejnego dnia jest inna, więc wczorajsze rany mają czas się zagoić, bo nowe powstają w innych miejscach.

Ktoś gdzieś dba... Coś gdzieś dba, by paznokcie miały czas odrosnąć.

Okrągły przedmiot dobrze leżał w dłoniach, jakby został stworzony właśnie do tego. Dotyk elastycznej powierzchni pobudzał pamięć, ożywiał chaotyczne wspomnienia. Harpad nie musiał patrzeć, by prawidłowo wykonywać prostą sekwencję czynności. Ale stało się. Wetknął kolejny trójkąt w środek i spojrzał w dół. Znieruchomiał.

Trzymał wolant, kierownicę samochodową z trójkątnym logo Triumphu.

* * *

Mógł pójść prosto, do swojej kwatery lub skręcić w prawo do mostu wiszącego i klubu. Nie chciało mu się spać, nie chciał też pić, mimo że miał pieniądze na alko.

Spojrzał w lewo, gdzie otwierała się przed nim trzecia opcja — schody prowadzące do wyjścia.

Zszedł na sam dół i skręcił w ruchliwy jak zawsze pasaż. Spacerował, konstatuując, że czuje się tu jak u siebie. A przecież spędził tu zaledwie kilka dni. Minął znajomy stragan ze słodyczami, pijalnię herbaty, kupił papierosy i zapatrzył się na przygotowania do walki bokserskiej. Wokół ringu, wyznaczonego przez cztery paliki i sznurek, gromadził się już tłumek, a zawodnicy rozgrzewali się pod okiem trenerów. Bukmacher w narzuconej na kombinezon marynarce i w wymiętoszonym kapeluszu zbierał zakłady.

Harpad nie zamierzał marnować pieniędzy na ustawianą walkę, zresztą nie znał się na tym. Przeszedł kawałek dalej, usiadł na rurze i zapalił papierosa. To bardzo przyjemne nic nie musieć i patrzeć na ludzi, którzy go nawet nie zauważają.

— Cześć. — Dziewczyna w firance uśmiechnęła się do niego. Nie miała na sobie firanki, tylko zwykły kombinezon.

— Cześć — odparł. Lubił ją, choć spotkali się dwa, może trzy razy.

Podawała mu mały cylindryczny przedmiot. Puszka owinięta szmatą. Pstryknął wypalonego do połowy papierosa w bok.

Otworzył, syknął uciekający gaz. Pociągnął mały łyk. Słodki napój smakował znajomo, bez metalicznego posmaku — Pamiętasz już? — zapytała.

* * *

Nie wiedział, czy ma obejść niski stół, czy stać za nim. Nie miał co zrobić z rękami, najchętniej miałyby czapkę w dłoniach. Tu nikt nie nosił czapek, więc tylko nerwowo wykręcał palce. Raz po raz gładził łysą głowę. Odwiedził już kiedyś to miejsce, pierwszego, może drugiego dnia.

Rozeznał się w sytuacji, popytał. Zawsze był obrotny, więc szybko dowiedział się, gdzie, kiedy i z kim warto trzymać.

I zawarł jeden sojusz. Wtedy to była oferta, dziś groźba. Bardzo szybko okazało się, że to układ poddańczy, by nie rzecz niewolniczy.

— To trwa już dwadzieścia pięć cykli.

— Wolf wydmuchnął oszczędnie dym.

— Nie mam pojęcia dlaczego.

— To bez znaczenia. — Kolejny niewielki obłoczek. — Zawarliśmy umowę.

— Kiedy ja się staram...

— Nie musisz się starać. Przynoś fanty.

* * *

Nie był śpiący, nie chciał też alko.

Wyszedł z Twierdzy i dał się wchłonąć cizbie spieszących gdzieś Między poziomowców. Czuł się między nimi dobrze. Anonimowo. Zaskakujące, jak niewiele czasu minęło, odkąd opuścił Warszawę, a już tak niewiele pamiętał z Góry.

Usiadł na ciepłym wylocie wentylacji i przypalił papierosa. Że też wcześniej na to nie wpadł, że może tak po prostu wyjść, pójść dokądkolwiek i poświęcić kilka minut życia na nicnierobienie. Przyglądał się ludziom i miał w sobie wielki spokój.

— Cześć. — Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

— Cześć.

Wyciągnął w jej stronę paczkę papierosów. Pokręciła głową. Lubił ją, choć spotkali

się dwa, może trzy razy. Mimo to miał wrażenie, że znają się od lat.

Podawała mu puszkę owiniętą szmatą.

Upuścił i przydeptał wypalonego do połowy papierosa. Spod szarego materiału wystawała pomarańczowa powierzchnia.

Co było w środku? Otworzył puszkę, powąchał i wypił trochę. Napój był słodki i pienisty. Skądś znał ten smak.

— Pamiętasz już?

* * *

Alko było radością życia. Pozwalało zapomnieć o wszystkim, również o wizycie w Twierdzy Wolfa. Zamartwiał się tym po kolejnym wybudzeniu. Potem szelest banknotów zamieniał się w brzęk szkła i wszelkie troski znikwały w morzu alko. I tak co dzień. To było piękne życie. Bez błękitu nieba nad głową, ale walić to! Bo w sumie czegoż chcieć więcej? Nie pamiętasz nieznośnej pracy, przesypiasz ją albo zapominasz i nikt nie ma do ciebie pretensji. Czujesz zmęczenie, twój organizm, twoje mięśnie je czują, a umysł pozostaje czysty.

Wystarczająco czysty, by umieć się zabawić. W morzu alko. Cóż innego pozostaje wobec braku nieba?

Pasek saszetki z pieniędzmi był zaszyty nad biodrami. Nie zawiązany, tylko zaszyty, standardowo. To w pewnym stopniu gwarantowało bezpieczeństwo. Niewybudzonych nikt nie ruszał, bo każdy sam w kolejnym półalbo ćwierćcyklu też stawał się niewybudzonym. Prawo zwyczajowe. Działo często, zwykle, zazwyczaj.

Nie zawsze.

Od kilku dni w pasażach można było spotkać więcej łysych żołnierzy, ale oni kogoś szukali i nie przejmowali się drobnymi złodziejami.

Dla tych, którzy okradali niewybudzonych z fantów albo pieniędzy, był osobny krąg piekiel. Mimo to zawsze znajdowali się tacy, którzy chcieli przechytrzyć system.

Fanty zdawał jeszcze we śnie. Wtedy też otrzymywał za nie zapłatę. Niezależnie, co przyniósł, dostawał tysiąc złotych, jeden banknot z Kopernikiem. Mógł to być przedmiot nikomu niepotrzebny lub wart majątek. Na tym polegała sprawiedliwość, bo przecież żaden mieszkaniec nie wiedział, gdzie będzie fabrykował w kolejnym cyklu.

Jedynym śladem po zdaniu fantów pozostawały pieniądze w saszetce. Śladu

w pamięci nie było.

Tym razem nie było też pieniędzy.

Palce włożone do saszetki natrafiły na pustkę. Chwilę potem nerwowo pogładziły łysinę.

— Zapłacę jutro.

Barman spojrzał beznamiętnie.

— Wczoraj też tak mówiłeś.

Opierał się o żebro struktury i ćmił papierosa. Obserwował ludzi przechodzących w obie strony. Przebywał tu ledwie kilka dni, nie więcej niż dwa tygodnie, a już potrafił odróżniać prowadzonych Zewem od zdezorientowanych, wracających z fabryki. Ci, którzy mieli akurat wolne, poruszali się jeszcze inaczej. Nie wszyscy pod wpływem Zewu spali. Część szła, próbując jeszcze załatwić swoje sprawy.

Od tłumu oddzieliła się dziewczyna o czarnych włosach. Znał ją, a nawet lubił, choć spotkali się ledwie kilka razy.

Uśmiechnął się do niej, odruchowo przygładził włosy i uniósł dłoń na powitanie.

— Cześć — rzucił. Chciał ją poczęstować papierosem, ale przypomniał sobie, że ona nie pali.

— Cześć. — Włożyła rękę do torby na ramię. — Mam coś dla ciebie.

Puszkę ze słodkim napojem, pomyślał Harpad. Gdy dziewczyna wydobyła owiniętą w chustę pomarańczową puszkę, zmarszczył biwi.

— Chyba jestem jasnowidzem.

— Wyrzucił niedopalony papieros. — A ty jesteś bardzo troskliwa.

— Wypij. Dobrze ci zrobi.

Odciągnął zawleczkę. Z sykiem uleciał nadmiar gazu. Był pewny smaku napoju, nim puszka dotknęła ust.

— Pamiętasz już?

* * *

Drobny człowieczek w worku na głowie wyrywał się dwóm łysym osiłkom.

Majtał w powietrzu nogami, zapierał się, ale to nie mogło niczego zmienić. Raczej go nieśli, niż prowadzili, a jego opór nie sprawiał im żadnego kłopotu. Równie dobrze mogliby nieść worek ziemniaków.

Ludzie w całym pasażu szli w tę samą stronę. Niektórzy nieśli krzesła, inni drabiny lub cokolwiek, co pozwoli im lepiej widzieć widowisko.

Już się zbliżali, już prawie dotarli. Pod Twierdzą rozstawiono trybuny zrobione z kontenerów, ze stołów, z czego popadło.

Podniecony tłum zajął już wszystkie miejsca i wznosił teraz jakieś niezrozumiałe okrzyki. Ze środka usunięto śmieci, zmieciono warstwę ubitego pyłu i brudu, odsłaniając dużą, okrągłą klapę. Za nią stała skrzynka nakryta dywanikiem, a jego intensywnie niebieska barwa odświeżenie kontrastowała z otoczeniem. Kilka wetkniętych w stojaki pochodni rozświetlało niewielką arenę.

Żołnierze Wolfa cisnęli człowieczka z workiem na głowie po przeciwnej stronie klapy, w środek kręgu jasności. Podniósł się na klęczki, sięgnął dłońmi do worka.

Nie miał szans rozplątać węzła i sam to zrozumiał po chwili bezsensownego szarpania się. Opadł na ziemię i oddychał ciężko.

Tłum gęstniał, ludzie przepychali się, aż wreszcie każdy zajął najlepsze miejsce, jakie udało mu się zdobyć. Stopniowo zapadała niespotykana w Międzyzłożeniu, wzniosła cisza, zakłócana tylko dudnieniem niewidocznej maszynierii. Wszyscy czekali na rozwój wydarzeń. Ktoś walczył z narastającym Zewem, zaciskał palce na krawędzi ławki, a na czole perlił mu się pot.

Na arenę dostojnym krokiem wyszedł wysoki i chudy człowiek w jaskrawoniebieskim płaszczu. Kat. Spojrzał w górę.

Z wystawionego na taras fotela Wolf obserwował wszystko w milczeniu. Nie musiał niczego mówić. Wszystko zostało ustalone i odbywało się według nieuchronnego porządku.

Kat wszedł na podwyższenie i spojrzał na skazańca.

— Zawiodłeś zaufanie — powiedział zaskakująco mocnym głosem. — Przywłaszczyłeś sobie coś, co należy do nas wszystkich.

Czterech kolejnych żołnierzy weszło na arenę z metalowymi kluczami w dłoniach.

Przyklęknęli przy klapie, wsunęli klucze w zagłębienia i jednocześnie przekręcili.

Cofnęli się. Syknęło uchodzące powietrze, a kłapa drgnęła z donośnym uderzeniem zastałych mechanizmów i wolno zaczęła się otwierać na potężnym zawiasie. Drżała ziemia, chrobotał miażdżony piasek. Z czerni wiało suchym chłodem.

Dzieci siedziały uczipione mam i szeroko otwartymi oczami wpatrywały się

w czeluść. Przez tłum przeszedł pomruk, który stopniowo zaczął się przeradzać w niezrozumiałe powtarzane raz za razem słowo.

Na znak kata jeden z żołnierzy przeciął sznur i zerwał worek z głowy skazańca.

Mały, łysy człowieczek zamrugał przerażonymi oczkami. Nic nie mówił, nie zaprzeczał, nie bronił się. Nie mógł z ustami obwiązanymi szmatą. Rozejrzał się i zerwał z ziemi. Chaotyczne, ponawiane raz za razem próby ucieczki nie miały szans na powodzenie. Za każdym razem jeden z łysych osiłków mchem ręki, jakby od niechcenia, posyłał go na ziemię. Wreszcie z niesmakiem chwycili go pod ramiona.

Zwiotczał i poddał się.

Tysiąc gardeł zsynchronizowało się i skandowało zgodnie: — Kara! Kara! Kara!

Nad otworem kondensowała się wilgoć.

Falujący, zmieniający kształt obłoczek zdawał się ożywać w świetle pochodni.

Kat uniósł dłonie i tłum w jednym momencie ucichł.

— Okradałeś mieszkańców, a za to jest jedna kara! — zawołał. — Nieodwołalna i ostateczna. Kara strącenia. Nie masz nic na swoje usprawiedliwienie! Niedobór jest niedobór!

Żołnierze unieśli go pod ramiona i zbliżyli się do otworu. Wisiał bezwładnie z głową przechyloną na bok.

— Kara jest kara!

Żołnierze wysunęli skazańca nad otwór. Odczekali chwilę i puścili.

Cisza trwała, a wciąż nie było słyhać uderzenia. Wreszcie kłapa zaczęła się zamykać. Kat wykonał nad nią gest skrzyżowanymi ramionami i powiedział: — Mieszkaniec Jacek Lipniarz za swoje przewiny został strącony i nigdy do nas nie wróci.

Kłapa zatrzasnęła się.

Palił już drugiego papierosa i denerwował się, ale nie z powodu egzekucji, którą dopiero co obejrzał. Również nie dlatego, że ten mały łysy człowieczek wydał mu się znajomy. Harpad w jakiś sposób przeczuwał, co nastąpi. Nigdy nie oglądał strącenia, przecież przebywał tu ledwie od kilku dni, ale dobrze wiedział, jak to wygląda.

Ten mały człowieczek oszukał Wolfa, a prawo Wolfa to jedyne prawo Międzyposioma, kara więc jest nieuchronna i nieodwołalna. Żadnych procesów, obrońców, dowodów, obrad sądu. Tylko wola Wolfa i strącenie.

Nie, Harpad denerwował się, bo na coś czekał. Przysiadł na uboczu, żeby odpocząć,

a nie mógł znaleźć spokoju. Coś miało się wydarzyć, a on nie wiedział co.

Rozumiał tylko, że musi tu siedzieć i czekać, aż to się stanie.

Pojawienie się dziewczyny sprawiło mu częściową ulgę. Zatem czekał na nią?

Nie pamiętał, żeby byli umówieni. Pamiętał za to, że nie spotykali się pierwszy raz. To było jak *deja vu*. Wiedział, że ona zaraz wyjmie z torby pomarańczową puszkę, a on wypije słodki gazowany napój.

Wyrzucił papierosa i patrzył w napięciu, jak dziewczyna zbliża się.

— Cześć — rzucił, z trudem kryjąc podenerwowanie.

— Cześć. — Przyglądała mu się z uśmiechem. — Mam coś dla ciebie.

Wyciągnął rękę, nim jeszcze to coś wyłoniło się z torby.

Chwycił owiniętą w papier puszkę, otworzył i zaczął pić, aż piana spływała mu po policzkach. Potrzebował tego, musiał pić, żeby odzyskać kontrolę nad sobą.

Pamiętasz już? — zapytała Marysia.

V

To nie było pierwsze wzruszenie po odzyskaniu córki. Wzruszał się i płakał wiele razy. Cieszył się, że ją odzyskał, potem zapominał, odzyskiwał ją ponownie i ponownie się cieszył. Jego istnienie wyznaczał cykl dwudziestoczworgodzinny, pętle wielu cykli jednodniowych żyć. Nie pozostawał po nich wyraźny ślad w pamięci. Narodziny i śmierć umysłu, bez naruszania strukturalności ciała.

Tulił ją do siebie, nie mogąc przestać.

— Jak długo...? — zapytał.

Marysia pokręciła głową.

— Nie wiem. Tu nikt nie liczy czasu.

Harpad zmierzył ją wzrokiem.

— Wyglądasz na szesnaście lat.

— Poprzednio mówiłeś, że na piętna ście. — Zaśmiała się. Miała zdrowe, idealnie białe zęby.

— Nie mogę uwierzyć, że jesteś taka duża... — Wytarł wilgotną twarz mankietem.
— A zaraz znów zapomnę. Znów będziemy się poznawać od nowa.

— Idzie ci coraz lepiej. Gdybyś jeszcze powstrzymał się przed jedzeniem papy z kompa.

— Tam jest nanoB. — Przytaknął.

— Kiedy po pracy w fabryce idę zjeść, nie pamiętam niczego. Wciskam ten przycisk.

Mam pieniądze, ale naciśnięcie go jest łatwiejsze. Potem odzyskuję siebie, odzyskuję kontrolę. Potem idę kodować dla Wolfa.

— A potem się spotykamy.

— Tak... — Harpad nagle przypomniał sobie o czymś. — Wolf nie może się dowiedzieć o twoim istnieniu. Złapie cię, żeby kontrolować mnie.

— Potrafię unikać łysych. — Wzruszyła ramionami. — Wiem, że mnie szukają, wyczuwam ich z wyprzedzeniem.

— Kiedyś ich nie wyczujesz. Musimy stąd uciec... Gdybyś przychodziła wczeszniej i powstrzymała mnie, zanim dojdę do kompa, nie żarłbym nanoB.

— Nie mogę. Opiekuję się dziećmi.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

— Nie moimi! — wyjaśniła szybko i znów się uśmiechnęła. — To dzieci Elizy.

Ona opiekowała się mną, kiedy tu trafiłam.

Teraz ja pomagam jej. Ma trójkę, a to niełatwe, choć myślę, że jest szczęśliwa. Na pewno szczęśliwsza niż na Górze. Nie muszę pracować. Czuję Zew, ale nie jest bardzo silny. Nawet nie piję YitEli, jak inni. Mogę pójść za Zewem, mogę go zignorować. Wybieram, czy chcę. Te puszki YitEli zgarnęłam już po tym, jak ciebie znalazłam.

— To niebezpieczne. Ta dzisiejsza egzekucja... On też handlował na boku.

— Wiem. — Przytuliła się do niego.

— Ale bez tego byś się nie obudził.

— Masz to po mnie. — Pogłaskał ją po głowie, ale zaraz cofnął rękę. — Wiesz, jak zarabiałem na życie? Tam, na górze?

Byłem nuzzlerem, odczytywałem ludziom ich wartość PZ.

— Nie wiem, co to znaczy. — Maiysia pokręciła głową.

— Dzięki temu wiedzieli, ile ich dzieli od znalezienia się tutaj. To, że tu jesteś...

— opuścił wzrok — to moja wina. Dałem się wciągnąć w sprawy znacznie mnie przerastające.

— I dlatego tu trafiłeś?

—■ Ja tu... — zawiesił głos. Ukrył twarz w dłoniach, ale szybko udał, że tylko ją przeciera. — Możemy stąd wyjść.

Choćby teraz. Potrafię otworzyć wejście do Styku. Te roboty stróżujące nas przepuszczą. Po prostu wrócimy do domu.

Marysia posmutniała.

— Próbowaliśmy. Przeszliśmy przez Umieralnię, nie pamiętasz tego. Śluza do Styku nie chciała się otworzyć. Dotykałeś panelu, potem uderzałeś w niego. Nic się nie wydarzyło.

— Za mało nanoID. — Harpad przygarbił się. — Bez niego nic nie zrobię.

Jeszcze kilka dni, kilka puszek VitEli i będę potrafił otworzyć śluzę.

— Dni? — Marysia nie zrozumiała słowa.

— Cykli. Dwadzieścia cztery godziny.

Pamiętasz Warszawę? Noce i dni? Ścierny i jasy?

— Tak. Robiło się jasno, a potem ciemno. Kiedy było ciemno, musieliśmy spać. Tak jak tu jest lepiej. Ja... niewiele pamiętam.

— Pamiętasz mamę?

Marysia zmarszczyła czoło i spojrzała gdzieś w bok.

— Trochę...

— Wrócimy tam. — Harpad objął ją.

— Wrócimy. Tylko uwolnię się od tego przeklętego nanoB.

— Zostały mi już tylko trzy puszki VitEli.

— Możesz zdobyć więcej?

— Nie, jeśli Zew nie wskaże mi tej fabryki. Jeśli pójdę bez niego, inni powstrzymają mnie. Oni skądś wiedzą, kto może, a kto nie może wejść. Kiedyś próbowałam, to mnie wypchnęli. Ale jeśli umiesz kodować, czemu nie zakodujesz sam siebie?

To nie było pierwsze wzruszenie po odzyskaniu córki. Wzruszał się i nieraz płakał. Teraz to pamiętał. Cieszył się, że jest już z nią, potem zapominał, odzyskiwał ją ponownie i ponownie się cieszył.

— Próbowaliśmy. — Marysia obejmowała ojca. — Szliśmy przez Umieralnię, ale potem nie udawało się wejść do Styku.

Mówiłeś coś o nanoID, że jest go za mało.

— Potrzebuję więcej tego napoju.

— Dziś wypileś przedostatnią puszkę.

* * *

To nie było pierwsze wzruszenie po odzyskaniu Marysi. Wzruszał się i nieraz płakał. Cieszył się, że znów ją ma, a potem zapominał, odzyskiwał ją ponownie i ponownie się cieszył.

— Po co mamy tam iść? — zapytała.

— Dlaczego nie możemy żyć tutaj?

— Tam jest prawdziwy... — Harpad odkaslnął — prawdziwy świat.

— W czym jest prawdziwszy od tego?

Nie jestem tu nieszczęśliwa. Mam co robić, ktoś mnie potrzebuje.

Harpad szukał odpowiedzi.

— To zesłanie — powiedział wreszcie.

— Tu nie ma słońca, nie ma przestrzeni. Tu nie ma... prawa.

— O, na górze za to jest. Zesłało nas tu.

Po co chcesz tam wracać?

* * *

Krótkie, pulchne palce precyzyjnie poruszały długopisem. Kolejne cyfry i litery pokrywały papier. Cztery milimetry wysokości, milimetr odstępu między wierszami. Księgowy zerkał na ekran komputera, na którym co kilka chwil pojawiały się nowe dane, dodawał i mnożył w pamięci, po czym wpisywał zbiorcze sumy do księgi. Kolejny cykl dobiegł końca, więc z placówek odbiorczych spływały dane o przynoszonych fantach. Prymitywna sieć służyła tylko do tego jednego celu. Dane spływały stale, jednak wyraźnie dawało się zauważyć wzrost ruchu co osiem godzin.

Różne fabryki rozpoczynały i kończyły zmiany o różnych porach, jednak z jakiegoś nieznanego powodu, raz na osiem godzin przypadała kumulacja.

Księgowy zapisał kolejną liczbę 1

zatrzymał się. To, co właśnie zapisał, nie zgadzało się z przewidywaniami. Bardzo się nie zgadzało. Odłożył długopis i zaczął klepać w rozklekotaną klawiaturę. Na ekranie pojawiały się archiwalne dane.

Wolf zgasił cygaro w popielniczce i obrócił się z fotelem w stronę Księgowego. Klikanie oznaczało kłopoty.

— Niedobór. — Księgowy wyprostował się i spojrzał na Wolfa zza wielkich szkieł okularów. — Wielokrotny niedobór.

* * *

Ramię robota ciągnęło za sobą wiązki przewodów i przesuwano się nad leżącą w płaskim zbiorniku taflą czarnego szkła.

Dysza na końcu ramienia pluła wodą.

Cienki strumień z ogromną siłą ciął szkło, jakby to było masło.

Harpad patrzył na swoje ręce, przekładające odcięte elementy na podłużny blat, skąd zabierał je ktoś inny i wkładał do otworu maszyny. Ta z wizgiem połykała element i po

chwili wypluwała go z drugiej strony, z oszlifowanymi na obło krawędziami. Hałę wypełniał huk maszyn i brzęk kolejnych elementów.

Spojrzał pod nogi. Stał na wypukłości zbyt regularnej, by znalazła się tu przypadkiem. Okrąg o średnicy trzydziestu centymetrów wyszlifowały tysiące butów, dało się w nim jednak dostrzec układ otworów, teraz zalepionych brudem. Gniazdo mocujące maszynę. W tym miejscu stała kiedyś maszyna, a teraz Harpad wykonywał jej pracę.

Kolejne szklane elementy wielkości komunikatorów piętrzyły się w rogu zbiornika, więc zebrał je wszystkie. I zatrzymał się. Jego sąsiad stał przy blacie z opuszczonymi rękoma. Wyglądał jak wyłączony automat. Harpad doskonale znał to nieobecne spojrzenie oczu nieruchomych jak kamery oczekujące na kolejne zadanie.

Tamten też stał na metalowym okręgu.

Harpad rozejrzał się. Wszyscy, których miał w zasięgu wzroku, stali na metalowych okręgach lub tuż obok nich. Kiedyś całą tę pracę wykonywały maszyny. Zużyły się, czy ludzie okazali się tańsi w eksploatacji? Jeśli się zużyły, znaczyło to, że zużywać się bezpowrotnie mogły i inne kluczowe elementy pierścienia. Zatem naprawdę nie są wieczne.

Mechaniczne ramię wciąż cięło szkło.

Co się stanie, jeśli przestanę pracować?

Pracownik obok spojrzał na Harpada w taki sposób, że aż go przeszedł dreszcz.

Kto patrzył tymi oczami? Nie człowiek.

Czym prędzej odłożył szkiełka i ruszył w kierunku końca taśmy, gdzie dwie kobiety wkładały końcowe produkty do pudełek. Tylko po co? Przecież to są zwykłe, czarne szkiełka. Wziął jedno i obrócił w dłoniach. Krawędzie oszlifowano na gładko, a po jednej stronie widniało małe logo Unitra. Uniósł je do lampy. Światło przeświecało na wylot, słabo, lecz jednak wystarczająco, by stwierdzić, że w środku niczego nie ma. Rozmiary, waga i wygląd dawały złudzenie, że trzyma w dłoni komunikator. Ale to przecież tylko szkło!

Poczuł na plecach czyjś wzrok. Odwrócił się gwałtownie i napotkał spojrzenie kilkunastu par oczu. Pewien, że jeszcze chwila i przyjdą po niego, szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

W miejscu, gdzie dopiero co stał, pracował już ktoś inny.

Nie ma ludzi niezastąpionych.

* * *

— Połowa to jednodniowi. — Marysia przyglądała się ojcu. — Niektórzy zostają nimi od razu, imii nagle, bez powodu.

Harpad kończył jeść kielbasę z grilla.

— A matki z małymi dziećmi?

Zastanowiła się.

— One chyba nie. — Wskazała sprzedawcę z grillem. — On też nie. Sklepikarze nie, dzieci nie. Może trzeba robić coś pożytecznego, żeby nie zostać jednodniowym.

— Podała mu puszkę. — Ostatnia.

Harpad pokiwał głową. Odwinął materiał.

— VitEli — przeczytał. — Widziałem takie w klubie Wolfa. Tylko niektórzy mogą to pić. Dobrze pilnują tych puszek.

— Jeśli pijesz regularnie, Zew zanika.

Harpad wypił do dna i zgniótł puszkę.

— Dziś idziemy do Styku — oświadczył. — Spróbuję otworzyć śluzę.

Marysia położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie mogę. Mówiłam ci...

— Tu są miliony ludzi. Setki milionów.

Eliza znajdzie do dzieci kogoś innego.

— Ona... jest dla mnie jak mama. Ja prawie nie pamiętam Góry — powiedziała smutno. — Tu jest mój dom, moja rodzina.

— Ja... ja jestem twoją rodziną.

— Nie rozumiesz. — Pokręciła głową.

— Spędziłam tu wiele cykli.

— Siedem lat. — Harpad poczuł napływające do oczu łzy. Poderwał się i spojrzał na nią z góry. — Jak możesz?! Nawet nie wiesz, przez co przeszedłem, żeby...

— zacisnął usta, nabrał powietrza, żeby się uspokoić. Usiadł. — Dla mnie minął tydzień... Teraz, kiedy już pamiętam... To wszystko wydarzyło się dopiero co, chwilę temu. Byliśmy w zoo, szukaliśmy świń.

Śmiałaś się, że w zoo nie ma żadnych świń.

Dopiero co miałaś dziewięć lat... Pamiętasz mamę?

Marysia płakała. Objęła go w ten sam sposób, jak kiedyś. Tak niedawno temu.

— Tak, oczywiście, że pamiętam.

Nie pamiętała.

— Pójdziecie z nami.

Unióśł głowę. Było ich czterech. Żołnierze Wolfa, łysi, nieodróżnialni, z ciężkimi naszyjnikami z kabli i łańcuchów.

Marysia chwilę trwała w osłupieniu.

Zerwała się i zwinnie śmignęła pod ramieniem najbliższego. A raczej taki miała zamiar. Łysy z nieoczekiwaną szybkością złapał ją w pól, a potem wykręcił rękę. Nie sprawiło mu to żadnego wysiłku. Drugi wziął pod ramię Harpada. Marysia krzyczała i wierzgała, ale każdy ruch powodował ból w wykręconym ramieniu.

— Delikatniej! — krzyknął Harpad.

— Nie wrywaj się — rzucił do Marysi.

— Nic nam nie zrobią. Porozmawiam z Wolfem i nas wypuszczą.

— Do dziury was wypuszczą — rzucił jeden z żołnierzy, a pozostali zarechotali.

— Kara strącenia. To was czeka.

* * *

— Zostało jeszcze siedmiu. — Żołnierz puścił Harpada i cofnął się w cień. — Za godzinę będziemy mieli wszystkich.

Wolf przyglądał się koderowi i milczał.

— Przywłaszczyłem sobie komunikator. — Harpad rzucił na stół czarny prostokąt. Czuł bardziej złość niż strach. — O to chodzi? To nie jest żaden komunikator. To nic nie jest! Kawalek szkła!

— Tak, to kawałek szkła. — Wolf przyglądał mu się spod ronda sfatygowanego kapelusza. — Wszystko dzieje się w głowie.

Postarzał się, przygarbił. Teraz było to wyraźnie widać. Sięgnął za fotel i uniósł zgniecioną puszkę VitEli.

— Dziewczyna przynosiła ci napój.

Ponownie nasyciłeś się nanoID i zavalasz robotę. Dwunastu kodowanych przestało przynosić fanty.

— Nie taką mieliśmy umowę. — Harpad tłumił złość. — Trzymasz mnie tu całe lata. Zabrałeś mi pamięć!

Szybko stracił energię. Wykrzykiwanie czegokolwiek było bezcelowe. Chciał zapytać, gdzie jest Marysia, ale resztki rozsądku, a może przeczucie, podpowiedziały mu, żeby tego nie robić. Choć... cóż to mogło zmienić? Nie zapomną o niej.

W drzwiach za jego plecami stało dwóch żołnierzy. Kilka metrów, ale był pewny, że zdążą. Zresztą, co miałyby zrobić? Rzucić się na Wolfa? I co dalej?

W rozpaczliwej próbie zrobienia czegokolwiek zamknął oczy i wywołał kod Wolfa. Zielone cyferki zatańczyły pod powiekami.

Zanim zdążył ich choćby dotknąć, ich kolor zmienił się na czerwony. Poczuł uderzenie i opadł na kolana.

Otworzył oczy. Co go uderzyło? Kto?

Żołnierze wciąż stali tam, gdzie przedtem.

Wolf siedział w fotelu. To nie było nic materialnego.

Wolf wyjął z kieszeni kolejne cygaro.

— Nie próbuj tego więcej — powiedział. — Wiesz doskonale, że cię nie zabiję — potrzebujemy koderów. Zmienimy za to warunki współpracy. Na początek szczerść. Dlaczego ona przynosiła ci napój?

Harpad z zaskoczenia nie potrafił wydobyć z siebie słowa. On nie wie! Wolf nie wie, że to Marysia! Co z tym zrobić?

Teraz najważniejsze, żeby się nie domyślił!

— Nie pamiętam. — To nie było do końca kłamstwo. — Jak sobie przypomnę, powiem ci.

— Nie przypominasz sobie.

Żołnierz chwycił go pod ramię. Harpad nawet nie próbował się wyrwać.

— Ale pamiętam, jak wyglądały warunki współpracy z twoim bratem! — rzucił przez ramię. — I czym się skończyły!

Wolf znieruchomiał z cygarem w połowie drogi do ust. Obserwował wyprowadzanego nuzzlera. Patrzył w otwór drzwi jeszcze długo po tym, kiedy ucichły kroki.

* * *

Może tak musiało się stać? Może bez siedmiu lat tutaj, bez Zewu i jednodniowych żyć nie trafiłby na Marysię? Czy raczej ona na niego.

Miska rozpuściła się, pozostawiając na stołku górkę jadalnego błota. Kubek z wodą wytrzymał kilka minut dłużej. Harpad wiedział, że w końcu zgłodnieje i poczuje pragnienie. Im później, tym lepiej.

Obok pryczy stał tu jeszcze kubeł na nieczystości, i nic więcej. Mechanizm zamykający kratę był prosty: jedna rura gruba na dwa centymetry, przytwierdzona do drzwi, druga, na jej przedłużeniu, do ściany. Wsunęty wewnątrz pręt nie pozwalał otworzyć drzwi. Nie było zamka, ale końcówka pręta znajdowała się o wiele za daleko, by do niej sięgnąć. Zdolności nuzzlera okazały się zupełnie bezużyteczne.

Zresztą i tak wciąż miał zbyt mało nanoID, by ich użyć.

Korytarz wił się w obie strony, omijając wsporniki Struktury. Było tam jeszcze kilka cel, a wszystkie zamykane w podobny sposób. Pierwszy, kto by się uwolnił, mógłby uwolnić pozostałych. Wszystko tutaj wyglądało jak zrobione z odpadków.

Podłoga, ściany i sufit częściowo wykonano z blachy, częściowo z paneli z grubego tworzywa sztucznego, a częściowo z wszelakich krat. Wszystko wspierało się na skomplikowanym układzie Struktury.

Kusiło go, żeby zawołać Marysię, ale to by było głupie. Najważniejsze to nie wydać się, że coś ich łączy. Zatem trzeba czekać.

Włożył dłoń do lewego mankietu.

Kartki z dziecięcym rysunkiem Różańca nie było. Minęło przecież siedem lat.

Minęło jak jeden dzień.

Skąd w ogóle określenie „Jednodniowi”, skoro tutaj nie było dni ani nocy?

Musieli je nadać eliminowani.

Z głębi korytarza dobiegało coraz głośniejsze sapanie. Gdzieś zatrzęsły się kraty.

— Wypuście mnie! — Ktoś je szarpał.

— Chcę wyjść!

Harpad próbował dostrzec, co tam się dzieje.

— Muszę wyyyjść!!! Muszęęę...

— Dalszy ciąg utonął w krzyku, który z każdym zaczerpnięciem tchu stawał się coraz mniej ludzki.

— Co tam się dzieje? — zapytał w przestrzeń.

— Na tym polega kara — odpowiedział mu spokojny głos zza ażurowej ściany.

— Ja poczuję to za ćwierć cyklu. A kiedy przyjdzie kolej na ciebie? — Zduszony śmiech. — Co zrobisz, kiedy Zew przyjdzie do ciebie?

Śmiech przypominał szlifowanie metalu. Harpad cofnął się od tego szalonego chichotu, choć zawroźnienie i szarpanie klatkami i tak było głośniejsze. Wrócił na pryczę, położył się i zasłonił uszy, żeby nie słyszeć niczego.

Kimkolwiek był szalony sąsiad, miał rację — powstrzymywany Zew to paskudne uczucie. Duszność, stany lękowe, klaustrofobia we wnętrzach i agorafobia na zewnątrz. W Zewie było wszystko, cały arsenał strachów, który zniknął, jeśli tylko podążało się za nim posłusznie. Kraty nie stanowiły żadnej wymówki.

Dobrze przynajmniej, że Marysia go nie odczuwa. Przynajmniej tyle. Ile czasu zostało? Wycie z końca korytarza wdzierało się do głowy Harpada mimo zatłoczonych uszu. Potem będą następni, za kilka godzin to samo stanie się z szalonym sąsiadem, a potem... Harpad wzdrygnął się.

Zew oznaczał też kilka godzin, przez które nie mógł robić niczego konstruktywnego. To znaczy czego? Co konstruktywnego mógłby robić w celi?

„Jeśli umiesz kodować, to czemu nie zakodujesz sam siebie?”. A czy chirurg może sam siebie zoperować? Żeby móc kodować, powinien zwiększyć poziom nanoB we krwi, czyli zjeść te syntetyki. Ale wtedy straci pamięć i nie będzie potrafił otworzyć śluzy Styku. Zatem albo pamięć bez możliwości działania, albo działanie bezcelowe.

A może istnieje jakaś inna droga?

Wycie stawało się nie do zniesienia.

Harpad zamknął oczy i wybiegł myślami w stronę nieszczęśnika. Kod tamtego od razu wyświetlił się w ciemności pod powiekami. Przejrzysty jak zawsze, a nawet...

było tu coś więcej niż zwykle. Coś dużego, lecz nieuchwytnego.

Skupienie w tym przesywającym wyciu było trudne. Niech on przestanie krzyczeć!

Kilka cyfr przeskoczyło. Cisza.

Harpad z wrażenia niemal otworzył oczy. Nie, skupienie jest ważne, a nawet bardzo. Dotykał czegoś ważnego, był o krok od ważnego odkrycia. Tuż, tuż...

Ktoś płakał. Ten sam nieszczęśnik. Płakał z ulgi. Jego Zew zniknął i już się nie pojawi. Chyba że on, Harpad, zdecyduje inaczej.

Zielone cyfry czekały na kolejne modyfikacje. Były ich setki tysięcy, może miliony,

a wszystkie naraz dostępne, zrozumiałe i uległe. Upojne uczucie, gdy umysł ogarnia taki ogrom informacji. Jak to się dzieje? Jak to możliwe?

Unosił się bezcieleśnie wśród galaktyki cyfr, z których każdą znał i znał powiązania i zależności między nimi. Rozumiał wszystko i wszystko mógł. Wycofał się, by obejrzeć cyfrową chmurę z zewnątrz.

Dokoła, bliżej i dalej, unosiły się kolejne chmury. Znał powiązania między nimi, wiedział nawet, jakie zmiany zajdą w nich zaraz. Mógł je powstrzymać lub pozwolić im się wydarzyć.

Marysia też tu była, nie tak daleko od niego. Spała teraz poziom niżej, bezpieczna. Względnie bezpieczna. Mógłby ją obudzić, mógłby nawet przekonać ją teraz, że musi z nim wracać do Warszawy.

Mógł to zrobić.

Ale nie chciał.

Z góry dochodziło zielonkawe światło, niczym pod wodą jeziora. To tylko fanaberia wyobraźni tworzącej *ad hoc* interface dla komfortu umysłu. Uniósł się w stronę zieloności i złudzenie wynurzania się z otchłani jeziora stało się nieodparte.

W górze, nad granicą frakcji, czekała zielona przestrzeń. Znajoma przestrzeń — wnętrze g.A.I.a.

Trans! A więc otwarcie Styku jest realne!

Wynurzył się, przeszedł przez granicę frakcji. Rekordy nieznanym osobom unosiły się na horyzoncie. Mógłby po nie sięgnąć, gdyby miał taki kaprys. Mógł sięgnąć nawet po prezydenta Pierścienia Warszawa, gdyby tego zapragnął. Prezydenta Janusza Zdonka, który właśnie podpisywał dekret o delegalizacji Prowokacji i Eliminacji.

Spojrzał w dół i nie dostrzegł powierzchni jeziora. Ukłucie niepokoju nakazało skupienie, po którym nadeszła ulga. Była tam, nieskończenie cienka membrana, niedostrzegalna z góry, jeśli nie wiedziało się, jak patrzeć. Rekordy eliminowanych wciąż istniały, pod tą powierzchnią.

Widziane stąd, były czerwonymi, niemal czarnymi zatopionymi bryłami, w których kiedyś Harpad potrafił odczytać jedynie wartość PZ. Teraz widział w nich pulsujące cyfry, określające całe ludzkie życia. Marek Reweda, lat pięćdziesiąt dwa, prawnik, eliminowany siedem lat i pięćdziesiąt dwa dni temu, nie będzie już odczuwał Zewu. Ta zmiana była prosta jak pstryknięcie palcami. Eliza Strumińska, jego partnerka, była

asystentka radnego Kraszewskiego, również. Tak samo Judyta Talińska, eliminowana niemal pięć lat temu. Niech cierpi w pokoju, oby kara ciężką jej była. Joachim Wielicki, eliminowany trzy lata temu po przegranych wyborach.

Obecność pojawiła się nagle. Ta nieznośna obecność obserwatora. Sowa. Harpad zdążył już zapomnieć o jego istnieniu.

Wścibski Sowa dowiedział się właśnie, że jego żywa sonda wciąż funkcjonuje.

Zanurzenie się pod membranę nie mogło już tego cofnąć, ale przynajmniej ta granica czyniła go niewidzialnym. Jak termoklina odbijająca sygnał sonaru. Problemem Sowy zajmie się później, już na Górze. Tutaj to bez znaczenia. Nic nie będzie miało sensu, jeśli nie otworzy kraty celi. Pokonał niemal wszystkie trudności, a ostatnia przeszkoda może powstrzymać go na kilka kroków przed celem.

Odszukał rekord człowieka oddalonego o nie więcej niż sto metrów od wejścia do Twierdzy. Przyjrzał się z bliska świecącym cyfrom, poruszającym się w niematerialnym tutaj obszarze rekordu niczym drobinki kurzu w promieniach Niesłońca. Wiedział, co trzeba zmienić, i zmienił to z wysiłkiem porównywalnym do mrugnięcia powiekami.

Niechętnie wyszedł z transu, otworzył oczy. Wypełniały go na równi nadzieja i niepokój. Ta pierwsza słabła w miarę upływających minut.

Nikt nie nadchodził.

* * *

Zaczęło się niewinnie, od zwykłego podenerwowania. Wstał z piyczy i podszedł do kiaty. Poza znajomym szumem i dudnieniem Między poziomiami panowała cisza. Obszedł kilka razy celę, żeby się rozruszać. Znów wyjrzał przez kratę. Dopiero kiedy poczuł, że jest mu tu ciasno, zrozumiał, co się zaczyna. Próbował to powstrzymać, spowolnić, ograniczyć, ale zaraz stało się jasne, że nie potrafi.

— Pociesz cię, jeśli ci powiem, że potem nie będziesz tego pamiętał? — dobiegło z za ażurowej ściany. — Ja nie pamiętam.

— Ten sukinsyn ukradł mi siedem lat.

— Harpad zaciskał i rozluźniał pięści.

— Żarłem karmę z kompów. Chciał mieć jednodniowego niewolnika.

— Niewolnika, który nie wie, że jest niewolnikiem. — Głos z za ściany był irytująco spokojny. — Może wszyscy jesteśmy jednodniowi. Przyszłość nie istnieje, przeszłość to

złudzenie, jest nam wdrukowywana każdego dnia od nowa. Fałszywa, zmieniona, dopasowana.

Haipad uderzył pięścią w ścianę. Coraz trudniej było mu się skupić. Pragnienie wydostania się stąd stawało się nieodparte.

Usiadł na pryczy, zacisnął pięści i zaczął się bujać. Kodowanie samego siebie jest zbyt ryzykowne. Przetrzymać to, przetrzymać to... Nie, znał siebie; wiedział, że nie zdoła; że za minutę, za dwie zacznie grzebać we własnym kodzie. A robienie tego w pośpiechu i stresie to wielkie ryzyko. Nie ma więc pytania, czy to zrobi, tylko jak szybko się złamie.

A może przetrzymać? Może warto się przemęczyć, żeby przypadkiem nie skasować w sobie zdolności... Nie! Wtedy przed wybudzeniem z Zewu automatycznie zje papę wypełnioną nanoB. Nie wiadomo, jak to wpłynie na jego zdolności. Nie może sobie pozwolić na takie ryzyko.

NanoID nie przeszkadzało w kodowaniu, a nanoB nie blokowało transu. Sam to przecież stwierdził! Czy działo się tak dlatego, że osiągnęły w jego krwiobiegu optymalne proporcje? Nie, nie chodziło o to.

W transie Harpad widział rekordy ludzi żyjących w Warszawie, a jednocześnie tych z Międzypoziomia.

Zatem oba systemy są kompatybilne, są częściami tej samej, większej całości. Pękniętej. Zatem teraz, kiedy już nad tym panował, przyswojenie większej ilości nanoB niczego nie mogło zmienić.

* * *

— Wzywałś mnie? — Żołnierz ledwo zauważalnie skłonił głowę.

Stał w tradycyjnym, przeznaczonym do raportowania miejscu. Dywan był tam przetarty niemal na wylot.

— Czy w ostatnich godzinach wydarzyło się coś niezwykłego? — zapytał Wolf.

— Jeden z mieszkańców próbował się wdrzeć do Twierdzy.

— Przez główne wejście?

— Tak. — Żołnierz nie gestykulował, patrzył przed siebie ponad głową szefa.

— Prowadził go Zew... A nie mamy tu przecież fabryki. Rzucił się. Powstrzymało go dopiero pierdolnięcie w łeb.

Wolf odprawił go gestem i sięgnął po tłące się cygaro. Zaciągnął się. Żar zaświecił na czerwono i przygasł.

On jest tutaj, w Twierdzy.

Księgowy uniósł wzrok znad otwartej książki. Oczy za silnymi okularami były tak wielkie, że składały się niemal z samych źrenic.

— Znów błąd kodera?

— Nie błąd. — Wolf zaciągnął się dymem i wypuścił szarą chmurę. — Próba.

* * *

Pieprzyć to! Potrafi to zrobić! Potrafi zmienić precyzyjnie tylko ten drobiazg, tę kurewską wrażliwość na Zew! Zacisnął palce na kracie. Na chwilę, żeby odwrócić uwagę. A więc decyzja podjęta! Nareszcie...

Rzucił się na piyczę i wszedł w trans.

Unosił się w zimnej czerni, otoczony przez miliony rekordów, z których każdy wyglądał jak rój świetlików. Jak znaleźć ten własny, własną cyfrową galaktykę?

Waga tego pytania przesłoniła siłą Zewu.

Jak? Jak odnaleźć samego siebie? Był w tej wewnętrzności obserwatorem, poruszał się, gdzie chciał, i zmieniał, co chciał. Był demiurgiem.

Bezcielesnym demiurgiem.

Zew szponami bólu i strachu wyrywał go z transu. Docierało do niego poczucie szorstkości materaca pod palcami. Panika walczyła z przerażeniem o władzę nad umysłem.

Prośba o dostęp, oferta pomocy. Coś nowego. Odczuł to w niewyjaśnialny sposób, a jednak wiedział, co to jest. Trans rozsypywał się, kontrola zamieniała we wspomnienie. W ostatniej chwili, w akcie desperacji otworzył się na nieznanne.

To było jak zastrzyk morfiny. Natychmiastowa ulga, słodka bezwładność po przeciążeniu, przyjazne ciepło po lodowatej wichurze, niebiańska nieobecność bólu.

Zew zniknął.

* * *

Marysia od kilku godzin nie mogła spać. Obudził ją Zew, słaby jak zwykle.

Ciągnął ją do fabryki wódki. Trochę szkoda, bo alko to dobry towar wymienny.

Ale nie ma co narzekać, mogło być gorzej.

Początkowo myślała, że oboje skończą Strąceniem. To zwykle następowało od razu po złapaniu. Tymczasem była tu niemal pełny cykl i nic się nie działo.

Łysi znów przeszli korytarzem, wlokąc jakiegoś nieszczęśnika. Co kilka minut otwierali jedną z wielu cel i kogoś zabierali. Robili to od dwóch godzin, a cel było dużo.

Harpad, ojciec. Tato. Nie wiedziała, jak ma go nazywać. Ledwo go pamiętała.

Lepiej pamiętała mamę, choć nie chciała tego przed nim przyznać. Żeby mu nie robić przykrości. Tak naprawdę to oboje byli wspomnieniami budzącymi sentyment, jednak nie tak silny, jak ludzie, których znała tutaj: Eliza, no i oczywiście Wujek Jeremi.

Tata... Najlepiej pamiętała jego zieloną kurtkę. Tak właśnie, pamiętała ojca jako śmierzącego papierosami mężczyznę w zielonej kurtce. Dlaczego więc rozpoznała go kilka cykli temu? Dlaczego zapu ściła się w pobliże Twierdzy, choć zwykle unikała tych okolic? Nie potrafiła wyjaśnić.

Coś kazało jej przyjść właśnie tam i coś zwróciło jej uwagę na siedzącego i tępo patrzącego przed siebie jednodniowego.

W każdym pasażu pełno jest takich. Mijała ich, nawet nie zauważając. A wtedy coś uruchomiło lawinę wspomnień. Wróciła przeszłość, z której istnienia nie zdawała sobie sprawy. Nie było tego wiele, ale wspomnienia pojawiły się z wielką intensywnością.

I wtedy przypomniała sobie, że prócz Międzyzoziomia istnieje jakiś inny świat.

Warszawa.

Harpad. Tato. Pilnował się, by tego nie powiedzieć, ale ona wiedziała. Że przyszedł tu po nią. Dla niej. Zrobił to z własnej nieprzymuszonej woli. Opuścił świat, który był jego domem, i zstąpił do miejsca, które uważał za piekło.

Może miał rację, że tam na Górze żyje się lepiej.

* * *

Sowa wysłał go w tę misję na poszukiwanie serwerów g.A.I.a. Teraz wydawało się to zabawnie nierealne. Międzyzoziomie

to nie biurowiec, który można przeszukać i znaleźć szumiącą wentylatorami serwerownię. Cóż ta misja znaczyła po siedmiu latach? Czy ktoś w Warszawie o niej pamiętał? Dla każdego Sprawa była czym innym, dla Harpada ograniczała się do uwolnienia córki. Córki, która nie chciała być uwolniona.

Dlaczego zatem przypomniał sobie o Sprawie? Zbliżał się powrót i prawdopodobne rozliczenie. Czy Sowa żyje? Zrujnował sobie zdrowie wieloletnimi dializami, ale cała ta dziwna organizacja, zwana Sprawą, pewnie nadal istnieje.

Zbliżał się powrót... Jaki powrót? Nie potrafi nawet otworzyć tej banalnej kraty.

Kolejna myśl pojawiła się nagle i wcale nie pochodziła z zewnątrz. Uwolniony od oziębiającego nanoB umysł sam doszedł do tego, do czego musiał dojść po spokojnym zastanowieniu. To nie Wolf doprowadził do eliminacji Marysi; on tylko chciał mieć Harpada na swoich usługach. Tak jak tu.

Marysia za cykl, za dwa zostanie nieświadomą niczego zakładniczką. Będzie chodzić swobodnie, robić to, co robią dzieci w jej wieku. Nastolatki w jej wieku. Jedynym świadomym wiszącego nad nią zagrożenia będzie Harpad. To proste jak dwa razy dwa. W Międzyzłożeniu Wolf omotał go kodowaniem, w Warszawie musiał użyć staromodnej metody. Zatem eliminacja Marysi oznaczała, że Wolf stracił władzę nad swoim niewolnikiem.

To Sprawa potrzebowała Harpada tu, na dole. Zawiódł ich oczekiwania, przynajmniej tyle. Nie osiągnęli celu, dla którego realizacji poświęcili Marysię. Zabić ich, trzeba ich wszystkich zabić za to, co zrobili. Poczynając od Judyty, kończąc na Sowie. Tyle że Judyta była tu na dole, gdzieś wśród czterystu milionów Międzyzłożeniowców. Nieuchwytna, ale już ukarana.

Korytarzem przeszli dwaj żołnierze.

Prowadzili więźnia na przesłuchanie do Wolfa. Harpad wiedział to, choć wcale o tę informację nie prosił. Szef kogoś szukał, ale sam nie wiedział kogo. Więźniów w Twierdzy było prawie dwustu, a wśród nich wszyscy koderzy.

Usiadł na pryczy. Nie, nikogo nie zabije. Jeżeli Marysia ma odzyskać swoje życie, musi powrócić niezauważona. Nowa tożsamość? Czy możliwe jest założenie nowego rekordu w bazie danych g.A.I.a.?

Rekordu dla dorosłego człowieka?

Jego wzrok padł na nową miskę z papą i nowy kubek z wodą. Jedno i drugie przepełnione nanoB. Ssanie w żołądku nie było nawet odrobinę tak silne jak Zew, ale zaprzętało myśli. Ktoś tu wchodził podczas jego snu. Żołnierz? Czy żołnierza można przekodować, czy istnieją zabezpieczenia?

Czy można bezpiecznie zjeść ten posiłek?

Nie zastanawiał się długo. Breja smakowała przepysznie. O, słaby człowieku, i ty chciałeś przetrzymać Zew?

Zjadł do końca i sprawdził, czy miska jest jadalna. Dawała się pogryźć, ale smakowała jak papier. Wypluł resztki i łapczywie wypił wodę. Dopiero teraz mógł spokojnie myśleć. Skąd przyszła pomoc? Kto zlikwidował Zew? Któryś z koderów? Tego nie miał jak stwierdzić, za to zrozumiał coś innego — człowiek, którego zakodował na odległość, nie dotarł, bo zatrzymali go żołnierze. Ta myśl uderzyła go nagle. Czemu wcześniej na to nie wpadł? Do Twierdzy nikogo nie wpuszczano, ot tak. Jak mógł przeoczyć taką oczywistość? Czy to element zabezpieczenia Twierdzy? Taka przesłona, martwy punkt niepozwalający zobaczyć czegoś, co mamy przed nosem? Wolf mu to wkodował?

A jeśli tak, to o ilu jeszcze takich martwych punktach nie wiedział?

Rozważanie tego nie miało sensu. Na pewno nie teraz. Trzeba ustalić kolejność działań. Po pierwsze musi otworzyć tę kratę. Czyli powrót do punktu wyjścia, bo strażnicy zatrzymają każdego, kto spróbuje się wdrzeć do Twierdzy. Przekodowanie kogoś, kto jest w środku, też nic nie da, bo kolejnych dwóch łysych pilnuje wejścia do samego więzienia.

Rozwiązanie przyszło niczym olśnienie, jakby ktoś zdjął z jego umysłu kolejną przesłonę. Jeden człowiek się nie przedrze, ale dziesięciu, dwudziestu już tak. Ale wtedy przecież część tych ludzi ucierpi, może zginie... Coś zdmuchnęło te obawy, nagle przestały być istotne. Kto to zrobił?

Co to zrobiło? Nie wyczuwał niczyjej obecności, jak poprzednio, gdy zniknął Zew. To coś innego, coś pochodzącego z wnętrza.

Nie musiał się kłaść. Wystarczyło, że zaniknął oczy, by otoczyły go galaktyki rekordów. Wybrał jeden i przekodował go, potem zrobił to samo z drugim, trzecim, kolejnym. Za wolno. Ale znał inny sposób, o niebo lepszy. Coś kazało mu to zrobić, czy to jego własny pomysł? Siła zewnętrzna, oczekująca od lat konieczność czy zwykłe przemyślenie? Paradoksalnie jedno nie wykluczało drugiego. Nie miał sił ani chęci, by to roztrząsać. Ani czasu.

Wybrał tak wiele rekordów, jak tylko się dało za jednym zamachem. I dokonał w nich jednoczesnej zmiany. Tak prostej, że niewartej skupienia.

Otworzył oczy.

Czekał.

Księgowy przeniósł wzrok na wypukły ekran komputera. Zamiast liczb wyskakiwały na nim drżące litery komunikatów.

— Zatrzymują się kolejne fabryki — wyszeptał.

Wolf nie reagował, zatopiony we własnych myślach. Siedział ze wzrokiem ukrytym pod rondem kapelusza. Zdawał się nie zauważać świata wokół.

— Nigdy nie stawała więcej niż jedna — dodał głośniejszym głosem Księgowy.

Coś się zmieniło.

* * *

Coś się zmieniło. Marysia wstała i podeszła do kraty. Nie potrafiła powiedzieć, co ją zaniepokoiło. To był dźwięk, czy tylko przecucie? Może złudzenie?

Nie, na pewno robiło się ciszej. Te wszystkie dźwięki, które przestała zauważać, bo towarzyszyły jej, odkąd pamiętała, boje właśnie uznawała za ciszę, te dźwięki cichły. Cisza stawała się jeszcze cichsza.

Wiedziała już, czuła to, a wiedza pochodziła ze źródła, którego nie potrafiła nazwać, choć dobrze ją znała. Za kilka minut wyjdzie z tej celi, a jej życie zmieni się nie do poznania. Nie zobaczy już swoich bliskich, nie wróci do swojego domu.

Zacznie się dla niej nowe życie.

* * *

Odwieczne dudnienie i pomruk w tle stały się inne, jakby cichsze, przytłumione.

Wydawało się, że to powietrze zgęstniało i gasi dźwięki, ale to coś innego. Nowy dźwięk zastępował stare.

— Nigdy jeszcze... — Księgowy chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Przez Międzypoziomie wędrował narastający grzmot. Powietrze drżało, podłoga drżała, jakby gdzieś obok miała się za chwilę rozpaść rozregulowana gigantyczna machina. Od ścian odpadały słabiej przymocowane elementy. Z pasażu dochodziły krzyki dezorientowanych ludzi. Dym z cygara w nieruchomej, pomarszczonej dłoni przemieszczał się to w prawo, to w lewo, pchany falowaniem powietrza.

Po chwili grzmot zaczął cichnąć, pulsować, rozpadać się na składowe o różnych częstotliwościach. Drgania słabły, krzyki z zewnątrz nie.

Księgowy tkwił zeszywniały, z długopisem nad liczbą dziewięćdziesiąt siedem.

— To już? — zapytał cicho.

Wolf zgasił w popielniczce wypalone w połowie cygaro.

Księgowy popatrzył na księgę, zapisaną w trzech czwartych. Było tyle wolnych stron, tyle miejsca na nieznane jeszcze liczby, na podsumowania i prognozy.

Poświęcił temu zajęciu tysiące cykli. Prawa dłoń zamieniła się w wyślizgany od papieru uchwyt dla długopisu, wzrok stał się czytnikiem do zapisanych wierszy, a mózg maszyną obliczeniową. Nie stało się to bez pomocy kodowania. Nie umiał robić nic innego. Nie chciał robić nic innego. Nie wiedział, że mógłby. To też nie stało się bez pomocy kodowania.

Zapisał na końcu ostatniej linijki zero.

I zamknął księgę.

VI

Nie spodziewał się tego. Liczył na grupę kilkunastu, może kilkudziesięciu osób, które wedrą się do Twierdzy, przebiją przez strażę i uwolnią więźniów. Wszystkich więźniów, żeby zwiększyć chaos.

Wówczas pozostałoby przedostanie się z Marysią do Styku i otworzenie śluzy. No i oczywiście przekonanie jej, by zechciała z nim iść. Co by zrobił, gdyby na końcu odmówiła? Poszedłby bez niej? Tę część planu uważał za najtrudniejszą do zrealizowania.

Pytania chwilowo musiały poczekać.

Na razie rozradowany tłum pchał go i ciągnął przez wąskie korytarze Twierdzy.

W części więziennej tłoczyła się chyba setka ludzi, a przecież następni już przepychali się w przejściach. Słyszał ich, widział przez ażur Struktury. Ilu przekodował?

Dwustu? Trzystu? Imponujący, choć kłopotliwy nadmiar. A teraz oni wszyscy poklepywali go, ściskali, całowali. Coś do niego pokrzykiwali, ale słowa ginęły w zgiełku.

Mężczyźni, kobiety, nastolatki, najwyraźniej cieszyli się z jego uwolnienia. Próbował im się wyrwać, zawrócić i dotrzeć poziom niżej, do celi Marysi. Nic z tego.

Płynął, porwany przez ludzką rzekę, w nieznanym mu kierunku. Nie było mowy, by wejść w trans i dokonać kolejnego przekodowania.

Dotarł do gabinetu Wolfa, teraz pełnego ludzi. Nikt niczego nie demolował, na podłodze nie leżały ciała poległych w walce, a tego się obawiał. Nie było ani Wolfa, ani żołnierzy. Przez otwór prowadzący na taras docierały odgłosy tłumu. Co tam się stało na dole?

Ludzie wokół Harpada zmieniali się, ale wciąż z tym samym uporem prowadzili go w jedną stronę. Nikt go mocno nie trzymał, nie szarpał ani brutalnie nie popychał.

A jednak próby skręcania, zatrzymania się nic nie dawały. Musiał iść ze wszystkimi.

Nie prowadzili go do wyjścia. Skręcili w stronę tarasu. Rozstępowali się, a wzrok

mieli dziwnie rozogniony.

Panika pojawiła się, kiedy zrozumiał.

Nie widział żadnych ciał, bo wszystkich rezydentów Twierdzy zrzucano z tarasu!

A teraz to samo zrobią i z nim! Szarpnął się do tyłu. Nic to nie dało, nawet ich nie spowolniło. Napotkał miękki opór. Zamknął oczy i rozpaczliwie usiłował wywołać trans. Zrezygnował. Spróbował sięgnąć do najbliższych rekordów; to mógł zrobić nawet teraz. I zrobił. Czterdziestolatek za jego plecami zatrzymał się, nie wiedząc, co się z nim stało. Dziewczyna po lewej, kawałek dalej rozejrzała się, zdziwiona.

I tak była za daleko, by to coś mogło zmienić. Wolno, zbyt wolno! Cofnięcie ostatnich zmian w ten sposób nic nie da. Przekodował pięć osób, ale w miejsce każdej pały rąk pojawiały się nowe.

Już był na tarasie, barierka zbliżała się nieuchronnie. I nagle nacisk zelżał. Wokół zrobiło się pusto. Rozejrzał się, jego wzrok spotkał się z wpatrzonymi w niego kilkudziesięcioma parami oczu. A potem spojrział w dół. Stali tam wszędzie, na ziemi, na rurach instalacji i na kontenerach, na pomostach rozpiętych nad pasażem. Tysiące wpatrzonych w niego twarzy. Cisza rozlała się we wszystkie strony. Nie pamiętał, by kiedykolwiek, nawet na Górze, doświadczył takiej ciszy. Co tu się działo? Kto to wszystko zrobił? On przecież tylko zakodował ich, by tu przyszli i otworzyli wszystkie cele. Kto więc dopisał polecenie przyciągnięcia go tutaj i postawienia przed tym tłumem? Kto tym na dole kazał na coś czekać?

Wszyscy wstrzymali oddech, by niczym nie zakłócić tej ciszy. Czekali na jego słowa.

Te olśnienia, informacje znikąd — powinien się już do nich przyzwycząić. Ale nie przyzwycząił się. Spadały na niego niespodziewanie i obdarowywały informacjami, których wcale nie chciał.

Tłum w dole niecierpliwił się, pojedyncze szepty i szurania zamieniały się w narastający szelest, który mógł zapowiadać huragan.

Wiedział, co ma mówić. Nieproszone olśnienia wdarły się do jego umysłu, wypowiedziały wszystko. Uniesieniem ramion przywrócił ciszę i odezwał się: — Oto jestem!

* * *

Nie tak wyobrażała sobie swoją ucieczkę z więzienia. Wcześniej oczywiście

próbowała dosięgnąć końcówki pręta blokującego kratę. Chyba wszyscy tutaj tego próbowali. Niestety, ten, kto wykonał kratę, przewidział takie próby. Strażnik musiał mieć niezły ubaw, oglądając te nieudolne wyciągania rąk. Potem liczyła na to, że ją wypuszczą, bo w sumie to nie zrobiła niczego złego. Niczego bardzo złego. Była zdecydowana na wiele, by się uwolnić, wyzerować ten błąd. Mogła zrobić tyle rzeczy, o których nigdy nie powiedziała by Elizie. I chciała, bo stawką chwilowej przykrości była wolność.

Tata. Harpad. Śmierdzący papierosami łysiejący mężczyzna w zielonej kurtce. Po cóż odkopywała to wspomnienie? Czemu zdecydowała się mu pomóc wyjść z tego powtarzalnego jednodniowego transu? Spotkała go, zbieg okoliczności, jaki się trafia raz na tysiąc cykli. Można powiedzieć, że pech. Ale nie, to nie tak. Nie żałowała, że go spotkała. To wyrwało ją z czegoś, co wydawało się niewiele lepsze od losu jednodniowych.

Cóż odosobnienie więzienia robi z umysłem! Wobec braku bodźców zewnętrznych prym wiedzie rozpamiętywanie przeszłości. Czym się jej los różnił od losu jednodniowych? Codziennie robiła to samo w tysiącach powtórzeń, tylko pamiętała poprzednie cykle. Ile? Nieważne, wszystkie zlewały się w jedno.

A potem przybiegli ludzie, rzeka ludzi, i krata otworzyła się.

Nie tak wyobrażał sobie ucieczkę z Między poziomiami. Szedł na czele wielotysięcznego tłumu w identycznych pomarańczowych kombinezonach. Dołączali następni, schodzili z pomostów i z przestrzeni ukrytych wewnątrz struktury.

Ludzka ameba przeciskała się przez wąskie gardła śluz, teraz otwartych na oścież, i rozlewała po drugiej stronie na całą szerokość.

Nie widział końca tej masy. Ile mogło ich tam być? Kilka twarzy już rozpoznawał, trzymali się cały czas blisko, nie dopuszczali innych. Przyjęli coś w rodzaju funkcji ochroniarzy. A może strażników? Tego również im nie zakodował.

Nie miał pojęcia, gdzie jest Marysia ani czy wszystko z nią w porządku. Nie potrafił tego sprawdzić, nie w tych warunkach. Być może chwila słabości i zjedzenie papy z nanoB było błędem?

Tłum uwolnił wszystkich więźniów, zapewne więc jej krata też została otworzona. Nie zamierzał wchodzić do śluz Styku, dopóki nie odnajdzie córki, choć liczył, że to ona odnajdzie jego.

Pamiętał drogę, jakby przemierzał ją tydzień temu, a nie przed siedmiu laty.

Pustkowie Umieralni wyglądało tak samo, przybyło jedynie śmieci. Szedł ścieżką, a jego wyznawcy tratowali sterty odpadków, potykali się, przewracali i wstawali, nie czując bólu. Byli wyznawcami, nie miał wątpliwości, choć nie wiedział, czemu za nim idą — zmienił tylko kilka cyfr w ich głowach. Chcieli się dostać do Warszawy?

Całkiem prawdopodobne. Czy ujawnią zatem warszawiakom tajemnicę Eliminacji?

Nie miał pojęcia, co się wydarzy. Jednego tylko był pewien — bez Marysi nie wejdzie do Styku.

Z otworów Struktury wyłaniały się szare twarze postarców o oczach tak zapadniętych, że wyglądały jak mumie. Czaszki obciążone pomarszczoną skórą. Czy są świadomi, czy widzą to, na co patrzą?

A może ich umysły już opuściły ciała, puste wehikuły, które z przyzwyczajenia wykonywały zadane wcześniej ruchy?

Podążanie za dźwiękiem, obserwacja, to wszystko, co im zostało.

Szedł coraz wolniej, a tłum, o dziwo, zwalniał razem z nim, dotykał go, ponaglał miękko.

Gdzie ona jest? Gdzieś z tyłu, wśród dziesiątek tysięcy innych rekordów. Gdyby zawrócił, czoło kolumny zawróciłoby za nim. Chaos tylko by się pogłębił. Pozostawała nadzieja, że Marysia wie, kto prowadzi wszystkich, i to ona go odnajdzie.

Mijali kolejne śluzy, również otwarte na oścież. Zewsząd wychodzili ludzie. Zdawało się, że to się nigdy nie skończy.

I wreszcie dostrzegł wrota, które były zamknięte. Styk.

Tłum z tyłu napierał. Robiło się coraz ciasniej. Marysia była gdzieś tam, dalej niż poprzednio, kiedy sprawdzał. Nie przedrze się przez te zwarte szeregi. Wokół niego pozostawała minimalna wolna przestrzeń.

I to już nie on prowadził tłum, lecz tłum prowadził jego. Krąg z jego osobistych ochroniarzy, naciskany przez resztę, skręcał w stronę śluzy Styku. Musiał tam iść.

Gdyby się zatrzymał, ci za nim też by się zatrzymali, i ci za nimi też, ale gdzieś dalej bezwładność masy ludzkiej osiągnęłaby śmiertelne zagęszczenie. Tam była też Marysia.

Spróbował skręcić w stronę wolnej przestrzeni. Napotkał mur ciał. Więc to nie jego wola, to algorytm. Zatrzymał się, dotknął dłonią wrót Styku. Skupiał myśli na tym, by ich nie otworzyć. Najpierw Marysia, potem wrota. A potem... powrót do Warszawy.

Czy możliwe jest założenie rekordu dla dorosłego człowieka?

Nie miał pojęcia, jak tłum zachowa się w ciasnych korytarzach. No i samo przejście przez śluzę nie oznaczało jeszcze sukcesu. Dalej są windy, kolejne śluzy, pancerne wrota terminali wyjścia. Podróż na Górę tej nieprzebranej rzeszy zajmie całe tygodnie.

Zamknął oczy i oparł się czołem o zimny metal. Co ja zrobiłem...? Nie pamiętał, co im powiedział z tarasu Twierdzy. Luka w pamięci, ssąca rana, gdy już zdał sobie sprawę z jej istnienia. Jak przedtem, gdy porzucił bycie jednodniowym.

Zatem ktoś, coś mówiło przez niego. Używało jego ust.

Czyli on sam też jest zakodowany.

Choć wydawało się to niemożliwe, tłum nadal gęstniał. Z góry wyglądało to pewnie jak oglądane w zwolnionym tempie zderzenie masy plastycznej z twardą przeszkodą. Oni nie zatrzymają się. Będą przecć centymetr po centymetrze, dreptać, szurać.

Aż zaczną umierać, zgniecieni prasą własnych ciał.

Osunął się po powierzchni wrót, usiadł na ziemi i schował głowę w dłoniach. Odetchnął głęboko i wszedł w trans.

Otoczyły go dziesiątki tysięcy galaktyk złożonych ze świetlistych cyfr. Sięgnął do nich wszystkich naraz i natychmiast się cofnął, skulony. To było jak uderzenie prądem. Nie miał do nich dostępu, nie mógł niczego zmienić. Każdy pojedynczy rekord otwierał się, ale próba wybrania choćby kilku jednocześnie kończyła się bolesną odmową. Ta sztuczka udała się tylko raz.

A może przekodowanie jest możliwe tylko w jedną stronę?

Otworzył oczy. Dziesiątki ludzi wpatrywały się w niego z góry w oczekiwaniu, że ich poprowadzi. I że poprowadzi ich towarzyszy, którzy stali dalej i nie mogli go widzieć. Wszystkich tych szaleńców chciał odesłać precz. Nie był zbawicielem świata, nie prosił się o to. Cała ta empatia jest mocno przereklamowana. Nawet jeśli niechcący, za sprawą nieznanego błędu rządzącego tym światem, zepsuł ich umysły, to on sam nie był jego autorem. Wykorzystał go nieświadomie, jak dziecko psujące skomplikowany mechanizm patykiem wetkniętym w przypadkowy otwór.

Wdrapał się na kontener obok zamkniętej śluzy. Może wypatrzy Marysię wśród tego morza głów.

Tłum cichł. Oczekiwali kolejnej przemowy.

A on miał pustkę w głowie.

* * *

Nie chciała iść z tym tłumem. Chciała dotrzeć do taty, bardzo chciała. Ta potrzeba pojawiła się nagle i była silniejsza nawet niż ten jej szczątkowy Zew. Cóż odosobnienie więzienia robi z umysłem! Przez półtora, może dwa cykle, kiedy siedziała w celi, zdążyła znienawidzić ojca i go pokochać. Targana emocjami, obijała się o ściany. A teraz chciała tylko iść za nim, być jak najbliżej. Porozmawiać? Może.

Przytulić się. Cokolwiek. Już nie żałowała wr najmniejszym nawet stopniu, że przystanąła przy nim z torbą pełną pomarańczowych puszek.

Nie mogła go znaleźć w tłumie. Ludzie zagubili się w tej ciszy. Szli gdzieś, otumanieni bezruchem fabryk. Była w samym środku tego ludzkiego dywanu. Być może, gdyby spróbowała się wydostać, schować za przeszkodą, udałoby się jej. Nie chciała, podążała wraz z tysiącami mieszkańców w nieznanym kierunku i ten nieznanym kierunek był kierunkiem właściwym. Skąd to wiedziała?

Szli przez kolejne śluzy, kolejne pasáže, wreszcie przez Umieralnię. Z góry patrzyli na nich postarcy, którym nanoB nie pozwalało umrzeć na żadną ze znanych chorób, a sami nie mieli odwagi zakończyć życia.

Czy ktoś ich wszystkich prowadził?

Chyba tak. Ktoś przecież musiał iść na przedzie. Mówili między sobą o Przewodniku, który właśnie nadszedł. Może nie była to tylko legenda?

Zrobiło się naprawdę ciasno. Z miejsca, gdzie stała, nie mogła dostrzec, co się dzieje z przodu. Prawdopodobnie coś ich tam zatrzymało, podczas gdy ci z tyłu nadal chcieli iść. Ona też chciała posuwać się naprzód, być bliżej celu, czymkolwiek on był.

Z boku dostrzegła zamieszanie, jakiś ruch. Ludzie rozstępowali się, by kogoś przepuścić. Znajoma głowa przesuwiała się ponad tłumem, jakby wieńczyła ciało o wzroście trzech metrów. Wolf, bo to był on, siedział w lektyce skonstruowanej naprędce z fotela, drzwi i dwóch rur. Niosło go czterech łysych. Kolejnych dwóch szło na czele i rozpychało ludzi, którzy nie zdążyli usunąć się z własnej woli.

Marysia też się cofnęła, choć stała w pewnej odległości. Nienawidziła tego człowieka i bała się go. Wolf nie zwracał na nikogo uwagi. Patrzył spod runda kapelusza gdzieś przed siebie, na kogoś, kogo Marysia nie mogła zobaczyć. Nie obchodzili go ludzie, stanowili tylko masę. Wolfa obchodził Przewodnik.

Bo on istniał. Tego Marysia była już pewna, choć nie wiedziała, skąd ta pewność się wzięła.

Zew pchał ją za nim, tak jak wszystkich wokoło, z tą różnicą, że ona potrafiłaby przeciwstawić się tej sile, wyłączyć ją.

Ledwo lektyka Wolfa zniknęła w morzu głów, ludzie znów zaczęli wolno przeć w jedynym możliwym dla nich kierunku.

W kierunku Przewodnika.

* * *

Harpad ze zdziwieniem, ale i ulgą przyjął widok zbliżającej się lektyki. To odraczało konieczność powiedzenia tym wszystkim ludziom czegoś mądrego. Już nie bał się Wolfa. Gdyby tylko zechciał, mógłby tysiącem rąk rozerwać go na strzępy. Nie zamierzał nikomu robić krzywdy ani się mścić za cokolwiek. Chciał tylko, żeby wszyscy dali mu spokój i najwyczejniej w świecie odeszli.

Tłum rozstępowa! się przed orszakiem, jakby aura Wolfa nadal wywierała na otoczenie fizyczną presję. Zapewne tak było.

Trwało kilka minut, nim lektyka dotarła do kontenera. Teraz, poza cieniem gabinetu, Wolf wyglądał bardzo staro. Zapadł się w sobie, przygarbił. Marynarka wisiała na nim, jakby była o dwa rozmiary za duża.

To nie pomyłka krawca, to właściciel się skurczył. Redukcja stężenia nanoB we krwi oznaczała wolny umysł, ale i brak ochrony, jaką mieli wszyscy wokoło. Coś za coś.

Harpad patrzył na niego z uczuciem, w którym rozpoznał wzruszenie. Patrzył na starca, któremu zostało niewiele życia.

Przeznaczenie go dopadło, a raczej sam mu się poddał. W tym świecie nie było chorych ludzi. Tu można być tylko zdrowym lub martwym. Do tej pory Wolf sobie tylko znanym sposobem oszukiwał system, który teraz upomniał się o niego.

— Podejdz. — Wolf uniósł starczą dłoń. — Ja nie wstanę.

Harpad podszedł do krawędzi kontenera i pochylił się, by ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. Wolf nie chciał go zabić. Gdyby miał taki zamiar, nie fatygowałby się osobiście.

W wyciągniętej dłoni starca coś było, coś drobnego. Harpad wysunął swoją dłoń, a Wolf włożył do niej metalowy drobiazg — srebrny wisiołek przedstawiający dwa

połączone ramionami krzyże.

— Przekaż mu to.

Ciało Wolfa było cieniem dawnej siły, lecz w oczach wciąż tlił się żar. Harpad przełknął ślinę i przytaknął. Wolf ledwo zauważalnie skinął głową.

Orszak ruszył w podróż powrotną. Harpad wstał, by odprowadzić go wzrokiem.

Ponad krawędź oparcia fotela wystawał tylko czubek kapelusza. Kiwał się w rytm kroków tragarzy. Harpad zdał sobie sprawę, że nigdy nie widział Wolfa stojącego — ani tego z Międzyzwozów, ani tego z Warszawy.

A wtedy powrócił do rzeczywistości i był to powrót bolesny. Stał naprzeciw wielotysięcznego, gęstniejącego tłumu, który czekał na jego słowa. Jedynym sposobem, by rozładować nagromadzone napięcie, było otwarcie śluzy i wpuszczenie ludzi do środka. Tylko czy wejdą tam bez niego?

Powinni, przecież nie chodziło im o to, żeby znaleźć się na Górze. On był tylko przewodnikiem. Przewodnikiem, który nie wie, co powiedzieć.

Nieoczekiwanie z jego ust wydobyły się słowa.

Przewodnik przemawiał. Marysia go nie słyszała, ale docierały do niej słowa powtarzane przez pośredników. Co kilkadziesiąt metrów człowiek o donośnym głosie słuchał słów wykrzykiwanych przez kogoś stojącego bliżej Przewodnika, a może bez tego wiedział, co mówić. Przekazywał je dalej. Po zdaniu, po dwa, fala informacji płynęła przez tłum. Kto ich wyznaczył do tej roli? Skąd wiedzieli, że to właśnie oni mają przekazywać wiadomość dalej?

Nie słuchała, nie obchodziły jej czyjeś słowa. Rozglądała się, by odszukać tatę.

Beznadziejne zadanie przy takiej liczbie ludzi. Nieznany wewnętrzny głos podszeptował, że musi iść do przodu. Czy to podpowiedź, gdzie on jest? Nie, to tylko ten bezmyślny Zew. Nie chciała podążać za Przewodnikiem, chciała znaleźć tatę. Ten jej opór niczego nie zmieniał, próbowała się zatrzymać, lecz inni popychali ją, w efekcie przemieszczała się.

Dobiegł ją nowy dźwięk, jakby pulsujące mruczenie. Podchwycili je wszyscy, przestrzeń szybko wypełniła się mruczeniem tak głośnym, że żadne słowa nie miały szansy się przez nie przebić. Coraz bardziej przypominało ono słowo, które Marysia znała z rozmów z tatą. Tak, było znajome, choć nie potrafiła go rozpoznać.

Głośniej, coraz głośniej, krzyczeli je już wszyscy, i wymachiwali do rytmu

uniesionymi pięściami. Nie chciała się wyróżniać. Uniosła rękę i wymachiwała razem z innymi. Wsłuchiwała się, zajęło jej chwilę, nim zrozumiała, co skandują. Powtarzane w kółko jedno słowo.

Warszawa.

To było jak przebudzenie. Skończył przemawiać. Znów to samo. Stał na kontenerze, a w głowie obracała mu się ostatnia wypowiedziana sylaba. Co było wcześniej, nie pamiętał. Przewodnik, który nie panuje nad własnym umysłem, jest tylko pośrednikiem.

— Warszawa!!! Warszawa!!! Warszawa!!!

Wyrzucane w powietrze pięści podkreślały każdą sylabę. Harpad czuł energię bijącą od tłumu. Mógł nią dysponować, mógł ją wykorzystać. Potrafił to zrobić. Nie ma na co czekać, lepszego momentu nie będzie. Pozostała jedna rzecz, z którą teraz poradzi sobie z łatwością — otworzenie śluzy Styku. Jeśli ludzie zaczną tam wchodzić, zrobi się luźniej. A on sam odnajdzie Marysię.

Zeskoczył z kontenera, a grupa jego osobistych ochroniarzy natychmiast go otoczyła. Podeszedł do panelu kontrolnego.

Co zrobi, jeśli nie zdoła założyć jej nowego rekordu? Czy będzie musiał kogoś zabić, żeby Marysia mogła zająć jego miejsce? Czy umiałby to zrobić? Tego nie był pewien. Na pewno potrafił zmienić jej tożsamość. Siedem lat temu dotknął panelu skanera i zmusił system do uznania go za kogoś innego.

Potrafił wszystko. Mógł wszystko.

Dotknął panelu sterowania i w myślach wydał polecenie otworzenia śluzy.

Wrota ani drgnęły.

* * *

Coraz bardziej przeszkadzał jej narastający ścisk. Nie mogła wziąć głębszego oddechu. Gdzieś tam z przodu musiało być jeszcze gorzej. Tam ścisk osiągnął wartość krytyczną i teraz cofająca się fala wstrzymała powolny pochód. Ale tutaj nikt nie chciał się zatrzymać. Marysia zasłaniała się ramionami. Nic to nie dawało. Pozwoliła się prowadzić kolejnym falom, przesuwanym ją w przód i w tył. Skupiła się na tym, by w chwilach najmniejszego ścisku łapać choć haust powietrza.

Nie miała pojęcia, jak oni odnajdywali siłę, by wciąż skandować: — Warszawa!!! Warszawa!!! Warszawa!!!

Spróbowała wspiąć się ponad ramiona innych. Nie tylko ona wpadła na ten pomysł, a inni byli silniejsi. To już ten moment, gdy każdy jest wrogiem, bo samo jego istnienie zabiera ci przestrzeń.

— Warszawa!!! Warszawa!!!

Czyjaś dłoń chwyciła ją za bark i wcisnęła w dół. Nie ze złości — jej bark był tylko punktem oparcia. Upadła pod nogi innych. But uderzył ją w policzek, aż ją zamroczyło. Nie celowo. Poczła w ustach słodkosłony smak krwi.

— Warszawa!!!

Między gęstwiną przesuwających się nóg wypatrzyła wiązkę biegnących pionowo rur wspartych na grubej kratownicy.

Uniosła się na łokciach i kolanach i zaczęła się czołgać w tamtą stronę.

* * *

Przepływała przez niego nieznana energia. W pewnym stopniu mógł nią kierować, ale nie odczuwał dawnej satysfakcji. Był jak medium, wykorzystywane przez nieznana siłę. Przez g.A.I.a. siedzącą w serwerach jeszcze głębiej niż Międzypoziomie?

To niematerialne monstrum, które chciała zniszczyć Sprawa? Pozwoliło mu przejść przez to wszystko, dotrzeć aż tutaj, a teraz na krok przed celem bawi się nim.

Zdjął dłoń z jarzącej się chłodno powierzchni panelu, oparł głowę o metal.

Tłum za nim nie przestawał skandować.

To chcieli zrobić bojownicy Sprawy.

Wyłączyć tego potwora. Wysadzić serwery g.A.I.a. A może właśnie to zrobili przed kilkoma godzinami? Może wysłali kogoś jeszcze; minęło przecież siedem lat. Mogli wysłać tu wielu szaleńców zmotywowanych tak jak Harpad. Zmanipulowanych tak, by sami chcieli tu zejść. Zabrali im dzieci, czy wyprali mózgi? Może któremuś udało się zniszczyć serwery i oto skutki — nic nie działa.

Nie. Fabryki zatrzymały się, gdy on przekodował ludzi. Odeszli od taśm, więc wszystko stanęło. Zaniknął oczy — g.A.I.a.

wciąż tu była, wyświetlała mu pod czaszką dziesiątki tysięcy rekordówgalaktyk. Nikt tu niczego nie zniszczył.

Czemu zatem śluza nie chce się otworzyć? Obiecał im to. Obiecał niebo, przestrzeń, jasność, ciszę. Obiecał wolność, obiecał noc i dnie, czyste powietrze, deszcz, chłodny

wiatr i ciepłe popołudnia.

Obiecał Warszawę.

Nie on obiecał, coś obiecało jego ustami, nawet nie pamiętał słów. Ale usłyszeli to od niego.

Oszukany tłum napierał, a wysiłki stojących najbliżej, by to powstrzymać, zdawały się na nic.

Harpad zamknął oczy i wszedł jeszcze raz w czarną wnętrność. Przeleciał nad dziesiątkami, setkami tysięcy, milionami rekordów, by dotrzeć do serca g.A.I.a. Nie chciał jej niszczyć, zresztą nie umiałby tego zrobić, ale mógł ją zmienić, przekodować.

Zmusić do rozejmu, do zmiany zasad, a choćby i tylko do otwarcia śluzy. To potrafił. Wierzył, że się uda, jeśli tylko dotrze do samego środka. Leciał coraz szybciej, mijając miliony rekordów, za którymi unosiły się kolejne. Chaotyczna, rozmyta sieć, bez wewnętrznej architektury, bez węzłów nawet. Bez punktu centralnego.

Uniósł się ponad, uciekł w bok, w dół, we wszystkie strony jednocześnie. Znalazł się poza i naraz ogarnął wszystko. Pierścień Warszawa, obok Pierścień Kraków, Poznań, Wrocław, Trójmiasto, Berlin, Monachium, Paryż, Londyn, Nowy Jork, Szanghaj, Tokio, Kinszasa, Kair, Lagos, Bangalore, Kapsztad i kolejne. Widział je wszystkie naraz. Dalej nie było niczego, tylko ciemność.

Punkt centralny nie istniał.

Nie wyłączycie serwerów g.A.I.a., bo one nie istnieją. Wszystko dzieje się w głowie. W waszych głowach! g.A.I.a. krąży w waszych żyłach, głupcy! Cała ta totalna i opresyjna hiperprewencja siedzi w was samych i nigdzie indziej. To wirus, który wrósł w wasze ciała i umysły. Już się jej nie pozbędziecie. Nie pomogą żadne dializy, żadne trutki, żadne kodowania.

Coraz więcej danych, coraz szybszy transfer.

Zrozumiał wszystko. Trafił tak daleko, że już nie potrafił wrócić.

Nie miał już dokąd wracać.

VII

Na cętkowanej jasnymi kropkami czerni wisiało jaśniejsze koło. Szare i białe kłęby zwolniły już i wymieszały się.

Pchane siłą odśrodkową, dążyły teraz na zewnątrz ku krawędziom, pozostawiając wewnątrz ciemności. W samym środku pojawił się punkt, ostry jak igła, jasny jak serce gwiazdy. Rozlał się w kulę, zapulsował i zmatowiał.

* * *

Cisza łączyła się ze smutkiem. Marysia pół siedziała, pół leżała wciśnięta między rury. Rozcięcie na kości policzkowej szczypało pod zaschniętą krwią. Nie zwracała na to uwagi. Miała poczucie wielkiej straty, choć nie potrafiła określić, co właściwie jej zabrano.

Zew, który prowadził ich wszystkich, zniknął. Już nie parli naprzód, lecz kręcili się w kółko, próbowali oddalić się od tłumu. I nie mogli, bo znajdowali się w jego środku, tworzyli go.

A potem nadciągnęło dudnienie. Rozwijało się powoli. Znajome dudnienie, znajomy szum, znajome dźwięki. Fabryki mszyły, cała ta międzypoziomowa maszyna rozpędzała się. Zew fabryk wyparł Zew Przewodnika.

Trwało trochę, może nawet ćwierć cyklu, nim tłum rozrzedził się na tyle, by już go nie nazywać tłumem. Między leżącymi ciałami krążyły szczuropsy. Pozostali przy życiu próbowali je odganiać. Nie na wiele się to zdawało.

Choć zagrożenie już minęło, Marysia nie mogła się zdobyć na wyjście z kryjóWKi. Dokąd ma pójść? Powrót wydawał się abstrakcyjny, niedorzeczny. Jakieś wewnętrzne przekonanie obrzydzało jej drogę do domu. To już nie był jej dom.

Ostatni cykl zmienił wszystko. Nie wiedziała jeszcze, co robi, ale wiedziała, że nie wróci. Rozpoznała w tej niechęci Zew.

Przewodnika już nie było, lecz jego Zew, choć osłabiony, trwał.

Wreszcie opuściła kryjówkę i na chwiejnych nogach podążyła za nim. Czuła niemal fizyczną presję, jakiej wcześniej nie doświadczyła. To był jej pierwszy prawdziwy Zew. Ten nieodparty.

Weszła między ludzi. Nie widziała, jak wiele osób wciąż tu jest. Nie tłoczyli się.

Wydawali się zagubieni, wolno szli w tę stronę, co ona. Przeszypowała ponad nieruchomymi ciałami. Zew wyłączył współczucie, zredukował ją do roli pasażerki własnego ciała. Kątem świadomości widziała cyfry biegnące między wszystkimi ludźmi.

Stapała po ciałach, potem po jednolitej masie, w którą zamieniły się zwłoki bliżej śluzy.

Gdy świadomość wróciła, Marysia stała przed wejściem do Styku. Wrota pozostawały zamknięte, a panel tlił się zimnym blaskiem. Za jej plecami stali ludzie. Nie musiała się odwracać, wiedziała, że patrzą na nią. Wszyscy czekali na nią; czekali, co zrobi. Bała się odwrócić i napotkać ich spojrzenia.

Zamknęła oczy. Czarna wnętrność i ludzie jak chmury świetlnych punkcików, a każdy punkcik jak kłębek cyfr. Nie dziwiło jej, że doświadcza takiej wizji. Nie dziwiło, że potrafi się tu poruszać i odnajdywać właściwe informacje. Wiedziała, czego potrzebuje, i dostała to w milionach cyfr. Od galaktyk rekordów oderwały się świetlne punkty i utworzyły wzór, a ona go rozumiała. Liczył miliony elementów, a jej wystarczyło okamgnienie, aby go osiąść.

Otworzyła oczy i dotknęła panelu.

Wrota jęknęły i z sykiem wyrównywanego ciśnienia rozsunęły się na boki. Marysia wolno je przekroczyła. Śluza wyglądała jak te, które wcześniej знаła, a jednak było w niej coś innego. Tu inaczej pachniało, było ciszej i chłodniej. Marysia nie czuła już Zewu, lecz wiedziała, co powinna zrobić.

Weszła do śluzy, a wraz z nią weszła setka, może nawet trochę więcej ludzi. Tyle, ile mogło się zmieścić bez tłoczenia się.

Wrota za ich plecami zasunęły się, a chwilę potem otworzyły się te przed nimi.

Marysia ruszyła przodem, na czele małej grupy, przez korytarz pełen pustych wnęk.

Szła wolno, by kolejne grupy pokonujące śluzę nie straciły z oczu tych przed nimi.

Nie musiała robić niczego więcej. Robiły to cyfry. Śluza będzie teraz cyklicznie wpuszczać ludzi, aż wszyscy, którzy mają przekroczyć Styk, go przekroczą. Tak samo zadziałają inne śluzy całego Pierścienia Warszawa.

Znała drogę przez kolejne korytarze i kolejne przejścia. Prowadziła milczącą ludzką masę do lepszego świata.

* * *

Pomarańczowoszare niebo przesłaniały targane podmuchami wiatru drobiny sadzy i pyłu. Było ciepło, za ciepło. Każdy głębszy oddech sprawiał ból. Warszawa nie wyglądała tak, jak Marysia zapamiętała w tych nielicznych okruchach wczesnych wspomnień. Nie było błękitnego nieba, szklanych budynków ani ludzi spacerujących szerokimi chodnikami. Tu nie było żadnych ludzi. Nie było chodników ani budynków. W zasięgu wzroku miała gruzy, poskręcane i nadtopione wraki, nieokreślenie pogięte, niewystygłe jeszcze elementy stalowe. A nad tym wszystkim unosiły się, jak sępy, skrawki resztek nie wiadomo czego. Wiadomo, resztek miasta.

Miasta ruin.

Kolejne grupy opuszczały terminale.

Ludzie rozglądali się nieprzytomnym wzrokiem świeżo wybudzonych z długiego snu.

Nie wiedzieli, co widzą. Nie znali niczego poza Między poziomem. Z niepokojem unosili głowy, nad którymi brakowało czerni; kulili się, pozbawieni Struktur, nadających ramy przestrzeni. Zamiast dudnienia maszyn słyszeli tylko szum gorącego wiatru.

Nieliczni, którzy pamiętali stary świat, padali na kolana, unosili w dłoniach bryłki przemielonego nieznaną siłą gruzu i płakali. Niektórzy siadali i ukrywali twarz w dłoniach. Inni krzyczeli i wygrażali komuś, kto nie istnieje.

Marysia miała siłę tylko na to, by znaleźć osłonięte miejsce, położyć się tam i zamknąć oczy.

Cyfry ukołysały ją do snu.

* * *

Obudziła ją jasność. Zasnute dymem Niesłońce i tak świeciło za mocno dla kogoś, kto większość życia spędził w półmroku. W zasięgu wzroku snuło się kilka postaci. Większość jeszcze wczoraj rozeszła się w poszukiwaniu... czegokolwiek.

Gruzów ubyło, a może tylko tak się wydawało? Niebo za to z pewnością stało się czystsze, a powietrze chłodniejsze.

Z odległego o dwieście metrów terminalu nadal wychodzili nowi.

Przeszło jej przez myśl, czyby nie wrócić na dół.

I wtedy zobaczyła coś, co wyparło wszystkie inne myśli. Za połamanymi stalowymi dźwigarami stało coś, na widok czego poczuła ssanie w żołądku. Wcześniej w ogóle nie pamiętała o głodzie i pragnieniu, a teraz jedno i drugie dopadło ją ze zdwojoną siłą. Podeszła do przedmiotu wielkości sporej lodówki. Kompilator spo żywczy. I to nie taki z wodą i papą. Wybór dań był naprawdę imponujący, choć ich nazwy niewiele jej mówiły.

Wciąż nie wierząc własnemu szczęściu, dotknęła panelu kontrolnego i wybrała pierwszą z brzegu pozycję. Urządzenie zaszumiało i zachrobotało.

Chwilę później siedziała w cieniu, zjadała się gulaszem i popijała go słodkim napojem z bąbelkami. Do kompilatora ustawiła się już kolejka.

Trzeciego dnia gruzów było wyraźnie mniej, choć Maiysia nie zauważyła, by ktokolwiek je uprzątał. Zajęła malutkie mieszkanie na pierwszym piętrze na wpeł zawalanej kamienicy. Nie przetiwały tu żadne meble, ale z kilku szmat ułożyła sobie legowisko, na którym całkiem wygodnie się wyspała. Kompilator spożywczy stał kilka kroków od bramy. Na razie musiało to wystarczyć.

Znalazła miskę, w której umyła twarz.

Rana na policzku już się zasklepiła. Zostanie po niej mała blizna. Niewielkie zmartwienie w tym momencie.

Wiele budynków zawaliło się całkowicie, jednak niektóre przetrwały w różnym stopniu uszkodzenia. Te powoli się zaludniały. Nowi mieszkańcy naprawiali, co się dało, organizowali się, uprząтали podwórka.

Powietrze było już na tyle przejrzyste, że z okna widziała ruiny kilometr dalej.

Perspektywa powietrzna matowiła wszystko do zera gdzieś za placem Konstytucji i wystającym z gruzów szkieletem Prudentiala.

Zamknęła oczy. Pozwoliła, by Warszawa owinęła jej się wokół głowy.

* * *

Czwartego dnia ludzie zaczęli zapominać.

Wyszła ustawić się w kolejce do kompilatora spożywczego, ale kolejki nie było.

W zasięgu trzystu metrów w prawo i w lewo dostrzegła kolejne kompilatory.

Choć przy tym najbliższym nie było nikogo, poszła do następnego, tego nowego. Wyglądał identycznie. Jakiś czterdziestolatek wahał się między schabowym a pierogami z mięsem. Marysia już przestała się dziwić, czemu wie takie rzeczy, które powinny pozostać zamknięte przed cudzym umysłem. Cyfry nie uznawały żadnych tajemnic.

— Tego automatu wczoraj tu nie było — zauważyła.

— Działa. — Mężczyzna nawet na nią nie spojrział.

— Działa, pewnie działa. Mówię, że wczoraj go nie było.

— Jest i działa.

Nie czekała, co tamten wybierze. Wiedziała. Odwróciła się i wolno mszyła w stronę swojej kamienicy. Dziś mieli włączyć ciepłą wodę.

Nareszcie, ale... Skąd ta informacja?

I skąd woda?

Uniosła głowę. To już nie była mina.

Jej kawalerka mieściła się w podniszczonej kamienicy. Podniszczonej, ale nie zrujnowanej. Siedem pięter i spadzisty dach. Gdy się wprowadzała, nad drugim piętrem piętrzyła się tylko kupa gruzu.

Facet wybierze pierogi.

Rynny może i ciekły, okna się nie domykały, łóżko niezmiennie było zapadnięte, ale lubiła swoje mieszkanie. Mieszkanie z łazienką.

Łazienką, której jeszcze wczoraj nie było. Tak jak łóżka.

Wciąż widziała ludzi na dwa sposoby.

Pierwszy był normalny i niewart uwagi; drugi za to ciekawszy, najlepiej działał po zamknięciu oczu. Wszyscy wyglądali wtedy jak chmury cyfr, unoszących się w nieokreślonych jednoznacznie kształtach.

Te chmury pozwalały się modyfikować.

Umiała to robić. Kilka razy to zrobiła, ale nie sprawiało jej to żadnej przyjemności ani nie widziała w tym sensu. Grzebanie się w nich odczuwała wręcz jako przykrość.

Skąd wiedziała, że mężczyzna wybrał pierogi? Na pewno nie mogła tego zobaczyć z tej odległości. Szedł przygarbiony z talerzem pierogów za nic. Czemu nie z talerzem schabowego za nic? Albo z talerzem czegokolwiek innego za nic? Wciąż mogła sprawić, że wyrzuci pierogi i cofnie się po schabowego. Wystarczyłoby kilkanaście cyfr. Świadomość, że może to zrobić, że może zmienić jego decyzję, wydała jej się

obrzydliwa.

* * *

Ludzie wciąż wychodzili w terminalu.

Mrużyli oczy, potykali się, choć asfalt przed budynkiem był równy jak stół. Grupa wolontariuszek czekała na kolejnych przybyłych, prowadziła ich do kompilatorów, tłumaczyła podstawy.

Marysia przez większą część dnia snuła się po okolicy, próbując przyłapać odbudowujące się miasto na gorącym uczynku. Nie udawało się; proces zachodził zbyt wolno.

A może to działo się tylko wtedy, gdy nikt nie patrzył? Po południu zauważyła dwóch murarzy. Układali cegły warstwa po warstwie, lepiąc je do siebie zaprawą. Powstawał nowy budynek. Nawet nie próbowała się zastanawiać, skąd wie, jak oni się nazywają i co robią. Była absolutnie pewna, że za proces odpowiedzialne jest inne, nieznanne zjawisko. Gdyby w ten sposób, cegła po cegle, miała się odradzać cała Warszawa, murować musieliby wszyscy i to przez całe lata.

Nikt poza nią zdawał się tego nie zauważać. Zatem była odmieńcem.

Czemu oni tego wszystkiego nie widzą?!

A może to szaleństwo? Może tego nie ma?

Wystarczy pstryknąć palcami, tak to zaprogramowała we własnej głowie.

Pstryknięcie palcami jako autodetonator.

W nocy przyszedł Sebastian. Wszedł i bez słowa położył się na łóżku obok niej.

Objął ją i zasnął, jakby nie było go kilka minut. Skąd wiedział, gdzie ją znajdzie?

Skąd wiedział, że ma znaleźć właśnie ją?

Nigdy wcześniej się nie spotkali.

Wraz z nim przyszły cyfry nakazujące go polubić. Nie zniszczyła ich, tylko głęboko ukryła. Na później.

Nie zasnęła już.

* * *

Przy śniadaniu rozmawiała z Sebastianem. Właściwie to bardziej słuchała. Opowiadał o nowej pracy, o tym, że może wreszcie się stąd przeprowadzą do czegoś

większego, bo on już tu nie może wytrzymać, a ona pewnie też nie. Mówił, jakby mieszkali tu od lat, a to przecież było ich pierwsze śniadanie. Pierwsza rozmowa.

Wciąż mrużył oczy, nawet w tej mrocznej klicie. Patrzyła na niego jak na zjawę. Był jak inni. Jak inni nie widział tego, co ona widziała. On nie pamiętał. Oni nie pamiętali.

Cyfry dobijały się do jej głowy. Krzyczały do niej, by też nie pamiętała. Obiecywały prosty, poukładany świat, z nową przeszłością, wspomnieniami, szczęściem.

— Co byś zrobił — przerwała wywód chłopaka — gdybyś nagle się znalazł wśród ludzi, którzy zupełnie cię nie rozumieją?

Którzy wydają się obcy.

Spojrzał na nią znad jajecznicy.

— Zmieniłbym towarzystwo.

— To nie wchodzi w grę. Nie masz dokąd uciec. Wszyscy są inni. Wszędzie.

— Możesz zostać samotniczką. Albo się dostosować. — Przełknął kęs i przyjrzał jej się uważnie. — Nie mówisz chyba o sobie, co? Ostatnio dziwnie się zachowujesz.

Zaprzeczyła odruchowo.

Czy można tak po prostu pozbyć się niechcianego daru? Czy można zmienić siebie, usunąć element nieprzystosowania?

Nikt inny tego nie miał. Prawdopodobnie.

Po co, dlaczego mieć to wszystko w głowie? Czemu to służy? Czy zrozumienie czyni człowieka szczęśliwszym? Wprost przeciwnie! Ignoranci są najszczęśliwszymi z ludzi. Więc czemu się katować? Po co pamiętać?

Potrafi to zrobić. W jakiś sposób była tego absolutnie pewna. To jak pstryknięcie palcami. Jak przestawienie kilku cyfr we własnej głowie. Widziała je i mogła to zrobić.

— Muszę się przejść.

Wstała od stołu i wyszła. Tak po prostu.

Chodnik błyszczał wilgocią, z Chmury spadały ciężkie krople. Deszcz. Przez te wszystkie lata zapomniała, co to takiego.

Zamknęła oczy i uniosła twarz, pozwalając kroplom dotykać skóry.

Przestało padać równie szybko, jak zaczęło. Zza Chmury wyszło Niesłońce.

Zrobiło się cieplej.

Szła ulicą i pocierała palcami o siebie.

Mijała ludzi, ale nie zwracała na nich uwagi. Ten spacer był niezbędny do podjęcia

decyzji.

Prostej jak pstryknięcie palcami.

Asfalt nagrzewał się i miejscami dawało się dostrzec unoszące się obłoczki pary. Pachniało świeżością. Maiysia zaciągnęła się nią. Zapach wilgoci, ziemi, roślin, zapach dzieciństwa wyzwolił kaskadę wspomnień z czasów, gdy zmartwienia były chwilowe i znikwały bez śladu. Ścisnęło ją w żołądku. Tata miał rację. Warszawa to lepsze miejsce do życia. Warto było przez to wszystko przejść, by się tu dostać. Warto też tę podróż dokończyć, a dokończyć ją mogła tylko w jeden sposób. To proste jak pstryknięcie palcami.

Przez czyste powietrze przeświecały wieżowce Centrum. Na razie górował nad nimi nieukończony Pałac Kultury, ale wkrótce się to zmieni. Mogła próbować zrozumieć ten świat, obracać w głowie przeszłość i przyszłość na tyle, na ile pamiętała je obie. Aż do końca jej ostatniego cyklu dnia i nocy. Mogła odkrywać sens, z wolna popadając w szaleństwo.

Miała wybór, ale musiała go dokonać szybko, nim zamknie się okno możliwości.

Albo okno złudzeń. Zresztą... co za różnica?

Żegnaj, tato.

Pstryknęła palcami.

Szarym pozostań, szary człowieku.

Powinna o coś pytać, powinna się czemuś dziwić. Myśl, że coś oczywistego umyka uwagi, nie dawała jej spokoju. Tylko cóż to takiego mogło być? Ludzie na jeszcze wilgotnych chodnikach, sklepy, kawiarnie, samochody, kolorowe szyldy — tu nie było niczego dziwnego. Dziwnym mogło się wydawać mieszkanie w wirującym pier ścieniu Różańca nanizanym na niewidzialną nić grawitacji. Ale tego przecież doświadczali wszyscy.

Nie, to nie było już od dawna dziwne.

Od Przemiany minęło dziewięćdziesiąt lat, a Pierścień Warszawa funkcjonował stabilnie i bezpiecznie.

Zatem nie dawały jej spokoju tylko paranoiczne skłonności do szukania dziury w całym. Nad tym warto popracować, to potrafi nieźle podnieść wartość PZ.

Dotknęła łuszczącego się strupa na policzku. To ta szafka w kuchni. Trzeba ją przewiesić, bo kiedyś się o nią zabije. Tak, na tym warto się skupić — na drobnych,

codziennych sprawach, z których składa się życie. Sebastian powtarzał jej to aż za często. Po tych wszystkich latach spędzonych z nim na Mokotowie ufała mu jak nigdy nikomu. Złe myśli precz! Pewnych wątpliwości lepiej nie pielęgnować. Czegóż więcej mogła pragnąć? Miała kochającego męża, mieszkanie ciasne, ale własne. Za chwilę zaczną myśleć o dziecku. Nie opływali w luksusy, ale wiązali przecież jakoś koniec z końcem.

Ile to już lat?

*Warszawa Arezzo Florencja Perugia Wrocław Sopot Gdynia Rzym Murzasichle
Kraków Poznań Londyn*

2009—2017